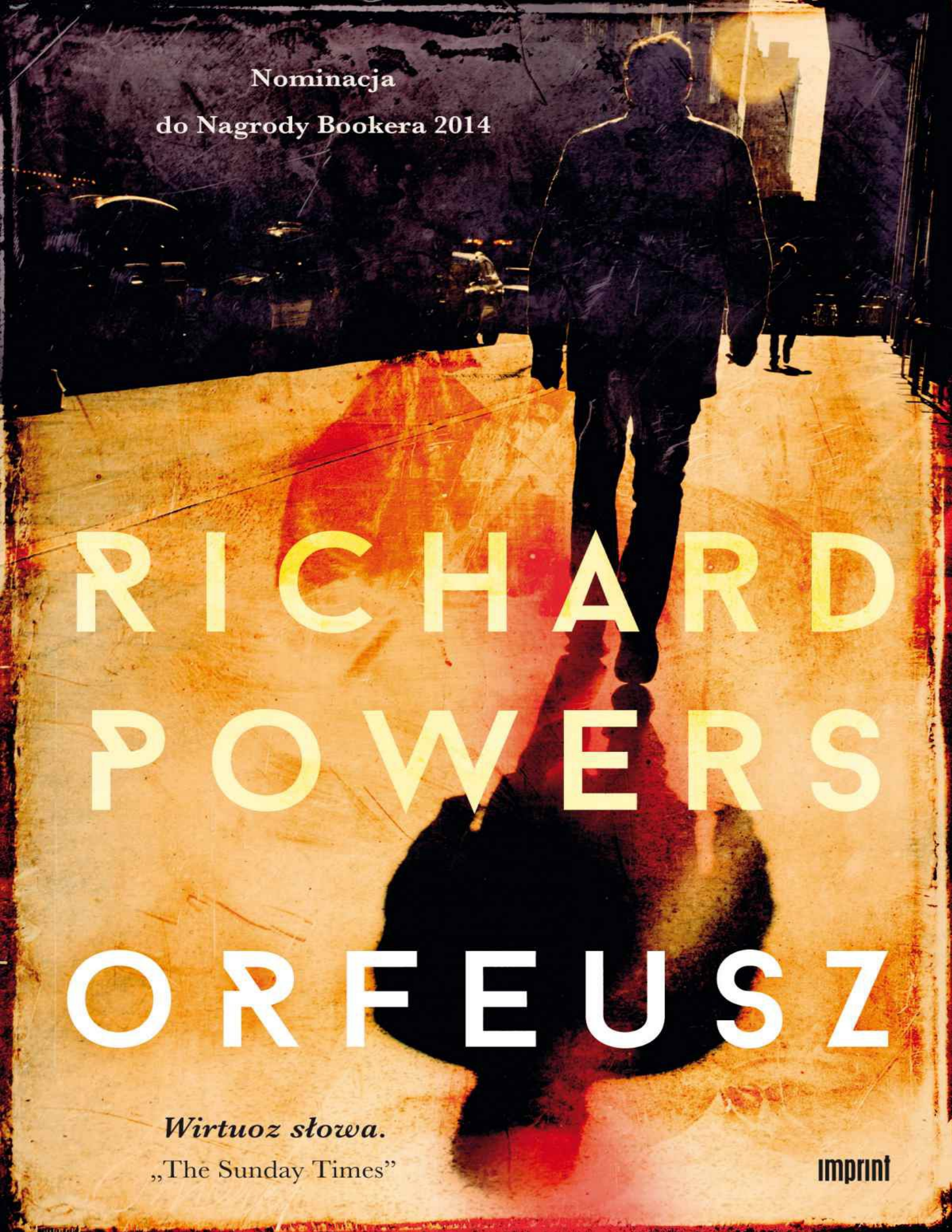


Nominacja  
do Nagrody Bookera 2014



RICHARD  
POWERS  
ORFEUSZ

*Wirtuoz słowa.*  
„The Sunday Times”

imprint

RICHARD  
POWERS  
ORFEUSZ

Z języka angielskiego przełożyła  
URSZULA GARDNER

**imprint**

Copyright © for the Polish edition by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o.,  
2014

Grupa Wydawnicza PWN  
ul. Gottlieba Daimlera 2  
02-460 Warszawa  
tel. 22 695 45 55  
[www.dwpwn.pl](http://www.dwpwn.pl)

Menedżer pionu wydawniczego: Monika Kalinowska

Wydawca: Marcin Kicki

Przekład: Urszula Gardner

Konsultacja muzykologiczna: dr hab. Tomasz Baranowski

Redakcja: Katarzyna Juszyńska

Korekta: Malwina Łozińska, Joanna Morawska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © photoiva/Shutterstock

Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska

Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN:

Marcin Kapusta

Tytuł oryginału: *Orfeo*

Copyright: © 2014 by Richard Powers

ISBN 978-83-7705-755-1 (ePub)

ISBN 978-83-7705-756-8 (Mobi)

Wydawca niniejszej publikacji dołożył wszelkich starań, aby jej treść była zgodna z rzeczywistością, nie może jednak wziąć żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikłe z wykorzystania zawartych w niej materiałów i informacji.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

*Polska Izba Książki*

## Podziękowania

Swoją wersję powstania i premiery dzieła Oliviera Messiaena *Kwartet na koniec czasu* zawdzięczam wyśmienitej książce Rebekki Rischin *For the End of Time*.



A zatem uwertura.

Późny wiosenny wieczór dziesięć lat po jedenastym wrześniu. W położonym w spokojnej okolicy domu utrzymanym w stylu american craftsman płoną światła. Na zasłonach tańczą cienie – mieszkający tu mężczyzna pracuje mimo późnej pory, tak samo jak w każdy wieczór minionej zimy. Ubrany po cywilnemu, ale w goglach ochronnych i w szpitalnych rękawiczkach lateksowych, garbi się przed półkami zastawionymi szklanymi naczyniami na podobieństwo *Idącego człowieka* Giacomettiego, jakby w modlitwie. Do oczu wpada mu posiwiała, lecz wciąż gęsta beatlesowska grzywka.

Mężczyzna spogląda na książkę leżącą na blacie roboczym zasłanym rozmaitymi utensyliami. W jednym ręku trzyma pipetę uniesioną niczym sztylet. Z wyjętej z lodówki fiołki pobiera nią odrobinę bezbarwnego płynu; nie więcej, niż trzmiel upiłby nektaru z kwiatu bergamotki. Ta krztyna wędruje do rurki nie większej niż pyszczek myszy, kapeczka tak mała, że nie może być nawet pewny jej istnienia. Dłoń w rękawiczce mu drży, kiedy wyrzuca zużytą końcówkę pipety do kubła.

Do mikrokoktajlu trafiają inne płyny zaczerpnięte ze zlewek: startery oligonukleotydowe mające zdziałać cuda; termostabilna polimeraza; kolejne nukleotydy, które ustawiają się w szeregu niczym szeregowcy na porannym apelu. Wiązania powstają w tempie tysiąca na minutę. Mężczyzna podpira się wydrukowanym przepisem niczym kucharz amator.

Mieszanina trafia do termocyklera na dwudziestopięciokrotną przejażdżkę tym rollercoasterem, doznając na przemian gorąca bliskiego wrzątku i letniości. Nić DNA rozplata się i splata przez dwie godziny, wyłapuje unoszące się swobodnie nukleotydy i podwaja przy każdej kolejce. Dwadzieścia pięć cykli wystarcza, aby z kilkuset nici DNA powstało więcej kopii niż ludzi na ziemi.

Na zewnątrz pączkujące drzewa poddają się kaprysom lekkiego wiatru.

Spóźnialskie lelki przecinają powietrze, polując na owady. Domorośli inżynier genetyk wyjmuje z inkubatora kolonię bakterii i ustawia ją w komorze laminarnej. Zakręca erlenmajerką i rozlewa zawartość do płytki mikrotitracyjnej z dwudziestoma czterema dołkami. Płytką trafia pod mikroskop, pod czterystukrotne powiększenie. Mężczyzna przykłada oczy do podwójnego okularu i widzi prawdziwy świat.

W domu obok czteroosobowa rodzina ogląda finał *Tańca z gwiazdami*. Mieszkająca kawalek na południe kierowniczką biura na wprost przestępczej firmy deweloperskiej planuje jesienny wypad do Maroka. W przylegającej bliźniaczej posesji, sąsiadującej przez tylny ogród, analityk giełdowy i jego ciężarna żona prawniczka leżą w łóżku z włączonymi tabletami, grają w pokera przez internet i tagują zdjęcia z wirtualnego wesela. Dom naprzeciwko stoi ciemny i pusty – jego właściciele odbywają całonocne czuwanie w Wirginii Zachodniej, mając nadzieję na uzdrowienie wiarą.

Nikt nie zwraca większej uwagi na cichego podstarzałego ekscentryka z domu w stylu american craftsman pod numerem osiemset sześć przy South Linden. Mężczyzna jest na emeryturze, a emerycy mają przeróżne hobby. Zwiedzają miejsca urodzin dowódców wojny secesyjnej. Grają na tubie. Uprawiają tai-chi lub kolekcjonują skamieniałe koralowce bądź też cykają fotki formacjom skalnym w kształcie ludzkich twarzy.

Ale Peter Els pragnie przed śmiercią tylko jednego: wyrwać się z oków czasu i usłyszeć przyszłość. Nigdy nie pragnął niczego innego. A tego wieczoru, tej przekornie ładnej wiosny, jego pragnienie wydaje mu się na miejscu bardziej niż kiedykolwiek.

#

Dokonałem tego, co ich zdaniem tylko próbowałem zrobić. Jestem winny zarzucanych mi czynów.

#

Z taśmy dobiega szum przestrzeni kosmicznej. Nagle czystym altem zgłasza się:

– Pogotowie hrabstwa Pieria, operator numer dwanaście. Jakie są miejsce i rodzaj zdarzenia?

Następnie rozlega się dźwięk przypominający ten wydawany przez koło zębate owinięte ręcznikiem. Ale zaraz głuchy stukot przechodzi w brzęk upadającej na podłogę słuchawki. Po chwili ciszy słychać tenor wpadający w najwyższe nuty ze zdenerwowania:

- Halo.
- Tak, słucham. Jakie są miejsce i...
- Potrzebna nam tu pomoc medyczna.

Alt staje się przenikliwszy.

- Jaki jest rodzaj zdarzenia?

Odpowiedź stanowi niski, nieludzki wrzask.

Tenor mruczy:

- Nic się nie stało, skarbie. Wszystko w porządku.
- Czy ktoś zachorował? – dopytuje alt. – Czy mam wysłać karetkę?

Kolejny stłumiony łoskot przechodzi w trzaski. Późniejszą ciszę kończy zdławione: „O!”. Prędko wyrzucane słowa zlewają się, niezrozumiałe nawet pomimo filtrów cyfrowych i wspomagania dźwięku. Odgłosy marnego pocieszenia.

Operator ponawia próbę:

- Halo! Czy może pan potwierdzić adres?

Ktoś nuci pod nosem melodię, kołysankę z innej planety. Potem połączenie zostaje przerwane.

#

Byłem pewien, że nikt nie usłyszy ani nuty. Tworzyłem z myślą o pustym audytorium.

#

Dwoje funkcjonariuszy policji, którzy podjechali pod dom przy South Linden osiemset sześć w indygowym wozie patrolowym, wcześniej tego samego wieczoru uporało się już z przypadkiem przedawkowania antydepresantów, ze sklepową bójką, w czasie której jeden uczestnik ukruszył sobie trzonowca, oraz z argumentami na temat eugeniki przedstawianymi za pomocą ręcznej broni palnej. Życie w pensylwańskim mieście uniwersyteckim w całej swojej okazałości, nie mówiąc o tym, że noc była jeszcze młoda.

Dom należał do Petera Clementa Elsa, profesora zwolnionego z Verrata College przed trzema laty. Pan Els nie figurował w policyjnych bazach danych; wyglądało na to, że nigdy nawet nie przeszedł na czerwonym świetle. Funkcjonariusze – młody mężczyzna poruszający się charakterystycznym chodem miotacza kulą i starsza kobieta, która idąc, rozglądała się wokół siebie z konsternacją – ruszyli ścieżką prowadzącą do drzwi frontowych. Gałęzie klonu trzeszczały w porywach wiosennego wiatru.



Stłumione wybuchy wesołości wydobywały się z pobliskiego domu i przetaczały po obu pogrążonych w mroku trawnikach. Wysoko na niebie przelatywały dwa identyczne krótkodystansowe odrzutowce, kierując się z rykiem w stronę lokalnego lotniska. Oddaloną o cztery przecznice autostradą stanową ze świstem mknęły samochody.

Frontowy ganek zaścielały przedmioty skazane na wyrzucenie: rękaw, dwie wymamlane kości zabawki z niewyprawionej skóry, powkładane jedna w drugą doniczki, pompka do roweru. Policjant uchylił drzwi siatkowe, a policjantka zapukała do nich, gotowa na wszystko.

Coś mignęło za półkolistym okienkiem i drzwi otwarły się na oścież. W snopie światła stał wymizerowany mężczyzna w typie zakonnika. Nosił okulary bez oprawki i kraciastą koszulę z wystrzępionym kołnierzykiem. Fryzurę miał taką, jakby strzygła go pionierka, używając do tego odwróconego garnka. Jego sztruksy ozdobił cały archipelag plam po jedzeniu. Patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

W pomieszczeniu za nim panował lekki nieład. Krzesła w stylu misyjnym otaczała biblioteczka. Każdą wolną powierzchnię zajmowały książki, pudełka na płyty kompaktowe i stopione do połowy świece, upodabniające się do stalagmitów. Jeden róg schodzonego perskiego dywanika był podwinięty. Naczynia po kolacji wciąż stały na ławie zasłanej czasopismami.

Policjantka obrzuciła tę scenę spojrzeniem.

– Pan nazywa się Peter Els? Dzwonił pan pod numer alarmowy?

Els zamknął oczy, a następnie je otworzył.

– Umarł mój pies.

– Pański pies?

– Fidelio.

– Wzywał pan pomoc do swojego psa?

– To była wspaniała golden retrieverka, czternastoletnia. Znienacka dostała krwotoku.

– Pański pies zachorował – powiedziała policjantka głosem łamiącym się pod brzemieniem humanitaryzmu – a pan nie wezwał weterynarza?

Oskarżony spuścił wzrok.

– Tak mi przykro. Pewnie to był wylew. Ślizgała się łapami po podłodze i wyła. Ugryzła mnie, gdy próbowałem wziąć ją na ręce. Pomyślałem, że jeśli ktoś mi pomoże nad nią zapanować...

Za bramką, w korytarzyku prowadzącym z salonu, zielona narzuta

przykrywała kształt wielkości skulonego dziecka. Policjant wskazał palcem. Peter Els się obejrzał. Kiedy znów się odwrócił, na jego twarzy malowało się zmieszanie.

– Pewnie myślała, że ją karzę... – Przytrzymał otwarte drzwi i wodził oczyma po suficie. – Przykro mi, że sprawiłem tyle kłopotu. Ale sądziłem, że to jest nagły wypadek.

Policjant skinął w stronę przykrytego kształtu.

– Możemy zerknąć?

Els się wzdrygnął.

– Na co? Przecież nie żyje.

Po chwili wahania jednak ich przepuścił.

W salonie mundurowi wydali mu się groźniejsi i lepiej uzbrojeni. Trzy ściany regałów zastawionych od góry do dołu książkami i płytami kompaktowymi odebrały pewność siebie policjantowi. Mimo to przeszedł przez bramkę i korytarzykiem skierował się do nakrytego kształtu leżącego na podłodze. Uniósł narzutę.

– Ten pies mi ufał – oznajmił Els.

– Golden retrievery są bardzo ufne – przyznała policjantka.

– Fidelio przepadała za wszystkimi. Aż dziw, że dożyła czternastu lat.

Policjant zakrył zwłoki. Wrócił korytarzykiem i znów pokonał bramkę górą. Pomacał się po pasie, kolejno dotykając pałki, kajdanek, krótkofalówki, kluczy, pojemnika z gazem pieprzowym, latarki i pistoletu. Na mosiężnej plakietce widniały jego imię i nazwisko: Mark Powell.

– Musi pan wezwać straż dla zwierząt.

– Myślałem, że... – Els wskazał kciukiem na tyły domu. – Że wyprawię jej godny pochówek. Uwielbiała tam biegać.

– Musi pan się skontaktować ze strażą dla zwierząt. To kwestia zdrowia publicznego. Możemy panu podać numer telefonu.

– Aha! – Peter Els uniósł brwi i kiwnął głową, jak gdyby nagle wszystkie tajemnice znalazły wyjaśnienie.

Policjantka podała mu numer telefonu. Zapewniła, że prawo nakłada taki obowiązek i że tak naprawdę to nic trudnego.

Powell przebiegł wzrokiem po rzędach płyt kompaktowych: były ich tysiące, wszystkie w najnowszej z przestarzałych technologii. Oprócz dysków w salonie rzucał się w oczy znajdujący się pod wolną ścianą spory drewniany stojak, coś jak wieszak na ubrania. Z konstrukcji na elastycznych

linach zwisało kilka butli na wodę z odciętymi denkami.

Powell ponownie dotknął pasa.

– Judas Priest!

– Puchary z komorą chmurową – odparł Els.

– Z komorą chmurową? Czy to przypadkiem nie coś w rodzaju...?

– Tylko tak się nazywają – wyjaśnił Els. – Na nich się gra.

– Pan jest muzykiem?

– Kiedyś uczyłem muzyki. Komponowania.

– Znaczący pisze pan piosenki?

Peter Els ujął się pod łokcie i zwiesił głowę.

– To nieco bardziej skomplikowane...

– Co pan rozumie przez „skomplikowane”? Techno folk? Psychobilly ska?

– Właściwie już nie tworzę.

Powell przyjrzał mu się uważnie.

– Dlaczego?

– Na świecie jest dość muzyki.

Krótkofalówka przy pasie policjanta zasyczała i padły wydane kobiecym głosem rozkazy.

– Tak, to prawda. Mało czego brakuje na tym świecie.

Funkcjonariusze zawrócili ku drzwiom wyjściowym. Za progiem salonu ujrzeli otwartą pracownię. Regały tego pomieszczenia uginały się od szkła laboratoryjnego, wężyków i słoików opisanych wydrukowanymi naklejkami. Mała lodówka stała obok długiego blatu, na którym królował mikroskop optyczny podłączony do komputera. Za sprawą białego korpusu, czarnego podwójnego okularu i srebrnego obiektywu urządzenie mogło przypominać szturmowca z *Gwiezdných wojen* w wieku dziecięcym. Reszta wyposażenia leżała na blacie biegnącym wzdłuż ściany naprzeciwko i pobłyskiwała kolorowymi wyświetlaczami ciekłokrystalicznymi.

– Ejże! – rzucił Powell.

– To moje laboratorium – rzekł obronnie Els.

– Zdawało mi się, że pisze pan piosenki.

– Mam też hobby. Pomaga mi się odprężyć.

Policjantka o nazwisku Estes zmarszczyła czoło.

– A na co te wszystkie szalki Petriego?

Peter Els poruszył palcami.

– Dają schronienie bakteriom. Zupełnie jak my.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli...?

Els odsunął się nieco i wpatrzył w odznakę dręczycielki.

– Zrobiło się bardzo późno.

Funkcjonariusze wymienili spojrzenia. Powell otworzył usta, aby zaprzeczyć, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Nie ma sprawy – odrzekła Estes. – Wyrazy współczucia z powodu śmierci pańskiego psa.

Els potrząsnął głową.

– Fidelio mogła słuchać całymi godzinami. Uwielbiała każdy rodzaj muzyki. Czasami nawet śpiewała.

Zanim oboje policjanci wyszli, wiatr zamarł, a owady zakończyły swoje upiorne harce. Zapanowała cisza granicząca ze spokojem absolutnym. Mroczny bezruch trwał przez całą drogę do radiowozu, w którym para funkcjonariuszy natychmiast zabrała się do dzwonienia.

#

Co ja sobie myślałem? Chyba nie myślałem. Zawsze zarzucano mi, że chodzę z głową w chmurach. Ale tym razem ograniczyłem się do czynów.

#

Retrieverka reagowała wyłącznie na imię Fidelio, i to już od pierwszej chwili, gdy Els go użył. Muzyka wprawiała ją w ekstazę. Fidelio uwielbiała długie, przeciągnięte interwały, głównie sekundy, zwiększone lub zmniejszone. Ilekroć ktoś przedłużał nutę więcej, niż trwa uderzenie serca, pies nie potrafił się powstrzymać i dokładał swoje trzy grosze.

W psim zawroźdzeniu była jednak metoda. Jeśli Els wyciągał d, Fidelio przechodziła do es bądź do e. Kiedy Els zaczynał grać na jej nutę, obniżała albo podwyższała o pół tonu. Ilekroć chórek śpiewał czysto, pies wtrącał obcą nutę. Bez względu na to, jaka była ludzka tonacja, Fidelio potrafiła wynaleźć wolny dźwięk.

W wyciu psa Els słyszał korzenie muzyki: święte bractwo drobnych dysonansów.

Els dotarł do paru poważnych opracowań na temat muzykalnych czworonogów i we wszystkich wyczytał, że psie ucho jest w stanie wychwycić co najwyżej jedną trzecią oktawy, a jednak Fidelio zawsze udawało się wkroczyć do akcji w ciągu pełnej nuty każdego dźwięku

podanego przez Elsa. Badania wpływu różnych gatunków muzycznych na psy wykazały, że heavy metal je pobudza, podczas gdy Vivaldi ma na nie działanie uspokajające. Nie było to wielkim zaskoczeniem: w jednym z nielicznych wywiadów, jakich udzielił, Els stwierdził, że *Cztery pory roku* powinny być sprzedawane z podobnym napisem ostrzegawczym jak większość silniejszych trankwilizatorów. A było to lata przed tym, jak zrodził się przemysł obliczony na uspokajanie domowych ulubieńców – zanim na rynku pojawiły się składanki zatytułowane *Hity dla Twojego psa; Ukój nerwy swego ulubieńca; Melodie do puszczenia zwierzętom podczas nieobecności właściciela w domu*.

U progu pełnoletności Els czcił Wagnera. Wiedział zatem o Pepsie, spanielu muzie i współtwórcy *Tannhäusera*. Peps miał w zwyczaju wylegiwać się pod fortepianem u stóp kompozytora, gdy ten tworzył. Kiedy jakiś pasaż nie podobał się Pepsowi, pies wskakiwał na blat i wył, dopóki Wagner nie pożegnał się z pierwotnym pomysłem. Były czasy, że Elsovi przydałby się taki szczerzy krytyk, a Fidelio z pewnością nie poskapiłaby mu swoich rad. Jednakże Peter Els zaprzestał komponowania na długo przed tym, jak w jego życiu pojawiła się retrieverka.

Podobnie jak Peps, Fidelio dbała o swego właściciela. Przypominała Elsovi o porach posiłków i spacerów. I nie prosiła w zamian o nic ponad to, aby móc należeć do dwuosobowego stada, pozostawać lojalną wobec samca alfa i wyć do woli, ilekroć grała muzyka.

Els naczytał się o innych muzykalnych psach. Buldog Dan powarkiwiał na fałszujących śpiewaków i został unieśmiertelniony w jedenastej wariacji *Enigmy* Elgara. Bulterier Bud wykonał w Białym Domu składankę Stephena Fostera za kadencji Franklina D. Roosevelta, dla prezydenta i pierwszej damy, pięć lat przed narodzinami Petera. Mniej więcej trzydzieści lat później, gdy Els szwendał się po happeningu Johna Cage'a w Urbanie w stanie Illinois, przed kamerami wystąpił Lyndon Johnson ze swym kundelkiem Yukim, zadziwiając otępiały naród. W ciągu trzech dekad dzielących Buda od Yukiego dwupłaty ustąpiły miejsca rakietom latającym na Księżyc, a lampy sygnalizacyjne typu aldis – sieci ARPANET. W muzyce zaś Aaron Copland przedzierzgnął się w George'a Crumba, a z *A Fine Romance* zrobiła się *Heroin*. Jednakże w psiej muzyce nie zaszły żadne zmiany.

Apetyt Fidelio na śpiew nie osłabł ani na jotę. Nie dla niej była nienasycona potrzeba nowości. Nigdy nie miała dość starych szlagierów, ale

też nigdy nie rozpoznała niczego, co puszczał jej Els, jakkolwiek często by to robił. Nieustający ruchliwy taniec w statycznym wiecznym teraz: tak podchodziła do każdego utworu, którego wysłuchali przez wszystkie te lata, noc po nocy. Fidelio rozsmakowała się w arcydziełach XX wieku, lecz ożywiała się też na nagrany melodię furgonetki lodziarza, przejeżdżającej parę ulic dalej w letni wieczór. Wykazywała się znawstwem, na które Els zamieniłby się z nią bez zastanowienia.

#

Nie miałem pojęcia, co się stanie. Na tym polega kłopot z podejmowaniem jakichkolwiek działań. Człowiek nie wie, co będzie.

#

Czy tonalność istniała obiektywnie, nadana przez Boga? Czy też te magiczne przedziały, jak wszystko, co pochodzi od człowieka, były tylko prowizorycznymi regułami, które należało łamać na drodze do bezlitońskiej wolności? Fidelio stała się królikiem doświadczalnym Elsa, eksperymentował na niej w próbie odkrycia muzycznych uniwersaliów. Pies ożywił się, ledwie Els sięgał po sterany futerał na klarnet, jeszcze z czasów dzieciństwa. Przychodziła znów pora na duet: Fidelio dawała głos, zanim Els zagrał pierwszą nutę. Przede wszystkim sprawdzał równorzędną oktav. Przeciągał nutę, a pies odpowiadał rzewnym interwałem. Ale kiedy klarnet wydawał dźwięk o oktawę wyższy, Fidelio trzymała ton, jakby tonacja w ogóle się nie zmieniła.

To doświadczenie przekonało Elsa do tego, że jego pies odbiera oktawy podobnie jak człowiek. A zatem oktawy były wbudowane w ciało, stanowiły wartość przekazywaną nie tylko kulturowo, lecz także genetycznie. Gdy przejść od „do” do „do” – i jakkolwiek by je rozdzielić – nawet inny gatunek niż *homo sapiens* usłyszy, że dźwięki na siebie zachodzą niczym w kole barw.

Tylko szalenie by się tym przejął. Jednakże reakcja retrieverki podekscytowała Elsa. Przypomniała mu o tych wszystkich spędzonych w głuszy latach, podczas których wtykał ucho nawet tam, gdzie nie jego miejsce, poszukując wśród muzycznej matematyki skrótów wiodących do ideału. Tymczasem Fidelio, ta radosna istota wyjąca do wtóru jego klarnetu, pokazywała, że muzyka to coś więcej niż gusta: że jest na dobre wbudowana w zaawansowany ewolucyjnie mózg.

Els podporządkował temu conceptowi swoje życie. Coś wspaniałego i trwałego kryło się pod wyświechtaną powierzchnią muzyki. Gdzieś na dnie tego, co dobrze znane, rozciągały się konstelacje nut, sekwencje dźwięków mogących stanowić dla umysłu objawienie.

Nadal w to wierzył. Ale teraz, po śmierci psa i jedną nogą w grobie, nie łudził się już, że odkryje prawdę za swojego życia.

#

Może popełniłem błąd. Lecz Cage mówił: nie ma czegoś takiego jak błąd. Każde wydarzenie jest częścią rzeczywistości.

#

Poszedł na tyły domu z latarką, łopata i ciałem owiniętym narzutą. Zdecydował się na miejsce nieopodal rządka bukszpanów, które Fidelio uwielbiała podlewać. Spłachetek ziemi był znów porośnięty gęstym kozuchem chwastów. Życie mnożyło się na potęgę, co nie przestawało go zdumiewać. Umieścił latarkę w rozgałęzieniu suchodrzewu, złapał łopate i zaczął kopać.

Stukot podeszwy o wygięty skraj łyżki i szelest metalu zagłębiającego się w kamienistą glebę dały w efekcie uspokajający dwutakt. Kiedy dół był wystarczająco głęboki, aby pomieścić towarzyszkę jego ostatnich lat, odłożył łopate i schylił się po ciało. Fidelio sprawiała wrażenie lżejszej, jak gdyby coś z niej uszło w ciągu półtorej godziny od zgonu.

Stał na krawędzi dołu, zastanawiając się nad narzutą. Patchwork wyszedł spod ręki jego byłej żony, uszyła go ze znoszonych ubrań ich obojga ponad czterdzieści lat temu, w najszcześniejszym okresie ich pożycia. Narzuta była duża i barwna, w głębokich odcieniach lazuru, nefrytu, szmaragdu i seledynu. Wzór nosił nazwę „las nocą”, a jego wykonanie zabrało Maddy prawie dwa lata. Nie licząc zestawu pucharów z komorą chmurową, był to najbardziej wyrefinowany przedmiot znajdujący się w jego posiadaniu. Zdrowy rozsądek podpowiadał Elsowi, że narzutę należałoby ocalić, odczyścić i odłożyć na półkę, gdzie by ją znalazła jego córka, kiedy go zabraknie. Jednakże Fidelio na niej umarła – niepojętą śmiercią, pokrzepiana tylko przez znajome przykrycie. Skoro ludzie mieli duszę, miało ją też na pewno to stworzenie. A jeśli ludzie duszy nie mieli, żaden gest w tej sytuacji nie był zbyt napuszony ani żaloszny. Els przeprosił Maddy, której nie widział od dziesiątków lat, i złożył zawiniątko w dole.

Owinięte narzutą psie zwłoki spoczęły w gliniastym grobie. W świetle latarki las nocą rozblęsnął głębokimi chłodnymi barwami. Mroczna zieleń na moment przywołała wszystkim ból, który Els i Maddy wzajemnie sobie zadali.

Nucąc lekko wznoszącą się melodię, Els schwycił ponownie łopatę. W ciągu siedemdziesięciu lat życia już sześciokrotnie sobie uświadomił, że dopiero rozpacz pozwala w pełni docenić najdrobniejsze, niedoceniane aspekty życia. To był siódmy raz.

Nagle usłyszał:

– Co ty wyprawiasz?!

Els sapnął i upuścił łopatę.

Przestraszony jego przestraczem głos zawołał:

– To ja!

Stojąc na krześle ogrodowym, mieszkający po sąsiedzku ośmiolatek wyzierał spomiędzy listewek drewnianego płotu. Żeby ośmioletnie dzieci chadzały samopas po nocy! Els nie pamiętał imienia chłopca. Ale tak jak większość chłopięcych imion w epoce mediów społecznościowych, zaczynało się ono na literę J.

– Co jest? – zapytał Jot jedwabistym szeptem.

– Chowam swojego psa.

– W tym czymś?

– To coś w rodzaju daru grobowego.

Jot znał się na darach grobowych dzięki grom komputerowym.

– Wolno grzebać psy w ogródku?

– Mojemu się tu podobało. Poza tym nikt nie musi o tym wiedzieć, prawda?

– Mogę zobaczyć z bliska?

– Nie – odparł Els. – Teraz już śpi.

Podniósł łopatę i zaczął zasypywać dół. Jot przyglądał się temu chory z ciekawości. Mimo młodego wieku widział tysiące trupów. Jednakże staranny pochówek to było dlań coś nowego.

Dół zamienił się w skromny kopczyk. Stojąc nad nim, Els zastanawiał się, jaki powinien być następny krok tej zaimprovizowanej ceremonii.

– Z Fidelio był dobry pies. Bardzo mądry.

– Fidelio? To rozwinięcie imienia Fido?

– Tak się nazywała. Umiała śpiewać. Odróżniała przyjemne akordy od tych niemiłych dla ucha.



Jot zrobił podejrzliwą minę.

– A co śpiewała?

– Wszystko. Miała otwarty umysł. – Els ujął latarkę i machnął nią w stronę płotu. – Może coś jej zaśpiewamy, jak myślisz?

Jot pokręcił głową.

– Nie znam żadnych smutnych piosenek. Z wyjątkiem wesołych.

#

Chciałem sobie przypomnieć, na czym naprawdę polega życie, i przekonać się, czy moja przygoda z chemią aby na pewno się skończyła.

#

Ośmioletni Peter ukrywa się w spiżarni swego neotudorowskiego domu, kuląc się w kowbojskiej piżamce, podgląda rodziców i łamie wszelkie prawa boskie i ludzkie. Nie martwi się, że zostanie przyłapany. Jego los jest przypieczętowany tak czy owak. Czerwoni zdetonowali bombę atomową parę tygodni temu, a Karl Els obwieszcza ojcom kolegów z sąsiedztwa, zgromadzonym nad żeberkami na ogromnym grillu, że planeta ma przed sobą góra pięć lat. Impreza z wyżerką na świeżym powietrzu to właściwie podzwonne minionego świata. Wszyscy ci skazani na zagładę ludzie, zjadłszy ostatnie kawałki mięsa prosto z rusztu, zbierają się wokół organów Hammonda gospodarza, co drugi ze szklaneczką dżinu w dłoni – chór podpitych niewiniątek śpiewających na pożegnanie *Strumień Bendemeer*.

*Stoi sobie różana altana nad brzegiem Bendemeer,*

*A słowik nad nią śpiewa przez cały dzień.*

Jego starszy brat Paul śpi w pokoju na poddaszu, piętro wyżej. Susan marudzi w kołysce znajdującej się u podnóża schodów. Peter zaś stoi pośród tej kipieli akordów, przysłuchując się amerykańskiej pieśni pożegnalnej. Melodia wznosi się i opada; przez nią słowa stają się równie potrzebne jak brzuchomówca w radiu. Przy każdej zmianie tonacji Petera ogarniają na przemian światło i ciemność, wzruszenie z pierwszej ręki. Nuty lecą jedna za drugą, takt po takcie dołączają do poprzedniczek, posłuszne jakiejś logice, mrocznej i cudownej.

Kolejna niejasna, niespokojna nuta powoduje u chłopca skręt kiszek. Naprzód, ku nieznanym akordom, wiedzie kilka obiecujących drózek. Jednakże ze wszystkich możliwych melodia wybiera najdziwniejszą. Niespodziewany przeskok sprawia, że na ramiona Petera występuje gęsia

skórka. Przebiegają go ciarki, jego niepozorna męskość sztywnieje od niesprecyzowanego pragnienia.

Pijany chór anielski przechodzi do trudniejszej pieśni. Nowe dźwięki przypominają Peterowi drzewa rosnące na wzgórzu nieopodal domu babki, gdzie raz jeździli z ojcem na sankach. Śpiewacy krok po kroku, niepewnie, zagłębiają się w gąszcz splątanych konsonansów.

Coś jednak burzy melodię. Palce matki zaczynają się plątać. Kobieta uderza omyłkowo w parę klawiszy z rzędu. Wymachujący szklaneczkami z dżinem śpiewacy zataczają się ze śmiechem do rowu. Wtem ze swej kryjówki chłopiec w kowbojskiej pizamce dokańcza przerwana melodię. Zgromadzenie zwraca się twarzą ku intruzowi. Zaraz czeka go kara za wszystkie przewinienia, których się dopuścił.

Ale matka podchwytuje poddaną przezeń nutę. Zdziwiająca, choć oczywista – z całą pewnością lepszą od tych, których próbowała przed chwilą. Nasiąknięci dżinem śpiewacy głośno chwalą dziecko. Ojciec zbliża się i szczypie go w pupę, po czym odsyła do łóżka, odwołując wymierzenie kary.

– I nie wracaj, póki znów nie będziemy potrzebowali twojej pomocy!



Dwa miesiące później mały Peter stoi, ściskając w ręku swój klarnet, za kulisami pierwszego dnia konkursu miejskiego. Zdążył już zrozumieć, że każda rozrywka prędzej czy później musi się przerodzić we współzawodnictwo. Matka wolałaby mu oszczędzić rytuału igrzysk. Ale ojciec – który na wojnie zabił niemieckiego feldjegera, jak utrzymuje Paul – uważa, że chcąc chronić chłopca przed oceną publiczności, trzeba go zmuszać do jak najczęstszych występów.

Ktoś woła jego imię. Peter niezdarnie wkracza na scenę, czuje zawroty głowy. Kłaniając się sali pogrążonej w absolutnej czerni, traci równowagę i leci w przód. Pełna widownia zrywa boki ze śmiechu. Peter zasiada, by zagrać *Von fremden Ländern und Menschen* Schumanna. Akompaniator czeka na znak, lecz Peter nie potrafi sobie przypomnieć początku melodii. Odnosi wrażenie, że ręce ma z galarety. Jednak jakimś cudem jego palce pamiętają, co mają robić. Gra utwór za szybko, za głośno – i zanim skończy, jest cały we łzach. Brawa są dla niego sygnałem, by uciec ze sceny w upokorzeniu.

Trafia do toalety, gdzie wyrzuca wnętrzności do miski klozetowej. Kiedy wychodzi do matki, ma plamki wymiocin na przypinanej muszce. Kobieta przytula jego głowę do swojego mostka i mówi:

– Petey, nie musisz tego ciągnąć.

Wyrywa się jej przerażony.

– Ty nic nie rozumiesz! Ja muszę grać!

Zdobywa drugą nagrodę w swojej kategorii wiekowej i dostaje cynowy klucz wiolinowy, który rodzice ustawiają na gzymsie kominka obok zdobytego w 1948 roku przez Paula trofeum małej ligi baseballowej. Dekady później, po śmierci ich matki, nagroda wylądowuje na strychu rodzinnego domu, owinięta w gazetę.

#

Mam tę melodię w uszach od sześciu dekad. Gust muzyczny niewiele się zmienia. Dźwięki późnego dzieciństwa towarzyszą nam na pogrzebie.

#

Podstawówka, gimnazjum, liceum – Peterowi Elsowi udaje się przetrwać je wszystkie. Przeskakuje od Ali i Asa do koniugacji i deklinacji, bitwy w zatoce Hampton Roads, spotkania Stanleya z doktorem Livingstone’em, kości piszczelowej i strzałkowej, kwasów i zasad. Uczy się na pamięć fragmentów *Pieśni o Hajawacie*, recytuje sonety zatytułowane *Ozymandias* i *Nowy Kolos*; ich urywany rytm zapełniał mu martwe godziny popołudnia.

W dwunastym roku życia potrafi się posługiwać takim tajemniczym urządzeniem jak suwak logarytmiczny. Zabawia się pierwiastkami kwadratowymi, a w liczbie  $\pi$  doszukuje się sekretnego przesłania. Wylicza pola nieprzebranej liczby trójkątów prostokątnych i zaznacza na mapie Europy przypływy i odpływy francuskich i niemieckich armii w ciągu pięciu stuleci. Nauczyciele zmieniają się niczym tonacje w kole kwintowym, lecz każdy kolejno się upiera, że dzieciństwo powinno ustąpić gromadzeniu wiedzy.

Najbardziej lubi lekcje muzyki. W miarę upływu czasu klarnet odsłania przed nim swoje tajemnice. Etiudy, które zadają mu nauczyciele, otwierają przed nim drzwi do coraz wymyślniejszych i czarowniejszych miejsc. Posługuje się biegle językiem muzycznym.

– To dar – stwierdza jego matka.

– Talent – koryguje jego ojciec.

Karl Els także ma obsesję na punkcie muzyki, a przynajmniej na punkcie coraz większej wierności jej odtwarzania. Co kilka miesięcy sprawia sobie jeszcze nowocześniejsze, lepsze, potężniejsze części, aż wreszcie jego głośniki podłączone do stereofonicznego wzmacniacza lampowego są większe niż chata najemnego pracownika sezonowego. Dzięki nim może bombardować rodzinę lekką klasyką. Walce Straussa. *Wesoła wdówka*. Ryczy na cały głos: „*I am the very model of a modern Major General*”, aż ich pokojowo nastawiony sąsiad grozi wezwaniem policji. W każde niedzielne popołudnie i w cztery wieczory w tygodniu młody Peter słucha obracających się krążków. Przedziera się przez zmieniające się konsonanse, od czasu do czasu wyłapując z szumu sekretne przesłanie.

Właśnie na ojcowskim sprzęcie stereo jedenastoletni Peter po raz pierwszy słyszy *Symfonię Jowiszową* Mozarta. Jest październik, niedziela po południu, pada deszcz; tonie w grząskich godzinach straszliwej nudy, nie mając pojęcia, gdzie podzieli się wszyscy jego koledzy. Zazwyczaj słucha na górze ścieżki dźwiękowej tego czy innego filmu albo u Judy Breyer w piwnicy gra w hacele, w bierki lub w butelkę. Tego apatycznego popołudnia jednak przegląda drobnorowkowe płyty gramfonowe ojca w poszukiwaniu lekarstwa, które mogłoby uśmierzyć nękające go ciągle pragnienie. Wierzy, że remedium znajduje się w którejś z kolorowych kartonowych koszulek.

Odtwarza trzy pierwsze części *Symfonii nr 41*: przeznaczenie i szlachetne poświęcenie, tęsknota za utraconą niewinnością i menuet tak elegancki, że niemal umiera przy nim z nudów. W końcu następuje finał, utrzymany w dwudzielnym metrum. Cztery skromne dźwięki: do, re, fa, mi; połowa wymieszanej gamy. Zbyt proste, aby było genialne. A jednak melodia wyślizguje się na świat na podobieństwo jednej z tych afrykańskich antylop, które wypadły z łona, wciąż oblepione łożyskiem rwą się do biegu.

Młody Peter podpira się na łokciach, schwytny w zasadzkę przez wspomnienie z przyszłości. Przetasowana gama nabiera masy, przyciąga własną grawitacją inne melodie. Dźwięki i antydźwięki rozdzielają się i sprzęgają, uganiając się za sobą w grze w kosmicznego berka. W drugiej minucie pod stopami chłopca rozwiera się zapadnia. Parter znika, w dole ziele dziura. Peter, sprzęt grający, głośniki, kozetka, na której siedzi – wszystko pozostaje zawieszony w powietrzu na gejzerze dźwięków zalewających pokój.

Dochodzi do replikacji pięciu nici wirusa, które infekują powietrze nieposkromioną radością. W połowie czwartej minuty ręka unosi Petera wysoko ponad ograniczony punkt widzenia terażniejszości. Chłopiec wznosi się wraz z kolumną światła i spogląda w dół na pokój, w którym siedzi i słucha. Na widok własnego wymiętego, zasłuchanego ciała ogarnia go niewysłowiony spokój. I współczucie dla każdego, kto by pomylił owo marne życie z prawdziwym.

W szóstej minucie tego zadziwienia pięć galopujących melodii łączy się w pięciogłosową fugę. Linie melodyczne odzywają się echem i zazębiają, ujawniając, do czego wszystko zmierzało od otwierającego „do”. Splatają się zbyt ciasno, aby Peter był w stanie wychwycić detale pięciokrotnego splotu. Dźwięk go otacza; Peter tkwi w samym środku, pasywny – drobny, lecz istotny element całości.

Gdy cisza osadza go z powrotem na miejsce, nie wierzy w nie już. Przez resztę popołudnia łązi oszołomiony. Rodzinny dom odmawia przyznania tego, że nastąpiło coś wyjątkowego. Jedynym tego dowodem jest płyta, toteż Peter przez kolejne trzy dni dręczy winyl, co rusz opuszczając nań igłę. Nawet jego ojciec wrzeszczy, żeby zmienił muzykę. Jednakże Peter co noc zasypia przy wtórze tej samej kaskady dźwięków. Najbardziej ze wszystkiego pragnie już wiecznie rozkładać to arcydzieło na czynniki pierwsze, po czym składać jego misterny mechanizm z powrotem do kupy. Ponawiać odczucie, którego doznał: że jest czysty, obecny, zakorzeniony tutaj, a przy tym taki odmienny i dynamiczny, równie olbrzymi i wspaniały jak planeta zewnętrzna.

*Symfonia Jowiszowa* przyzywa, lecz z każdą wizytą wrażenie słabnie. Po miesiącu Peter poddaje się, znowuż uwięziony na nieustępliwej Ziemi. Tłucze się po pokojach i trzaska drzwiami budynku wzniesionego na skarpie. Wściekle pedałuje po skupisku uliczek wysadzanych takimi samymi domami jak jego, uliczek, które przenikają się niczym zwój linii papilarnych. Z kuchennych okien dolatują melodie, równie harmonijne i smakowite jak zapach bekonu i kapusty. Ale Peter nie ma do nich dłużej cierpliwości. Jego ucho go opuściło.

Traci kontakt z sąsiedztwem. Radości innych ludzi zbijają go z tropu po tym, gdzie był. Na sport patrzy jak na bezsensowną huśtawkę, filmy wydają mu się za wesołe, a ryczące auta wpędzają go w depresję. Nie cierpi szarego, płaskiego, sztucznego tekturowego świata telewizji, chociaż raz, aby popaść

w trans, siedzi i gapi się przez pół godziny na śnieżący obraz, przesłanie prosto z kosmosu. I nawet po tym, jak już wyłączy odbiornik, wpatruje się w kurczący się peryskop na środku ekranu – portal do miejsca, do którego nie może wrócić.

Mając lat trzynaście, Peter Els całkiem wypada z rytmu ośmiocylindrowej, aerodynamicznej i przepełnionej entuzjazmem Ameryki. Nie przejmuje się więcej tym, komu jego gusta są nie na rękę. Zależy mu tylko na matematyce i na Mozarcie – mapie prowadzącej na tamtą odległą planetę.

W którąś niemającą końca czerwcową sobotę czternastoletni Peter zostaje porwany przez swego brata i kolegów z własnego pokoju i uprowadzony do na wpół ukończonej piwnicy. Przywiązują go do stołka barowego i zmuszają do wysłuchania płyt odtwarzanych z prędkością czterdziestu pięciu obrotów na minutę na przenośnym gramofonie wielkości skrzyni podróźnej. *Maybellene, Earth Angel, Rock Around the Clock*. Karmią go na siłę hitami, przekonani o tym, że go złamią i przerobią na mniejszego nudziarza. Napomykają coś nawet o terapii wstrząsowej.

– No dalej, melomanie. Wyjmij nos z dupy i zacznij słuchać.

Peter próbuje.

– O, to jest dobre – mówi. – Ładny bas kroczący.

Stara się nadać głosowi entuzjastyczne brzmienie, ale kumple czytają w nim jak w otwartej księdze. Puszczają mu *The Great Pretender*. To chwytliwa melodyjka, która zmienia się w chińską torturę już po pierwszym refrenie.

– Co ci się nie podoba tym razem, ćwoku?

– Wszystko mi się podoba! Tylko że... – Zamyka oczy i wyrzuca z siebie rytmicznie: – Tonika, subdominanta, dominanta. Ci goście powinni się nauczyć paru nowych akordów.

– No nie! A co jest nie tak z tymi, które już znają?

Zupełnie nic, jeśli trzy akordy wystarczają komuś do szczęścia. Czymże jednak jest szczęście w porównaniu z głosem wieczności?

– Wcale nie chodzi o akordy – złości się Paul.

– To donikąd nie zmierza, Paulie. Zatacza kółka jak brudna woda przy odpływie.

– Jak brudna woda...? Czyś ty całkiem ogłuchł?! – Na twarzy jego brata pojawia się nieobecny wyraz. – Nie słyszysz tego? To się nazywa wolność, ty

zasuszony gówniarzu!

Peter słyszy jedynie kakofonię. Czuje się jak muzyczny skazaniec.

Wysoki sąd puszcza *Blue Suede Shoes*. Peter wzrusza ramionami: może być, w sam raz na tło w tanim sklepie. To, że nadal nie mdleje z zachwytu, rozwściecza jego brata. Paul odchyła ramię, zamierzając nabić głupkowi rozumu magiczną kulą – zabawką z plastiku. Jednakże górę bierze nad nim ekstaza wywołana big-beatem.

– Posłuchajcie tego! Jezu... Czy jest lepsza muzyka?

Ciska kulę na zastawioną perkusją podłogę piwnicy. Peter chwytą ją, spuszcza głowę i odczytuje w okienku poradę wróżki:

SKUP SIĘ I PONÓW WYSIŁKI.

#

Przez całe życie sądziłem, że wiem, co to muzyka.  
Zachowywałem się jak dziecko, które myli swojego dziadka  
z Panem Bogiem.

#

Chłopak utrzymuje się na powierzchni jeziora w pionie, szybko przebierając pod wodą nogami. Wokół panuje lato; gdziekolwiek spojrzeć, widać tylko niebo i sosny, słycać hałaśliwych krewnych. W powietrzu czuć wakacje; Peter znów odbywa próby do swego życia.

Powiedzmy, że jest późne popołudnie, ale do zmroku zostało jeszcze wiele godzin. Tutaj, tak daleko na północy, w okolicach przesilenia słońce przez parę dni długo utrzymuje się w zenicie, zanim w końcu opadnie za horyzont. W jeziorze roi się od pływających dzieci: trwa Elsfest, doroczna impreza, w której jego wiarołomna gałąź rodziny rzadko uczestniczy. Elsowie z całych Stanów gromadzą się i biorą w posiadanie południowy brzeg tego położonego na północy zbiornika wodnego. Trzydzieści metrów od niego dzieciaki tłoczą się na sklejkowej tratwie przywiązanej do pustych beczek po ropie; wyglądają jak mrówki obłazące topiącą się kostkę cukru. Unikający głębokiej wody wujowie wyławiają butelki piwa z ocynkowanego pojemnika i otwierają je na metalowej rączce. Ciotki i nie tylko polegają na rącznikach plażowych, sprawiając wrażenie przybrzeżnej linii produkcyjnej. Gdziekolwiek spojrzeć – Elsowie. Nawet ojciec Petera nie jest w stanie zidentyfikować wszystkich członków tego roju. Jedna rosyjska bombka – choćby konwencjonalna – rozprawiłaby się z ich rodowym nazwiskiem.

Pierwszemu dniowi lata towarzyszy krystaliczny motyw, który Peter

ćwiczy do upadłego od wielu dni. Obudził się o brzasku i piłował całymi godzinami w swojej kryjówce na wzgórzach, znęcając się nad tanim klarnetem, który ojciec wynalazł dla niego na wyprzedazy. Kiedy dołączył do reszty nad jeziorem, letni motyw miał wypalony głęboko w umyśle.

Peter, udając się na Księżyc albo na bezludną wyspę bądź za kratki, zabrałby ze sobą swój klarnet. Jego palce same odnajdują klapy instrumentu; ćwiczy bezwiednie nawet tutaj, pod wodą. Potrafi zagrać *crescendo*, a zaraz po nim *diminuendo*. Potrafi przebiec po rurze w górę i w dół ruchami, które zdają się mistrzowskie. Gra przypomina wyprowadzanie dowodu doskonałego. *Quod erat demonstrandum*.

Melodia, którą tego lata czuje pod palcami, to nowy oficjalny hymn jego pragnień. Wykona ją za miesiąc podczas swego wielkomięskiego debiutu, razem z dwunastoma starszymi muzykami. Jej dźwięki już teraz nieustannie go otaczają; są wszędzie, w falującej wodzie, w szczebocie dzieci rojących się na tratwie. Uwielbia tę suitę jak rodzoną matkę leżącą właśnie na brzegu jeziora w opiętym jednoczęściowym kostiumie do opalania ze spódniczką, przez którą wygląda jak hipopotamia baletnica z *Tańca godzin* Ponchiello. Zna melodię lepiej niż rodzonego ojca, pełniącego właśnie dyżur ratownika, o tam, z papierosem w jednym ręku i piwem w drugim, dyrygującego werbalną burdą wujów.

Peter nie wie, z czego bierze się moc tej suity. W każdym razie już pierwsze dźwięki, niczym promienie słońca wstającego nad górami na wschodzie, kładą podwaliny pod ciąg dalszy. Pod koniec pojawiają się znowu, nałożone na starą pieśń szejkersów, sprawiając, że melodia zaczyna przekraczać granice. Tak samo nie wie, jakim cudem ten prosty nawrót wywołuje plozę równie silną i wstrząsającą. Wie tylko tyle, że ten utwór zawiera nawet to upalne popołudnie, nawet tę orzeźwiającą bryzę. Spróbował sam je naśladować, kreśląc ołówkiem na pięciolinii własne nuty – tak powstał chłopięcy zapis odurzenia, które go ogarnia, ilekroć słyszy rozległość suity.

Będzie darzył tę melodię uczuciem aż do śmierci. Za parę lat zakpi z jej czułościowości i zachnie się na jej poruszającą sekwencję. Kiedy kocha się całym sobą, jedyną obroną jest atak. Peter zbyt późno zrozumie, że tak naprawdę pragnął zawsze tylko oddziaływać na słuchaczy podobnie jak te wariacje.

Jednakże jego liczni młodszy kuzyni są zafascynowani całkiem innym



utworem. Kolejno wdrapują się na tratwę, kręcąc chudymi biodrami, drą się: „*I’m all shook up!*” – „Jestem cały roztrzęsiony” – i dają nura do wody. Starsze dzieci inicjują zabawę, w której trzeba dopaść tego, kto trzyma dużą pomarańczową piłkę. Głowy idą pod wodę. Powietrze przecinają krzyki. Peter czepia się kurczowo drabinki porośniętej glonami, dla bezpieczeństwa nie wynurzając palców spod powierzchni. Gzy wielkości kolibrów gryzą go w kark.

Przygląda się, jak jego kuzynka z Minnesoty szaleńczo toruje sobie drogę przez ten kłęb ciał. Kto by pomyślał, że takie objawienie porusza się jak zwykli śmiertelnicy, na dwu nogach? Peter wyrył jej imię czubkiem długopisu głęboko w wyściółce swoich tramppek, tam, gdzie nikt nie zobaczy. Śnił o jej pupie i zgięciach pod kolanami. Tymczasem teraz wszędzie jej pełno w tej wodnej bitwie: zławia się, zderza, zygżakuje przez powietrze, wyłazi z powrotem na tratwę i poprawia ramięczko, zsunięte, jakby jej brzoskwiniowy cycuszek chciał się nie tylko opalać. Jej wołania o pomoc wywołują u Petera fizyczną reakcję, a wierzganie jej gołych nóg dorównuje intensywnością suicie baletowej rozbrzmiewającej mu pod czaszką. Uśmiech na dziewczęcej twarzy zdradza kolejny podstęp, zanim poprzedni zostaje wprowadzony w życie.

Na brzegu, wokół grillów, patriarchowie rodu Elsów toczą własną wojnę. Ich słowa dolatują Petera ponad wrzaskami dzieciarni. Matrony z leżaków, sponad plansz do madżonga, pokrzykują do mężów, żeby dali spokój. Zamknijcie się. A właściwie zakorkujcie. Trzy ulubione ciotki Petera – dwie prawdziwe i jedna przyszywana, trio urządzające sobie cowieczne wspominkowe śpiewy przy ognisku, w których wracają do czasów, gdy naśladowały akord sekstowy sióstr Andrews z okresu, kiedy te robiły chórki dla samego Franka Sinatry – zaczęły śpiewać na całe gardło szlagier tego ostatniego, *Accentuate the positive*. Przyłącza się do nich połowa Elsowskiego Chóru Tabernakulum. „*Don’t mess with Mister In-Between*”. Nawet nie myśl o kompromisie.

Ale kompromis ich otacza, zadziera z nimi. Panowie zaczynają rozprawiać o bieżących wydarzeniach. Ustalają, co poszło nie tak w Korei. Ojciec Petera – samorodny kierownik działu sprzedaży firmy ubezpieczeniowej ze zdobyczną nazistowską flagą wywieszoną w mieszczącym się na wpół pod powierzchnią gruntu pokoju rekreacyjnym – utrzymuje, że Amerykanie powinni byli bombami utorować sobie drogę na

obu brzegach rzeki Yalu, dzięki czemu Chińczycy poszliby po rozum do głowy. Elsowie wszelakiej maści pogardliwie wytykają go butelkami.

– Posłuchajcie go tylko! Brakuje mu piątej klepki!

Pisk gibkiej Kate przerywa wywody o polityce. Dziewczyna rzuca się z tratwy, wyskakując w powietrze z radosnym cis – pocisk wycelowany ze śmiertelną precyzją w sam środek grupki kuzynów z Pittsburgha.

Gdy Peter znów nastawia ucha w stronę brzegu, dorośli zdążyli już przekroczyć skrwawioną mapę i znaleźć się na Węgrzech. Wujowie dekretują bezsens wystąpienia przeciwko Rosjanom: daremny czyn równy samobójstwu.

– Daremny? – podchwytuje ojciec Petera podniesionym głosem. – To my ich do tego zachęcaliśmy, by potem ich porzucić na pastwę losu.

Znajduje się jednak w mniejszości; sarkają na niego nawet opalające się ciotki z chóru.

Wujowie przeskakują z Węgier na rodzinny grunt, przyciągani przez płynącą im w żyłach potrzebę walki. Spierają się o autobusy na Południu, tę czarno-białą szachownicę, na której gra się o duszę narodu. Karl Els wymierza butelkę w swego brata Hanka i celując mu w pierś, mówi, że czarni mają do Ameryki Północnej więcej praw niż biali. Wujowie machają rękoma, oganiając się od niego, lekceważąc go wraz z całą sparszywiąłą gałęzią rodziny.

– O, jak chcesz tak gadać, to jedź do Konga.

Na brzegu rozbrzmiewają brzydkie słowa, wyrazy z zakazanej listy. Matka Petera wybucha płaczem. Mąż mówi jej, żeby wreszcie dorosła. Istnieje ryzyko, że Elsfest przybierze taki sam obrót jak sprawy światowe. Peter rozgląda się po jeziorze w poszukiwaniu ratunku. Setka jego kuzynów właśnie ustala zasady siłowej piłki wodnej. Matka wciąż pociąga nosem, owinięta swoim francuskim ręcznikiem. Ojciec zaciąga się papierosem, trzymając go w skulonej dłoni. Peter zerka na swego brata Paula, który odpowiada ostrzegawczym spojrzeniem. Paul jeszcze nigdy nie cieszył się taką popularnością jak dziś i nie zamierza pozwolić, aby to szczęście za szybko się skończyło. Za tratwą ich młodsza siostra, Susan, już teraz mająca skłonność do zawrotów głowy, kręci się jak szalona na dmuchanym kółku.

Muzyka cichnie. Matka Petera przeczesuje plażę, zbiera swoje rzeczy i upycha je w torbie plażowej. Peter ześlizguje się ze swego miejsca na drabince i zaczyna płynąć do brzegu. Jednak jego uwagę odwraca czyjś głos

dobiegający z tyłu.

– Ej, fujara. Chodź tu na chwilę.

Kuzynka Kate, śliska i lśniąca jak wszystkie morskie ssaki, zdobywa go uśmiechem. Rzucone przez nią wyzwanie przypomina to, które Peter podjął setkę razy w prywatnym amfiteatrze. Nie czekając na niego, przepływa do kryjówki po drugiej stronie tratwy. Peter bezradnie podąża jej śladem. Nareszcie zaczyna się wielka przygoda jego życia – melodia rozwija się tak jak w trakcie ćwiczeń.

Podpływa do miejsca, w którym unosi się Kate, trzymając ręką krawędź tratwy.

– Te, frajer. Podobam ci się?

Peter kiwa głową, na co Kate rzuca się ku niemu w wodzie. Oplata nogami jego tułów, wciągając go pod powierzchnię. Kurczowy ciężar go przytłacza i oboje się zanurzają. W zielonkawej otchłani oplecione wokół niego ciało Kate zbliża się nieznacznie. Jej język bada jego usta, pozwalając posmakować jeziora. Udo wali w krocze. Ból ogarnia go całego, a wraz z nim – spazm przenikliwej przyjemności. Peter maca wilgotną skórę dziewczyny, zahacza o zsunięte ramię. Kate odpycha się od niego i wynurza na powierzchnię. W przepychance o powietrze dostaje stopą w twarz, woda zalewa mu nos. Ma przedsmak ciemności, które czekają na każdego po śmierci. Płyn dostaje się do jego krtani, powodując, że zaczyna tonąć.

Wypływając, wali w coś oślizgłego i zwarte. Jest pod tratwą. Pokryte glonami beczki po ropy go szturchają. W uszach mu wali od braku powietrza. Szarpie się na bok, rozpaczliwie łaknąc wyjść na powierzchnię, ale zaplątuje się w wodorosty porastające łańcuch kotwicy.

Wreszcie się uwalnia. Już jest na powierzchni, wykrztusza algi, chwytając się krawędzi tratwy, wciągając łapczywie powietrze. Nieopodal zaśmiewa się para kuzynów z Kalifornii – przez cały dzień nie widzieli nic równie śmiesznego.

Peter powoli odzyskuje ostrość widzenia. Rozgląda się za Kate. Dziewczyna jest kawał od niego, kołysze się na falach i ile sił w płucach śpiewa zachwyconej publice:

*Come smoke a Coca-Cola, drink ketchup cigarettes.*

*See Lillian Russell wrestle with a box of Oysterretes!*

Jego matka woła z brzegu:

- Petey! Nic ci się nie stało?
- Prawdę zna tylko jego fryzjer!

Peter macha ręką; nic mu się nie stało. I wypływa jeszcze trochę zielonkawej wody, która dostała mu się do płuc. Powietrze rozdzierają wrzaski uchodzące za śmiech. Przychodzi mu do głowy, że utonął i wciąż obija się o spód tratwy. Jego ojciec pojawia się na brzegu i dmucha w metalowy gwizdek ratownika.

- Zbiórka. Raz-dwa.

Susan nie słucha. Usiłuje naraz zanurzyć całe dmuchane kółko. Paul, nadal cieszący się pozycją króla na tratwie, odkrzykuje:

- Jeszcze pięć minut!
- Żadne pięć minut! Z ojcem się nie dyskutuje!

W rzeczywistości każda wymiana zdań z tym człowiekiem zakrawa na handryczenie się. Kilka nerwowych ciotek zrywa się z ręczników plażowych i zaczyna liczyć swoje dzieci. Jeszcze inna nawołuje córki z jeziora. Wezwanie dotyczy wszystkich bez wyjątku i naburmuszona grupka młodzieży musi znów ulec zachciance dorosłych. Nastolatki zaczynają się szykować do opuszczenia tratwy.

Ale nagle, jakby na niewidzialny znak – kiedy zmienia się siła wiatru albo chmura zasłania słońce – decydują, aby się postawić. Ich przywódcy wyczuwają zgubną słabość dorosłych.

– Już idziemy! – rozlegają się krzyki falsetem, na wpół kompromisu, na wpół szyderstwa. I zawracają do tratwy, a dzieli ich od brzegu fosa zbyt szeroka, aby którykolwiek z podpitych starszych mężczyzn odważył się ją sforsować.

Karl Els ponownie gwizdże – dwukrotnie – ale nikt nie zwraca na to uwagi.

– Co, może tu przypłynie i zaciągnie nas wszystkich na brzeg w pojedynkę? – prycha jeden z pittsburskich poruczników.

Zwalisty brat Kate, Doug, siedzący na skraju tratwy, wybucha pogardliwym śmiechem. Linia ciemnych włosów biegnie mu od wgłębienia mostka aż do pępka. Futro jest atrybutem władzy nad resztą.

– Niech by spróbował. – Uśmiech Douga wskazuje na to, że jego zdaniem życie to w większości zabawa.

Karl Els woła syna po imieniu. Paul obserwuje uwięzionego na lądzie mężczyznę, a Peter obserwuje brata. Mija za dużo czasu, aby życie

kiedykolwiek wróciło na dawne tory. Gdyby się teraz poddali, nawet najmniej surowa kara byłaby dla nich końcem świata.

Upokorzenie ojca wywołuje u Petera rumieniec. Jednoosobowy rząd wystrychnięty na dudka przez bandę dzieciaków na wodzie... Krótki dystans dzielący Petera od brzegu dzieli go też od uratowania ojca – pasując, pomógłby mu udawać, że porządek rzeczy się nie zmienił.

Powstrzymuje go uśmiezek Paula. Oraz spojrzenie Kate, zapowiadające bezbrzeżną pogardę w razie kapitulacji i obiecujące nagrody w razie niezłomności. Wszystko, co żyje i oddycha, domaga się jego lojalności.

Przebierając nogami, by utrzymać się na powierzchni, Peter wraca wzrokiem do ojca. Pragnie mu powiedzieć: nic się nie stało. To tylko taka letnia gra. Wzór na niebie, który rozwieje się w oczach. Ogarniają go mdłości. Z jakąż łatwością mógłby wypłynąć na środek jeziora, aż posłuszeństwa odmówiłyby mu wszystkie mięśnie. Lecz Peter potrafi tylko podskakiwać na kołyszącej się wodzie, zawieszony w stanie nieważkości pomiędzy buntowniczą tratwą a władcym brzegiem. Muzyka w jego głowie, ta melodia szejkersów, którą ćwiczył za młodu, zlewa się z hałasem. Postanawia tkwić w miejscu samotnie, przebierając patykowatymi kończynami, dopóki siły go nie opuszczą i nie pójdzie na dno.

Scena rozpada się na oderwane obrazy. Ojciec, czerwony jak burak, zatacza się, upuszcza papierosa i butelkę. Wpada do jeziora, nie płynie jednak. Wszczytna się zamieszanie, rozlegają krzyki. Chaos. Wujowie już są w wodzie, wyciągają rzucające się ciało na piasek. Ojciec pod ścianą, spopielały na twarzy, trzyma się za pierś i zbywa kwaśną miną podsuwane mądrości. Zgromadzony wokół niego tłumek ludzi niczym posągi, ze zwieszonymi głowami. Poniewczasie Peter zaczyna płynąć do brzegu tak szybko, jak potrafi. Ale przerażony nie podchodzi do bladego mężczyzny, zresztą wkrótce ojciec trafia do samochodu i jedzie do lekarza.

Muzyka przepowiada przyszłość, przywołuje przeszłość. Czasem różnica między jednym a drugim znika i wtedy dzięki jednemu zapętlonemu dźwiękowi ucho odszyfrowuje zakodowany kryptogram. Jedna wydłużona nuta, teraz i zawsze, i człowiek zyskuje wolność. Lecz parę taktów później czas znów zarzuca na niego swoje sieci.

Godzinę później wywiązał się śmiertelny w skutkach atak serca. Wiejski lekarz, sam na dyżurze, w otoczeniu półek pełnych bandaży, szpatulek i buteleczek z jodyną, mógł tylko wysłać pacjenta ambulansem do

najbliższego miasta. Karl Els zmarł w drodze, z dala od wszystkiego, nie przestając dmuchać w gwizdek ratownika i zostawiając za sobą syna przekonanego o tym, że przyczynił się do zgonu ojca.

W wieku średnim Peter Els latami będzie pisał operę opowiadającą o wzniosłej rebelii, która zakończy się fiaskiem. Utwór długo będzie w jego mniemaniu zapowiedzią końca świata. Dopiero jako siedemdziesięciolatek, grzebiąc swego psa, zrozumie, że przez cały czas było to wspomnienie dzieciństwa.

#

Crumb powiedział: „Muzykę można zdefiniować jako system proporcji służący duchowym porywom”[1]. Mój duchowy poryw okazał się zbrodniczy.

#

Els otrzepuje się z ziemi, wchodzi do środka i zastanawia się, co zagrać z okazji pogrzebu Fidelio. Ostatecznie decyduje się na Gustava Mahlera *Kindertotenlieder* – *Pieśni na śmierć dzieci* – pięć utworów trwających ogółem dwadzieścia pięć minut. Jako szczenię Fidelio zwykła była dostawać amoku przy tym cyklu. Już podczas początkowych taktów pierwszej pieśni podejmowała swoje zawodzenie, identycznie jak wtedy, gdy zabierał ją do parku jesienią podczas pełni księżyca.

Wybór zdaje się nieco przesadzony. Przecież nie umarł człowiek. Ani Sara (tego nocnego telefonu nie potrafi sobie wyobrazić, o strachu przed nim nawet nie mówiąc), ani Paul, Maddy czy były student. Ani Richard. Umarł pies, który nie miał pojęcia, co się dzieje. Tylko stary pies, który obdarzał go bezwarunkową lojalnością i radością, praktycznie bez powodu.

Razem z Fidelio nieraz uczestniczyli w wymyślonych pogrzebach – zapobiegawczych muzycznych ceremoniach ku pamięci. Nic bardziej nie pobudzało do życia niż posępna muzyka, niż przećwiczenie melodii, niż stawienie czoła śmierci własną wyobraźnią. Lecz tym razem nie było udawania. Els stracił jedyne go słuchacza, który umiał co wieczór wracać do znanych utworów i reagować tak, jakby słyszał je po raz pierwszy.

*Ein Lämplein verlosch in meinen Zelt!*

*Heil sei dem Freudenlicht der Welt!*

*Lampka nie opromienia mi już namiotu.*

*Chwała niech będzie światłu i światu.*

Nagranie – przepowiednia sprzed stulecia – tkwi na półce. Właśnie te

pięć pieśni nauczyło Elsa, czym jest muzyka. Przez następne pięćdziesiąt lat regularnie do nich wracał przy okazji każdej akustycznej rewolucji. Żadna inna melodia nie miała jednak być dla niego równie tajemnicza. Dziś wysłucha jej ponownie, starając się chłonąć rozszalałe dźwięki nie jak człowiek, lecz jak zwierzę.

Wyciąga płytę kompaktową z pudełka i dokonuje w głowie szybkich obliczeń: ośmiolatek, który usłyszał *Sceny dziecięce* Roberta Schumanna w roku powstania tego utworu, jako siedemdziesięciopięciolatek mógł być na premierze *Pieśni na śmierć dzieci* Mahlera. Od wiosny romantyzmu do zimy modernizmu w ciągu jednej generacji. Na tym polegało przekleństwo znajomości muzyki: kiedy człowiek sam zaczynał stawiać nuty, tracił połowę przyjemności. Notacja była przyczyną gorączki zmuszającej do odkrycia wszystkich sztuczek harmonii. Dziesięć wieków odsłoniło wszystkie możliwe nowinki, z których każda obowiązywała krócej niż poprzednia. Ten ciągle przyspieszający wehikuł był skazany na zderzenie ze ścianą w pewnym momencie, a Els miał to szczęście, że przyszło mu żyć w czasach nieuchronnej katastrofy.

Gdy Peter zapoznał się z pieśniami Mahlera, od dawna nie był już dzieckiem. Jego dzieciństwo skończyło się z chwilą śmierci ojca i buntu na tratwie. Przez dłuższy czas jedynym ukojeniem dla chłopięcego poczucia winy były dźwięki ulubionych nagrań Karla Elsa, do których zaliczały się: *Symfonia Jowiszowa* Mozarta, *Eroica* Beethovena, *Niedokończona* Schuberta. Raz czy dwa muzyce udało się ponownie uchylić przed nim drzwi do doskonalszego świata, współistniejącego z rzeczywistym. Potem jednak matka pozbyła się wszystkich płyt po ojcu, wszystkich jego ubrań, wszystkich drobiazgów, które dawały pamięci przewagę nad chwilą obecną. Nie pytając o zgodę dzieci, przekazała nagrania organizacji charytatywnej.

Carrie Els ułożyła sobie życie od nowa o wiele za prędko, poślubiając aktuariusza będącego kolegą z pracy jej zmarłego męża. Wkrótce w domu Elsów zapanował Ronnie Halverson, postawny przyjazny mężczyzna o ciętym języku i czysto handlowym nastawieniu do życia, który był miłośnikiem big-bandów i puszczał ich nagrania w sobotnie ranki przy smażeniu placków ziemniaczanych i omletów dla całej rodziny, nie mogąc zrozumieć, czemu jego utalentowany pasierb nie chce dostrzec w cikliwej swingującej wolności Woody'ego Hermana czy Artiego Shawa, jak w istocie powinno się grać na klawirze. Peter nie sprzeczał się z intruzem, odrabiał

zadania domowe, rozwoził gazety, odbywał próby, grywał w lokalnej orkiestrze młodzieżowej, uśmiechał się do dorosłych, ilekroć obdarzyli go uśmiechem, i pałając żądzą zemsty, wściekle komponował utwory na wszystkie instrumenty dla przepełnionej gniewem orkiestry. Partyturę chował pomiędzy materac a ramę łóżka.

W wieku piętnastu lat polubił chemię. Język wzorów, atomów i orbitali był dla niego równie jasny jak język muzyki i właściwie nic poza tym. Rozwiązywanie równań chemicznych przypominało mu odkrywanie tajemnicy chińskich magicznych szkatulek. Regularność układu okresowego pierwiastków miała coś wspólnego ze świetnością *Symfonii Jowiszowej*. A co więcej, z chemii dało się wyżyć.

Następnie, na jednej z pierwszych godzin wychowawczych w ostatniej klasie liceum, Els wypatrył z drugiego krańca nabitej sali Clare Reston i ujrzał w niej osobę pochodzącą z jeszcze odleglejszej planety niż on sam. Przed rokiem przyglądał się jej, usychając z tęsknoty, z przeciwnego końca szkolnej orkiestry: wystrojona w muślinową spódniczkę i obcisły sweterek, których dyrekcja powinna była już dawno zakazać, przeciągała smyczkiem po strunach wiolonczeli z niedostępnym uśmiechem. Filigranowa niczym podpórka na książki, z ponadmetrowymi włosami spływającymi jej aż za kolana, sprawiała wrażenie kobiety elfa prosto z kart powieści Tolkiena. I potrafiła zagrać najnudniejszą aranżację hymnu stanowego tak, jakby to była pierwsza melodia spływająca z liry Apollina.

Teraz gapił się na Clare w niemym podziwieniu. Jakby za sprawą jego woli, dziewczyna podniosła wzrok, skrzyżowała z nim spojrzenie i domyślnie przechyliła kształtną głowę. Jej oczy mówiły: wystarczająco długo ci to zabrało. Naraz ranek jego życia przedzierzgnął się w gwałtowne południe.

Dwa dni później Clara podeszła do niego na korytarzu i nastąpiła czubkiem palców na jego prawą stopę.

– Cześć – powiedziała. – Co myślisz o *Triu na klarnet, wiolonczelę i fortepian* Zemlinsky’ego?

W życiu nie słyszał o Zemlinskim. Posłała mu uśmiech sugerujący bardzo długą listę rzeczy, o których nie słyszał.

Tydzień później skombinowała nuty i zorganizowała sesję *a prima vista*. Dwie godziny mozolili się z *Andante*. Tylko we dwoje: w całej szkole nie znalazłby się pianista zdolny poradzić sobie z tym kawałkiem. Utwór zaczynał się od rozbudowanego solo fortepianu, którego wbrew



przewidywaniom Petera nie pominęli. Clara nalegała, aby odliczali takty tego wspólnego *tacet*. Słyszała nieistniejące klawisze jak żywe, a on niebawem też je usłyszał.

Przećwiczyli w ten sposób dziesiątki utworów: tria, kwartety, kwintety – ich dwie linie melodyczne przebijały się ponad milczenie brakujących instrumentów. Gdy już dany utwór zagrali, przechodzili do wysłuchania wersji nagranej przez zawodowców.

Słuchając u boku Clary, zaczął wychwytywać niemy przekaz, który – jak wiecznie przeczuwał – czał się tuż pod powierzchnią dźwięków. Przyglądając się jej w trakcie słuchania, zrozumiał, że dziewczyna jest wyposażona w klucz, którego jemu brakuje.

– Wiesz – powiedziała mu – czasami, słuchając, czuję się tak, jakbym była wszędzie.

Po niedługim czasie urządzali sobie takie sesje słuchania dwa albo nawet trzy razy w tygodniu. Bardzo szybko stało się to inną formą grania.

W listopadzie, uznawszy, że jest już gotów, Clara pokazała mu *Pieśni na śmierć dzieci*. Els znał nazwisko Mahlera, ale unikał jego muzyki. Podpisywał się pod obowiązującą opinią na jej temat: zbyt rozwlekła, zbyt banalna, zbyt nerwowa, zbyt zamotana w marsze i lendlery, i karczemne przyspiewki. Nie miał pojęcia, jakim cudem nastoletnia Clara zapalała uczuciem do tego wciąż mało popularnego kompozytora, ale ledwie opuściła igłę na pierwszą z tych pięciu przeklętych pieśni, zaczęły go nurtować także inne pytania.

Znajdowali się w pokoju Clary, zostawiwszy drzwi lekko uchylone przez wzgląd na przyzwoitość. Jej rodzice w tym czasie szykowali obiad piętro niżej. Był 1959 rok: czarne niebo nad nimi już przecięły sztuczne satelity Ziemi. Płyta gramofonowa jęła się obracać, pieśń rozpoczęła swą polichromatyczną wędrówkę, a Peter Els zmienił swoje zapatrywania na muzykę.

W trakcie odtwarzania Clara zawisała tuż nad nim. Jej włosy – których nożyczki nie tknęły od ponad dziesięciu lat z powodu bólu odczuwanego ponoć przez właścicielkę – otaczały go niczym namiot w głuszy. Z zaczerwienioną, zmieszaną i lekko nachmurzoną twarzą dziewczyna rozpięła guziki bluzki uszytej z kory i wsunęła jego rękę do środka. Siedzieli nieruchomo, z tłukącymi się sercami, zaplątani w siebie wzajemnie, i przysłuchiwali się zgaszonym czerwieniom i rudościom umierających

dzieci.

Następująca opowieść wryła się w pamięć Petera lepiej aniżeli szczegóły własnego dzieciństwa. O tym, jak w początkach nowego stulecia Mahler tułacz, trzykrotnie bezdomny – Czech w Austrii, Austriak pośród Niemców, Żyd na całym świecie – dostał krwotoku wywołanego przepracowaniem. Życie uratowała mu przeprowadzona w porę operacja. W trakcie rekonwalescencji skupił się na prawie pół tysiącu wierszy Friedricha Rückerta dedykowanych dwójce dzieci poety, które zmarły na szkarlatynę w odstępie dwóch tygodni.

Wiersze ulewały się z Rückerta w liczbie dwóch czy trzech dziennie – dając w sumie tysiące surowych, maniakałnych strof. Niektóre poronione. Niektóre przepełnione niezdrowym spokojem. Niektóre popadające w banał, inne szepczące do siebie w dusznej krypcie. Rückert zachował je w prywatnym archiwum. Żadna nie ujrzała światła dziennego za jego życia.

Mahler, ledwie uszedłszy śmierci, czytał te wiersze niczym odnaleziony pamiętnik. Kilkoro z jego jedenaściorga rodzeństwa zmarło przed drugim rokiem życia. Jego ukochany młodszy brat zmarł na progu okresu dojrzewania. A teraz Mahler trzymał w ręku przewodnik do tych wszystkich zgonów. Czterdziestojednoletni kawaler pochłaniał setki liryków, jakby był rodzicem oszalałym z żalości.

Pojawiły się pieśni, wprawka czasu rekonwalescencji. Potem przyszło nagle małżeństwo Mahlera z młodziutką Almą Schindler. Jedno po drugim urodziły im się zdrowe dzieci. Gdy latem 1904 roku Mahler podjął pracę nad niedokończonymi pieśniami, jego żona wpadła w panikę. Nie rozumiała, jak Gustav może przekuwać w muzykę śmierć dzieci, skoro moment wcześniej całuje córeczki na dobranoc.

– Na miłość boską, nie kuś losu! – prosiła.

Jednakże kuszenie losu to nieodłączna część muzyki.

Els idzie do kuchni, nalewa sobie whisky do szklaneczki z rżniętego szkła i wraca do pokoju. Siada w skórzanym fotelu i odsuwa stopami podnózek, robiąc miejsce dla psa. Garbi się, przymyka oczy i wtedy dolatuje go szept Clary:

– Te pieśni to podzwonne dla tonalności.

Skąd u osiemnastoletniej niedouczonej dziewicy taka pompatyczność? Peter – utalentowany prostak z poważnymi brakami w wiedzy – przyjął jej słowa na wiarę. Uwielbiał ją za jej radosne, odczące aspiracje. Poza tym

nigdy wcześniej nie dotykał dziewczęcych piersi.

Kliknięcie pilota i rozlega się muzyka. W otwierających akordach Els po raz ostatni słyszy zapowiedź śmierci. Śmierci dziecka, które usiłował wskrzesić przez całe swoje życie.

#

Najpierw tylko tchnienie szronu obejmującego tafłę szyby. Obój i waltornia kreślą granice swej odrębności. Wiotkie ścięgną prężą się, drażliwy duet składający się wyłącznie z kwart i kwint.

#

Do akcji wkracza śpiewaczka, nieśmiała, poprzedzona dźwiękiem fagotu. Instruuje mężczyznę wykończonego po nieprzespanej nocy, ojca niemającego już nic do chronienia.

*Nun will die Sonn' so hell aufgeh'n...*

*A teraz słońce wszędzie, świecąc tak jasno...[2]*

Choć słońce wschodzi, melodia opada. Instrumentacja, nostalgiczna harmonia: wszystko zakorzenione w znajomym wieku XIX, lecz podszyte nadciągającym gorączkowym snem. Fagot i waltornia kołyszą pustą kołyską. Nieliczne, wyciszone altówki i wiolonczele w górnych rejestrach przytłumiają jęczącą harfę. Linia melodyczna waha się pomiędzy dur a moll; pomiędzy radością a smutkiem; pomiędzy ukojeniem a żalem. Zupełnie jak w niewyraźnej rycinie, na której stara wiedźma walczy o lepsze z młodą pięknnością. Śpiewaczka ciągnie:

*Als sei kein Unglück die Nacht gescheh'n!*

*Jak gdyby w nocy nie wydarzyło się żadne nieszczęście![3]*

W poszerzającej się gamie narasta atmosfera nerwowości; do orkiestry dołączają klarnet i klarnet basowy. W końcu ostatnia kreska, maźnięcie, za które Peter Els oddałby duszę. Melodia rozpada się na dwa uderzenia dzwonków utrzymane w dynamice *pianissimo*. Po nich kolejne dwa. Dziecięca zabawka, dzwon pogrzebowy, nocne światło – wszystko zawarte w czterech cichych brzęczących, wysokich dźwiękach d.

Powracają splecione linie oboju i waltorni, teraz podkolorowane krótkimi wariacjami. Powraca śpiewaczka, aby się upierać, że śmierć to zaledwie lekkie zachmurzenie podczas długiego słonecznego dnia. Jednak zanadto lamentuje. Kiedy dochodzi do powtórzenia zdławionego duetu otwierającego, teraz przyćmionego przez bezlitosne dzwonki, melodia zbacza na manowce.

Linie melodyczne wzajemnie się tropią, persewerując, tymi samymi interwałami na podobieństwo samotnej postaci kołyszącej się w kącie i mamlającej rękaw.

Znów rozlegają się słowa, lecz melodia odpływa gdzieś w próżnię. Teraz głos śpiewaczki wznosi się tam, gdzie przedtem opadał, ścierając się z lustrzanym kontrapunktem realizowanym przez obój.

*Du mußt nicht die Nacht in dir verschränken,*

*Mußt sie ins ew'ge Licht versenken!*

*Nie wolno ci spowijać się mrokiem nocy.*

*Musisz pozwolić się skąpać wiecznemu blaskowi!*

I śpiewaczka jakby rzeczywiście tonęła w światłości. Ale podczas gdy słowa dążą ku łasce, muzyka tonie w jej przeciwieństwie. Mimo to całości udaje się wyrazić nadzieję, że śmierć być może jest jasnością, czymś znacznie mniej strasznym, niż na ogół się przypuszcza.

W czwartym nawrocie instrumentalnego interludium pieśń wariuje i zaczyna się dwudziesty wiek. Orkiestra gra w szalonej ekstazie, mknąc przez wielobarwne wzniesienia i upadki, przeformułowując cały motyw, teraz już rozpoznawalny tylko dzięki głębokiej, monotonnej nucie pedałowej waltorni.

Furia ustaje. Flet i obój usiłują znów podjąć początkową linię melodyczną, ale tłamszą je dźwięczące dzwonki. Niepewny głosik mówi:

*Ein Lämplein verlosch in meinen Zelt!*

*Lampka nie opromienia mi już namiotu.*

Akordy wyznaczają ścieżkę, którą muszą podążyć ich następcy: w górę, ku światłu, poprzez ustępujące smyczki i głuchą harfę. Jednak pieśń zacina się i potyka. Głos niknie całkiem i już tylko spiętrzona orkiestra niesie dalej melodię. Śpiewaczka odzywa się o dwa takty za późno:

*Heil sei dem Freudenlicht der Welt!*

*Chwała niech będzie światłu i światu.*

Wita radosne światło dnia. Orkiestra idzie w jej ślady, wiodąc ku odkupieniu. W ostatniej chwili jednak melodia opada ponownie do tonacji molowej. Ostatnie słowo należy do dzwonek, które powtarzają kończący frazę dźwięk śpiewaczki o trzy oktawy wyżej, rzucając rozbłyski z miejsca niedostępnego zarówno żałobie, jak i pocieszeniu.

Dla osiemnastolatka wysłuchanie tych pieśni z rękoma na biuście Clary równało się porzuceniu kredek świecowych na rzecz pełnego zestawu kredek

ołówkowych we wszystkich barwach tęczy. Siedemdziesięcioletek w pustym domu, z nietkniętą szklaneczką whisky, w ciszy nadal słyszy bakcyła wolności, który nigdy go nie opuścił.

Dlaczego bezbrzeżny żal dodaje sił?

*Der Tag ist schön! O sei nicht bang!*

*Dzień jest taki piękny. O, nie lękaj się!*<sup>[4]</sup>

Naczytał się sporo teorii tłumaczących to, czemu smutna muzyka podnosi słuchacza na duchu. Była teoria przeciwnia, teoria sanktuarium, teoria habituacji, teoria walki z cieniem... Sam Mahler współczuł światu, któremu przyjdzie kiedyś wysłuchać jego pieśni. A jednak cykl ten osłodził Elsowi życie ponad wszelkie wyobrażenie.

*Der Tag ist schön! O sei nicht bang!*

*Sie machen nur einen weiten Gang!*

*Dzień jest taki piękny. O, nie lękaj się!*

*One wyszły po prostu na bardzo długi spacer!*<sup>[5]</sup>

Els porusza szklaneczką z whisky i wysłuchuje czterech pozostałych pieśni. Jego ulubione pasaży rozbrzmiewają i milkną. Druga pieśń zmienia co rusz tonację i metrum, przeskakuje między klarownością a mętnością. Trzecia, z sonatą triową *à la* Bach, naśladuje niepewne kroki matki.

*Wenn dein Mütterlein tritt zur Tür herein,*

*Mit der Kerze Schimmer, ist es mir, als immer*

*Kämst du mit herein, huschtest hinterdrein,*

*Als wie sonst inst Zimmer!*

*Kiedy twoja mamusia wchodzi przez drzwi*

*I odwracam głowę, aby na nią spojrzeć,*

*Mój wzrok nie od razu pada na jej twarz,*

*Ale na miejsce nieco bliższe od progu,*

*Tam, gdzie powinna znajdować się twoja droga twarzyczka*<sup>[6]</sup>.

No i końcówka tej pieśni, jej przewrotna kadencja z dominantą: choć jest znana Peterowi na pamięć, i tak zawsze wywołuje u niego dreszcz. Ktoś wpadł na te akordy. Ktoś wiedział, jak brzmi fałszywe ozdrowienie.

Czwarta pieśń, w promiennej tonacji Es-dur, zawsze zdawała mu się pierwszym błyskiem prawdziwego światła w całym cyklu. Tego dnia jednak zakrawa na zabarwiony nutą klezmera skoczny taniec ludowy.

*Oft denk' ich, sie sind nur ausgegangen,*

*Bald werden sie wieder nach Hause gelangen.*

*Der Tag ist schön!*

*Często myślę, że one wyszły tylko na zewnątrz.*

*Wkrótce z pewnością powrócą do domu!*

*Dzień jest taki piękny!*<sup>[7]</sup>

Końcowe akordy wznoszą się ku opromienionym wyżynom, muzyka niemalże wymyka się na opisywane przez słowa odległe, skąpane słońcem wzgórze, wraz z dwojgiem małych dzieci, które ani myślą obrócić się i pomachać.

I wreszcie burza. Czy to, że burza podoba mu się najbardziej, znaczy, że jest skłonny do depresji? Dreszcz wywołują błyskawica, karetki, kruszące się bezpieczeństwo. Orkiestra symfoniczna – szarpane struny, torturowane instrumenty dęte – oddaje pełnię nawałnicy. W interludiach dzielących strofy żywioł wymyka się spod kontroli: najpierw nic, potem cztery takty, w końcu osiem. Głos nakręca się – *in diesem Wetter*, w taką pogodę – unosząc wraz z każdym kolejnym wejściem, począwszy od monotonnego d przez e aż do g.

*In diesem Wetter, in diesem Braus*

*Nie hätt' ich gesendet die Kinder hinaus!*

*W taką pogodę, w taki huk,*

*Nigdy nie wysłałbym dzieci na dwór!*<sup>[8]</sup>

Przepełniony poczuciem winy ocaleniec ani trochę sobie nie folguje. Za sprawą muzyki nawałnica ogarnia umysł śpiewaczki, zupełnie jak w operze Benjamin Brittena *Peter Grimes*, który to utwór Clara pokazała Elsowi tego samego roku niezwykłych odkryć. Jednakże to nie burza zabiera dzieci; długo po niej zabiera je późniejszy szkwał.

*Nie hätt' ich gelassen die Kinder hinaus;*

*Ich sorgte, sie stürben morgen,*

*Das ist nun nicht zu besorgen.*

*Nigdy nie pozwoliłbym dzieciom wyjść z domu,*

*Obawiałbym się, że zachorują:*

*Lecz to są tylko próżne myśli...*<sup>[9]</sup>

Choć słucha tego od ponad półwiecza, Peter Els nadal nie wie, jak się to robi. W jaki sposób odcisnąć nutami to precyzyjne piętno zwątpienia i nadziei. Ulgi rezygnacji. Żałoby zbyt wielkiej, aby mogła ją ukoić obietnica życia po śmierci. Jak napisać utwór, który przepowiada kres własnej tradycji. Tym razem jednak, bliski kresu życia, Els słyszy w pieśni nie ukrytą przepowiednię, lecz tylko wspomnienie niegdysiejszego jej odkrycia, za

czasów kresu młodości. I wspomnienie gładzącej go Clary, igrającej z rozbuchaną osiemnastoletnią burzą.

Kiedy nagranie się skończyło, Clara wszystko mu ładnie wyłożyła. Jak to dwa lata po premierze rodzona córka Mahlera, kilkuletnia Maria, też umarła na szkarlatynę. Jak to załamana żona Mahlera związała się z innym mężczyzną. Jak to Mahler sam zmarł niedługo później na chorobę serca, mając niecałe pięćdziesiąt jeden lat. Trzy lata potem zaś: wybuch wojny, kres całego pokolenia, upadek absurdalnego imperium, którego koniec wieszczyła jego muzyka...

Wkrótce Peter poznał ciąg dalszy wypadków. Przyrodnia siostra nieżyjącej Marii, córeczka Almy i mężczyzny, z którym żona zdradziła Mahlera, o imieniu Manon, zmarła prawie ćwierć wieku później na polio. Alban Berg przywrócił Manon do życia w swym *Koncertie skrzypcowym*, atonalnym miazmacie znajdującym swoje zwieńczenie w przejmującym chorale na miarę Bacha. Oto jak muzyka zacierała granice pomiędzy wieszczbą a pamięcią.

Els poddaje się narastającej nawałnicy, poddaje się szaleństwu, które już kiedyś go ogarnęło.

*Man hat sie getragen hinaus,  
Ich durfte nichts dazu sagen!  
Zostały wywleczone na zewnątrz siłą,  
A ja nie mogłem się temu sprzeciwić!*<sup>[10]</sup>

Obłąkańcza zawierucha ustaje nagle. Klarnet, kontrabas i harfa grają coraz ciszej, aż w końcu milkną zupełnie. W tym momencie Clara przerwała w pół pieśnicy i schwyciła go. Miejsce na przedramieniu starca pokrywa się gęsią skórą tam, gdzie trzyma je dziewczyna widmo.

I wtedy rozlega się brzmienie przeklętych dzwonków milczących przez trzy pieśni, tak że ucho zdążyło dawno zapomnieć jego zapowiedź z pierwszego utworu. Dziecięca zabawka, dzwon pogrzebowy, nocne światło. Sygnaturka odzywająca się z mroku; wstrząs, lecz nie zaskoczenie. Dźwięk, przy którym nadzieja brzmi prymitywnie.

– Słyszysz? – zapytała go Clara głosem tak spokojnym jak teraz głos śpiewaczki. – Pozytywka. Taka z pokoju dziecięcego.

Melodia staje się mdląco ckliwa. Nawałnica ustępuje w mgnieniu oka, niebo przejaśnia się, gdziekolwiek spojrzeć.

*Sie ruh'n als wie in der Mutter Haus.*

*Zaznały spokoju w domu Matki.*

Jednak niesamowita melodia z pozytywki utrzymuje: „To tylko sen”.

Od tamtej pory Els latami czytał na temat *Pieśni na śmierć dzieci* wszystko, co mu wpadło w ręce. Przedzierał się nawet przez artykuły w języku niemieckim. Każda analiza głosiła, że ostatnia pieśń kończy się pociechą wynikającą z istnienia drugiego świata. Peter Els ponad wszelką wątpliwość wiedział, że to nieprawda. W tych ostatnich taktach chodziło o coś więcej, a żeby to usłyszeć, należało tylko słuchać, nic więcej. Bardzo długo szukał kogoś, kto by dla niego potwierdził znaczenie tej końcowej intonacji, pozytywkowej kołysanki. Czas mijał, artykuły piętrzyły się coraz wyżej, aż wreszcie Els zrozumiał: muzyka niesie wyłącznie to, co człowiek jest w stanie znieść.

– Posłuchaj – powiedziała Clara. – Od tych śmierci wszystko się zaczyna.

#

Mahler do Brunona Waltera: „Jakże mroczny jest fundament, na którym wspiera się nasza egzystencja!”.

#

Wyłączył odtwarzanie i zadzwonił do córki. Głupi przesąd. Ale środek zapobiegawczy dość prosty, bez minusów. Na Zachodnim Wybrzeżu było trzy godziny wcześniej. Mimo to wciąż pracowała, przygotowując się do nadchodzącego ranka. Rozmawiali wprawdzie trzy dni temu, lecz trzy dni to sporo czasu.

Sara była wiceprezesem drugiej co do wielkości firmy z siedzibą na północnym zachodzie USA zajmującej się pozyskiwaniem danych. To jej pracownicy odkryli, jak sprawić, by reklamy ścigały potencjalny target w sieci i czytały ludzkie umysły. W wolnym czasie Sara brała udział w zawodach triathlonu na dystansie olimpijskim. Z okazji czterdziestych urodzin przetrwała zawody na dystansie długim na Hawajach. Zasiadała w radach nadzorczych dwóch muzeów. W trakcie wakacji pomagała na ochotnika organizacjom pozarządowym, które dostarczały przestarzałe superkomputery do Czarnej Afryki. Nie była mężatką; właściwie nie była nawet samotna. Nie bali się jej wyłącznie socjopaci.

Els połączył się z pocztą głosową córki. Wieki temu, w latach siedemdziesiątych, kiedy Sara była mała, a on formalnie nadal był jej ojcem, rozłączył się przerażony, gdy zamiast kolegi, do którego dzwonił, zgłosiła się automatyczna sekretarka. Potem przez dłuższy czas miał w zwyczaju ryczeć



do słuchawki, nagrywając wiadomość – powtarzał się, literował swoje nazwisko, zaczynał głupawo improwizować bądź z nerwów popadał w milczenie. Ostatnio dziwił się, ilekroć trafił na żywego człowieka.

– Tu ojciec – powiedział. – Oddzwon do mnie.

Nie zdążył nawet dojść do kuchni, zanim rozległ się dzwonek telefonu.

– Co się stało? – zapytała Sara.

– Fidelio nie żyje – odparł.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Przez dziesiątki lat pracy dydaktycznej Els uczył swoich studentów, że pauza to jeden z najpotężniejszych środków w gestii kompozytora. Pusta przestrzeń, ten nieznaczny, dwuznaczny przeskok przed *Heil* („Chwała”). Nuty były wobec pauz bezradne.

– Jak umarła?

– Chyba na serce. Nie zleciłem sekcji zwłok.

– Tak mi przykro. Byliście dla siebie stworzeni.

Kolejna przeciągająca się fermata, jedyny dźwięk, na jaki potrafił się zdobyć. W końcu Sara przerwała milczenie.

– U ciebie wszystko dobrze?

– Sar? – zdołał z siebie wydusić. – Tak się zastanawiam... Zwolniło się miejsce w Shade Arbors.

– Myślisz o nauce golfa na starość?

– Mam na myśli strzeżony kompleks, kawałek na południe od uczelni.

– Strzeżony kompleks?

– Apartamentowiec. No wiesz. Mają tam bar i restaurację. Jest nawet siłownia.

– Chcesz się przeprowadzić do domu starców?

– To nie jest dom starców, tylko wspólnota mieszkalna emerytów. Pielęgniarki doglądają wyłącznie potrzebujących.

– Zwariowałaś?

– Sama mówiłaś, że nie podoba ci się brak opieki, w razie gdyby coś mi się tutaj stało.

– Chodziło mi o to, że mógłbyś wynająć jeden pokój albo nająć sobie przyjaciółkę. Nie zamierzałam cię umieścić w przytułku z personelem medycznym.

– W domu jest mnóstwo schodów. Chyba nie chcesz, żebym spadł i złamał sobie biodro?

– Dałbyś spokój. Ludzie nie łamią sobie bioder, spadając ze schodów. To wymysł kampanii telewizyjnej z lat dziewięćdziesiątych, mającej napędzić wszystkim stracha. Masz zaledwie siedemdziesiąt lat. Dzisiejszy siedemdziesięciolatek to tak jak kiedyś czterdziestopięciolatek.

– Pamiętasz, jak nie mogłaś zasnąć, dopóki nie wysłuchałaś kazania świętego Antoniego do ryb?

– Nie zmieniaj tematu. Niepotrzebna ci przeprowadzka. Jesteś młody. Zdrowy. Sprawię ci nowego psa, co ty na to?

– Jak się miewa twoja matka? – zmienił znowu temat.

– Założyła sobie profil na Facebooku, tato. Możesz ją tam śledzić.

– Czego się teraz słucha? – Zawsze polegał na Sarze, gdy idzie o nowe trendy w prawdziwej muzyce.

– Czego się słucha? – Zaśmiała się. – Ja osobiście najczęściej słucham wiadomości. Kiedy mam czas. Obiecuj mi, że zatrzymasz dom.

Obiecał.

– Naprawdę bardzo mi przykro z powodu Fidelio. To był dobry pies.

Korci go, by odpowiedzieć: ona wyszła po prostu na bardzo długi spacer.

– Znajdę ci drugiego. Zacznę szukać jeszcze dziś. Podobają ci się border collie?

Zanim się pożegnali, usłyszał, jak uderza w klawisze, rozpoczynając poszukiwania.

#

Chciałem wierzyć, że muzyka to sposób na wyrwanie się z polityki. Ale przekonałem się, że muzyka, jak wszystko inne, wplątuje w politykę.

#

Termocykler, zakupiony za kilkaset dolarów przez internet, dawał niezłe efekty w wyniku polimerazowej reakcji łańcuchowej. Els nie ogarniał tego, co się działo w cieniutkiej próbówce. Denaturacja podwójnej nici DNA, synteza nici komplementarnej do matrycy, powielanie, wreszcie końcowe wydłużanie. Na samą myśl ogarniało go zgoła religijne uniesienie.

W sprawie surowca Els polegał na dwóch sklepach internetowych, których ofertę jeszcze dwa lata temu uznałby za obłąkańczą. Jedna z witryn nosiła nazwę PANGEN, jakby była częścią ogólnoswiatowej sieci autoryzowanych przedstawicielstw, chociaż Elsowi kojarzyła się bardziej z dealerem używanych samochodów. Dzięki obu sklepom zaopatrywał się

w skrojone na jego potrzeby materiały, nie nadwerężając swoich zasobów finansowych. Biologiczne zrób-to-sam albo najnowsze kwitające chałupnictwo. Jeśli miało się komputer, kartę kredytową i nieco cierpliwości, można było sobie sprokurować żywą istotę.

Życie na najniższym poziomie, jego bezsensowna obfitość, istna rozrzutność jego chemicznej sygnalizacji: Peter Els nie mógłby przed śmiercią podziwiać wspanialszej sztuki. Podczas pracy tłukł mu się w głowie fragment listu Mahlera do wiarołomnej Almy: „Samotność sprowadza nas na powrót do samych siebie, a od nas do Boga jest już zaledwie mały krok...”.

Położył się spać późno i obudził niemal natychmiast po zaśnięciu. Na szczęście nie potrzebował już wiele snu. Gdy nazajutrz wstało słońce, odniósł wrażenie, że nocą nic się nie wydarzyło.

#

W młodości chciałem stworzyć tysiące nieposkromionych utworów. Wszystkie dały się poskromić. Oprócz tego. Obecnie towarzyszy wam miliardami.

#

Dwaj mężczyźni w granatowych garniturach – jeden trzymał teczkę ze sztucznej skóry – pojawili się przy drzwiach wejściowych trochę po jedenastej nazajutrz po nocnym pogrzebie. Wyglądali, jakby podszywali się pod świadków Jehowy. Wybory miały się odbyć dopiero za parę miesięcy, zresztą ci dwaj byli zbyt wymuskańskimi jak na współpracowników kampanii wyborczej.

Ktoś rozpowiada kłamstwa na temat Petera Elsa. Taka myśl wpadła Elsowi do głowy, wywołując na jego twarzy uśmiech. Wciąż się szczyrzył, kiedy otwierał drzwi wystrojonemu tandemowi.

Mężczyźni wręczyli mu wizytówki: nosili nazwiska Coldberg i Mendoza i należeli do Połączonych Sił do Zadań Zapewnienia Bezpieczeństwa. Coldberg pocierał paznokcie prawej dłoni kciukiem. Mendoza miał w kąciку ust resztki żółtka ze śniadania.

Mendoza powiedział:

– Otrzymaliśmy raport policyjny dotyczący kultur bakteryjnych na terenie tego budynku.

– Aha. – Els spodziewał się pytań.

Coldberg dotknął ucha, myszkuje za miniaturową słuchawką, którą mu świśnie, gdy nie patrzył.

– Nie zaprzecza pan? – upewnił się Mendoza.

– Nie – odparł Els. – Nie zaprzeczam.

W domu było pełno bakterii.

– Możemy wejść? – odezwał się Coldberg.

Els przechylił lekko głowę.

– Tylko się bawię w laboratorium. Nie kradnę niczyich patentów.

Agent ponowił pytanie. Els odsunął się na bok i patrzył, jak dwie pary butów wizytowych przekraczają jego próg.

Na widok pracowni Mendoza stanął jak wryty.

– Na co ten cały sprzęt?

Tym razem zdumiał się gospodarz.

– To pan nie wie?

– Nie jesteśmy naukowcami, panie Els. Za to pan najwyraźniej jest ekspertem.

Pokazał im termocykler. Chciał wyjaśnić, jak działa – opowiedzieć o splataniu i rozplatanu – jednak agenci nie byli ciekawi.

– Czy to centryfuga?

– Zrobiłem ją z sokowirówki. A garnek do ryżu przerobiłem na destylator.

– A tamto, to z kablami?

– Służy do elektroforezy żelowej. To znaczy... mówi, jak duże są cząsteczki.

– Cząsteczki?

– Fragmenty DNA. Czy coś w tym stylu.

– Pracuje pan z DNA?

Pytanie było tak naiwne, że Els się roześmiał.

– W dzisiejszych czasach od DNA nie da się uciec.

– Co jest za tymi drzwiami?

Zanim zdążył zaprotestować, obydwaj wleźli do sterylnej pomieszczenia i skazili jego domową komorę laminarną.

Coldberg machnął grubym czarnym piórem, obejmując przestrzeń wokół siebie.

– Powie nam pan, skąd to wszystko ma? – W jego głosie dało się wyczuć nutę podziwu.

Els powiedział. W dzisiejszych czasach można było nabyć wszystko – dosłownie wszystko – jeśli tylko miało się dostęp do chętnego

pierwszorzędnego sprzedawcy.

– Ile to pana kosztowało?

– Mniej, niż pan myśli. Na aukcjach można kupić prawie wszystko za bezcen. Namnożyło się tych firemek biotechnologicznych, a nie wszystkim im się powiodło. Uniwersytet stanowy pozbywał się mikroskopów w idealnym stanie, tylko dlatego że miały już parę lat. Na eBayu wyrwałem inkubator do hodowli kultur bakteryjnych, wart trzy tysiące dolarów, za dwieście dziewięćdziesiąt. Choć może trudno w to uwierzyć, najbardziej trzepnęła mnie po kieszeni zamrażarka laboratoryjna. Na wszystko wydałem niecałe pięć tysięcy dolarów.

– Pięć tysięcy?

Els wzruszył ramionami.

– Tyle, co kosztuje rejs po Morzu Śródziemnym. Albo telewizor z dużym ekranem, przynajmniej pięć lat temu. Oczywiście trzeba do tego dodać koszt odczynników, zależny od dostawcy.

Te odczynniki nie spodobały się Mendozie. Els pożalował, że o nich wspomniał, lecz przecież nie złamał prawa. No, w każdym razie jakiegoś ważnego.

– Z jakimi odczynnikami pan pracuje? – dopytywał agent.

Els wymienił kilka przykładowych. Coldberg wyciągnął z teczki notes i zwrócił się do czubka swego pióra:

– Jakie bakterie pan hoduje?

– Ostatnio? *Serratia marcescens*. To urzęsiona pałeczka, beztlenowiec.

Coldberg poprosił, żeby mu przeliterować nazwę. Mendoza przejechał palcem po leżącej na stole płytce mikrotitracyjnej z dwudziestoma czterema dołkami.

– Czy ta pałeczka jest chorobotwórcza? – zainteresował się agent.

Els zamarł, po czym wziął się w garść.

– Z całym szacunkiem, ale roi się od niej w pańskiej łazience.

Fuga podłogi prysznicowej. Rdzawy zaciek w sedesie...

– Najwyraźniej nie zna pan mojej żony – stwierdził Mendoza.

Coldberg zgromił spojrzeniem najpierw swego partnera, potem Elsa.

– A jak ze szkodliwością dla człowieka?

Człowiekowi wszystko szkodzi.

– Powoduje infekcje, to prawda. Dróg moczowych. Spojówek. Ale niełatwo się nią zarazić. Za mojego dzieciństwa hodowano ją w szkolnych

pracowniach. Armia rozpyliła ją nad San Francisco.

– Kiedy?

– Bo ja wiem. Jakieś pięćdziesiąt lat temu?

– Pan nie jest wojskowym – oświadczył Coldberg. Els zdał sobie sprawę z tego, że być może ma kłopoty. Colberg ponownie machnął piórem, jakby to był wskaźnik laserowy. – Czym konkretnie pan się tu zajmuje?

Pytanie, które powinno było paść jakiś czas wcześniej, zawisło w powietrzu. Els wskazał na pipety na ściennym wieszaku, który wykonał osobiście z kuchennych szczypiec.

– Odkrywam tajemnice biologii komórki. To moje hobby. W dużej mierze przypomina kucharzenie, jeśli mam być szczery.

– Nie jest pan biologiem z zawodu?

Els potrząsnął głową.

– A mimo to manipuluje pan przy DNA patogenu?

– Ja... Cóż, można tak chyba powiedzieć.

– W jakim celu?

Powodów, i to niezłych, były dziesiątki, lecz żaden nie zadowoliliby tej pary. Gdy Els przyszedł na świat, nikt nawet nie wiedział, z czego zbudowane są geny. Współcześnie projektowanie genetyczne było na porządku dziennym. Peter Els bardzo długo ignorował najznacniejsze osiągnięcie XX wieku – tę swoistą formę sztuki, za sprawą której ludzkość miała w przyszłości doświadczyć absolutnej wolnoamerykanki, jakiej miał już nie dożyć. W końcu jednak zapragnął choćby na nią zerknąć. Miliardy skomplikowanych fabryczek w objętości naparstka: na samą myśl przechodził go dreszcz jak niegdyś przy słuchaniu muzyki. Dzięki laboratorium czuł, że wciąż żyje, że ma jeszcze szanse dowiedzieć się tego, czym właściwie jest życie.

Zmilczał. Coldberg wziął do ręki szalkę Petriego.

– Gdzie się pan nauczył manipulować genomem mikroorganizmów?

– Genetyka wcale nie jest taka trudna. W gruncie rzeczy jest łatwiejsza od arabskiego.

Nastąpiła *acciaccatura*. Coldberg zaprzestał notowania.

– Gdzie uczył się pan arabskiego?

– Nie znam arabskiego – odparł Els. – To było porówna...

– Tak? W takim razie co to jest? – Coldberg pokazał na oprawiony w ramki rękopis wiszący na ścianie jadalni: kopułki z jeszcze mniejszymi

kopułkami wystającymi spod tych pierwszych, na podobieństwo muszelkowatych łuków meczetu Sinana. Każdą wnękę pokoju zdobił oprawny manuskrypt z fikuśnym pismem arabskim.

Els dotknął skroni opuszkami dwóch palców.

– To szesnastowieczne osmańskie dzieło ukazujące dawny system notacji muzycznej.

Coldberg wyjął telefon i zaczął pstrykać zdjęcia obrazkom, a Mendoza zapytał:

– Wzywał pan pogotowie minionej nocy?

Els skinął głową.

– Zdechł pański pies, prawda? Policjanci kazali panu wezwać straż dla zwierząt.

Els zamknął oczy.

– W straży dla zwierząt nie odnotowano telefonu od pana.

– Boże – powiedział Els. – Podejrzewacie mnie o to, że potraktowałem własnego psa gazem paralizującym?

– Co pan zrobił z ciałem? – naciskał Mendoza.

Co pan zrobił z ciałem. Gdzie pan ukrył dowód.

– Pochowałem Fidelio w ogrodzie za domem.

– Wiedział pan, że nie wolno tego robić.

– Wiedziałem – przyznał Els.

– Tutaj są? – Coldberg nieoczekiwanie pokazał inkubator.

Els nie odpowiedział od razu. Podszedł do urządzenia.

– One są nieszkodliwe, gdy się z nimi właściwie obchodzić.

Wykonał ruch z zamiarem otwarcia drzwiczek urządzenia. Nie wiedział jeszcze, co zrobi. Wyciągnie erlenmajerkę i powącha? Aby udowodnić, że zagrożenie jest nie większe niż w wypadku zwykłego domowego ulubieńca.

Agenci jednak go uprzedzili. Mendoza umieścił pulchne ciało między inkubatorem a anemicznym siedemdziesięcioletnim kompozytorem. Coldberg stanął za nim jak cień. Wzięty w dwa ognie Els znieruchomiał.

Coldberg zamknął drzwiczki urządzenia ciężką ręką.

– Będziemy to musieli zabrać.

Els stał, czekając, aż ostatnie zdanie nabierze sensu.

– Twierdzicie, że ja... Macie w ogóle jakiś nakaz?

– Nie – odparł Coldberg. – Nie mamy.

– W takim razie czy to zgodne z prawem? Ciężą na mnie jakieś zarzuty?

– Nie, skądże.

Wszyscy trzej stali bez ruchu. Agenci ani drgnęli. Ich respekt zdumiał Elsa. Peter zrozumiał, że dysponuje mocą odmowy, której użycie mogłoby jednak mieć fatalne skutki.

– Nie powinno się jej odłączać od prądu – rzucił tylko. Agenci nadal czekali. W końcu złapał się za kark i kiwnął głową.

Coldberg i Mendoza wspólnymi siłami odłączyli inkubator od zasilania, zapakowali, owijając taśmą, i wynieśli. Els usunął im się z drogi. Kiedy go mijali, słyszał brzęczenie erlenmajerek z kulturami bakterii w środku. Wiedział, że szkło się roztrzaska, zanim ci dwaj – niczym statyści z opery komicznej – doniosą pakunek do Centrali Antyterroryzmu.

Mendoza i Coldberg dotarli do zestawu pucharów z komorą chmurową – tego groźnie wyglądającego ponaddwumetrowego wieszaka z butlami pozbawionymi denek, wynalazku menelowatego Harry’ego Partcha. Przystanęli akurat na tyle, by Coldberg pstryknął jeszcze kilka fotek. Els trącił karylion, który rozbrzmiał rozdzierającymi mikrotonami. Nikogo to jednak nie uspokoiło. Agenci włożyli inkubator do bagażnika swego czarnego wozu. Els wyszedł za nimi na zewnątrz.

– Proszę nigdzie nie wyjeżdżać przez parę dni – poprosił Mendoza.

Stojący na podjeździe Els pokręcił głową.

– Nigdzie się nie wybieram.

#

Partch o fortepianie: „Dwanaście czarnych i białych klawiszy na straży muzycznej wolności”. Ja znalazłem instrument bez wszelakich klawiszy.

#

Oszołomiony siedział przy stole w jadalni. Powinien coś zrobić, nie było jednak nic do zrobienia. Przez moment chciał skontaktować się ze znajomą z uczelni, Kathryn Dresser, która wykładała prawo konstytucyjne. Zrezygnował jednak z tego pomysłu, ponieważ wtargnięcie na teren prywatny nie leżało w polu jej zainteresowań, a on nie znał jej zbyt dobrze. W życiu nie miał prawnika – nawet gdy się rozwodził. Uciekanie się do pomocy adwokata w tej sytuacji zdało mu się naganne.

Mimo wszystko miał ochotę pójść do sądu. Tylko że urażone poczucie sprawiedliwości dodatkowo by go pogrzyżyło. Na wizytówkach Mendoza i Coldberga widniały adres budynku rządowego w Filadelfii, ogólny adres



mailowy i numer telefonu. Nie dysponował żadnymi innymi informacjami. Bez zadawania pytań pozwolił dwóm nieznanym wleźć do domu i wynieść z niego sprzęt laboratoryjny.

Nie miał jasności co do tego, w jak poważnych opałach się znalazł. Być może konfiskata stała się rutynowym środkiem ostrożności. Najlepiej było chyba się przyzwać i zobaczyć, jak rozwinie się sprawa. Niech ludzie z Połączonych Sił przetrzepią i jego, i *Serratię*, bakterię marzeń. Niech się przedrą przez wszystkie informacje zgromadzone na jego temat w ciągu siedemdziesięciu lat życia i sami się przekonają, że nigdy nawet nie dostał mandatu za przekroczenie prędkości. Za dziewięć czy dziesięć dni – co będzie czasem wystarczająco długim, aby go ukarać za marnowanie cennych środków publicznych na fałszywe alarmy – zwrócą mu inkubator, wstrząśnięty i opustoszały.

Dzień był praktycznie stracony. Tygodniowa praca poszła na marne. Els zużył resztki nerwowej energii w ogródku, obrywając uschnięte żonkile i rozsadzając funkie. Przeniósł połowę rozłożystego farbownika zajmującego grządkę pod frontowym wykuszowym oknem na środek grobu Fidelio. Do przyszłej wiosny pięknie się rozrośnie.

Gdy jego dalsze działania w ogrodzie zaczęły grozić szkodami wśród roślin, wrócił do domu i włączył komputer. W internecie zrobił rundkę po wybranych witrynach zraszających biotechnologów autodydaktów, aby się przekonać, czy mogą mu coś doradzić w zaistniałej sytuacji. Na jednej stronie wspomiano o niedawnym wzroście liczby spraw sądowych. Linki odsyłały do oddolnych ruchów społecznych na rzecz prawa obywateli do uprawiania nauki.

Parę kliknięć później Els wiedział, jak pozyskać rycynę z rącznika pospolitego. Jad kiełbasiany ze starych kosmetyków. Wirus Ebola od któregoś z półtuzina kultów chętnych do dzielenia się z innymi. Wystarczyła niecała godzina spędzona w sieci, aby Peter Els miał ochotę sam siebie aresztować.

Niemniej wszyscy domorośli genetycy zgadzali się co do jednego: dało się naszykować przyzwoitą plagę za sumę znacznie niższą niż pięć tysięcy dolarów, i to bez jakiejś specjalnej inżynierii genetycznej. Z kolei rozprzestrzenienie plagi mogło się już okazać pewnym problemem. Skacząc od linku do linku, Els coraz bardziej pograżał się w sadze węglkowej, z jej wszystkimi zawłościami i tajemnicami wiążącymi się z tamtymi siedmioma

skażonymi listami. Do tej pory zdążył całkiem zapomnieć o ówczesnym koszmarze – jednym z najszerzej zakrojonych śledztw w historii USA – mimo że temat z pewnością stanowił pierwszorzędą operę newsową.

Afera węglikowa doprowadziła go do rozpylenia gazu bojowego sarin w tokijskim metrze w 1995 roku. Z Tokio, dwa kliknięcia później, dostał się do miasta Miyako, gdzie samochody osobowe, ciężarówki, magazyny i budynki mieszkalne zamieniały się w złom i drzazgi na olbrzymiej szarej fali, która nie przestawała napierać na ląd. Unicestwieniu uległa cała okolica, powstawały nowe progi wodne. W trakcie kręcenia filmiku aparat został pochłonięty przez kłęb spienionej wody i ekran poczerniał.

Els przebiegł wzrokiem długą listę podobnych nagrań. Ostatni naoczni świadkowie... Niesamowite odgłosy na taśmie... Dramatyczna składanka... Relacja ocalałych z żywiołu... Niektóre filmiki miały ponad milion ściągnięć, niektóre zaledwie jedno czy dwa. Katastrofa trwała tylko jedną noc.

Za sprawą niemającego sobie równych algorytmu sortowania pośród setek dwuminutowych nagrań, między początkiem tsunami uchwyconym kamerą a przemówieniem przedstawicieli rządu obiecujących uratować elektrownię, znalazł się ponury błąd. A może to człowiek umieścił tam link – sadystyczny dowcip kpiący z tragedii. Tak czy owak, filmik cieszył się niesłychaną popularnością w dniu trzęsienia ziemi, a w ciągu kilku następnych liczba odsłon wyniosła 62 700 312. Els, klikając go teraz, został oglądającym numer 62 700 313.

Moment później jego pokój przepełniły dźwięki skocznej, poprawnej melodycznie i osłupiająco pogodnej pioseneczki. Na ekranie trzynastoletnia piosenkarka budziła się, szła na przystanek autobusowy, wsiadała do kabrioletu przyjaciół i jechała na przedmieścia, gdzie w zamożnym domu klasy średniej właśnie trwała w najlepsze impreza nastolatków. Podczas odtwarzania liczba oglądających wzrosła o kolejne dziesięć tysięcy. Otrząsając się z zasłyszanej przed chwilą muzyki, Els zaczął szukać wyjaśnienia tego fenomenu. Okazało się, że w internecie roi się od tysięcy parodii, wpisów, hołdów, nowych aranżacji, dowodów uznania, analiz oraz artykułów na ten temat.

Podniósł wzrok. Dawno minęła pora obiadowa, a on umierał z głodu.



Libańska restauracja położona nieopodal kampusu zawsze pękała w szwach. Jednakże po porannej utarczce z prawem Peter Els potrzebował właśnie znaleźć się wśród anonimowego tłumu. Zewsząd dobiegały dźwięki – lodu grzechoczącego o szklane ścianki, sztukców brzęczących o zastawę, ludzkich głosów szepczących plotki – całkiem jak w którymś z tych strasznych utworów Karlheinz Stockhausena skomponowanych w hali, w której testowano fajerwerki. *Jedz chleb swój z weselem i pij wino swe z radością, bo się uczynki twoje Bogu podobają*<sup>[11]</sup>.

Els poprosił o stolik na środku sali. Maddy wiecznie oskarżała go o bycie ukrytym ekstrawertykiem.

– Jesteś Thomasem Mertonem muzyki – mawiała. – Pragniesz wieść życie pustelnika na Times Square, z wielką strzałką wskazującą drogę do twojej pustelni.

Els zbył uśmiechem przedawnione oskarżenia sprzed wielu dekad. Wyobraził sobie żonę, siedzącą naprzeciwko niego przy stoliku i kręcącą głową na tarapaty, w które się wpakował. Przeżyli razem ładne parę lat, przy czym z każdym rokiem coraz mniej wzajemnie się rozumieli. Mimo to nadal czasem żartował z jej duchem bądź starał się wysondować w sprawie jakiejś dziwnostki. Swego czasu Maddy była pełna podziwu dla jego nieopanowanej potrzeby tworzenia muzyki; koniec końców jednak jego nałóg tylko ją zdumiewał. Garażowa genomika jawiłaby się w jej oczach kompletnym szaleństwem.

– Nie nienawidzisz publiczności – powtarzała mu. – Potrzebujesz jej. Chcesz, żeby ludzie wyciągnęli cię z twojej pieczary i zmusili do tego, byś dla nich zagrał.

Raz, gdy miał pod trzydziestkę, w gwałtownym przypływie napędzanej talentem wolności napisał hermetyczny, odważny pod względem harmonicznym cykl pieśni na fortepian, klarnet, eterofon i sopran solo na motywach noweli Franza Kafki *Budowa chińskiego muru*. Trzeci utwór leciał następująco:

*To niekonieczne, byś wychodził z domu.*

*Zostań za stołem i nasłuchuj.*

*Nie nasłuchuj nawet; czekaj jedynie.*

*Nie czekaj nawet,*

*Pozostań w samotności i bezruchu.*

*Świat Ci się sam ofiaruje, gdyż pragnie zostać odkryty.*

*Inaczej nie może:*

*Będzie się wił przed Tobą w zachwycie*<sup>[12]</sup>.

Cykl został wykonany dwukrotnie w ciągu siedmiu lat, każdorazowo dla parunastu skonsternowanych słuchaczy. Tego rodzaju muzykę pisał Els: więcej było osób na scenie aniżeli na widowni. W którymś momencie lat dziewięćdziesiątych, po klapie jego trzygodzinnego dramatu historycznego *Z sideł myśliwego*, zniszczył jedyne egzemplarze wielu partytur, w tym cyklu *Chiński mur*. Obecnie zagadkowa melodia rozbrzmiewała wyłącznie w jego głowie. A jednak ją słyszał, nawet ponad restauracyjnym szumem. Peter Els zdążył zapomnieć, jak bardzo była nierówna i niesamowita, jak niesłychanie skupiona na niesionym przesłaniu. Żałował, że zniszczył nuty. Teraz mógłby ożywić te pieśni. Przydać im nieco przestrzeni, nieco światła. Mógłby je przewietrzyć.

Ujął szklankę z wodą i wznosił toast za ducha towarzyszącego mu przy stoliku.

– Jestem winny zarzucanych mi czynów.

Nikt w tym gwarze nie usłyszał jego słów.



W domu nie mógł się zająć pracą w laboratorium. Włączył więc ogromny telewizor z płaskim ekranem, który Sara sprawiła mu na siedemdziesiąte urodziny, aby siłą utrzymać go na kursie postępu. Dynamiczny obraz wysokiej rozdzielczości ukazywał chmurę radioaktywną zmierzającą w stronę największej aglomeracji miejskiej na ziemi, zupełnie jak w kiepskim filmie katastroficznym z czasów jego młodości.

Els przełączył się na film dokumentalny traktujący o dzikiej zwierzynie zachodnich stanów USA. Jednak tutaj wywołała jego niepokój ścieżka dźwiękowa – mityczna, pentatoniczna meandrująca kompozycja. Ponownie zmienił kanał. Wystarczyło jedno kliknięcie, aby przeniósł się do zagrody, gdzie ubrane w stringowe bikini modelki napażały się gigantycznymi dłońmi z pianki. Zgasił odbiornik i poprzysiągł sobie, że następnego dnia pozbędzie się go z salonu, co, nawiasem mówiąc, już dawno obiecał lekarzowi z kliniki leczenia bezsenności.

Książka z szafki nocnej otwarła się na tej stronie, na której skończył minionego wieczoru. Codziennie kończył lekturę u szczytu lewej paginy, wraz z ostatnim słowem pierwszego akapitu – co było jednym z tysiąca

niemądrych, choć przydatnych nawyków, które wpoila mu Madolyn. Żona objawiała swą obecność w jego przyzwyczajeniach tak silnie, że czasem z trudem przychodziło mu uwierzyć, iż żyją osobno czterokroć dłużej, niż żyli razem.

Els wyciągnął się na wznak na wielkim łóżku, usiłując przywołać twarz Maddy. Jej rysy były teraz niczym któraś z tych radosnych etiud sprzed stuleci, zapamiętanych tylko dzięki interwałom.

Sięgnął po książkę i raz jeszcze, kolejnej nocy, starał się wyciszyć umysł i czytać. Wpadł w rytm dopiero po pewnym czasie. Uczucie skupienia na czymś innym przepełniało go pierwotną przyjemnością biorącą się ze spoglądania oczyma kogoś innego. Jednak już po paru akapitach jakieś zdanie zboczyło z kursu i wprawiło go w poślizg; spokojny fragment parę stron dalej, pośrodku prawej paginy, zmysłowy opis mężczyzny i kobiety spacerujących bostońską ulicą w lipcowy wieczór; mglista repetycja *da capo*, co rusz od nowa, gdy jego wzrok się zapętlił, odbijając się od bariery prawego marginesu, wracając wężykiem, by rozpocząć linijkę ponownie, wodząc spojrzeniem po obwodzie tekstu, zwalniając, a wreszcie sunąc torem gładkich zdań podrzędnych, ślizgając się po nich wzrokiem, póki jego zmęczone oczy nie znalazły znów przyczepności – mężczyzna, kobieta, chwila godnej pożałowania prawdy na środku esplanady – zanim złapał się czegoś i podjął od początku tę pijacką wędrówkę.

Na koniec, po nie wiedzieć ilu takich kursach, budził się raptownie. A słowa na stronie, tuż przed skupionym, choć niedowierzającym spojrzeniem Elsa, maszerowały karnie niczym wojsko na paradzie, nabierając ciała, aczkolwiek nie było żadnego mężczyzny, żadnej kobiety, żadnej nocy, żadnego Bostonu ani żadnych intymnych wyznań – był tylko bułgarski pisarz prawiący o sekretnej woli tłumu.

Odłożył książkę, zgasił światło i ułożył głowę na poduszce. Ledwie w sypialni zrobiło się ciemno, sen całkiem go odszedł. Deski podłogi trzaskały i strzelały niczym kanonada, a piec huczał potężnie jak jakaś machina wojenna.

#

Dokonałem wyboru mego żywiciela z szalenie naiwnego powodu: miał barwną przeszłość. Barwą tą była czerwień.

#

Z tej Pangei miłości pozostało tylko kilka rozproszonych wysepek.

A z Clary Reston, która wysłuchiwała osiemsetletnich konduktusów, jakby to był skrót wiadomości, zapamiętał w sam raz na pięciominutowy studencki utwór. Jednakże to właśnie ona uczyniła z Elsa słuchacza tułacza. Przed nią żadna melodia nie miała prawdziwej władzy nad Peterem. Po niej – cokolwiek usłyszał, tchnęło zagrożeniem.

Kompozytorzy, do których Els wrócił na starość: Perotinus, Bach, Mahler, Berg, Bartók, Messiaen, Szostakowicz, Britten, zostali mu przedstawieni przez Clarę, kiedy miał dziewiętnaście lat. Dzięki niej ich pokochał. Na przestrzeni życia jednak, od ekspozycji do kody, zdradził wszystkich po kolei. Przeżywał w młodości okres, gdy nade wszystko w świecie pragnął skomponować utwór doskonały, który by przyprawił Clarę o niszczycielskie wyrzuty sumienia. W wieku średnim chciał już tylko dać jej coś w zamian za to, co od niej dostał.

Nigdy go nie dziwiło to, że Clara nie ma przyjaciół. Katapultowała się w dorosłość bardzo szybko: na długo przed tym, zanim on choćby zaczął przeczuwać zbliżającą się eksmisję z okresu dojrzewania. Zastanawiał się czasami, czy przypadkiem jej życie rodzinne nie kryło jakiegoś przerażającego sekretu, przez który wydawała się przedwcześnie dojrzała. Clara Reston żyła jak z nut – cały program czekającego ją koncertu miała w głowie, zanim zaczęło się przedstawienie.

– Peter! To ci się na pewno spodoba!

Złożyła papiery do college’u w stanie Indiana, gdzie zamierzała studiować wiolonczelę pod okiem Starkera na najlepszym kursie smyczkowym w kraju. Młody Peter podążył za nią bez namysłu. Nie miał nawet wybranej rezerwowej uczelni. Ojczym za nic by nie opłacił jego magisterium na muzykologii; radziecka nauka zagrażała podstawom istnienia USA i zdaniem Ronniego Halversona każdy sprawny umysłowo osiemnastolatek musiał dołączyć do kontrofensywy. Tym sposobem Peter Els, w latach pięćdziesiątych na głębokim Środkowym Zachodzie, podjął studia licencjackie na kierunku nauki ścisłe. „Lepsze rzeczy dla lepszego życia poprzez chemię”.

Pierwszy rok wprowadził go w zachwyty. Siedział w audytorium wraz z czterema setkami innych studentów chemii, a wykładowca bazgrał kredą na tablicy, niemal całkiem zajętej przez pismo automatyczne ze świata zawartego w naszym. Ćwiczenia – miareczkowanie, wytrącanie, wyizolowywanie – przypominały naukę gry na krnąbrnym, lecz wspaniałym

nowym instrumencie. Materia zdawała się nabrzmiała od skrywanych tajemnic, które tylko czekały na odsłonięcie. Opuszczając laboratorium, cuchnący kamforą, miętą, nasieniem, rybą, słodem, piżmem, potem i uryną, Els czuł odurzający zapach własnej przyszłości.

Nadal studiował też klarnet. W drugim semestrze pokonał tuzin studentów muzykologii i zdobył miejsce w najlepszej uczelnianej orkiestrze. Jego koledzy z grupy instrumentów dętych nie mogli uwierzyć, że traci czas na próbówki i erlenmajerki. Clara zbywała jego perwersyjność wzruszeniem ramion. Bywało, że spoglądała nań z przeciwnego końca studenckiej orkiestry, gdzie znajdowało się miejsce wiolonczelistek, ze spokojnym uśmiechem czekając, aż odkryje to, co ona od dawna wiedziała.

Dla Elsa muzyka i chemia były odnalezionymi po latach bliźniaczkami: mieszaniny i modulacje, harmonia spektralna i harmonijna spektroskopia. Budowa długich łańcuchów polimerów przypominała mu złożone wariacje Antona Weberna. Nieziemskie pola prawdopodobieństwa orbitali atomowych – sztangi, pączki z dziurką oraz sfery – wydawały się elementami awangardowej notacji. A wzory z zakresu chemii fizycznej przywodziły na myśl zawiłe, idealne kompozycje.

Równoległe do zajęć z teorii muzyki zakradał się na nadobowiązkowe ćwiczenia z kompozycji. Harmonizowanie chorałów i realizowanie *basso continuo* miało wiele wspólnego z algebrą. Tworzył menuety w stylu Haydna i podróbki arii *da capo* Bacha. Z okazji dwudziestych urodzin Clary skomponował *Sto lat* w stylu Beethovena u schyłku życia. Na sylwestra 1961 roku podarował jej swój jak dotąd najwymyślniejszy utwór: wariację pewnego szlagieru na modłę intermezza Brahmsa. Clara zapoznała się z partyturą, kręcąc głową i śmiejąc się z tego, co widzieli wszyscy oprócz twórcy.

– O, jak na takiego bystrzachę, jesteś strasznie gapowaty. Chodź. Zagrajmy to.

Próbował przedstawić Clarze swój plan. Mógł zdobyć zawód i podjąć pracę w sektorze przemysłowym, a poza tym komponować dla zaspokojenia potrzeb duszy i ciała. Ona jednak odwracała oczy i patrzyła przed siebie tym przyprawiającym o szaleństwo wzrokiem marynarza spoglądającego przez sekstans, hen, za horyzont i za krzywiznę Ziemi, ku przyszłości, którą ona widziała, a on nie.

Spędzali ze sobą wszystkie wolny czas. Clara załatwiła im pisanie recenzji

muzycznych do gazetki studenckiej. Ukrywając się pod wspólnym pseudonimem będącym anagramem ich nazwisk – Entresols – promowali dziesiątki nowych nagrań, jakby byli parą pierwszych ludzi na świecie i mieli za zadanie nadać nazwy zwierzętom. Ich przyjaciele – ci z nich, którzy nie załamywali rąk na ten wyspiarski duet – przezywali ich Zygotą. Kiedy najlepsi i najmądrzejsi urządzali protesty okupacyjne w obronie praw obywatelskich, Peter i Clara okupowali salę odsłuchową uczelnianej biblioteki, śledząc partyturę *Vier letzte Lieder, Czterech ostatnich pieśni* Richarda Straussa, podczas gdy Elisabeth Schwarzkopf śpiewała *Im Abendrot*:

*Wir sind durch Not und Freude,  
Gegangen Hand in Hand.*

*Przez radości, niedole*

*Szliśmy ręka w rękę<sup>[13]</sup>.*

Clara wiodła prym w ich muzycznych peregrynacjach, wysforowywała się na prowadzenie. Znosiła Elsowi łupy w porze obiadowej: szalone madrygały Carla Gesualda czy genialne urywki na waltornię z późnodziewiętnastowiecznych poematów symfonicznych. Lecz gdy on mozolił się, by opanować ten nieustannie poszerzany przez nią repertuar, ona już wybiegała naprzód i znajdowała coś nowego.

Śpiewali twarzą w twarz, prosto w usta, obniżając kolejne stopnie skali durowej niemalże do powstania dysonansu. Ten zgrzyt przeszywał ich ciała i umysły na wskroś. Jeszcze się przed sobą nie rozebrali, jednakże wzajemny rezonans w kościach czaszki prawie niczym nie różnił się od seksu.

Clara знаła swoje przeznaczenie i nie miała żadnych wątpliwości. Studiowała pod okiem wymagającego Starkera, który – choć doprowadzał ją do płaczu – pokazał jej sztuczki mózgu i nadgarstka pozwalające jej grać niczym anioł.

W przypadku Clary sama muzyka była w stanie zniwelować obłudę codziennego życia. Dziewczyna nie miała pewności, kim jest Konrad Adenauer, ani nie rozumiała, czym kosmonauta John Glenn zasłużył sobie na huczną paradę. Dla niej parę taktów *Große Fuge – Wielkiej fugi* – niosło więcej prawd niż newsy z całego miesiąca. Siła karmionego muzyką platonizmu Clary dawała jej nad Peterem przewagę. On miewał przecucia; ona żywiła przekonania. Krótko mówiąc, odpadał w przedbiegach. Wystarczyło, że uśmiechnęła się pod nosem na jego chodzenie do kościoła,



a między jedną niedzielą a drugą wyrzekł się wiary przodków. Jednym uniesieniem brwi zmusiła go do noszenia fryzury na żołnierza i zamiany koszul z długim rękawem na swetry. A pewnej nocy pod koniec marca na drugim roku wydała wojnę o jego duszę, przenosząc działania na teren wroga.

Umówiła się z nim po zmierzchu na brzegu strumienia płynącego przez kampus. Stawił się na miejscu po trzygodzinnej nierównej walce w laboratorium, na ćwiczeniach z chemii organicznej, na których nie wyszło mu oznaczanie. Clara leżała na wilgotnej trawie niewielkiego wzniesienia, rujnując sobie tył niebieskiej wąskiej spódnicy. Załamany wyciągnął się z głową na jej kolanach.

– Chcą mnie wykończyć.

Choć mina jej się zwarzyła na bijący od niego odór chemikaliów, przeczesywała mu włosy dwoma palcami.

– Kto taki?

– Alkany, alkeny, alkiny...

– Peter? – Kiedy się nad nim pochyliła, poczuł na policzku dotyk jej srebrnego wisiora w kształcie liry. Pociągnęła go lekko za bak, który sama kazała mu zapuścić. – Kto mówi, że powinieneś zostać chemikiem?

– No, jestem niezły z chemii. Dzisiejszej porażki nie licząc.

– I chcesz poświęcić jej resztę życia?

Zagłębił palce w zimnej glebie. Myśl o poświęceniu całego życia czemukolwiek napawała go mieszaniną zachwyty i paniki.

– Nie próbujesz przypadkiem sprawić przyjemności swemu ojcu?

Odtoczył się od niej, podparł na łokciu.

– Chodzi ci o mojego ojczyrna? Mój ojciec nie żyje, wiesz.

– Wiem. A ty powinieneś wiedzieć, że duchy nie odczuwają przyjemności.

– Nikogo nie staram się zadowolić. Studiuję chemię. Chemik to dobry zawód, można z tego żyć.

Pragnął dodać: mogą z tego żyć nawet dwie osoby, na wypadek gdybyś była zainteresowana.

– Ależ Peter... Mamy sześćdziesiąty pierwszy rok. Jesteś białym mężczyzną, chodzisz do college'u. I ty się martwisz o to, czy będziesz miał z czego żyć? Po to są potańcówki i obrączki. Jeszcze nigdy żaden muzyk o twoim talencie nie skończył na lodzie.

Pragnął jej powiedzieć: chemia jest taka poukładana, do rozwiązań można dojść prostą i powtarzalną drogą, zagadki przyrody są niczym kosmiczne rebusy, a bawiąc się pierwiastkami, można kreować całkiem nowe związki o własnościach, które mają szansę podnieść jakość życia...

Clara jednak nie dostrzegała piękna w żadnym systemie. Położyła mu ramię na piersi i zapytała:

– Twoim zdaniem chemia podupadnie, jeśli nie będziesz się nią zajmował?

– A ty uważasz, że zabraknie klarncistów, jeśli zarzucę granie?

– Klarncista? Kto mówi o zostaniu klarncistą?

Cały jej szalony plan na jego życie nagle się zmaterializował i zaczął mu bzyścić koło głowy. Machnął ręką zniecierpliwiony. Złapała go za nadgarstki i przyszpiliła do chłodnego gruntu.

– Odłóż klocki na bok, Peter. Zabawa się skończyła. Muzyka ulewa się z ciebie na zawołanie. Jesteś do niej stworzony.

Usiadł i przechylił głowę, spoglądając na swoją platonistkę zupełnie jak Nipper zaglądający do tuby tajemniczego gramofonu. A potem zaczął je słyszeć: te wszystkie dusze ustawione w niebiańskim przedśmionku, oczekujące na reinkarnację: preistniejące dźwięki, które wyłącznie on mógł sprowadzić na świat. Głębokie symetrie, związki i równania chemiczne, które tak go absorbowwały przez minione dwa lata, nagle stały się zwykłym preludium. Rzeczywiście, starał się kogoś zadowolić. Ten ktoś jednak oczekiwał innego rodzaju przyjemności.

Ułożył się znów z głową na kolanach Clary i zapatrzył w jej odwróconą twarz. Dziewczyna sięgnęła rękoma i poprawiła końce szala. Jej zakryte ramiona wydawały się skrzydłami przesłaniającymi całe niebo.

– Te utwory, które mam według ciebie napisać... – zapytał na fali czystego prawdopodobieństwa. – Jak sądzisz, ile ich jest?

Nachyliła się, aby odpowiedzieć. Z jakąż łatwością, pomyślał, mógłby wypłynąć na środek jeziora, aż posłuszeństwa odmówiłyby mu wszystkie mięśnie.



Przez następne pięć tygodni, zamiast przygotowywać się do sesji egzaminacyjnej, potajemnie pracował. Urywał się z ćwiczeń, z wykładów, unikał nawet Clary, którą aż skręcało ze skrywanej podejrzliwości. Nabrał zwyczaju kreślenia nut za pomocą skrótowej notacji muzycznej, szkicując melodię szybkimi, czystymi ruchami niczym dziecko kredką obrazek z księżycem, krzywym drzewem i ogniskiem, będący dla niego wyobrażeniem nocy. Nie było czasu na orkiestrację. Utwór rozwijał się na najmniejszą skalę; na fortepian solo i głosy. On jednak słyszał go w pełni instrumentalnych barw. Aerofony: nawracające dęciaki wspomagane przez przybierające na sile blaszaki, i koło ratunkowe w postaci cichych smyczków.

Miał nawet pasujące słowa – fragment *Pieśni o mnie* Walta Whitmana. Clara wyrecytowała tę strofę z pamięci podczas zimowego pikniku w parku pod koniec minionego roku. Leżeli ciasno spleceni w cienkim śpiworze, tuląc między sobą gorący termos z zupą pomidorową, a Clara – wciąż z rzęsami oprószonymi świeżymi płatkami śniegu – deklamowała:

*Jak sądzicie, co się stało z młodymi i starymi ludźmi?  
A z kobietami i dziećmi, jak sądzicie, co się stało?  
Żyją gdzieś i jest im dobrze,  
Najlichszy kielek dowodzi, że śmierci naprawdę nie ma,  
A jeśli w ogóle była, to po to, by wysnuć z siebie życie,  
Nie czeka przy końcu, żeby je zdusić,  
I odchodzi w momencie, gdy pojawia się życie.  
Wszystko pędzi przed siebie, nic nie ginie,  
A umrzeć jest czymś innym, niż można by sądzić, i lepszym<sup>[14]</sup>.*

Nosił się z tymi słowami przez wiele dni z rzędu, przysłuchując się dźwiękom, które zawierały. W końcu fonemy i akcenty otworzyły mu oczy. Nuta za nutą, fraza za frazą odtwarzał w pamięci tamten piknik: zawieszona nisko na niebie słońce przezierające zza szkieletu dębu, obiecujące pewnego

rodzaju niesprecyzowany ciąg dalszy, i drzącą dziewczynę z termosem w dłoniach wiolonczelistki, chronionych rękawiczkami łapkami. Clara rzuciła mu wyzwanie paroma wyskandowanymi wyrazami, które raz wypowiedziane, toczyły się, nabierając masy i znaczenia niczym kula śnieżna. Ona sama przyglądała mu się nienasycona, blada i rozbawiona, wiedząc doskonale, co czeka młodych daleko w przodzie, i prowokując starszych do oglądania się wstecz. Każdy akord, który napisał, zmieniał poprzednie, a Peter czuł je wszystkie naraz, choć już modyfikowały je dźwięki następnych lat.

W miarę jak jego ołówek stawiał znaki na czystej kartce, Els musiał tylko słuchać i kierować każdą nową nutę na przewidziane dla niej miejsce. *Żyją gdzieś i jest im dobrze*. Mógł tworzyć dla nieskończoności; mógł tworzyć dla nikogo. Nie dokonywał świadomych wyborów – zaledwie je wyczuwał, jak gdyby naraz przeprowadzał dziesiątki miareczkowań celem oznaczenia nieznanego związku, który wreszcie za sprawą magii odczynników strącał się na dnie próbówki, namacalny i mający swoją wagę.

Utwór nabierał ciała; Els skanalizował swoją wolę w ściśle określonym kierunku. Strach utracił wszelkie punkty zaczepienia, a jego zalał ów prąd błogości, której doświadczył kilkakrotnie w swoim życiu – słuchając *Symfonii Jowiszowej* bądź odkrywając Mahlera. Podnośnik wyższy od sekwoi wydobył go z zavalonego gruzem przepustu, w której dotąd leżał, i uniósł do laterny latarni morskiej. To, czego się najbardziej obawiał na myśl o odrzuceniu dotychczasowego życia, okazało się w istocie błogosławieństwem. Trwaj w bezruchu, czekaj i słuchaj, a świat sam się przed tobą otworzy.

Dzieło było kwintesencją prostoty: triolowa melodia oparta na skali frygijskiej, rozpisana na wysokie głosy, pod którą statecznym, zamaszystym falistym ruchem przeciwnym rozlegało się *arpeggio*. Każdy kolejny łącznik wynosił linię melodyczną ku wyższym rejestrom. Efekt sprawiał nieco archaiczne wrażenie – jakby melodii ludowej, którą etnograf odkrył w oddalonej od świata górskiej wiosce upadającego królestwa i przywiózłszy do pogrążonej w dekadencji stolicy, uzupełnił o elementy harmoniczne.

Jasne, że zrzynał z Mahlera. Rozmytą granicę między moll a dur. Niepewne główne motywy, które przed samym końcem popadały w dzikość. Wirującego walca, delikatne instrumenty dęte blaszane. Powolną wspinaczkę zakończoną w okamgnieniu upadkiem, przerwany wraz z podjęciem

nowego taktu. Wszystkie poszczególne składniki brzmiały znajomo. Jednakże całość nie istniała, zanim nie skomponował jej Peter.

Zmierzając do punktu kulminacyjnego, Els zrozumiał, że zdążył już położyć pod niego podwaliny w plazmie zarodkowej otwierającej frazy. Czterodźwiękowy motyw, zaczerpnięty z oryginalnej trioli, przeszedł w pięciodźwiękowy, aby przekształcić się w pełną, wznoszącą, siedmiodźwiękową pewność:

*Wszystko pędzi,  
Pędzi przed siebie,  
Przed siebie: nic nie ginie...*

Wreszcie fraza końcowa – która go wyczekiwała, jakby przewidział ją już na samym początku.

Brzdąkanie na pianinie w sali ćwiczeń sprawiło mu przyjemność tak ogromną, że zgoła występna. Clara się nie myliła: był do tego stworzony, nawet jeśli efekty miały nie przynieść nikomu – ani żyjącym, ani zmarłym – zadowolenia. Spłacanie poronionej inwestycji ojczyma, odwalanie latami nużącej roboty za minimalną stawkę, granie do pustej sali upstrzonej gdzieś niechętnymi i obojętnymi słuchaczami: zmarnotrawione życie odsłoniło się przed Peterem w całej rozciągłości. Pijany radością towarzyszącą pojawieniu się jego pierworodnego dzieła, ujrzał swoją przyszłość i natychmiast ją sobie przypomniał.

W następnych tygodniach, szlifując i doskonaląc, Els zobaczył wszystko: młodych i starych ludzi, kobiety i dzieci, żyjących gdzieś i mających się dobrze, potrzebujących tylko tego, aby ich powołał do istnienia. Postąpił więc w przepaść, nie czując strachu. Nie miał wyboru. Chemia zmarła łagodną śmiercią. Ta śmierć była niepodobna do niczego innego i okazała się szczęśliwszym zrzędzeniem losu, aniżeli nawet mógł przypuszczać siedemdziesięcioletni starzec.

Zaskoczył Clare pod koniec semestru, wręczając jej przepisana partyturę. Dziewczyna siedziała w nogach łóżka swego pokoju w akademiku, za plecami mając plakat Pabla Casalsa, i czytała, kiwając głową w milczeniu. Kiedy podniosła wzrok, spojrzenie wilgotnych oczu miała niemalże lękliwe. Mimo to posłała mu wieszczy uśmiech.

– No, no – powiedziała. – Brawo! A gdzie bis?

#

Pitagoras, odkrywca harmonii w matematyce, odkrył też

mojego mikroba: *S. marcescens*. Przypominał mu krew wpływającą z nieświeżego jedzenia.

#

Został nagrodzony przez Clare podczas koncertu z okazji zakończenia roku akademickiego. Jego program przywodził na myśl próbę naprawienia zimnowojennych krzywd: Borodin, Rimski-Korsakow, *Ognisty ptak* Strawińskiego. Elsowi podobał się cały z góry na dół, egzotyki nie wyłączaając. Coś mu się stało w uszy i tamtego miesiąca widział arcydzieło we wszystkim, poczynając od *de Machauta*, a kończąc na *Klubie Myszki Miki*.

Orkiestra przypominała parlament. Każda sekcja grała na swoją nutę, ale wszystkie – połączone pod jedną batutą – zamieniały się w zdumiewającego lewiatana. Ze swego miejsca pośrodku sekcji dętej Els zerknął na lewo, ponad szczytem pulpitu do nut, mimo dyrygenta, aby spojrzeć na profil Clary grającej partię drugiej wiolonczeli. Instrument opierał się w rozcięciu jej długiej czarnej koncertowej spódnicy, biała jedwabna bluzka zaś opinała jej piersi przy każdym ruchu i oddechu wiolonczeli. Clara grała niczym roztargniony Żar-Ptak, ze zgrabną szyją przyciśniętą do gryfu i prawą ręką kreślącą w powietrzu smyczkiem lemniskaty. Gdy siekące akcenty zainicjowały piekielny taniec Kościeja Nieśmiertelnego, Clara zerknęła przez ramię i przyłapała go na patrzeniu. A Peter – jakby wyczytał to w główkach nut na pięciolinii przed sobą – pojął, jaki taniec czeka go tej samej nocy, gdy umilknie muzyka.

Co robili do tamtej pory? Rozpalające rzeczy. Popełniali zbrodnie przeciwko własnemu wychowaniu, przez które Els nie umiał wyjść z podziwu nad podstępnością swego pożądania i cierpiał katusze z powodu relikтового poczucia luterańskiej winy. Ale to były dopiero wczesne dni Nowych Horyzontów. Jego rodzona córka bez wyrzutów sumienia będzie mieć za sobą znacznie więcej w wieku szesnastu lat. Żaden szanujący się trzynastolatek żyjący w początkach XXI wieku i chwalcący się publicznie podbojami na portalu społecznościowym nie uznałby tego za seks.

Po koncercie Peter odnalazł Clare w sali prób, gdzie wkładała wiolonczelę do futerału. Rosyjska muzyka w połączeniu z jej cygańską duszą sprawiły, że była zdyszana do utraty tchu. Ich plany na noc malowały się na twarzach obojga tak czytelnie, że Peter nawet ze spuszczoną głową obawiał się przyłapania przez kierowniczkę internatu i zatrzymania celem złożenia

wyjaśnień, zanim zdążą się przekraść do pokoju Clary, aby zabrać kluczyki do volkswagena garbusa użyczzonego im przez bogatą współlokatorkę. Nie zaplanowali zawczasu trasy. Clara – wciąż w koncertowym stroju – siedziała w fotelu pasażera z nogami na desce rozdzielczej, otwarta na to, co przyniesie los, i wolna od przyciągania ziemskiego. Peter trzymał kierownicę drżącymi rękoma. Pojechali do kamieniołomów za miastem, zostawili auto na poboczu pod gęstymi sosnami i zagłębili się między drzewa.

Ściółka była miękka i Clara musiała iść bosą, niosąc buty na wysokim obcasie w rękę. Głęboko w zagajniku wpadła na niego i szepnęła:

– Pora brać się do roboty.

Koniuszek języka zawędrował za jej słowami do jego ucha zewnętrznego.

Popchnęła Elsa na ziemię, wprost na sosnowe igły zaścielające podłoże kilkunastocentymetrową warstwą. Podciągnęła plisowaną czarną spódnicę koncertową do pasa i dosiadła go. Pod ciężarem jej piersi jedwabna bluzka rozpięła się sama, a jej długie włosy otoczyły go niczym zwiewne szaty, które wyszły spod pędzla Botticellego. Opuściła się na niego z dziwnym, przenikliwym okrzykiem rozradowanej zdrady, który przez kolejne czterdzieści lat będzie się starał odtworzyć, korzystając z kombinacji rozmaitych instrumentów. Chwyciła jego ramiona i przygniotła do igieł, jakby groziła: „Rozumiemy się?”. Dotknął jej szyi, zmuszając, aby nań spojrzała. Skinął głową.

Kiedy go brała, w skroniach pulsowało mu jasne światło. Pomyślał, że ma atak serca, ale się tym nie przejął. Dwa rozbłyśki później skoncentrował się. Biel okazała się snopem światła z latarki omiatającej las. Po drugiej stronie ściany drzew dwaj policjanci zaglądali do okien zaparkowanego garbusa.

Szarpnął nogami; chciał ją z siebie zepchnąć. Jednakże zanim zdołał się podnieść i poddać, przyszpiliła go ponownie do ziemi. Oczy miała błędne, rozbiegane. Poruszała wargami. Dobyło się z nich coś występnego, *pianissimo*.

– Ani drgnij.

Policjant zawołał dwukrotnie:

– Halo?

Els skręcił tułów, lecz Clara znowu okazała się od niego silniejsza.

– Nie waż się drgnąć.

Snop światła musnął rosnącą nieopodal trawę. Przygnieciony przez Clare

mógł tylko zrezygnować z dalszej walki. Zwiotczał. Przez skórę słyszał jej przyspieszony puls. Dygotała teraz, nieme usta miała otwarte; Els dopiero po kilku uderzeniach serca zrozumiał, czym jest ten dygot. Snopy światła przecięły ciemny zagajnik. Wołanie rozległo się znowu, z większej odległości. W końcu policjanci dali sobie spokój, wrócili do wozu i odjechali. Peter i Clara leżeli nieruchomo jak trupy na ściółce lasu spowijanego mrokiem, rafinowanego zimnem. Mroczna puszcza cała szeptała i nic nie wydawało najłżejszego dźwięku.

#

Podczas oblężenia Tyru krew ciekąca z chleba powiodła pokonaną armię Aleksandra Wielkiego do zwycięstwa.

#

Mija osiemnaście miesięcy: trzy krótkie utwory muzyki kameralnej i dwa nieduże cykle pieśni. Młody mężczyzna kuli się w budce telefonicznej przed redakcją gazetki studenckiej. W kieszeni ma siną kopertę z cienkiego papieru z listem lotniczym, któremu dotarcie do adresata zabrało dwa tygodnie. Świat właśnie o mały włos uniknął totalnej katastrofy. Ale Peter Els ma inne zmartwienia niż głowice jądrowe uchwycone na rekonesansowym zdjęciu zrobionym z powietrza nad biedną tropikalną wyspą.

Kartka jest pokryta drobnym, elfim pismem.

*Drogi Peterze!*

*Nie myśl, proszę, że tutaj, w Merrie England, zamieniłam się w rozpustnicę, jednak sprawy się skomplikowały.*

Czeka z rozmową do po północy, kiedy opłaty za połączenia są niższe. Po drugiej stronie świata jest już rano. W akademiku nie ma aparatu, toteż musi skorzystać z budki, do której przychodzi z garścią monet. Sądząc z opustoszałych ulic kampusu, kryzys nuklearny nadszedł i minął. Powietrze jest tak przeraźliwie zimne, że goła skóra palców przykleja się do obudowy automatu telefonicznego, kiedy zdejmuje rękawiczki, aby wybrać numer.

Clara zgłasza się *mezzo piano*. Jej głos jest zduszony i opóźniony przez odległość, którą musi pokonać transatlantyckim kablem.

– Peter?

W odpowiedzi wrzeszczy do słuchawki, sprawiając, że jego głos powraca echem *unisono* niczym w kanonie.

Począwszy od pierwszego fonemu, ta rozmowa to jedna wielka pomyłka. Zachowują się, jakby grali w kloca. On prosi o wyjaśnienia, a następnie



o elucydację do wyjaśnień, po czym jeszcze domaga się objaśnienia elucydacji. Monety wpadają do szczeliny w zastraszającym tempie, a on mówi rzeczy w rodzaju:

– Wcale nie krzyczę.

Czynsz za tydzień, za dwa tygodnie, wreszcie za trzy znika na jego oczach, a Peter nadal nie rozumie, co ta lekkomyślna kobieta do niego mówi ani co on ma począć z bezużytecznym stopniem licencjata z muzykologii i nieukończonymi studiami chemicznymi, pozbawiony jedynej słuchaczki, która się dla niego liczy. Pyta więc, co się zmieniło, na co ona odpowiada: nic.

– Zatem to koniec? Kaput?

Z milczenia Clary wnioskuje, że jej zdaniem przedwczesna śmierć też może być błogosławieństwem.

W położonym na terenie średniowiecznej uczelni pokoiku o kamiennych ścianach w tle leci z jej sprzętu grającego jakaś muzyka. Mahler. Mahler do śniadania. Mimo że Clara zaprzecza, on wie, że nie jest sama. Skwapliwego ucha nadstawia ktoś inny.

Lecz Peter Els nawet w tej chwili, w oszronionej budce telefonicznej pod lampą uliczną parującą w sublunarnym chłódzie, słyszy melodie – formy i gatunki, na które sam nigdy by nie wpadł. Jego spuchnięte siniejące palce gmerają w kieszeni z listem. Pragnie nabazgrać notatkę mnemoniczną, która mu pomoże odzyskać te dźwięki, gdy już będzie po koncercie, ale dłoń jest zbyt zdrętwiała, aby utrzymać pióro.

– Zatem to wszystko było zwykłym kłamstwem – mówi Peter. – Wszystko było bez znaczenia.

Przez echo jej głos nabiera cech *stretto*.

– Peter... Tak musi być. To wyjdzie na dobre nam obojgu.

– Z nami koniec.

– Przestań tragizować. Zobaczymy się jeszcze. Życie nie jest wcale takie...

Dopiero za drugim razem udaje mu się odłożyć słuchawkę na widełki. Ręce ma jednak za słabe, aby szarpnięciem otworzyć drzwi budki i wydostać się na zewnątrz. Gramoli się na ulicę bokiem i rusza przed siebie jezdnią czarną od lodu i pozbawioną żywego ducha. Jest sztywny z zimna. Kiedy robi wydech, powietrze zamarza mu na górnej wardze. Bierze wdech i czuje, jak na powierzchni płuc osiadają mu kryształki. Ma do przejścia tylko

sześć przecznic. Po dwu dociera do niego: mam poważne kłopoty. Rozważa, czyby nie zapukać do drzwi najbliższego domu, ale zdaje sobie sprawę, że prędzej by umarł, niżby ktoś mu otworzył.

Znalazłszy się pod swoim mieszkaniem, drapie pazurami, aby dostać się do środka. Czuje się tak, jakby twarz i kończyny miał odmrożone. Nawet zimna woda prosto z kranu parzy go jak żywy ogień. Drzeniem nadwerężył sobie mięśnie pleców. Wczołguje się do łóżka i śpi przez szesnaście godzin.

Wstaje tylko po to, by rzucić się w wir pracy. Uratować może go wyłącznie nowa kompozycja – coś radosnego i brutalnego, i bezlitosnego.

Każdemu, kto o to zapyta, przez następne pół wieku będzie mówił, że muzyka nie opisuje rzeczywistości. Ona jest rzeczywistością. I przez wszystkie te lata w pięćdziesięciu czterech utworach – począwszy od kawałków na flet i taśmę, a skończywszy na kompozycjach na chór i orkiestrę – jego muzyka będzie krążyć wokół jednego i tego samego motywu: energicznego, kotłującego się przypływu, który urywa się, niejednokrotnie w pół nuty pomiędzy akordem nadziei a atonalnym cięciem nicości.

*Wszyscy wprawdzie zmartwychwstaniemy, ale nie wszyscy będziemy odmienieni*<sup>[15]</sup>. „Zobaczymy się jeszcze”. Nie wiadomo jednak kiedy. Wystarczy nadstawić ucha na ten zmienny, niejasny rytm, na obietnicę, że wszystko jest możliwe, a ono samo zapragnie wolności.

#

Cud podczas mszy w Bolsenie w 1264 roku. Na oczach wątpiącego księdza hostia skrwawiła korporał w trakcie komunii. Kapłan odzyskał wiarę.

#

Noc okazała się krótka i niespokojna, a Elsowi nie pomogła nawet przelotna utrata przytomności. Pośrodku koszmaru musiał bronić *III Kwartetu smyczkowego Szostakowicza* przed trybunałem. Akt oskarżenia głosił, że utwór jest elitarny, nieodpowiedzialny, formalistyczny i pełen ukrytej mizantropii. Els usiłował pokazać sądowi, jak bogata to kompozycja, jak nabrzmiała od strasznej wspaniałości. Trybunał jednak dopisał te epitety do aktu oskarżenia.

Później prokurator zwrócił się przeciwko samemu Elsowi. Przedstawił listy do Clary i Maddy – Peter przyznawał się w nich do tego, że darzy uczuciem te rodzaje muzyki, które większość ludzi uważa za bezwartościowe

i odstręczające. Zanim Els się spostrzegł, przegrał i musiał patrzeć, jak internetowi sędziowie wyrażają dlań swoją pogardę i sugerują sposoby upokorzenia go. Ten sen ścisnął go za gardło i Peter obudził się, łapczywie łapiąc oddech. Mimo że dopiero przeżył nalot, poczuł ulgę, budząc się we własnym domu.

Jeszcze jedna agencja federalna – Połączone Siły do Zadań Zapewnienia Bezpieczeństwa – w minionych sześciu latach nie miała do czynienia z żadnym prawdziwym zagrożeniem. Uzięła się więc na emeryta z domowym laboratorium mieszkającego w prowincjonalnym mieście uniwersyteckim.

Rozkołysał się, by wstać z łóżka, i poświęcił trochę czasu ciału. W łazience postanowił, że mimo wszystko rozpyta się trochę. Napisze maila do tej koleżanki z wydziału prawa. Albo jeszcze lepiej – złoży jej wizytę w pracy i osobiście wszystko przedstawi. Następnie zadzwoni pod numery zamieszczone na wizytówkach Mendozy i Coldberga i rozpocznie mozolny proces odkręcania wszystkiego. Kontakty z machiną biurokratyczną wymagały tylko zwierzęcej cierpliwości i prostoduszności świętego. Był w stanie udawać jedno i drugie, przynajmniej do czasu.

Najpierw jednak coponiedziałkowy spacer zakończony naleśnikami z jagodami. Potem będzie miał czas na parę telefonów przed południowymi zajęciami z historii muzyki w Shade Arbors, które prowadził raz w tygodniu dla ludzi tak starych, że sami byli historią.

Els o wiele za późno zrozumiał, że człowiekowi myśli się najlepiej przed wschodem słońca. Obecnie jego największym dokonaniem był spacer na dwie godziny przed tym, zanim budziła się okolica. Samo poruszanie nogami wprawiało go w stan błogości. Gdyby odkrył to za młodu, byłby może miał na koncie masę wesołych, pełnych radości życia utworów, które by cieszyły jego i innych.

Włożył strój do gimnastyki – obszerne szare spodnie od dresu i kasztanową bluzę – po czym wypił herbatę w typowym dla niego radosnym milczeniu. W końcu złapał kluczyki do fiata wiszące na haczyku przy tylnych drzwiach i zawołał na psa. Pies nie dał znaku życia.

Przejechanie półtora kilometra po to, aby przemaszerować ich pięć, było typowo po amerykańsku bezsensowne. Kiedy Peter zatrzymywał się nieopodal parku, przedświt na niebie właśnie zmieniał barwę na brzoskwiniową. Jakaś pełna zapału młoda kobieta biegła już po ubitej

ścieżce. Pokrywające ziemię polne kwiaty wydawały się aksamitne w rodzącym się świetle. Białe przebiśniegi, żółte jaskry i cały kobierzec niemalże indygowych krokusów wśród innych kwitnących roślin, których Els nie potrafił nazwać, choć widywał je co wiosną od dziesiątek lat. W powietrzu było czuć niedorzeczny zapach możliwości.

Gdy zaczął maszerować, niedawne fiasko zbladło, a problem zaczął się wydawać możliwy do ogarnięcia. Coldberg i Mendoza nagle zaczęli przypominać gapowatych policjantów bliźniaków noszących meloniki w *Przygodach Tintina*. Zajął pozycję jakieś sto metrów za joggerką i rozpoczął własną powolną wspinaczkę na Parnas. Co parę kroków rozglądał się za Fidelio, jakby labradorka przed chwilą gdzieś odbiegła.

Park zakrawał na widoczek z siedemnastowiecznego landszaftu. Elsa nie zakotwiczało w terażniejszości nic oprócz joggerki. Kobieta miała na sobie sportowy stanik i szorty z jakiegoś lśniącego, czułego na warunki środowiska sztucznego materiału i biegła, jakby była modelem na lekcji anatomii. Za czasów młodości Petera kobieta ubrana tak jak ona w takim mieście jak to została by aresztowana za obrazę moralności publicznej. Elsowi wydawała się nieludzko godna pożądania. Na szczęście pożądanie już dawno go opuściło.

Wyprzedziła go, kiedy dobiegał do skrzyżowania alejek. Zwiększył tempo, przez pewien czas trzymając się tuż za nią. Siedemdziesięcioletni staruszek ścigający prawie nagą dziewczynę po polanie o poranku – scena prosto z barokowej opery mitologicznej. Połyskująca postać znowu wyrwała do przodu, unicestwiając błędzące mu leniwie po głowie amoralne myśli – oraz metaforę.

Białe kabelki biegły z bransolety na ramieniu kobiety do jej uszu. Słuchanie muzyki przy joggingu było na głowę słuchanie muzyki podczas jazdy samochodem. Istna przenośna szafa grająca. Tysiąc jeden hitów w jednym metalowym pudełku. Kiedy ta kobieta osiągnie wiek Petera, kierowane myślą odtwarzacze będą zintegrowane z korą słuchową. I w samą porę, bo do tego czasu cały naród zdąży ogłuchnąć.

Els był zdania, że Mahlerowi spodobałyby się odtwarzacze MP3, dudniące muzyką. Jego symfonie, podszyte melodiami tanecznymi i karczemnymi przyśpiewkami, bardzo przypominały wulgarną playlistę. Piąta pieśń *Kindertotenlieder* miała swoją przejmującą pozytywkę, a *Das Lied von der Erde – Pieśń o ziemi* – wzięła inspirację z jednego z najstarszych chińskich zwojów. Prawdziwi kompozytorzy nie bali się

nowinek technicznych, tylko je wykorzystywali. Co jednak zrobić z półtora milionem nowych piosenek rocznie?

Raz Els całymi miesiącami ciął żyłką ćwierćcalową taśmę do magnetofonu szpulowego, po czym mozolnie sklejał kawałki. Zaprogramował komputer, aby ten wygenerował kwintet smyczkowy za pomocą funkcji prawdopodobieństwa i łańcucha Markowa. Mając tyle lat co joggerka, Peter wierzył, że technologia cyfrowa ma szansę ocalić muzykę poważną przed gettem sali koncertowej. Teraz to sala koncertowa potrzebowała ocalenia.

Znalazł się pod gigantycznymi pniami; rozłożyste korony filtrowały blade światło. Setka drzew trafiła do parku w tym samym czasie i teraz – *largo* – zaczynała go wspólnie opuszczać. Co silniejszy wiatr powalał kolejne rosochy. Park będzie wyglądał zupełnie inaczej – trywialniej, jaśniej – gdy Els także już się wyniesie.

Bogini nie zwracała uwagi na drzewa. Jej kolana, niczym bliźniacze pistofony, unosiły się wysoko i gładko. Na oliwkowych kończynach wystąpiły plamki potu. W którymś momencie Els wypatrzył jej profil między gałęziami. Rezolutną, lecz obojętną twarz miała skoncentrowaną na odległej o godzinę czy dwie przyszłości. Zakończyła kolejne okrążenie i znów znalazła się za jego plecami. Kiedy ponownie go wyprzedzała, rzuciła pogodnie, mechaniczne „dzięki”.

Błaszący skarławy łomot dolatywał z jej minisłuchawek i ciągnął się jej śladem. Els nie potrafił rozgryźć smaku jej szczęścia. Park, wczesne wiosenne kwiaty, rześkie powietrze jakby prosto z rajy – wszystko było dla niej zabarwione brzmieniem niewidzialnych instrumentów, których oprócz niej nikt nie mógł usłyszeć.

Raz jeszcze miał ją przed sobą. Widział, że kobieta od czasu do czasu sięga prawą ręką do bransolety na lewym ramieniu, całkiem jak w technice arpeggiowej obu rąk w wypadku etюд Chopina. W końcu się domyślił: przeskakiwała utwory.

Na zarośniętych brzegach stawu kawałek dalej na południe ptaki przymierzały się do wiosennej wędrówki. Els zliczał różne głosy, ale stracił rachubę w okolicach tuzina. Była to pełna świeżości, zadziwiająca muzyka wymykająca się ludzkim konwencjom: dokładnie to, czego szukał przez całe życie, miał tutaj przez cały czas, i to za darmo.

Po lewej wrona zakrakała w koronie mizernej sosny. Gdzieś w pobliżu

zaświergotał jakiś maluch – niewidzialny solista odkrywał starą melodię, jak czynili jego poprzednicy przez miliony lat przed pojawieniem się człowieka. Els biegł lekko przed siebie, unosząc się na fali rozproszonego harmideru tego porannego chóru. Joggerka ukazała się znów w przerwie roślinności, nadal wydając bezlitosne wyroki. Wytrzymała mniej więcej pół minuty między kolejnymi strzałami – oskarżyciel i sędzia w jednej osobie tego sądu kapturowego. Co paręnaście kroków skazywała Właśnie Leczącą Melodię na zapomnienie.

Jej odtwarzacz musiał mieścić tysiące nagrań, usystematyzowanych według wykonawcy, roku powstania, gatunku i oceny użytkownika. Parę kliknięć w głównym menu i joggerka stawała się ministrem kultury własnego niezależnego dominium zwanego pożądaniami. A jednak pomijała dwadzieścia razy więcej piosenek, niż ich wysłuchiwała. Po pół kilometra Els zrozumiał dlaczego – korzystała z opcji losowego odtwarzania, która zmieniała oblicze muzyki na zawsze, tak jak Monte Carlo zmieniło oblicze świata. Kobieta przechodziła od utworu do utworu, zupełnie jak osoby biorące udział w szybkich randkach przechodziły od jednego kandydata do drugiego. Melodie rozbijały się o nią przypadkowymi falami: sieczka kompilacji będąca prawem przynależnym jej z urodzenia.

Joggerka skierowała się na południowy wschód, ku liceum, dokonując muzycznych wyborów niczym demiurg ewolucji. Wyraźnie czegoś szukała: doskonałego dźwiękowego narkotyku. A podręczna apteczka pękała w szwach: podtlenek azotu big-bandów lat czterdziestych; eter standardów jazzowych; diamorfina punka; metamfetamina techno; nikotyna folku; kannabidiol śpiewów w języku palijskim; kofeina muzyki karnatackiej; kokaina tanga...

Choć odtwarzacz był jej prywatnym rezerwuarem, wybieranie na chybił trafił kończyło się śmiercią dziesiątek piosenek z rzędu. A może kobieta surfowała po mobilnym internecie – 3G, 4G albo 5G w zależności od tego, która generacja bezprzewodowości obowiązywała tego ranka. Serwerownia na drugim końcu świata pompowała do jej naramiennego sfigmomanometru miliony melodii, z których żadna jej nie odpowiadała. Gust istniał po to, by ograniczyć ten rozszalały rwący potok ludzkiej kreatywności do znośnego poziomu. Ale apetyt nigdy nie liczył się z gustem. Ile melodii było człowiekowi potrzebne do szczęścia? O jedną więcej. Tę najnowszą.

#

Całe to hokus-pokus z bakteryjną krwią bierze się z pigmentu, prodigiozyny. Od łacińskiego *prodigium* – omen, znak, zwiastun. Słowem: cud.

#

Słońce wzeszło i okolica zaczęła się budzić do życia. Przecznicę dalej rzępoliły na asfalcie koła aut. Els wyszedł zza południowo-zachodniego rogu parku i minął neotudorowski dom, na którego podjeździe właściciel – ubrany w granatowy dres i koszulkę z napisem „LEPIEJ SIEDZIEĆ W ZASADZIE NIŻ W KWASIE” – wystawiał na krawężnik dwa plastikowe kubły na śmieci wielkości kapsułek kosmicznych. Mężczyzna pomachał Elsowi, jakby się znali. Els odmachał mu, na wypadek gdyby tak było.

Sprawdzi, co uda mu się wyszukać w sieci. Może Amerykańska Unia Praw Obywatelskich ma gorącą linię. Coldberg i Mendoza przyszli bez nakazu. Jakieś prawo zostało bez wątpienia złamane.

Znów dał się zaskoczyć bogini, wyprzedzającej go w rytmie dopasowanym do najnowszej melodii mknącej po białych kabelkach. Perska wariacja na tar dla uleczenia melancholii. Ukraińska hołosinnia. Wszystkie melodie świata ustawiły się karnie w tym wymieszanym strumieniu, czekając na swoje dziesięć sekund.

Tylko obok niego śmignęła. Ustąpił jej z drogi, schodząc na trawę. Powietrze nad jego głową, w koronach drzew, nadal było rozświergotane. Cicibej, cicibej. Czak, czak, czak, kek. Di, di, di, di, dieh... Bałaganiarskie odgłosy obejmujące każdy możliwy akord, jaki był w stanie nazwać Els. Ale jeśli nawet przebijała z nich jakaś przewodnia nuta, człowiek okazał się zbyt gruboskórny i zbyt stary, by ją usłyszeć. Harmider przypomina występ połączonych orkiestr szkolnych wyposażonych w aplikację GarageBand. Jednak tutaj ten nadmiar nikogo nie martwił. Hałas zalewał Petera – energiczny, żywiołowy, błyszczący. Spośród zgiełku dobiegła wiadomość z ostatniej chwili. Trzy mocne akordy opadały w trójdzwięku durowym, po czym przeszły w tonalny refren, w którym długie dźwięki były przemieszane z krótkimi:

– Sol, mi, do-do-do-do-do-do-do...

Istota nie większa od dziecięcej piąstki wydawała dźwięk równie spizowy jak te, które prokurował mały Mozart, zanim przyszło mu do głowy udziwniać je na rokokową nutę. Els zadarł głowę i przeszukał konary, ale winowajca już zdążył się schować. Być może odgapił od uczącego się grać

dziecka albo zasłyszał melodię z przejeżdżającego w dole kabrioletu. Ptaki były znane ze zdolności naśladowczych. Na przykład ulubieniec Mozarta, szpak, podchwytywał główny motyw z jego *Koncertu fortepianowego G-dur*, KV 453. Australijskie lirogony potrafią odtworzyć odgłos trzaskania migawki, alarmu samochodowego i piły łańcuchowej tak udatnie, że można je pomylić z oryginałem.

Tymczasem ptaszek, wydawszy dwa różne dźwięki jeden tuż po drugim jak przy strojeniu instrumentu, rzucił się do wykonywania kolejnego *arpeggia* zstępującego, zupełnie jak żartowniś Beethoven wypróbujący swoich słuchaczy:

– Fa, mi, do-do-do-do-do-do-do...

Równie dobrze mógłby ćwierknąć „Eureka!” albo wyrysować koło w piasku trzymaną dziobem gałązką. W XX wieku większość muzyków uwierzyła, że skala diatoniczna jest arbitralna oraz przebrzmiała i stanowi część skompromitowanej techniki, która doprowadziła do dwu wojen światowych. Liczyło się tylko odkrycie nowego języka. A teraz to pierzaste stworzenie siedziało sobie na gałęzi i śpiewając trójdzwiękami, kpiło z niego w najlepsze. Ewolucja miała swoje dobrze ukryte potrzeby, sięgające dziesiątek milionów lat wstecz.

Bogini znowu przestraszyła Elsa; nie miał pojęcia, jakim cudem tak szybko go znów wyprzedza. Spozrzegła, że stoi jak sparaliżowany pod drzewem, i się zatrzymała. Wyciągnęła z uszu białe kabelki.

– Dobrze się pan czuje? – Akcent, ciężki, nosowy, arystokratyczny, wskazywał na to, że pochodzi z Filadelfii.

Els pokazał palcem. Ptak odpowiedział za niego, frazą doskonałą. Bogini ściągnęła brwi, poruszyła wargami.

– Pasówka białogardła! – wykrzyknęła. Gdy otworzyła szerzej usta, popłynął z nich czysty, dźwięczny alt naśladowujący głos ptaka.

Odpowiedź nadeszła natychmiast, a kobieta się roześmiała.

– Dziękuję – powiedział Els. – Czegoś takiego jeszcze nie słyszałem.

– O rany. Uwielbiam tego ptaka. Co wiosnę go wypatruję.

Odwróciła się na pięcie do odejścia, jakby nigdy się nie zatrzymała.

– Proszę zaczekać! – rzucił za nią Peter. Jedyna korzyść z jego podeszłego wieku: mógł prosić o wszystko i nikt się go nie bał. Uniósł obie ręce do uszu. – Czego pani słucha?

Powinna była się oddalić, nic nie mówiąc. Ale młode pokolenie



wiedziało, że żyje na cenzurowanym, i nie przeszkadzało mu to. Zresztą tytuły utworów bez wątpienia trafiały równolegle na jej profil portalu społecznościowego – nawet tych, które odrzucała.

Słuchawki leżały przerzucone przez jej ramię, wyglądając jak przetrącony patyczak. Ujęła je w palce.

– Przesłuchuję nowości. Wybieram rzeczy na później.

– Mam nadzieję, że zostawia sobie pani też coś na wcześniej.

Te słowa przecięły jej czoło marsem. W górze rozległa się melodia. Ptak ćwiczył nowy trójdźwięk. Dziewczyna zapomniała o pytaniu, zdekoncentrowana radością.

Kiedy opuściła spojrzenie, Els szczyrzył się do niej.

– Po co słuchać czegośkolwiek, skoro ma się to?

Bogini zaśmiała się, nie łapiąc dowcipu.

– Ma pani śliczny głos – zauważył. Chciał dodać: też wart czekania każdej wiosny.

Na twarz joggerki wypłynął rumieniec zadowolenia.

– Dziękuję – powiedziała.

I zaczęła odchodzić. Els pragnął ją zawołać. Powtórzyć za Faustem zegnającym się z życiem: „Jak pięknaś! O, nadal trwaj! Nie uchodź mi!”<sup>[16]</sup>. No ale ostatnio miał ochotę to mówić wszystkim i wszystkiemu. Kobieta uśmiechnęła się, włożyła słuchawki z powrotem do uszu, pomachała i raz jeszcze zerknęła na koronę drzewa, w której skrywał się niewidzialny wykonawca. Potem wróciła na ścieżkę do joggingu i – jak niemal wszystko inne, co Els do tego ranka uważał za oczywiste – zniknęła na zawsze.

#

Prodigiozyna zabija grzyby, pierwotniaki i bakterie. Może nawet leczy raka. Jej czerwien jest kolorem możliwości.

#

Rok 1963, ostatni miesiąc Elsa w tej ogromnej muzycznej fabryce pośród pól rolniczej Indiany, wypuszczającej w świat wykonawców. Jest wiosna, jego ostatni maj przed dyplomem. Całą zimę studiował pod okiem Karola „Klangfarben” Kopacza, starego Polaka, który do USA dotarł przez Argentynę, jednego z tych antycznych twardzieli z epoki kulturowych gigantów, którzy wyginęli na wojnie i zmartwychwstali w obu Amerykach, mitycznych marmurowych strażników utraconej sztuki. Z tego, co wiadomo Elsowi, Kopacz od dwudziestu lat nie zagrał publicznie ani jednej nuty. Zdaje

się, że facet ma muzykę w nosie, chociaż zna się na niej lepiej niż większość ludzi na oddychaniu.

Peter siedzi w gabinecie swego mentora w narożniku budynku dawnej szkoły muzycznej. Każda wolna powierzchnia jaskini Karola Kopacza, pianina nie wyłączając, jest zasłana piętrzącymi się wysoko stertami nadpleśniałych ksiąg i arkuszy papieru, partytur luzem, płyt dawno rozwiedzionych z okładkami; są tam mosiężne figurki Śiwy Tańczącego, zepsuty bandoneon, pozbawiony strun oud, talerze z czerstwymi kanapkami i oprawione w ramki zdjęcie niemal przystojnego młodego mężczyzny pod niedźwiedzią łapą Igora Strawińskiego, które Kopacz zapomniał powiesić. Przejścia między kłopotami wiodą od drzwi do biurka, od biurka do pianina, od pianina do popękanej skórzanej kozetki, którą zajmują zastraszeni studenci odbierający cotygodniowe baty.

Co siedem dni Peter Els przynosi najlepsze, co udało się stworzyć jego zielonej duszy. Kopacz w milczeniu przegląda nuty. W końcu rzuca je ze słowami:

– Za duży ruch, za mało policji.

Albo:

– Same góry, żadnych dolin.

Później Els całymi dniami wścieka się na jego wyświechtane werdykty. Ale po miesiącu przyznaje mu rację.

Tego dnia Els przychodzi z porażającym klasycznym splendorem utworem na fortepian solo. Melodia jest świeża, zaskakująca, tryskająca młodością – właśnie taka, jaka powinna być prawdziwa sztuka. Szczera i przesycona zarówno rozsądkiem, jak i uczuciem.

Profesor obrzuca wzrokiem pierwsze takty i krzywi się boleśnie.

– Co to ma być?

Treściwa polichromatyczna partytura, napakowana wszystkimi dwunastoma dostępnymi zachodniej muzyce nutami, raz po raz. Els zerznął pomysłem od Henry'ego Cowella, który prawdopodobnie ściągnął od Skriabina, bez wątplenia zapatrzony w prace kogoś jeszcze starszego.

– Podejść do pianina – rozkazuje Kopacz. Peter wykonuje polecenie. Może budzi się w nim rewolucjonista, ale przynajmniej posłuszny. – Uderz w klawisz.

Els wyciąga palec.

– Ale który...?

Imigrant przykładła jedną starczą dłoń do oczu, jakby ludobójcze stulecie wreszcie go dopadło i nie miał już dokąd uciekać.

Peter uderza w klawisz.

– Dziękuję – mówi jego mentor, emanując łaską. – Co słyszysz?

– C? – bąka Peter. Gorączkowo zastanawia się nad prawidłową odpowiedzią. – C oktawy wielkiej, wielkie C.

– Tak, tak – niecierpliwi się Kopacz. – Ale co jeszcze? No, uderz znowu!

Zdumiony Peter trąca ponownie ten sam klawisz.

– No i? Matko Boska... Gdzie ty masz uszy?

Els stuka w klawisz. Nic nie rozumie. Czy to róg mgłowy nocą? A może grający kaloryfer z sypialni jego dzieciństwa? Równie dobrze może to być otwierający takt pierwszego preludium z pierwszego tomu *Das Wohltemperierte Klavier* Bacha. Uderza w klawisz mocniej, nic nie mówiąc.

Jego nauczyciel zwiesza głowę i jęczy coś o upadku cywilizacji.

– Po prostu słuchaj – błaga. – Pozostań w tym dźwięku...

Els słucha. Centralne ogrzewanie budynku wyłącza się, dopiero teraz zauważalne. Peter słyszy spółgłoski wyrzucane przez dwie kłócące się osoby. W dole korytarza ktoś ćwiczy *Adagio z Sonaty Patetycznej* Beethovena. Ktoś inny piłuje cztery takty *Koncertu wiolonczelowego* Elgara, aż zaczyna to przypominać Fluxus. Sopran rozlega się gwałtownymi polichromatycznymi wzniesieniami i upadkami, niczym muzyczna ilustracja choroby morskiej. Coś – chyba duży karton – uderza w ceglana ścianę z sześciosekundowymi przerwami. Na zewnątrz para młodych flirtuje cicho po hiszpańsku. Kilka przecnic dalej syrena mknie do czyjejś ostatecznej życiowej katastrofy. Przez cały ten czas Karol Kopacz siedzi przy biurku z twarzą w dłoniach, tonąc w muzycznej goryczy.

Els nie zważa na niego i słucha dalej. Koncentruje się dopóty, dopóki dźwięk, który wydobywa z pianina, nie rozpada się na dwoje. Teraz, gdy już przestał zakładać, że nie ma nic więcej do usłyszenia, natychmiast widzi, z czym ma do czynienia.

– Słyszę także c oktawy małej.

Jest przygotowany na obelgi. Jednakże nauczyciel chrząka triumfalnie.

– Dziękuję. Może twoje uszy mimo wszystko do czegoś się nadają. Co jeszcze?

Ulga zamienia się w panikę. Zabawa wcale się nie skończyła. Ale skoro Peter słyszy też dźwięk g powyżej tego c, kwintę czystą przebijającą niczym

promień słońca przez chmurę, musi to powiedzieć głośno.

– Dalej – zachęca go przeflancowany Polak.

Teraz zabawa zaczyna się na dobre. Oprócz kwinty czystej – kwarta czysta. Peter nigdy dotąd nie brał poważnie konceptu, że zawahanie się nad nutą powieli ją, potraja i tak dalej zgodnie z ciągiem liczb całkowitych.

Ma już mapę; wie, jakich wysp może się spodziewać dalej na otwartym morzu. Przestaje oddychać i skupia się. Wkrótce odnosi wrażenie, że słyszy c ponad tym g i ponad pierwotnym c dźwięczącym mu wciąż w uchu. Stwierdza to, po czym szuka w spojrzeniu nauczyciela pochwały. Sękaty palec Kopacza kreśli w powietrzu leniwą elipsę: nie przestawaj.

Jeszcze wyżej ukrywa się tercja wielka, a za nią mała, dalej zaś cały szereg harmoniczny. Els zna go na pamięć, mógłby więc bezkarnie zacząć oszukiwać. Lecz wciąż jest u progu życia, zarażony idealizmem. Nie wypowie ani jednego tonu, którego sam nie usłyszy.

Opada go przekonanie, że nawet osesek musi czuć tę niepewność, tę determinację, to napięcie biorące się z serii zakamuflowanych dźwięków, które ucho wychwytuje, nawet o tym nie wiedząc. Przez moment czy dwa jest bliski apostazji; może prawa harmonii jednak nie są ograniczeniem narzuconym przez przypadkową konwencję. Uderza w klawisz mocniej. Dźwięk zagłusza studentów ćwiczących obok, usilnie starających się poznać arkana swojej sztuki. Próbuje wyekstrahować e ponad tym trzecim c, wysoko na tęczy pojedynczej nuty. Ale im dłużej się przysłuchuje, tym bardziej akord zatraca się w gniewnym szumie jarzeniówek.

– E – podpowiada Kopacz na wpół pogrążony we własnych myślach. – I jeszcze jedno g. A ponad nimi b.

Peter nie potrafi się zdecydować, czy mentor słyszy te dźwięki, czy raczej – jak fizyk wysokich energii – tylko stwierdza ich teoretyczne istnienie. Słyszalne czy nie, są jednak obecne: wszystkie po kolei ze skali chromatycznej. Słodka stabilność i miazdząca niezgoda, cała paleta od zmysłowego powabu do mszy żałobnej. A Peter jak dotąd słyszał wyłącznie to, co elementarne.

Kopacz unosi jego kompozycję w powietrze lewą ręką. Bębni po niej palcami prawej.

– Ileż nutek potrzebujesz naraz? Weź pojedyncze c i już.

Peter gapi się na niego, lecz nauczyciel tego nie dostrzega. Jest zajęty odgarnianiem wariackiej siwej grzywki z czoła. Opada na krzesło zawieszona

i rzuca:

– A teraz cis.

Gdy rozlega się dzwonek kończący lekcję, Peter ma wrażenie, że słyszy akord tristanowski. Ciska partyturę frenetycznego preludium na fortepian do zielonego kontenera na śmieci za rogiem, gdzie ląduje ona na wierzchu kawałków płyty gipsowej, fragmentów połamanego biurka i ryz zużytego papieru maszynowego. Wycofuje się do swego pokoju w akademiku i tam zostaje. Zza centralnego budynku uniwersytetu, ponad rozległym trawnikiem, dochodzą przez megafon zawołanie i odpowiedź wzywające do demonstracji. Skandowanie ludzi domagających się sprawiedliwości dla niego brzmi jak gorliwy chór ludowy proszący się o aranżację.

Pracuje do późna, kastrując swój styl ze wszystkich niepotrzebnych ozdobników. Pozwala, by telefon dzwonił w nieskończoność, aż monotony terkot przemienia się w pełną gamę dźwięków. Pukanie do drzwi, na które też nie reaguje, przypomina odgłosy wydawane przez kotły. Przytłumione dwa nowe longplaye, które ukazały się tego tygodnia, przesączają się przez ściany z pustaków – dwie całkowicie różne od siebie płyty mające zmienić świat i natchnąć nostalgią na długie lata. Odbiera je podobnie, jak Claude Debussy musiał odebrać swój pierwszy kontakt z muzyką indonezyjskiego gamelanu.

Skrzypnięcie szuflady biurka staje się poematem symfonicznym, a piszczące zawiasy drzwi tną powietrze niczym tenor bohaterski. Bardzo szybko muzyka Elsa nabiera porażającej prostoty. Ale już dwa miesiące później wraca do dawnego siebie – lekcja idzie w niepamięć, a może nie tyle w niepamięć, ile do schowka – on zaś znów stoi samotny pośród szerokiego spektrum alikwotów pozostających poza jego zasięgiem.

#

W 1906 roku M.H. Gordon wypłukał usta *S. marcescens* i wyrecytował Szekspira w Izbie Gmin; sprawdzał, czy bakteria się rozprzestrzeni.

#

Podczas drogi powrotnej Els zwalczył pokusę włączenia radia samochodowego. Nie bał się tego, co usłyszy: wszyscy popadamy w przyzwyczajenie na długo przed nadejściem armagedonu. Jazda do domu trwała zaledwie pięć minut, a to, czego mógłby się dowiedzieć o strefie zakazu lotów nad Libią czy też chmurze radioaktywnej nad Fukushima, nie było warte dalszej atomizacji jego mózgu. Przed dwoma laty natknął się na

pierwsze artykuły o chronicznych problemach z koncentracją, nie pamiętał już gdzie. Od tamtej pory starał się zażywać dzienną dawkę mediów w ilościach nie mniejszych niż kwadrans naraz.

Wyniki trwających trzydzieści osiem lat badań wstrząsnęły nim. Dwaj badacze, z których jeden zdążył już umrzeć, spędzili trzynaście tysięcy dni na przeraźliwie nudnych testach. Metoda badawcza była raczej surowa niż elegancka. Ale brutalne dane nie pozostawiały wątpliwości: w ciągu prawie czterech dekad mieszkańcy Ameryki Północnej wszystkich grup demograficznych stracili przeciętnie jedną trzecią swego „czasu skupienia uwagi”. Obaj badacze – których nazwisk Els nie zapamiętał – udokumentowali znaczący spadek ludzkiej zdolności do odsiewania zakłóceń i wykonywania prostych zadań. Narodową koncentrację szlag trafił. Obywatele mieli dziurawe głowy i dziurawe ręce w porównaniu ze swoimi przodkami z epoki odchodzących do lamusa urządzeń analogowych.

Blogerzy podchwycili temat na niecały tydzień. Po szóstym dniu kwestia chronicznych problemów z koncentracją ucierpiała od własnych objawów. Wyczerpanie populacji planktonu, spadek liczebności ryb, zmniejszanie się pszczelich rojów, pluskwy domowe i robaki komputerowe, otyłość i zabójcza grypa – bolączek było za dużo, aby którejs poświęcić więcej niż kilka minut uwagi. Mimo to Elsa przeszedł dreszcz taki sam jak wtedy, gdy zobaczył wykaz stu pojęć najczęściej wpisywanych w popularną wyszukiwarke internetową. Wkrótce potem Peter zaczął przedkładać ciszę nad jakiegokolwiek dźwięki w tle.

Zatem jechał do domu w ciszy. Zamieszanie spostrzegł, zanim skręcił w South Linden. W pierwszej chwili pomyślał, że jego sąsiad znów doznał zawału. Na podjeździe zaparkowały dwie kremowe, pozbawione okien furgonetki. Przy krawężniku stał zwykły wóz. Budynek odgradzały wstęgi żółtej taśmy, załamującej się pod kątami przeczącymi każdemu dowodowi geometrycznemu. Powtarzalne, czarne, wielkie litery układały się w szumiące na wietrze słowa „WSTĘP WZBRONIONY”.

Ludzie w białych kapturach i strojach ochronnych wynosili z jego domu wszystkie sprzęt. Trio w garniturach kierowało ruchem. Coldberg stał u szczytu betonowych schodków, potrząsając telefonem komórkowym. Peter zobaczył w przerwie między budynkami, że na tyłach domu dwaj inni ludzie w strojach ochronnych rozkopują grób Fidelio.

Els zwolnił i zaparkował, mocując się z kierownicą. Ta scena wyglądała

na zaczerpniętą z finału eksperymentalnej europejskiej inscenizacji *Borysa Godunowa*. Postacie – w nadymających się białych skafandrach kosmicznych z kapturami i rękawicami, przypominające pszczelarzy działających w warunkach zagrożenia biologicznego – sprawnie umieszczały jego majątek w pojemnikach magazynowych, które następnie były oznaczane naklejkami, fotografowane i zanoszone do furgonetek. Jeden z zakapturzonych ludzi niósł ostrożnie cyfrową wagę laboratoryjną Petera. Drugi trzymał w ramionach jego komputer, jakby to było ratowane z pożaru dziecko. Pojemnik ze szkłem laboratoryjnym stał na trawniku przed domem. Na jego wierzchu, zapieczętowany w wielkim plastikowym worku, leżał szesnastowieczny manuskrypt z arabskim zapisem nutowym.

Oddział wojska pustoszył dom Elsa, jakby występował na planie kiepskiego programu typu *reality show*. Peter zapragnął wysiąść z samochodu i wydrzeć się na intruzów. Zamiast tego jednak przyglądał się tylko rozgrywającym się na jego oczach wypadkom, mając mgliste wrażenie *presque vu*. Mieszkająca naprzeciwko stewardesa w średnim wieku wyległa na zewnątrz i pstrykała zdjęcia komórką, dopóki jeden z garniturów nie podszedł do niej i nie kazał jej przestać. Z tylnego ogrodu, gdzie toczyły się prace wykopaliskowe, dobiegł triumfalny okrzyk. Els zgarbił się na siedzeniu fiata, ukrywając twarz. Kiedy mężczyzna w garniturze wrócił do swojej ekipy, Els odbił od krawężnika i ruszył ulicą.

Musiał się zastanowić. Skręcając ciągle w lewo, objeżdżał przyległy kwartał. Przed oczyma miał widok pobojuwiska wewnątrz domu: otwarte pudełka po płytach kompaktowych leżące na podłodze, przekartkowane i porzucone byle jak książki, roztrzaskane puchary z komorą chmurową, skonfiskowane utensylia recepturowe i odczynniki popakowane w opisane woreczki. Zdjęcia i dokumenty, brudnopisy poronionych kompozycji – wszystko przetrząśnięte i zabrane przez odzianych w biel żołnierzy.

Po czterech zakrętach jechał przed siebie wzdłuż Taylor, kierując się z powrotem ku South Linden. Znalazłszy się w połowie ulicy, zobaczył, jak jeden ze skafandrów, stojąc na dachu jego domu, bada komin prętem. Inny, stojąc przy otwartej furgonetce, sprawdzał kolejno zafoliowane paczuszki jakimś ręcznym miernikiem. Na tyłach domu dwaj mężczyźni pobierali z narzuty Maddy próbki ziemi, przenosząc je do specjalnych fiolek. Pod nogami mieli ogromny plastikowy pojemnik wypełniony czymś brunatnożółtym. Fidelio.

Els przystanął na dłużej przed znakiem stopu. Musiał pomyśleć. Nie złamał prawa. Coldberg i Mendoza nie postawili mu żadnych zarzutów. Kazali mu tylko pozostać na miejscu. Potrzebował godziny, żeby się uspokoić i przygotować historyjkę. Opuścił skrzyżowanie i minął własny podjazd, nie zatrzymując się.

Jechał bezmyślnie przed siebie. Żeby pozbyć się szumu w głowie, włączył radio. Laureat nagrody Emmy przetrzymywał swoją byłą żonę w charakterze zakładniczki w jej apartamencie w Aspen. Els dojechał do zachodnich krańców kampusu. Mógłby zaparkować i zasięgnąć porady prawnej u Kathryn Dresser. Ale ona z pewnością próbowałaby go namówić do złożenia swego losu w ręce władz – tych samych władz, które właśnie wybebeszyły jego dom bez najmniejszego powodu.

Gdy po prawej zamajaczyła ulica handlowa kampusu, skrzył kierownicą. Studenci włązili mu pod koła niczym postaci z gry komputerowej na pierwszym poziomie. Przez okno dolatywał zapach smażonego jedzenia. Peter nie miał nic w ustach od minionego wieczoru. Zatrzymał fiata na miejscu opłaconym w parkometrze na kolejne pięćdziesiąt minut i przez moment czuł się tak, jakby to był jego szczęśliwy dzień.

Zasiadł w rogu sieciowego lokalu i modlił się nad śniadaniem, na które zamówił mleko migdałowe z pianką i jagodowego muffina wielkości małej otomany. Ze zdenerwowania przepocił bluzę i teraz cały cuchnął. Z rozmieszczonych wszędzie głośniczków zalewała go dudniąca, hipnotyzująca, przedobrzone, wezbrana, rwąca rzeka pożądania. Temat krążył wokół trzech interwałów: prymy, tercji małej i trytonu, a wokalistka w zmiennym, nieregularnym tempie śpiewała zwarte dwuznaczne słowa.

Najlepszym rozwiązaniem było oddać się w ręce władz. Przeglądał w pamięci listę posiadanych przedmiotów, które by dowiodły jego niewinności. Tylko że agenci Połączonych Sił mieli jego notatki pełne fantazji dotyczących modyfikacji genetycznych bakterii. Mieli jego komputer z całą pamięcią podręczną i historią wyszukiwania. Za parę godzin odkryją, na jakie strony zaglądał minionego popołudnia – przepis na ekstrakcję rycyny; informacje o węgliku.

Po wyjściu z powrotem na ulicę kampus wydał się Elsowi obcy i pełen rezerwy. Studenci w krótkich spodniach i koszulkach odsłaniających opalone, wytatuowane kończyny wymijali go, nie odrywając wzroku od wysyłanych SMS-ów. Peter wkroczył na biegnącą po przekątnej ścieżkę



prowadzącą do wydziału muzyki. Z naprzeciwka machała mu filigranowa, elokwentna i niezdrowo wylewna koleżanka z katedry skrzypiec. Chyba oszalał, przychodząc tutaj! Okręcił się na pięcie i uciekł.

Wrócił pośpiesznie do samochodu i skierował się do bankomatu po drugiej stronie kampusu. Ekran urządzenia w wersji dla zmotoryzowanych pogroził mu kilkoma opcjami. Els wypłacił dwieście dolarów. Jak szybko ta transakcja będzie do namierzenia? Kamera ukryta za przydymionym szkłem rozdziawiała na niego oko. Peter zamaszystym gestem odrzucił z twarzy grzywkę.

Następnie podjechał do biblioteki publicznej trzy przecznice dalej. O tej porze przybytek był pusty, nie licząc paru matek z małymi dziećmi, emerytów takich jak on i bezdomnych. Zajął stanowisko w czytelnicy czasopism na parterze i spróbował poukładać sobie wszystko w głowie. Dwa miesiące wcześniej w tym samym miejscu przeczytał artykuł o najnowszych postanowieniach ustawy Patriot Act. Było tam coś o prawie do przetrzymywania obywateli przez czas nieokreślony nawet bez żadnych dowodów. W pamięci utkwiło mu najbardziej wyrażenie „zatrzymanie do oczyszczenia z zarzutów”.

Za parę godzin trafi do wiadomości. Ruszył się więc i przeszedł do sali bibliotecznej piętro wyżej. Zatrzymał się przy dziale popularnonaukowym i zaczął wodzić palcem po grzbietach, robiąc inwentaryzację pozycji, które wypożyczył przez ostatnie dwa lata, odkąd popadł w obsesję. Wspomnienia czołowego badacza będącego uczestnikiem radzieckiego programu rozwoju broni biologicznej. Społeczna historia plag. Książka zatytułowana *Ucieczka przed ewolucją*. Śledczy mogli odkryć wszystkie tytuły obciążające konto Petera Elsa w ciągu minionej dekady. Wystarczyły dostęp do odpowiednich baz danych i parę kliknięć myszką.

Els jęknął bezwiednie. Dźwięk ten przestraszył bibliotekarkę o poszarzałej cerze i dłoniach tancerki, siedzącą za ladą nieopodal wejścia.

– Coś się panu stało?

– Nie – odpowiedział Els. – Przepraszam.

Wrócił do samochodu i odjechał. Na South Linden już z daleka dostrzegł wozy transmisyjne lokalnego kanału informacyjnego. Spanikował i skręcił w Taylor. Miejsce zbrodni malało, aż zniknęło w lusterku wstecznym.

#

Naukowcy rozpylali *Serratię* w szpitalach; badali, jak się

rozprzestrzenia. Studenci biologii obmywali się nią; śledzili drogę przez dotyk.

#

Clara opowiedziała mu o tym, jak Mahler wysłał młodej Almie Schindler partyturę *Adagietto* swojej *V Symfonii cis-moll*, nie załączając żadnych wyjaśnień. Alma odesłała rękopis opatrzony tylko jednym słowem: „Tak”. Kilka tygodni później wzięli ślub. Podobnie miało być z Peterem i z Clarą. Ale Clara wyjechała nagle na stypendium do Oksfordu, gdzie bardzo szybko zaliczyła trio studentów, których dokonania znacznie przewyższały jego osiągnięcia. Przy nich Peter wydawał się amatorem.

Clara pominęła resztę opowieści o życiu uczuciowym Mahlera. Dopiero gdy Alma stała się częścią życia Gustava, jego muzyka pograżyła się w czarnej rozpacz. Sprzeczki, kłamstwa, zdrady, śmierć. Stoicka afirmacja jego wczesnych pieśni i symfonii – *Was mir die Liebe erzählt* etc. – zamieniła się w nieuleczalne rozgoryczenie. Theodor Adorno nazywał Mahlera „*ein schlechter Jasager*”, kiepskim potakiwaczem. Odkąd pojawiła się Alma i ci dwoje jęli się nawzajem katować, Mahler wprowadził dalej potakiwał, ale robił to z coraz mniejszym przekonaniem. A młody Peter słuchał jego muzyki w trakcie własnego upadku, dawno przekroczywszy punkt, w którym słabe desperackie „tak” mogłoby mu pomóc.

#

Armia przez dekady używała *S. marcescens* do testów broni biologicznej: San Francisco, nowojorskie metro, Key West. A to mnie szuka policja.

#

Dopóki Els nie stanął tamtej nocy w budce telefonicznej i nie podjął rokowań z nieznaną na drugim kontynencie, odmrażając sobie dłonie monetami, dopóty nie miał w sobie żadnego „tak” wartego wyartykułowania. Jednakże gdy Clara odeszła, pojawiła się prawdziwa muzyka. Przypominało to magiczny pakt, jaki bohaterowie oper zawierają z tajemniczymi gośćmi. Ledwie kobieta z ponadmetrowej długości włosami porzuciła Petera, skazując go na samotne życie na jałowym Środkowym Zachodzie, zaczęły się z niego ulewać przedziwne, pełne wigoru, zaraźliwe kreacje. Każdy z tych utworów był wiadomością skierowaną do obecnie obcej mu kobiety. *Wszystko pędzi przed siebie, nic nie ginie*. Gdyby najmniejszy z jego rękopisów wrócił do niego z adnotacją choćby w postaci wykrzyknika, Els

w ciągu dwóch dni byłby na Heathrow, zadłużony do równowartości biletu na lot międzykontynentalny, gotów uczeplić się nadziei, którą Clara raczyła mu pomachać przed nosem.

Tymczasem wyjechał rozbić nowy obóz w Darmstademie pośród prerii. Miasteczka Champaign i Urbana w stanie Illinois w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych: wyspa w archipelagu awangardy sprowokowanej autostradą międzystanową numer 80; wylęgarnia zmutowanych gatunków muzycznych otoczona w promieniu setek kilometrów kukurydzą, soją i prowincjonalną bogobojną Ameryką. Idealne miejsce do kontynuowania nauki przez sześć lat.

Na tym postępowym odludziu kiełkowała złota era. Poszukiwacze przygód, tacy jak Hiller i Isaacson, Johnston, Gaburo, Brün, Hamm, Martirano, Tenney, Beauchamp, wymyślali nowe zasady tak szybko, jak byli w stanie łamać stare. Mający złą sławę Festiwal Sztuki Współczesnej i pierwsze studio elektroakustyczne w Ameryce uczyniły z Uniwersytetu Illinois wspaniałą imprezę. Czar matematyki i przyciąganie naładowanych cząstek: Els poczuł się tam jak w domu, zanim dojechał na miejsce.

Ta mająca pomysł na samą siebie daleko wysunięta placówka, otoczona polami we wszystkich kierunkach, wydawała się nowym Wiedniem. W ciągu pierwszych pięciu dni studiów magisterskich Peter poznał więcej kompozytorów, niż widział przez dotychczasowe dwadzieścia dwa lata. Z dnia na dzień ucho mu się rozbisurmaniło i chłonęło z przyjemnością rzeczy, które jeszcze niedawno napawały go przerażeniem. Zapisał się do grupy studiującej perski cykl *dastgāh*. Chodził na odczyty z teorii muzyki i informacji. Interesował się muzyką w połączeniu z umową społeczną i fizjologią.

Była też nauka. W szóstym tygodniu zajęć z analizy dzieła muzycznego zachwyił się wysłuchanymi wieczór wcześniej podczas koncertu *Hermit Songs* Samuela Barbera. Grono koleżeńskie go wygwizdało. Zdumiony Els odwołał się do prowadzącego zajęcia profesora.

– To wspaniałe kompozycje, prawda?

Profesor stłumił śmiech i rozejrzał się za ukrytą kamerą.

– Jasne, pod warunkiem że ktoś ceni piękno.

Els przesiedział resztę seminarium, przeżuując upokorzenie. Wyładował swoją złość na wykładowcę w studenckiej knajpie w porze, gdy podawano taniej drinki, ale nikt nie wyraził swojego poparcia. A kiedy tydzień później

wypożyczył z uczelnianej biblioteki nagranie *Hermit Songs*, kompozycje wydały mu się tym razem banalne i przewidywalne.

W trakcie semestru nauczył się od Tomasza Manna, że „sztuka to wojna, wycieńczająca walka”<sup>[17]</sup>. Co więcej, ciężko było pozostać w dobrej formie przez dłuższy czas. Muzyka nie miała nic wspólnego z uczeniem się miłości. Polegała za to na nauce wyrzekania się: kiedy i czego się wyprzeć. Nawet najwspanialszy utwór był koniec końców skazany na los przypadkowej ofiary na niekończącej się wojnie o gust.

Ta myśl przyprawiała Elsa o mdłości. Rozważał nawet rzucenie studiów. Wylegiwał się w łóżku do południa, planując powrót na Wschodnie Wybrzeże, gdzie by poszedł do pracy jako zamiatacz albo listonosz. Mógł też wrócić do chemii. Ale zamęt w głowie i potrzeba wysłuchania tego, czego słuchała gwizdząca banda, zmusiły go do zmiany planów.

Pod koniec listopada siedział na tych samych zajęciach z analizy dzieła muzycznego i gapił się w wydłużone noski butów profesora, który krążył wokół *Wariacji na orkiestrę* Elliotta Cartera, gdy nagle otwarły się na oścież drzwi. Do sali wpadł doktorant muzykologii ze słowami:

– Zabili go. Zabili go.

Najstarsza zasada kompozycji: powtarzać wszystko. Twarz posłańca była równie blada jak powierzchnia nieudanego polaroidu, a jego prawa ręka kreśliła w powietrzu dziwaczne, gnostyczne znaki.

– Prezydenta – dodał. – Strzelili mu w głowę.

Ktoś powiedział:

– Chryste Panie.

Els podniósł wzrok na profesora, szukając zrozumienia tego, co usłyszał, ale mężczyzna stał tylko skurczony ze strachu. Dziewczyna siedząca w ławce za Peterem zaczęła pociągać nosem, co bardzo przypominało odgłos silnika, który się zaciął. Ktoś inny rzucił:

– Trzeba skombinować radio.

Jeden ze studentów położył Elsowi dłoń na ramieniu – ostatni gest niezręcznej niewinności. A jego naszała myśl – w trzech czwartych przerażająca, w jednej czwartej podniecająca – tak wyraźna, jakby ktoś wyraził ją na głos:

„Teraz nie ma już żadnych ograniczeń; wolno dosłownie wszystko”.

#

Człowiek nosi dziesięć razy więcej komórek bakterii niż

własnych. Bez nich byłby trupem.

#

Po przerwie świątecznej Els wrócił z gotowym jednoczęściowym oktetem – na skrzypce, altówkę, wiolonczelę, flet, klarnet, trąbkę, waltornię i puzon. Muzyka na nowe czasy. Utwór był pierwotnie ostrożny, wręcz pełen szacunku, lecz coś się wydarzyło, gdy nabierał ciała. Melodia zaczęła się domagać więcej miejsca, więcej radości, więcej żaru i światła. Całość stała się demoniczna – równie lekkomyślna i potężna jak rockandrollowe hymny, do których wysłuchiwanie i podziwianie zmuszał go niegdyś brat.

Zebrał grupę studentów i pochlebstwami namówił do odbycia kilku wspólnych prób, aż osiągnął satysfakcjonujący efekt na nagraniu. Kompozycja była jego zdaniem wystarczająco udana, aby zapewnić mu lekcje u najlepszych z najlepszych wydziału: ludzi, którzy zamykali się w studiu muzyki eksperymentalnej na wiele dni z rzędu, zawstydzając nawet ścisłowców z północnego kampusu, gdy idzie o narzucone sobie rygor i perfekcję.

Szykując się do pedagogicznego ojcostwa, Els postawił na Matthew Mattisona. Ten potomek klasy robotniczej z Lakehurst nosił skórzaną kurtkę pilota, trzydniową szczecinę i poluzowane krawaty przypominające pocięte płótna Pollocka. Ale rozpieiała go mroczna energia i choć nie miał jeszcze czterdziestu czterech lat, grano go już w parunastu krajach. W oczach Elsa był studium obrazoburcy mającego wkrótce trafić do muzeum wzorców. Jego najnowsze prawie półgodzinne *tour de force* stanowiło kontrapunktowy chór mistrzowsko interpretujący frazę „I co z tego?”.

Mattison zaprosił Elsa do siebie z zamiarem wysłuchania jego oktetu. Peter nie wierzył we własne szczęście – zaprosił go prawdziwy kompozytor! Idąc do drzwi frontowych nierówną, zarośniętą chwastami kamienną ścieżką, potknął się dwukrotnie.

Wizyta zaczęła się o ósmej wieczorem i nie skończyła przed pierwszą w nocy. W ciągu tych pięciu godzin przerzucania się słowami Els nieoczekiwanie musiał bronić filozofii muzycznej, która jego zdaniem nie wymagała obrony.

Peter lubił takie sprzeczki nie mniej od innych rebelianckich akolitów. Kiedyś on i Clara kłócili się do białego rana, które trzy koncerty fortepianowe zabrać do schronu przeciwoatomowego na swoje ostatnie dni. Jednakże Mattison się nie patyczkował. Przystąpił do zacieklego ataku,

krytykując nie tylko sam oktet, lecz także sprawy elementarne, które Els do tej pory brał za pewnik. Stwierdził, że Els idzie na łatwiznę, jeśli komponuje melodię, którą słuchacze będą nucić, wychodząc z koncertu. Z metrum tak regularnym, że można by do niego skakać na skakance; z melodią trącającą struny ludzkiej duszy. Czemu zamiast tego zwyczajnie nie wyśle uroczej bożonarodzeniowej kartki?

Salon, w którym się spierali, był niemal pusty, jeśli nie liczyć trzech drewnianych krzesel, które Szwedzi skonstruowali dla manekinów. Stojak pod oknem utrzymywał akwarium na złotą rybkę, bez wody, za to z kobaltowymi kulkami. Pośrodku pomieszczenia sześcian z kutego żelaza podpierał cienką tafelę szkła – stolik na kawę, który nigdy nie widział kawy, o czasopiśmie nie wspominając. Na półce wystającej z jednej ściany stała rzeźba wykonana ze śrubek, podkładek i nakrętek, wyglądająca jak inżynierska wizja słonia. Do reszty ścian były przyklejone taśmą nieoprawione wydruki – kłęby promienistych czarnych linii wygenerowane przez potężny mózg elektronowy Uniwersytetu Illinois. Trzy lata później takie same wzory będzie rysowało każde amerykańskie dziecko za pomocą spirografu.

Dyskutowali o podstawach godzinami i przez cały ten czas nauczyciel nie zaproponował uczniowi nic do jedzenia ani picia. Student bronił swych racji wytrwale, lecz w końcu – zapędzony w kozi róg – poddał się:

– To celem muzyki nie jest przyciągnąć jak najwięcej słuchaczy?

Mattison się uśmiechnął.

– Nie. Celem muzyki jest przebudzić słuchaczy. Przełamać nasze wygodne nawyki.

– A co z tradycjami?

– Prawdziwi kompozytorzy ustanawiają własne tradycje.

– Zatem Gustav Mahler nie był prawdziwym kompozytorem?

Mattison zapatrzył się w sufit pustego salonu. Gładząc się po szczecinie kłykciami, zastanawiał się nad odpowiedzią przez czterdzieści pięć sekund – połowę tego, ile trwało *Scherzo* z oktetu Petera.

– Tak. Muszę stwierdzić, że Gustav Mahler nie był prawdziwym kompozytorem. Twórcą piosenek, być może. Ale takim w okowach przeszłości.

Było bardzo późno. Els wytarł usta i nic nie powiedział. Zaczynał słyszeć różne rzeczy, dalekie rzeczy, które powoli się zbliżały, słabe, nieskruszone

i elektryzujące.

– Jeśli chcesz się u mnie uczyć – ciągnął Mattison – na początek będziesz musiał napisać utwór na temat znaku stopu na końcu mojej ulicy.

Els rozejrzał się po gołym pokoju. Białe ściany przechwytywały cień papierowego lampionu i wyginały go w kubistyczny bukiet. Peter przez długi czas nasłuchiwał przyszłości. Potem odwrócił się do swego nowego nauczyciela i zmrużył oczy.

– Zgoda. Ale napiszę go w tonacji C-dur.

#

Życie to nic innego jak wzajemne zarażanie, podczas którego każdy kolejny wirus zmienia treść zainfekowanego przekazu.

#

Walka między Mattisonem a Elsem trwała latami – bez nadziei na honorowy rozejm. Nie spierali się wyłącznie o zieloną duszę Petera. Tematem sporu była cała muzyka. Tydzień po tygodniu Els usiłował przywrócić do życia niegdysiejsze śmiałe kompozycje i natchnąć je grozą. Jego mentor zaś tydzień po tygodniu lekceważył kolejne etudy jako przejaw sentymentalizmu.

Najdrapieżniejsze utwory, jakie odważył się przedstawić uczeń, okazywały się nazbyt oswojone jak dla nauczyciela. Z czasem ciągłe głędzenie Mattisona o świeżości zaczęło trącić myszką. Mimo to nieustanne starcia sporo nauczyły Elsa o teorii i harmonii, chociaż Mattison nie krył się z pogardą dla tych przebrzmiałych zabaw. Peter dowiedział się też wiele o ludzkim uchu: co słyszy i czego nie słyszy. Przede wszystkim jednak zrozumiał, że sztuka może być orężem.

Els dorastał; atakowany nabierał sił. I wreszcie najeżony teren, na który go przez cały czas spychał Matthew, odsłonił przed nim swą chłodną wspaniałość. Niczym biznesmen, który w pewien piątkowy wieczór stwierdza, że chciałby się przebrać za kobietę i pójść do mrocznego lokalu w suterenie na drugim krańcu miasta, Peter Els opanował panikę i z podnieceniem uświadomił sobie, że teraz już chyba naprawdę jest gotów na wszystko.

Przez lata problem polegał na wyborze między Schönbergiem a Strawińskim. W 1966 roku obydwaj kompozytorzy wydawali się starzy i osobliwi. Europejska powojenna upiorność, amerykańskie ballady pop,

taśma magnetofonowa, dzingle reklamowe i chropowate mikrotony – wszystko to zaowocowało mieszkanką wybuchową. Ale w miarę poszerzania się możliwości każdy nowy element domagał się uwagi i wierności Petera. Els zrozumiał to któregoś wieczoru w kampusowej knajpie, kiedy z szafy grającej leciał Dylan zawodzący *Desolation Row*, ową przeróbkę starego hymnu Związku Górników Amerykańskich.

*A wszyscy krzyczą:*

*Z kim trzymasz?*

Nie widział najmniejszego powodu, dla którego powinien wybierać. Jednak zrozumiał wreszcie – zadziwiająco późno – jak wygląda porządek dziobania. Chwyтлиwi twórcy koncertowali. Formaliści trzymający się skali dwunastotonowej zdobywali prestiż. A przy masie kursów doktoranckich w dziedzinie kompozycji oferowanych w całym kraju człowiek potrzebował systemu równie klarownego jak zasady fizyki. Dlatego zdaniem Petera Elsa alternatywa była jasna: rygor albo światło; metoda albo uczucie.

Dopóki mógł, dopóty lawirował między tymi dwoma obozami niczym szwajcarski kurier dyplomatyczny. W końcu jednak strach zaczął mu podpowiadać: opowiedz się albo gotuj się na pogardę wszystkich stron. Niebawem ten strach stał się źródłem ekscytacji.

Miał zwykle szczęście, że żył w dobie świtu tej rewolucji. Jeszcze raz w historii muzyka miała czego bronić, czemu sprzyjać, co zrzucić z piedestału. Były sprawy do przewalczenia, utopie do wdrożenia, idole do zdetronizowania. Początkujący muzyk nie miał lepszej pozycji od czasów *ars nova* w XIV wieku i rozwoju formy sonatowej pod koniec osiemnastego stulecia.

A inspiracja czekała wszędzie. Którejś soboty, będąc na zakupach i gromadząc tygodniowy zapas gotowych posiłków do odgrzania, usłyszał przy ladzie chłodniczej dziewczynkę – nie więcej niż dziesięcioletnią, ubraną w różowe szorty, kwiecistą bluzeczkę i japonki – która nuciła do siebie, chłodząc się w lodowatych oparach uciekających z otwartej chłodziarki z lodami na patyku. W uszach Elsa melodia zabrzmiała niczym najczystszy *Magnificat*. Przez dwa miesiące przemieniał mruczenie dziewczynki, aż przybrało formę dwudziestominutowego *Porwania Kościoła* na sopran, orkiestrę kameralną i cztery magnetofony szpulowe. Sześć dźwięków urywka dziecięcej piosenki – łączone i rozbijane, zwalniane i przyśpieszane, odwracane, cofane, układane w rytmy wznoszące i inkantowane na modłę



antyfonalną – zaowocowały wirtuozowską fantazją.

Mattison skrytykował ukończone dzieło jako przeładowane ozdobnikami. Johnston pochwalił wirtuozerię, lecz życzyłby sobie czegoś mniej obciążonego znajomymi harmonicznymi gestami. Zdaniem Hillera utwór był intrygujący, ale niekompletny. Brün zaś pytał, jak taka melodia ma przywieść społeczeństwo do większej sprawiedliwości.

Els wysłuchiwał opinii swych nauczycieli i planował zemstę. Nocami przesiadywał w studiu elektronicznym, zaklinając eterofon, sklejjąc taśmy i ucząc się programowania. Komputer umożliwił wykreowanie każdego dźwięku, każdej częstotliwości, każdego tembru i każdej długości nuty i skompilowanie ich w spektrogram wczesnej ery lotów kosmicznych. Jednakże ta wszechmoc zasmucała Petera. Tęsknił za niezgrabnymi, przyciężkimi uniesieniami ziemskich instrumentów.

W tajemnicy wrócił do wyeksploatowanego słownika dawnych mistrzów, szukając przegapionych sygnałów i starając się odkryć, jak niegdyś im się udawało wywoływać ucisk żołądka i poruszać to, co niektórzy ludzie nazywają duszą. Jakąś częścią siebie nadal wierzył, że klucz do ponownego rzucania czaru leży w przeszłości.

#

Picasso: „Sztuka jest niebezpieczna. Sztuka nie jest czysta”. Ellington: „Kiedy sztuka przestaje być niebezpieczna, ludzie jej nie chcą”.

#

Były w tamtych latach kobiety: jedna krucha i strachliwa, druga pewna siebie i głośna. Każda nosiła w sobie muzykę, lecz żadna nie była Clarą, którą do wtedy Peter znienawidził już z taką mocą, że pozostało mu niewiele sił na inne potrzeby. Byli też zajmujący mężczyźni, których stuknięte ideologie frapowały go przez miesiąc czy dwa. Przede wszystkim jednak była jego doskonaląca się technika: najwspanialszy zestaw małego chemika, jaki mógłby sobie wymarzyć chłopiec.

Dzięki obłąkańczej, choć sztywnej zimnowojennej logice komponowanie trzymało go z dala od południowoazjatyckiej dżungli. Ludzie z wyłożonych marmurem budynków na Wschodnim Wybrzeżu poprzysięgli pobić komunistów na każdym możliwym zastępczym polu bitwy: w lekkoatletyce, szachach, architekturze na pokaz, a nawet kulturze wysokiej. To oznaczało odroczenie służby wojskowej dla studentów muzykologii. Departament Stanu

i Centralna Agencja Wywiadowcza wysyłały nawet najbardziej uzdolnionych kolegów Elsa w trasy koncertowe do Tajlandii, Argentyny, Turcji i innych spornych miejsc zapalnych świata.

Jeszcze na pierwszym roku studiów magisterskich Els siedział w akademikowej świetlicy i w otoczeniu rozchichotanych studentów patrzył na przymocowany do ściany masywny, wyposażony w przypominającą uszy królika antenę, czarno-biały telewizor dający ziarnisty obraz, na którym Beatlesi grali dla Eda Sullivana swe zaraźliwe, oparte na siedmiu akordach melodie, które zelektryzowały wszystkich w pomieszczeniu. W chwili gdy zaczynał doktorat, na fali były zapożyczenia. Wszyscy odgapiali od siebie nawzajem: Czwórka z Liverpoolu przy pracy nad płytą *Sgt. Pepper* od Stockhausena; Andriessen i Berio od Lennona i McCartneya. Przez kilka świetlnych miesięcy muzyka klasyczna i popularna, spokojna i wybuchowa, prostacka i finezyjna – wszystkie jej rodzaje splatały się wokół siebie w skomplikowanych kontrapunktach. Ale gdy Peter opuszczał mury uczelni na dobre, bogowie kiwali się na londyńskim dachu, bezskutecznie próbując odnaleźć drogę do domu.

Przez trzy lata Peter mieszkał w domu asystenta w zachodniej części Urbany. Był to majestatyczny budynek z przełomu XIX i XX wieku, podzielony na osobne mieszkania, z których każde wyposażono w oddzielne schody przeciwpożarowe, i pilnowany przez szereg skrytek pocztowych ustawionych karnie na frontowej werandzie. To tam, jesienią 1966 roku, jego współlokatorzy umościli go w głębokim fotelu, nakarmili kosmicznymi ciasteczkami i wystrzelili w muzyczny rejs, który – jak mu się zdawało – trwał wiele dni z rzędu. Zaczęło się od *Das Wohltemperierte Klavier*. Kalejdoskopowe dźwięki eksplodowały Peterowi w głowie na podobieństwo splątanych schodów w labiryncie Piranesiego. Niedające się opisać łuki oddzieliły się od powodzi melodii i rozpoczęły własny żywot. Te samodzielne linie melodyczne z kolei sformowały – w zadziwiających interwałach powstających przy wzajemnym nachodzeniu na siebie – dalsze niesłychane melodie, tematy schowane prostopadle w innych solówkach bądź też zakopane niczym niejasne hasła krzyżówkowe i ukrywające klucz do ich rozszyfrowania w następnych, mających dopiero powstać podpowiedziach. Zachwiał się pod tym splotem – dwuminutowym dowodem na istnienie boskiego planu.

– Kto to gra?! – zawołał tak natarczywie, że jego towarzysze dostali ataku

histerii ze śmiechu.

Odpowiedź, że to Gould, rozczarowała go.

– U Goulda zawsze wychwytyję wszystkie kontrapunkty. Puśćcie Richtera.

Ale i u Richtera był ten sam splot, zauważalny mimo rozmycia spowodowanego użyciem pedału.

Jeszcze sześć takich wycieczek na haju, tym razem z robionymi na bieżąco notatkami, i Peter Els stracił wszelkie złudzenia. Marihuana była osobistym objawieniem. Cała gloria tkwiła zamknięta w mózgu ujaranego słuchacza i zamieniała się w kupę śmiechu, kiedy działanie narkotyku przechodziło. A Peter poszukiwał czegoś znacznie trwalszego, niezależnego od doświadczenia, wspólnego; pragnął nieprzemijającego zachwyty opadającego całe audytoria naraz.

Potem była letnia noc, półtora grama *P. cubensis*, i Els płynął w pionie napędzany samą myślą, przedzierając się przez pole, które składało się z włókien istoty życia i ciągnęło się znacznie dalej i głębiej niż sam świat. Gwiazdy przemawiały wzorem błysków tak oczywistych, że dotychczas zawsze to przegapiał. Pole to było czystą muzyką, uwolnioną z oków *Jowiszową*, jedną z nieskończonych, samoodnawiających się propozycji miejsca, które mógłby zamieszkiwać umysł, gdyby tak bezlitośnie nie zaprojektowano go do życia tutaj.

#

Muzyka zabiła więcej ludzi niż *Serratia marcescens* za całego swego istnienia.

#

Milton Babbitt rzucił narodowi prosto w twarz pytanie: „Kogo to obchodzi, czy słuchasz?”[18]. Jego manifest zrobił furorę, przyciągając więcej czytelników niż jego muzyka słuchaczy. Muzyka odkrywała prawdy. Miała własny, stale się poszerzający zestaw narzędzi, całkiem jak chemia. Każdy, kto chciał się w nią zagłębić na poważnie, musiał nauczyć się jej języka.

Najdziwniejsze było jednak to, że wciąż tylu ludzi uważało to za warte zachodu. Publiczność spędzała długie godziny w ponurych salach o minimalistycznym wystroju, słuchając szeregu niezrozumiałych piknięć i piosenek. Nawet na południowych krańcach stanu Illinois roiło się od osób – inteligentnych, żywiołowych, modnych i pomysłowych osób noszących się w paski, w kratę i zapuszczających bokobrody wielkości stanu

Idaho – które były na krawędzi odkrycia muzycznej Ameryki.

Pośród tego rozkwitu w mieście pojawił się Święty Psotnik. Wkroczył na tę pustynię kukurydzy niczym Paweł Apostoł do prowincjonalnej Listry. Za sprawą przypadku ścieżki Elsa i Cage’a się skrzyżowały. W istocie jednak przypadek był tylko przejawem niedostrzeżonego jeszcze porządku rzeczy. Sam Święty Psotnik powiedział, że istnieje nieskończoność powiązań każdej rzeczy ze wszystkimi innymi rzeczami<sup>[19]</sup>.

Z drugiej strony ten sam człowiek stwierdził przy wielu okazjach i na wiele sposobów: „Nie mam nic do powiedzenia i mówię to”<sup>[20]</sup>.

#

Muzyka to świadomość wpadająca przez ucho. A nie ma nic bardziej przerażającego od bycia świadomym.

#

Chciał wrócić do siebie, zrzucić sportowe ubranie, wziąć prysznic i zjeść lunch. Jednak ekipy telewizyjne otoczyły jego dom, a zespół techników laboratoryjnych przeprowadzał sekcję zwłok jego psa, poszukując biotoksyn. Po południu pokażą go we wszystkich lokalnych wiadomościach. Przez całe życie sława omijała Petera Elsa szerokim łukiem, a teraz wystarczyło, żeby się zbliżył do własnego domu i zamachał rękoma, a stałby się najbardziej znanym żyjącym amerykańskim kompozytorem.

W umyśle miał same zakłócenia. Jeździł bez celu, często skręcając i nie spuszczać oka z lusterka wstecznego. W pewnym momencie zauważył kompleks handlowy, w którym robił codzienne sprawunki, i skierował się w jego stronę. Szereg witryn znajomych zakładów usługowych przypominał scenografię operetki: solarium, dietetyczka, jednoosobowy gabinet dentystyczny, manikiurzystka, optyk.

Els pozostał w samochodzie i przez chwilę siedział z dłońmi wetkniętymi pod pachy. Potem sięgnął do schowka po telefon. Sara wymusiła na nim obietnicę, że będzie woził ze sobą aparat w razie wypadku. Nie pomyślała jednak o tym, aby kazać mu przyrzec, że będzie pamiętał o ładowaniu. Naciśnięcie zielonego klawisza nic nie dało: ekranik nadal pokazywał odbicie jego twarzy na tle znaczkowej czerni. Przetrzęsął wnętrze wozu w poszukiwaniu ładowarki samochodowej, która mogła się zaplątać między książki i płyty kompaktowe na tylnym siedzeniu, ale nadaremno.

Na miejscu obok zaparkował pojazd przypominający wahadłowiec kosmiczny. Próg nadwozia sięgał do połowy okna fiata Elsa. Fala

grzmocących basów opłynęła obie karoserie i zarezonowała w klatce piersiowej Petera, jak przy użyciu pasa do masażu. Całe subkultury zajmujące się wybijaniem szyb samochodowych wychowały się na tej dźwiękowej przemocy: walce na decybele, teledyskach z kobietami, których włosy szarpał powiew łomotu. Głuchota za cenę ekstazy – żaden kompozytor nie zlekceważyłby takiego układu.

Zgasł silnik potwora, gotowa posiniaczyć ludzkie ciało fala dźwięków umilkła i parking aż wzdrygnął się od nagłej ciszy. Krótco ostrzyżony trzydziestolatek w koszuli z krótkim rękawem, drelichowych spodniach i sandałach wysiadł z wozu i nie odrywając wzroku od listy zakupów, ruszył w stronę sklepów. Wyglądał trochę jak jeden ze stałych bywalców imprez, które dziesiątki lat wcześniej – po części za sprawą pomysłowości Elsa – odbywały się w opuszczonych zakładach SoHo.

Ze wspomnień wyrwał Petera zegar na desce rozdzielczej. W świetlicy Shade Arbors właśnie zbierała się grupa ośmiu osób, z których połowa była jedną nogą w grobie. Z notatnikami w ręku czekali na nauczyciela, który poprowadzi dziewiąte w tym sezonie zajęcia umuzykalniające. Arcydzieła XX wieku. Bóg świadkiem, że nieobecność Elsa była usprawiedliwiona. Zresztą nawet gdyby wszyscy jego uczniowie mieli w nocy umrzeć, nie wysłuchawszy tegotygodniowego wykładu na temat muzyki klasycznej i drugiej wojny światowej, wynik ostatecznego egzaminu nie był w niczym zagrożony.

Przy parkingu stała wypatroszona budka telefoniczna, nieczynna od dobrych paru lat. W całym kraju nie ostała się ani jedna. Els rozważał, czyby nie skorzystać z komórki jakiegoś przechodnia, ale wzięwszy pod uwagę wcześniejsze wydarzenia, zrezygnował z tego pomysłu.

Musiał znaleźć sobie adwokata. Trzeba było przygotować wyjaśnienie, coś, co by tłumaczyło te kilka eksperymentów, które teraz nawet jemu pachniały kryminałem.

Uruchomił samochód i ruszył w stronę wspólnoty mieszkalnej emerytów. Jeśli ktoś tam już widział wiadomości i zawiadomił policję, trudno: niech tak to się rozegra. On przynajmniej zachowa się jak trzeba, wywiąże się ze wszystkich podjętych zobowiązań, nie przerwie niczego w pół nuty.

#

Należy być wdzięcznym za wszystko, co wciąż robi wrażenie. Dysonans to cudo, którego jak dotąd nie zniszczyła

rutyna.

#

Els stał w koralowym hallu Shade Arbors, naprzeciwko zakrzywionej lady recepcji. Serce waliło mu *presto*, a on sam czuł się równie bezpieczny jak chodzący portret pamięciowy owinięty żółtą policyjną taśmą. Tymczasem recepcjonistka powitała go serdecznie.

Przebiegł hall, wzdrygając się, ilekroć mijał go ozdobiony logo tego przybytku członek personelu. Na jego kursie pojawiła się kobieta wyglądająca jak litera f i pochylająca się w przód jak przy walce z wiatrem. Inna pensjonariuszka podskakiwała obok niego, targając ze sobą małą butlę z tlenem w szydełkowej chuście. W tym miejscu panowała atmosfera karnawału jak z obrazu Jamesa Ensora i Peter poczuł się niczym jeszcze jeden mim w monstualnej paradzie. Ciała zwiotczałe od grawitacji, nabrzmiałe żyłami kończyny pchające owinięte tartanem aluminiowe chodziki, wątrobiane kontynenty unoszące się na oceanach przezroczystych twarzy, szczerbate uśmiechy, składające się z samych ścięgien szyje wystające z kolorowych golfów, głowy zwieńczone kościstymi kopułami – a wszyscy zdumieni starością tak samo jak dzieci pierwszym śniegiem.

Uczniowie czekali na Elsa w głównej świetlicy. Dwie osoby siedziały w fotelach przy elektrycznym kominku, sprawdzając swoją pamięć za pomocą kart ze słynnymi obrazami i klnąc jak sycylijscy dokerzy. Pozostała szóstka zajmowała miejsca na kanapach flankujących ustawiony na środku pomieszczenia stół w kształcie nerki i zawzięcie kłóciła się o to, czy drzewa przyczyniają się do zanieczyszczenia środowiska. Wszyscy byli ubrani w jaskrawe dresy i podróbki adidasów – szykowała się rozrywka na tym przykutym do brzegu liniowcu. Nazywali samych siebie patyczkami higienicznymi: biali jak gołąbki u góry i u dołu.

Rozchmurzyli się, kiedy zobaczyli Elsa.

– Spóźniłeś się – zauważył ktoś. – A kultura czeka.

Ktoś inny zapytał:

– Jakiej katastrofy będziemy słuchali tym razem?

Peter oparł się o ścianę wyłożoną rzeczonym kamieniem, nie mogąc złapać tchu. Przegrzany pokój cuchnął środkiem dezynfekującym o kwiatowej nucie. Triklosan: antyseptyk stosowany w setce produktów sanityzacyjnych, najprawdopodobniej rakotwórczy, powód powstania bakteryjnych superkultur. Mimo to nikt nie rwał się do zamykania zakładów chemicznych.

– Co się stało? – zapytała Lisa Keane.

Els wzruszył ramionami. Nadal miał na sobie spodnie od dresu i bluzę, a to towarzystwo nie widziało go nigdy w ciuchach bardziej swobodnych niż koszula w prążki.

– Wybaczcie... – bąknął. – Miałem... nietypowy ranek.

Nie przejęli się tymi przeprosinami. Żadne z nich najwyraźniej nic nie słyszało. Na ekranie telewizora za ich plecami słynny ideolog zdrady małżeńskiej i malwersacji, który dorobił się własnej rozpoznawalnej w całym kraju marki, wbijał właśnie szpilki w krocze laleczki voodoo przedstawiającej prezydenta ku uciesze trzydziestomilionowej widowni. Kolejny program informacyjny był dopiero o dwunastej. Els miał więc parę godzin.

– Można by...? – Machnął w stronę odbiornika i przekręcił wirtualną gałkę, chociaż na północnej półkuli od lat nie znalazłoby się telewizora z pokrętłami. Z kozetki zerwał się William Bock, były inżynier materiałowy i zgasił odbiornik.

Els wyjrzał przez duże wykuszowe okno na skupisko sosen. Miał nieodparte wrażenie, że znalazł się w samym środku jednej z tych środkowoeuropejskich alegorycznych powieści, do których czytania przed laty wiecznie namawiała go Clara. Książki te napawały go zawsze podszytą lękiem nadzieją, uczuciem z pogranicza miłości i śmierci. Przyjrzał się siedzącym wokół braciom w starości, którzy w ostatniej chwili zapragnęli ubogacić swoją cmentarną wyprawkę. Przekraczali właśnie linię mety towarzyszącej im dotąd nieustannie trywialnej rozrywki.

– To był ciężki ranek. Zatrzasnąłem drzwi wejściowe, zostawiając klucze w środku. I moje notatki, obawiam się. Czy możemy przesunąć te zajęcia?

W świetlicy zapanowało rozgoryczenie. Flet *piccolo* i skrzypce grane *pizzicato*.

– Nie lubisz nas już?

– Zatrzasnąłeś sobie drzwi przed nosem? Pora przenieść się do nas.

– Zebraliśmy się wszyscy – powiedziała Lisa Keane. – Posłuchajmy więc. Niepotrzebny nam wykład.

Tak naprawdę nie potrzebowali muzyki. A jednak ta zasada była starsza niż sama śmierć: nagła odmiana na ostatniej prostej życia, potrzeba poważniejszych dźwięków. Els był tego świadkiem podczas każdego koncertu na przedmieściach – wszyscy na widowni zdawali się w podeszłym

wieku. Audytorium przypominało morze z białymi bałwanami. Długo sądził, że ci niepoprawni melomani są przeżytkiem minionych czasów, dziećmi epoki wczesnego radia, które wzięło na siebie skazane na porażkę zadanie edukacji kulturalnej społeczeństwa. Ale lata mijają, stare pokolenie odchodziło, a na jego miejsce pojawiali się nowi starszacy. Czy w ginącym mózgu zachodził jakiś proces, jakaś zmiana metrum, która kazała się odwracać od trzyminutowych piosenek? Czyżby starzy ludzie uważali, że muzyka poważna niesie ukojenie na łożu śmierci, stanowi szansę na ułaskawienie w ostatniej chwili?

– Przykro mi – odparł. – Nie mam przy sobie ani jednej płyty. Wszystkie zostały w moim salonie, na szczycie notatek.

Klaudia Kohlmann, emerytowana psycholożka kliniczna, która namówiła Elsa na te zajęcia edukacyjne, wychyliła się z głębokiego miękkiego fotela i podszedłszy do niego, wydobyła z indiańskiej torebki mały czarny przedmiot. Trzymała płytkę w ręku tak, jakby to był fazyt, którego zamierza użyć. Wziął od niej tę rzecz i włączył, obserwowany przez osiem osób niemogących się doczekać następnego etapu przygód z od dawna ginącą sztuką.

Peter wpatrywał się w niewielki czarny prostokąt. Niczym detonator z filmu akcji był on wyposażony w jeden przycisk. Kiedy go wdusił, na ekranie pokazała się biała postać w łódeczce nieopodal skalistej wysepki porośniętej cyprysami.

Dotknął cudu ponownie. W jego dłoni spoczywała cała nagrana w historii muzyka. Powiódł spojrzeniem po uśpionej komórce wyczekujących wiekowych uczniów. Przez moment chciał im powiedzieć, że szukają go Połączone Siły do Zadań Zapewnienia Bezpieczeństwa i że powinien już iść. Zerknął znów w dół i pstryknął w ekran. Wyświetliło się menu: cierpliwa odpowiedź i miniaturowa klawiatura, na której trzeba było pisać samymi kciukami.

Chociaż sam przestał wierzyć w spójność tej opowieści, przedstawiał arcydzieła XX wieku swej grupie mniej więcej w porządku chronologicznym. Prowadził ich od Debussy'ego do Mahlera, od Mahlera do Schönberga, prezentując geny rodzicielskie wciąż pokutujące w potomku. Opisał zamieszki towarzyszące premierze *Święta wiosny*. Puścił im *Księżycowego Pierrota*, owe szepty na skraju otchłani skąpanej białą zimną poświatą. Zabrał ich na pierwszą wojnę. Powiódł przez lata dwudzieste



i trzydzieste, futuryzm i muzykę eksperymentalną, Charlesa Ivesa i Edgarda Varèse'a, politonalność i klastery oraz nieliczne próby powrotu do utraconej na zawsze tonacji podstawowej. Mimo to co tydzień grono najwierniejszych słuchaczy pojawiało się za tydzień po więcej.

Uczniowie śledzili jego relację, jakby to był stary sobotni serial – *Paulina w niebezpieczeństwie* – gdzie trwa wieczny wyścig sukcesu i murowanej katastrofy. Podczas kolejnych spotkań Els zaczął oszukiwać, aranżować. Zaczął dobierać informacje, wzorem NASA, która wysyłając połączane dyski miliardy lat świetlnych od Ziemi, chciała za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie na najbliższych sąsiadach.

Tą metodą dotarł do roku, w którym przyszedł na świat. Natomiast dzisiaj chciał im zaprezentować utwór dowodzący tego, że katastrofa byłaby lepszym rozwiązaniem, niż uważa większość ludzi.

Kohlmann wręczyła mu kabel do stacji dokującej z głośnikami.

– No dalej. Nie każ nam czekać.

Zaczął wstukiwać w okienko wyszukiwania: P-O-U-R.

W trakcie pisania rozwijała się lista podpowiedzi, uprzedzających jego życzenie. Miejsce u jej szczytu zajmowały utwory cieszące się największą popularnością. *Pour It Up... Pour Some Sugar On Me...* U dołu zaś – nie, ta lista nie miała końca.

Els pisał dalej: L-A. Lista, choć zawężona, nadal ciągnęła się w nieskończoność.

F-I-N... Gigantyczny katalog skurczył się do parudziesięciu tytułów. Kiedy wpisał ostatnie dwa słowa – D-U T-E-M-P-S – szukany przez niego tytuł pojawił się w środku listy, w otoczeniu innych aranżacji.

*Quatuor pour la fin du temps. Kwartet na koniec czasu.*

#

Celem mojej muzyki było od zawsze przedrzeć się do wieczności przez mur terażniejszości.

#

Ostatnie dni wiosny 1940 roku. Naziści zalewają Francję. Tuż za sypiącą się Linją Maginota żołnierze Wehrmachtu biorą do niewoli trzech muzyków uciekających przez las. Henri Akoka, żyd trockista algierskiego pochodzenia, zostaje złapany z klarnetem przyciśniętym do piersi. Étienne Pasquier, sławny wiolonczelista i niegdysiejsze cudowne dziecko, poddaje się bez walki. Trzeci jeniec, kompozytor organista Olivier Messiaen, niedowidzący

ornitolog amator i mistyk synesteta odbierający dźwięki w postaci barw, miał w torbie wyłącznie niezbędne do życia artykuły: kieszonkowe wydania nut Ravela, Strawińskiego, Berga i Bacha.

Parę dni temu wszyscy trzej grali w orkiestrze wojskowej cytadeli w Verdun. Teraz Niemcy, trzymając na muszce, prowadzą ich razem z setkami innych do obozu jenieckiego w Nancy. Maszerują całymi dniami bez jedzenia i picia. Pasquier mdleje kilkakrotnie z głodu. Akoka, człowiek o gołębiu sercu i stalowej woli, podnosi wiolonczelistę i zmusza do dalszej wędrówki.

W końcu jeńcy docierają na podwórko, gdzie Niemcy rozdają wodę. Między pojmanymi dochodzi do bójek. Grupki desperatów walczą ze sobą o parę łyków. Klarncista znajduje Messiaena siedzącego w pewnym oddaleniu od zamieszania i czytającego nuty.

– Spójrz – odzywa się kompozytor. – Biją się o parę kropli wody.

Akoka wykazuje się pragmatyzmem.

– Przydałyby się jakieś naczynia, żeby każdy miał jej do czego nabrać.

Niemcy ustawiają jeńców z powrotem i dają rozkaz do wymarszu. Po jakimś czasie kolumna dociera do otoczonego drutem kolczastym terenu w szczerym polu. Trzej muzycy mokną na letnim deszczu. Francja przepadła. Francuscy żołnierze zostali rozgromieni, pojmani albo zabici.

Deszcz ustaje. Mija dzień, potem drugi. Jeńcy nie mają nic do roboty; mogą tylko czekać pod obojętnym niebem. Messiaen komponuje utwór na klarnet solo dla Akoki ocalonego ze zdobytej cytadeli. Klarncista gra bez przygotowania, stojąc na placu pełnym jeńców. Pasquier, wiolonczelista, służy za żywy pulpit do nut. Kompozycja ta – *Otchłań ptaków* – powstała dzięki rannym wartom Messiaena, na których pierwsze, pojedyncze ćwirknięcia przemieniały się w pełną orkiestrę. Coś takiego pomaga zabijać czas w niewoli.

Henri Akoka, który jest urodzonym błaznem, lubi mówić: „Teraz pójde poćwiczyć”, kiedy zamierza się zdrzemnąć. Jednakże ta muzyka wywołuje w nim niepokój. Niemożliwie długie *crescenda*, brak sprecyzowanego metrum – nie przypomina to melodii, które słyszał do tej pory. Sześć lat temu Akoka ukończył z wyróżnieniem paryskie konserwatorium. Kawał czasu grał w Orchestre National de la Radio. Ale ten utwór to najtrudniejsza solówka, jaką kiedykolwiek przyszło mu wykonać.

– Nigdy tego nie opanuję – skarży się kompozytorowi.

– Ależ opanujesz – zapewnia go Messiaen. – Zobaczysz.



Francja upada, kiedy oni urządzają sobie próby. Z Łuku Triumfalnego zwieszają się gigantyczne swastyki. Hitler wyskakuje z mercedesa i truchtem wbiega po szerokich schodach Palais Garnier – gmachu opery będącej pierwszym punktem na jego prywatnej liście rzeczy do zobaczenia w Paryżu.



Przez trzy tygodnie muzycy mieszkają pod gołym niebem w szczerym polu. Po hańbiącym zawieszeniu broni zostają skierowani do Stalagu VIII A w Görlitz-Moys na Dolnym Śląsku. Na miejscu wszyscy trzej muszą zdjąć ubranie i poddać się procedurze przyjęcia, tak jak i reszta trzydziestotysięcznej rzeszy jeńców. Wartownik z karabinem maszynowym próbuje odebrać kompozytorowi torbę z nutami. Golusieńki Messiaen broni się skutecznie.

Tempo klęski Francji zdumiewa nawet Niemców. Stalag VIII A jest w stanie pomieścić zaledwie ułamek tych dziesiątek tysięcy, które nadciągają ze wszystkich stron. Większość jeńców mieszka w namiotach; trójka szczęśliwców trafia do baraków, gdzie przynajmniej są latryny i gliniane piece. Jedzenie to luksus: kawa zbożowa na śniadanie, miska wodnistej zupy na obiad, a na kolację kromka ciemnego chleba z grudką tłuszczu do smarowania. Wiolonczelista dostaje pracę w kuchni, skąd wykrada resztki dla siebie i dwójki kompanów. Jeniec pracujący razem z nim ginie zastrzelony za kradzież trzech ziemniaków.

Messiaen chodzi spać słaby i wygłodzony. Niedożywienie wywołuje u niego wizje we wszystkich kolorach tęczy: przed oczyma pulsują mu wielkie erupcje niebiesko-pomarańczowej lawy, rozbłyski z innej planety. Co dzień budzi się wśród szarości bezsensownej pracy, głodu i monotonii.

Akoka musi dzielić pryczę z innym jeńcem: jest to ponury pacyfista zwący się Jean Le Boulaire. W maju, kiedy francuska armia wpadła w panikę i rozproszyła się, był na froncie. Przedarł się do Dunkierki, skąd łódź rybacka zabrała go do Anglii. Wrócił jednak do Paryża w samą porę, by wziąć udział w ostatecznej klęsce. Klarncista pomaga mu się odnaleźć w obozowej rzeczywistości i przedstawia skrzypka dwójce przyjaciół. Le Boulaire pamięta Messiaena z paryskiego konserwatorium. Tak z tria rodzi się kwartet.

Dziesiątki tysięcy jeńców Stalagu VIII A tworzą bibliotekę z pojedynczych książek. Zakładają jazz-band i małą orkiestrę. Wydają gazetę o tytule „Le Lumignon” – „Ogarek”. Cenzura zostawia z artykułów tylko strzępy, ale pisanie pomaga radzić sobie z obezwładniającą nudą.

Muzycy tracą kilogramy, włosy i zęby. Messiaen dostaje odmrozin na palcach od ciągłego zimna. Akoka – mając wszystkiego dość – decyduje się na ucieczkę. Obmyśla sposób, jak minąć niepostrzeżenie strażę. Gromadzi prowiant i zdobywa kompas. Informuje kompozytora, że mogą uciekać nazajutrz o świcie.

– Nie idę z tobą – odpowiada Messiaen. – Zostaję. Taka jest wola Boga.

Podłamane morale sprawia, że Akoka zarzuca plany ucieczki.

Niemcy chcą wysłać Pasquiera do pracy w kamieniołomie w Strzegomiu. Komendant obozu rozpoznaje w nim jednak wiolonczelistę ze słynnego tria braci Pasquier i zmienia mu przydział. Pozostali muzycy także dostają nieco większe racje żywnościowe i nieco lżejszą pracę. Wojna to wojna, ale – zwłaszcza dla Niemców – muzyka to muzyka.

Jeden z dowódców stalagu, Karl-Albert Brüll, od czasu do czasu przemyca dodatkowe racje chleba dla Messiaena. *Hauptmann* Brüll zdobywa czysty papier nutowy: kartki z dziewiczą interlinią, ocalone z wojennego pogorzelniska. Przekazuje arkusze kompozytorowi wraz z ołówkami i gumkami. Kto wie, co nim kieruje? Poczucie winy, empatia, ciekawość? Chce usłyszeć nienarodzoną muzykę wroga. Chce się dowiedzieć, jakie dźwięki ktoś taki jak Messiaen może sprowadzić na ten przeklęty świat.

Brüll zwalnia Messiaena ze wszystkich obowiązków i umieszcza go w karcerze. U wejścia do baraku stawia wartownika, aby nikt nie przeszkadzał jeńcowi. I Messiaen – który myślał, że do końca życia nic już nie skomponuje – rzuca się znów w wir usystematyzowanych dźwięków. Nic więcej mu nie trzeba – wystarczą nuty, dodawane jedna po drugiej z myślą o jakiejś niejasnej całości. W miarę upływu lata i z początkiem nadchodzącej po nim jesieni coś powoli wypełnia pustą pięciolinie. Jest to kwartet na coś więcej niż cztery pory roku.

Dźwięki wyrywają się ze snów wygłodniałego Messiaena. Kompozytor żywi się upadkiem Francji, triumfem nazizmu, koszmarem obozowego życia. Krystalizuje się ośmioczęściowa wizja – przedsmak apokalipsy na skrzypce, klarnet, wiolonczelę i fortepian: bezmierzalny i tęczowobarwny.

Messiaen odtwarza z pamięci dwa utwory, które napisał w innym życiu,

przed wojną. Dodaje do nich dźwięki zapamiętane z przyszłości. W obozie jenieckim w samym środku zrujnowanej Europy nuty zstępują z niego na podobieństwo świetlistej istoty objawionej świętemu Janowi:

*I widziałem innego anioła mocnego, zstępującego z nieba, przyodzianego w obłok i na głowie jego tęcza, a oblicze jego było jak słońce [...]. Anioł zaś, którego widziałem stojącego na morzu i ziemi, podniósł swą rękę ku niebu i przysiągł przez Żyjącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co w nim jest, i ziemię, i to, co na niej jest, i morze, i to, co w nim jest, że czasu więcej nie będzie [...]*[21].

Klarnet Akoki to jedyne przyzwoite instrumenty w całym obozie. Dowódcy wynajdują gdzieś tanie skrzypce i rozpadające się pianino, którego klawisze dają się wcisnąć, ale nie zawsze wracają do pierwotnej pozycji. Setki jeńców zbierają do kapelusza ogółem sześćdziesiąt pięć marek, żeby Pasquier też miał na czym grać. Dwaj uzbrojeni strażnicy wiozą go do sklepu w centrum Görlitz, gdzie kupuje steraną wiolonczelę i smyczek. Po powrocie do stalagu jeńcy opadają go wieczorem i zmuszają, żeby coś im zagrał. Wykonuje Bacha solo, *Łabędzia z Karnawału zwierząt*, *Les mignons d'Arlequin* – wszystko, co tylko pamięta. Żołnierze, których nie obchodzi muzyka, żądają, aby grał do rana.

Kwartet ćwiczą w obozowej latrynie. Co wieczór o szóstej kończą pracę i zbierają się w czwórkę na kilkugodzinnych próbach. Zakrada się zima, drapieżnie skuteczna: temperatury spadają do minus dwudziestu pięciu stopni. Jeńcy mrą z wyczerpania, niedożywienia i chłodu. Niemcy wydzielają muzykom drewno na opał, aby mogli ogrzewać palce.

Messiaen instruuje pozostałych, jak mają się poruszać po stworzonym przez niego świecie. Utwór jest dla nich za trudny, nawet wirtuoz Pasquier ma problemy. Messiaen poddaje rytm na pianinie, jednak ten zaraz rozstraja się w istny gąszcz. Melodia stanowi ucieczkę kompozytora przed okowami metrum, mozolnym biciem serc i tykaniem zegarów. Jej nierówne nuty starają się pokonać teraz i położyć kres czasowi.

Sposobów tej ucieczki nie brakuje. Greckie stopy metryczne: amfimakr i antybakch. Hinduskie tale. Rytm palindromiczne brzmiące tak samo, niezależnie od tego, czy się je gra od początku do końca, czy na wspak. Urywany synkopowany rytm Strawińskiego. Średniowieczna izorytmia, czyli zataczające wielkie koła schematy metryczne. Czasami metrum odpuszcza zupełnie i domaga się swobody ptaków.

Jednak lot przerasta muzyków. Wychowani na uładowanych, regularnych taktach popadają w wolnościowy chaos. Nagłe *unisona*, szalone *crescenda*, a zaraz po nich *diminuenda*, wszystko to ich myli.

– Trzymaj nutę, póki nie zabraknie ci powietrza – radzi Messiaen. – Nadmij ten dźwięk.

Żąda absurdalnie wysokich tonów i brutalnych rulał. Żąda niemożliwej dynamiki – *infiniment lent*, *extatique*. Domaga się dźwięków cichszych, niż może ze strun wydobyć smyczek. Łaknie każdego koloru, jaki da się wycisnąć z drewna, począwszy od przenikliwych krzyków, a skończywszy na wściekłej ciszy, i nalega, aby każdy maniakałny rytm był idealny. Obdrapane skrzypce, sterana wiolonczela, rozstrojone pianino z opornymi klawiszami i klarnet nadtopiony od kontaktu z rozgrzanym piecem – wszystkie razem mają sprokurować anioła i całe rozświetlone Nowe Jeruzalem.

Muzycy ćwiczą mimo odmrożonych palców, gdy zima bierze w posiadanie Dolny Śląsk, a obóz przytłacza ich atmosferą śmierci. Przez dwa miesiące powtarzają w kółko te same niemożliwe do zagrania pasaże. Skazani na siebie i na tę rozgorączkowaną muzykę tak długo, wszyscy się zmieniają. Ich technika wznosi się na inny poziom. Zrównoważony agnostyk, ponury ateista, mesjanistyczny katolik i Żyd trockista pochylają się nad krnąbrną kompozycją w słabym świetle obozowej latryny i dzięki wspólnemu wysiłkowi odnajdują w ptasim śpiewie odpowiedź na okropieństwa wojny.



Komendantura stalagu drukuje program z okazji premiery:

Stalag VIII A Görlitz  
PRÈMIERE AUDITION DU  
QUATOUR POUR LA FIN DU TEMPS  
D'OLIVIER MESSIAEN  
15 Janvier 41

Wbrew regulaminowi komendant zezwala, aby na premierze stawili się nawet jeńcy poddani kwarantannie. Coś się szykuje w tym odgrodzonym od świata zakątku, z dala od niszczycielskiego frontu, ataków wilczego stada, pustynnej ofensywy wahadłowej, nalotów dywanowych na Londyn, całej tej przybierającej na sile mechanistycznej rzezi osiagającej rozmiary niepojęte dla przeciętnego człowieka. Jeszcze jeden światowy debiut.

Dzień rozpoczyna się jak każdy inny. Kawa zbożowa rano. Otepiająca

praca przed południem. Kapuśniak na obiad i ciąg dalszy przymusowej pracy po południu. Na kolację drugi kubek kawy zbożowej, kromka chleba, odrobina twarogu. Nie zjawia się posłaniec, który by ich uwolnił z tego wiecznego grobowca.

Koncert rozpoczyna się o szóstej w baraku 27 służącym za obozowy teatr. Ziemię i dach pokrywa półmetrowa warstwa śniegu, który nawiewany wiatrem wpada też do środka. Mroczne wnętrze jest pełne ludzi – wśród kilkuset jeńców różnych narodowości, wszelkich zawodów i o rozmaitej pozycji społecznej są lekarze, księża, przedsiębiorcy, robotnicy, rolnicy... Niektórzy nigdy nie słyszeli muzyki kameralnej.

Publiczność tłoczy się na ławkach, zakutana w bure płaszcze. W pomieszczeniu unosi się para z marznących oddechów, woń nieświeżych oddechów niedożywionych mężczyzn w poplamionych łachmanach. Jedyne ogrzewanie w tę noc przesywającą zimnem na wskroś pochodzi z ich zrujnowanych ciał. Chorzy z infirmerii zostają przyniesieni na noszach. Niemieccy oficerowie lubujący się w muzyce poważnej zajmują miejsca zarezerwowane dla nich w pierwszym rzędzie.

Członkowie kwartetu w obszarpanych kurtkach i butelkowitzelonych czeskich mundurach z szuraniem wstępują na zaimprovizowaną scenę. Na nogach mają chodaki, jedyne dostępne w stalagu obuwie zdolne przez pięćdziesiąt minut chronić ich stopy przed odmrożeniem. Messiaen w wiszącym na nim jak worek ubraniu występuje naprzód. Zapowiada utwór, który zaraz zagrają. Objasnia jego osiem części, po jednej na każdy dzień Stworzenia plus dzień odpoczynku plus dzień ostatni. Mówi o barwie i kształcie, o ptakach, o apokalipsie i o tajemnicach swojej rytmiki. Opowiada o tej chwili, w której przeszłość i przyszłość dobiegną końca i rozpocznie się nieskończoność.

Jeńcy pokasłują i wiercą się na ławach. Wychudzone, ogorzałe twarze nabierają wyrazu podejrzliwości. Nikt z obecnych nie ma pojęcia, o czym gada ten strach na wróble. Pasquier tuli wiolonczelę. Le Boulaire pieści skrzypce. Akoka, trzymając klarnet na kolanach, zerka na kompanów i rzuca im ostatni uśmiech błazna.

Wykład się kończy, muzycy sięgają po instrumenty i rozpoczyna się *Liturgia kryształu*. Dwa ptaki śpiewają przedświtną pieśń, która rozbrzmiewała na długo przed pojawieniem się człowieka. Klarnet naśladuje kosa, skrzypce – słowika. Wiolonczela dołącza nawiedzoną piętnastonutową,

harmoniczną pętlą, a pianino przerabia rytm składający się z siedemnastu nut podzielony na wzór zbudowany z dwudziestu dziewięciu akordów. Ten wirujący układ słoneczny potrzebuje czterech godzin, by odsłonić pełen obraz ukrytych w nim obrotów, jednak pierwsza część kompozycji trwa tylko dwie i pół minuty – okruczeństwo pomiędzy dwiema nieskończonościami.

„[...] pyłem dźwięku, nawoływaniem się w trylach, błakającym się w koronach drzew [...] uzyskacie harmonijną ciszę niebios”<sup>[22]</sup> – napisał sam Messiaen. Ale zanim oszołomieni jeńcy zdążą się zorientować, co słyszą, już jest po poranku.

Pojawia się anioł, jedną stopą wsparty na morzu, drugą na ziemi, by ogłosić koniec czasu. Radosne smyczki pędzą w żywiołowym wyścigu. Współbrzące skrzypce i wiolonczela oddalają się od obozu na tyle, na ile pozwala wyobraźnia. Akordy pianina opadają łagodnymi kaskadami. Powracają fanfary, wstrząsając publicznością. Nikt nie potrafi powiedzieć, co, u licha, wyprawiają czterej wykonawcy.

Muzyka opływa zbitych ciasno słuchaczy, opuszcza zasypany śniegiem barak i wydostaje się poza ostatni splot drutu kolczastego odgradzającego stalag. Druga część kompozycji kończy się, wywołując serię kaszlnięć. Zdrętwiali jeńcy poprawiają się na ławach, gdy rozpoczyna się część trzecia. Ta jest wariacją na temat fantazji solo, którą Akoka zagrał na samym klarncie tak dawno temu, w szczerym polu pod Nancy. *Otchłań ptaków*. „Otchłań to czas smutku i znużenia. Ptaki stanowią przeciwieństwo czasu, wyrażają naszą tęsknotę za światłem, gwiazdami, tęczą i radosnymi wokalizami”<sup>[23]</sup> – wyjaśniał sam kompozytor.

Klarncista, niegdyś grający w orkiestrze fabryki tapet, obecnie wygrywa dla siebie przyszłość. Świergocze i ciurlika. Jego *crescenda* wznoszą się od ciszy do świdrujących dźwięków, niczym syrena przeciwlotnicza przekazująca ostatnie ostrzeżenie. Utwór wymaga niesamowitej kontroli. Jeszcze bardziej wymagający jest wobec słuchaczy, którzy w świetle lampy gazowej zaczynają się dzielić na tych dostrzegających w nim ucieczkę i tych, co się tylko nudzą.

Czwarta część, pozytywkowe trio, trwa półtorej minuty i przypomina wesołą melodię sprzed wojny, żarcik z okresu, gdy największym zmartwieniem cywilizacji była długość kobiecych spódnic. Nawet wieczności potrzebne jest *Intermedium*.

Tej nocy na Anglię spadają bomby. Kordon zacieśnia się wokół Tobruku.



Zaciekle walki w Afryce Północnej cichną na kilka godzin z powodu ciemności. W Berlinie, dwie godziny jazdy na północny zachód, sztab Hitlera pracuje do późna, dopinając na ostatni guzik inwazję na Jugosławię i Grecję. Jednak tutaj, w baraku 27, tuż po połowie rozgorączkowanego snu Messiaena, odzywa się wiolonczela. Sunie na falach dźwięków pianina, które kluczy między niemającymi końca, cierpliwymi modulacjami. Każdy zagrany akord tego duetu ewokuje nowy kolor.

Wszędzie indziej piąta część kompozycji trwałaby osiem minut. Ale w tym baraku o nieszczelnych ścianach i pokrytych szronem oknach, pełnym mężczyzn, którzy będą tutaj żyli jeszcze latami, którzy będą umierali niezdolni do przywołania obrazu domu, interwał dzielący dwie powolne frazy przeciąga się do wielu godzin. Dla niektórych majestatyczna melodia jest o ton mniej zabójcza niż nuda niewoli. Inni odnajdują w niej błogość, której nie będzie im dane zaznać ponownie.

Okupujący ciasną scenę kwartet przechodzi do *Tańca gniewu na siedem tręb.* Cztery instrumenty ścigają się wzajemnie skocznym rytmem nierównego *unisono*, nabierając coraz większego pędu. „Muzyka kamienia, wspaniały dźwięczny granit; niepohamowany ruch stali, ogromne bloki purpurowego gniewu, lodowatego upojenia”<sup>[24]</sup> – twierdzi Messiaen.

Anioł powraca zaplątany w tęczę i w obłok. Już przedtem były w tej kompozycji porywy, jednakże te wzloty nie mają sobie równych. Jak widział to Messiaen: „Przechodzę do nierealności i w ekstazie ulegam wibracji, ruchowi obrotowemu dźwięków i barw nadprzyrodzonych. Miecze ogniste, masy lawy niebiesko-pomarańczowej, gwałtowne gwiazdy [...]!”<sup>[25]</sup>.

Koniec Końca, gdy wreszcie nadchodzi, to solo skrzypiec ponad pulsem pianina. Zredukowana do sedna melodia przetrwała, zahartowała się w wojennym tyglu. Chmarą migoczących dźwięków w E-dur – kluczem do rajy – skrzypce sugerują to wszystko, co zostaje człowiekowi po tym, jak śmierć wszystko mu odbierze. Akordy obu instrumentów wznoszą się ku jakiemuś ostatecznemu bezruchowi poza ludzkim pojęciem i słuchem. Pochwała sięga jednak wyżej, przechodzi w c-moll, przez zamarznięte pole minowe rytmów w augmentacji i w dyminucji, aż znowu osiąga inne E-dur i kolejne, o oktawę wyższe. Z samego skraju klawiatury i gryfu linia melodyczna ogląda się na ziemię w tę mroźną noc, kiedy czas dobiegł swego kresu.

Ostatnie nuty przebrzmiewają w zimnym powietrzu, ale nic się nie dzieje.

Ujęta publiczność dalej siedzi w milczeniu. Pośród ciszy zachwyty i gniew, zdziwienie i radość – wszystko brzmi tak samo. Ostatecznie zrywa się aplauz. Jeńcy w chodakach i butelkowozielonych czeskich mundurach wracają na ziemię i *unisono* składają niezręczny ukłon.

Wiele lat później Le Boulaire wspomni:

– A potem ciągnęły się dyskusje na temat tego, czego nikt nie zrozumiał.



Dwadzieścia dni po premierze tysiąc pięciuset polskich Żydów ze Stalagu VIII A zostaje spędzonych i wysłanych do Lublina na zagładę. Akokę ratuje jego francuski mundur. Dwa tygodnie później Messiaen, Pasquier i Akoka usiłują dołączyć do innego konwoju na podstawie sfałszowanych papierów, które zawdzięczają temu samemu Hauptmannowi Brüllowi. Jednak niemiecki żołnierz zatrzymuje Akokę, rozpoznając w nim Żyda. Klarncista spuszcza spodnie w nadziei, że spartaczony zabieg obrzezania uczyni zeń nietkniętego nożem Aryjczyka. Niemiec aresztuje go i odsyła do stalagu.

W marcu urodzony w Algierii Akoka uchodzi za Araba w jeszcze innym konwoju opuszczającym obóz. Dociera aż do Dinan w Bretanii. Stamtąd jednak zostaje z powrotem skierowany na wschód. Wyskakuje z jadącego pociągu, nie wypuszczając z rąk klarnetu. Jakimś cudem przedziera się przez linię demarkacyjną do Marsylii w państwie Vichy. Tam dostaje wiadomość spisana ręką ojca i wyrzuconą z innego jadącego pociągu: „Wysyłają mnie w nieznanym kierunku”.

Le Boulaire ucieka ze stalagu pod koniec 1941 roku wyposażony w urzędowo wyglądające papiery podstemplowane pieczęciami z ziemniaka. Wkrótce potem skrzypek doznaje załamania. Porzuca karierę muzyczną i zmienia nazwisko na Lanier. Zaczyna nowe życie, wolny od przeszłości, której nie chce pamiętać. Zostaje aktorem i występuje między innymi w wojennym klasyku, *Komediantach*. Mężczyźni, z którymi grał w tamtą noc 15 stycznia 1941 roku, wydają mu się kompletnie obcy. Ale gdy jako osiemdziesięcioparolatek dostaje wylewu, zaczyna mu się wydawać, że wojna wcale się nie skończyła, że ścigają go Niemcy i że musi się ukrywać w głębokiej piwnicy, skąd boi się wyjść. Jean Lanier, urodzony jako Jean Le Boulaire, umiera w niewoli.

Pasquier wraca do okupowanego Paryża, gdzie przedstawia publiczności *Quatuor pour la fin du temps*. W długiej i udanej karierze zagra ten utwór

niezliczone razy. Do śmierci będzie nosił w portfelu kartkę z wyblakłym napisem:

Stalag VIII A Görlitz  
PRÈMIERE AUDITION DU  
QUATOUR POUR LA FIN DU TEMPS  
D'OLIVIER MESSIAEN

15 Janvier 41

Z tyłu kartki Messiaen zaklina wiolonczelistę, aby nie zapomniał rytmu, tonacji, tęczy, mostu wiodącego w nieznane.

Messiaen przeżyje wojnę, nasłuchując dźwięków spoza gamy ziemskiej polityki. Późniejsze życie spędzi na tworzeniu muzyki o spektralnej harmonii i ptasich rytmach. Jednakże żaden jego utwór nie przyciągnie tyłu słuchaczy co *Kwartet na koniec czasu*. Kompozytor od czasu do czasu spotyka się z Pasquierem i Akoką. Hauptmann Brüll zechce go odwiedzić w Paryżu dziesiątki lat po wojnie, ale odprawi go konsjerż, mówiąc, że *monsieur* nie chce go widzieć. To będzie ciężki cios dla Brülla. Potem Messiaen spróbuje się skontaktować z człowiekiem, który udostępnił mu papier i ołówek, z człowiekiem, który wiele ryzykując, sfałszował mu papiery. Niestety, wtedy już Brüll będzie znajdował się poza czasem.

„Jeśli skomponowałem ten kwartet po cokolwiek – napisze Olivier Messiaen – to chyba tylko po to, aby uciec od śniegu, od wojny, od niewoli, aby uciec od samego siebie. I przyszło mi z niego tyle, że pośród trzystu tysięcy jeńców byłem chyba jedynym człowiekiem, który nie czuł się uwięziony”.

Natomiast o tamtej styczniowej nocy napisze tak: „Przy żadnej innej okazji nie słuchano mnie z taką uwagą”.

#

Bardzo dobra muzyka mówi ci: jesteś nieśmiertelny. Ale ta nieśmiertelność oznacza dziś, może jutro. Rok przy wielkim szczęściu.

#

Peter Els urodził się osiem dni po tamtym koncercie w stalagu. Na przestrzeni swego siedemdziesięcioletniego życia wysłucha tego utworu ze sto razy. Kompozycja starzeje się wraz z nim, a nuty zmieniają się przy każdym słuchaniu. Muzyka, na wieki wieków starsza od niego o tydzień i jeden dzień, wydaje mu się najpierw niezrozumiałą zagadką, a potem

szacowną klasyką. Na wykładzie w college'u jakiś profesor nazwie *Quatuor pour la fin du temps* jednym z trzech najbrzemienniejszych dzieł czasów wojny. Koledzy Elsa ze studiów magisterskich będą uważali *Kwartet* za coś oczywistego, danego raz na zawsze, coś, od czego trzeba się uwolnić tak samo jak od ograniczeń skali durowej, gdyż dawno się zatracił w tradycji i czci i jest za poważny, aby ktokolwiek brał go poważnie.

#

Cage: „Nikomus nic nigdy nie przyszło z komponowania, wykonywania i słuchania muzyki”. Kto tego nie wie, przegapi i to, co w zasięgu słuchu.

#

Taką historię opowiedział Els swoim ostatnim uczniom z pamięci, ponieważ jego notatki zapakowane w foliowy worek właśnie jechały do rządowego laboratorium kryminalistycznego w Filadelfii. Słyszał własny spokój, zdumiewający w kontekście wydarzeń minionych kilkunastu godzin, i porównywał się w duchu do przestępcy, który krótko po dokonanych morderstwie wpada do kina na poranek, zwabiony obietnicą klimatyzacji i popcornu. Główna artykułu o jego aresztowaniu nasuwała się sama przez się... „Terrorysta schwytyany na zajęciach uniwersytetu trzeciego wieku podczas wygłaszania wykładu na temat martwej muzyki prawie martwym ludziom”.

Ostrzegł słuchaczy, że utwór ma pięćdziesiąt minut.

Klaudia Kohlmann prychnęła.

– Mówisz to nam? Ja przez pięćdziesiąt minut zawiązuję sznurówki.

– Mam dla ciebie radę, Klaudio – odezwał się Will Bock. – Słyszałaś może o rzepach?

Els nie wspomniał, że w środku utworu mogą przyjść po niego agenci federalni. Puknął wyświetlony przycisk odtwarzania i rozsiadł się wygodniej, aby posłuchać muzyki po raz ostatni na wolności.

*Liturgia kryształu* przemknęła przez grupę niczym grypa przez przychodnię. Chris Shields, były właściciel pizzerii, który lubił pobrzdakać na tutejszym pianinie standardy Gershwina, podkreślając ostatnie akordy silnymi uderzeniami palca wskazującego, ucapił się stołu i jął przeżuwać kłęb nut zaciśniętymi szczękami, żeby niczego nie uronić.

Smugi światła słonecznego przesunęły się po migdałowym suficie. Z hallu dolatywały stłumione skargi i szelest spandeksu. Ktoś wsunął za

podwójne drzwi świetlicy siwą głowę, posłuchał chwilę i wycofał się z chichotem.

Fred Baroni, doradca finansowy zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę, który chodził na te zajęcia, aby powstrzymać sklerozę na choćby jeszcze jeden tydzień, posłał Elsowi przestraszone spojrzenie, kiedy melodia się rozpulsowała. Idźcie dalej beze mnie. Zostawcie mnie tu, na skraju drogi, w sypiącym śniegu.

Przy *Intermedium* Paulette Hewerdine zakrywała twarz rękoma. Przed rokiem zginął jej najstarszy syn, staranowany na autostradzie przez nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę, która przedostała się nagle na drugi pas ruchu. Miesiąc po tamtym wydarzeniu jej mąż usiadł nagle w łóżku, poskarżył się na ból głowy i umarł. Kobieta słuchała teraz muzyki, jakby falująca melodia zapowiadała ziszczenie przeczuwanego przez nią od dawna prawa czarnej serii.

Pomieszczenie przepełniały dźwięki, z których żaden nie był prawdziwy. Deszcz bębniący na dachu kamienicy. Dziecko kołyszące się na rozchwierutanej huśtawce. Szmer bawełnianych dziewczęcych sukienek w sali balowej w czasie wojny. Wicher nad polem pszenicy w Nebrasce. Kamień upuszczony do studni z dawno zapomnianym życzeniem wypisanym na otaczającej go karteczce. Świerszcze cykające jesienią w kuchennej szafce.

Lisa Keane, która robiła notatki w trakcie improwizowanego wykładu Elsa, nadal coś pisała, słuchając muzyki. Kiedy omawiali Ravela, ta zakonnica apostatka, która skończyła jako nauczycielka przyrody w gimnazjum, przyznała się grupie do tego, że dla niej muzyka jest jak Korea Północna: niemieszczący się w głowie kraj odmawiający jej wizy. W przeciętnym arcydziele widziała mniej więcej tyle samo, ile pierwszy lepszy człowiek w kupie zmokniętego kartonu. Nie chciała jednak przejść w niebyt głucha na to, co tylu ludziom nadawało sens w życiu.

Wysłuchawszy wyznania byłej zakonnicy, Els zapragnął jej powiedzieć: nie zaczynaj od końca. Zaczynaj od tego miejsca, w którym harmonia jest czysta i jasna aż po horyzont. Jednakże Lisa przywiązała się już do niego i do muzyki własnego przegranego stulecia. I teraz siedziała, wodząc długopisem po kartce w tempie pielgrzyma wlokącego się do Composteli.

Eksplozja koloru zatrzymała jej rękę w pół ruchu. Lisa uniosła głowę. Els odpowiedział jej w myślach: tak, to wszystko, nie ma nic oprócz tych bloków

purpurowego gniewu, lodowatego upojenia. Jeszcze chwila wahania i długopis Lisy zafurkotał.

William Bock wyglądał przez duże okno, za którym wiewiórka wbiegała na sosnę po spirali. Walka o duszę dwudziestowiecznej muzyki w oczach inżyniera materiałowego jawiła się zabawną anegdotą, rozwlekłą i pozbawioną puenty. Słuchając Messiaena, przekrzywił głowę, jakby dźwięki docierały z odległej, lecz przyjaznej planety jakiegoś peryferyjnego systemu gwiazdowego na obrzeżach Galaktyki, prosto ze stron któregoś magazynu SF, jakimi zaczytywał się w dzieciństwie.

Klaudia Kohlmann poddawała się melodii, przyciskając do skroni dłoń przypominającą raczej szczypcę do lodu. W swoim pokoju wciąż trzymała pod komodą skrzypce w steranym futerale, chociaż reumatoidalne zapalenie stawów w jej wypadku czyniło grę niemożliwą. Ten sam instrument miała na kolanach, siedząc na tylnym siedzeniu ojcowskiego opla kapitana, gdy jej rodzina gnała przez skrzyżowanie Heinrich-Heine-Strasse i Sebastianstrasse w Berlinie trzy dni przed wyrośnięciem muru.

Skurczyła się od starości i wyglądała teraz raczej jak skrzat niż człowiek. Przed laty była terapeutką Elsa – do czasu, aż przeszkodził temu głupi błąd. Ich romans był krótki, a wzajemny żal długi. Żadne już nie pamiętało, z czyjej winy doszło do jesiennej pomyłki. Później nieraz na siebie wpadali przy okazji koncertów w kampusie: dwoje kulturalnych recydywistów. Pewnego razu Peter stał z nią w foyer sali koncertowej, patrząc, jak na jego oczach wypala kolejno trzy papierosy w ciągu dziesięciominutowej przerwy, starając się nasycić krew nikotyną do tego stopnia, aby przetrwać drugą połowę *Całonocnego czuwania* Rachmaninowa.

– Czy to cię nie niepokoi? – zapytała go wtedy. – Osiem z dziesięciu kompozycji wykonywanych na liczących się salach koncertowych zostało napisanych przez jednego z dwudziestu pięciu kompozytorów.

– Nie niepokoiłoby, gdyby w grę wchodziła właściwa dwudziestka piątka.

Wciągnęła palące powietrze i potrząsnęła głową na jego głupotę. Ale na późniejszym etapie życia ona także stała się renegatką. Ukochana przez nią muzyka powinna była się skończyć na berlińskim koncercie w 1945 roku: Beethoven, Bruckner i Wagner mający w tle bombardowania i członków Hitlerjugend roznoszących cyjanek. Tamtego popołudnia pięcioletnia Klaudia znajdowała się dwie dzielnice dalej, pod rodzinnym fortepianem,

swym zwyczajowym schronem przeciwlotniczym, i słuchała puszczonej przez ojca *Fantazji* Hummla. Teraz wysłuchiwała *Kwartetu* i masowała skronie z miną kogoś, kto właśnie odkrył, ile ma jeszcze do zrobienia i jak mało czasu na to zostało.

W ciągu pięćdziesięciu minut Słońce wyemanowało dość energii, by cała ludzka cywilizacja korzystała z niej przez rok. Umarło sześć tysięcy osób; urodziło się trzynaście tysięcy. Do internetu trafiły dziesięć milionów zdjęć i trwające ogółem sto dni nagrania wideo. Wysłano dwanaście miliardów maili, z czego osiem dziesiątych stanowił spam. Kilkanaście wiadomości dotyczyło ataków terrorystycznych – faktycznych bądź wymyślonych. Anioł przyszedł i odszedł jak zwykle: wieczność zawarta w niepełnej godzinie.

Podczas drugiej *Pochwały* – gdy skrzypce powoli wspinają się na sam szczyt i wyżej – starszycy siedzieli zasłuchani, odporni na rosnącą intonację. Byli wykleętą sektą, anonimowymi alkoholikami spotykającymi się w krypcie kościoła, grupą studencką szykującą się do śmiertelnego seminarium.

Melodia osiągnęła niesłyszalne rejestry i umilkła. Els wyłączył urządzenie i podniósł wzrok. Jego dom otaczała żółta taśma policyjna, a on niczym lunatyk dotarł na drugi kraniec miasta, aby odbyć te zajęcia, zamiast pojechać prosto na najbliższy komisariat i oddać się w ręce władz.

– Ekhm – odchrząknął. Ktoś go szybko uciszył.

Lisa Keane uniosła jedną dłoń.

– Czy moglibyśmy jeszcze chwilę...?

Paulette Hewerdine przycisnęła do ust trzy palce, kiedy nagle nasza ją myśl o przedawnionym, niepotrzebnym okrucieństwie. Shields zamiatął głową niczym latarką. Wszyscy obecni uczepili się kurczowo własnej ciszy.

Pierwszy odezwał się Bock.

– Ja cię kręcę. To było pięćdziesiąt minut? Teraz już wiem, jak wydłużyć sobie życie.

Wyglądało na to, że Els nie jest im do niczego więcej potrzebny. Przez prawie godzinę tylko słuchali. Teraz pozostało im wypłynąć na powierzchnię na tyle powoli, aby uniknąć choroby kesonowej.

Wszyscy wstali, otrząsając się z otępienia, które na starość nauczyli się tak dobrze tuszować. Wyszczrzyli się do siebie w uśmiechach. Co to niby miało być, do diabła? W końcu powódź wrażeń; nabrzmiała subiektywnością atmosfera premiery.

Shields i Keane stali obok dzbanka z kawą i kłócili się jak studenci. Bock i Baroni byli już w połowie korytarza w drodze do kantyny, wymachując rękoma jak wiatraki. Klaudia Kohlmann dotknęła lekko ramienia Elsa.

– Będziemy mieli zadanie?

Jej słowa przywołały go do rzeczywistości. Zawołał za rozchodzącymi się uczniami:

– Wiecie co? W przyszłym tygodniu być może nie będzie zajęć!

Pokazał na lewy nadgarstek, który nie widział zegarka od piętnastu lat.

– Jeżeli nie odezwę się do środy, przyjmijcie, że coś mi wypadło.

#

Bądź (nadal Cage): „umysł może darować sobie udoskonalanie rzeczywistości i działać wyłącznie jako wierny odbiornik tego, czego doświadcza”.

#

Piątkowy wieczór późną jesienią 1967 roku: Peter siedzi na fotelu pasażera pożyczonego rozklekotanego mikrobusu, nieco podenerwowany, ponieważ happening zaczął się o ósmej – kwadrans wcześniej – a ani on, ani prześwietna Madolyn Corr nie mają pojęcia, gdzie szukać „pawilonu inwentarskiego”. Rozglądają się za budowlą z czerwonej cegły, o sklepieniu kolebkowym, służącą za miejsce wystaw zwierząt rzeźnych, która powinna znajdować się gdzieś w południowych rejonach kampusu, tam, gdzie pochodzące z tego samego okresu owalne stodoły. Nigdzie nie widzą podobnego budynku.

– Może Cage to zmyślił – zastanawia się na głos Maddy. – Jest do tego zdolny, no nie? Może zadał nam wszystkim koan.

Els wyziera zza rozczapierzonych palców.

– Jestem prawie pewny, że tam był znak stopu...

– Wszystko gra! – Maddy obraca się do niego jak amazonka w siodle, podczas gdy mikrobus szaleńczo skręca. Uspokajająco ściska jego biceps. – Wszystko gra!

Ta pewna siebie, przebojowa, bystra dziewczyna z dalekiej północy pojawiła się w życiu Elsa ledwie parę tygodni temu, sprawiając, że film z czarno-białego zmienił się w przeraźliwie kolorowy w jednym skoku montażowym. Minionej nocy, gdy leżeli w jej łóżku, tym nowo odkrytym kontynencie, Maddy zawisała nad nim i z udawanym niepokojem ujęła jego twarz w dłonie, przyglądając mu się jak chirurg otwartej ranie. Mrużąc oczy,



zagruchała:

– O co chodzi, panie kompozytorze? Co się stało?

Els wiedział, że to, z czego Maddy się śmieje, jest widoczne w jego stężonych rysach: niebezpiecznie otwierające się perspektywy, zachwyt graniczący z bólem. Jak miałby jej to wytłumaczyć? Jak miałby wytłumaczyć wewnętrzny chaos podszyty radością z powodu odkrycia, że być może mimo wszystko będzie miał w tym życiu towarzyszkę?

– Jestem szczęśliwy – oświadczył jej.

– Powiedziałeś to tak, jakbyś był tym zdziwiony.

– Masz dobry słuch.

Złapała go w ciemnościach za rękę.

– Co ty wyprawiasz z tymi palcami?

– Proszę?

Pokazała mu, wystukując rytm opuszką palca wskazującego na brzuchu kciuka.

– A, to! To tylko nerwowy tik.

– Mnie przypominasz Buddę z dłońmi ułożonymi w mudrę.

Nie robił tego od lat, od czasów, gdy zadawał się z Clarą. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że znów zaczął. To bębnienie palców... wysyłał w przyszłość nowe miniutwory.

– Śpiewam.

– Hm... – Maddy wgramoliła się na niego. – A masz aby o czym śpiewać?

Ma o czym. Głównie o niej. Maddy potrafi przepędzić jego roczne strachy jedną śmieszoną miną. Wydobywa go ze skorupy, wyprowadza na zewnątrz, zabiera na globalne podchody. Jej życie jest dość obszerne i mocne, aby pomieścili się w nim oboje.



Mroźny listopadowy wieczór, dookoła egipskie ciemności, a Maddy kieruje mikrobusem pełnym wzmacniaczy i kabli będących własnością zespołu, w którym gra – psychodelicznego kwintetu o nazwie Pionowy Uśmiech – po oblodzonych ulicach, jakby prowadziła jednoosobowy bojer na zamarznętej powierzchni jeziora w swej rodzinnej Minnesocie. Nie przestaje przy tym nucić *Why* – utworu The Byrds z drugiej strony ich singla *Eight Miles High*.

Nieświadoma, że to robi, mruczy pod nosem, zupełnie jakby mamrotała podrasowany pacierz. Właśnie przez to nucenie wpadł po uszy. Sześć tygodni wcześniej Els umieścił na tablicy informacyjnej budynku wydziału ogłoszenie o treści: „Poszukiwany czysty wysoki sopran celem próbnego wykonania czterech nowych piosenek. Wymagana: otwartość na dziwność”. Zgłosiła się tylko jedna kandydatka: Madolyn Corr. Pokazała się w sali ćwiczeń o umówionej godzinie ewidentnie przekonana o własnych atutach: średniego wzrostu, z fryzurą na pazia i w zielonej aksamitnej minispódniczce. Przebrnęli wspólnie przez nuty z nabazgranej ołówkiem partytury. Peter starał się akompaniować, a Maddy Corr co parę taktów przerywała, żeby powiedzieć:

– Nie jestem pewna, czy to w zasięgu możliwości ludzkiego głosu.

Wkrótce partytura była tak pokreślona, że czytanie nut przypominało prace wykopaliskowe.

Głos miała piskliwy, niemal komiczny. Był to sopran koloraturowy, ciepły, przyjemny dla ucha, ale odrobinę za liryczny jak na jego potrzeby. Els szukał raczej sopranu dramatycznego, a nawet wagnerowskiego. Był jednak wdzięczny za kogokolwiek, kto potrafił wyciągnąć tak wysokie nuty. Ćwiczyli razem przez dwie godziny – on z pasji, ona za obietnicę pizzy i piwa. Gdy skończyli ostatni utwór, stanęła przy fortepianie z twarzą ściągniętą radością. Lata później nazwie tę jej minę żabim uśmiechem.

– No i?

– Co: no i?

– No i co myślisz?

Zwlekała z odpowiedzią.

– Mocno dziwne – rzuciła w końcu.

Tylko tyle od niej usłyszał, zdawkową odpowiedź, przez którą właściwie powinien był zwinąć żagle. Byłby ją odesłał z czysto zawodowym „dziękuję”, gdyby nie wcześniejsza obietnica zabrania na pizzę i piwo. Pół godziny później, kiedy czekali na pizzę na grubym cieście z pieczarkami i zabrakło im plotek na tematy uczelniane, Maddy zaczęła nucić pod nosem, radośnie i bezwiednie, myszkując wzrokiem po lokalu i szacując obecnych mężczyzn. Powtarzała przy tym w kółko czterotaktową frazę, która mimowolnie wzięła się jej z trzeciej Borgesowej pieśni Petera. Było to nieoczekiwane liryczne wyznanie.

*Nie pracował dla potomności  
ani nawet nie dla Boga,  
o którego gustach literackich  
niewiele wiedział*<sup>[26]</sup>.

I Peter, który pisał te utwory nie wiadomo jak długo i nie wiadomo dla kogo, aczkolwiek z myślą o wzbudzeniu wyrzutów sumienia w sercu kobiety, która przed czterema laty puściła go kantem z drugiego brzegu Atlantyku, obecnie pragnął tylko przyłożyć ucho do obojczyka tej drugiej, cieplejszej kobiety i posłuchać, co takiego kryje w swoim wnętrzu, że chce jej się nucić.



– Jakie masz plany na później? – zapytał ją.

– To zależy – odparła z ustami pełnymi stopionego sera – od tego, co masz na myśli, mówiąc „później”.

Przez dwa tygodnie chodzili wszędzie razem, szpalerami obsypanych barwami drzew i na rżyska. W ostatnich dniach października finałowa jesienna feeria barw rozgrywała się na tle bladoniebieskiego nieba – nigdy wcześniej przybrane miasto Elsa nie prezentowało się tak pięknie. Maddy podzieliła się z nim swoim najnowszym szalonym pomysłem.

– Wiesz, co było odjazdowe? Gdybyśmy w paręnaście osób przenieśli się do środkowej Minnesoty, gdzie moja rodzina ma pięćdziesiąt akrów ziemi, i zajęli się uprawą. Gleba tam jest piaszczysta jak diabli, ale można by posadzić żurawinę. Stoją tam chata i stodoła. A kurnik dałoby się przerobić

na całoroczny. Gospodarzylibyśmy za dnia, a nocami tworzyli muzykę pod dębami!

Els dziwował się jej, kręcąc głową.

– Masz aż parunastu przyjaciół?

Zaśmiała się, sądząc, że żartuje.

– No, panie kompozytorze? Na pewno też masz jakieś sekretne fantazje.

Jednakże Peter Els nie marzył o niczym, no może z wyjątkiem tego, by ubiec Ligetiego i stworzyć przed nim jego dwudziestoczęściowe mikropolifoniczne *Requiem*.

Spojrzenie Maddy ciemniało lekko, gdy zbyt długo rozwodził się o strukturze harmoniczej. Ona nie czuła potrzeby mówienia o muzyce, pragnęła ją tylko tworzyć. Mimo to Els nie potrafił się powstrzymać, gdy byli razem. Opowiedział jej o każdym brudnopisie uśpionym w jego zeszytach nutowych. Śmiała się i wyzywająco kiwała na niego ręką.

– No dalej, mistrzu. Przekonajmy się, na co cię stać.

Pokazała mu swoje ostatnie dzieło: patchworkową narzutę większą od nich dwojga, kolaż lazuru i ochry. Zmarszczyła nos.

– Nauczyła mnie tego moja ciotka, stara panna, kiedy miałam dwanaście lat. To trochę staroświeckie hobby, no nie?

Było w tym coś z magii: przemienić szmaty w skarby, strzępy w sztukę. Els musnął dłonią skomplikowany wzór. Księżycy, słońca, gwiazdy.

– Czy to coś znaczy?

Maddy sarknęła i opatulila go narzutą.

– Znaczy tyle, że nie będziesz marzył w nocy.

Tamtej nocy spali pod patchworkiem. Okazało się, że Maddy miała rację. Wkrótce potem zaczęła podkradać mu koszule i przerabiać je na nowe, jeszcze bardziej olśniewający wzór.

Noce z Maddy nabierały tempa powoli, podczas gdy dziewczyna zapoznawała go z kadencją swego pożądania. W końcu poruszali się na jej kapokowym materacu jak jedno stworzenie o ośmiu kończynach. Ułamki Peterowego pożądania ułożyły się w całość bez trudu, na podobieństwo tamtego *fugato*, które jeszcze w jego dzieciństwie zapowiedziała *Symfonia Jowiszowa* Mozarta. A sam Els – po raz pierwszy od wielu lat – nie przejmował się tym, że Clara postanowiła zostawić go na pastwę losu, i uważał, że wyszło mu to na dobre bardziej, niż mógłby podejrzewać.

Nieopatrznie opowiedział Maddy Corr, co mu w duszy gra. Leżeli

w łóżku, gdzie najlepiej im się rozmawiało.

– Chcę tworzyć muzykę, która zmieni słuchaczy.

– Zmieni? Jak?

– Sprawię, że zmienią własne gusta. Otworzy im oczy na to, co poza nimi.

– Wyciągnął jedną rękę w powietrze melancholijnym gestem odrzuconego kochanka. – Czy to pragnienie to z mojej strony szaleństwo?

Maddy sięgnęła ku jego zawieszanej w górze dłoni i jednym ruchem ściągnęła ją z powrotem na własną pierś.

– Szaleństwo to sprawa względna.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem...

– Pamiętasz tę pokojową demonstrację pod Pentagonem, gdy sto tysięcy ludzi usiłowało wywołać lewitację budynku?

– W porządku. – Els skinął głową. – Łapię, o co ci chodzi.

– Nie! – Ścisnęła jego palce tak mocno, że się skrzywił. – Dokonaliby tego, gdyby naprawdę chcieli! Nauka słyszała o dziwniejszych rzeczach!

Przetoczył się i objął ją rękoma w pasie.

– Mów dalej – poprosił. – Zamieniam się w słuch.

#

Raz jeszcze Cage: „Jaki jest cel pisania muzyki?... Celowa bezcelowość lub bezcelowa gra”[27].

#

Miesiąc później Els i ta nucąca kobieta jadą slalomem w ciemnościach spóźnieni na wieczorny spektakl i szukają niemożliwego do znalezienia budynku. Zdobyli wskazówki, lecz są to wskazówki tego beznadziejnego rodzaju, który jest popularny na Środkowym Zachodzie: na północ, na południe, na wschód, na zachód. „Na lewo” i „na prawo” w tej części USA byłoby zbyt banalne. Zupełnie jakby rolnicy zamieszkujący tę płaszczyznę kartezyjską nieskończonej prerii mieli co do jednego namagnetyzowany mózg. Maddy, ta wieczna turystka we własnym życiu, za kółkiem popada w tantryjską błogość. Kieruje mikrobusem niczym psim zaprzęgiem, a Peter obawia się, że nie dożyje kolejnych urodzin.

Maddy odbiera go na wszystkich częstotliwościach. Teraz także odwraca się do niego, patrzy nań, dotyka jego łokcia i uśmiecha się... a mikrobus wpada w lekki poślizg i posyła nadjeżdżające z przeciwka auto na chodnik.

– Martwisz się, że się spóźnimy? Na występ kogoś, kto odpowiadając na pytania dziennikarzy, odwołuje się do *Księgi Przemian*?

– Nie chcę niczego przegapić.

Tydzień wcześniej Els był świadkiem tego, jak na spotkaniu Cage mówi strapiionemu kompozytorowi:

– Chcesz dyrygować procesem tworzenia, proszę bardzo. Nie mój problem.

Els czuje się winny zarzucanych komu innemu czynów. Jego zdaniem proces tworzenia wymaga dyrygenta. Tak rozumie komponowanie. Lecz choć Cage widzi proces twórczy inaczej, Peter chce się o nim więcej dowiedzieć.

Trzy miesiące wcześniej, przy okazji występu prezentującego *Koncert na fortepian preparowany* Cage'a, Els na własne oczy widział, jak pianista wczołguje się pod fortepian i wali instrument pobijakiem. Ktoś z audytorium zaczął wrzeszczeć. Wdowa po szacownym profesorze wydziału muzyki wparowała na scenę i zaczęła ciskać krzesłami w stronę solisty. Pojawiła się policja; wleczona przez funkcjonariuszy wdowa krzyczała jeszcze:

– Panie i panowie, w tym nie ma nic śmiesznego!

Jednakże wszyscy dookoła chichotali i bili brawo, przekonani, że wygłupy stanowią część przedstawienia.

– Tam! – woła nagle Els, celując palcem w ciemność za szybą, gdzie przed budynkiem z niejednolitej cegły gromadzi się tłumek ludzi.

Budowlę, zwaną „Krowim Pałacem”, spowijają snopy światła. Za ledwie po południu roilo się w niej od owiec, które ze swych miejsc na podeście oceniali sędziowie. Wieczorem zamieniła się w scenę *Muzycyrku* – wielkiego multimedialnego widowiska reżyserowanego przez mistrza przypadku, tego samego, który przez ostatnie półrocze sprowadzał tę państwową uczelnię na manowce na każdy możliwy sposób.

Maddy wślizguje się na miejsce parkingowe. Choć zatrzymali się pół przecznicy dalej, dźwięki dolatujące od pawilonu zalewają ich, ledwie wysiądą na ulicę. Za każdym razem, gdy ktoś otworzy drzwi wejściowe, ze środka dobiegają grzmoty i błyski. Idąc w tamtą stronę, Maddy i Peter widzą, że przez drzwi co rusz wysypują się na zewnątrz grupki oszołomionych ludzi, którzy potrzęsają głowami, zakrywają uszy i rzucają wyrefinowane przekleństwa.

Przestronne, okrągłe wnętrze przypomina jedną z wizji Dantego. Wszędzie pełno rozszalałych postaci widocznych w strumieniach światła. Muzycy, tancerze i aktorzy – wszyscy występują na podwieszanych

podestach. Na płycie między stanowiskami sędziów kręcą się widzowie: pchają się, potrącają, robią uniki, krzywią się, szczerzą, szaleją, gapią, piszczą i wariują pośród tego prawdziwego pandemonium. Poruszają się ogromnym wirem zgodnie z ruchem wskazówek zegara, coś jak hadziowie okrążający Czarny Kamień w Mekce. Wirują wokół wieży wzniesionej na samym środku płyty z gumowych wężyków i ołowianych rurek, waląc w nią na zmianę.

Maddy uczepia się kurczowo ramienia Petera, który przygarnia ją do siebie, i tak złączeni rzucają się w wir bachanaliów. Nad ich głowami, ze stalowej kratownicy, zwiesza się masa nadmuchanych balonów przeróżnych kształtów i wielkości, poczynając od cienkich wykrzykników, a kończąc na sterowcach. Jakiś staruszek przeciska się koło nich bliżej, niż wymaga tego sytuacja, uśmiechając się do obojga, jakby posiadał wielki sekret. Wtem niedaleko nich rozlega się donośny ryk. Zanim Elsowi uda się ich doprowadzić do celu zamieszania, hałas przenosi się już gdzieś indziej. Podekscytowany owczarek ugania się między ludźmi, usiłując spędzić ich w coś, co by przypominało stado.

W górze na rusztowaniu jakaś piosenkarka w czerwonej aksamitnej sukni stara się stworzyć samotny duet z tancerzem zajmującym platformę oddaloną od niej o metr czy dwa. Wszelkie znaki, jakie sobie wzajemnie posyłają, giną pochłonięte przez wulkan dźwięków. Kawalek dalej kwartet smyczkowy piłuje poszatkowane wiadomości bez adresata. Z dalszego podestu dobiegają stłumione okrzyki. Els odwraca się w samą porę, aby dostrzec stracha na wróble, który dźga powietrze srebrzystym fletem, jakby chciał kogoś ugodzić na śmierć.

Maddy pokazuje Peterowi gigantyczną twarz widoczną wysoko na przeciwległej ścianie pawilonu: dobroduszny Wielki Brat, a może błaznujący przewodniczący Mao zmienia co rusz minę, od marsa do maniackiego śmiechu i z powrotem. Obraz jest zapętłony i Els zagapia się na płynną transformację na trzy, cztery, pięć kolejek z rzędu. W głowie rozbrzmiewa mu litania Świętego Psotnika: „Jeśli czujesz się czymś znudzony po dwóch minutach, spróbuj robić to przez cztery minuty. Jeśli nadal cię to nudzi, rób to przez osiem, szesnaście, trzydzieści dwie i więcej minut. W końcu zobaczysz, że wcale nie jest to nudne, a wręcz przeciwnie: bardzo ciekawe”<sup>[28]</sup>.

Jednakże Elsowi nigdy nie udaje się dojść do ośmiu minut, o szesnastu

nie wspominając. Rozbrykana Maddy ciągnie go teraz głębiej w ten zamęt.

Eksplorują niczym wikary z żoną, którzy niechcący znaleźli się na sekretnej cotygodniowej parafialnej orgii. Wpadają na trzech studentów wydziału muzyki, znajomego z klubu filmowego i dwie sąsiadki Maddy ze stacji, oszołomione do imentu i rozchichotane. Z tyłu zaczepia ich dziewczyna śpiewająca altem w uczelnianym chórze. Nachylają się ku niej, aby cokolwiek usłyszeć. Dziewczyna pokazuje im tancerki na podestach.

– To Claude Kipnis. A tam to Carolyn Brown!

– Kto? – odkrzykuje Els.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Wielkie sławy!

Dzieciarnia drze się przeraźliwie na poziomie posadzki płyty, przekuwając opadłe balony. Na miejscach wydzielonych dla widowni pokazów pogłowia, za bandą, poszukało schronienia parę znerwicowanych osób. Wszystkie zasłaniają sobie uszy. Els czuje się rozdwojony: też miałby ochotę stąd uciec, ale równocześnie pragnie zostać w tym brzuchu bestii.

Wraz z każdym wdechem szaleństwa żyły Elsa przepełnia coś ciemnego i kleistego. Jeżeli to ma być muzyka, on jest stracony. Jeżeli to ma być komponowanie, wszystko, co sam napisał, jest do niczego. *Muzycyrk* – najnowszy sposób Cage’a, by powiedzieć, że kakofonia to prawdziwe imię muzyki. Jednakże w tym obłąkańczym hałasie Peter nie umie sobie nawet przypomnieć, czemu ten koncept wydał mu się swego czasu obiecujący. To doświadczenie chce go odrzeć z wszelkich przekonań, przywieść do istoty odczuwania zmysłowego, wolnego od jakichkolwiek pragnień czystego słuchania.

Ale co tu jest do słuchania? Wigilia zagłady. Syrena alarmowa ostrzegająca przed tym, co ma być. Eksplozja osobliwych i godnych śmiechu własnych ambicji. Ogłuszająca swoboda.

Nagle, kilka metrów od siebie, widzi unoszącego się w prądzie ludzkich ciał Cage’a. Mistrz wysepia od kogoś zapalną, żeby zapalić papierosa, zamienia parę słów z jednym z widzów. Els już kiedyś znalazł się dość blisko niego, lecz nie aż tak blisko. Ciągnie Maddy w kierunku sprawcy tego wszystkiego, gotów na sztukę. Lecz nadchodząca od prawej burty szara eminencja, ostro halsując, mija ich tuż przed dziobem. Na spotkanie prowodyrowi wychodzi onieśmielająca kobieta, która była obecna na każdym koncercie muzyki niemieckiej, na jaki Els się zakradł. Wydziera się do



zaskoczonego kompozytora głosem tak stentorowym, że – niewykluczone – jej popis to tylko kolejny cyrkowy numer, wygenerowany przez rzut monety.

– Panie Cage? Czy z pana jest oszust?

Cage marszczy brwi, ogląda papierosa i ucieka wzrokiem w stronę pulsujących świateł odbijających się od unoszących się swobodnie balonów. Zaraz jednak jego oblicze wygładza się, pełne ulgi.

– Nie.

Rzuca niedopałek na posadzkę i gasi dużym palcem u nogi. Jest w tym geście coś mistycznego. Potem z uśmiechem przemyka przez tłum i wychodzi z powrotem na podest sceniczny, gdzie dołącza do kwintetu, którego członkowie nalewają wody do misek różnej wielkości i stukają w nie, rytm czerpiąc z gęsto podziurkowanej wstęgi papieru do pianoli. Els staje naprzeciw platformy i przygląda się tym aktorom kabuki postukującym w miski pełne wody. Przez moment, gdzieś w najgłębszej głuszy kory nowej, słyszy każdy dźwięczny ton, jaki wydają milczące naczynia.

Czuje czyjeś tchnienie na płatku ucha. Przechodzi go prąd, elektryzując włoski na karku i ramionach. To Maddy mruczy do niego:

– Nasłuchałeś się dość?

Obraca się do niej gwałtownie.

– Żartujesz? Przecież to dopiero początek.

Dziewczyna obejmuje machnięciem otaczający ich chaos, układając usta w miękki uśmiech. Krzyczy coś, ale słowa nikną w połowie drogi. Els pochyla się ku niej, a ona powtarza:

– Zdążyłam wyrobić sobie zdanie, Peter! A ty nie?

Ten krzyk to także forma muzyki. Maddy stoi z głową lekko przechyloną i śmieje się na cyrk wokół nich. Gołe ciało nad paskiem jej opiętych džinsów i zbocza jej piersi pod bluzką z marszczoną stójką *à la* elżbietańska kryza powinny skupiać całą jego uwagę. A jednak tutaj jest coś, czego nie chce zostawiać. Wymyślonym na poczekaniu językiem migowym daje Maddy znać, że chce posłuchać jeszcze trochę. Dziewczyna wzrusza ramionami, *vibrato* palców pyta go, czy nie będzie miał nic przeciwko powrotowi do domu na piechotę, przyciąga go do siebie za poły szmatławej skórzanej kurtki i całuje w usta. Siedemdziesięcioletni staruszek stojący nieopodal kiwa głową z wszyszkowiedzącą miną.

#

To niekonieczne, byś wychodził z domu. Nie nasłuchuj

nawet; czekaj jedynie. Świat Ci się sam ofiaruje, gdyż pragnie zostać odkryty.

#

Czas przestaje istnieć. Uszy rozszerzają się Peterowi. Im dłużej stoi w bezruchu, tym bardziej melodia się rozpada. Słuch mu się wyostrza, jest teraz w stanie wyodrębnić poszczególne linie melodyczne w ogólnym zgiełku. Puzony grające jazz w tradycyjnym stylu nowoorleańskim. *Ostinato* zagrane na gitarze basowej bezprogowej, psychodeliczna przeróbka *Hand Me Down My Walking Cane* do wtóru nieprzerwanego walenia w ołowianą rurę rzeźby pośrodku płyty. Puccini kpi z zaciekłych elektronicznych permutacji utworu Matthew Mattisona, którego *épater le bourgeois* sprawia w tym euforycznym natłoku ułożone wrażenie. Powtarza się historia Ivesa i jego zachodzących na siebie orkiestr marszowych.

Godziny mijają. Choć to już północ, tłum nie rzędzie ani trochę. Els dostrzega coś kątem oka na jednym z bocznych podestów. Samotnie siedzący mężczyzna dyryguje publicznością precyzyjnymi ruchami ramion, tak samo jak mały Peter dyrygował nagraniami Toscaniniego z kolekcji ojca. Els poznaje tego człowieka, choć nigdy się nie spotkali. To Richard Bonner, o trzy lata starszy od niego doktorant sztuk teatralnych, który zasłynął zeszłorocznym stukniętym spektaklem na motywach *Snu nocy letniej*, osadzonym w domu starców, oraz tym, że na wiecu pokojowym zjawiał się przebrany za sepoya bengalskiej piechoty z roku mniej więcej 1850.

Niewidzialna batuta opada. Palce dyrygenta podwijają się, żądając *crescendo*. Tłum podchwytuje przekaz. Els ogląda to przedstawienie w przedstawieniu, dopóki samotny impresario utrzymujący spektakl w kupie nie domyśli się, że ktoś go szpieguje, i nie odwróci się twarzą do obserwatora. Bonner unosi dłonie w stronę Elsa niczym dwa pistolety na kapiszony i strzela z nich, jakby był jednym z piosenkarzy grupy Rat Pack wykonującym numer w Vegas. Następnie macha na Petera, zapraszając, aby ten przyłączył się do napowietrznej transmisji.

Gdy Els jest już blisko, Richard Bonner zrywa się na nogi i chwyta go za rękę.

– Peter Els, niech skonom! No i jak tam? Twoim zdaniem powinniśmy sobie wszyscy strzelić w łeb?

Peter ogranicza się do pijackiego uśmiechu – taką przynajmniej ma nadzieję. Impresario klepie podest obok siebie i z powrotem siada. Els

zajmuje wskazane miejsce. Siedzą i patrzą z wysokiej trybuny poza krawędź świata. Bonner niepowstrzymanie dyryguje, to podrywając, to opuszczając ręce. Od czasu do czasu rzuca jakiś barwny komentarz.

W ogólnym szumie Peter słyszy może co czwarte jego słowo.

– Pod płytami chodnika kryje się plaża! Między nami, Jetsonami, co? Wiesz, kto dostarczył balony meteorologiczne? Tutejsza baza lotnicza. A wiesz, co ta sama baza dostarcza do dżungli na drugim końcu świata? Nie, jasne, że tego nie wiesz. Skupiasz się na klasyce, co nie? *Give me that old time religion* i takie tam, prawda? Mimo że ludzie mordują się tuż pod twoim nosem, ciebie interesuje tylko to, jak zaciągnąć dziewczynę do łóżka...

Nawet mówiąc, Richard Bonner pogryza słodczyce, poupychane w kieszeniach i kieszonkach, których ma niemal tuzin. Pogniecione ciastka owsiane zawinięte w papier pergaminowy. Cukierki lukrecjowe prosto z purpurowo-różowej puszki. Wyrząsa je zupełnie jak postać z kreskówkowej reklamy, by poczęstować Petera, który nagle ze zdziwieniem stwierdza, że umiera z głodu. Siedzą we dwóch, chrupiąc słodkości i oglądając imprezę, jakby znali się od plejstocenu.

Bonner wzdycha głośno, zadowolony jak ktoś, kto wreszcie wrócił do domu.

– Przywitaj się z pewną przyszłością. Musisz pokochać to gówno.

– Naprawdę muszę? – pyta Els.

– Daj spokój. W końcu to sztuka.

– W sztuce obowiązuje nie ochlokracja, tylko republika.

– Taaa? Zawiadom o tym samą zainteresowaną, dla jej własnego dobra.

Happening dobiega końca i Els zauważa, że jak zawsze pod koniec imprezy zaczyna się wynurzać. Mimo to skacze na główkę. Ma wrażenie, że od wieków prowadzi z Richardem tę dyskusję.

– Człowiek źle znosi nadmiar anarchii. Potrzebuje wzorca. Powtarzalności. Sensownego modelu.

– Człowiek? Człowiek poddaje się czasom. Wystarczy spojrzeć na ciebie!

Peter obrzuca się wzrokiem: koszula w prążki, zielona kurtka pilotka i brązowe sztruksowe dzwony. Nic nadzwyczajnego. Bonner nosi się cały na czarno: dzins i skóra. W oczach Elsa wygląda na greasera.

– Nie da się zmusić ludzi, żeby polubili psychozę – upiera się Els.

– Nie przesadzaj – bagatelizuje Bonner. – Jesteś tu od dłuższej chwili i jakoś nie zbierasz się do odejścia.

– Trudno to nawet nazwać utworem. To ślepy zaułek. Jednorazowa atrakcja.

Bonner unosi prawą grubą brew – łuk niczym z żartu rysunkowego.

– Stary, atrakcje to nasza ostatnia nadzieja. Nadmiar czasu wolnego stanowi największe wyzwanie dla państw wysoko uprzemysłowionych. Rzecz jasna zaraz po gnieźdzących się dziesiątkami Azjatach w czarnych jedwabnych piżamach.

– Gdy ta noc dobiegnie końca, będzie po wszystkim. Raz na zawsze.

Kawałeczki przezutych cukierków wylatują z ust Bonnera.

– Kpiarz! Będą to wystawiać co roku jak znane musicale, *Oklahomę* czy *Carousel*. A za pół wieku odbędą się pełne nostalgii przedstawienia w snobistycznych muzeach Londynu.

Elsa ogarnia spokój. Tkwi z tym dziwnym mężczyzną tutaj, w sercu zmieniającego się kraju, mając przed sobą przyszłość nie do odgadnięcia. Muzyka nie potrzebuje, by ją przywoływać do porządku gwizdnięciem. Ten pawilon, to prowincjonalne miasteczko, cały eksperymentujący naród – wszystko kompletnie zwariowało. Jednak ta rozpasana anarchia nie uczyni mu krzywdy. Zdoła ją przetrwać, może nawet skorzystać na niej, i skomponuje piosenkę, której jeszcze nie słyszy.

Nękania kakofonią urasta. Tysiąc hałaśliwych turystów zlewa się w jeden organizm, potem w jedną komórkę, w której zachodzi milion reakcji chemicznych na minutę, gdy następuje wymiana informacji między poszczególnymi organellami. Plany czynią człowieka ślepym na możliwości. Życie się nie kończy. Najdrobniejszy dźwięk, nawet cisza niesie w sobie więcej, niż umysł jest w stanie pojąć. Trzeba pracować nie wiadomo jak długo, nie wiadomo dla kogo.

Bonner wyrywa go z transu.

– Wiesz, co jest najlepsze w takim utworze? To, że ludzkie opinie nie mają najmniejszego znaczenia. Cała planeta może uznać kompozytora za oszusta, a on nadal będzie chodził wolny.

Razem z resztą maruderów zostają wyrzuceni z pawilonu około drugiej nad ranem, kiedy organizatorzy *Muzycyrku* zaczynają rozbierać scenografię, aby budynek opustoszał do ósmej. Wtedy na scenę wkroczą znów zwierzęta gospodarskie, a następne pokolenie agrotechników – prawdziwi panowie przyszłości – podejmie naukę o tym, jak najskuteczniej przerobić żarłoków na paszteciki.

Bonner i Els, znalazłszy się w samym środku nocy na mroźnym Środkowym Zachodzie, z uszami dzwoniącymi im niczym szklane misy tłuczone pobijakami, wracają przez kampus, walcząc z napierającym wiatrem. Zatopieni w rozmowie kluczą i zataczają się jak pijani. Zatrzymują się na rogu pod latarnią, gdzie Bonner przedstawia rozwlekłe argumenty, z emfazą dźgając Elsa palcem w pierś. Peter opowiada mu o swoich kompozytorskich nadziejach, i to ze szczegółami, których jeszcze nie spróbował zdradzić Maddy. Pragnie użyć nawracających grup akordów w celu wykreowania postępującej melodii bez odwoływania się do banału standardowych zasad harmonii, ale też bez popadania w zabójczą formalność serializmu.

– Tylko sam siebie posłuchaj, maestro. Asekurant z ciebie, zwykły centrysta. No dalej, przyznaj się... I lepiej zapnij pasy, mały. Bo obie strony skopią ci tyłek na fioletowo.

Els mówi Richardowi Bonnerowi o Maddy, o śmiałym sopranie na miarę Sindbada Żeglarza w filigranowym ciele idealistki. Wspomina o Borgesowych utworach, które razem ćwiczą przed noworocznym recitalem. Bonner się ożywia.

– Mogę dla was przygotować choreografię. – Słowa opuszczają jego usta małymi zmrożonymi cumulusami.

– To cykl pieśni – odpowiada Els. – Maddy po prostu... po prostu śpiewa.

– Potrzebny wam choreograf. Podeślij mi na poniedziałek nuty.

Peter czuje się skacowany, choć przez całą noc chłonał tylko zamęt. Żegna się z Bonnerem pod stacją Maddy. Wymieniają uścisk dłoni. Bonner zamienia ten gest w znak pokoju, wzmacniając uchwyt kciuka.

– Lepiej pogódź się z tym, jak się sprawy mają.

– Kosmita z ciebie – oznajmia reżyserowi Els. – Prawdziwy kosmita. Przyznaj się...

Bonner się przyznaje. Z zapałem. Po czym obejmuje nowego współnika, życząc mu dobrej nocy.

Peter wspina się po schodach stacji, wymijając kopczyk kociej kupy pośrodku pierwszego podestu. Maddy śpi pod swoim najładniejszym patchworkiem, tym ze słońcami i planetami. Els budzi ją, wciąż na fali uniesienia nareszcie słyszalną przyszłością.

– A, to ty – mamrocze jego subretka. I przytula głowę do jego mostka. –

W samą porę...

Rzeczywiście, nadeszła pora na wszystką wolność, jaką oferuje ten rok cudów. Maddy jest z początku ociężała, ale od razu chętna w obliczu jego pożądania, tak świeża i zacięta, tutaj i teraz, na parę godzin przed świtem. Zasypia natychmiast po tym, gdy dochodzą do finału. Peter leży z oplecionymi wokół niej rękoma, rozgorączkowany od nadziei i niemogący się doczekać przyszłości pełnej zaskakujących nowych rzeczy.

Takt po takcie podkrada się doń sobotni ranek. Gdy światło zaczyna przebijać przez uszyte własnoręcznie przez Maddy zasłonki, Peter wstaje, ubiera się i idzie na skróty do kampusu, gdzie pożera na śniadanie pączki, dwie pomarańcze i bieżące wydanie gazety studenckiej, popijając wszystko kawą. Na pierwszej stronie ma dowód na to, że nie była to zbiorowa halucynacja: „MUZYCYRK ZATRZAŚŁ PAWILONEM W POSADACH!”. Pod spodem, mniejszymi literami, inny nagłówek głosi: „PREZYDENT JOHNSON SZUKA POKOJU Z HONOREM”.

Zanosi śniadaniowe skarby do domu, kobiecie, która dopiero się budzi. Maddy otwiera oczy, kiedy Peter pochyla się nad jej studenckim łóżkiem, uśmiecha się do niego szeroko i zarzuca mu ręce na szyję. Przez głowę przelatuje mu stara ludowa piosenka, *What wondrous love is this, oh my soul*, której wariacje będzie tworzył przez ponad trzydzieści następnych lat.

#

Partch: „Udałem się na południe, ku każdemu bogu, który cicho zagwizdał. [...] jedyne miejsce, w którym chciałbym wytrwać, zostało hen z tyłu”.

#

Usiadł obok Klaudii na ławce przed Shade Arbors. Przyszli nieboszczycy pielili grządki przy wejściu do owalnego hallu, a chmary owadów bzyczały w powietrzu, jakby wiosna miała nigdy się nie skończyć. Niedysiejsza terapeutka Petera i jego późna flama spojrzała na niego i skrzywiła się.

- Oporządzałeś zwierzęta gospodarskie?
- Wybacz. To mój strój do biegania.
- Pocisz się jak świnia. Coś jest na rzeczy.

Els potarł twarz.

- Chyba mam małe kłopoty.

Posłała mu spojrzenie z ukosa. Jakie kłopoty mógł mieć ktoś taki? Być może lekkomyślnie archaizował. Albo arpeggiował pod wpływem. Lub

przyśpieszył do *presto* w strefie *andante*.

Opowiedział jej o swoim ranku. Fakty wysypujące się z jego ust były bardziej niewiarygodne niż niektóre z dźwięków, jakie sprokurował.

Kobieta potrząsała głową.

– Zrobili nalot na twój dom?

Oddział w skafandrach, żółta taśma policyjna otaczająca trawnik – cała ta dziwna inwencja. Ale agenci poszukiwali kogoś innego. Kogoś stanowiącego zagrożenie.

– Policja zrobiła nalot na twój dom, a ty jakby nigdy nic przyszedłeś prowadzić zajęcia?

– Czekaliście na mnie. A ja nie miałem dokąd pójść.

– Nic nie rozumiem. Sprzęt laboratoryjny? Coś w rodzaju zestawu małego chemika dla dorosłych?

Chciał jej powiedzieć: w pojedynczej komórce zawierają się zdumiewająco zsynchronizowane sekwencje, przy których dźwięki *Mszy h-moll* Bacha brzmią niczym dziecięcą wyliczanką.

– Co ty, na Boga, próbowałeś zrobić?

Próbował wziąć skombinowaną przez internet na zamówienie podwójną nić DNA, składającą się z pięciu tysięcy nukleotydów, i stworzyć z niej plazmid bakteryjny.

– Odkrywałem podstawy życia.

Klaudia wybałuszyła oczy, jakby słodka, prawie stuletnia staruszka z naprzeciwnika, przerwawszy wyszywanie, wyciągnęła spod łóżka pudełko po butach ze sprawnościami zdobytymi za czasów przynależności do Związku Niemieckich Dziewcząt, żeńskiej sekcji Hitlerjugend.

– Ale po co, Peterze? – Pytanie to zadawała często także wcześniej, gdy wciąż jeszcze udawała jego terapeutkę.

Po co tworzyć muzykę, której nikt nie chce słuchać?

– Dzięki temu trzymałem się z dala od kłopotów.

– Na co ta fałszywa skromność, Peterze? O co naprawdę chodziło?

Z tego, co wiedział Els, ta nonsensowna cząsteczka DNA potrafiła tkwić obok bakteryjnego klasycznego repertuaru całkowicie bezczynna. Niczym najlepsza sztuka konceptualna nie zwracała na siebie uwagi pośród miliona innych wystaw organizowanych w mieście. Podczas podziału komórki, przy odrobinie szczęścia, hochsztaplerka przechodziła replikację za kilka pokoleń, po czym życie szło po rozum do głowy i pozbywało się intruza. Ale czasami

jej materiał genetyczny był wykorzystywany, przyczyniał się do różnorodności i załapywał na bilet okresowy.

– O nic – odparł Els. Powiedzmy, że o komponowanie. – Ot, taka próba pomysłu.

– Jakiego pomysłu?

Wydawało się, że nie ma to już żadnego znaczenia.

– Zajmujesz się terroryzmem?

Els odskoczył, jakby dostał w twarz. Klaudia nie spuszczała go z oka.

– No więc? Jak to jest? – naciskała.

Uciekł spojrzeniem.

– Hm, być może...

– Kto nauczył cię inżynierii genetycznej?

– Po prostu postępuję zgodnie z wytycznymi.

– Ale skąd masz podstawy, żeby...

– Chodziłem na wykłady jako wolny słuchacz. Przeczytałem parę podręczników. Obejrzałem z pięćdziesiąt godzin instruktażowych nagrań wideo. Zresztą to wcale nie jest takie skomplikowane. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jakie to w istocie łatwe. – Uszami wyobraźni usłyszał, jak w innym życiu mówi agentowi federalnemu: „Genetyka wcale nie jest taka trudna. W gruncie rzeczy jest łatwiejsza od arabskiego”.

– Od jak dawna...? – Klaudia zawiesiła głos.

Spuścił głowę.

– Zacząłem dwa lata temu. Akurat nie... nie zajmowało mnie nic innego. Natknąłem się gdzieś na artykuł traktujący o biohakerstwie. Nie mieściło mi się w głowie to, że laicy modyfikują genom po garażach.

– Mnie nie mieści się w głowie to, że ludzie hodują po piwnicach jadowite węże. Ale nie czuję przemożnej potrzeby, by pójść w ich ślady.

Nie mógł jej powiedzieć: minąłem się z powołaniem. Z zawodu powinien być zostać naukowcem, a muzykę traktować jako hobby. Za jego życia rozwinęła się biotechnologia, ta całkowicie nowa gałąź sztuki. Miał szanse na coś się przydać, dołożyć własną cegiełkę do gmachu ludzkiej kreatywności. Obecnie to genomika odkrywała nieopisane piękne partytury. A jedyne, czego pragnął Els, to usłyszeć – usłyszeć, zanim w jego namiocie zgaśnie światło.

Kohlmann wpatrywała się w niego tak jak lata temu, kiedy płacił jej za pomoc w poradzeniu sobie z nienazwanymi strachami.



– Zwariowałeś?

– Też przemknęło mi to przez myśl.

– A nie przyszło ci do głowy, że władze mogą być trochę przewrażliwione tak blisko głównej siedziby Dżihad Jane?

– Wtedy w ogóle nie rozważałem dżihadu.

Kohlmann jęknęła i zakryła dłońmi oczy.

– Peter... Czemu nie zainteresowałeś się brydżem, jak większość z nas? Albo nie wstąpiłeś na uniwersytet trzeciego wieku?

Drżenie jej patykowatego ramienia zdradza nagle Elsowi, że Klaudia cierpi na chorobę Parkinsona. Nie zauważył tego wcześniej, mimo że widywał ją raz w tygodniu przez ostatnie półtora roku. Przez cały ten czas nie rozmawiali o niczym oprócz *Święta wiosny* i *Księżycowego Pierrota*.

– Muszę zapalić – stwierdziła Kohlmann. – Jestem kwadrans spóźniona.

– Palisz? Od kiedy?

– Nie bądź niemiły. Rzuciłam nałóg na dwadzieścia lat tylko dzięki temu, że obiecałam sobie wrócić do niego po siedemdziesiątych piątych urodzinach.

I Kohlmann zapaliła papierosa, po czym zaciągnęła się łapczywie. Siedzieli w milczeniu, czesani przez wiatr. Na niebie w górze smuga kondensacyjna rozplatała się w postrzępioną przędzę. Klaudia wypuściła dym z płuc, wzdychając.

– Zrobili nalot na twój dom i cię nie zastali. Cóż to, są kompletnymi nieudacznikami?

– W każdy inny dzień tygodnia już by mnie mieli. Ale w poniedziałki zawsze wychodzę przed świtem.

– Czy oni nie...? – Przeczytała niewyraźny napis z własnych paznokci. – Uciekając, tylko pogarszasz sprawę.

Ta konstatacja wywołała u niego szok. W swoim mniemaniu nie uciekał. Siedział na terenie wspólnoty mieszkalnej emerytów, czekając, aż zrobi się na tyle bezpiecznie, że będzie mógł wrócić do domu i wziąć prysznic.

– Ci goście z Połączonych Sił mówili, że nie ciążą na mnie żadne zarzuty.

– Jesteś pewien, że nie wystawiono nakazu aresztowania?

– Na razie nikt mi nic takiego nie przedstawił.

Miał dwa wyjścia z sytuacji: mógł zgłosić się tam, gdzie zgłaszali się bioterrorysty, i zniknąć w bagnie federalnego zakładu karnego bądź ulotnić się na kilka dni, dając FBI czas na odkrycie, że nie zrobił niczego, czym nie

zajmowałyby się tysiące innych domorosłych inżynierów genetyków w całym kraju. Do piątku sprawa powinna przycichnąć.

Wyraził swoje przemyślenia na głos.

– Równie dobrze mógłbyś spisać zeznania. Zniszczą ci te resztki życia, które jeszcze masz, dla odstraszenia innych.

– Nie złamałem prawa. Władze nie będą traciły czasu na staruszka hobbystę. Mają dość roboty z prawdziwymi terrorystami.

Klaudia obróciła papierosa w palcach i przyjrzała się rozjarzonej końcówce. Krzywiąc się, potrząsnęła głową.

– Co znowu? – zapytał.

Kobieta zatoczyła ręką łuk w powietrzu, wskazując zagrożenia czające się na horyzoncie.

– Bardzo cię przepraszam, ale wiele się u nas zmieniło pod twoją nieobecność.

Els pobiegł wzrokiem ku grządkom, które gang trzęsących się ogrodników przygotowywał pod uprawę pomidorów i dyni. Istotnym skokiem wiary wydawało się zakładanie, że ktokolwiek z nich dożyje zbiorów.

– Dziś każdy jest wrogiem. W Szwajcarii przymknięto Bouleza za coś, co powiedział o wysadzaniu oper jeszcze w latach sześćdziesiątych. John Adams przyznał się na wizji w BBC, że znalazł się na liście podejrzanych. Ma kłopoty, ilekroć gdzieś leci samolotem.

– Żartujesz. Z jakiego powodu?

– Z powodu *Śmierci Klinghoffera*.

Els nie zdołał powstrzymać śmiechu na myśl o Johnie Adamsie figurującym na liście wywrotowców. Ironia goniła ironię, zupełnie jak księżycy siebie nawzajem w nakręcanym modelu Układu Słonecznego. Brał raz udział w nedorzecznym anarchistycznym seminarium w Columbia University – jako jeden z trzydziestu siedmiu uczestników – gdzie głoszono tezę, iż kompozytor ma moralny obowiązek bycia dywersantem. Osobiście oświadczył temu gremium, że dobra muzyka to zagrożenie. Teraz skrzywił się na swój niegdysiejszy manifest. Świadomość tego, że amerykański rząd ma oko na kompozytorów, przyprawiła go o ciarki.

– Adams... – powiedział głośno. – Genialny twórca. Ma na koncie parę transcendentálnych dzieł. Wyjdzie z tego obronną ręką.

Klaudia skończyła uprawiać miłość z ostatnim milimetrem papierosa.

– Naprawdę?

W jej głosie pobrzmiwała ciężko sardoniczna nuta. Skomplikowana harmonia, złożony rytm? Równie dobrze można by napisać thriller medyczny glifami Majów.

Machnęła mu dłonią nad głową – jak papież odwołujący błogosławieństwo – i zaczęła ze szczegółami opowiadać o aresztowaniu dokonanym w Albany, gdzie na targach zbrojeniowych ponoć cały sprzęt należał do FBI, a klienci byli terrorystami, wcześniej przekupionymi i namówionymi do zakupu. Els nie słuchał. Smakował koncept, że sztuka – w tym wypadku arcydzieło Adamsa – może nieść zagrożenie. Czuł się poniekąd uzurpatorem, absorbując te same siły, które tropiły Johna Adamsa. W chwili, kiedy on o tym myślał, ktoś przekopywał bazy danych w poszukiwaniu informacji o Peterze Elsie, przeglądał jego partytury, sprawdzając, czy te melodie powinny stanowić powód do niepokoju publicznego.

Wtem Els przypomniał coś sobie. Miał na swoim koncie podobny utwór: beznadziejny dramat historyczny *Z sideł myśliwego*.

– Chyba muszę się ulotnić – powiedział. – Na parę dni. Żeby dać im trochę czasu na posortowanie moich brudów.

Jej wzrok go zmroził. Els potarł nos i spróbował ponownie.

– Chodzi o to, że... Mam silną niechęć do kajdanek.

Kohlmann zgasła papierosa o podeszwę buta i wsunęła niedopałek do tylnej kieszeni. Zanurkowała do pasiastej indiańskiej torebki po smartfon.

– Przypuszczam, że to czyni ze mnie popleczniczkę. – Podała mu urządzenie, machnięciem zbywając swoje obawy. – To ma w środku mapę. I zawsze wie, gdzie dokładnie się znajdujesz. Wpisz sobie adres.

Els wziął od niej smartfon i zaczął na nim grać. Muskał i przyciskał ekran, posługując się samymi kciukami, co niewiele się różniło od śpiewu Fidelio. Przywołał aplikację GPS. Niedawna pozytywka zamieniła się w kompas z igłą mierzącą prosto w Shade Arbors w hrabstwie Naxkohoman w stanie Pensylwania. Klaudia podyktowała mu adres, a on posłusznie go wklepał. Na wyświetlaczu zmaterializowała się cienka zielona linia prowadząca za krawędź urządzenia.

Klaudia Kohlmann walnęła się zniecka w czoło grzbietem dłoni.

– Szlag. Będziesz też potrzebował ładowarki.

Zerwała się i pokuśtykała do środka. Przed automatycznymi szklanymi

drzwiami okręciła się na pięcie.

– Tylko nigdzie nie idź!

#

Partch raz jeszcze: „Muzykę słyszałem we wszystkim, co mnie otaczało, i starałem się ją zapisać...”. Ja sam nie próbowałem niczego innego.

#

Els obejmował dłońmi czterocalowy ekran. Obok mapy wielkości znaczka pocztowego, zbyt małej jak dla siedemdziesięciolatka, pokazały się wskazówki na temat tego, jak dojechać w wybrane miejsce. Peter podniósł wzrok na grządki. Słyszał w uszach brzęczenie, takie samo jak dekadę wcześniej, kiedy chciał z tego powodu popełnić samobójstwo, żeby dalej się nie męczyć. Jeden niski trel rozpadł się na dwa – dzieliła je sekunda mała. Potem interwał zabrzmiał metalicznie. Jeszcze chwila i dźwięki ponownie rozległy się w unisonie.

Brzęczenie się nasiliło; istny atak powietrzny z krainy Liliputów. Nowy akord wdarł się w teraz już bardziej zgrzytliwe interwały – kwartę czystą zakrawającą na tryton – jak u tych zwariowanych matuzalemów, Iannisa Xenakisa czy Alvina Luciera, wyjących na puszczy i szukających drogi wyjścia. Głośny na całe niebo trel przepełnił powietrze dźwiękowym pyłkiem, niczym warkot flotyli statków kosmicznych wielkości waniliowego andruta. Odgłosy dolatywały ze wszystkich stron, zbyt miłe dla ucha jak na szarańczę czy cykady. Nietoperze nie popiskiwały w biały dzień, a ptaki rzadko śpiewały chórem. Coś wielkiego i niewidzialnego tworzyło tę harmonię, przy której Els znów poczuł się studentem.

Drzwi opuścił kwartet mieszkańców, pośród nich William Bock. Na widok nauczyciela inżynier materiałowy aż przystanął i zaczął nasłuchiwać.

– Jasny gwint! A to co?

Każdy miał jakieś przypuszczenia, ale nikt nie potrafił wysunąć spójnej teorii. Dzieci grające na fujarkach, wiatr chwiejący konarami, szum linii energetycznej rozciągniętej na słupach, murmurando szpaków, agregaty zewnętrznej klimatyzacji, stłumione odgłosy orkiestry marszowej ćwiczącej na szkolnym boisku wiele kilometrów dalej...

Na tym wyliczaniu nakryła ich Lisa Keane w ogrodniczkach: błyskawiczny tłum geriatryków szukających na niebie nie wiadomo czego.

– To żaby – powiedziała im. – Rzekotki. Śpiewają do siebie.

Płazi improwizatorzy, bawiący się fantastycznymi dysonansowymi chórami: coś takiego wydawało się Elsowi nie mniej skandaliczne niż własne życie.

– Nie umiem rozpoznać, który gatunek konkretnie – ciągnęła Keane. – W tych stronach można usłyszeć ponad dwadzieścia żabich dialektów.

Els zapytał ją:

– Co one mówią?

– Och, no wiesz... To, co zwykle: „Jest miło i mokro. Oboje żyjemy. Może tu podejdiesz?”. No bo o czym innym warto śpiewać?

I to mówiła kobieta, której muzyka nie ruszała. Els przymknął oczy, w myślach transkrybując rodzące się w powietrzu melodie z czasów, gdy największym dokonaniem ewolucji było porozumiewanie się na odległość. Tylko posłuchajcie. Posłuchajcie!

– Od jak dawna one to robią?

– O, bo ja wiem? Od miliona lat?

– Nie. Nie o to pytałem. Miałem na myśli... jak długo w tym roku?

Eksbenedyktynka dokonała jakichś obliczeń.

– Przez ostatni miesiąc, z małymi przerwami.

– Pierniczysz! – zauważył Bock.

Po minucie cud ich znużył i całą grupą ruszyli do busa. Wkrótce jedynymi słuchaczami tej niecodziennej serenady byli Keane, Els i zgarbiony staruszek, który poruszając się, przypominał orła z przetrąconym skrzydłem.

W końcu wróciła Klaudia Kohlmann, machająca ładowarką na długim kablu.

– Ojej. Co znowu?

Els wskazał w kierunku drzew, skąd dochodził strobujący dźwięk. Kohlmann zmarszczyła czoło.

– A, przyroda... ponownie. Jest nie do opanowania!

– To żaby – sprecyzowała Keane.

Els zdziwił się: była zakonnica startowała do pani psycholog zajmującej się analizą transakcyjną.

– Wiem – potaknęła Kohlmann. – Rzekotki drzewne. Ale czemu to takie ważne?

Lisa Keane musnęła przedramię Klaudii i posłała jej niewyraźny uśmiech: płazy niedługo się uspokoją. Pomachała na pożegnanie i podjęła wędrówkę ku swojemu spłachetkowi ziemi uprawnej.

Klaudia wręczyła ładowarkę Peterowi.

– Poradzisz sobie. Po prostu rób to, co nakazuje ci Głos, nawet jeśli twoim zdaniem się myli. Niezbadane są ścieżki Głosu, ale jest pewne, że ma On co do ciebie wspaniały plan.

– Dokąd zaprowadzi mnie mapa?

– Do chaty mego syna w Alleghenach. Z całą rodziną lubi takie rzeczy. Pokrzywy, kleszcze... Ma ją po ojcu.

– Nie mogę zamieszkać w chacie twojego syna.

– Im nie przeszkadzają wizyty innych wariatów. Zresztą w tej chwili wszyscy czworo przedzierają się przez Indonezję z maczetami w dłoniach. Żałuj, że nie widziałeś moich wnuków. To musi być efekt działania bydlęcej somatotropiny.

– Chyba nie chcesz, żeby agenci federalni...

Kohlmann cmoknęła i pomachała palcem jak miniaturową wycieraczką samochodową.

– Phi! Klucz znajdziesz w porzuconym gnieździe os nad nadprożem tylnych drzwi. – Skinieniem głowy pokazała iPoda. – Wydaje mi się, że gdzieś tam w środku ukrywa się telefon. W razie kłopotów puknij w ideogram aparatu i wklep „Ja”.

– Nie mogę zabrać ci telefonu.

– Mam jeszcze dwa inne.

– Ale co z mailami? Z muzyką? Z internetem?

– Od prawie pół roku usiłuję się od tego uwolnić. Tylko mi pomożesz zwalczyć uzależnienie. – Usiadła na ławce proszącej się o malowanie. – Ej, posłuchaj tego! Słyszysz? Te małe gady znowu śpiewają.

Els wpatrywał się w telefon w swoim ręku.

– Czemu robisz dla mnie to wszystko. Chodzi mi o to, że... wzięwszy pod uwagę...

– Przestań gadać i bierz się do dzieła. Mam wszystko nielimitowane. Żadnych tam ograniczeń minutowych czy bajtowych.

– Oddam ci go jeszcze w ten weekend.

Zbyła go machnięciem ręki.

– Dobra, dobra. Tylko zrób mi tę przysługę i zaraz po przyjeździe do chaty wykup się wreszcie.

Els wstał i ruszył w stronę nieodległego parkingu. Obejrzał się jednak na Kohlmann, która prawą dłońią ocieniała oczy przed słońcem.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co? – nie rozumiał.

Wygiętym kciukiem pokazała za siebie, na budynek.

– Za dzisiaj. Słuchałam tego z dziesięć razy i nigdy tak naprawdę nie słyszałam. Aż do dziś.

#

Moich kultur nie da się już odwołać. Wyrwały się na wolność i mnożą się na potęgę, niczym miotły ucznia czarnoksiężnika.

#

Richard Bonner przerobił Elsową wersję czterech tekstów Borgesa w szajbnięty teatr. Zmusił Maddy i spółkę – waltornię, obój, wiolonczelę, fortepian i perkusję – żeby zaczęli od nowa. Peter z początku próbował minimalizować szkody. Stał tuż obok nowego przyjaciela podczas prób, wytykając, co może się nie sprawdzić jako zbyt mało realistyczne. Jednakże realizm Bonner traktował jak chłopca do bicia.

– Podejdźmy do tego tak... – mówił co parę minut, a kiedy Els, Maddy albo któryś z pozostałych muzyków zaprotestowali, ten psi syn teksaskiego kaznodziei o niewyparzonym pysku odwarkiwał: – Co, boicie się trochę poeksperymentować?

Richard zalecał się do Maddy w dziwny sposób, roztaczając przed nią szerokie wizje. Els nic z tego nie rozumiał; spodziewał się prędkiej tego, że jego przyzwoita, produkująca patchworki dziewczyna będzie raczej unikać takiego maniaka. Tymczasem ona pławiła się w zainteresowaniu Bonnera, który znosił jej biżuterię – rokokowe cuda, jakich żaden rozsądny człowiek nie przytknąłby do ciała: na przykład politurowaną czaszkę gekona zatkniętą na mosiężnej szpilce do krawata czy zapinkę wykonaną z wylinki cykady. A naiwna Maddy obwieszała się nimi cała.

– Patrzcie no! – zachwycał się Richard. – Wyglądasz jak westalka w rui!

Mimo to nie dawała mu się. Przy jednej okazji, gdy chciał ją zmusić do chodzenia jak robot, złapała go za irchową koszulę, wykręciła materiał w rękę i zapytała:

– Potrzebna ci? Mogłabym ją przerobić na coś ładnego.

Na każdej próbie Richard rozdawał rekwizyty. Maski gazowe do założenia w trakcie wykonywania trzeciej pieśni. Malajskie lalki z teatru cieni, którymi muzycy mieli wymachiwać w powietrzu. Zanze, dla których

partie przymuszony Els musiał wkomponować w melodię. Peter modlił się, żeby magazyny Armii Zbawienia wyczerpały się, zanim wyczerpie się cierpliwość jego muzyków.

Co wieczór po tym, jak wszyscy się rozeszli, Bonner zatrzymywał Elsa dłużej, aby pograli tylko we dwóch. Choć miał inne zobowiązania – pracę doktorską do napisania, sztuki teatralne do obejrzenia, może nawet życie prywatne do przeżycia (tego ostatniego Els nie był do końca pewien, bo nie dostrzegał u przyjaciela żadnych przejawów życiowych w tej mierze) – w obliczu tego projektu, będącego recitalem dyplomowym kogo innego, Richard dysponował nieskończonymi pokładami energii i ochoty. Peter zastanawiał się nawet, czy Bonner nie jest uzależniony od środków pobudzających. Ten jednak nie potrzebował amfetaminy. Starczały mu wewnętrzne demony: ojciec z piekła rodem, matka samobójczyni, siostra cierpiąca na ogniskową dysplazję korową. Miał taki napęd, że żadne egzorcyzmy w postaci ciężkiej pracy nie mogły tego zmienić.

Zdaniem Bonnera wystawienie *Pieśni Borgesa* wymagało kostiumów, zestawu projektorów na szesnastomilimetrową taśmę i tańca. On jeden widział, jak zazębic wszystkie ruchome części spektaklu. Zaplanował kroki, których wymagał od Maddy: spastyczne pchnięcia, szarpnięcia i ciachnięcia. Kiedy je pokazywał, jego nieporadność była tak bliska niepoohamowanego szczęścia, że Peter musiał odwrócić wzrok.

Maddy sztywniała, ilekroć z ust choreografa padła jakaś dziwaczniejsza prośba.

– Tego nie mogę zrobić – mówiła.

– Możesz. Przekonasz się, że to wcale nie jest trudne. Z każdym razem będzie ci łatwiej.

– Wyjdę na idiotkę.

– Pokażesz wszystkim, czym jest siła natury. Zobaczysz.

Els siedział na widowni pustego teatru, przyglądając się, jak jego pieśni stają mu się obce niczym sama śmierć. Maddy wyrzucała ramiona i pochylała barki, istny święty błazen. Peter chciał obronić gamoniowatą, wciągniętą w zasadzkę solistkę przed losem, na który się nie pisała. Jednakże ona nie potrzebowała ochrony. Była na przegranej pozycji i z odwagą zamierzała stawić czoło przeznaczeniu.

W oczach Bonnera każdy niezdarny przysiad Maddy był sztuką objawioną. Ten mężczyzna nie umiał zaprzestać choreografii. Stał



naprzeciwko krzywiącego się kwintetu, lewą dłonią obejmując prawy łokieć, dwoma palcami dotykając linii włosów na czole i uśmiechając się pod nosem, jakby cała historia stanowiła przydługi dowcip, którego puentę zaraz będzie miał okazję przedstawić. Zerknął na partyturę, rozważał listę potencjalnych ofiar i strzelał.

Perkusista jakoś znosił wygłupy Richarda, pianista tylko się z nich śmiał, ale pozostali grozili odejściem. Bonner zmieszał ich z błotem.

– Będziecie tam siedzieć sztywno, jakby wam ktoś kij od szczotki wsadził w zwieracz, nawet nie przytupując do rytmu? Wszyscyście zapomnieli, co to muzyka! Nie bez powodu mówi się w niej o tempie: *allegro, vivace, presto...*!

No i muzycy, nie przestając zgrzytać zębami, zamieniali się w tancerzy.

Peter odnosił wrażenie, że jego utwór to samolot do Paryża, który nieoczekiwanie zmienił kierunek i leci do Hawany. Lecz około grudnia niepokój Elsa spowodowany porwaniem przeszedł w podniecenie. Rozwinął melodię tam, gdzie wymagała tego chaotyczna choreografia Bonnera. Czysto akademicki utwór nabrał nagle życia. We dwóch – naciskając, badając i przebijając się wzajemnie – wynieśli te nuty na całkiem nowy poziom.

Walczyli, zgoda. Wpadali w gniew i irytację. Przepychali się godzinami, chcąc postawić na swoim. Zżerał ich stres. Ale Richard potrafił zamienić w twórczą szaradę nawet wojnę.

Którejś mroźnej nocy wspólnicy szli przez pogrążony w ciemnościach kampus, wykończeni po długich próbach, lecz podnoszeni na duchu świadomością, że oto dzięki nim rodzi się wspaniały dziw. Richard zatrzymał się pośrodku dużego trawnika i uniósłszy ręce w powietrze jak do dyrygowania, zapytał:

– I jak ci się podoba to, że twoja rybka wypływa na szerokie wody?

Els dołączył do niego, przystając.

– A jak tobie się podoba to, że twoja płasawica zaczyna przypominać skoordynowane ruchy?

Choreograf zadarł głowę, by spojrzeć na rosnący księżyc.

– Maestro. Dobrze nam się razem pracuje, prawda? Coś mi mówi, że połowa problemów by zniknęła, gdyby jeden z nas miał pochwę.

Els cofnął się gwałtownie. Poślizgnął się przy tym na ubitym śniegu i byłby upadł, gdyby Bonner nie podtrzymał go za łokieć. Choreograf pacnął Petera w potylicę i wybuchnął śmiechem.

– Pierdol się, stary! Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Co to, masz jakiś problem?

Richard strzelił palcami, dając sygnał do podjęcia marszu. Po jakichś stu metrach milczenia, które najwyraźniej bardzo mu odpowiadało, ponownie złapał Elsa za ramię.

– Maestro, posłuchaj. Przez wzgląd na ciebie cieszę się, że Maddy ją ma. I nie wątpię, że jej pochwa jest wspaniała.

Potem wrócił do spraw czysto zawodowych – do Borgesa i Brechta, i do tego, jak na ciasną scenę przenieść nieskończoność.

#

W skali minorowej jest radość; człowiek czerpie głęboką przyjemność z tego, że słysząc najtrudniejszą melodię, odkrywa, iż jej podoła.

#

Występ wyznaczono na koniec stycznia, dzień przed dwudziestymi siódmymi urodzinami Petera Elsa. Zła sława otaczająca Bonnera okazała się dobrą reklamą. Stawili się fani zespołu Maddy, chcący wysłuchać ulubionej solistki. Stawili się koledzy Petera z roku, chcący ocenić, jakie zagrożenie dla nich stanowi. Pojawił się Mattison i stojąc na przedzie sali, tylko czekał, by okazać niezadowolenie. Rozeszła się wieść, że świat stanął na głowie i teraz to pacjenci rządzą w wariatkowie. Dzięki temu audytorium było prawie pełne.

Gdy publiczność się schodziła, Bonner pełnił straż w połowie prawego przejścia, ale kiedy na scenę wyszli muzycy i zostali powitani uprzejmymi brawami, wycofał się do tylnych rzędów, gdzie miejsce miał Peter. Rozległy się pierwsze, niepewne takty waltorni, do której po chwili dołączyły wiolonczela, a następnie obój. Do wtóru trójki instrumentów grających na zwłokę prawym przejściem zakradła się na scenę Madolyn – Kleopatra w szarej tunice, z broszą z czaszki gekona i cykadą we włosach. Stała na skraju podwyższenia, zatrzymała się, skuliła i zaraz wycofała na miejsce zwolnione przez choreografa. Widzowie byli skonsternowani, ale muzycy grali dalej, jakby nigdy nic.

Przez motyw przewodni, zbudowany na zataczających pętłe równoległych interwałach dysonansowych wiolonczeli, waltorni i oboju, zaczęły się przebijać pudełko akustyczne i terkotka. Maddy podniosła się z miejsca, rzuciła ku scenie, zawahała, znów stchórzyła i zawróciła.

Publiczność zachichotała, podenerwowana jak trzeba.

Nagle fortepian zagłuszył rwący się rytm, wygładzając linię melodyczną. Dalsza melodia, grana już przez pięć instrumentów, popłynęła wartko i równo. Maddy wystrzeliła ze swego miejsca i zaciągnęła opierające się ciało po stopniach na środek sceny, gdzie pod wpływem zdumiewającego przyływu siły woli zaśpiewała:

*Co prawda,*

*co prawda,*

*co prawda...*

*Co prawda każdy z nas odkłada na później*

*wszystko, co tylko może być odłożone...[29].*

Skala opadająca przeszła w hypofrygijską, starogrecką, religijną. Instrumenty zaczęły zataczać ciasne, duszące kręgi *stretto*. Później zapłonęły projektory – bliźniaczymi snopami z przeciwległych krańców sali – spowijając solistkę kolorami. Osiągając dolne rejestry swego głosu, Maddy wyśpiewała *legato*, które wiło się niczym tunel antycznego grobowca:

*Być może w głębi duszy jesteśmy pewni naszej nieśmiertelności[30].*

Przy ostatnim słowie melodia poszybowała w górę na dźwięcznych akordach fortepianu i wrzawie dzwonków.

Trzy instrumenty melodyczne osiągnęły druzgoczący szczyt *arpeggia*, po czym umilkły. Projektory zgasły. Dźwięki posykiwały jeszcze przez chwilę w zaparowanym pomieszczeniu. Maddy gwałtownie pokazała ręką ponad głowami tłumu. Jej wyciągnięta dłoń i rozpaczliwe wejrzenie sprawiły, że połowa obecnych obróciła się, by spojrzeć za siebie. A wtedy ona, ponad głosem waltorni i oboju *pianissimo*, przebiegła po splocie czterech akordów septymowych:

*A także tego, że wcześniej...*

*Wcześniej czy później...*

*Wcześniej, wcześniej czy później...*

*Później... czy później... później...*

Projektory zapłonęły ponownie, razem z chórem antyfonalnych nagranych głosów. Poklatkową kawalkadą ściany pokryły się obrazami, od porażonego prądem słonia Edisona do zawieszzonego nad błękitną Ziemią Edwarda White'a, połączonego z kapsułą Gemini siedmioipółmetrową pepowiną. Pianista zaczął grać przedramionami. Waltornia, obój i wiolonczela zwieńczyły melodię sekundami małymi, podczas gdy

perkusista przetaczał gąbkowe młoteczki po wiszących cymbałach chińskich. Na nucie stałej ze środka zakresu jej możliwości, wzbijając się o trzy całe tony dopiero pod koniec, nieruchoma Maddy zaintonowała:

*Wcześniej czy później każdy człowiek zrobi wszystko i wszystko będzie wiedział*<sup>[31]</sup>.

Kto tamtej nocy siedział na widowni? Studenci antropologii kulturowej w maziatych gnieceuchowych kurtach na wzór hinduski i z brodami jak szczotki do butów. Doktor filologii, który właśnie się przymierzał do wkroczenia w prawdziwe życie jako obwoźny sprzedawca przecenionych mebli. Długowłosa, ciemno- i skośnooka kobieta mająca na ścianie łazienki wypisany tekst *Dezyderaty* i budząca się noc w noc z przekonaniem, że będzie się smażyć za to, co zrobiła. Emerytowani socjologowie pewni co do tego, że demokracji konsumpcyjnej zostało góra dziesięć lat. Agitator o umyśle zapalnym niczym propan-butan, koniec końców członek Chicago Board of Trade. Uczony specjalizujący się w idealizmie niemieckim i wierzący, że wszechświat zaczyna poznawać sam siebie. Klimatolog zastanawiający się, czy planeta przypadkiem nie znalazła się na najlepszej drodze do zagłady przez powolne zwiększanie temperatury. Etnomuzykolog, który następne czterdzieści lat poświęci na udowadnianie tego, że muzyka wymyka się wszelkim definicjom. Ogółem – setka osób, których potomstwo pewnego dnia będzie wiedzieć wszystko i zazna nieśmiertelności.

Pierwsza pieśń dobiegła końca; słuchacze zaczęli pokasływać i poprawiać się na krzesłach. W pobliżu Elsa rozległy się chichoty. Kobieta siedząca po jego lewej nachyliła się ku swemu towarzyszowi i wykonała rotacyjny gest palcem wskazującym. Els odwrócił się do choreografa. Bonnerowi płonęła twarz. Śmiał się niczym czarny charakter z melodramatu i zacierał ręce, gotów na potok zniewag, jakie tylko sztuka potrafi sprowokować. Choć minęła dopiero jedna czwarta recitalu, Elsa dopadł przeszywający ból lewego ramienia, odzywający się z dziesięciosekundowymi przerwami.

Druga pieśń zasadzona była na dwóch motywach: punktowanym, trocheicznym rytmie, czymś w rodzaju zwichrowanego metronomu, zachodzącym na siebie przy różnych interwałach, oraz przedłużonych, wpadających na siebie nutach trwających w uporczywym dysonansie. Maddy garbiła i prostowała ramiona, pochylając się i sięgając do przodu, a zarazem odchylając się do tyłu, przez co kołysała się w miejscu – uwięziona tak jakby w ciele kogoś innego.

*Czas jest rzeką, która mnie porywa...*[32]

– zaśpiewała w tonacji przypominającej psalmodię. Potem nadeszła liryczna odpowiedź:

*Ale ja jestem tą rzeką*[33].

Ileć raz muzycy robili sobie przerwę, wolnymi łukowatymi ruchami przetaczali nad swoimi głowami kolorowe kule. Padały na nie obrazy: ponaciągane i skurczone zegary, pulsująca sinusoidalna linia oscyloskopu, jądro atomowe, wirujące galaktyki. Powróciła ta sama tonacja, ale transponowana i odwrócona.

*Jest tygrysem, który mnie rozszarpuje*[34]...

I kantylena:

*Ale ja jestem tym tygrysem*[35].

Podczas trzeciej pieśni obrazy, omijając muzyków, znowu padły na tylną ścianę: rebelia w Biafrze, zamieszki w Detroit, bombardowanie w Danang i młody Che Guevara, który zmarł zaledwie parę miesięcy wcześniej. Opanowując drżące kończyny, Maddy zaśpiewała, jak nigdy wcześniej i później nikt nie słyszał:

*Jest ogniem, który mnie trawi...*

*Ale ja jestem tym ogniem*[36].

Dysonansowa melodia umilkła. Upiorny film również zamarł na obrazie tonącego supertankowca, po czym ściemniał zupełnie. Widzowie znowu zaczęli kasłać i poprawiać się na swoich miejscach, zerkając na zegarki. Els miał ochotę ześlizgnąć się gdzieś i umrzeć na bardzo długo.

Wtedy rozległy się swawolne dźwięki *scherza*. Maddy śpiewała o pracy ani dla potomności, ani dla Boga, o którego gustach literackich niewiele było wiadomo. Muzycy zaprezentowali takt ósemkowy, podrasowany wszelkimi znanymi Elsowi kontrapunktami. Melodia osiągnęła apogeum, jak gdyby solistka i instrumentalści mieli opuścić scenę pośród ogólnego wścieku, lecz zaraz przeszła w kadencję.

Słuchając, Els przejrzał własne oszustwo. Pisał w imię przyszłej miłości i w imię miłości słuchacza doskonałego, którego nieomal potrafił sobie wyobrazić. Ale teraz zrozumiał, jak mógłby ulepszyć swoją muzykę, udziwnić ją, uczynić wyrazistszą, chłodniejszą i bardziej obojętną.

Jednak w ostatniej pieśni powiała odświeżająca bryza i niebo przejaśniło się, ukazując możliwości. Maddy zebrała się w sobie, sztywna teraz jak na własnym pogrzebie, wreszcie spokojna po trzech wcześniejszych wybuchach.

Tańce się skończyły, a na tylnej ścianie zawisała tylko jedna czarno-biała fotografia paru okrzemek wielkości kilku mikronów, z krzemionkowymi pancerzykami rzeźbionymi niczym zwieńczenia gotyckiej katedry. Ponad pulsującą linią melodyczną fortepianu unosiły się staromodne, rzewne dźwięki wiolonczeli i waltorni, coś na podobieństwo pierwszych taktów *Mondnacht* Schumanna, tyle że w przebraniu. Maddy zaczęła śpiewać z wolną, wznoszącą intonacją, tak że słowa przypominały niebieskie baloniki odrywające się od horyzontu.

*Jesteśmy stworzeni dla sztuki...*

Ledwie podjęła tę wijącą się frazę, Els zrozumiał, że Maddy jest mu tak droga jak samo życie. Szpony wbiły mu się w żebra, a on poczuł radość graniczącą z paniką. Pragnął się dowiedzieć, jaką drogą pójdzie ta kobieta. Pragnął pisać muzykę, która w niej osiadzie niczym szron na polach. Spędzą ze sobą następne lata, razem się zestarzeją, rozchorują i umrą wciąż we wspólnym zadziwieniu.

Maddy podbiła melodię o kolejną kwartę czystą:

*Jesteśmy stworzeni dla pamięci...*

Coś ścisnęło go za ramię. Richard. Els obrócił się do niego, ale choreograf patrzył prosto na scenę, jakby w minionych dwóch dniach nie wysłuchał tego utworu parędziesiąt razy.

Pianista urwał w pół *ostinato*, wstał i zszedł ze sceny. Maddy wyciągnęła rękę, dłonią ku górze, lecz nie zdołała go zatrzymać. Zmniejszony skład grał dalej, powtarzając dźwięki, które teraz zaczęły się układać w permutację początkowego fragmentu pierwszej pieśni. Waltornista także jął się zapominać, wstał, zszedł po schodkach i zagłębił się w audytorium. Maddy spoglądała za nim, dotykając policzka, niezdolna go zawołać. Zdumiona kontynuowała:

*Jesteśmy stworzeni dla poezji...*

Dał się słyszeć wyraźny konsonans tria. Zaraz jednak oboistka odłożyła instrument i odeszła. Wiolonczelista przez parę chwil ciągnął nieustraszenie melodię zaczerpniętą z *Suity d-moll* Bacha, podczas gdy perkusista wtórował mu na ksylorimbie. W końcu, poddając się nieuniknionemu, wiolonczelista także odłożył instrument i ruszył przejściem w stronę drzwi prowadzących do foyer. Zamyślona Maddy nawet nie zauważyła, że została na scenie sama tylko z perkusistą, dalej wybijającym urywany rytm na kawałkach drewna.

*Lub być może...*

Maddy śpiewała, kręcąc głową na dziwność melodii, i cofała się, poruszając rękoma tak, jakby przesiewała wiatr.

*Lub być może jesteśmy stworzeni dla zapomnienia*[37].

Perkusista wybił ostatni takt na swojej drewnianej sztabce. Scena pogrążyła się w ciemnościach, ale publiczność potrzebowała pięciu potwornie długich sekund, aby uznać, że występ dobiegł końca. Zanim rozległy się brawa, Els usłyszał, jak ktoś niedaleko szepcze barytonem:

– Hochsztaplerzy.

Brawa dochodziły z daleka. Muzycy zgromadzili się z powrotem na scenie i kłaniali się. Maddy przyłożyła dłoń do czoła i wpatrzyła się w mrok, szukając głównych winnych, ale dostrzegała jedynie cienie. Bonner poderwał Elsa do pionu, lecz ten zachwiał się kilkakrotnie jak gumowa kaczka zabawka na wodzie, zanim obróciwszy się do przyjaciela, zobaczył, że ten spogląda na widownię z chłodnym rozbawieniem.

Później ludzie zaczęli podchodzić do Petera, aby wyrobić sobie zdanie na temat tej zuchwałości. Chcieli znaleźć się blisko, by sprawdzić, czy naprawdę mu się upiekło. Ktoś objął go za ramiona i powiedział:

– To było coś!

Ktoś inny stwierdził:

– Bardzo interesujące!

Ktoś jeszcze inny dorzucił:

– Podobało mi się, chyba.

Els dziękował, szczerzył się i kiwał głową, ale nie widział nikogo.

Łysy mężczyzna w niemodnym gabardynowym garniturze podkradł się i wyszeptał blade podziękowanie. Els podał mu rękę, ale mężczyzna uniósł obie dłonie, jakby coś było z nimi nie tak.

– Nieczęsto się słyszy... – wymamrotał – ...coś tak...

Nie dokończywszy, odszedł rakiem, wzdrygając się z wdzięczności.

Wyglądająca na zdetronizowaną królową i mierząca metr osiemdziesiąt dwa centymetry kobieta uścisnęła od tyłu ramię Elsa. Gdy się odwrócił raptownie, zapytała z hiszpańskim akcentem:

– Co to miało być?

Wokół, w pustoszejącej sali, stojący w zbitych grupkach ludzie iskali się i uwodzili. Els uśmiechnął się do majestatycznej kobiety i odparł:

– Dwadzieścia pięć minut.

Oczy jej rozbłysły.

– Z jakiegoś powodu wydawało mi się to dłuższe – powiedziała i oddaliła się w stronę zwlekającego z odejściem tłumku.

Z najbliższej koterii wyłonił się Mattison. Zasalutował Elsowi dwoma palcami.

– Zabiłeś im ćwieka.

Była to największa pochwała, jaką Peter usłyszał z ust swego mentora.

Spoglądając na wskroś prawie pustej sali, Els wypatrzył Bonnera siedzącego samotnie w pierwszym rzędzie i gapiącego się na opuszczoną scenę. Richard nawet się nie obejrzał, kiedy Els opadł obok niego na krzesło. Za to odezwał się monotonnym głosem:

– Stworzeni dla zapomnienia. Ptaszek. I co dalej?

Els w milczeniu grał na kciukach jak na kastanietach.

– Moglibyśmy ruszyć w trasę. Bloomington. Hyde Park. Ann Arbor.

– Moglibyśmy – odparł Bonner, negując pomysł. Obsesja ostatnich kilku tygodni opadła do poziomu zwykłego podniecenia. Nieruchomymi oczyma śledził serię niewidzialnych filmików krótkometrażowych wyświetlanych tuż przed jego nosem.

– Zadowolony? – zapytał go Els.

– Że co?

– Pytam, czy czujesz zadowolenie.

– A ja pytam: że co?

Gdzieś pod jego czaszką, na rozległej jałowej przestrzeni stąd do wieczności, ponownie zbierało się na burzę wątpliwej kreatywności. Tymczasem audytorium opustoszało doszczętnie. Kompozytor wstał i rzucił:

– To co, do zobaczenia?

Choreograf potaknął skinieniem głowy, ale w odpowiedzi na inne pytanie.

Els dogonił Maddy w foyer, gdzie stała z trojgiem instrumentalistów. Dziewczyna była zarumieniona i trzymała się niepewnie na nogach, zdumiona, że przeszła praszczęta i przetrwała.

– Hm – odezwała się na widok Elsa. – To dopiero było przeżycie!

– Chce powiedzieć – wtrąciła oboistka – „Nigdy więcej!”.

– Nuty mi się podobały – stwierdził wiolonczelista – ale nadal uważam, że obeszłoby się bez ewakuacji.

Oboistka się roześmiała.

– Wiesz, co Strawiński powiedział na premierze *Pierrota*? „Chciałbym,



aby ta dama się przymknęła, dzięki czemu mógłbym słyszeć muzykę”.

Przez jakiś czas sprzeczali się o duszę muzyki, jak mają w zwyczaju wykonawcy, zanim rozejdą się na trawkę i piwo. Pianista i waltornista już siedzieli w barze, wyprzedzając resztę o pół dzbana. Perkusista zabębnił palcami na barku Elsa.

– Pora się schlać. Idzicie?

Maddy zerknęła na Elsa, który się wymówił.

– Masz coś przeciwko temu, żebym poszła sama? – zapytała.

– Możemy wcześniej zamienić dwa słowa?

– Spotkamy się na miejscu! – zawołał przez ramię perkusista, po czym całe trio się oddaliło.

– Udało ci się, Peterze – powiedziała Maddy. – W tych utworach coś jest. Nawet dziś wieczorem słyszałam w nich coś nowego.

Pomógł jej włożyć płaszcz z koźlącej skóry. Stojąc za jej plecami, przytrzymał ją za ramiona.

– Byłaś nieziemską.

Zmiękła i napała na niego.

– Naprawdę?

– Jak z innej planety. Madolyn. Kocham cię.

Wykręciła szyję, aż trzasnęły jej kręgi, i uśmiechnęła się do niego.

– Kochasz te pieśni, Peterze.

– Dziś wieczór dostrzegłem w tobie coś... Coś, z czego istnienia nie zdawałem sobie wcześniej sprawy.

– Nie – zaprzeczyła, odwróciwszy się, nadal unikając jego wzroku. – To było przedstawienie.

– Powinniśmy się pobrać. Zacząć wspólne życie.

Wpatrując się w partyturę zapisaną na porysowanym linoleum, zanuciła coś energicznie, choć bezgłośnie.

– Przeprowadzimy się gdzieś, gdzie żadne z nas jeszcze nie było – ciągnął Els. – Znajdziemy mieszkanie i zamienimy je w nasze własne gniazdko. Będziemy sobie nawzajem czytać wieczorami. Będziemy się o siebie troszczyć.

Potrącił każdą jej czułą strunę. Chęć podróży. Pragnienie scalania kawałków w olśniewającą całość. Mrzonki o uniesieniu Pentagonu w powietrze.

Potrząsnęła głową na tę wyliczankę, podobnie jak pod koniec ostatniej

pieśni. Złapała go za nadgarstki niczym wykrywacz kłamstw i spojrzała mu prosto w oczy.

– Przejdźmy się.

Padał śnieg, powiększając już istniejące, wysokie do kolan zaspy. Szli przed siebie dłuższy czas, pogrążeni w rozmowie, która przeszła w telepatię. Przed północą Peter Els tajał w łóżku swojej ukochanej, obolały od nadziei, jakiej nie czuł jeszcze nigdy w życiu. Miał dwadzieścia siedem lat – o dwa za dużo, aby groziła mu obowiązkowa służba wojskowa – i właśnie się zaręczył z myślą o rychłym ślubie. A przyszłość skrywała muzykę tak wyraźną i czystą, że wystarczyło tylko zacząć ją spisywać.

Pobrali się dwa tygodnie później w budynku sądu w Urbanie, za jedynego świadka mając Richarda Bonnera. Liczyli się z gniewem najbliższych, ale byli zdania, że nikt inny nie musi słyszeć słów ich przysięgi.

Maddy własnoręcznie uszyła sobie sukienkę z morelowej tafty i ozdobiła ją orchideą, której koszt był równy tygodniowemu stypendium Petera. Els ubrał się w batyst i sztruks. Richard jak zwykle nosił się na czarno i skórzano. I był u boku Elsa w łazience sądowej, na sesji wymiotów.

– Gdybym nie znał cię lepiej – mówił, trzymając głowę Petera z dala od armatury – powiedziałbym, że dopadła cię trema.

Els był w stanie co najwyżej jęknąć.

– Czego się boisz? Zakładam, że już widziałeś ją gołą.

– Jezu, Richard. Co będzie, jeśli nie jestem tym jedynym? Jeśli nie jest nam pisane? Jeśli tak nie ma być?

– *Es muß sein*, maestro.

– Co będzie, jeśli zniszczę jej życie?

– O, to by było okropne! Szczególnie po tym, jak przysięgniesz robić, co w twojej mocy, i tak dalej.

– Richard, co ja wyprawiam?

– Wykonujesz skok, Peterze. Po raz pierwszy w życiu. I jest to coś pięknego.

Bonner starł mu plamki z kołnierza papierowym ręcznikiem, a następnie powlókł korytarzem mimo podejrzanych w niebieskich kombinezonach i kajdankach, których na właściwe sale sądowe odprowadzali inni strażnicy. Maddy złapała go pod drzwiami i potrząsnęła nim.

– Uda nam się, Peterze! Naprawdę nam się uda!

Przez całą ceremonię była promienna i musiała się hamować przed

wybuchem śmiechu, ilekroć sędzia się odezwał. Po wszystkim, już na ulicy, Richard wygrał im serenadę na mirlitonie obwiązanym różową wstążką: *Wachet auf Bacha*. Els uważał to za bardzo dobry wybór, a utwór za niezwykle interesujący i dający człowiekowi nieskończone możliwości.

#

Każda, nawet najmniej godna pozazdroszczenia melodia przeżyje twórcę o całe pokolenia. Taka świadomość też może być przyjemna.

#

Tamten rok to jedna wielka symfonia przypadku. Szereg skandalizujących burlesek. Psychodeliczny podwójny album złożony z najdziwniejszych partii perkusyjnych. Els dowiaduje się o ofensywie Tet w pewne popołudnie po zajęciach z kształcenia słuchu, które teraz prowadzi. Niedługo potem Johnson spuszcza swoją bombę.

Bonner reżyseruje szalone, wysokoobrotowe widowisko *Człowieka i nadczłowieka* z podkładem muzycznym Petera Elsa. Jednak to szaleństwo to bagatela w porównaniu z ostatnimi wiadomościami. Martin Luther King nie żyje. W miastach zamieszki. Protesty na Uniwersytecie Columbia. Rozruchy w Paryżu. Slumsy w centrum Waszyngtonu. Andy Warhol ranny w wyniku postrzału. Kennedy zabity.

Bonner zostaje aresztowany w kampusowym barze za to, że włązi na stół i sika do kufła w imię Pokoju. Els i Maddy muszą wpłacić za niego kaucję. Podczas gdy w Nowym Jorku *yippies* napadają na giełdę, a Związek Radziecki zdusza Praską Wiosnę, Peter Els komponuje trzydzieści sześć wariacji na temat utworu *All You Need Is Love*, w stylach tak odmiennych jak de Machaut i Piston. I razem z Bonnerem wystawia swoje *Wariacje miłosne* pod budynkiem wydziału, gdzie dotychczas rozlegały się wyłącznie dźwięki Bacha, Beethovena, Haydna i Palestriny.

Coś jest na rzeczy. Coś się dzieje. Coś nowego się wykluwa ze starego porządku. Wykluwa się też nowa muzyka Elsa, próbująca opisać rzeczywistość. Również razem z Bonnerem wystawiają kabaret przy okazji zorganizowanej w kampusie akcji odsyłania wezwań do wojska: przedstawienie *à la* Eisler-Weill z przebierańcami w kostiumach przeciwnej płci, którego tytuł – *I'm a Stranger Here Myself* – został zaczerpnięty ze znanego musicalu.

W sylwestra Richard Bonner siłą zabiera stare małżeństwo na nocny

piknik pod gwiazdami nieopodal kampusu. Wszyscy troje siedzą na zmarzniętej na kamień ziemi i wcinają soczewicę na zimno, sardynki z selerem i lodowate batoniki.

– Posiłek godny wariatów i świętych – obwieszcza Bonner. I po olimpijsku odchyła się, wsparłszy na łokciach. – Kto by pomyślał, że ktoś taki jak my może mieć takich przyjaciół?

Z ust leci im para, ale przytuleni do siebie wznoszą toasty za umykający stary rok. Maddy rozlewa szampana do papierowych rożków. Richard upiera się, aby się brzdęknęli. Bąbelki wypadają z rozmiękłych kieliszków na zmrożoną ziemię.

– Za odstawienie przeszłości do lamusa – mówi Bonner.

– Za przebudzenie przeszłości – mówi Els.

– Za pozostanie w cudownym Tu i Teraz – dorzuca Maddy, chociaż już się zbierają.

Na zaśnieżonym polu natykają się na toczony wiatrem karton. Wykorzystują go jako trzyosobowy tobogan, zjeżdżając z jedynej formacji w promieniu trzystu kilometrów, jaką można tu nazwać pagórkem. Bonner rozdziera karton na trzy kawałki, które następnie rozdaje.

– Zatrzymajcie je. Spotkamy się tutaj znowu za pięćdziesiąt lat.

Maddy wybucha śmiechem.

– Lepiej ustawmy zegarki.

Idąc do domu na zimnie, ze skrawkiem kartonu pod pachą, wciśnięty między żonę a zwariowanego przyjaciela, Els słyszy w głowie muzykę podobną do tej, którą rzekomo słyszał Schumann, popadając w szaleństwo: „graną na instrumencie o wyjątkowym brzmieniu, jakowego jeszcze nikt na tym świecie nie słyszał”. Harmonia, bogata i spleciona, wiedzie do subdominanty neapolitańskiej – jest to dla niego ponowne odkrycie naiwnych sekwencji, a że melodia zdaje się nieunikniona, Peter wie, że będzie nań czekać do czasu, aż zasiądzie nad dziewiczą pięciolinia, aby ją zapisać.

Jednakże gdy budzi się już w nowym roku, nie pamięta nawet, że coś słyszał. Kiedy sobie o tym przypomni – parę dni później – nie będzie w stanie przelać nut na papier. Pozostanie z rozmytymi konturami, bezcielesną muzyką sugerującą coś wspaniałego, ale tuż poza zasięgiem.

#

Zawsze najbardziej podobały mi się melodie tworzone dla tych, którzy nasłuchują na innych częstotliwościach.

#

Na wiosnę w dalszym ciągu stanowią trio. Włóczą się do hali widowiskowej w Champaign, tej przestronnej atomowej purchawki, którą Cage i Hiller przepełnili radosnym pandemonium. Siedem podłączonych do wzmacniaczy klawesynów w parze z pięćdziesięcioma monofonicznymi magnetofonami i dwustu ósmioma wygenerowanymi komputerowo taśmami odtwarza Mozarta, Beethovena, Chopina, Schumanna, Gottschalka, Busoniego i Schönberga, wszystkich pociętych na krótkie odcinki i zrekombinowanych od nowa. Bonner i Elsonie – w swoich fluorescencyjnych kombinezonach, rozdawanych za darmo oszołomionym widzom – gapią się z rozdziawionymi ustami na monolitowy pierścień ekranów z polietylenu, gdzie sześć tuzinów projektorów rzuca tysiące slajdów i filmów. Na zewnątrz dalsze czterdzieści osiem ekranów otacza budynek o obwodzie pół kilometra. Kolosalny budynek zamienia się w pulsujący latający spodek, który zatrzymał się na Ziemi, aby zatankować i skorzystać z zacofanego doradztwa technicznego zadupia Galaktyki.

Od tłumu zgromadzonego na płycie wali zapach trawki. Poszczególni ludzie rozwalają się bądź kręcą. To muzyka, musi sobie przypominać Els. Muzyka, która doszła do kresu tysiącletnich poszukiwań.

– Mam dość – stwierdza Maddy. – Głowa mi paruje.

Bonner wyrzuca ręce w powietrze, zonglując niewidzialnymi księżycami.

– Też byśmy dali radę coś takiego zrobić, gdybyśmy mieli parę dolców więcej.

Elsa to widowisko przerasta. Cage, Hiller i cała armia ich wyznawców, dzięki którym powstało *HPSCHD*, zatracili się w swobodzie. Odmawiają narzucania decyzji słuchaczom. Kompozycja przestała być celem sama w sobie; od teraz liczy się świadomość, ta rozedrgana, bałamutna chwila obecna, żabka prosto w żywe zjawisko. A Els tego jednego skoku nigdy nie odważy się wykonać. Albo przynajmniej tak mu się wydaje, kiedy ma dwadzieścia osiem lat.

Maddy przechadza się wokół latającego spodka roześmiana. Przystaje, by wyciągnąć z koszy na śmieci interesujące tkaniny. Peter podąża wesołym śladem żony. To ona dzierży sezonowy bilet wstępu na ten festiwal dziwności, który Els jej zafundował w minionych dwudziestu miesiącach. Peter uwielbia w Maddy to, że konsekwentnie odmawia zniżania się do lubienia czy nielubienia, które to sentymentalne przeżytki jej zdaniem nie

mają nic wspólnego ze słuchaniem. Zachwyt, jaki Maddy przejawia w obliczu zasięgu ludzkich pragnień, czyni z Petera na powrót widzem we własnym życiu. Wchodzi na jej orbitę, gdy Richard kawałek dalej kupuje plakat, oczywiście za cenę ustaloną drogą przypadku.

Maddy nuci pod nosem urywek Mozarta przywołany na chybił trafił. Tego samego Mozarta, który zaledwie przed dwoma wiekami wynalazł *Musikalisches Würfelspiel*.

– Peter... – odzywa się Maddy, patrząc na slajd przedstawiający Mgławicę Krab. Wie, co mu powie, zanim pada ciąg dalszy. W ostatnich dniach zrobiła się jakaś dziwna, przestraszony rumieniec tylko czeka na swoją chwilę. Cóż innego mogłoby to być? Nic innego nie jest przecież tak ważne, aby trzymała to przed nim w sekrecie przez tak długo. – Będziemy mieli towarzystwo.

Przystaje i słucha, wyłapując ponad harmiderem cichy wysoki głos.

– Peter...?

– Jesteś pewna?

Rozkłada ręce, wzrusza ramionami i tylko się uśmiecha.

– Kiedy?

– Nie wiem. W grudniu? Dowiemy się wszystkiego. Ale Peter...? Nie martw się. Uda nam się, zobaczysz. Damy radę. Wszyscy inni dają.

Jeży się i zaprzecza:

– Nie, nie o to mi... To nie do wiary! My dwoje? Naprawdę?

Nie może się z niego nie roześmiać, gdy tak stoi tam przejęty, z oczyma wielkimi jak gazowe olbrzymy. Tak przyłapuje ich moment później Bonner.

– Podtlenek azotu? – dopytuje Richard. – Wydają tu gdzieś podtlenek azotu?

*HPSCHD* trwa niemal pięć godzin. Przez widownię przewija się parę tysięcy osób. Dwa miesiące później człowiek staje na Księżycu. Za kolejne kilka tygodni pół miliona ludzi zbiera się na farmie na peryferiach stanu Nowy Jork, aby przeżyć weekend pełen deszczu, błota i muzyki. Do tego czasu trio zdąży opuścić uczelnię: Elsowie pojedą do Bostonu, gdzie Maddy podejmie pracę jako nauczycielka śpiewu w elitarnym gimnazjum, natomiast Bonner na Manhattan, by wieść tam nędzne życie po eksperymentalnych teatrach, w których uda mu się zacząć za darmo.

A w pierwszy dzień zimy Els poznaje czkającą, uśmiechającą się, ryczącą, śmiejącą się, piszczącą córkę, której stópki trzymane dwoma

palcami wprawiają go w niemy zachwyty. Dorobił się idealnej w każdym calu istoty, działającej, samonaprawiającej się i samoradującej, najcudowniejszej chimery, jaką można sobie wyobrazić, ale nic nie wskazuje na to, aby miał kiedykolwiek stworzyć coś, co dorówna jej w kategorii cudów.

#

Jak sądzicie, co się stało z młodymi i starymi ludźmi?

A z kobietami, jak sądzicie, co się stało?

#

Els zrobił to, co nakazywał mu Głos. Postąpił zgodnie z Jego instrukcjami, idiotycznego dwudziestominutowego objazdu Clarion nie wyłączając. Ustrojstwo namierzyło trio geostacjonarnych satelitów zawieszonych trzydzieści pięć tysięcy kilometrów w górze i za ich pomocą metodą pomiarów triangulacyjnych zlokalizowało jedyne miejsce na ziemi, w którym akurat znajdował się Els. Następnie przejrzało cyfrową bazę danych obejmującą ponad miliard kilometrów dróg i skierowało Elsa w jedyne miejsce na ziemi, do którego chciał się dostać. Zawierzenie automatycznej nawigacji było infantylnym luksusem. W końcu jednak Głos umilkł, wysadzając go u progu chaty Kohlmannów tuż przed zmrokiem.

Opuszczone gniazdo os wisiało dokładnie tam, gdzie wskazała Klaudia. Els wydobył klucz i wpuścił się do wnętrza cuchnącego naturą i wakacjami. Domek był wyłożony cedrową nostalgią i umeblowany sosną z poduchami, jak w latach pięćdziesiątych. Całość nosiła ślady pośpiesznej ewakuacji. Wszędzie walały się koszulki i zaawansowane technologicznie buty sportowe. Tu i ówdzie paliło się zapomniane światło, tak więc Els zaczął od obchodu i zgaszenia lamp, zanim usiadł, aby dojść do siebie.

W kredensie odkrył orzechy i płatki zbożowe, a w szufladzie lodówki tuzin jabłek. Poczęstował się kieliszkiem swojskiego chardonnay i kawałkiem babki piaskowej. Pralkę namierzył w pomieszczeniu gospodarczym za kuchnią. Od razu ściągnął spodnie, bluzę i nieświeżą bieliznę. Po chwili stał już pod prysznicem w rustykalnej łazience – golusieńki, obwisły i zaczerwieniony od ukropu – oczekując wyjaśnień.

Najedzony i umyty potrzebował już tylko snu. Nie potrafił jednak zasnąć. Zaczął więc myszkować wśród majątku nieznanego mu dobroczyńców, szukając sobie jakiegoś zajęcia. Czasopism znalazł zatrzęsienie – całe roczniki tych znanych, głównonurtowych, ale też pojedyncze egzemplarze tych bardziej specjalistycznych, niszowych. Wydawało się, że obecnie

periodyk mógł być dosłownie z każdej branży. „Cyferblaty nie dla taty”; „Świat poręcznych elektronicznych mierników naręcznych” – byle jaki tytuł gwarantował sprzedaż, pod warunkiem że dotarło się do grupy docelowej zainteresowanej danym produktem.

Czytanie też mu nie szło. Els był stworzony do słuchania muzyki. Na półkach w salonie stało parędziesiąt płyt kompaktowych. Były wśród nich melodie do słuchania podczas jazdy samochodem, porzucone w letnim domku razem z planszami do amerykańskiej wersji gry w pachisi i z nadbutwiałymi książeczkami z gatunku *Sto pytań o...* Były wszystkie płyty Elli Fitzgerald, They Might Be Giants, Sonic Youth, Nirvany i Pearl Jam, trochę emo, kilka płyt Wilco, Jay-Z, The Dirtbombs, The Strokes i Rage Against the Machine. Niegdyś taka obfitość gatunków muzycznych sprawiała, że Els chował się w kącie ze strachu, zasłaniając *Mszą uroczystą* w charakterze tarczy. Ale teraz łaknął wrzasku i gniewnych marzeń, różności i atrakcji, tylu bezlitosnych nowości, ile tylko był w stanie dostarczyć podstarzały rynek młodych muzyków.

Natrafił na płytę zespołu o nazwie Anthrax, jak gdyby jakiś prawdziwy bioterrorysta podrzucił ją tu, aby go wrobić. Rozejrzał się po chacie w poszukiwaniu sprzętu grającego. Dopiero w kuchni znalazł radiomagnetofon z CD, jakby żywcem przeniesiony z lat dziewięćdziesiątych. Wsunął płytę w szczelinę i natychmiast po głośnym uderzeniu perkusji został otoczony przez odgłosy ataku lotniczego wieszczącego koniec świata. Przypominające warkot silnika spalinowego bębny napędzały grane równolegle pasaże gitar i basu. Piosenka natarła niczym ułaskawiony skazaniec wypuszczony z celi śmierci. Melodyczna maczeta przeszła równo skórę Elsa. Nietrudno było sobie wyobrazić stadion z sześćdziesięcioma tysiącami osób machających zapalniczkami i pławiących się w szale wspólnej mocy. Ta muzyka mówiła o tym, że człowiek ma tylko jedną szansę na przemknięcie przez życie i największą zbrodnią jest zmarnowanie jej na ciągły strach.

Wiele lat wcześniej Els złożył sobie obietnicę, że nie odwróci się od żadnej formy sztuki i pozwoli każdej melodii przebrzmieć do końca. Teraz, wysłuchując tego pociesznego armagedonu, wyglądał za okno, gdzie kawałek za żwirowym podjazdem stało parę brzoź – resztki ogromnego, zmarnotrawionego północnego lasu liściastego. Zespół ten istniał przez połowę życia Petera, służąc potrzebie anarchii zakodowanej w ludzkim



genomie. Els zastanawiał się, kto z członków tej rodziny jest odpowiedzialny za płytę. Raczej nie pasowała mu do pani domu, lubiącej łązikować na łonie natury, ale jednak wywodzącej się z klasy średniej. Choć z gustami muzycznymi nigdy nic nie wiadomo.

Utwór okazał się jednym wielkim manifestem poparcia dla toniki – radośnie podkreślanym w rytmie młota pneumatycznego. Tutaj zaskoczenie nie było celem: linia melodyczna została odkryta już w pierwszych czterech taktach, które następnie pociągnęły melodię falą niczym nagon sztormowy. Ale już po dwu minutach wykwitła z niej halucynacja w relatywnej skali molowej unosząca się ponad łomotem, tak że przez parę taktów Els już myślał, że zespół w przypiływie prawdziwej anarchii sięgnął po *Preludium e-moll* Chopina, dorzucając je do koktajlu tak jak Lady Gaga odwołała się do *Das Wohltemperierte Klavier*.

Choć Els spauzował nagranie, w uszach nadal rozbrzmiewał mu Chopin. Te same cztery takty, z nieco odmienną harmonią pod sam koniec, zapęłiły się w niekończący się lament – jeden z melodycznych fragmentów zapowiadających atak padaczki skroniowej. Z tym że dźwięk dobiegał gdzieś z głębi chaty. Peter obszedł trzy kolejne pomieszczenia, zanim go umiejscowił. Winnym okazał się smartfon Klaudii. Ten, który go tutaj doprowadził.

Na wyświetlaczu migąły słowa: „Połączenie przychodzące. Kohlmann, K.”. Els dotknął ikonki słuchawki i przyłożył aparat do ucha.

– Pełno cię we wszystkich wiadomościach – oznajmiła Klaudia, próbując ironii, która jednak wypadła raczej jak przerażenie.

– Wiem – odparł Els. – Widziałem te wszystkie wozy transmisyjne dziś rano.

Dziś rano! Wprost nie do wiary!

Kohlmann poradziła mu:

– Zajrzyj do internetu. Pojawiły się już filmiki.

Jasne, że tak. Emerytowany profesor muzykologii zbiega z miejsca wziętego na celownik przez służby antyterrorystyczne. Władze Verrata College wyrażają swój niesmak.

– Coś jeszcze? Twój głos...

– Bakterie. Mówiłeś, że są niegroźne.

W mózgu uruchomił mu się tryb *legato*.

– Powiedziałem, że ten szczep nie stanowi zagrożenia w normalnych

warunkach.

Szturmowcy przypuścili atak na chatę od strony kuchni. Els odłożył telefon i udał się w kierunku inwazji. Choć wcisnął klawisz pauzy, radiomagnetofon akurat w tej chwili musiał powrócić do życia. Peter zaczął się rozglądać, jak by tu wysunąć płytę, ale bombardowany dźwiękami nie znalazł właściwego przycisku. Wyrwał więc kabel z gniazdka, po czym wrócił do pokoju i sięgnął znów po telefon.

– Już jestem. Wybacz.

– Co to, u diabła, było?

– Ulubiona muzyka twego wnuka.

– Aaa. Jesteśmy straceni, prawda?

– Co z moimi bakteriami? – zapytał Els.

– Zaraziło się nimi dziewiętnastu mieszkańców Alabamy. Centrum Zwalczenia i Prewencji Chorób podaje, że dziewięć osób zmarło.

Długa cezura – zapowiedź tego, jak będzie brzmieć przerażenie, kiedy narośnie.

– Moje bakterie? W Alabamie?

Kohlmann odczytała z innego ekranu:

– *Serratia marcescens*. Tak się nazywają, prawda?

Els nie miał nic do powiedzenia i powiedział to.

– Chce z tobą rozmawiać FBI.

– Ale to... Nic z tego nie ma sensu. Władze poinformowały media, jakie bakterie hodowałem?

Jednak nie trzeba mu było przypominać, że w dzisiejszych czasach nie dało się uciec od informacji. Wszyscy wiedzieli o wszystkim, ledwie coś się wydarzyło. Każdy czuł się czwartą władzą.

– Dziennikarze myślą, że ja...? Niemożliwe, żeby byli aż tak głupi. A czy ci zarażeni pacjenci... czy przypadkiem wszyscy nie byli podłączeni do kroplówek?

– Sprawdź w internecie – poradziła mu Klaudia. – Jestem pewna, że FBI tyle wie właśnie stąd.

– Jezu – poskarżył się Els.

– Zadzwoń do mnie później. Chyba nie zdołają cię wyśledzić przez mój telefon, co?

– *À propos* twojego telefonu... Chopin?

– No wiesz. Jakoś tak na mnie działa. Dopilnuj, aby puszczono go na

moim pogrzebie.

Obiecał jej to. Nie był jednak pewien, czy cierpiąca na chroniczne problemy z koncentracją publiczność wytrwa do samego końca.

#

Kiedy ktoś mówi, że niedawno słyszał przedziwną piosenkę, należy się tym zainteresować czy raczej to zignorować?

#

Siedział za chatą, na skraju klonowego zagajnika i pochylał głowę nad smartfonem. Po ciemku, w zimnym blasku wyświetlacza padającym mu na twarz, czytał relacje. Dziewiętnaścioro Alabamczyków zachorowało, dziewięcioro zmarło. Dziewięcioro spośród stu tysięcy ofiar szpitalnych zakażeń rocznie, co dawało liczbę większą od ofiar wypadków samochodowych i morderstw razem wziętych. Opinia publiczna – i tak tonąca w zalewie danych – nawet by nie zwróciła uwagi na tę informację, gdyby Peter Els nie przemienił zwykłego zbiegu okoliczności w sytuację godną wybuchu paniki.

Wszyscy pacjenci, u których doszło do zarażenia, istotnie mieli założone wenflony. Wszystkie szpitale, w których doszło do zarażenia, znajdowały się na terenie aglomeracji Birmingham i wszystkie zaopatrywały się w zestawy do kroplówki u tego samego producenta. Albo ktoś nieumyślnie skaził całą partię, albo Ameryka znów znalazła się na celowniku terrorystów. W normalnych czasach ludzie potrafili prawidłowo ocenić prawdopodobieństwo wystąpienia jednego i drugiego przypadku, lecz czasy już nigdy nie miały być normalne.

Wzrok Elsa zdążył się przyzwyczać do stopnia jasności ekraniku, jedynej plamy światła w zapadających ciemnościach. Wpisał w wyszukiwarkę własne nazwisko i przeszedł do wyników. Studenckie ratingi jego zajęć. Niedawne wykonanie jego zapomnianej *Symfonii kameralnej* w Brukseli. Jakaś stara dyskusja na temat premiery *Z sideł myśliwego* w zamierzchłym 1993 roku. O dziwo, próba znalezienia czegoś o ostatnich wydarzeniach w Alabamie doprowadziła Petera do gigantycznej metanowej kopuły tkwiącej pod topniejącą tundrą i wyrzucającej do atmosfery masę gazów cieplarnianych przyspieszających dodatkowo proces jej uwalniania.

Gdzie indziej reporterzy dywagowali, dlaczego emerytowany profesor

muzykologii zabrał się do manipulowania ludzkim genomem w zaciszu swego domu. Sąsiedzi zaświadczaali, że był spokojnym i uprzejmym człowiekiem, aczkolwiek jeden z nich opisał go jako nieprzystępnego, drugi zaś napomknął o atonalnych dźwiękach dolatujących z jego domu o przedziwnych porach. Połączone Siły do Zadań Zapewnienia Bezpieczeństwa oczywiście nie mogły ujawniać szczegółów toczącego się dochodzenia, ale były bardzo zainteresowane aktualnym miejscem pobytu Petera Elsa.

*Opera buffa* zamieniła się w *opera seria*. Els nie miał wyboru. Musiał wrócić do domu i złożyć wyjaśnienia – choćby po to, aby uchronić nie zrównowagony kraj przed ponownym zejściem z kursu. Z tym że tłumaczył się już przed Coldbergiem i Mendoza, a mimo to przeszukali dom bez jego zgody. A teraz ta sprawa w Alabamie tylko uprawomocniła ich działania. Zagrożenie raz jeszcze uratowało niepewną demokrację. A Elsa czekała kara – proporcjonalna do strachu, jakiego napędził zbiorowej wyobraźni.

Między gęsto rosnącymi klonami widać było kwadraty okien sąsiedniej chaty. Płonęło w nich bursztynowe światło. W podszycie ze wszystkich stron dobiegały nawoływania i piski – zwierzęca wersja *Wizji ulotnych* Prokofiewa. Wariacka ucieczka w końcu zrobiła swoje i Els zasnął na leżaku rozstawionym pod drzewami. Smartfon najpierw przygasł, potem ściemniał, a wreszcie wypadł mu z rąk. Peter przebudził się w którymś momencie i uzmysłowiwszy sobie, gdzie jest, ociężale ruszył w stronę chaty i miękkiego łóżka. Przed świtem wyrwały go ze snu o epidemii te same pulsujące dźwięki *Preludium e-moll*. Jednakże dopiero o poranku – świetlistym, balsamicznym i niewinnym niczym w pierwszy dzień Stworzenia – odnalazł telefon leżący w trawie, jakby spadł prosto z nieba.

#

Nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo. Jest tylko zła pamięć.

#

Nawet kiepskiej pamięci tamte lata w Bostonie wydają się świeże i zielone. Els i Maddy jadą przez Ohio i Pensylwanię wypożyczonym wozem z pięciometrową przyczepą, wioząc w niej cały swój połączony ziemski dobytek, aż na sam próg ich nowego dwupokojowego mieszkania na obrzeżach miasta. Wielki, podwójny materac wnoszą po schodach,

podtrzymując ciemieniami. Els nadskakuje ciężarnej żonie, zmuszając ją do przestanków co parę stopni. Maddy zbywa jego obawy śmiechem.

– Cięża to nie kalectwo, Peterze.

W rzeczywistości podniecenie związane z urządzaniem własnego mieszkania dodaje jej tylko sił.

Maddy ma dogodny dojazd linią T do Brookline, gdzie mieści się New Morning – prywatna szkoła oparta na metodologii opracowanej przez Neilla w Summerhill. Wizjonerski zarząd placówki zatrudnił ją z mety po tym, jak podczas rozmowy kwalifikacyjnej stwierdziła, że intensywna ekspozycja na muzykę jest zdolna zamienić każde dziecko w geniusza kreatywności. Choć na początku września Maddy ma już wyraźny brzuch, jej postępowi pracodawcy udają, że są tym zachwyceni.

Przybierając na wadze, Maddy uczy swoich gimnazjalistów, jak przebić się przez dysonanse i jak wyrwać się na wolność dzięki instrumentom Orffa. Z kolei Els ima się różnych zajęć. Udziela lekcji gry na klawirze. Zatrudnia się jako kopista muzyczny. Pisuje recenzje z koncertów dla „The Globe”, za pięćdziesiąt dolarów od tekstu.

Wieczorami oglądają w telewizji hollywoodzką przedwojenną klasykę na kanałach ze starociami, wpatrując się w mały, czarno-biały odbiornik wyposażony w królicze uszy owinięte sreberkiem. Maddy zszywa kawałki materiału w całość, a Peter przegląda nuty, podczas gdy na ekranie John Barrymore mówi do Trilby: „O, jakaś ty piękna, ma sztuczna miłości! Ale to tylko ja, Svengali, mówiący sam do siebie...”.

Tydzień po Halloween udaje mu się zdobyć pracę przekraczającą jego najśmielsze marzenia: będzie strażnikiem w Muzeum Isabelli Stewart Gardner, mieszczącym się w pseudoweneckim pałacyku kilometr od ich domu, dokąd może dojść na piechotę w parę minut. Płacą mu za stanie nieruchomo w sali hiszpańskiej, gotyckiej czy chińskiej, gdzie pilnując dzieł sztuki, może w myślach komponować. Te dni spędzone na milczącej medytacji dają mu co najmniej tyle samo co lata spędzone na studiach magisterskich. Przez dekadę zaprzętał sobie głowę skomplikowanymi, kunsztownymi figurami. Obecnie zaczyna słyszeć strumień –prostszych, wyraźniejszych i bardziej bezkompromisowych dźwięków – opływający jego stopy.

Całe popołudnie spędza naprzeciw *Koncertu Vermeera*, nasłuchując milczącej harmonii zastygłego nieruchomo tria. Przechylna głowa, zgięte

palce śpiewaczki wydobywają zamarłą melodię wyłącznie dla niego, w odległej przyszłości. Ale wkrótce i ci muzycy odejdą w wieczne zapomnienie.

Richard Bonner pisuje listy ze swego squatu w SoHo. Kilka razy nawet dzwoni, nie bacząc na rujnujący koszt rozmowy międzymiastowej. Zawsze jest albo w euforii wywołanej najnowszym projektem, albo gotów nacisnąć guzik, który unicestwi ludzkość. Raz podsyła Elsowi drobne zamówienie: prośbę o dwuminutowy utwór, który by został odtworzony przy okazji instalacji wystawianej w galerii. Peter nie dostaje za to złamanego grosza, ale przynajmniej może się pochwalić swoim wkładem w wielkomięską sztukę.

Przychodzi grudzień, a wraz z nim śniegi, które paraliżują Boston. Maddy nabrała monstrualnych rozmiarów; chodzi, kolebiąc się i balansując wielką kulą zatknietą na wysuniętej w przód miednicy. Gdy zbliża się pora rozwiązania, nigdzie nie mogą znaleźć sąsiada z samochodem. Peter musi wybiec na ulicę i zatrzymać przejeżdżającego buicka, żeby jakoś dostali się do szpitala.

A potem pojawia się Sara w całej swojej plamiastej krasie. We troje kulą się w swym spowitym śniegiem kokonie: para rodziców skupiona na małym krzykaczu, który zmienia się z minuty na minutę. Els nie postawi ani jednej nuty przez dwa miesiące; absorbują go pieluchy, butelki i klepanie po plecach, mające pomóc beknąć tej żywej trąbie. Jego córka kwili i grucha, a on nie potrzebuje żadnej innej muzyki. Maddy pokłada się to tu, to tam – ospała, zahipnotyzowana, zamieniona w niewolnicę przez tego pasożyta, który uczynił z niej bezmózgiego żywiciela. Wszyscy troje przejawiają jedyną aktywność, po prostu żyjąc. Els, nawet wyrwany w środku nocy z głębokiego snu, uważa takie życie za najdoskonalszą formę sztuki. Nigdy nie czuł, że żyje, aż tak. I nigdy – poza tymi sześcioma tygodniami – nie poczuje. Lecz preludium kończy się, ledwie się zaczęło. Maddy wraca do szkolnego chóru przed przypadającymi w drugiej połowie lutego urodzinami Waszyngtona.

Peter zwalnia się z muzeum, aby zostać w domu i zapewnić opiekę córce. Wieczorami, gdy Maddy po powrocie z pracy rzuca się na Sarę, gotowa ją połknąć, Peter narzeka:

– Ostrożnie, bo ją przestraszysz. I umyj wcześniej ręce!

Morski ślimak uczy się przemieszczać, odpychając się od podłogi czterema wiotkimi kończynami. Z ust Sary dobiega bulgot i furkot, coś jak

nucenie jej matki w postaci embrionalnej. Peter zabiera córkę wszędzie, dokąd idzie, niosąc ją w chuście na piersi. Całymi dniami jej śpiewa. Śpiewa jej też wieczorami, przed snem, a ona mu wtóruje i wyciąga rączki, by pochwycić unoszące się w powietrzu dźwięki rymowanek. Po co człowiekowi jakieś inne melodie?

Sara od samego początku potrafi postawić na swoim. Wkłada wszystko do buzi. Rzeczy niejadalne istnieją wyłącznie po to, aby sprawdzać siłę jej woli. Nie daje sobie krzyżować szyków. Jest urodzoną dyrygentką, a cały świat to jej orkiestra. Górujących nad nią dorosłych naprowadza jednym ruchem palca: ty tutaj, ja tam! Życie w jej oczach to układanka, którą należy tak długo przesuwac i dopasowywać, aż pokaże się – wyobrażone dziecięcym umysłem – rozwiązanie.

Ta zabawa w autorytarnego von Karajana bawi jej rodziców przy pierwszych stu razach. Potem zaczyna ich męczyć. Jeszcze później – trochę przerażać. Pewnej wyjątkowo ciężkiej nocy, po dwugodzinnej zacieklej wojnie na wyczerpanie toczonej przy dziecięcym łóżeczku, przypominający dwa wykończone zombie Peter i Maddy padają na nos. W powietrzu unosi się typowy smrodek: mieszanina wymiocin i talku. Peter wpatruje się w popękany sufit, nawet nie próbując odczytać nieznanego mu zapisu nutowego.

– Ma charakterek.

Maddy rzuca się plecami na materac.

– I potrafi to wykorzystać.

– Na mnie gra jak na stradivariusie.

– Na mnie też. Jakim cudem nauczyła się tego tak szybko?

– Spójrz tylko na nas. Pamiętasz czasy, gdy najtrudniejszą rzeczą na świecie wydawało się uzyskanie grantu?

Maddy wzdycha. Już dawno przestała przypominać subretkę.

– Nie o takim życiu marzyłeś, co?

– Nie – przyznaje Peter, lekko zdziwiony. – To życie jest nawet lepsze.

#

Lampy te moje gasił wszelaki podmuch wiatru, a próby zapalania ich na nowo odbierały mi pamięć wszystkiego, wszystkiego[38].

#

Zaczyna znowu komponować. Jednego dnia zapisuje gest, drugiego

motyw, trzeciego parę taktów. W ciągu kilku miesięcy tworzy krótkie *scherzo* na małą orkiestrę. W głuszy na wpół samotnego ojcostwa jego muzyka ulega odmianie. Sztuczki i znaki przykluczowe stają się miększe, szersze. Przesiaduje przy pianinie elektrycznym w kącie sypialni, podczas gdy Sara bawi się za ścianą, stukając tycim ksylofonem i naśladowując ojca poprzez wydawanie niemowlęcych, atonalnych dźwięków.

Gdy przechodzi do jej pokoju, rozpromienia się na jego widok. W tej ekstazie wali młoteczką po błyszczących metalowych klawiszach.

– Co tam mówisz, Sarcu-misiu?

Na dźwięk własnego imienia zaczyna stukać szybciej, radośniej. Klawisze rozbrzmiewają dźwiękami – czerwień, purpura, turkus.

– Co proszę? Chyba musisz powtórzyć...

Dziewczynka piszczy i wali naraz we wszystkie klawisze tęczy.

– Zaraz! Już wiem! Mówisz...

Pomaga jej przytrzymać młoteczek. Razem dotykają klawiszy w magicznej kolejności. Peter zaczyna śpiewać.

– Dziewczynka o imieniu Sar-a!

Dziecko wybucha śmiechem i wyrywa rączkę, po czym uderza w klawisze, które teraz już słyszy.

– Mieszkała zupełnie z dal-a!

Nuci zaciekle, tłukąc w tyle klawiszy, ile zdoła dosięgnąć.

– I nie bała się potw-a-r-a!

Tak, drze się dziecko. Tak, tak! To właśnie chciałam powiedzieć!

Peter wraca do sypialni, do swojej klawiatury, gdzie podkrada córce jej poplątaną gamę fa-do-sol-la, której początki sięgają dawniejszych czasów. Sara przepęła za nim na czworaka i dobiera się do klawiszy.

– Nie, skarbie – mówi jej Peter. – To utwór tatusia.

Tylko że nie do końca. Bo wszystko jest jej.

Do wieczora ma początek nowej kołysanki, którą wypróbuje na córce, gdy ta idzie spać. Sara jest być może pierwszym i ostatnim słuchaczem. Kto chciałby słuchać czegoś takiego? Melodia jest zbyt zwariowana jak dla miliardów miłośników prościutkich radiowych dżingli, a zarazem nazbyt błoga dla tych, którzy oczekują od muzyki wyrafinowania.

Ale Sarze kołysanka się podoba i Peter nie potrzebuje szerszego audytorium. Eksperymentując na córce, usiłuje dociec, co ludzkie ucho jest zdolne usłyszeć, po tym jak rozwijało się przy muzyce od samego początku,



jeszcze w krainie szczęśliwości. Dziewczynka chichocze na nagłą zmianę linii melodycznej. Marszczy twarzyczkę w zdumionym zachwycie. Teraz jej kolej, by zapytać: co tam mówisz, tatusiu? Ale on tylko tak sobie brzdąka w letni wieczór, także wtedy, gdy zza okna – z pobliskiego boiska baseballowego – dolatują dźwięki organów, odgłos uderzenia kija w piłkę i stłumiony okrzyk tłumu. Jednak to kołysanka sprawia, że mała dziewczynka spogląda oczyma okrągłymi jak spodki z pierwotnego zachwyty.

Na zewnątrz są rurociągi, szalejąca inflacja, Bliski Wschód ponownie na krawędzi zagłady. Ale to w środku rozgrywają się prawdziwe dramaty. Kaszel. Gorączka. Upadek na ławę do kawy, w którego wyniku Sara przygryza sobie dolną wargę. Dwa lata temu Peter Els pragnął pisać muzykę, która by zmieniała postać muzyki. Obecnie chce tylko powstrzymać córkę przed zmienianiem się za szybko, za bardzo.

Pchając wózek Sary alejkami Victory Gardens, Els z przeraźliwą jasnością dostrzega miałość własnych pragnień w wieku dwudziestu lat. Za Chiny Ludowe nie potrafi sobie przypomnieć, czemu w ogóle pisał się na tę faustowską zabawę. Latami starał się skomponować dzieło cierniste i onieśmielające, jak gdyby sama trudność w odbiorze miała mu zapewnić trwałą podziw. Tymczasem teraz rozumie, że światu bardziej są potrzebne proste kołysanki, które wyciszą i ukoją dwulatkę, skłaniając ją do tego, aby zawiesiła na osiem godzin snu swe żywiołowe przygody.

Na placu zabaw nieopodal muzeum Sara wychodzi z wózka i skanduje do nieba rymowankę. Gaworzy, fałszuje – całość przypomina jeden wielki kleks, lecz Elsowi to wystarcza. Słyszy słowa i melodię równie wyraźnie, jakby zobaczył Boga. Bunt także jest tylko przelotną modą, równie podatną na zmiany jak każda inna. Choć długość spódnic zmienia się to w górę, to w dół, współczesnym zawsze się wydaje, że przejrzeni wykrój Krawca. Wyczyny z młodości Petera – symfonie i anarchiczne eksperymenty, szalone wspinanie się na barykady, manifesty – wszystko wydaje się teraz zwykłym napadem gniewu u dwulatki odmawiającej pójścia spać. Któż może wiedzieć, w jakim kierunku skłaniają się obecnie akademicy? Els przebywa poza uczelnianą orbitą zbyt długo, aby to wiedzieć. Ale że chłód ustąpi ciepłu, a forma uczuciu, ma równą pewność jak co do tego, że dźwięk prowadzący cięży ku tonice. Nowe szaty muzyki? Nie ma czegoś takiego. Król pozostanie nagi, jak go Pan Bóg stworzył, golusieńki jak Sara rozchlapująca wodę w kąpielni i wykrzykująca rymowanki, które wymyśla na poczekaniu.

To dziecko kocha muzykę. W wieku czterech lat opanowuje solfeż. Jako czteroipółlatka radzi sobie z *Sonatą C-dur* Mozarta, trochę opornie, lecz – zdaniem zaślepionego ojca – z prawdziwym uczuciem. Dziewczynka gra dla Petera na zaimprovizowanych instrumentach: na waltorni zrobionej z gumowego węża od prysznic, na pudełkach po płatkach połączonych gumkami recepturkami. Choć zabawa zawsze przebiega według ustalonego planu, Sarze nigdy się nie nudzi.

– Co mówię, tatusiu? – pyta i dorywa się do pianina wszystkimi paluszkami.

Peter słucha.

– Mówisz: „Dobrze, mamusiu, odtąd będę jadła warzywa”.

– Tak! – woła z kuchni Maddy.

– Nie! – odkrzykuje Sara i wydobywa gniewniejsze akordy.

– Już wiem! Mówisz: „Jestem zmęczona i chce mi się spać”.

– Źle! – zaprzecza dziewczynka. – Zgaduj jeszcze raz!

Nagle grana przez nią melodia rwie się, jak któryś z utworów młodego Elsa.

– Zaraz, zaraz – rzuca Peter, przechylając głowę ze skupieniem. – Nie przestawaj... Już prawie zgadłem... Mówisz: „Jestem kochana, a życie jest wspaniałe!”.

Muzyka milknie, nagle zawstydzona. Sara odwraca się od niego, z ustami drżącymi być może z nieśmiałości.



Pięć lat w mieszkaniu na obrzeżach Bostonu przemyka jak *Walc minutowy*. Koledzy Petera Elsa ze studiów w Illinois rozproszyli się po uniwersyteckich pracowniach muzycznych w całym kraju. Peter wysłuchuje ich gnomicznych taśm, czyta ich gnostyczne nuty. Muzyczny ruch oporu nadal wydaje mu się wart zachodu. Przy Nixonie, niekończącej się wojnie i falach radiowych puchnących od mdłego uzalania się i dżingli reklamowych jest się czemu opierać. W czasie słuchania jednak nie znajduje punktu zaczepienia.

Którejś nocy, kiedy zajada masło pekanowe pochylony nisko nad kuchennym radiem, korzystając z tego, że jego panie śpią, słyszy upiorne zawodzenie *Czarnych aniołów* Crumba, na elektryczny kwartet smyczkowy. Trzynaćcie obrazów z krainy mroku, barbarzyńskich i cudownych, system

proporcji służący duchowym porywom. Dźwięki dobiegają z innej galaktyki. Przed Elsem rozwijają się tak nieskończone możliwości, że traci zdolność ruchu. Nie potrafił nawet powiedzieć, w którą stronę by się ruszył, gdyby mógł.

Kolejnej nocy – niebiański didżej najwyraźniej się z nim bawił – puszczają w eterze *III kwartet smyczkowy* George’a Rochberga. Rochberg, zatwardziały serialista – tym razem serwuje bukiet zalatujący konsonansowym liryzmem, łącznie ze śmiałymi imitacjami Beethovena, Mahlera i Brahmsa. Zupełnie jakby heretyk udzielał błogosławieństwa: oto poważny kompozytor poddaje się, pokazuje plecy ostatniemu stuleciu i odwraca się do ładności.

Ale ileż odwagi wymaga taki krok w tył! Els kręci głową, słuchając urokliwego zdobnego finału. Przypomina sobie dawne przyjemności, porzucone z powodów, których już nie pamięta. Utwór jest w najlepszym razie naiwny, w najgorszym – banalny. Lecz w zadziwiający sposób zachęca do śpiewu.

Po emisji prezenter wyjaśnia: syn Rochberga, dziecko jeszcze, zmarł na raka mózgu. To faktycznie tłumaczy archaiczną tonalność. Prawdziwe pytanie jednak brzmi: jakim cudem Rochbergowi udało się cokolwiek skomponować? Gdyby coś przytrafiło się Sarze, śpiącej smacznie za ścianą, twórczość straciłaby w wypadku Elsa rację bytu.



Muzyka go opuszcza. W samym Bostonie cotygodniowo odbywają się dziesiątki fantastycznych innowacyjnych premier w salach koncertowych na obu brzegach Charles River. Z daleka trudno odróżnić inteligentów z elit od cyganerii. Elsowi to nie przeszkadza. Trzymając się z Sarą za ręce, spacerują po miejskim ogrodzie, oglądają różane altanki i gawędzą w sekretnej mowie – duet całkowicie nowego gatunku spontanicznej inwencji.

– Zróbmy coś – rzuca do córki.

– Ale co? – pyta dziewczynka.

Peter podnosi z ziemi spadły kwiat.

– Zróbmy różę, jakiej nikt nie zna.

Sara wydyma dolną wargę, która przez to przypomina ślimaka.

– To znaczy?

– Dobrą.

– Dobrą jak? – pyta dziecko, ale po jego twarzy już widać, że zaczyna się domyślać.

– Wolną – proponuje Els.

– Nie – nie zgadza się Sara. – Szybką.

– W porządku. Szybką. Taką, jakiej jeszcze nie było. Ty zaczynasz.

Sara podśpiewuje. Peter dorzuca nuty. Tworzą, idąc, a dzień staje się ich wspólną piosenką. Kończą utwór przy klawiaturze po powrocie do domu.

#

Nabiera to cech rytuału. Zróbmy coś. Ale co? Coś dobrego. Dobrego jak? Zręczliwego. Nie: łagodnego. Drzewiastego. Ptasiego.

#

Pewnego wieczoru Maddy przyłapuje ich, kiedy śmieją się jak szaleni z jakiejś tylko dla nich zrozumiałej bzdury.

– Co się z wami dzieje? Co to za sekrety? Co robicie?

– Coś dobrego! – odpowiada Els, wywołując u córki atak chichotów.

Sara unosi żartobliwie jeden palec.

– Coś tajemniczego! – dopowiada, przechylając głowę.

Maddy macha na nich ręką.

– Jak sobie chcecie – rzuca.

– Jesteś zazdrosna? – pyta ją Peter.

Maddy wstaje i zaczyna sprzątać ze stołu.

– Nie było pytania.

Zaniepokojona Sara zapewnia:

– Ale mam! Właśnie że można pytać. Bo my robimy różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Piosenki. Takie, jakich nikt nie zna.



W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia znajduje córkę pod niewysokim niebieskim świerkiem obwieszonym papierowymi ozdobami i sznurami z popcornu. Sara rozkłada na podłodze swoje nowe klocki z literami alfabetu. Kładzie je w różnych odległościach od siebie, zmniejszając i zwiększając odstępy, aż wszystko leży idealnie.

Els obserwuje ją przez chwilę, lecz nie potrafi złamać szyfru.

– Misiu? Co takiego robisz?

– To nasze piosenki – odpowiada mu dziewczynka. – Spójrz.

I wyjaśnia mu system. Odległość między klockami, wysokość, na jakiej leżą, kolory odpowiadające barwom klawiszy ksylofonu. Sara Els wynalazła notację muzyczną. Sekrety spisane dla dalekiej przyszłości, dla nikogo albo dla każdego, kto zechce słuchać. Els nie potrafi oderwać spojrzenia – od klocków, od nut, od dziecka. Ma przed oczyma muzykę, która wzięła się z czegoś, co jeszcze niedawno było niczym więcej jak sekwencją zapisaną w pojedynczej komórce.

#

Chciałem, aby muzyka stała się antidotum na rutynę.  
Dlatego zostałem terrorystą.

#

– Potrzebne nam większe mieszkanie – stwierdza Maddy. – Sara ma już sześć lat. Nie może wечно spać w schowku na miotły.

Nie da się tego ukryć. Mimo to przeprowadzając się z ich dotychczasowego mieszkania do przestronniejszego lokum, parę przystanków dalej linią C w stronę dzielnicy Coolidge Corner, Peter czuje się tak, jak musiał się czuć winowajca wyprowadzany z Edenu przez anioła mierzącego doń czubkiem miecza.

Sara idzie do szkoły, w której Maddy jest teraz zastępcą dyrektora do spraw przedmiotów artystycznych. Szycie patchworków zostało rzucone w ką. Els wraca do pracy w muzeum na część etatu. Poza tym bierze więcej zleceń; bywa, że przez wiele tygodni z rzędu siedzi nad partyturami innych ludzi, kopiując ich nuty i artykulacje, takt za takt, na czysto, czego efektem jest idealnie zapisana pięciolinia. Lubi to zajęcie, czuje się przy nim jak kameleon wypróbowujący obce kolory.

Ale wieczorami, w pracowni wygospodarowanej z sypialni gościnnej nowego mieszkania, zaczyna komponować swój pierwszy od trzech lat utwór. Tłucze się długo po północy, balansując między triumfem a porażką. Na przestrzeni kilku tygodni powoli krystalizuje się nowy styl. Gdy Els słyszy go już lepiej, przekonuje się, że styl wcale nie jest nowy. Pamięta, jak opowiadał o nim Richardowi Bonnerowi niemal dekadę wcześniej, na kampusie otoczonym przez ciemne, zimne pola.

Pokazuje Maddy brudnopis partytury – utwór będzie na fortepian, klarnet, eterofon i sopran do tekstu *Budowy chińskiego muru* Kafki. Kompozycja składa się z obszarów zmiennych rytmów zdominowanych przez stałe

interwały, nieustannie powtarzane i transponowane do momentu apogeum dysonansowości, po którym następuje coś w rodzaju kojącego *clou* po kulminacji. Nie ma tam tonalności jako takiej, jednakże słuchacz i tak jest wystawiony na praszczęta oczekiwań i niespodzianek. Ten styl wydaje się krokiem naprzód, drogą pośrednią między romantyczną tolerancją a sterylnością algorytmów, między uściskiem przeszłości a kultem postępowości.

*Chiński mur* materializuje się cegiełka po cegiełce. Peter gra Maddy urywki na ich małym, czterdziestoczyteroklawiszowym pianinie elektrycznym, starając się ją zachęcić do tego, by zaśpiewała bez przygotowania. Pieśń okazuje się dość łatwa nawet dla osoby, która ostatnimi czasy niewiele śpiewała. A także wystarczająco interesująca, aby spodobała się w którejś z sal koncertowych muzyki współczesnej w Cambridge czy Kenmore. Brakuje im tylko dwóch muzyków; Peter mógłby osobiście zagrać partię na klawirze.

*To niekonieczne, byś wychodził z domu.*

*Zostań za stołem i nasłuchuj.*

*Nie nasłuchuj nawet; czekaj jedynie.*

*Nie czekaj nawet,*

*Pozostań w samotności i bezruchu.*

*Świat Ci się sam ofiaruje, gdyż pragnie zostać odkryty.*

*Inaczej nie może:*

*Będzie się wił przed Tobą w zachwycie.*

W trakcie tej wycieczki z przewodnikiem Maddy kiwa głową. Uśmiecha się na Peterowe wykroczenia i sprytne rekonyliacje. Oczy jej błyszczą na wspomnienie przeszłych kampanii, które toczyli razem nie tak dawno temu. Przez moment przypomina tamtą roznuconą dziewczynę z fryzurą na pazia, chętną zmierzyć się z każdą melodią. Ale kiedy kończą tę zaimprovizowaną próbę, jego żona znów jest zastępcą dyrektora szkoły.

– Peter, to wymaga wielkiego skupienia. Wolałabym mieć więcej czasu na przygotowanie się...

Els dobiera paru zmarnowanych muzyków bostońskiego konserwatorium, eksplorujących pogranicze muzyki klasycznej i jazzu, i to dzięki nim jego utwór zostaje wystawiony w uczelnianej sali koncertowej. Publikę stanowi grupa zatwardziałych melomanów, którzy nie opuszczają żadnej premiery w nadziei, że usłyszą w muzyce transcendencję, jakiej ludzki umysł może

nigdy nie powołać do istnienia. Jednak w wieczór premiery Maddy się wycofuje:

– Nie możemy zabrać sześciolatniego dziecka na trwający dwie godziny koncert muzyki awangardowej. Sara by tego nie wytrzymała.

– Trudno od niej wymagać, aby się różniła od reszty.

Maddy próbuje się do niego uśmiechnąć, ale niezbyt jej to wychodzi.

– Przepraszam – mówi tylko. – Wysłuchamy tego później z taśmy, dobrze?

– Pewnie – odpowiada Peter. – Nie pali się przecież.

Wychodząc, rzuca do córki:

– Życz mi powodzenia.

– Nie! – buntuje się Sara. – Nie ma powodzenia beze mnie!

Premiera wypadła lepiej, niż spodziewał się Peter. Co więcej, siedząc na widowni, zauważa, jak w pewnym momencie klarnet wyzwala się z kipieli eterofonu i wzbija w rejony, które jego samego zaskakują wdziękiem. Słyszy wszystkie ukośne brzmienia półtonów, szaleńczą sekwencję fortepianu, która jakby chciała się wyrwać i wybrać na zwiedzanie świata. Roztrzęsione potwierdzenie; przypadkowe wybawienie. A potem to wspaniałe wejście sopranu, który wszystko zalewa. Przez moment – coś dobrego. Wolnego. Wielkiego. Peter Els ma świat u swoich stóp.

Obecni na widowni zwolennicy serializmu prychną. Przypadkowi słuchacze są zawiedzeni. Jednakże dwóch czy trzech niezrzeszonych wydaje się... hm... powiedzmy, że wydają się poruszeni. Po koncercie podchodzi do niego energiczna rudowłosa ektomorficzka spowita w czarny dziergany szal. Oczy jej płoną.

– Pański utwór mówi o izolacji, prawda? O sile obojętności.

Jest z niej atrakcyjna wampirzyca, łaknąca wszystkiego ciepłokrwistego. Mózg Elsa wysyła komunikaty ostrzegawcze do wszystkich prowincji: śliń się, gap, płaszcz. Dziwi go, że taka kobieta może okazywać zainteresowanie jakimkolwiek kompozytorem, a już nim w szczególności.

– Muzyka nie musi o niczym mówić. Ona nie opisuje rzeczywistości. Sama jest rzeczywistością.

Kobieta krzywi się, wzdryga i zanim Els zdąży coś dodać, wyjaśnić, o co mu chodziło, szybko podchodzi do eterofonisty, aby poprosić go o taśmę demo.

Peter wraca do domu wyposażony w numery telefonów i daty przyszłych

koncertów, a nawet ma wizytówkę dziekana konserwatorium, który złożył mu mglistą obietnicę angażu. Pokazuje ją Maddy.

– Muzycy z wizytówkami. Zupełnie jak dzieciaki z kluczykami samochodowymi.

Sara podskakuje obok, wyciągając rękę po kartonową błyskotkę.

– Ja chcę, ja!

Drażni się z córką, trochę jak pajak z muchą, ale w końcu oddaje jej wizytówkę. Jemu i tak nie jest potrzebna.

Maddy przykłada mu dłoń do piersi, żeby go przytrzymać. Szybuje w powietrzu, prawda. No ale tego wieczoru okazało mu zainteresowanie więcej dorosłych niż w ciągu wszystkich tych lat od ukończenia studiów. Zdumiewa go nagła świadomość, jak bardzo mu tego brakowało. Przez korę mózgową przelatuje mu motyw zarodkowy, stara przepowiednia, którą jakimś cudem zapomniał.

Maddy odbiera kartonik od protestującej córki. Czyta treść wizytówki. Jest podniecona, lecz nie nuci.

– Sądziś, że naprawdę może ci coś zaproponować?

Rozszyfrowuje ją już w drugim takcie. Maddy ma na myśli prawdziwą pracę. Nie atakuje go otwarcie. Nie musi. Odkąd Sara poszła do przedszkola, Peter praktycznie nie partycypuje zawodowo w ich małej spółdzielni. Chyba że za taki wkład uznać godziny spędzone na gapieniu się w brutalnie pustą kartkę i bawieniu się nutami na pięciolinii w próbie odkrycia wymykającego się języka, którego nikt by nie zrozumiał, nawet gdyby Elsowi udało się rozpracować jego gramatykę. Staje się jasne, że jego żona nie widzi powodu traktować tych godzin jak czegokolwiek innego niż kosztowną, fanaberyjną grę szklanych paciorków.

#

Kluczem była daremność. Muzyki, bezcelowej muzyki  
jedna chwila sprawia, że wszelki zamęt przemija.

#

Drzewa, wzgórze, plamy światła i chata pełna jedzenia – wszystko razem tak go skonfundowało, że całkiem zapomniał o swej kryminalnej przeszłości. W drugi dzień rano ni z tego, ni z owego zagłębił się w państwowy las i wszedł na ścieżkę biegnącą wzdłuż wezbranego potoku. Na gałęziach wciąż były pączki liści, a woda rwała przez piaszczyste łachy barwy gnuśności.

Dopiero po prawie pięciu kilometrach Peter Els zdał sobie sprawę



z powagi sytuacji. Wyliczył w myślach ciężące na nim zarzuty. Utrudnianie dochodzenia federalnego. Unikanie zatrzymania. Hodowanie znanego patogenu. Uleganie patentowemu szaleństwu... Kiedy on sobie spacerował, śledczy głowili się nad foliowymi woreczkami oznaczonymi żółto-czarnym znakiem ostrzegawczym, szukając powiązań łączących jego osobę ze szpitalnymi zgonami. Farsa, plaga i agencje rządowe – to się nadawało na *sequel* jego jedynej przymiarki do opery.

Przysiadł na butwiejącym pniu pokrytym porostami i grzybami. Dookoła niego wszędzie z podszytu zasłanego zeszlórocznymi zbrązowiałymi liśćmi wystrzelały w górę zieleniące się młode drzewka. Strumień szorujący po kamienistym korycie wydawał dźwięki podobne do tych, które Els niegdyś osiągał za pomocą wspomaganych komputerowo zapętłonych taśm.

Z naprzeciwka nadeszła para młodych wiekiem wycieczkowiczów. Turyści rzucili mu ukradkowe powitanie i prędko uciekli wzrokiem zawstydzeni, że ich przyłapano na przyjemnościach wykradzonego wolnego dnia w środku tygodnia. Gdy goreteksowe kurtki zlały się z roślinnością, Els poczuł wewnątrz wielką pustkę. Miał wrażenie, że jest równie drobny, lekki i błyszczący jak płatek złota łuszczący się z leżącego Buddy.

Podniósł się i stawiając niepewnie kroki, ruszył z powrotem. Lasowi daleko było do pierwotnej puszczy. Gdzie kiedyś rosły kępy choin, buków i sosen ciągnące się aż do oceanu, teraz zostało tylko parę wymanikiurowanych stanowisk klonu i czeremchy. Wprawdzie rząd federalny był właścicielem ziemi, ale podziemne złoża pozostały w prywatnych rękach. Podjęto od nowa wydobywanie – metodą frackingu, z formacji łupkowych. Jeszcze bardziej pomysłowa pogoń za paliwami coraz trudniejszymi do zdobycia.

W progu chaty powitały go dźwięki Chopina, jednak zanim zdążył znaleźć urządzenie, umilkło. Wyświetlacz smartfona pokazywał trzy nieodebrane połączenia od Klaudii, bez wiadomości. Peter zamarł z palcem nad przyciskiem oddzwaniwania. Uznał jednak, że nie jest jeszcze gotowy na świeże informacje.

Wybrał numer córki. Dotykane cyfry pobekiwały – ot, taki audiożarcik retro – zupełnie jak niegdyś przyciski w systemie tonowym, co wprawiało małą Sarę w zachwyty. Za tamtych czasów często wygrywał jej telefoniczne melodyjki, żeby ją rozśmieszyć, aż pewnego razu wymyślona giga sprawiła, że połączył się z pogotowiem. Niewykluczone, że tamten fałszywy alarm

sprzed wielu dekad w dalszym ciągu figurował w jakiejś zakurzonej policyjnej bazie danych. Jeszcze w XVIII wieku żyli kompozytorzy, którzy nie pozostawili po sobie żadnego śladu poza wpisem w kościelnych księgach przy okazji chrztu. Nawet Beethoven nie miał aktu urodzenia. Jednak od odcisków palców Elsa się roiło. Ludzie żyjący za trzysta lat z łatwością odkryją, którą wersję *Żywotu rozpustnika* i kupił przez internet.

Chciał tylko usłyszeć głos Sary. Kiedy ostatnio rozmawiali, miał dom, był niewinny i mógł się czuć anonimowo bezpieczny. Jego największym życiowym problemem było to, jaką muzykę zagrać na pogrzebie psa. Od tamtej pory w jego mózgu rozbrzmiewał nieprzerwany klaster. Dwie minuty rozmowy z jego zabójczo rozsądną córką mogły mu przejaśnić w głowie.

Nie dotknął szóstej cyfry numeru. Wygasił smartfon i odłożył na bok. Z tych skąpych wiadomości, które posiadał Els, wynikało, że Patriot Act uchylił ograniczenia dotyczące przeszukania i zatrzymania dowodów. Jeśli Połączone Siły do Zadań Zapewnienia Bezpieczeństwa nasłuchiwały jego paplaniny, będą też monitorować rozmowy Sary.

Peter uruchomił przeglądarkę internetową smartfona i znów wszczął poszukiwania na swój temat. Liczba wyników rosła w tempie nie mniejszym niż w przypadku wyjątkowo wirulentnego szczepu. Rektor Verrata College obiecał władzom wszelką pomoc w trakcie dochodzenia i wezwał Petera Elsa do zgłoszenia się na policję celem przesłuchania. Witryna internetowa, w której się zaopatrywał w przycięte na jego potrzeby DNA, twierdziła, że przy zakupie przedstawił specjalny numer wydawany poszczególnym jednostkom uczelnianym. Nie było to prawdą: transakcji mógł dokonać ktokolwiek, kto miał kartę Visa.

Popkulturalny blog odsyłał do listy książek zabranych z domu Elsa. *Zarazki dobre i złe. Epidemie i ludy*. Ktoś oczywiście dobrał tytuły odpowiednio – z jego ogromnej biblioteki – tak żeby lista zapewniła opinii publicznej dreszczyk jak się patrzy. Coldberg, Mendoza i ich kumple puszczali farbę na jego temat. Władze chciały go publicznie ukrzyżować.

Wstukiwał w telefon Klaudii kolejne hasła – Els, *Serratia*, Naxkohoman – dopóki do niego nie dotarło, znowu poniewczasie, że każda litera, każde słowo znajduje swoje miejsce w licznych logach serwerowych, do których FBI może zajrzeć na takiej samej błahiej podstawie, na jakiej odbyła się rewizja w jego domu. Na Wschodnim Wybrzeżu, w stanach Maryland czy Virginia, a także na Zachodnim – w okolicy San Francisco, gdzie mieszkała

Sara – stały budynki. Białe, klockowate, wielokondygnacyjne, betonowe i pozbawione okien. Pracujący w nich ludzie, siedząc w oświetlonych jarzeniowym światłem boksach, śledzili, czego inni szukają w internecie. Starali się dostrzec wzór w przepływie wytypowanych wyrazów, pomiędzy którymi teraz figurowały również *Els*, *Serratia* i *Naxkohoman*. Logi rejestrowały, z jakiego urzędnika dobiegło zapytanie. A wysyłające pytanie urządzenie było wyposażone w GPS. Skoro smartfon Klaudii zdołał doprowadzić Elsa tutaj, do chaty jej syna, równie dobrze mógł naprowadzić FBI na siebie.

Peter wyłączył telefon na dobre i puścił go ślizgiem po blacie kuchennym. Przymknąwszy oczy, zobaczył, jak oddział odzianych w skafandry agentów rozbiera chatę Kohlmannów na czynniki pierwsze.

#

Słodka jest pieśń słyszana, słodsza jeszcze ta  
niepoznana[39].

#

Książki z biblioteczki Elsa istotnie zdradzały tajemniczą historię, jednak nie taką, jaką mógłby kontrolować rząd federalny czy jakikolwiek inny. Odkąd Peter odkrył zniszczone dowody, wszystkie standardowe relacje z dziejów cywilizacji wydawały mu się komiczne i antropocentryczne. Handel, technika, narody, migracje, przemysł – cały ten cyrk był tak naprawdę reżyserowany przez pięć kwintylionów ziemskich mikrobów, nieustannie podlegających mutacjom.

Po roku intensywnej lektury *Els* przejrzał na oczy. To bakterie przesądzały o wyniku wojen, popychały rozwój i niszczyły imperia. One decydowały o tym, kto będzie chodził głodny, a kto najedzony, kto będzie pлавił się w bogactwie, a kto popadnie w biedę i choroby. Usta pierwszego lepszego dziesięciolatka dawały schronienie większej liczbie mikroorganizmów, niż wynosiła populacja całej planety. Każdy ludzki organizm zależał dziesięciokrotnie bardziej od komórek bakteryjnych niż własnych i sto razy bardziej od bakteryjnego genomu niż własnego. To drobnoustroje zarządzały ekspresją ludzkiego DNA i regulowały ludzki metabolizm. Stanowiły ekosystem, który my tylko zamieszkiwaliśmy. Mogliśmy sobie chodzić na tańce, ale to bakterie nadawały ton.

Ten krótki kurs z życia we właściwej skali wystarczył, aby *Els* zrozumiał, że ludzkość przegra batalię o dziewiczość w obliczu infekcji. Człowiek skrył

się za barykadą, ale nadal otaczały go masy intruzów i uśpionych komórek. Przez dwieście lat ludzie marzyli o świecie wolnym od mikrobów, a przez kilka ostatnich wręcz się łudzili, że nauka pokonała wroga. Ale zaraza znów stanęła u bram, wyparci powrócili. Wielolekooporne zjadliwe szczepy podniosły głowę niczym rozjuszeni poddani kolonialnego cesarstwa, aby następnie zalać serce imperium. I za przyczyną, której Els nie ogarniał do końca, dwie zmory spanikowanej współczesności – bakterie i dżihadyści – doznały w nim połączenia.

Żaden z portali wspominających o przetrząśniętej bibliotece Petera Elsa nie zająknął się słowem o innych pozycjach na stanie – podręcznikach strategii wzywających w ostatnim stuleciu do zmasowanego ataku na opinię publiczną. Pominięte milczeniem zostały takie tytuły jak: *Points de repère* Bouleza w przekładzie Martina Coopera. *Harmonielehre* Schönberga. *Technika mojego języka muzycznego* Messiaena. Ta wojna skończyła się dawno temu, a jej zmagania były bez znaczenia dla wszystkich z wyjątkiem umarłych. Albowiem kiedy ciało znajduje się pod atakiem niewidzialnego przeciwnika ze wszystkich stron, co komu przyjdzie z zamartwiania się o rzecz tak ulotną jak dusza?

#

Nie zaszkodzi wiedzieć, że każdy utwór muzyczny, jakkolwiek wysublimowany, da się przekształcić w unikalny ciąg liczb.

#

Pukanie do drzwi i Richard Bonner już stoi w progu ich mieszkania, które nagle sprawia wrażenie burżuazyjnego domku dla lalek.

– Co na obiad?

Peter długo tylko stoi i gapi się z otwartymi ustami. W końcu jego ręce chwytają ducha.

– Jezu Chryste, Richard! Co ty tutaj robisz?

– Jeśli już mnie nie kochasz, mogę sobie pójść.

Ale zanim Els zdąży zrobić mu przejście, choreograf przeciska się dalej. Niemal z biegu uwodzi mu żonę, ciągnie córkę za kucyki, doprowadzając ją do foczego szczenięcia, krytykuje obrazy na ścianach i przestawia meble kupione z drugiej ręki, żeby lepiej się prezentowały.

Na widok starego przyjaciela w głębi Elsa wzbierają fale kolorów i energii. Czuje się jak u progu wakacji, z tysiącem rzeczy do zrobienia.

Stracona dekada podnosi głowę. Richard przyjechał, a przy nim wszystko jest możliwe.

Maddy złości się za fasadą niepewnego uśmiechu.

– Mogłeś nas jakoś uprzedzić. Ugotowałamby porządny obiad.

Bonner pochyla się, tak że stykają się czołami.

– Robisz myk w prawo, kiedy oczekują po tobie myku w lewo. To druga zasada kreatywności.

– A jaka jest pierwsza zasada? – pyta Els, który pragnie tworzyć tandem z tym popaprańcem, nawet jeśli oznacza to bycie ofiarą jego żartów.

– Myk w lewo, kiedy oczekują po tobie myku w prawo.

Niebawem, przy sporządzonych na chybcika drinkach, impresario zmusza wszystkich do włożenia strojów: Peter występuje we fraku dla ubogich, Maddy owija się w pierzaste boa, a Sara wskakuje w kostium baletnicy. Dziewczynkę nakłania jeszcze do przyniesienia pianina zabawki, dawno rzuconej w kąt.

– Gotowi? Wariacje na temat *Ah, vous dirai-je, Maman*. Tylko z życiem! Ja będę robił wokale.

Braki we wdzięku nadrabiają decybelami. Sara grzmoci w plastikowe klawisze, zaśmiewając się jak strzyga.

Zasiadają do obiadu, który stanowią wczorajsze resztki. Richard ani na moment nie milknie, nawet po to, by zaczerpnąć tchu. Zapoznaje nowoangielskich prowincjuszy z każdą modą, jaka się przewinęła przez Manhattan w ostatnich paru latach. Oszołomiona Sara nie ma apetytu. Siedzi z widelcem uniesionym w pół drogi do ust, gapiąc się na tego rozkuślanego, drobnoustego posłańca, który przepelnia ich zaniedbane mieszkanie wieściami o świecie znacznie wykraczającym poza granice tego jej znanego.

Maddy proponuje poobiedni spacer, ale Richard zbywa ją machnięciem ręki. Otwiera plecak pełen innych atrakcji. Są tam taśmy magnetofonowe, zaczęte libretta, etiudy, partytury zakrawające na jakiś szyfr. Bonner ciągnie Petera do biurka w rogu i tam podejmuje edukację kompozytora.

Prezentuje klony lekko szalonego *In C* Terry'ego Rileya z Zachodniego Wybrzeża. Gibson, Glass, Reich, Young – pod nieobecność Elsa powstała cała nowa szkoła. Rozchichotana Sara wiruje pośrodku salonu z zamkniętymi oczyma, poddając się transowi zwariowanej hipnozy. Maddy, uprzątając ze stołu, przystaje na moment dość długi, by zmarszczyć czoło. Wychodzi z niej nieprzejeżdżana belferka – w końcu belferstwo to jej zawód. Niegdysiejsza

sopranistka, gotowa dać szansę każdej melodii, obecnie tylko się uśmiecha i potrząsa głową.

Richard wyciąga się jak długi na kozetce, doznając uniesień raz po raz.

– Chyba słyszysz, co to, prawda?

– Nuda? – odpowiada Els, który słyszy tylko zapętlone banalne arpeggiowanie prawie bez żadnej harmonicznego wartości. Ot, Czerny na kwasie.

– Pierwsza od półwiecza rewolucja w muzyce.

Els przechyla głowę i wzrusza ramionami. Ale słucha dalej. *Jeśli czujesz się czymś znudzony po dwóch minutach, spróbuj robić to przez cztery minuty. Jeśli nadal cię to nudzi, rób to przez osiem.* Muzyka zawsze wydawała się czymś innym, niż po niej oczekiwał. Dlaczego miałyby zacząć nagle dobrze się prowadzić?

Słuchają, jakby światu groziła zagłada. Znowu są w szkole, wszystkie ważniejsze odkrycia dopiero przed nimi. Przez muzykę czas topnieje i niknie niczym malejący księżyc.

Maddy przecina salon zamaszystym krokiem i podnosi córkę z podłogi, gdzie ta z dywanika uczyniła sobie audytorium.

– Wybaczcie, panowie, ale niektórzy tutaj muszą spać.

– Nie! – drze się Sara. – Panowie, to za mało!

Richard przygląda pokorne rokocowe loki. Odpowiada:

– Nie krępujcie się, śpijcie. Nie będziecie nam przeszkadzać.

Maddy wymierza mu kopniaka w łydkę, na co obaj mężczyźni wyłączają muzykę. Kobieta zabiera córkę do pokoju dziecięcego, aby przeczytać jej ostatnią tego dnia historyjkę. Jednak Richard i Peter nie rezygnują z zaimprovizowanego atelier. Na wierzchu pojawiają się nuty i dawni współpracownicy kontynuują prowadzone półgłosem rozmowy przy świetle lampki długo po tym, jak oboje panie już śpią.

Bonner oznajmia: coś się dzieje z Nowym Jorkiem. Miasto schodzi na psy. Wszędzie dokoła bezdomni. Tkanka miejska się rozkłada. A zarazem scena muzyczna nigdy nie była silniejsza. Rośnie jak muchomory po deszczu.

Wpływy Richarda rozszerzają się jak minimalistyczny lodowiec. Reżyser znajduje sobie dobrą wróżkę, która wyłoniwszy się z górnego piętra przy Central Park West, sypie mu groszem. Ujęło ją uliczne przedstawienie, w którym wystąpiła setka tancerzy ochotników przebranych w zwykłe

robocze ciuchy: rozmieszczeni w godzinie szczytu na całej powierzchni zbliżonego do kwadratu Midtown zamierali w określonych odstępach, zupełnie jak dzieci bawiące się w „Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy”. Ten partyzancki balet dawał spektakl przez trzy dni z rzędu, po czym bez słowa wyjaśnienia opuścił scenę w momencie, gdy zrobiło się o nim głośno.

Nie wcześniej jednak, niż wspomniana wróżka zdążyła wyjrzeć z biura fundacji na dziesiątym piętrze Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej. Niespodziewane stokrotne skamieliny w dole przyprawiły ją o gęsią skórę i poczucie wspólnego losu, jakich oczekiwała od Sztuki. Kobietę poruszyły nie tyle pojedyncze nieruchome figury, ile kryjące się za nimi trudności logistyczne, konieczne do zorganizowania podobnego anonimowego, ulotnego i praktycznie niewidzialnego dzieła. Dopiero dwunasty telefon odkrył stojącego za rebelianckim tańcem obłąkanego kreatora.

– A teraz obsypuje mnie pieniędzmi, żebym to przerobił na film!

Els kręci głową.

– Film? Czy to nie stanowiłoby zaprzeczenia samej idei?

Ale Bonnera nie napędza idea, napędzają go czysta energia, smak na andrusowate nowości oraz bezbrzeżna rozpacz, ilekroć nie jest mu dane – jak to nazywa – pracować.

Dwaj mężczyźni zabierają szalony pomysł na spacer. Idą Beacon Street w stronę centrum Bostonu, mijając okolice parku. Bonner roztacza wizję, w której zatrudnia kamery z obiektywami o długiej ogniskowej, wychylające się z okien na czterdziestym piętrze i na przemian robiące najazdy i odjazdy. Potrzebna mu do tego melodia, która także najeżdżałaby i odjeżdżała na żądanie. Potrzebne mu pętle w pętlach, złożone, zazębiające się instrumentalne figuracje, każda nagrana na osobnej ścieżce, dzięki czemu utwór będzie się materializował i dematerializował zgodnie z życzeniem, a jego części będą wzbierać i niknąć, dzielić się i od nowa łączyć w kotłującą się całość.

– Genialne – chwali Els. – Ale czemu nie poprosisz, żeby napisał to dla ciebie któryś z nowojorskich minimalistów?

Booner zatrzymuje się na moście nad autostradą międzystanową numer 90 i zamiera niczym posąg.

– Ja też mam cię w dupie.

Peter cofa się zaskoczony. Dopiero po wielu latach znajomości zrozumiał, że Richard Bonner jest wrażliwy jak dziecko. Krytycy są wobec

niego bezradni – atakowany przez nich Bonner tylko rozkwita, tym bardziej, im zacieklejszy atak. Jednakże przyjaciel potrafi okaleczyć Richarda na całe życie, nie mając nawet pojęcia, że go drasnął.

– Tak się składa – dodaje szybko Els, improwizując – że mam pod ręką kilka pięknych pomysłów, które powinny się sprawdzić.

Bonner podejmuje wędrówkę.

– Maestro, piękno nam niepotrzebne. Wystarczy muzyka.

– Dwa w jednym. No wiesz, dla bezpieczeństwa.

– Wiem. Druga zasada kreatywności.

Do domu wracają godzinę przed świtem. Els gości Richardowi gniazdko na kozetce. Impresario przesypia poranne rytuały rodziny i nie budzi się nawet wtedy, gdy Maddy i Sara wychodzą do szkoły. Ale znika i wraca pociągiem do Nowego Jorku, zanim Maddy pokaże się w mieszkaniu.

#

Pomocne może być również to, że każda większa liczba, jakkolwiek przypadkowa, skrywa arcydzieło. Trzeba tylko znaleźć właściwego odtwórcę.

#

Ile pamięta Els z wypadków tamtej nocy?

– To prawdziwe zlecenie – mówi żonie przy marnych resztkach ratatuja. Siedzą przy chybotliwym, pomalowanym na zielono stole, z krótszą nogą podpartą tanim wydaniem *Natury* Emersona. – Tysiąc dolarów honorarium. Dasz wiarę?

Maddy przygląda mu się ponad osuszonym z wina kieliszkiem, uszczerbionym lekko na brzegu. Jej mina mówi: „Naprawdę?”. I: „Nie wciskaj mi kitu!”.

– Rzecz jasna, będę musiał spędzić tam trochę czasu. Na próbach i nagraniach.

– Peter... – Głos ma stary, znudzony.

Peter zwraca się do córki:

– Misiu? Nie pograłabyś troszkę? Może poćwiczysz *Mikrokosmos*?

Sara wlecze się do drugiego pokoju, tego z pianinem, na wpół zadowolona, na wpół nieufna, jak to dorastające dziecko.

Maddy wbija w niego spojrzenie.

– Nie możemy tak dalej żyć. Musisz znaleźć sobie pracę.

– Pracę? W minionych czterech latach pracowałem w sześciu miejscach.



Zarabiam...

– Stałą pracę. Prawdziwą.

Els wygląda przez okno na pogrążone w zmierzchu sąsiedztwo, jakby zagrożenie nadciągało z zewnątrz.

– Mam prawdziwą pracę.

Jego żona, patrząc na własne dłonie, odpowiada:

– Masz dziecko.

Te słowa wzbudzają w nim gniew.

– Jestem dobrym ojcem!

Maddy podnosi rękę do włosów, wczepia w nie palce. Ona też nie chce tego ciągnąć. Els uświadamia sobie – wtedy albo mniej więcej wtedy – że od ponad roku nie słyszał nucenia żony.

Kobieta zanosi do zlewu talerze i kubki wynalezione w trzech różnych sklepikach ze starociami.

– Posłuchaj – zaczyna znów Els. – To dobre pieniądze. To ważny, nowojorski projekt.

Maddy wzdycha w unoszącą się parę.

– Więcej byś zarobił za godzinę strojeniem pianin.

Peter usiłuje sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział ją zszywającą patchwork. Z drugiego pokoju dolatuje rumuńska melodia ludowa prowadzona w ruchu przeciwnym harmonii modalnej. W uszach Elsa brzmi jak ostatnie słowo na temat tęsknoty. Może faktycznie powinien zarabiać na życie strojeniem pianin.

– To krok naprzód – mówi do żony, tonem raczej łagodnym aniżeli obronnym. – Jeśli ten film wypali... może to być początek...

Kobieta dalej zmywa naczynia. Głośno.

– Maddy, on mi zapłaci...

– Tak? – Odwraca się do niego twarzą. – Tysiąc dolarów? Minus to, co wydasz na dojazdy do Nowego Jorku: bilety kolejowe, wyżywienie w restauracjach, pokoje w hotelu...?



Jaki jest tembr tej kompozycji? Dźwięki dwóch niewielkich instrumentów, powiedzmy: oboju i waltorni, wymykają się za otwarte okno prosto w pustkę jesiennego podwórza. Głosy dwojga rodziców, mówiących cicho, aby nie zakłócać sielskiej melodii granej przez ich córeczkę w pokoju

za ścianą.

Następne słowa Petera są twarde. Smakuje je, gdy opuszczają jego usta, zapowiadając to, co dopiero ma nadejść.

– Nigdy go nie lubiłaś, prawda?

Sam czuje, że zaczyna meandrować. Pierwsza zasada kreatywności: myk w lewo, kiedy oczekują po tobie myku w prawo. Lecz zdziwienie Maddy jest szczere, ani trochę nie udawane.

– O kogo pytasz, o Richarda? Z Richarda jest pozer doskonały i czarujący. Już wkrótce będzie się pławiał w sławie.

– Nie wierzę, że to mówisz. Przecież to nasz najbliższy przyjaciel.

– Ta rozmowa nie jest o Richardzie. Ile... Od jak dawna w tym siedzisz? A napisałeś może sześć krótkich utworów, które w sumie wystawiono pięć razy.

Ręce zaczynają mu drżeć jak przy grze na marimbie. Sięga ponad stołem do jej dłoni, ale rozmyśla się w połowie ruchu. Przez dwa takty nic się nie dzieje.

– Zaproponowano mi udział w znaczącym projekcie. Całe nasze dotychczasowe poświęcenie było z myślą właśnie o czymś takim. Żeby się wybić...

– Wybić? – podchwytuje Maddy, śmiejąc się na pojedynczą nutę. Brzmi ona jak wysokie A. – Przecież to muzyka eksperymentalna. Nikt jej nie słucha. Ani nie zamierza słuchać. To koniec, Peterze.

– Jak mam to rozumieć? Chcesz, żebym wszystko rzucił?

Dopiero przy drugim pełnym ruchu pojmuję, że Maddy potrząsa głową. Na jej usta wypływa topielec uśmiechu.

– Pora dorosnąć, Peterze.

Namacalny świat uczynił z niej zakładnika i Maddy nie jest już w stanie wrócić do niego. Taką okrutną pragmatyczką stała się, wychowując dziecko. Przy jej potrzebach każda potrzeba Petera zakrawa na chłopięcą mrzonkę.

Do salonu zakrada się Sara, zgarbiona i ostrożna. Bierze go za rękę.

– Tatusiu? Może byśmy coś zrobili?

Powinien zapytać: ale co? Zamiast tego jednak mówi:

– Niedługo, kochanie.

Sara wraca do pokoju z pianinem i zaczyna od nowa uderzać w klawisze.

Maddy rzuca od zlewu:

– Mógłbyś zrobić to, co robią wszyscy inni żyjący kompozytorzy.

Podejmij pracę na uniwersytecie. A w wakacje... – obraca się i unosi ociekającą wodą dłoń – komponuj, co ci się żywnie podoba.

Ludowa piosenka milknie w pół frazy. Els osłania uszy, potem nos. Przez moment chucha do maski, którą sam sobie stworzył. Następnie przesuwając palce wyżej, ponad czoło.

– Mógłbym – zgadza się z żoną. – Tylko że do tego potrzebowałbym więcej kompozycji w swoim życiorysie. Więcej koncertów. Dzięki temu projektowi filmowemu byłbym bardziej konkurencyjny.

– Mówisz o konkurencyjności, a nigdy nawet nie złożyłeś podania! Ile razy ubiegałeś się o pracę wykładowcy w ostatnich sześciu latach?

Nie czuje potrzeby, by odpowiadać. Ogarnia go mieszanina paniki i spokoju. Peter przypomina sobie opinię Cage'a: „Nasza poezja to uświadomienie sobie, że nie posiadamy niczego<sup>[40]</sup>. Dlatego radość możemy czerpać z czegokolwiek<sup>[41]</sup>”. Jednak ten cytat go nie uratuje.

– Co napawa cię taką obawą?

Porażka. Sukces. Mądrość tłumu. Wiedza na temat tego, jak jego nuty brzmią w uszach każdego, kto jest nim.

Za ścianą rozpętuje się kataklizm. Sara wali całymi piąstkami we wszystkie cztery oktawy. W ciągu jednego obrotu w miejscu Maddy przeistacza się w supermamę. Tanecznym krokiem przechodzi do pokoju i mówi:

– Ej, ej, ej. Co ty wyprawiasz, młoda damo?

– Ja tutaj gram, a nikt nawet nie słucha!

Zacznij się przyzwyczajać, chce powiedzieć córce Peter Els. Czwarta zasada kreatywności dotyczy małej dziewczynki pozbawionej audytorium: dopóki nikt cię nie słucha, dopóty jesteś bezpieczna. A nawet więcej: jesteś wolna.

#

Jest jeszcze drugi świat, pełniejszy. Ale tkwi zwinięty w naszym.

#

Nie mógł zostać w chacie. Gdyby Połączone Siły odnalazły go tutaj, bez wahania by ją splądrowały. Kohlmann wpadłaby w sam środek koszmaru. Też mogłaby zostać zatrzymana do oczyszczenia z zarzutów – współniczka terrorysty, ukryta połowa uśpionej komórki.

Jeszcze jedną noc Els przespał w łóżku nieznanym dobroczyńców.

Trzymał się z dala od sieci i nie odbierał telefonów od Klaudii. Koniec z internowaniem danych. Nazajutrz rano wysepił ostatnie śniadanie i zaopatrzył się na drogę. Miał pół baku paliwa, to, co na grzbiecie, oraz smartfon Klaudii, którego obecnie bał się używać. W portfelu znajdowało się dwieście dolarów wybranych z bankomatu jeszcze w dzień rewizji.

Każda transakcja kartą bądź wypłata gotówki z bankomatu groziłaby ujawnieniem jego współrzędnych, trafiwszy prosto do dających się przeszukiwać baz danych będących częścią elektronicznej kompozycji – również pragnącej nade wszystko mieć słuchaczy.

Peter Els wsiadł do swojego fiata i autostradą międzystanową ruszył z powrotem do Naxkohoman. Znalazłszy się na wysokości przedmieść, wybrał zjazd, który doprowadził go na odległość około trzydziestu kilometrów na północny wschód od domu. Tam wybrał pięćset dolarów – maksymalną dopuszczalną przez urządzenie kwotę – w bankomacie dla zmotoryzowanych firmowanym przez bank, z którego usług często korzystał. Zza przydymionego szkła obiektyw kamery filmował go na potrzeby niemego krótkiego metrażu, którego jedyną ścieżkę dźwiękową stanowiło pykanie silnika.

Tysiączne trybiki cyfrowej *passacaglii*, pakiety namnażających się danych kursowały kanałami, których nie miał nawet szans pojąć. Jego plan porażał prostotą: być w ciągłym ruchu, zostawiać jak najmniej śladów. Schował wysunięte banknoty do kieszeni, zerknął z ukosa w przyciemniony obiektyw i wrócił na drogę.

Dwie przecznice od banku zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Zapłacił kartą kredytową, skoro i tak ślad z okruszków prowadził do tej dzielnicy. Faktura czy paragon? Wystarczy paragon, dziękuję. Potem Els wjechał znów na autostradę międzystanową numer 80 i skierował się na zachód. Łagodne zakręty wymusiły na nim skupienie. Przez dłuższy czas jechał całkowicie bezmyślnie, równie widoczny jak zaobrączkowany przedstawiciel ginącego gatunku.

Po południu, niemal u celu w Alleghenach, zatrzymał się na stacji z parkingiem przy autostradzie. Znowu dołał do pełna, tym razem płacąc gotówką. Trudniej było przejrzeć nagrania z kamer przemysłowych niż bazy danych firm obsługujących karty kredytowe. Sklepowe zapachy sprawiły, że zaczęło mu się kręcić w głowie z głodu. Wśród regałów z tłuszczami

nasyconymi i syropem kukurydzianym odkrył półkę z kwasami nienasyconymi i antyoksydantami, rzuconymi tu przez pomyłkę demograficzną. Zakupy robił, czując dziwne podniecenie, jakby zaczynał długo odkładany urlop z legitymacją turystyczną, tylko czekającą na to, by przyjąć kolejne pieczętki parków narodowych. Posiłek pochłonął w cztery minuty, w rogu parkingu dla ciężarówek.

Na przecięciu z autostradą międzystanową numer 79, w transie zen, Els skręcił na południe. Wypatrywał znaków na Pittsburgh, kierując się nabierającym kształtu przypadkiem. Korek spowodowany robotami drogowymi w godzinie szczytu spowolnił go do ślimaczego tempa. W końcu złamał się i poszukał pocieszenia w radiu.

Pokrętko oferowało ekstazę, taniec i gniew. Els unikał muzyki, trzymając się płycizny słów. Jednak rozmowy też opływały go, niezrozumiałe. Dwaj topowi ekonomiści napisali wspólnie książkę, w której opowiedzieli się za zniesieniem ministerstwa edukacji. Członkini Kongresu porównała Agencję Ochrony Środowiska do Al-Kaidy. Rzecznik pewnej grupy aktywistów zagroził odwetem samowolnych oddziałów milicji obywatelskiej, w razie gdy faszystowska prezydencka ustawa o ochronie zdrowia zostanie przegłosowana. Poszatkiwane monologi brzmiały w jego uszach podobnie jak eksperymentalne sztuki radiowe z 1975 roku.

Dreszcze zaczęły się, gdy wjechał w cienką wypustkę Wirginii Zachodniej. Słońce zdążyło już zejść, a jego organizm znowu poddawał się absurdowi głodu. Gdzieś pośród półmroku wschodniego Ohio zatrzymał się na krótki odpoczynek. Zjadł obiad składający się z produktów, które kupił w automatach, i przespał się w rozłożonym fotelu kierowcy, przykryty peleryną przeciwdeszczową wykopaną z bagażnika. Najgłębszy sen, w jaki zapadł, przypominał jednak serię luźno ze sobą powiązanych drętwic. Otulające go hałasy – zgrzyt osiemnastokołowców, działania wampirycznej grupy sprzątaczy szykujących teren na jutrzejszy atak – łączyły się w widmowy chór. Ocknął się zaraz po czwartej nad ranem, do wtóru *Trenu ofiarom Hiroszimy*, utworu, którego nie słyszał od dwudziestu lat.

Poranek był długi, płaski i prosty, ze słońcem świecącym mu w plecy. Podwójna dawka kawy, pączków i wiadomości radiowych przepchnęła go przez Columbus. Kruchy rozejm między kairskimi Koptami a muzułmanami załamał się parę dni po tym, jak jedni i drudzy wzajemnie bronili się przed reżimową policją. Dwudziestopięcioletni Koreańczyk zatłukł matkę na

śmierć za to, że przeszkadzało jej jego granie na komputerze, po czym oddawał się ulubionej rozrywce godzinami, obciążając za sesję konto nieżyjącej kobiety.

Około południa na obrzeżach miasta o nazwie Little Vienna, długo po tym, jak poranny serwis informacyjny wtrącił go we własne chroniczne problemy z koncentracją, Els usłyszał dobiegające z radia własne nazwisko. Ani przemęczenie, ani niedożywienie nie tłumaczyły tej halucynacji. Profesor uniwersytetu z Pensylwanii był poszukiwany celem złożenia wyjaśnień w związku ze śmiercią dziewięciorga Amerykanów, którzy padli ofiarą infekcji bakteryjnej. I jako dowód rzeczowy numer jeden przeciwko niemu z pięciu samochodowych głośników popłynęła muzyka. Dwanaście taktów arii na baryton:

*Nie ma nic piękniejszego od siania strachu,  
Nic straszniejszego od Jego przyjścia.  
Wszystko, co wyrosło, zostanie ponizone.*

Akt drugi *Z sideł myśliwego*: szaleństwo Jana z Lejdy, króla Nowego Jeruzalem, sięga zenitu. Z tego, co było wiadomo Elsowi, jedyne nagranie od osiemnastu lat spoczywało na dnie kartonu walającego się po jego różnych szafkach. Jakiś przedsiębiorczy dziennikarz dokopał się do innej kopii i odkrył ten obciążający fragment. Kompozycja przeszła bez echa, wysłuchana ogółem przez paru słuchaczy. Ale teraz miała swój spóźniony radiowy debiut, a audytorium stanowiły spanikowane rzesze.

Osiemnaście lat później libretto Richarda – ów pastisz Rilkego i Izajasza – przyprawiło Elsa o grymas. Jednak rozwinięcie motywu zarodkowego przez śpiewaczkę wydało mu się udane, zgoła śmiałe. Dobra melodia była cudem, nieuchronnie zaskakującym jak każda żywa istota. Petera ogarnęło dziwne uczucie, w którym dopiero po chwili rozpoznał dumę.

Orkiestracja przebiła się przez jego oszołomienie spowodowane jazdą. Osiemdziesiąt osób dęło i piłowało w najlepsze, podczas gdy szalenie wychwalał piękno siania strachu. Ta muzyka była jawnym podburzaniem do przemocy – i Els poczuł się wystawiony pod pręgierz opinii publicznej. Współczesna opera w porannej audycji radiowej, na falach średnich – oto jaka była potęga oznaczonego kolorem pomarańczowym czwartego stopnia zagrożenia terroryzmem.

Po dwunastu sekundach – emisyjnej nieskończoności – aria zanikła. Prezenter przeszedł do kolejnego punktu wiadomości: czarnorynkowego

boomu w sprzedaży adderallu zalewającego amerykańskie szkoły średnie. Els wyłączył radio. Dłonie drżały mu na kierownicy. Nagle setka z hakiem przestała być bezpieczna. Peter zdjął nogę z gazu. Wyprzedziło go zdezelowane volvo prowadzone przez rozmawiającą przez komórkę kobietę z grzywą jak u lwa. Tuż za nią pomknął wypakowany po sufit ford expedition z dwójką płowowłosych chłopców na tylnym siedzeniu; mijając Elsa, dzieci pokazywały mu obsceniczne gesty. Dalej sunął kamper – wszyscy pasażerowie po kolei odwracali głowy, żeby spojrzeć z góry na jeżdżące siwowłose wykroczenie drogowe. Peter zerknął na prędkościomierz: zwolnił do niecałych osiemdziesięciu kilometrów. Mógł go załatwić samotny gliniarz z drogówki, który widząc, jak się wlecze, sprawdziłby jego numery rejestracyjne. Prorok siania strachu zatrzymany!

Korzystając z pokładów siły woli, Peter Els przyśpieszył do setki. Włączył ponownie radio i zaczął myszkować po skali w poszukiwaniu piosenek pop. Nie stawał, dopóki nie zmusiła go do tego strzałka poziomemu paliwa. Na parkingu dla ciężarówek kupił sobie pakowane próżniowo kanapki. Potem przeciął Indianę i od wschodu wjechał do stanu Illinois. Na noc zatrzymał się w przydrożnym motelu na obrzeżach miasta, nieco ponad piętnaście kilometrów od Urbany, gdzie poznał swoją żonę, spłodził córkę i zaprzyjaźnił się z jedynym na świecie człowiekiem, z którego zdaniem nadal się liczył.

Było to miejsce równie dobre jak każde inne do tego, aby zostać złapanym i odseparowanym od społeczeństwa na zawsze.

#

Należy się głęboko wsłuchiwać: większość życia toczy się w skali milion razy mniejszej niż nasza.

#

Nocami komponował dla Richarda. Najpierw ścieżkę dźwiękową do filmu, później zaś perkusyjny akompaniament o określonej wysokości dźwięku do celów dziwnego, lecz ekscytującego słuchowiska, które nigdy nie wyszło poza ściany kilku apartamentów Greenwich Village. W tamtym czasie Els jeździł do Nowego Jorku co parę tygodni. Maddy nie próbowała mu przeszkadzać; w końcu była tylko jego żoną. Nie chciała go jednak podrzucać na dworzec autobusowy.

– To twoje dziecko, Peterze. Rób to, co musisz.

W domu pracował przy pianinie elektrycznym, ze słuchawkami na

uszach, niemy i głuchy dla świata. Sara tupąła w pokoju obok zazdrosna o to, co starał się wskrzесиć. Raz do niego podeszła i zażądała:

- Zróbmy coś.
- Przecież tatuś robi – odparł tatuś.
- Nie! – krzyknęła. – Coś dobrego.
- Dobrego jak?
- Jak róża, jakiej nikt nie zna.

Spróbowali, ale róża najwyraźniej miała inne plany.

Potem którejś nocy przyszła do niego i Maddy z własnym zleceniem. Zjawiała się w jego pracowni, znacznie szczuplejsza i rozważniejsza niż za czasów studiów magisterskich, i przejechała mu paznokciami po plecach. Zerknęła na powstającą partyturę i uśmiechnęła się, puszczając w niepamięć przeciąganie liny ostatnich miesięcy.

- Napisz dla mnie piosenkę – powiedziała.

Chodziło jej o coś, co da się zaśpiewać, nie o Sztukę. Żadne tam okultystyczne hałasy w sam raz dla wyobcowanych snobów łaknących prestiżu. Melodię do zagrania w radiu, spowitą pożądaniem i tajemnicą. Jedną z tych, których potrzebują i za którymi przepadają normalni ludzie.

– Nie daj się prosić, napisz – dodała. Znów niemalże jego subretka. – Coś prostego.

Jej oczy mówiły: ostatnia okazja poswawolić trochę.

- Założę się, że ci się nie uda – dorzuciły jej usta.





Peter podjął rękawicę, ale wstrzymał się z wykonaniem. Nazajutrz rano, strzegąc *Porwania Europy* Tycjana przed wandalami, wymyślił melodię, opierając się na zasadach teorii muzyki dla średnio zaawansowanych, które sam dawno odrzucił. Zbudował swoją arię na bazie ekspansywnych, opadających basów. Na uwięzi nieruchomej nuty pedałowej wyrwała się ona nagle na wolność ku zdumiewającemu akordowi tuż przed połową kadencji. Chwytny motyw – niczym sina chmura pchana letnią bryzą – zostawiał w tyle przestwór błękitu podnoszący na duchu i pozwalający wejrzeć dalej w przyszłość. Piosenka, zwykła piosenka, z jej tajemnicą, ciepłem i tęsknotą. Trwająca trzy minuty wieczność.

Zabrał melodię ze sobą do domu, poprzcinał i uprawdziwił, wyposażył w nieodpartą harmonię i zagrał Maddy. Nie śpiewał, tylko scatował na nutę, która zdawała się bardziej odkryta niż wynaleziona. Pod koniec miał w chóрку dwie śpiewające dyszkantem, roześmiane kobiety.

Sara nie mogła się nasłuchać tej trywialnej melodyjki. Nawet Maddy chodziła po mieszkaniu, nucąc pod nosem główny motyw, który okazał się równie zaraźliwy jak grypa. Jego żona kręciła głową z zachwytem.

– Och, minąłeś się z powołaniem, Peterze!

Ano minął się. Kilkanaście takich melodyjek w karierze i być może miałyby na koncie ocalone życia.

Ta świadomość zasmuciła ich oboje i zmiękczyła.

– Udało ci się, Peterze – mówiła Maddy. – Naprawdę ci się udało.

I po raz pierwszy od wielu miesięcy im również się udawało.

Dwa dni później Els oznajmił żonie, że znów musi wyjechać na trochę do Nowego Jorku, by omówić z Richardem kolejny ambitny projekt. Maddy zareagowała jak pod wpływem uderzenia. Miała taką minę, jakby chcąc pocałować ją z języczkiem, boleśnie ją ugryzł. Jednakże szybko doszła do siebie.

– Rób, co ci się podoba – odparła. – Ale pamiętaj, żeby to, co robisz,

podobało ci się przez dłuższy czas.

Richard wystarał się u swojej dobrej wróżki o środki na wystawienie kameralnego oratorium baletowego na motywach transhumanisty Mikołaja Fiodorowa. Projekt wymagał pięciorga weteranów Judson Dance Theatre, ośmiorga bojówkarzy muzyki współczesnej rodem z Tribeki oraz czworga śpiewaków – sopranu, altu, tenoru i barytonu – występujących na zmianę przez dwanaście godzin. Els oczywiście, jako stały współpracownik Bonnera, skomponował muzykę. Całość nosiła tytuł *Nieśmiertelność dla początkujących*.

Na Dolnym Manhattanie – nadwerężonym przez kryzys naftowy, ograbionym przez inflację, świecącym fluorescencyjnymi tatużami, zaćpanym LSD, pogrążonym pod zwałami nieodbieranych śmieci i popadającym w bankructwo – zapanował jakiś dotąd nieznan, intensywny pośpiech. Punk zaczął pop, stawiając w pogotowiu scenę koncertową, która zaczęła się walić: była coraz bardziej postminimalistyczna, rozpuszczona, mechanistyczna. Muzyka wyhodowała sobie skórę ze stali szczotkowanej i szkła dymnego. W uszach Elsa rozbrzmiewała niemal nostalgicznie, niczym święta kantylacja w intencji miasta zapadającego się w mulistej cieśninie East River.

Richard miał zawsze dla Petera łóżko w swojej pracowni położonej na piętrze, nad sklepem ze starociami przy Lower East Side. Człowiek był tam bezpieczny nie mniej niż w domu, pod warunkiem że przychodził i wychodził za dnia, i barykadował frontowe drzwi. Els pomieszkiwał tam kątem, ilekroć przyjeżdżał do Nowego Jorku, żeby wykuwać wraz ze współpracownikami swoje kosmiczne kolaże. Było mu wszystko jedno, gdzie się zatrzymuje – i tak przebywał wówczas nieustannie pośród zakręconych fiodorowskich chórów roztaczających wizje wyewoluowanej przyszłości, w której wiedza będzie wszystkim: przejrzy tajemnice atomu, udoskonali ciało, zwycięży śmierć i przywróci do życia każdego, kto kiedykolwiek żył. Wspólny czyn szalonego Rosjanina wysławiał wszystko to, czego Els oczekiwał od muzyki: wskrzeszenia przeszłości i ostatecznego pokonania czasu.

Jednakże nieśmiertelność okazała się zabójcza. Maddy witała każdą zapowiedź wyprawy do Nowego Jorku ze stoickim spokojem. Peter następnie przez całą drogę nie potrafił wyjść nad tym z podziwu, zachwycając się dojrzałością i racjonalnym podejściem żony. Jej opanowanie zdawało się

nieograniczone. Niezliczonymi latami cierpliwie czekała, aż mąż coś osiągnie – nadaremno. Nadal nie miał nic – absolutnie nic – czym mógłby się jej odwdzięczyć. Chyba że liczyć te przeciągające się próby wydarcia światu jego najgłębszej tajemnicy.

Któregoś wieczoru w domu Peter podniósł wzrok znad nieukończonych partytury i ujrzał świeżo mianowaną dyrektorkę szkoły w rozciągniętym swetrze przy pilnej pracy, o której praktycznie nie miał pojęcia. U jego stóp – jak zwykle ostatnimi czasy – rozbiła obóz Sara zajęta rysowaniem map wymyślnego świata, który czuła potrzebę zaludniać w każdej wolnej chwili. W Umberze były rasy i narody, polityka i mowa, katastrofalne w skutkach wojny i długie okresy pokoju. Umber przetrwał pandemię i wywołane przez człowieka kryzysy. Umberowi mieszkańcy mieli swoje pieśni ludowe i hymny państwowe. Maddy czuła lekkie zaniepokojenie obsesją trzecioklasistki na tym punkcie. Peter z kolei pragnął powiedzieć Sarze: właśnie tak, zrób coś dobrego. Żyj tam.

Siedząc przy swoim biurku nad partyturą i kreśląc po pięciolinii dla garstki słuchaczy, Peter Els zdał sobie sprawę z tego, że żyje na najlepszej z możliwych planet. Muzyka się z niego ulewała, stepując, pulsując i zakrzykując każdy sprzeciw. Komponowanie było jedynym, czego pragnął, co potrafił, i teraz miał szansę to zrobić.

– Maddy? – odezwał się.

Kobieta podniosła na niego spojrzenie, zaalarmowana łagodnością w jego głosie.

– Moglibyśmy tam zamieszkać. Zacząć od nowa. Zupełnie jak...

– Gdzie? – dopytywała podniecona Sara. – W Nowym Jorku?

Wargi Maddy drgnęły, gotowe ułożyć się w uśmiech, gdy przyjdzie pora puenty. Nie powiedziała: nie wygłupiaj się, Peter. Nie powiedziała: chyba wiesz, że nie mogę odejść z pracy. Nie zapytała, co on sobie, u diabła, wyobraża. Tylko na niego patrzyła – z niedowierzaniem i ogromnym znużeniem.

To stało się w tamtej krótkiej chwili, gdy wymieniali spojrzenia. Takt później opuścił żonę, która oddała mu dekadę niezasłużonej cierpliwości, porzucił córkę, która chciała tylko robić wspólnie z nim coś dobrego, i rozpoczął swobodny spadek. Ot tak, dla muzyki, żeby trochę pohłasować na tym świecie. Nawet jeśli nikt nie będzie go słuchał.

Później latami winił Fiodorowa, te chórki z powstającego oratorium z ich

powolną, narastającą ekstazą nieuniknioną jak sama śmierć. Wszystko, co kochamy, zaistnieje znowu. Każde katastrofalne wydarzenie z naszego życia zostanie sklonowane i wskrzeszone. Zmarli otrzymają szansę na lepszy drugi akt. Chlapiący się w jeziorze kuzyni Elsa, jego samotny ojciec i samotna matka, nauczyciele, na których chciał zrobić wrażenie, przyjaciele, przed którymi nie odważył się otworzyć, niekończąca się parada zwiedzających w muzeum, równie niema i nieruchoma jak pilnowane przez niego obrazy... Wszystko wróci do życia w pełnej krasie. Wszystkie utracone złudzenia odkupione przez właściwy szereg nut.

Ze swego punktu widzenia niczego nie zostawiał – nie mógł niczego zostawić. On i Sara znów będą spacerowali po parku, wymyślając zwariowane melodie każdej odmianie róży. On i Maddy znów będą razem śpiewali, przywołując stare wynalazki z czasu studiów.

*Wcześniej czy później każdy człowiek robi wszystko i wszystko będzie wiedział.*

Naturalnie bardzo się pomylił. Życie okazało się jednorazową zabawą, poplątaną i źle zrozumianą, pojedynczym wybuchem rozproszonym w powietrzu.

Wytrzymał spojrzenie żony, licząc na to, że zobaczy to co on.

– Tak! – zawołała jego córka z poziomu podłogi, na której rozłożyła bloki rysunkowe ze swoimi gryzmołami. – Przeprowadźmy się gdzieś, gdzie nikt nas nie zna!

Maddy jednak usłyszała inną nutę, wyraźniejszą i głośniejszą.

– Nie – powiedziała. – Ja nigdzie się nie wybieram. Mieszkam tutaj.



Planując wyznanie, zabrał swoją dziewczynę do jej ulubionego dystrybutora z napojami gazowanymi. Dla niej zamówił lody z wodą sodową – dzieło sztuki wymagające całej uwagi ośmiolatki. Powiedział:

– Mamusia i tatuś nadal się kochają. A ciebie kochają oboje ponad wszystko inne w świecie. Tylko że. Mamusia ma swoją pracę. A tatuś swoją.

– Chwila – odparło dziecko.

– Nic się nie zmieni. W dalszym ciągu będziemy robili wspólnie różne rzeczy. Wszystko zostanie po staremu.

– Zaraz! – krzyknęło dziecko. Wkrótce krzyk zamienił się w pełnowymiarowy wrzask.

Najpierw nie potrafił Sary opanować, a kiedy w końcu mu się to udało, cisza okazała się jeszcze gorsza. Mówiła – tak wyraźnie, jak jeszcze nigdy cisza nic nie powiedziała – nie prosz mnie więcej, żebyśmy zrobili coś razem.

#

Gramatyka bez słownika, znaczenie bez sensu, pośpiech bez potrzeby: muzyka i chemia komórki.

#

Dowiedziawszy się, Richard pocieszył Elsa.

– Przykro mi, maestro, naprawdę. Kochaliśmy tę kobietę. Sądziłem, że nasza trójka będzie razem już zawsze.

– Myliłeś się – powiedział mu Els.

– Straciliśmy tę z pochwą – stwierdził Richard.

– Na to wygląda.

– I dzieciaka. O rany.

Bonner dotknął twarzy dłońmi i przyciskał je długo i mocno. Po jakimś czasie rzucił:

– Cóż, masz zajęcie. A ona może otrzeźwieje.

Peter Els dołączył do wspólnoty dusz znajdujących się na orbicie Richarda Bonnera. Poddał się ogólnej ekscytacji nie tak znów odległej od paniki. Natchnienie nachodziło go w najdziwniejszych miejscach – zdarzały się dni, gdy potrafił wyciągnąć cudowną sekwencję dźwięków z rozmowy w metrze. Miał swoją pracę, której nie było końca; pracę tak dobrą, że nierzadko przypominającą śmierć.



Wciąż często je widywał, żonę i córkę. Z tym że Maddy nie była już jego żoną, a pół roku później Sara umknęła na jakąś daleką wymyśloną planetę. Maddy nie chciała zabierać dziewczynki do Nowego Jorku. Peter musiał więc jeździć do Bostonu, gdzie nocował po pokojach do wynajęcia w samym mieście i na przedmieściach. Podczas trzeciej wizyty od separacji zapytał nadąsaną córkę o najświeższe wieści z Umberu. Zawsze to robił. Przypominało to wypytywanie o koleżanki i kolegów.

Sara wzruszyła znacząco ramionami.

– Bingo i Felicita się pokłócili.

– Tak? – podchwycił Els. – To nie jest ich pierwsza kłótnia, prawda?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Ale tym razem nie wyhamowali.

Jesienią Sara poprosiła, aby zwolnić ją z lekcji gry na pianinie. Maddy, oświecona edukatorka, nie stawiała przeszkód. Ona i Peter sprzeczekali się o to przez telefon.

– Co za szkoda – uzalał się Peter. – Sara jest dwakroć muzykalniejsza ode mnie, gdy byłem w jej wieku.

– No i?

– No i będzie sobie pluć w brodę, kiedy dorośnie.

Jego żona zapytała:

– Chciałbyś jej zapewnić dorosłość bez żalów?

Wkrótce kolejne kryzysy sprawiły, że sprawa z grą na pianinie wydała się banałem. Dziewczynka połknęła garść aspiryn – aby się przekonać, jak to będzie – i wylądowała na pogotowiu. Zapaskudziła lakierem do paznokci nowe koturny przyjaciółki. Nazwała inną koleżankę „miękkim dildo”...

– Jak ją nazwała? – przerwał żonie Peter. – Czy ona w ogóle wie...

– Zapytałam ją o to – wtrąciła Maddy. – Nie była pewna szczegółów.

Jego rady na temat tego, jak sobie radzić z dzieckiem, przestały odgrywać rolę. Pozbawił się prawa głosu z chwilą, kiedy spakował cztery kartony swoich rzeczy uratowanych ze wspólnego mieszkania. Był przyczyną, ale nie lekarstwem.

Maddy pozostała dla niego miła przez telefon, a w kontaktach osobistych zachowywała się jak wesoło usposobiona daleka znajoma. Podejście miała bez zarzutu: oto twoja córka, odstaw ją przed obiadem. Łaskawa, majestatyczna. Maddy też minęła się z powołaniem. Nie powinna była schodzić ze sceny.

Nowinę przekazała mu na odległość, z wystudiowaną trzeźwością, w której ostatnio osiągnęła mistrzostwo. Wyszła za Charliego Pennela, swego wieloletniego przełożonego i dyrektora administracyjnego szkoły, w której pracowała. Peter miał okazję go poznać.

Atrament na ich papierach rozwodowych nie zdążył jeszcze wyschnąć.

– Mogłaś mnie uprzedzić.

– Naprawdę? A dlaczegoż to?

– Od jak dawna to trwało?

Słyszał rozbawienie Maddy w mięśniach mimicznych jej twarzy.

– Ależ Peter! Czyżbyś coś insynuował?

– Niczego nie insynuuję. Możesz robić, co ci się podoba.

– Tak też sobie pomyślałam.

Jej figlarność napawała go teraz odrazą. Rozłączył się. Oddzwonił po dziesięciu minutach, aby złożyć jej najlepsze życzenia. Trafił na automatyczną sekretarkę i nie zostawił wiadomości.

Następny tydzień spędził, przysparzając sobie upokorzeń. Wydzwaniał do starych przyjaciół i sąsiadów, udając, że chce nadrobić wieloletnie zaległości. W pewnym momencie pytał obojętnym tonem:

– Byliście może na weselu?

Gdy wreszcie znalazł kogoś, kto był, uparł się, że chce, aby torturować go szczegółami. Dowiedział się, że za podkład muzyczny robił nie kto inny jak Mendelssohn, zagrany przez małą grupę uzdolnionych uczniów ze szkoły młodej pary.



*Nieśmiertelność dla początkujących* rozkwitła niczym żywotne dziwadło. Dwanaście godzin muzyki było wiecznością. Els skomponował długą, wolno mutującą fantazję o tarasowej dynamice, która pulsowała i wzdychała, i eksplodowała. Rozsiał wzgórza i doliny. Przywołał głosy martwe od stuleci i zmusił je do pośmiertnego trajkotu. Zapożyczał, powtarzał, rekombinował i zapętlął wszystko dopóty, dopóki całość nie popłynęła dostatecznie szeroko, aby potrwać od rana do wieczora.

Bonner był zachwycony ukończoną partyturą. Pokazał palcem wybrany przedłużony pasaż.

– Przekomiczne, Peter. Nie miałem pojęcia, że potrafisz być tak podstępny.

– O co ci chodzi? – zdziwił się Peter.

Jego pytanie zdumiało Richarda.

– Myślałem... Chcesz powiedzieć, że ten fragment to nie parodia reakcjonistów?

– Nie – odparł Els. – To reakcjonizm w czystej postaci.

Mimo to Richard był pod wrażeniem eklektycznej całości. Jego choreografia okazała się śmiała, nieświeża i boska: zgarbione biodra, zszokowane ramiona, głowy odwracające się *unisono*, spojrzenia unoszone i opuszczane, jakby niebiańscy obłąkańcy czytali boski brukowiec. W ciągu tego monstrualnego maratonu Bonner musiał wymieniać aktorów, którzy aktywowali się wzajemnie niczym systemem przekaźników.

Przygotowania trwały prawie rok, a przedstawienie skończyło się w ciągu jednego dnia. Od wschodu do zachodu słońca w lipcową sobotę oszołomieni słuchacze przewijali się przez odnowiony loft nad hurtownią w Tribeca, swego czasu centrum handlu nabiałem, przyglądając się wariatom wieszczącym nadchodzącą rezurekcję – za sprawą czystej informacji – wszystkich żyjących kiedyś ludzi. Większość widzów wytrzymała chwilę, po czym wychodziła ze wzruszeniem ramion, ale parę osób zostało dłużej, zatraciwszy się w nieskończonym sercu wszechrzeczy. Recenzja w „Timesie” liczyła pięćset słów. Recenzent podziwiał reżysera za przyprawiającą o zawrót głowy świeżość i nazywał muzykę trzydziestodwuletniego Petera Elsa nieuchwytną, anachroniczną, lecz chwilami zdumiewająco orzeźwiającą. Przyznał się jednak, że wyszedł po godzinie i pięćdziesięciu trzech minutach.

Późniejsze przyjęcie, wyprawione w rozbebeszonym lofcie, trwało niemal tak długo jak przedstawienie. Wszyscy byli wykończeni. Els wepchał się na dogorywającą imprezę. Z czyjegoś taniego magnetofonu przenośnego leciał Velvet Underground, tęskny i zdecydowanie za głośny. W pewnym momencie Richard zaczął rzucać nadziewanymi liśćmi winogron w rząd butelek po winie ustawionych na długim stole. Ilekroć udało mu się którąś strącić, odstawiał marsjański taniec i wykrzykiwał sprośne kuplety. Aktorzy przyglądali się z boku. Dwaj tancerze robili za komentatorów.

– Oto, co się dzieje, kiedy człowiek nie śpi od dwóch tygodni.

– Nie zapominaj o kreatywnej farmakologii.

Bonner usłyszał ich i zabrał się do bombardowania obu *crudités*. Penny, młoda oboistka ze szparą między przednimi zębami, podeszła do niego zapytać, czy na pewno nic mu nie jest. Bonner odwinął się ręką jak przy backhandzie w ping-pongu i uderzył dziewczynę w policzek. W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza. Els, który znał Richarda najdłużej ze wszystkich, wystąpił i wziął go pod łokieć. Choreograf zatoczył się na niego.

– Niech mnie wygrzmoci gumowy pobijak! Patrzcie, kogo tu mamy. Chyba że to policja moralna.

– Daj spokój, Richard – powiedział Els, starając się objąć Bonnera ramieniem. – Pora się zwijać.

Bonner go odepchnął.

– Nie dotykaj mnie! Zabieraj ode mnie swoje parszywe łapy...



Els aż się cofnął.

Richard wymierzył w niego pistoletem ułożonym z palców.

– Ty, przyjacielu, nigdy nie wybijesz się ponad uprzejmą przeciętność.

Otoczający ich kręgiem obecni zamarli. Osłupiali tancerze z resztkami makijażu podkreślającego oczy wpatrywali się bez mrugnięcia, podczas gdy Lou Reed mruzczał słowa *Wenus w futrze* w rozbrzmiewającym echem powietrza. Mogła to być koda Bonnerowego dwunastogodzinnego przedstawienia.

– Czy ja ci coś zrobiłem? – zapytał Els. – Skrzywdziłem cię jakoś?

Ktoś rzucił:

– W końcu mu odbiło.

Ktoś inny dodał:

– Wróci do siebie, jak się wyrzyga.

Bonner, nie spuszczając Elsa z muszki, oddał kciukiem strzał, potem drugi.

– Nie podobała ci się moja muzyka? Trzeba było coś powiedzieć miesiąc temu, kiedy mogłem coś na to poradzić.

Bonner na niego naskoczył.

– Ty, przyjacielu, w życiu nie wydasz z siebie nic poza ciepłym, miłym pięknym gównem. A wiesz dlaczego? Dlatego, że zbyt potrzebujesz miłości. – Zwrócił się do zaczynającej się podśmiewać publiczności: – No, kto jest chętny pokochać troszkę Petera muzykanta? Nikt? Może jednak ktoś? Peter odwdzieczy się w nagrodę czymś ładnym!

Els podniósł obie ręce niczym średniowieczny Jezus wychodzący z grobu. Obrócił się i lawirując, wypadł na zewnątrz, nie wcześniej jednak, niż zdołał się uwolnić od kilku par próbujących go powstrzymać rąk. I tak początkująca nieśmiertelność umarła w powijakach.



Tydzień później dzięki wspólnym znajomym Bonner wytropił Elsa na dziewiątym piętrze brutalistycznego apartamentowca na Long Island i posłał mu telegram dźwiękowy. Czworo białych dzieciaków z przedmieścia, wystrojonych w smokingi, zaśpiewało stary szlagier ze słowami „Zawsze ranisz tego, kogo kochasz”. Els nie zniżył się do odpowiedzi.

Znalazł sobie nocną pracę w cukierni w Queens, gdzie jego zadaniem było dekorowanie ciast. Za dnia terminował nielegalnie u hydraulika,

rozbijając się zdezelowaną furgonetką po Upper East Side i naprawiając armaturę sławnym i bogatym. Raz pomagał naprawiać kabinę prysznicową u Jamesa Levine'a, który z bliska wydawał się bardziej kruchy. Zadawał się wyłącznie ze swymi szefami, sąsiadami starszankami i kasjerkami ze spożywczaka, które pochodziły z Dominikany i w milczeniu nabijały jego wędliny i płatki. W gorsze wieczory, gdy jego ciało domagało się ulgi, sięgał do przeszłości: Maddy z czasów, kiedy śpiewała jego Borgesowe piosenki.

Sporadycznie nachodziły go wspomnienia melodii, rozległych melancholijnych fraz słuchanych wspólnie z Clara, ćwiczonych w trakcie lekcji z Kopaczem i przepychanek z Mattisonem oraz śpiewanych *impromptu* z Sarą. Nie zwracał sobie głowy ich zapisywaniem.

W tamtych miesiącach skomponował jeden jedyny utwór, dziwaczną migotliwą oprawę dla *Nieśmiertelności* Ezry Pounda. W dniu, w którym się poznali, Maddy nauczyła Petera wszystkiego o sopranie i jego możliwościach. Teraz Els odrzucił całą tę wiedzę. Komponował dla głosu zdolnego wyciągnąć każdą nutę, mogącego nawet oderwać Pentagon od ziemi. Do niego dodał dwie partie instrumentalne – na niesprecyzowane instrumenty. Ich linie melodyczne falowały na pięciolinii niczym wstążki. Język harmonii, którego użył, był popłuczynami po czymś starym, nowym, pożyczonym i niebieskim. Całość brzmiała jak pieśń trubadura zagubiona w czasie. Opowiadała o miłości i daremności – nic innego nie było warte uwagi.

Przekopiował piosenkę na kremowy papier i wysłał byłej żonie. Zadeedykował utwór: „Madolyn Corr, z okazji ślubu. Oby przyszłość zmieniła przeszłość na lepsze”. Maddy nie potwierdziła odbioru. Wkrótce po nadaniu listu z prezentem Els dowiedział się, że Maddy, Sara i Charlie Pennelowie przeprowadzają się do St. Louis, na zachodnie przedmieścia, aby otworzyć tam szkołę alternatywną.



Pośród pustki czasu centralnego Sara ponownie odkryła muzykę. W wieku jedenastu lat – Andy'ego Gibba. W wieku lat dwunastu – Anne Murray. Z chwilą wejścia w nastoletność nastąpił kolejny przełom. Kiedy przyjechała znów go odwiedzić w Nowym Jorku, była przebraną w podartą koszulkę anarchistką i słuchała na walkmanie *London Calling* The Clash, on zaś jawił się jej starcem, którego muzyka była straszniejsza od muzeum.

Mieli spędzić razem dziesięć dni. Po dziesięciu minutach skończyły im się tematy do rozmowy. Peter zabrał córkę na wycieczkę po mieście. Ją interesował wyłącznie klub CBGB.

Drugiego dnia zaproponował:

– Zróbmy coś.

Popatrzyła na niego zdziwiona. Zrozumiała pytanie, ale tylko się wzdrygnęła.

– Nie, dzięki.

Długie siedem dni później już jej nie było. Els miał ją zobaczyć dopiero po roku.



Pracował na skraju miasta i żył w celibacie przez niemal cztery lata. Oszczędzał. Słuchał wszystkiego, co mu wpadło w ręce. Przestał mieć oczekiwania, przestał wydawać werdykty, przestał snuć plany. Głównie czekał. Nie był tylko pewien na co.

W kwietniowy sobotni wieczór połknął pół listka kwasu, który dostał dwa lata wcześniej od perkusisty występującego w *Nieśmiertelności dla początkujących*. Peter ukrył LSD w szufladzie ze skarpetkami, zachowując je na moment, gdy poczuje się bliski wymarcia. W trakcie tamtej trwającej rok nocy znalazł się na dachu wysokościowca nieopodal nowojorskiego parku nad zatoką, skąd miał widok na jedwabistą powierzchnię wody pokrywającą połyskliwy zielonkawy patchwork miasta. Gdy na nią patrzył, formowała się istotna, pilna wiadomość z przyszłości, ujawniona następnie każdemu, kto umiał się uwolnić od samego siebie i wsłuchać. Życie było nieskończenie jasne, nieskończenie satysfakcjonujące. Nabazgrał mądrość w notesie, w którym notował wszystkie muzyczne pomysły. Słowa same zapadały w pamięć, a ich odczytanie miało przywrócić w jego pamięci to niesamowicie obrazowe przemienienie. Wystarczy, że spojrzy na nie za rok albo za pięćdziesiąt lat, a każda jego obawa okaże się warta śmiechu i niegroźna.

Nazajutrz leżał jak kłoda i czekał, aż jego komórki dojdą do siebie. Później znowu pochłonęła go praca. Do notesu zajrzał dopiero po tygodniu. Tam odkrył magiczne przypomnienie: „Żyj dalej”.

Usłyszał o chacie na północy, w New Hampshire u podnóża Gór Białych, którą chciał wynająć znajomy jego szefa. Dom był niewielki i czynsz za cały

rok wynosił mniej, niż Els płacił obecnie za kwartał. Właściciel wymagał referencji, ale te bez oporów zapewnił szef.

– Nie obraż się, Mozart, ale hydraulika to nie twoja bajka. Od samego początku wyglądałeś mi raczej na szurniętego człowieka lasu.

Els spakował sześć kartonów ocalonego dobytku. Ubrania mające mu posłużyć jeszcze przez parę lat, dopóki nie rozpadną się w praniu. Polaroidy rodziców i rodzeństwa. Zdjęcie kobiety, która kiedyś była jego żoną: z czaszką gekona na piersi i cykadą we włosach. Stosik partytur, drukowanych i odręcznych. Patchwork „las nocą”. Taśmy i kasety z muzyką, którą przestał rozpoznawać. Utwór napisany dla niego przez siedmioletnią Sarę, zatytułowany *Najlepsze są dobre dni*. Szczątek kartonu, który niegdyś posłużył za tobogan. Pomimo wszystko jakąś częścią siebie nadal wyczekiwał chwili, gdy spisze melodię, która wskrzesi każdego umarłego, jakiego znał, wzbudzając uśmiech spowodowany wspomnieniami.

#

Gdyby lew umiał śpiewać, podobałyby nam się jego piosenki.

#



Els wyjechał do New Hampshire, aby uciec na trochę od Nowego Jorku. Został na północy dziesięć lat. Później był w stanie w ciągu pięciu minut wymienić wszystko, co robił przez tę dekadę – i to nie pomijając niczego istotnego.

Zarazem te lata spędzone w głuszy okazały się najefektywniejszymi w jego życiu. Nabrał sił. Uwierzył – na jakiś czas – we własne ciało. Wiosną chodził po Górach Białych, zapuszczał się w widoki artystów takich jak Cole, Kensett i Durand. Codziennie stały się dwudziestokilometrowe wycieczki. Wędrując, komponował – i przynosił do chaty ukończone utwory. Latem jeździł na rowerze, jesienią rąbał drewno. Zimą własnymi rękoma odśnieżał sześćdziesięciometrowy kawałek zwirowej drogi, która łączyła go z cywilizacją.

Odżywił się zdrowo, wedle standardów tamtych czasów. Przeczytał każdą ekscentryczną opowiadkę, jaka znajdowała się w zbiorach prywatnej biblioteki publicznej w Conway. W ten sposób poznał bibliotekarkę, Trish Sather, która wkrótce zaczęła mu składać wizyty dwa razy w tygodniu, w te

wieczory, w które jej mąż i syn mieli trening hokeja. Trish zostawiała samochód kilometr od chaty, niewiele tym zmieniając. Peter dla niej gotował, potem uprawiali delikatnie seks, a jeśli zostało trochę czasu z ich stu minut, rozmawiali jeszcze o książkach albo grali w tryktraka. Była to swego rodzaju miłość, chociaż żadne z nich nigdy nie użyło tego słowa. Po wszystkim Trish pędziła do domu, przekładała o trzydzieści pięć stron zakładkę w czytanej akurat książce – mogła to być *Wojna i pokój* albo *Zbrodnia i kara* – i sadowiła się przy kuchennym stole, gotowa święcić triumfy powracających mężczyzn bądź pocieszać ich po przegranej. Romans Elsa i Trish był przestępstwem bez ofiar, podobnie jak tworzenie dziwnej muzyki.

Trish przepadała za kowbojskimi piosenkami i bez końca raczyła Elsa ulubionymi melodiami country. Już po trzech balladach szaleli z pożądania, a czas pozostały do końca płyty wystarczał im na to, żeby rozeznac się we wzajemnych potrzebach. Ten radosny układ trwał przez nieco ponad półtora roku, dopóki Trish któregoś wieczoru – leżąc pod flanelową pościelą z narzuconym na wierzch patchworkiem Maddy i gładząc się po nabrzmiałych od pigułek antykoncepcyjnych piersiach – powiedziała:

– Ty mi tak naprawdę nie ufasz.

– O co ci chodzi? – zapytał Peter, mimo że znał odpowiedź.

– Komponujesz coś na okrągło, dzień w dzień, nawet w niedziele. Ale nigdy nic mi nie zagrałeś.

Els zwiotczał i westchnął. To drugie zirytowało kobietę.

– Co znowu? Wstydzisz się mnie? Masz mnie za zbytnią wieśniaczkę, żebym mogła zrozumieć to, co robisz?

Podniósł się do pozycji siedzącej, czując się nagle panem w średnim wieku.

– Tutaj nie ma nic do rozumienia.

– Nawet nie pozwolisz mi spróbować!

Rozejrzył się po sypialni, po swojej chacie. Jego dusza stała w ogniu i musiał się ewakuować.

– Nie mam tu nawet magnetofonu.

Zmrużyła oczy.

– W moim aucie jest odtwarzacz.

Siedzieli w jej gremlinie przy otwartych oknach i pyrkającym silniku, otoczeni przez jesień, i słuchali pogiętych, starych taśm na tanim odtwarzaczu. Zaprezentował jej prace ocalone z ostatniego ćwierćwiecza.

Największe przeboje – ogółem była tego raptem godzina. Wiedział, że Trish przez to się spóźni i będzie musiała kłamstwem torować sobie drogę do własnego domu. Ostatni utwór był śpiewany. Czysty wysoki dziewczęcy głos, który niegdyś znał, recytował:

*Czas... jest ogniem, który mnie trawi... Ale ja jestem tym ogniem...*

Znad wzgórz zaczęły ulatywać jasne błyski.

– No i – bąknął Els, gdy koncert dobiegł końca – to był przegląd mojego życia.

Trish siedziała za kierownicą w ciemnej kabinie, obgryzając paznokcie. Wydawała się raczej bezradna niż rozczarowana.

– Cholewka, Peter. Chwilami to było nawet niezłe. Ale generalnie...? Tak jakby zwykle...

– Rzepolenie? – odpowiedział.

Gęsi skierowały się na południe.

Els skończył z nią dwa tygodnie później. Przerzucił się na książki z antykwariatów i wyprzedazy. Dopiero gdy się dowiedział, że Satherowie przeprowadzili się do Burlington, pokazał się znów w bibliotece.



Ekscentrycy gnieźdzący się po chatkach w lesie byli w tej okolicy powszednim widokiem, wieśniacy się na nich znali. O Peterze rozeszła się wieść, że jest członkiem nowojorskiej bohemy po jakiegoś rodzaju załamaniu. Któregoś wieczoru, na wpół oszalały z samotności, Els zawędrował na partyjkę bingo w Legionie Amerykańskim. Ponieważ słuch mu się wyostrzył od przebywania w ciągłej ciszy, wychwycił słowa, które jeden z weteranów szepnął żonie:

– Patrz, kogo przywiało... To ten wypalony artysta.

Prowadził nieskomplikowane życie, zarabiając co nieco jako pomocnik na budowach i złota rączka dla staruszków. Praktycznie nie potrzebował pieniędzy, nie licząc wydatków na jedzenie i nieprzyzwoicie niski czynsz. Przez jakiś czas wysyłał Maddy alimenty, jednakże ona ani razu nie zrealizowała żadnego czeku.

Gdy Sara była w drugiej klasie liceum, dostał od niej list, w którym winiła go za to, że rówieśnicy mają ją za dziwaczkę. Zaprosił więc córkę w odwiedziny. Przez trzy dni polegiwała na kozetce, majstrując przy kostce Rubika i odpowiadając na każdą wysuniętą przez niego propozycję:

– Nie, dzięki. Nie trzeba.

Słuchała przypominających łomot wiertarki udarowej jednoakordowych melodii, które z jej słuchawek dolatywały go nawet za ścianą.

Na dzień przed powrotem do Missouri zapytała:

– Mógłbyś mi kupić komputer? Zdaniem mamy nie jest mi potrzebny.

– Interesujesz się komputerami?

Gałki oczne pomknęły w górę, pod powieki.

– Czy tak trudno w to uwierzyć?

– Ależ nie – odparł. – Dzięki komputerom można robić niesamowite rzeczy.

Uniosła głowę z oparcia kozetki, wietrząc podstęp.

– Kiedyś, na jednym z pierwszych modeli, tworzyłem muzyczne algorytmy.

– Hm – skwitowała Sara. – To mogło być fajne.

I było po duecie aż do następnego roku.

W dziczy New Hampshire muzyka Elsa utraciła pozory wszelkiej systemowości. Powrócił do różnorodności graniczącej z plagiatem. Wcześniej żył pod ciągłą presją oryginalności. Obecnie mógł sobie pozwolić na całkowitą wtórność.

Znowu zaczęły powstawać krótkie formy. *Koncert podwójny* na klarnet basowy i saksofon sopraninowy. *Orkiestra światowa* – żywiołowy pastisz symfonii przerabiający czternastodźwiękową frazę na tuzin stylów etnicznych. Oprawa muzyczna do wiersza Ruperta Brooke’a *Bezpieczeństwo*, na tenor i kwintet dęty:

*Bezpieczny w czas największej rzezi, bezpieczny tam gdzie inni giną,*

*Najbezpieczniejszy wtedy, gdy ruszyć się nie da żadną kończyną*<sup>[42]</sup>.

Els przesłał partyturę *Orkiestry światowej* koledze ze studiów, który teraz był organizatorem festiwalu w Niderlandach. Coś w tym utworze – być może wirtuozowski kicz – przemówiło do europejskiej publiczności znużonej tym, że na przyjemność trzeba ciężko zapracować. Ansambl, który dał premierowy występ w Utrechcie, wyruszył następnie w trasę po Île-de-France i Nadrenii. Któregoś dnia Peter dostał czek z tantiemami opiewający na nieco ponad czterysta dolarów – mniej więcej jedną dziesiątą tego, co zarabiał w młodości, roznosząc gazety i poświęcając na to tyle samo czasu. Zaczął paradować po chacie, śmiejąc się i zacierając ręce, dopóki nie przypomniało mu się, jak Bóg zgasił rabina po udanym zagraniu w szabas:

– Tak? I komu zamierzasz się tym pochwalić?





Ni stąd, ni zowąd zadzwonił Paul. Peter nie rozmawiał z bratem od trzech lat, ale wciąż pamiętał jego głos, który prawie nic się nie zmienił, a tylko zaczął być lekko zgrzytliwy jak przytrzymywana palcem płyta.

– Paulie, Jezu, jak się masz? Nie wierzę, że do mnie dzwonicz. Kto umarł?

Po pięciu tłustych sekundach skonsternowanego milczenia Paul odpowiedział:

– Mama.

Carrie Els-Halverson poleciała do Londynu ze szkolną przyjaciółką, którą odnalazła po latach, gdy jej drugi mąż Ronnie wyszedł z ukrycia i ją zostawił. Od tamtej pory były jak papużki nierozłączki, podróżowały wszędzie razem, okrążając kulę ziemską już drugi raz z rzędu. Tyle że Carrie nigdy wcześniej nie była w kraju z lewostronnym ruchem drogowym i w ładny czerwcowy ranek 1986 roku zeszła na jezdnię w Westminsterze, wpadając prosto pod koła taksówki, która nie miała nawet czasu osobliwie zatrzeć.

Peter poleciał do Londynu, gdzie z lotniska odebrał go Paul. W pierwszej chwili nie rozpoznał brata, taki się zrobił nalany, powolny i blady. Wspólnymi siłami namierzyli siostrę zaszytą w aśramie w Maharasztrze. Susan przesłała im niejasny telegram – ostatni, jaki Els od niej dostał – w którym twierdziła, że ich matka nie umarła, tylko przeszła przemianę w coś innego. Dwaj bracia skremowali zwłoki i wbrew obowiązującemu prawu rozsiali popioły w rogu najstarszego londyńskiego ogrodu botanicznego. Był drugi dzień lata. Niebo przybrało idiotycznie błękitny odcień. Peter chciał wygłosić parę słów, lecz nie był w stanie. Paul dotknął jego ramienia.

– Nic nie szkodzi. Przecież ją znałem.

W ciągu trzech dni, które spędzili razem, zajmując się logistyką śmierci, Peter ze zdziwieniem odkrył, że sprawia mu przyjemność towarzystwo dorosłego brata. Paul unosił się w morzu teorii. Wszystko – poczynając od porannych nagłówków, a kończąc na tablicach rejestracyjnych

przejeżdżających autobusów – niosło ukryte znaczenie. Jednak fala jego interpretacji przesiąknięta była radosną nutą. Wszędzie czaiły się wzory. Chwilami brzmiał niemal jak muzykolog.

W wieczór poprzedzający powrót Paula do domu siedzieli w pubie w samym centrum Londynu, popijając lekkie piwo i zajadając mięsną zapiekankę pływającą w sosie. Paul dzielił się swymi przemyśleniami na temat eksplozji Challengeira i jej związków z działaniami Rosjan w Afganistanie. Peter wpatrywał się w nadal wełniście gęstą, aczkolwiek przyprószoną siwizną czuprynę brata i ubolewał nad utratą kontaktu z nim na tyle lat. Sara widziała wujka zaledwie dwa razy. Dopiero pogrzeb znów zbliżył ich do siebie.

– Dlaczego, Paul? – zapytał nagle.

– Dlaczego co?

– Samotnicy powinni trzymać się razem, prawda?

Ten pomysł stropił wielkoluda.

– Wtedy nie byliby samotnikami, racja?

W wyłożonym dębową boazerią pubie ludzie siedzący przy złączonych stolikach śpiewali piosenki piłkarskie, czerpiąc z nich więcej wspólnotowej przyjemności w ciągu trzech minut, aniżeli cała napisana przez Petera muzyka dała słuchaczom w ciągu trzydziestu lat. Z telewizora wiszącego nad barem dolatywała inna melodia. Paul gapił się na pusty talerz, szukając na nim niosącego treść tekstu.

Peter zapytał:

– Pamiętasz, jak się na mnie złościłeś za to, że nie rozumiałem rock and rolla?

Jego brat zaprzestał śledztwa i zmarszczył czoło.

– O czym ty mówisz?

– Związałeś mnie i kazałeś słuchać.

– Naprawdę? Jeju...

– Groziłeś, że wyszorujesz mi uszy.

– Nie, nie, to nie mogłem być ja, tylko ten twój drugi brat.

– Miałeś rację, Paulie. Byłem głuchy.

Paul machnął ręką.

– I bardzo dobrze, że nie zająłeś się tym rodzajem muzyki. Mnóstwo piosenek niesie przekaz podprogowy.

– Serio?

Paul kiwnął głową.

– Cała ta branża w dużym stopniu stosuje kontrolę umysłu.

Paul nie wysłuchał ani jednej nuty z którejkolwiek dorosłej kompozycji brata. Stawiał powołanie Petera w równym rzędzie z ezoterycznymi poszukiwaniami Susan. Zabawne byłoby go posadzić przy włączonym sprzęcie, gdy leciał Boulez czy Berio, i przekonać się, jakich tajnych wiadomości doszuka się w ich muzyce.

– Czego obecnie słuchasz? – zainteresował się Peter.

Paul odsunął talerz, potrząsnął głową i obdarzył brata zagadkowym uśmiechem.

– Jestem dorosłym mężczyzną, Petey. W radiu słucham wiadomości.



Przed pójściem spać w dwuosobowym pokoju na kwaterze w dzielnicy Bloomsbury brat zapytał Petera:

– Jak udaje ci się wiązać koniec z końcem?

– Prawdę mówiąc, nie udaje mi się to – wyznał Peter.

– No to twoje problemy się skończyły.

Peter wyprostował się na swoim gruzłowym łóżku.

– Jak to?

– Mama miała sporo oszczędności. I co zabawne, ubezpieczyła się, gdzie tylko mogła. Nawet gdy to podzielić na nas troje, będziesz mógł tworzyć te swoje dziwności przez naprawdę długi czas.

Peter oparł plecy o drewniany zagłówek, zasłaniając dłońmi uszy i wsłuchując się w muzykę przypadku. Jego brat aktuariusz leżał w łóżku oddalonym o metr, opatrując tygodniki opiniotwórcze notatkami sporządzanymi tycimi drukowanymi literami. W głowie Petera zmaterializowała się melodia przybyła z ogromnej odległości. Zlokalizowanie jej nie stanowiło jednak problemu. Potrafił to zrobić w pół taktu.

– No dobra – rzucił Paul, gdy zmęczyła mu się prawa ręka. – Gasimy światło.

Peter leżał w ciemnościach, nasłuchując organów Hammonda i rodziców śpiewających *Strumień Bendemeer*.

*Stoi sobie różana altana nad brzegiem Bendemeer...*

Jego głos zszokował ucichły pokój.

– Czego mama ostatnio słuchała?

Z łóżka Paula dobiegło niewyraźne, zdumione chrząknięcie.

– Nie mam bladego... – Coś, co zaczęło się jako prychnięcie wstydu, skończyło jako najzwyklejszy szloch. Potem zapadła cisza. Jeszcze później miarowe, przenikliwe chrapanie, które towarzyszyło Peterowi długo w noc.

#

Brak bezpieczeństwa to w każdych warunkach świetny interes. Obecnie gospodarka jest zależna od poziomu strachu.

#

Kiedy wieczorem wjeżdżał do Illinois, było lodowato zimno. Teraz siedział przy zgaszonym silniku na parkingu przed motelem i kisił się w kokonie zaparowanych szyb. Głodny, niewyspany i obolały od wielogodzinnej jazdy przetarł sobie krystaliczny portal dłonią i wyjrzał na zewnątrz. Niecałe dwa metry nad jego autem, ze ściany pseudoludowego moteliku, wystawał przedmiot podobny do tych, które NASA mogłaby wysyłać na obce planety. Kamera. W poprzednim życiu Els wyczytał gdzieś, że przeciętny mieszkaniec miasta pojawia się na nagraniach monitoringu kilkaset razy dziennie. Wtedy mu to nie przeszkadzało.

Podciągnął kołnierz pod samą brodę, jeszcze bardziej zwracając na siebie uwagę, i wysiadł na ziąb. Od południa dobiegał monotony szum pojazdów poruszających się po autostradzie i biegnącej równoległe do niej lokalnej drodze. Od północy bił halogenowy blask oświetlonego latarniami bajkowego świata sieciówek ubraniowych. Za wąskim gardłem światła rozciągał się złożony z prefabrykatów ciąg sklepików sączących się z Naxkohoman na północ i bijących po oczach neonami, które każda kilkulatka uczyła się rozpoznawać na równi z literami abecadła.

W oddali lśnił wielki znak z napisem: Bulwar Centralny. Kiedy Els tu mieszkał, aż po horyzont rozpościerała się pustka pociągnięta warstwą najżyźniejszej gleby na świecie.

Hall motelu wyglądał jak z żartu rysunkowego o południowym zachodzie USA. Wszędzie kamień i stonowane ochry, a nad ladą recepcyjną – pastelowe obrazy przedstawiające typowe indiańskie wioski. W parę kroków Elsovi jakimś cudem udało się przecisnąć tunelem czasoprzestrzennym do Arizony. Pomiedzy recepcją a niewielką jadalnią stała pomalowana na cyrkowe kolory maszyna do popcornu. W powietrzu unosił się smród sztucznego masła. Na ladzie stała misa z jabłkami tak idealnymi, że mogłyby

występować w musicalu o Edenie. Na tylnej ścianie wisiał nadający wiadomości telewizor z płaskim ekranem podzielonym na trzy równoczesne obrazy, do tego z dwoma paskami u dołu i trzecim, innego koloru, z podpisem.

Dwudziestopięciolatek w koszulce z krótkim rękawem i niebieskim blezerze oderwał wzrok od komputera i się wyszczerzył. Els przygotował się na najgorsze, jednakże recepcjonista nadal tylko się uśmiechał.

– Witam! Czym mogę służyć w ten piękny wieczór?

Els obejrzał się przez ramię, oceniając odległość do drzwi wyjściowych.

– Znajdzie się może wolna jedynek?

– Zdaje się, że szczęściarz z pana – odparł recepcjonista. Stuknął parę klawiszy i odtrąbił zwycięstwo. – Dla palących czy niepalących?

Podał Peterowi formularz do wypełnienia. Nazwisko, adres, telefon, osoba upoważniona do kontaktu, numer prawa jazdy, marka i model samochodu, numery rejestracyjne...

Els wziął formularz i trzymał go w ręku przed sobą.

– Zapłacę gotówką.

– Nie ma sprawy – zapewnił go recepcjonista.

Els dalej stał z długopisem w ręku, mierząc wzrokiem formularz. Recepcjonista zerknął znad monitora i przeciął ramieniem powietrze.

– Bez obaw. Tylko dla celów dokumentacyjnych.

Els wypełnił formularz, puszczając wodze wyobraźni.

– Ma pan kartę lojalnościową? – dopytywał recepcjonista. – Członkostwo Amerykańskiego Klubu Automobilowego? Albo chociaż legitymację emeryta?

Els zamrugnął oczyma.

– Pewno zostawił pan w domu. *No problemo*. Dziesięć procent zniżki dla człowieka, któremu dobrze patrzy z oczu.

Els przehandlował gotówkę za klucz elektroniczny. Ze wzgórek na ladzie gapiała się na niego cyklopim okiem kamera internetowa.

Pokój przypominał drugie wcielenie wnętrza z francuskiej powieści egzystencjalnej. Łóżko, krzesło, szafka nocna, radio z budzikiem, przymocowany do ściany odbiornik telewizyjny. Można było w nim pozegłować do sąsiedniej galaktyki albo odsiedzieć dożywocie w warunkach zapomnienia o łagodnym rygorze. Els wziął prysznic, nieomal parząc się ukropem. Potem położył się na łóżku, owinięty tylko w ręcznik, i skakał po

kanałach. Serwis informacyjny odkrył przyczajony między programami typu *reality show* najnowszej generacji. Wydarzenia dnia przemykały po ekranie w dwudziestosekundowych materiałach wideo. Rozedrgane nagranie z Kairu. Dziesiątki tysięcy ludzi koczujących na placu Wyzwolenia, klaszczących, skandujących i przemieszczających się. Jak w każdej większej produkcji, nad którą pracował Els, ton całości nadawał chaos. Demonstranci, których strumyk niemal całkiem wysechł, powrócili w pełnej sile, w masie, jakiej rodząca się Arabska Wiosna jeszcze nie widziała. Wojsko zmieniało strony; protestujący czuli zwycięstwo. A wszystko za sprawą jednej chwytliwej melodii.

Montażowy trik trwający okamgnienie – i pokazała się scena jak z bollywoodzkiego musicalu. Piosenkarz torował sobie drogę przez plac, śpiewając radosną melodię, która mogłaby być motywem przewodnim w sitcomie o młodych kosmopolitach cieszących się pokręconym życiem. Ludzie podnosili ręcznie wymalowane transparenty. Handlarze oferowali przekąski, nie przestając nucić samym ruchem warg. Staruszkowie w dzierganych czapkach i kobiety w chustach na głowie śpiewali pełne nadziei, wyzywające słowa, które przetaczały się na pasku w dole ekranu. Hymn zaczął bić rekordy popularności w jeden weekend, ratując rewolucję.

Kolejny rząd upadł przez szlagier. Następne cięcie i następna metamorfoza. Powrót do rzeczywistości. Ogarnięci euforią demonstranci zastanawiali się, co przyniesie przyszłość. Widząc to, Els zrozumiał, dlaczego Sokrates pragnął zakazać harmonii i rytmów.

– Tymczasem – rozległ się głos kairskiego komentatora – rewolucja dokonała zwrotu dzięki... piosence.

Els wstał, wyłączył telewizor i odszukał smartfon Klaudii. Samo podłączenie urządzenia do prądu groziło wygenerowaniem łatwych do wyśledzenia danych. Peterowi było wszystko jedno. Aparat zagrał cichą melodyjkę i zgłosił osiem nieodebranych połączeń oraz dwanaście SMS-ów. Els wybrał numer.

– Gdzie jesteś? – krzyknęła Kohlmann, zanim zdążył rozbrzmieć pierwszy sygnał. – Wszystko u ciebie dobrze?

Pytanie zakrawało na podstępne.

– Jestem cały. Cały i zdrowy.

– Słyszałeś najświeższe wiadomości?

– Raczej nie – odparł ostrożnie Els.

– Wszystkie zestawy do kroplówek w Alabamie pochodziły z jednej apteki.

– Oczywiście – potaknął Els. – Niech zgadnę: ta wiadomość nie narobiła już tyle szumu, ile tamta pierwsza?

– Nadal nie wykluczono, że ktoś w złej wierze zakradł się do tej apteki.

– Na miłość boską!

– Władze zalecają wzmożoną czujność w podobnych placówkach.

– Z jednej strony uspokajając, a z drugiej budując nastrój grozy.

– Wpadł do nas ten twój agent FBI. Ktoś musiał się wygadać na temat zajęć.

– Chryste...

– Chciał wiedzieć, czy wiemy, gdzie obecnie przebywasz. I czy głosiłeś jakieś szalone poglądy.

– Co mu powiedzieliście?

– Że szczytem szaleństwa był Messiaen. Lisa miała niezłe notatki i pokazała mu je. Bardzo szybko zaczął się zbierać. Można by pomyśleć, że napawamy młodych strachem.

– Pytał o telefon?

– Nie martw się. Jak ktokolwiek o to zapyta, powiem, że mi ukradłeś.

#

Ja także nie miałem nic do powiedzenia i starałem się to wyrazić najlepiej, jak potrafiłem. Ile szkody mogło wyrządzić milczenie?

#

Po odlocie Paula do domu Peter został jeszcze w Anglii. Koszty nie grały więcej roli. Teraz mógł sobie pozwolić nawet na wieloletni pobyt, nie wymagałoby to od niego żadnych poświęceń.

Plakat zobaczył na tablicy informacyjnej za katedrą Świętego Pawła. Być może powołał go do istnienia siłą wyobraźni. Prestiżowy ansambl kameralnej muzyki barokowej miał w najbliższą sobotę zagrać utwory nieznanymi kompozytorów u Marcina Miłościwego przy Trafalgar Square. Ten rodzaj muzyki w najmniejszym stopniu nie interesował Elsa. Jednak pośrodku zdjęcia przedstawiającego tuzin wykonawców w strojach koncertowych stała – trzymając wiolonczelę – matka Clary Reston.

Tylko że nagle matka zamieniła się w córkę. Dziewczyna ścięła ponadmetrowej długości włosy i teraz nosiła krótką trwałą, srebrny blond.

Els odrzucał kolejne dowody, aż dowody odrzuciły wszystkie jego wyjaśnienia poza jednym: to była Clara Reston.

Poszedł na ten koncert. Rozbrzmiewająca przez dwie godziny stereotypowa muzyka pełna była ulotnych, dzikich fraz i zadziwiających harmonii, które miały się pojawić ponownie dopiero w XX wieku. Els nie potrafił się zdecydować, ile jest w tym niezdarności, a ile niedostrzeżonego geniuszu. Nie miało to znaczenia: ta noc ujawniła sznur nieforemnych pereł, które mogły ulec całkowitemu zapomnieniu.

Peter nie słyszał niczego poza *Ognistym ptakiem*. I nie potrafił oderwać oczu od wiolonczelistki. Gładziła swój instrument tak samo jak w wieku dwudziestu lat, zgrabną szyją pieszcząc gryf. Ale było w niej coś innego – oprócz włosów, wagi i średniego wieku. Musiało przebrzmieć wiele taktów Sweelincka, zanim Els uzmysłowił sobie, że Clara zamieniła się w śmiertelniczkę.

Gdy ją odszukał po koncercie, wybiegała właśnie z kościoła z zapakowaną wiolonczelą. Zagroził jej drogę. Przystanęła rozzłoszczona, po czym z okrzykiem zamknęła go w niedźwiedzim uścisku, nie wypuszczając przy tym futerału. Cofnęła się, dziewczęca, zarumieniona, z dłonią przytkniętą do czoła, jakby mierzyła sobie temperaturę.

– Nie wierzę! To ty! – Akcent miała lekko brytyjski. Els podejrzewał, że zapomniała jego imienia.

Pociągnęła go za sobą do najbliższej ławki.

– Co robisz w Anglii?

Tembr jej głosu mówił: odnalazłeś mnie!

Els czuł niezrozumiałą ochotę, aby skłamać. Powiedzieć jej, że jej szukał, że to dla niej wybrał się w pierwszą w życiu podróż za granicę. Jednak powiedział jej o matce. Zakryła usta dłonią z żalu, chociaż Clara i Carrie były dla siebie co najwyżej nieufnymi rywalkami.

– Ale skąd wiedziałeś o koncercie? – zapytała, kiedy Els skończył opowiadać.

– Czysty przypadek.

Rozszerzyła oczy, jakby i ją dorosłość nauczyła, że przypadek to porządek, którego chwilowo nikt nie dostrzega.

Siedząc w kościelnej ławce, urządzili sobie rajd po ostatnim ćwierćwieczu. Jak się zdawało, Clara przeżyła trzy lata za każdy rok życia Elsa. Licencjat zrobiła w Oksfordzie. Rok po ich dramatycznej rozmowie



telefonicznej poślubiła Rhodesa Scholar, z którym wkrótce potem się rozwiodła, gdy wrócił do Stanów, aby zająć się polityką. Przez dwa lata kontynuowała studia w Cambridge; następnie wydarzyło się coś, o czym nie chciała mówić, a jeszcze później wylądowała po drugiej stronie Kanału. Przez jakiś czas pracowała w orkiestronie opery w Zurychu, by potem zjeździć całe Niemcy, przez dziesięć lat grając dla przeróżnych orkiestr radia i telewizji. Odpowiedziała na ogłoszenie barokowego ansamblu szukającego wiolonczelistki i od tamtej pory – od czterech lat – uważała go za swoją rodzinę. Wyszła powtórnie za mąż – za brytyjskiego dyrygenta młodszego od niej o sześć lat, mającego szansę na wielką karierę.

– Jesteśmy teraz raczej dobrymi przyjaciółmi niż... niż mężem i żoną.

Els wsadził drżące ręce do kieszeni.

– Nie urodziłaś dzieci?

Uśmiechnęła się.

– Kiedy by się to miało stać? A ty, jesteś ojcem?

– Mam jedną córkę – odpowiedział. – Sara jest niezwykle inteligentna. I bardzo na mnie zagniewana. Studiuje informatykę na Stanfordzie.

– A nie chemię? – Clara utkwiała spojrzenie na wysokości jego barków.

– Nie. W jej wypadku są to maszyny. Przynajmniej łatwiej je kontrolować.

Uciekł wzrokiem ku przestronnemu wnętrzu, z każdą chwilą coraz bardziej pustemu. Wysoko na galeriach i za chórem szerokie okna gotyckie jawiły się czarnymi płaszczyznami. Gwar rozmów wychodzących słuchaczy ulatywał pod sklepienie zwierciadlane i odbijał się echem od obłoków, muszli i kupidynów. Els rozglądał się po dusznej stodole – na wpół miejscu spotkań, na wpół torcie weselnym. I mówił Clarze o swoim życiu.

Dwadzieścia cztery lata i tak mało do powiedzenia. Studiował kompozycję, owładnięty chęcią znalezienia się w awangardzie. Miał z tuzin zajęć niewartych wzmianki. Ożenił się i założył rodzinę, którą następnie porzucił dla pisanych głównie do szuflady partytur, piętrzących się obecnie na trochę ponad metr.

– A to wszystko twoja wina – dodał, czując dziwną radość i ogarniające go ciepło. – Znacznie lepiej by mi było, gdybym co sobota dawał koncerty muzyki kameralnej z kolegami chemikami.

Prawą ręką sięgnęła do swojej szyi.

– Uczyniłam z ciebie życiowego rozbitka!

– Całymi latami pragnąłem jedynie pisać muzykę, która by cię doprowadziła do skrętu kiszek.

– Teraz nieźle ci idzie – zauważyła.

– Ale wtedy... utykałem. No wiesz: trafiałem na pewien rytm, pewną sekwencję. W końcu jednak zaskoczyło, zupełnie jak zapadki w zamku...

Nagle poczuł, że miał dobre życie, nie gorsze od życia innych ludzi. Obrót koła fortuny, rzut dwunastościenną kostką, małe oszustwo w próbie poznania przyszłości. Nawet trzyminutowy utwór miał szansę przybrać jedną z permutacji występujących w większej liczbie, niż jest ogółem atomów we wszechświecie. No i człowiek dostawał kopę lat plus dziesięć, aby odkryć tę najbardziej wysublimowaną wersję.

Sam słyszał, że partaczy wyjaśnienia, na których złożenie nie miał większych nadziei. Jednakże Clara kiwała głową – zawsze miała dobre ucho – zapatrzona w gołe deski nawy. W którymś momencie wyrwał się jej krótki śmiech, po czym prędko wstała. Złapała go jedną ręką, drugą ujęła futerał z wiolonczelą i oboje wygoniła z kościoła, zbierając po drodze pełne podziwu podziękowania składane przez rzadniejący tłum.

Wylądowali w śródziemnomorskiej restauracji kawalek dalej. W środku było ciemno, głośno i anonimowo; na blatach stały świece i leżały małe perskie dywaniki. Clara jakimś cudem była naraz poważna i rozbawiona. Zamówiła drogie bordeaux i wzniosła toast:

– Za niezasłużone przebaczenie. Był ze mnie potwór, Peterze. Prawdziwie popaprana pannica. Wybaczysz mi?

– Nie ma nic do wybaczenia – odparł, lecz i tak stuknął się z nią kieliszkiem.

Próbowali rozmawiać o muzyce, ale ich światy dzieliły aż trzy stulecia. Łączyło ich mniej więcej tyle samo co misjonarzy i kanibali. To go zdziwiło: od samego początku mylił się co do jej stosunku do muzyki. Była nie rewolucjonistką, lecz regeneratorką. Wszystko zrozumiał na opak. Mimo to wzrok miała łagodny, gdy patrzyła na niego sponad kieliszka, przysłuchując się, jak opowiada o ich dawnych odkryciach. Nagle jej wargi wygięły się z radosnego zażenowania.

– Co sobie przypomniałaś? – zapytał. – Co widzisz?

– Jesteśmy u mnie w domu. W to lato przed wyjazdem do college'u. Dwoje dzieciaków! Słuchamy pieśni Straussa...

Schował się głębiej w cieniu, lecz jej nie poprawił.

– Też to pamiętam.

– Opowiedz mi o swojej twórczości. Chcę się dowiedzieć wszystkiego.

Na Wyspach nie było nic, co mógłby jej pokazać: żadnej partytury, żadnych nagrań. Mógł co najwyżej zanucić fragmenty melodii – jak gdyby chciał sprzedać samochód, pokazując kupującemu odpryski zdrapanego z karoserii lakieru.

– Zabawne – stwierdził. – Tuż przed moim przyjazdem tutaj... Nareszcie zacząłem pojmować, czym muzyka jest naprawdę.

Clara otworzył szerzej oczy. Przycisnęła do ust dwa palce.

– Musisz wrócić ze mną do domu. Tylko nie... Muszę ci coś pokazać.

Za żadne skarby nie chciała powiedzieć, o co jej chodzi. Uregulowali rachunek i wymknęli się z restauracji jak zbiegowie. Els zajął w jej fordzie miejsce po złej stronie – kierowca bez kierownicy. Wciśnięty w oparcie fotela jechał tunelem londyńskich świateł. Wkrótce Clara zatrzymała się przed szeregiem domków z przełomu XVIII i XIX wieku. W środku jednego z nich Peter poczuł się jak w którymś z mniejszych londyńskich muzeów. Wszędzie na ścianach wisiały stare grawiury, a ciężkie meble zdobiła kwiecista tapicerka. Nawet hall stanowił gabinet cudów. Clara prosto z dzieciństwa spędzonego pod Nowym Jorkiem przeniosła się w osiemnastowieczne wyższe sfery.

Kuksańcem skierowała go w stronę salonu, gdzie umościła go na miękkim skórzanym fotelu. Następnie zwróciła się do biblioteczki zasłaniającej całą ścianę, od podłogi do sufitu. To, czego szukała, znajdowało się na jednej z górnych półek, pośród zbioru opisanych naklejkami kartonowych pudełek. Aby się do nich dostać, musiała wspiąć się na drabinkę. Widok jej nóg wystających spod koncertowej czerni i ujawniających coraz więcej z każdym szczeblem groził Elsowi zgonem na miejscu.

Wreszcie zamachała czymś wysoko, nucąc pierwsze takty *Mszy h-moll* Bacha. Z triumfalną miną zstąpiła z wysokości, przecięła pokój i złożyła łup w dłoniach Petera.

Był to list wysłany przez niego osobiście do siebie samego z dalekiej przyszłości. Dopadł go własny młodzieńczy charakter pisma. *Jak sądzicie, co się stało z młodymi i starymi ludźmi? A z kobietami i dziećmi, jak sądzicie, co się stało? Żyją gdzieś i jest im dobrze.* Tylko że „gdzieś” to okropnie rozległe miejsce.

Przebiegł wzrokiem partyturę młodzieńczej kompozycji, śmiejąc się na widok katastrof i szalonych inspiracji. Każdy jego wybór zdawał mu się teraz jaskrawozielony i niedojrzały. Ale ile w tej muzyce było życia! Ile chęci, by dawać i ekscytować! Całe jego dorosłe wyrafinowanie nie mogło się z tym równać.

Gapił się, głupio szczerząc. Miał przed sobą młodego dzikusa pełnego nieuzasadnionego optymizmu. Do tej pory jego styl zdążył się kompletnie zmienić. Muzykę przemielili żarna dekad. A on mimo to uczył się, patrząc na swój dawny utwór.

Podniósł na nią zdumiony wzrok.

– Nie wyrzuciłaś tego?

Potrząsnęła głową zamasyście jak nastolatka. Za jej plecami półki ugięły się od dziedzictwa życia bogatszego, niż był sobie w stanie wyobrazić. Tymczasem ona zachowała jego studencką wprawkę.

– Ale dlaczego...?

Odebrała mu partyturę i poprowadziła do pianina, które stanowiło dominujący element wyposażenia w przyległym pokoju. Zsunęła eleganckie szpilki i posadziła go na szerokim taborecie.

– Spróbujemy?

Wystartowała lekko i radośnie, biorąc ostro zakręty. Ich dłonie zderzały się w próbie przejęcia kontroli nad klawiszami i zapanowania nad nieporadnymi chłopięcymi nutami. Stykali się przy tym barkami, jakby taki występ na cztery ręce był ich standardowym cosobotnim numerem. Po prostu podjęli znowu frazę przerwana na chwilę przed ćwierćwieczem. Wszystko popędziło przed siebie, ale nic istotnego nie zginęło.

Linie mety przecięli razem w sposób mniej więcej taki, jaki tamten młody chłopiec mógł mieć na myśli. Rozradowana Clara pokręciła głową i dotknęła kartek.

– Świetnie, prawda? Jak na pierwszy raz...

Els wzruszył ramionami. Pragnął jej pokazać, że nie próżnował przez ćwierć wieku i taki wynik przy pierwszym podejściu nie jest przypadkiem. Uczyniła z niego rozbitka, jednakże on mógł udowodnić, że nawet zostanie rozbitkiem bywa szczęśliwym trafem.

– Jeszcze raz! – zażądała. Przy drugim podejściu kompozycja zaczęła żyć własnym życiem.

Kiedy skończyli, Clara złapała go za nadgarstek.

– Peter, jaka ja jestem szczęśliwa! Czuję się... uratowana. – Popadła w chmurne milczenie, ze zwieszoną głową gładząc klawisze. – Dziwię się, że zechciałeś się do mnie w ogóle odezwać.

Zabrała go do małej, długiej i wąskiej kuchni, gdzie otworzyła chateau margaux. Z kieliszkami w ręku obejrzeni jej kolekcję. Na ścianach tłoczyły się renesansowe drzeworytowe procesje i barokowe miedziorytowe uczyty. Cztery niewielkie obrazy olejne przedstawiały świętych w tęczy zadziwienia. Jednakże uwagę Elsa przyciągnęły fotografie. Nie mógł się na nie napatrzeć. Na wszystkich widniała Clara z utraconych lat: jako dwudziestopięciolatka w czarnej sukience bez rękawów, absurdalnie pewna siebie i wolna; jako trzydziestodwulatka przed praskim pałacem, swobodna, acz czujna; jako trzydziestodzieciolatka, składająca pocałunek na dłoni Arva Pärta, zanim ten stał się sławny.

Wróciła do kuchni po butelkę.

– Chodź – powiedziała, ujmując go za dwa palce. – Musisz zobaczyć coś jeszcze.

I powiodła go stromymi schodami w górę do jeszcze jednej zapomnianej rzeczy, spauzowanej wieki temu.

Posadziła go na dużym łóżku. Wyciągnęli się na wznak na wierzchu dziewiętnastowiecznej puchowej kołdry. Clara nie puszczała jego palców z uścisku. Els czuł w głowie wino, czuł napierającą nań odległą przeszłość i tę kobietę znajomą jak oddech. Grał na zwłokę, zabawiając ją historyjkami o przedstawieniach w SoHo, paranoicznych ekstrawagancjach Richarda Bonnera, sonecie Brooke'a, którego nie było dane nikomu usłyszeć. Gdy skończyły się fakty, zaczął zmyślać – nieomal jak prawdziwy kompozytor. Clara śmiała się, a w pewnym momencie wsunęła jego rękę pod swoją wieczorową bluzkę.

Zamilkli spowici zamroczonym ciepłem. Otrzeźwiała Clara wysunęła jego dłoń i zaczęła się jej przyglądać.

– Mógłbyś jeszcze trochę zostać... – Mówiąc, wzdrygnęła się, jakby w oczekiwaniu nagany.

Els odstawił kieliszek i pochylił się nad nią. Jego także przeszła przytomność. Clara miała rację: mógłby zostać. Donikąd mu się nie śpieszyło. Paszport miał w wewnętrznej kieszeni marynarki. Nikt nigdzie na niego nie czekał. Dom to był szczególnie techniczny, a przyszłość nie kryła w sobie żadnych zobowiązań, nie licząc podatków i śmierci. Jedyna

zagadkowa rana z przeszłości właśnie spontanicznie się zaleczyła. Nie musiał już niczego udowadniać, na nikim robić wrażenia ani nikogo karać.

Zrobiło mu się przeraźliwie zimno. Usłyszał, jak Clara mówi:

– Ty drżysz.

– Tak – przyznał.

Kończyny trzęsły mu się konwulsyjnie i nic nie mógł na to poradzić. Clara wygięła się ku niemu, po czym na niego opuszcila. Uczępili się siebie bezmyślnie. Poruszyła się, aby lepiej się doń dopasować, a on poszedł w jej ślady – minimalistyczny balet. Oboje znaleźli się tam, dokąd zawsze dążyli, i pozostali na miejscu, zawieszeni poza czasem, dopóki nie rozległ się dzwonek do drzwi.

Clara poderwała się i wygładziła pomięty jedwab, bezskutecznie. Było dobrze po północy. Twarz miała zarumienioną od przeprosin. Poprawiła włosy, rzuciła mu błagalne spojrzenie i w samych pończochach potupała wąskimi schodami na dół.

Els został sam w sypialni kobiety, której praktycznie nie znał. Uniósł wzrok: pomieszczenie obiegały tryglify i metopy, a pod nimi delikatne kwietne fryzy. Wypielęgowany spokój przypominał nieco to, czego kiedyś strzegł w muzeum. Był to pokój nieustraszonej szesnastolatki, która nauczyła go, jak nade wszystko cenić nowe. Wstał z łóżka i wygładził kołdrę. Na stoliku nocnym z przełomu XIX i XX wieku, tuż obok jej poduszki, leżały zestaw srebrnych szczotek do włosów i stare wydanie dzieł Platona w przekładzie Benjamina Jowetta. Nagle Peter zrozumiał coś, czego nie dostrzegał przez wszystkie te lata: nawet jako młoda dziewczyna Clara Reston nienawidziła realnego świata.

Z parteru dobiegały głosy dwojga ludzi rozmawiających ze sobą cicho. Els słyszał właściwie tylko kadencję, lecz to wystarczyło, aby był jedyną publicznością krótkiej opery komicznej odgrywanej szeptami i szmerami. Wcześniejsze uczucie ciepła przeszło w zmieszanie, następnie w ukradkowe tłumaczenia, potem w złość, przymilny pat i sztywne dobranoc. Drzwi się zamknęły. Stopy potupały na górę. Clara wślizgnęła się do sypialni.

Podchodząc do niego, uniosła lekko brwi.

– Wybacz. Na czym to stanęliśmy?

Ujęła go za palce, te same palce, które niegdyś przymarzały przez nią do tarczy automatu telefonicznego, kiedy wrzucał kolejne ćwierćdolarówki arktyczną nocą, tuż po kubańskim kryzysie nuklearnym. Obecnie przez mury

tego georgiańskiego szeregowca przenikało podwyższone promieniowanie, którego źródłem był Czarnobyl, położony dwa tysiące kilometrów od Londynu.

– Tamto nie ma znaczenia – powiedziała jego dłoniom. Nie poruszył się, przypuszczając, że to prawda. – T o ma znaczenie.

Latami starał się tworzyć muzykę, która by skłoniła tę kobietę do takiego wyznania. Teraz nie wierzył w nie. Oboje byli nie lepsi od jego młodszej kompozycji: pełni pasji, lecz niezdarni. Clara, którą zachował w pamięci przez dekady, stroiłaby sobie z nich żarty.

– Peter... znalazłeś mnie. Pomimo wszystko. To zdumiewające.

Uwolnił dłonie. Poklepała powietrze między ich ciałami.

– Chcę, abyś wiedział, że nic nie jest przesądzone. Wszystko jest możliwe.

– Powinienem pójść – oświadczył.

Później nie potrafił sobie przypomnieć drogi schodami na dół. Zapamiętał jednak obraz Clary stojącej w hallu i mówiącej:

– Peter. Popełniasz błąd. Coś cię tutaj sprowadziło. Nie odrzucaj tego.

Tylko że on odrzucił znacznie więcej ze swego życia, a prawdziwe porządki nawet się nie zaczęły. Nabazgrał swój adres w New Hampshire na odwrocie starego biletu. Nie chciała go od niego wziąć. Położył więc kartonik na wczesnodziewiętnastowiecznym gerydonie stojącym u podnóża schodów.

– Dziękuję – powiedział. – Za wszystko.

Naszła go myśl granicząca z uniesieniem: nawet śmierć jest czymś dobrym, bynajmniej nie prawdziwą stratą. Jednakże wyłącznie muzyka byłaby w stanie jej to wyjaśnić. Clara w dalszym ciągu kręciła głową z niedowierzaniem, gdy zamykał za sobą drzwi wyjściowe.



Nigdy więcej jej nie zobaczył – ani w tym życiu, ani w żadnym innym, nie licząc tych nocy, kiedy leżał bezsennie, przeczuwając utwór, który powinien był napisać i który jak dotąd nieustannie mu się wymykał. Niemniej ona skontaktowała się z nim jeszcze jeden raz. Dwa lata po pobycie w Londynie dostał w New Hampshire paczkę owiniętą w papier zadrukowany pastelowymi wizerunkami Jej Królewskiej Mości. W środku znajdowała się jego młodsza kompozycja, pieśń oparta na *Pieśni o mnie*,

efekt wyzwania, które mu rzuciła, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. Z partyturą przysłała widokówkę przedstawiającą domek w Maiernigg, gdzie komponował Mahler. Wewnątrz znalazł podpisany czek in blanco wystawiony przez jeden z brytyjskich banków. Na dołączonej karteczce było napisane: „To oficjalne zlecenie. Chcę, żebyś dopisał następną zwrotkę. Na klarnet, wiolonczelę, głos i cokolwiek jeszcze trzeba. Długą na co najmniej trzy minuty. Proszę”.

Niegdyś znał ten poemat na pamięć, ale teraz musiał zajrzeć do tekstu. Wersy zbiegły ze stronic, dopasowując się do istniejącej od dawna muzyki.

*Odchodzę jak powietrze [...]*

*Zapisuję się w spadku ziemi [...]*

*Jeśli zatęsknicie za mną, szukajcie mnie pod podeszwą buta*<sup>[43]</sup>.

W puste miejsce wpisał „£40”, co jego zdaniem powinno pokryć kosztą jednej lodowatej rozmowy telefonicznej, dwudziestu pięciu lat wzajemnego zainteresowania i bankowych opłat manipulacyjnych. Ale nie spieniężył czeku. Umieścił go w brązowej kopercie razem z młodzieńczą kompozycją, widokówką od Clary, jej listem zlecającym, poematem Whitmana i kilkoma skreślonymi pośpiesznie etiudami. Nie rozstawał się z tą kopertą przez następne ćwierćwiecze. W dniu rewizji przeprowadzonej przez FBI w poszukiwaniu niebezpiecznych materiałów leżała bezpiecznie w czteroszufladowej stalowej szafce na akta w jego domu w Naxkohoman.

#

Nie sądziłem, że odnaleziony przeze mnie wzór wywrze taki skutek.

#

Nie dało się zgubić na prostej siatce ulic, między którymi mieszkał przez prawie dekadę. Tak samo jak nie dało się zafałszować *Sto lat*.

Mimo to okolica zmieniła się w minionych czterdziestu dwóch latach bardziej niż Els. Wszędzie powyrastały nowe budynki, wizjonerskie projekty zdyskredytowanych dekad. Całe artystowskie getto obdrapanych domków zniknęło. Peter rozglądał się za budynkiem, w którym po raz pierwszy przespał się z Maddy. Nie był nawet w stanie zlokalizować właściwej przecznicy. Krajobraz kwartałów uległ zmianie, przytłoczony przez gigantyczne konstrukcje ze stali, z kamienia i kuloodpornego szkła.

Zatrzymał się na placyku przed budowlą podającą się za wydział muzyki. Wyglądała jak bękart zagadki logicznej i krzyżówki. Po drugiej stronie ulicy



sterczały wieże potężnego kompleksu artystycznego, na tle nocnego nieba jawiące się trzema kontenerowcami na kursie kolizyjnym.

Kwartet smyczkowy, sądząc po niesionych instrumentach, wyminął Elsa, wciąż trzymającego się niepewnie brzegu chodnika. Wszyscy czworo byli z pochodzenia Azjatami i wydawali się nieprawdopodobnie młodzi. Dwaj mężczyźni masowali kciukami czterocalowe ekrany dotykowe. Skrzypaczka zwolniła, przechodząc obok niego.

– Może w czymś pomóc?

Els potrząsnął głową i niezdarnie pokazał zęby w uśmiechu. Chciał zapytać, co ćwiczą. Jednego był pewien: utwór nie pochodził z jego epoki. Te dzieciaki odebrałyby przebrzmiałe manifesty jako nieumiejętne dźganie stępionym ostrym narzędziem.

Zanurkował do kawiarenki na rogu – miejsca popijaw cyganerii jeszcze sprzed czasów, gdy sam pojawił się w mieście. Przesiadywał tam tyśiąc i jeden razy, wykuwając przyszłość amerykańskiej muzyki z tymi, którzy zamierzali wspólnie z nim nadać jej nowy kształt. Wnętrze zmieniło się od a do zet, nazwy nie wyłączając. Jednakże wciąż przepełniali je butni dwudziestolatkowie planujący rewolucję.

Els stał przy ladzie, wpatrując się w menu ciepłych napojów zajmujące całą ścianę. Dziewięć dziesiątych z tego nawet nie istniało, kiedy ostatnio zajmował to samo miejsce. Obecna barmanka prezentowała zdumiewający geometryczny tatuaż, który niczym pasmo Andów biegł od jej karku, pod zielonożółtą obcisłą koszulką bez ramiączek, i pojawiał się znów pomiędzy nerkami, odsłoniętymi przez nisko opuszczoną talię spodni od pizamy ściągniętych sznurkiem. Za czasów Petera nie było na ziemi takich stworzeń. Pomyślał jednak, że przejść przez życie jako chodzące dzieło sztuki to wspaniała rzecz. Poprosił dziewczynę o radę, na co podała mu wywar z korzenia jeżówki.

W mrocznych pomieszczeniach kręciło się parędziesiąt osób. Żadna nie zaszczyciła go spojrzeniem, nie wspominając o rozpoznaniu w nim obłąkanego terrorysty z Pensylwanii. Efekt widza, syndrom Genovese. W tłumie mógł się czuć najbezpieczniej. Zwłaszcza w tłumie młodych ludzi, którzy mieli w zwyczaju z zażenowaniem odwracać wzrok od każdego, kto dał im się przyłapać na starości.

Els znalazł sobie miejsce w rogu i popijał wolno swój dekokt, przysłuchując się wszechobecnemu łomotowi dobiegającemu z głośników.

Stoły były wymalowane w blade scenki jak z porcelany, świadczące o psychozie albo urojeniach artysty. Na blacie Petera dziewczyna przeistaczała się w drzewo. Przy sąsiednim stoliku – prezentującym pulsującą tarczę strzelniczą – dwoje młodych zapalonych Apollinów, po jednym z każdej płci, pochylało się nad partyturą. Peter zaczął podsłuchiwać i podglądać notację, która podobnie jak wszystkie współczesne zakrawała na małe dzieło sztuki drukarskiej. Gdy był w wieku tych dzieciaków, musiałby wydać równowartość czteromiesięcznego czynszu, by sobie pozwolić na tak kosztowny skład. Utwór na orkiestrę kameralną roił się od melodii, jakie każda publiczność nuciłaby, wychodząc z koncertu, i zawierał dostateczną liczbę przemijających dysonansów, aby przekonać słuchaczy, że twórcom nieobce były plotki na temat minionego stulecia.

Nawet mały Darmstadt pośród prerii został skolonizowany przez neoromantyczny wdzięk, do którego powracał cały świat. Kto wydawał te rozkazy? Wszyscy na drugą burtę! Chłopak wskazywał genialne fragmenty kompozycji, a kobieta słuchała pilnie i kiwała głową. Ładniutki utwór rozbrzmiewał w uszach Elsa nawet pośród kawiarnianego zgiełku. Będąc dwudziestopięciolatkiem, uznałby go za mdły i zacofany. Jako siedemdziesięciolatek żałował, że nie napisał czegoś takiego w młodości.

Znienacka, jakby z wewnętrznego embrionu skaczącego po tematach umysłu Elsa, wyklął się sopran solo. *Taka...* Głos niczym wysterylizowana igła. *Mała...* Melodia wiła się przez kontury gamy h-moll harmoniczej, jedno słowo na nutę:

*Taka mała myśl, a przecież potrafi wypełnić całe życie!*

*Taka mała myśl...*[44]

Chłopak przy stoliku obok przerwał analizowanie partytury, zaniepokojony. Po chwili wrócił jednak do notacji trzymanej w rękach. Lecz kobieta, która bez wątpienia miała dzielić z nim łóżko najbliższej nocy, uciszyła go i wycelowała w niebo.

– Co to?!

Jej kochanek zmierzył ją gniewnym wzrokiem i potrząsnął głową. Po dwóch kolejnych taktach odezwał się Els.

– Steve Reich. Ludwig Wittgenstein. *Proverb*.

Chłopak okręcił się do stolika Petera, gniewnie łypiąc na melodię dolatującą z czwartego wymiaru. Kobieta popatrzyła na Elsa i szepnęła:

– Dziękuję.

W chwili gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, zdziwiła się, że poznaje tego całkowicie jej obcego człowieka.

#

Prawdopodobieństwo tego, że moja sekwencja nie przyniesie żadnych skutków biologicznych, było prawie nieskończone. No ale „prawie” robi różnicę.

#

Znów rozlega się sopran, powtarzając tę samą opadającą frazę. Tym razem jednak towarzyszy mu drugi głos, o półtora taktu w tyle. Obie frazy zderzają się i zazębiają, sypiąc iskrami konsonansów i dysonansów oraz wstrząsami wywołanymi przez melodię, która jest niesynchronizowana sama ze sobą. Zgrywają się znów na kwarcie czystej, po której na powrót rozbrzmiewa widmowy sobowtór.

W nocnej kawiarence studenci flirtują, uczą się i surfują. Siedzą na stołkach barowych przy ladzie biegnącej wzdłuż szklanej witryny, każdy z własnym urządzeniem, i sprawdzają, co słychać u podszywających się pod znajomych dziesięciu milionów obcych, jakich mają szanse spotkać w niebie. W wyłożonej poduchami łoży za nimi student inżynierii w puchowej kamizelce i drelichowych spodniach obejmuje głowę rękoma, gdy równania na kanarkowych kartkach notatnika zaczynają mnożyć mu się przed oczyma. Para w odległym kącie płacze. Kobieta siedząca na zapadającej się z miękkości kanapie trzy metry od Elsa wciska nos w książkę oprawną w stare sukno. Barmanka spina włosy z tyłu głowy chińską pałeczką. Z głośników równie dobrze mogłaby lecieć cza-cza, i tak nikt nie słucha. Ale leci utwór z 1995 roku. Układ w Dayton, zamach terrorystyczny w Oklahoma City, atak z użyciem sarinu w tokijskim metrze, odkrycie pierwszej planety pozasłonecznej. Elsowi wydaje się, że wszystko to działo się zaledwie wczoraj, ale inni bywalcy kawiarni wspominają te wydarzenia w niewyraźnych sepiach, jak każdą kronikę filmową.

Rozbrzmiewające echem wersy zwalniają tempo, po czym następuje reprzyza. Kiedyś, wieki temu, przed wprowadzeniem systemu MIDI, mówiło się na to augmentacja. Dwugłosowy kanon przechodzi w trygłos. Całość nabiera chórowej czystości, po czym ponownie szybko ją traci. Plakaty na ścianach, malunki na blatach, ciała skulone w łożach i wyciągnięte na kanapach – wszystko wokół Elsa rozłazi się niczym mokra bibuła. Para przy stoliku obok zamiera w natężeniu. Kobieta ma serce w uszach.

Przestraszony chłopak zastyga w nachylonym przysiadzie: ktoś stworzył coś lepszego niż on kiedykolwiek – w przeszłości i w przyszłości.

Głosy wyrównują się i mieszają ze sobą. Błogość zaczyna zgrzytać. Przeplatające się linie melodyczne dają falę stojącą, dźwiękowy odpowiednik prążków mory. Po czym te pulsujące akordy raz jeszcze zgrywają się na kwarcie czystej.

Znikąd pojawiają się organy i zlewają z trwającą nutą pedałową, podczas gdy dwa tenory kołyszają się nad nimi. Els wygina wargi z niechętnej radości. Akordy, połączone na starożytną modłę, rwą jego krwiobiegom niczym opiaty. Doznaje zawrotów głowy od tej parodii, od tej imitacji Perotinususa, od tych dźwięków prosto ze szkoły paryskiej, z zarania harmonii. Metrum ciągle się zmienia; Els gubi rachubę. Wkrótce nie zawraca sobie głowy liczeniem. Czas traci wszelkie znaczenie, liczą się tylko te niezmiennie zmiany. Sopran rozbrzmiewa echem i wielokrotnieje:

*Taka mała myśl,  
a przecież potrafi  
wypełnić całe życie!*

Bliźniacze tenory unoszą się ponad pomruk organów. Były czasy – równie nieodległe jak rok, w którym powstała ta muzyka – kiedy taka wprawka przydymionej nostalgii oburzyłaby Elsa. Przez lata całe te kanony brzmiałyby w jego uszach niczym najczystszy kicz, któremu trzeba tylko automatu perkusyjnego, miksera i prowizorycznej ścieżki dźwiękowej z rapem, żeby powstał najmodniejszy żrący blend.

Dziś wieczór jednak słyszy w nich nutę rebelii, radykalizmu nawet. Znowu sopran, tym razem *unisono*: tandem serafinów szybujących wzajemnie nad swoimi liniami, teraz jeszcze wolniej, z większymi interwałami, bez jednego oddechu. Wzbijają się wyżej, ponad wibrafon, którego urywany rytm przemienia dłuższe przerwy w podręczną nieskończoność.

Ochrypła kawiarnia – z rykiem przemysłowego spieniacza do mleka dobiegającym od ekspresu do kawy, z brzdękiem kubków i filiżanek dolatującym z zaplecza, ze śmiechami i sloganami wykrzykiwanymi z galeryjki pomieszczenia w głębi – nie potrzebuje jednak wieczności. Połowa klientów ma w uszach słuchawki, druga połowa wykorzystuje tę muzykę – o ile w ogóle – jako ochronę przed ciszą.

Tymczasem kanony w unisonie wznoszą się wyżej. Ponad przewodnikami

wibracjami odzywają się głosy. Interwały raz po raz doprowadzają do brutalnych dysonansów. Te kolizje zaczynają przypominać *requiem* dla zakończonych właśnie tysiącletnich poszukiwań nowych harmonii. Dźwięki wydają się elegią dla owych marnych dziesięciu wieków, w których pieśń religijna stała się melodią, melodia zakwitła harmonią, a harmonia zaczęła przekraczać wszelkie granice w odważnych najazdach na to, co zabronione. Ów nowatorski utwór zatoczył koło i powrócił do korzeni *ars antiqua*. I znowu *organum*: odgłosy możliwości, gdy już są przetarte szlaki.

Dziewczyna przy pobliskim stoliku pochyła głowę nad zeszytem zapełnionym symbolami. Oplata kubek palcami jak przy ognisku, grzejąc się ciepłem pary. Uwalnia jedną rękę, aby fluorescencyjnym markerem zaznaczyć istotny wzór. Chwyta kubek i upija łyk, głucha na szalony pęd zachodniej muzyki, która zbyt szybko przeszła od skali doryckiej do Briana Burtona. A jednak kiwa głową do zmieniającego się rytmu, nieświadoma tego że robi na niej wrażenie coś, czego nawet nie słyszy.

Przez szum dziesiątek kontrapunktowanych rozmów, ponad niezmordowane dźwięki wibrafonu przebijają się głosy śpiewaków, powtarzających na coraz wyższą nutę:

*Taka mała  
myśl,  
a przecież  
potrafi wypełnić  
całe  
życie!*

Słowa falują i oddychają. Els widział, jak przeskakują z tekstu do tekstu na przestrzeni dwóch i pół tysiąca lat – od Antyfonta z Aten i *Ścieżek prawdy Buddy* aż do ukochanego przez Maddy trapisty Mertona. Sam dał im oprawę muzyczną, stukając przez całe życie do drzwi tej najmniejszej myśli i nigdy nie zostając wpuszczonym do środka. Chciał zostać chemikiem, przyczynić się do rozwoju użytecznej ludziom wiedzy. Chciał odwdzińczyć się swej pierwszej miłości, tej, która nauczyła go słuchać. Chciał zwiedzić świat z żoną, zestarzeć się u jej boku, lecz opuścił ją po parunastu latach. Nie śmiał pragnąć mieć dziecko, ale dochował się córki i przez jakiś czas żył jedynie po to, aby robić z nią wspólnie różne rzeczy. Później dorastała półtora tysiąca kilometrów od niego, widując go wyłącznie w wakacje, ze zgarbionymi ramionami, czujnymi oczyma i włosami wystrzępionymi za każdym razem

inaczej, i nieprzerwanie czując żal do tej małej myśli, która tak go zaabsorbowała na całe życie.

Z wibracji wyłaniają się klastery. Utwór trwa już dwa razy tyle, ile każda szanująca się piosenka, ale nadal nie słysząc, aby miał się szybko skończyć. Ktoś przy stoliku obok rzuca:

– Zabierajmy się stąd.

Gdy Els zwraca tam spojrzenie, chłopak celuje zrolowaną partyturą w sufit i dodaje:

– Nie słyszę własnych myśli.

Kobieta, którą straci, lecz której nigdy nie zapomni, uśmiecha się z wahaniem. Chłopak wstaje i wkłada płaszcz, już w połowie drogi do wyjścia. Jego przyjaciółka zwleka z zarzuceniem plecaka na ramię. Els obserwuje ich, schwyty w sidła splecionych linii melodycznych. Widzi wyraźnie – po sposobie, w jaki kobieta podąża śladem swego ukochanego do bocznych drzwi – że z chęcią zostałyby dłużej, przeczuwając rychłe ujawnienie tysiącletniego sekretu.

W progu odwraca się jeszcze, zdziwiona, że utwór nagle staje się taki radosny. Przechwytuje spojrzenie Elsa i marszczy czoło. Peter unosi dwa palce i ukradkiem macha. Kobieta odwzajemnia gest, nieco zaskoczona, i pozwala się połknąć mrokowi na zewnątrz. W chwili śmierci też będzie pragnąć tego, co nienazwane. Porzucony przez nią chłopak spędzi resztę życia na próbach odtworzenia tej nocy. Kilka kroków dalej oboje poczują się oszołomieni i starzy.

Za witryną wschodzi miedziany księżyc. Zawisa nad horyzontem cztery razy większy, niż powinien być. Coś jakby pięść przemyka na tle czerwonej tarczy: to nietoperz, polujący za pomocą echolokacji, porusza się tak nerwowo, że jego trasa wydaje się przypadkowa.

Zmiana barwy przyciąga jego uwagę z powrotem do muzyki. Po długim fragmencie i krążeniu wokół tego samego dźwięku nagłe przejście do es-moll sprawia wrażenie grzmotu z jasnego nieba. Wittgensteinowska mała myśl umyka w niespodziewane rejony. Elsa przechodzi prąd: ten jeden drobny zwrot zmienia wszystko. Zwielokrotnione głosy, które ściagały się jeszcze niedawno po szerokim rozlewisku, teraz gwałtownie zawracają w górę strumienia.

Inwersja, najstarsza ze znanych sztuczek. A jednak robi na Elsie wrażenie niczym naga prawda. Sopran jeden po drugim wbiegają na kosmiczne

schody, wynoszone coraz wyżej przez szarpiące wibrafony. Frazy skracają się i zwalniają tempo, zupełnie jak eksperyment myślowy Einsteina traktujący o pociągach i zegarach, w którym Els odwiecznie grzązł. Dźwięki prowadzące zderzają się, oddalone od siebie tylko o półton między skalą minorową eolską a harmoniczną. Jakim cudem te proste, pulsujące linie melodyczne tworzą takie napięcie, skoro donikąd nie biegną?

Głosy przechodzą w akordy, na przemian pełne nadziei i nie do zniesienia. Peter podnosi znowu spojrzenie, jednak muzyka nie uczyniła na tych wnętrzach większego wrażenia niż śmierć człowieka po drugiej stronie kuli ziemskiej. Dziewczyna z książką w płóciennej oprawie zagląda na dno kubka, usiłując się doszukać dowodów tego, że ktoś skradł jej cappuccino. Studenci z telefonami siedzący przy ladzie pod oknem nadal robią, co robili. Barmanka flirtuje z pomywaczem, Latynosem z kucykiem do łopatek. Inżynier w drelichach i puchu śpi jak niemowlę, z twarzą przyciśniętą do kanarkowego notatnika.

Jąkanie wibrafonów się nasila. Els znowu ma kłopot z pilnowaniem metrum. Narastająca motoryka mutuje, przechodzi metamorfozę, przeistacza się z jednej sieci krystalicznej w drugą i kolejną, aż w końcu przybiera od tego ciągłego nacisku postać diamentu. Trzy wysokie głosy wznoszą się, splatając miarowo tercjami małymi w trzygłosowy kanon:

*Taka  
mała  
myśl,  
a przecież...*

W tym momencie powracają śpiesznie równoległe tenory. Na przemian słycać wieki XX i XXI, rywalizujące ze sobą. I te dwa szerokie strumienie wpływają razem do otwierającego się przed nimi morza.

Ów obraz oceanu, w szóstej minucie utworu, trwa nie więcej niż kilka wydłużonych taktów. Gdy chwila chwały przemija, Els zostaje ponownie wyrzucony na brzeg w tym samym miejscu: przybysz z przyszłości, który przeniósł się w przeszłość, by podglądać samego siebie w młodości. Siedzi tu, lata za późno, wszystko już wiedząc. Muzyka okazała się dokładnie tym, czym według innych miał pogardzać. Wszyscy jego koledzy kompozytorzy rozproszyli się w podmuchach zmieniających się mód. Jednakże młodzi nadal tu są, nadal gorliwie poszukują transcendencji, nadal są gotowi prehandlować Nowe za coś, co wytrzyma trochę dłużej...

Za szybą nietoperz zawisa nieruchomo na wprost zastygłego księżyca. Zanim Els zdąży stwierdzić, że musi mieć kłopoty ze wzrokiem, nietoperza już nie ma. Sopran zaś ponownie wzbiera:

...potrafi  
wypełnić  
całe  
życie!

Wydaje się, że słowa, choć krótkie, wiszą w powietrzu niczym nietoperz przed chwilą. Moment zawahania, zachwianie między nutami. Czy to d chce przejść w b-moll jak na początku? Czy ta droga prowadzi do es-moll, czy raczej zapowiada przeskok do czegoś rozleglejszego? Znow pojawia się zakręt; sopranowe es, po którym zaraz następuje dźwięk o pół tonu niższy. Elsa zalewa falą poczucia straty, echo czegoś, co się powiedziało i czego nie da się już cofnąć.

Pogrążone w mroku wnętrze – malowane stoliki, zapuszczone kanapy, lada przy oknie, zagłębienie dla wykonujących *moshing*, łoże z cielistymi lampkami – wypełnia się na oczach Elsa ludźmi wszystkich pokoleń. Peter wyczuwa stulecia kawiarnianych debat, tysiączne życia spędzone na dążeniu do perfekcji. Słyszy to muzyczne przeciąganie liny, które będzie trwało w najlepsze nawet po tym, gdy ostatnia debata dobiegnie końca... Czuje obecność dwudziestoletnich twórców piosenek, zmarłych, zanim on się tutaj pojawił, oraz ich chętnych następców, mających się narodzić dopiero za setki lat: rozmawiają jedni z drugimi przy wtórze nieustających kanonów i stopniowo zmieniających się harmonii utworów stworzonych przez przyszłe młode pokolenia.

Kolejna modulacja i duchy znikają. Els pragnie, aby ten utwór wreszcie się skończył. Nie z powodu przejmującej monotonii – jednostajność jest właściwie dla niego teraz ratunkiem. Z powodu fali powiązań rozbłyskujących mu w najciemniejszych zakamarkach umysłu. Choć powinien być mądrzejszy, to jednak przez te wirujące skondensowane chwile uniesienia, tę kaskadę ech, te abstrakcyjne wzory pozbawione znaczenia, tę łatwość oddychania, przez to wszystko czuje – jeszcze raz – że jest mu pisane stworzyć coś wielkiego.

W jedenastej minucie – do wtóru nieprzerwanie dominującej nuty pedałowej organów i zaczynającej się chrypki tenorów – kompozycja przedziera się na otwartą przestrzeń. Trzy sopranu zwalniają tempo do tego



stopnia, że wiadomość, którą przekazują, znajduje się na granicy słyszalności.

T  
a  
k  
a  
m  
a  
ł  
a  
m  
y  
ś  
l

Każda zmiana tonacji przepływa przez rozchwianą linię tenorów. Opadająca figura melodyczna dosięga ziemi i unosi się z powrotem. Tenory i sopraną przenikają się wzajemnie. Kanon i *organum* nareszcie się zlewają. Obie połówki tego warkocza splatają się gładko pomimo ośmiowiekowej różnicy i teraz nagle staje się jasne, że obydwie zostały stworzone tylko z tą jedną myślą.

Utwór jednak trwa w dalszym ciągu, jego dźwięki to jakby bakterie rekombinowane. Nuty kondensują się rozżarzone. Zmieniająca się harmonia rozplómienia starczą głowę. Poszczególne jej warstwy puchną i łuszczą się, dzielą i mnożą, zderzają i wybuchają, wypełniając zbyt małe dla nich życie.

W łoży niecałe dwa metry dalej siedzi łysiejący student pod trzydziestkę i znad srebrnego laptopa przygląda się Elsovi. To jeden z tych cierpiących na zespół Aspergera geniuszy, którzy przyjeżdżają, by studiować ekonomię polityczną, a zostają na stałe, do końca życia pakując zakupy w supermarkecie. Mężczyzna mruży oczy za lennonkami, przypatrując się badawczo Peterowi, spuszcza głowę i wklepuje coś na klawiaturze.

Chwilę później znów zerka ukradkiem. Rzut oka na Elsa, rzut oka na ekran. Może to nic nie znaczy – Peter utracił zdolność oceny sytuacji. Wstaje i zaczyna iść przez salę w stronę baru, gdzie składa się zamówienia. Jest to tylko manewr mający odwrócić uwagę obserwatora. Po drodze, odwrócony plecami do łysiejącego trzydziestolatka, dochodzi do siebie i postanawia skierować się w stronę drzwi wyjściowych. Gdy idzie, przebrzmiewa

ostatnia, piętnasta minuta utworu Reicha. Głosy, które falami wylewały się z kawiarnianych kolumn, milkną. Jednakże Els nie staje, skręca tylko, mija bufet z nabiałem, odrywa się od kontuaru i lawirując między gęsto ustawionymi zajętymi stolikami, wychodzi na zimne powietrze.

Truchta do fiata z pochyloną głową, czując na sobie spojrzenia. Usiadłszy za kierownicą, przypomina sobie, gdzie jest. Dwieście metrów dalej na południe znajduje się budynek wydziału, w którym niegdyś praktycznie mieszkał. Po minucie stoi przed Gmachem Sztuki Stosowanej z wizerunkami Bacha, Beethovena, Haydna i Palestriny na frontonie. Palestrina nie wzbudza już takiego śmiechu. Teraz to raczej Haydn wydaje się śmieszny. A po kolejnym stuleciu, kto wie? Instynkt stadny może sprawić, że do reszty nie będzie pasował Bach.

Peter obchodzi budynek, by wejść na rozciągający się za nim duży trawnik, a konkretnie: dotrzeć na miejsce przecięcia dwu jego ścieżek, gdzie niegdyś – w innym życiu – w pewną śnieżną styczniową noc u zarania dziejów usłyszał od drugiego młodego mężczyzny:

– Coś mi mówi, że połowa problemów by zniknęła, gdyby jeden z nas miał pochwę.

Materializują się naprzeciwko niego: jego przyjaciel, jego żona, jego córka. Osoby, które go kochały, które wierzyły, że dokona wielkich rzeczy. Spowity kwietniową mgłą oddaje się wspomnieniom. Pragnąłem tylko powołać do istnienia jeden drobny dźwięk, który by was wszystkich zachwyił. *Taka mała myśl. Taka mała myśl.*

Zatrzymuje się na linii przecięcia i patrzy przed siebie, na mającą perspektywę dożywocia. Może dotrzeć do krańca swych dni w więzieniu jako wróg publiczny, muzyczny Unabomber, piętnowany i wyśmiewany za akt czystej ciekawości. Albo może zacząć wszystko od nowa.

W mroku mijają go pojedynczy studenci, świecąc telefonami komórkowymi. Polityczny ekonomista cierpiący na zespół Aspergera na pewno zdążył już zgłosić miejsce jego pobytu. Ktoś wytropił pensylwańskie tablice rejestracyjne i zasadził się na jego samochód. Jednakże przez krótką chwilę Peter Els pozostaje niewzruszony. Został stworzony do życia w biegu, skazany na nie cztery dekady temu. Coś zmusiło go do powrotu tutaj, *da capo*, po tylu latach. Stworzony dla sztuki... dla pamięci... dla poezji... dla zapomnienia.



Recepcja i jadalnia są puste, gdy schodzi do hallu nazajutrz przed świtem. Zostawia klucz na ladzie. Zdąży pokonać prawie sto kilometrów autostradą numer 72, zanim sam przed sobą przyzna, dokąd jedzie.

#

Wyłącznie nieszkodliwe prace są jałowe, a bezpieczny słuchacz to martwy słuchacz.

#

Jego muzyka zmieniła się podczas lat spędzonych w głuszy. Był otwarty na motywy, które jeszcze przed paroma laty uważał za zagrożenie: minimalistyczne, ale o maksymalnej sile przekazu. Wiodący synkopowany rytm przeplatał ekstatycznymi liniami melodycznymi, jakby tuż za rogiem czaiło się coś bezprzykładnego. Od czasu do czasu grano jego utwór w Nowym Jorku albo za granicą. Przed końcem globalizujących lat osiemdziesiątych Els wyrobił sobie coś, co w przyćmionym świetle nowych, przypominających krypty sal koncertowych zakrawało zgoła na renomę.

Pewnego wieczoru, wyciągnięty na fotelu bujanym w bibliotece, zrobiwszy sobie przerwę w lekturze na temat średniowiecznych heretyków, dostrzegł na okładce jednego z czasopism artystycznych, wystawionych na długim na całą ścianę regale, puciołowatą twarz wystającą z kołnierzyka batikowej koszuli. Linia włosów uległa erozji, a komiczne, niebieskie wielkie okulary nadawały całej fizjonomii wygląd karykatury profesora. Mimo to oblicze kpiące sobie z Elsa z drugiego krańca sali bibliotecznej było mu znane jak własny wstyd.

Peter przeciął pomieszczenie jak w transie i otworzył czasopismo na artykule, do którego odsyłała okładka. Przebiegł wzrokiem tekst.

*Żywiłowe porywy Bonnera jako nieliczne z ciekawostek tego sezonu okazały się na tyle wybitne i surrealistyczne, aby konkurować z najważniejszymi newsami roku... Jego zwracające uwagę, zmuszające do podrygiwania nogą kompozycje zdobywają tańcem plac Tiananmen, uwalniają z oków kraje nadbałtyckie i siadają okrakiem na rozwalanym murze berlińskim, zanim większość z nas w ogóle zdała sobie sprawę z tych wydarzeń.*

Lista osiągnięć Bonnera jawiła się Peterowi jakąś satyrą. Odświeżony musical Gershwin *Oh, Kay* z handlarzami narkotyków z Bronksu w miejsce

przemytników alkoholu z czasów prohibicji. Importowany *Kserkses Händla*, prosto z Ugandy Idiego Amina. Owiane aurą skandalu podczas festiwalu Glimmerglass fantasmagoryczne przedstawienie *Makbeta* Verdiego z postaciami Nancy i Ronalda Reaganów. Zwariowane balety z występującymi w rolach głównych irańskimi rewolucjonistami, prężącymi niezłomne grzbiety, i zakamuflowanymi sandinistami – przedobrzoną kalejdoskop uniesień i katastrof. Podany dużą czcionką tekst w ramce cytował Richarda: „Prawdziwa sztuka musi prowokować plotki”. Wszystko wskazywało na to, że wypłynął właśnie dzięki tej mądrości.

Nie wierząc własnym oczom, Peter przekopywał się przez biblioteczne zasoby, odkrywając kolejne wzmianki prasowe o Richardzie Bonnerze. Może dlatego kilka miesięcy później, w początkach następnego roku, pojawienie się Bonnera na podjeździe przed jego domem wydało mu się tylko jeszcze jedną zdumiewającą sztuczką teatralną. Diatryba rozpoczęła się z odległości dwudziestu metrów.

– Jak ktoś ma tutaj, do kurwy nędzy, trafić? Brakuje numerów domów. Brakuje nazw ulic. A ty mieszkasz w odrestaurowanym kurniku!

Els stał na progu obłożonego domu. Bonner podbiegł do niego kłusem i zmiądzzył go w niedźwiedzim uścisku. Wyczałował dawno niewidzianego przyjaciela na rosyjską modłę. Potem zaś wepchnął z powrotem do środka.

– Spójrzcie tylko! Cuda! Prąd, bieżąca woda, meble. Jestem załamany, maestro, serio. Sądziłem, że to będzie prawdziwa dzicz.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał Els. – Skąd wytrzasnąłeś mój adres?

Bonner wykręcał mu głowę na wszystkie strony.

– Hm... Ta fanaberia chyba ci służy...

Els mu się wyrwał.

– Uznałeś, że możesz wpaść bez zapowiedzi po sześciu latach? Właściwie siedmiu?

Bonner zrobił obrażoną minę i opuścił ręce.

– Chyba tak.

– Pamiętasz, co mi ostatnio powiedziałeś?

– Ej! Nie słyszałeś o przedawnieniu?

– Powiedziałeś, że tworzę gównianą muzykę i na nic lepszego mnie nie stać.

– Wiem. Świnia ze mnie, co nie?

Bonner odwrócił się i zaczął zwiedzać wnętrze. Podniósł i powąchał

kłodę do kominka. Przejechał palcem po grzbietach Elsowych książek. Wyrzwał za okno na niewidocznego złoczyńcę. Zdążył przybrać na wadze jakieś piętnaście kilo.

– Miałem udaną podróż – oznajmił. – Przez pięć godzin doszkaląłem się w hip-hopie z Zachodniego Wybrzeża.

Przestał się kręcić, wrócił do Elsa i umieścił oba łokcie na jego barkach.

– Chciałbyś przyłożyć rękę do zrujnowania mojej kariery?

– Rozumiem, że jednak zostaniesz na obiedzie – odparł Els.



Peter podał się z wody. Richard przytargał z samochodu butelkę malbeca, naręczę suplementów diety i relację z przeprowadzonego ostatnio przewrotu. Els słuchał monosylabami.

– Wygląda na to – opowiadał Richard – że miejska opera chce zamówić kawalek na sezon roku dziewięćdziesiątego trzeciego.

Els musiał się roześmiać i zrobił to.

– Wiem, wiem – potaknął Bonner. – Nie do wiary, co? Taki zaszczyt spotyka prawdziwych artystów, a nie punkowych cyganów.

– Brawo, Richardzie. Wybiłeś się w końcu. Co to będzie?

– Ty chyba nie słuchasz, baranie.

I nagle Els zaczął słyszeć. Zarząd opery uznał, że pewniak ikonoklasta o reputacji Bonnera samą kontrowersją zdoła podnieść z kolan podupadającą salę koncertową. Richard dostał wolną rękę przy wyborze libretta i mógł samodzielnie znaleźć kompozytora.

– Powiedziałem, że chcę ciebie. Ich zdaniem odbiła mi szajba.

Els odezwał się dopiero, gdy przełknął kęs siei.

– Całkiem słusznie.

– No ale płacą mi za bycie szajbusem. Na tym polega całe piękno, rozumiesz?

Zapadła noc. Na zewnątrz, powyżej uporczywie palących się świateł miasteczka, ciemniały góry. Szop intruz tupał po dachu. Kilometr dalej śpiewała sowa.

– Nie każ mi prosić – rzucił Bonner.

– Czy kiedykolwiek do czegokolwiek cię zmusiłem?

Bonner odchylił się na drewnianym krześle, opierając szyję na górnym szczębłu.

– Coś się stało. Zabawa straciła swój powab. Sam siebie oszukuję. Łamię zasady. Odkręcam kurek i wylewa się odrobina przewidywalnego, wystylizowanego gniewu.

Els zbierał naczynia po obiedzie, zastanawiając się nad problemem, jakby to było hasło niedzielnej krzyżówki.

– Nie sądzę, abym miał na to radę.

Richard uwięził jego nadgarstek.

– Nie pogrywaj ze mną, draniu. Chcesz, żebym powiedział, jak bardzo cię potrzebuję?

Els uwolnił nadgarstek z kajdan, usiadł i przyłożył do warg złączone w piramidkę palce.

– I nie zgrywaj przede mną Buddy – dodał Bonner. – Przecież nie zapomniałeś. Kiedyś byliśmy odkrywcami. Odsłanialiśmy prawa natury. Pracowaliśmy dla Boga, ty i ja. A ci, którym się to nie podobało, mogli się iść zbawić.

Z tego, co pamiętał Els, żaden z nich nie wiedział wtedy wiele o Bożych gustach. Jednakże przemilczał to i słuchał dalej.

Bonner zaczął komponować fantazję na użytek jednego widza.

– Cała planeta dostała konwulsji. Ale ten kraj drecze w kółko w rozdętym, na wpół przezroczystym, przetykanym antydepresantami i napędzanym MTV kokonie. Sami gracze i imprezowiczki. A ja, kurwa, nie tworzę sztuki. Zapewniam tylko kolejną przyjazną użytkownikowi dawkę rozrywki tym, których nudzą spektakle pokazywane między połówkami meczów...

– Szukasz – przerwał mu Els.

Bonner spojrział na niego, zaskoczony wnikliwością tego stwierdzenia.

– Rozpaczliwie – przyznał.

– Ale nie wiesz czego.

– Przeciwnie. Wiem doskonale. Chcę, żeby ludzie otrząsnęli się ze złudnego poczucia bezpieczeństwa.

– I uważasz, że ja mogę ci w tym pomóc.

– Nie znam nikogo innego, kto by szukał jeszcze rozpaczliwiej niż ja. Popatrz tylko na siebie! Nie bałeś się przyłożyć zapalniczki do dotychczasowego życia. Komponujesz, nie przejmując się tym, czy ktoś wysłucha twoich kompozycji.

Els nie sprostował tego, że jedno i drugie to nieprawda. Wstał i zaniósł

brudne naczynia do kuchni. Wrócił z dwoma pojemnikami lodów i dwiema łyżkami. Bonner wyrwał mu jedną łyżkę i zabrał się do pałaszowania z obu pojemników naraz. Els przyglądał się temu, myśląc sobie, że ten człowiek być może nadużywa jakiegoś środka na receptę.

Powiedział:

– Brakuje ci empatii, Richardzie. Dlaczego miałbym chcieć znów przez to przechodzić?

Bonner kiwał głową, zawzięcie atakując lody łyżką. Profilaktycznie zgadzał się z każdym słowem przyjaciela.

– Dlatego, że swoje najlepsze dzieła stworzyłeś wspólnie ze mną.

– Masz nie po kolei w głowie, Richardzie.

– Też mi nowina. – Bonner uniósł łyżkę w powietrze i zaśpiewał: – *News, news, news, news, news, news has a... has a... has a kind of mystery...!*

[45]

– O co więc chodzi? Jesteś ukrytym gejem? Na tym polega twój wielki sekret?

Bonner zamachnął się łyżką niczym floretem.

– Odpierdol się. Gej, niegej: kto wymyśla te etykiety? Kogo da się tak łatwo zaszufładować?

– Cierpisz na jakąś manię?

Bonner ponownie zanurkował do pojemnika.

– Mania? A co to w ogóle jest? – Zaczął wyławiać orzechy z topniejącej kremowej masy. – Człowiek albo jest głodny, albo nie żyje. Subtelniejszych kwestii nie łapię.

Els znowu przeszedł do kuchni, żeby wstawić czajnik i zalać naczynia w zlewie gorącą wodą z detergentem. Jakiś duży ssak buszował w śmieciach na tylnej werandzie. Nie przejmował się tym. Kiedy wrócił do pokoju z herbatą, Bonner w dalszym ciągu przypuszczał frontalny atak na topniejące w coraz szybszym tempie lody. Złapał więc drugą łyżkę, żeby zdążyć chociaż skosztować. Oparł się na łokciach i zaczął dziobać waniliowo-orzechową kulkę, jak gdyby dyrygował pchłą orkiestrą.

– Ilekroć razem pracowaliśmy, kończyło się na tym, że mnie obrażałeś.

– Serio, zawsze? Daj spokój. Opowiadasz bzdury.

Els cisnął łyżkę na drugi koniec pokoju i wstał. Bonner chwycił go za rękę.

– Peter... Ja tak muszę. Wszystko, co niesie zadowolenie, mnie

zniesmacza. Muszę nieustannie.

Els usiadł i złożył dłonie na kolanach. Wpatrywał się w mały biały stół kreślarski w pokoju obok. Richard podążył spojrzeniem w tamtym kierunku. Niczym żuraw chińskie niebo na landszafcie, głowę Elsa przecięła myśl. Podniósł jedną dłoń z wyprostowanym palcem, po czym zniknął. Wrócił po paru minutach z kwadratem naddartego kartonu.

Bonner obrócił karton w rękach.

– Co to ma być? Jakies dzieło sztuki konceptualnej?

Els czekał. Proces przypominania przebiegał wolno.

– Jezu... Chyba żartujesz. Zachowałeś to...? – I Bonner zaczął się śmiać, histerycznie, pod wpływem stresu. – A nie mówiłem, że ty jeden bijesz na głowę moje szaleństwo? – Spowaźniał, popatrzył na Elsa, mrużąc oczy.

Els odpowiedział tym samym.

– Jak zamierzasz wcisnąć tym z Nowego Jorku nieznanego kompozytora?

– Już im zapowiedziałem, że z nikim innym nie będę pracował. Zamknij się już i zróbmy coś wreszcie.

Pociągnął Petera przez podjazd, na którego końcu zostawił wóz z wypożyczalni. Następnie razem przejechali półkilometrowy odcinek drogi prowadzącej lekko pod górę, pod samą chatę. Richard wysiadł i wyjął z bagażnika dwie pękające w szwach zielone torby z uszami. Jedną podał Elsowi. Peter długo patrzył na zabytkowe wyposażenie wojskowe z wypisanym skomplikowanym polskim nazwiskiem.

– Wprowadzasz się?

– A co, przeszkadza ci to? No dalej, maestro. Może byś mi tak jednak pomógł?

#

Tak, jestem winny zabawy w Boga. Tylko że tysiące takich istot zostały już stworzone, a kolejne miliony pojawiają się niebawem.

#

Idąc do kuchni nazajutrz rano, Peter zobaczył, jak Bonner w pokoju wykonuje ciosy i pchnięcia. Pomyślał, że w nocy zakradła się kominem kolejna wiewiórka i że teraz Richard stara się ją przegonić. Bonner drobił przez chwilę w miejscu jak przyparty do muru wilk, by nagle rzucić się niezdarnie do przodu. Wyglądał jak nastolatek odstawiający figury dyscypliny sportowej wymyślonej na własny użytek. Els zdusił niepewny



śmiej podszyty strachem. Richard tworzył. Naśladował. Powiedzmy, że tańczył.

W tamto przedpołudnie spakowali kanapki i w śniegu sięgającym im do pól łydki poszli w góry. Els spodziewał się, że Richardowi zabraknie tchu już po dwudziestu minutach, ale jego przyjaciel okazał się twardszy, niż sobie wyobrażał. Nawijał przez bite dwie godziny marszu pod górę, parując słowami prosto w styczniowe powietrze. Wyjaśniał, czego oczekuje od tej opery. Przez całe życie unikał fabuły, ale teraz ku swemu wielkiemu zdziwieniu pojął, że być może nadeszła pora uciec się do narracyjnej opowieści, jakiej pragnie większość ludzi.

Els podsunął pomysł biografii. Życie i twórczość Thomasa Mertona – mistyka kontemplacyjnego, który zainspirował miliony swymi przemyśleniami na temat wewnętrznej boskości, aczkolwiek nie utrzymywał żadnego kontaktu z rodzonym nieślubnym dzieckiem. Bonner odrzucił ten pomysł, nie podając powodu. Wtedy Els zaproponował osobę chemika Gerharda Domagka, który testował swój nowo odkryty lek z grupy sulfonamidów na własnej umierającej córce, trafił do aresztu Gestapo za zdobycie Nagrody Nobla, a w końcu zaczął sprzyjać nazizmowi.

– Skąd ty to wszystko bierzesz? – zainteresował się Bonner.

– Kiedy człowiek mieszka sam, ma dużo czasu na czytanie.

Bonner przedzierał się przez zaspy, zamyślony. W końcu powiedział:

– Żadnego czułościowego człowieczeństwa. Spójrzmy prawdzie w oczy, maestro: gównem wiemy o byciu istotą ludzką. To nie nasza bajka.

Richard wiedział tylko, że pożąda czegoś o ogromnym rozmachu – szukał historii, która by porwała wszystkich aktorów na fali wspólnego przeznaczenia. Czegoś, co by zgruchotało publiczność. Czegoś iście epickiego.

– Dramat historyczny – rzucił Els. – Ludzie toczący wojnę z rzeczywistością.

– To jest to! – ucieszył się Richard. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć!

Pośród śniegu, kontrapunktowane długimi przerwami w rozmowie, nabierały kształtu niesprecyzowane zachcianki Bonnera. Els przysłuchiwał się, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Poprowadził ich na występ skalny z widokiem na przełęcz Crawford Notch. Stali, na zmianę popijając prosto z termosu gorący rosół z makaronem. Wąska rozpadlina olśniewała,

spowita śniegiem. Peter zachęcał Richarda do podziwiania, ale jego absorbowano co innego.

– Może eksplozja Challengeera – wysunął propozycję. – Nie, zgoda, masz rację. No to może upadek któregoś z tych europejskich mocarzy? Ceaușescu. Albo Honeckera.

Po jeszcze paru łykach zupy i półtuzinie kolejnych sugestii – Jonestown, Czerwone Brygady – Bonner zaczął przejawiać niepokój.

– Ja tu konam, stary. A ty nic.

– Mówimy o ekstazie – skonstatował Els. – O transcendencji.

– Czy to zbyt wiele?

– Mówimy o prawdziwej operze.

Bonner pokiwał głową.

– O najprawdziwszej, z wszystkim szykanami, cholernej operze, sto lat po jej zgonie. A jednak ty utknąłeś między nagłówkami gazet.

Te słowa były dla Richarda niczym objawienie.

– Jezu, tak. Utknąłem w przeklętych nagłówkach.

– Teraźniejszość trzyma cię w śmiertelnym uścisku. Podczas gdy tobie jest potrzebna Wieczność.

– Maestro – odezwał się Bonner nieśmiało, odkładając termos. – Zamieniam się w słuch.

Els przeniósł spojrzenie na dziewiczy krajobraz.

– Zapomnij o bieżącej polityce. Sięgnij po coś dawnego, obcego, niezwykłego.

– Mów dalej – rozkazał Bonner. I Els go usłuchał.

– Zajęcie Münsteru w 1534 roku.

Bonner zawiesił dłonie nad ulatującą z termosu parą i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Posłuchajmy, co tam masz.

Zwinęli obozowisko i ruszyli w drogę powrotną. Zanim dotarli do samochodu, od nowa się rozpadało i zdążyły zapaść ciemności. Jednak do wtedy obaj byli już głęboko pogrążeni w szczegółach, niepomni na upływ czasu. Kiedy znaleźli się w chacie, Bonner padał z głodu. Pomimo to odmawiał obiadu do chwili, aż Els skończył opowiadać.

Peter odesłał go do łóżka ze stosem książek. Richard czytał przez całą noc i spał potem do południa. Mimo późnej pory uparł się odbębnić pokraczny trening przed rozpoczęciem dnia na dobre. Potem razem zasiedli

do szkicowania trzyaktowego libretta.

Kończąc szkic dwa dni później – z zaczerwienionymi oczyma i szpakowatym zarostem – wyglądali na parę proroków własnej obłąkanej sekty.

– Nosilem to w sobie – mówił Bonner, stukając w ryzę papieru i kręcąc głową. – Właśnie tego szukałem, zanim sobie uświadomiłem, czego szukam.

Wciąż potrząsał głową, gdy pakowali samochód.

– To jest to – powtarzał. – To jest to... Euforia kontra władza. Cholerstwo jakby skrojone na nasze potrzeby. Skąd ty to w ogóle wytrzasnąłeś?

– Przecież wiesz. Jak się mieszka samemu...

Ubrani w pękate puchowe kurtki stali obok wypożyczonego wozu, planując spotkanie po miesiącu, kiedy Bonner zdąży już naświetlić sprawę dyrekcji opery. Bonner chciał rozpisać roboczą wersję libretta samodzielnie. Korzystając ze źródeł historycznych, był w stanie to zrobić w kwartał. Els zapewnił go, że musi zająć się muzyką na długo przed tym, zanim pozna pierwsze słowa.

Richard wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Rura wydechowa wypuściła pióropusz dymu w czyste powietrze. Reżyser wygramolił się z wozu i złapał kompozytora, jakby nadal byli młodymi ludźmi.

– Peter? Dziękuję.

Els zbył go machnięciem ręki. Potem stał, patrząc za samochodem oddalającym się wysadzaną drzewami drogą. Gdy wóz zniknął mu całkiem z oczu, wrócił do chaty i do utworu, nad którym pracował od wielu miesięcy. Na stertach papieru nutowego piętrzących się na jego stole kreślarskim widniały setne przymiarki do pierwszego aktu tej samej opery, którą obaj mężczyźni dopiero co wymyślili.

#

Życie ma to do siebie, że pozostawia swoje kopie.  
I muzyka, i wirusy podstępem zmuszają swego gospodarza do  
tego, aby skopiował je za nich.

#

W ciągu dwu pierwszych godzin od wyjazdu z Champaign radio mówi o nim dwukrotnie. Rzecznik rządu ogłasza, że naukowcy starają się stwierdzić, czy bakterie znalezione w domu Petera Elsa, tak zwanego Bacha bioterroryzmu, rzeczywiście zostały poddane modyfikacji genetycznej. Els

czeka, aż ktoś powie, że szczep, który zabił pacjentów w Alabamie, nie był jego. Tymczasem powracający na antenę spiker mówi – w następnym punkcie bakteriologicznych wiadomości – że wybuch groźnej epidemii *E. coli* w Niemczech może mieć coś wspólnego z zanieczyszczonymi hiszpańskimi warzywami.

Za oknami fiata zaczynają się zielenić ciągnące się kilometrami pola uprawne. Nic w tym surowym pięknie nie wskazuje na to, aby krajowi cokolwiek groziło. Jednak w audycji o dziesiątej przed południem, nadawanej równocześnie na kilku kanałach, Els dowiaduje się z wywiadu, co takiego rozpętał.

Tematem programu są zagrożenia garażowej genomiki. Prowadzący zaczyna od wyliczanki:

- Zwiększona liczba przypadków śmierci szpitalnej. Skażenie produktów żywnościowych w kilku krajach. Domorosły inżynier genetyk zajmujący się śmiertelnościami mikrobami wciąż na wolności.

Słowa dolatują Elsa jakby z daleka, niczym te zsampłowane, poszatkowane, zapętlone i scalone od nowa melodyczne patchworki, które są znów na topie, choć od ich wynalezienia minęło pół wieku.

- Czy powinniśmy się bać? – rzuca pytanie prowadzący audycję.

I prosi o odpowiedź pisarza z Kalifornii, którego książkę na temat rosnącego zainteresowania amatorską mikrobiologią Els dobrze zna. Pisarz mówi, że takich naukowców pracujących we własnych garażach są tysiące.

- Jak by ich pan opisał?

Na to pisarz wybuchu niepewnym śmiechem.

- Różnie. Są to libertarianie, zapaleńcy, studenci, przedsiębiorcy, aktywiści. Wolontariusze w dawnym stylu, ludzie tacy jak Jenner czy Mendel. Mamy tu do czynienia z taną, partycypacyjną biotechnologią dla każdego. Błędem byłoby jej zabraniać.

Prowadzący wciąga do rozmowy szefową grupy odpowiedzialnej za pilnowanie bezpieczeństwa i przewidywanie czarnego scenariusza rozwoju wydarzeń.

- Problem w tym – mówi kobieta – że dzięki sprowadzonemu pocztą syntetycznemu DNA i kuchni wyposażonej w wart tysiąc dolarów sprzęt zwykły amator jest w stanie stworzyć śmiertelny patogen. Zważywszy na to, ile osób pragnie uczynić krzywdę naszemu krajowi, biohakerstwo należy uznać za jedno z największych zagrożeń.

Pisarz zbywa jej obawy śmiechem.

– Narciarstwo jest sto razy bardziej niebezpieczne.

– Dwustronna komisja do spraw broni masowego rażenia i terroryzmu przewiduje, iż do poważnego ataku bioterrorystycznego dojdzie w najbliższych kilku latach – paruje szefowa.

Prowadzący pyta:

– Co można zrobić, aby uniknąć ataku?

– Należy skorzystać z doświadczeń Administracji Bezpieczeństwa Transportu – odpowiada szefowa.

Pisarz się oburza.

– Jakich doświadczeń? Od czasu powstania tej organizacji nie wykryto żadnych prób przeprowadzenia ataku.

– Co tylko dowodzi jej skuteczności.

Gospodarz programu zaprasza słuchaczy, by dzwoniли pod podany numer. Pierwszy dzwoniący pyta, czy ta zabójcza *Escherichia coli* w Europie jest sprawką terrorystów. Oboje eksperci zaprzeczają. Słuchacz rozłącza się nieprzekonany.

Wściekłość następnej osoby jest dla Elsa czytelna, zanim padną pierwsze trzy słowa.

– Ten człowiek – mówi kobieta – produkował bakterie w swoim prywatnym laboratorium. Zmarli przez niego ludzie. Trzeba go złapać i powstrzymać, zanim zdoła wyrządzić krzywdę komukolwiek jeszcze.

Prowadzący prosi swoich gości o komentarz. Szefowa oznajmia:

– W najlepszym razie mamy do czynienia z amatorem bawiącym się genomem toksycznego mikroorganizmu, niemającym pojęcia...

Pisarz jej przerywa.

– Firmy takie jak Amgen i Monsanto robią to bez przerwy. Połowa naszej kukurydzy i dziewięćdziesiąt procent soi mają już zmodyfikowane genomy, a my spożywamy je jakby nigdy nic, pełni ślepej wiary.

– Amgenem zarządza uczoney z odpowiednim przygotowaniem i doświadczeniem, a nie jakiś emerytowany muzyk, który sam nie wie, co robi.

– Uczni ściągnęli na głowy ludzkości więcej nieszczęść niż wszyscy amatorzy razem wzięci.

Ryk klaksonu na miarę *Zmierzchu bogów* zarzuca fiatem tak, że niemal wypada z pasa ruchu. Els zerka w lusterko wsteczne i widzi, że na zderzaku

siedzi mu osiemnastokółowiec. Peter gwałtownie zjeżdża w prawo. Krążownik szos mija go pędem, pobekując. Gdy pojazd jest już na prawym pasie, jego kierowca raptownie hamuje. Przedni zderzak fiata całuje tylną część kolosa.

Tymczasem szefowa kontynuuje:

– ...wywołał ogólnokrajową panikę.

– Kraj jest spanikowany nieprzerwanie od dekady. A skoro już wyznacznikiem wrogich zamiarów jest szerzenie paniki, za terrorystów powinno się uznać wszystkich prezenterów telewizyjnych...

Gospodarz programu wpuszcza na antenę kolejnego dzwoniącego. Kobieta drżącym głosem obwieszcza, że to naukowcy stali za trzęsieniem ziemi i tsunami w Japonii.

Els ściąga jedną ścierpniętą rękę z kierownicy i gasi radio. Kiedy po chwili wpada mu w oko zjazd z autostrady, korzysta z niego. Jadąc ślimakiem, dwukrotnie zahacza o linie wibracyjne. Sunie szosą przez dłuższy czas, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Zatrzymuje się dopiero na stacji benzynowej w Vandalii, na skrzyżowaniu dwu pustych jak okiem sięgnąć dróg stanowych. Napełnia bak i płaci gotówką brodatemu anarchiście, którego wygląd sugeruje, że nie zakablowałby nawet Hitlera.

Potem siedzi przy ławie piknikowej za stacją, pod niebieskim świerkiem, i zajada tortillę z indykiem, przeglądając egzemplarz „Timesa”, który musiał zostać zamówiony do sklepu przez przypadek. Natrafia na siebie na stronie dziesiątej: „Domorosły genetyk maszeruje w takt innego werbla”. Autor artykułu poddaje bioterrorystyczne ciągoty Petera Elsa psychoanalizie poprzez pryzmat dziesięcioleci wrogiego przyjmowania jego awangardowych dzieł przez publiczność. Peterowi się cofa. Składa gazetę i pozostawia ją na ławie, przycisnąwszy kamieniem.

Kiedy otwiera drzwi samochodu, ktoś krzyczy za jego plecami:

– Ej!

Els obraca się z podniesionymi rękoma. Brodacz anarchista stoi w progu kantorka jak skamieniały. Zostać złapanym to dla Petera właściwie ulga. Ostatni motyw zbytnio się przeciągnął. Czuje się zmęczony. Uśmiecha się do prześladowcy, gotów się poddać.

– Zapomniałem – rzuca mężczyzna. – Do kanapki z indykiem dajemy napój gratis.

Kiedy Els wsiada do zaparkowanego fiata, ręce mu się trzęsą. Darmowy

napój, jego alibi, rozlewa się, gdy unosi go do ust. Przez przednią szybę obserwuje czteroosobową rodzinę maszerującą do kantorka. Najmłodsza dziewczynka, w bluzie reklamującej megakościół, przyszpila go spojrzeniem niczym teleobiektyw. Aresztowanie jest tylko kwestią czasu. Peter Els musi zapłacić za to, co zrobił, i za to, czego zrobić mu się nie udało. Wymaga tego dobro większości.

Smartfon Klaudii jedzie z nim na fotelu pasażera od samego Champaign. Sięga po niego teraz i włącza go. System namierzania jest już mu niegroźny. Do St. Louis ma niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów. Połączone Siły do Zadań Zapewnienia Bezpieczeństwa mogą go przejąć, kiedy skończy tam załatwiać sprawy.

Młóci palcami po wirtualnych klawiszach ekranu. Wpisuje adres, którego nauczył się na pamięć wiele lat temu. Aż do tej pory wydawał mu się nieco fikcyjny, jak każde inne miejsce, którego miał nigdy nie zobaczyć. Jednakże Głos odnajduje trasę w ciągu sekund, co do centymetra. Elsowi zostaje tylko poddać się sile wyższej GPS-u.

Urządzenie ujawnia przed nim przebieg trasy i czas jej trwania: półtorej godziny. Skórę ma zlaną zimnym potem, jakby pociągniętą mikronową warstwą metalu. Uchyła schówek na rękawiczki. Ze środka na podłogę po stronie pasażera wysypuje się kilka płyt kompaktowych, nic z tego jednak, czego szuka. Wygina się do tyłu, by zajrzeć na siedzenie zasłane jeszcze większą liczbą popękanych i niedomykających się plastikowych pudełek. Nigdzie nie ma tego, co jest mu potrzebne.

Nagle sobie przypomina: ma do dyspozycji wszystkie melodie tego świata. Podpina smartfon do samochodowego sprzętu grającego i wstukuje zapytanie. Utwór rozbrzmiewa po paru dotknięciach palca wskazującego. Ta muzyka pomoże mu dotrzeć tam, gdzie chce. *V Symfonia* Szostakowicza – dzieło skazańca piszącego akompaniament do własnej egzekucji.

#

W sprzyjających warunkach *Serratia* dzieli się parę razy na godzinę. Gdy przyśpieszyć ten proces, wkrótce będzie mowa o naprawdę imponującej ilości.

#

Uwertura rozpoczyna się praktycznie od niczego: jeden obój, jeden róg angielski, jeden fagot. Najpierw grają *unisono* przesiąknięty antycypacją motyw zaczerpnięty z *Mszy* Ockeghema. Potem współbrzmiąca melodia

rozdwiają się, a następnie dzieli na cztery odrębne linie melodyczne, które wznoszą się i napinają. Jest ranek w wolnym mieście Münsterze w północnej Nadrenii; styczeń 1534 roku.

Na rynku, Prinzipalmarkt, z wolna pojawiają się pierwsi kupcy. Rozstawiają swoje kramy, przyciągając grupy klientów. Do tria instrumentów dętych drewnianych dołączają dwie altówki. Przystrojony w gronostaje arystokrata prowadzi wskroś placu swoją świętą do przybierających na sile dźwięków puzonów i wiolonczeli. W ciągu kilkudziesięciu statecznych taktów ranek przechodzi w przedpołudnie.

Od tętniącego życiem placu odchodzą promieniście uliczki ujęte w szpaler budynków o dachach zwieńczonych schodkowymi szczytami i fasadach z pinaklowymi zdobieniami. W kierunku wschodnim – zawiadujący wszystkim Rathaus. W północnym – wieża katedry. Na rynku trwa w najlepsze handel. Orkiestra zaczyna imponujący kanon menzuralny, na który składają się kopie poszczególnych głosów, przyśpieszane bądź spowalniane z wykorzystaniem różnych podziałów metrycznych – tak powstaje *prolationum*. Splot iluś linii ustępuje pulsującym akordom. W końcu przebija się donośny baryton:

*Ogień, powietrze, deszcz i słońce – nasz Pan obdarzył nimi nas wszystkich ku wspólnej radości.*

Przysadzisty kaznodzieja o nazwisku Rothmann, odziany na czarno, wdrapuje się na kamienne obramowanie fontanny.

*Ktokolwiek twierdzi: „To jest moje, a to twoje”, chce nas okraść!*

Co poniektórzy odrywają się od sprzedawania i kupowania na chwilę dość długą, aby spróbować go uciszyć. Chórem śpiewają o ostatnich plagach w cesarstwie, które nie powinny się powtórzyć. Baryton Rothmanna zagłusza wszystkich.

*Otrzymaliśmy w darze od naszego Pana cały świat, a zniszczyliśmy go, by bić się o marne resztki. Nie dziwota, że co do jednego wiedziecie nieszczęśliwą egzystencję!*

Trio kupców przestrzega kaznodzieję ponad dźwiękami przebogatej orkiestracji. Padają słowa o chaosie, który musi się skończyć. O potrzebie pokoju i dostatku. Nawoływanie do czegokolwiek innego to zwykłe podburzanie tłumu. Wyrazy stanowią wysepki konsonansowych trójdzwięków pośród ogólnego atonalnego szumu instrumentów.

Inni występują w obronie Rothmanna.



*Nikomu nie robi krzywdy!*

*Niechaj głosi, co każą mu niebiosy!*

Trio kupców zamienia się w sekstet i w tej postaci wzywa do zgody, wytężonej pracy i bogacenia się. Jednakże kaznodzieja wyśmiewa ich aspiracje we wznoszącym się solo:

*Zgoda? Praca? To biskup chce, żebyście pracowali – dla księcia!  
Głupcy! W imię spokoju i dostatności zapredaliście swoje dusze!*

Słabowici, uciśnieni, bezrobotni i uduchowieni gromadzą się wokół Rothmanna. Na scenie odżywiają dawne konflikty. Obsada rozpada się na dwa samoistne chóry, które swą przeciwstawnością karmią narastające podniecenie. Akordy się piętrzą, linie melodyczne się zderzają ponad ogólnym *ostinato*. Za każdym nawrotem struktury melodycznej dochodzi do jej wzbogacenia. Rothmann przekrzykuje zgiełk – rozlegają się zwięzłe, robiące wrażenie muzyczne anagramy pierwotnego, obolałego motywu.

*Nasz Pan wyposażył wasze ciała w radość, prawdziwą radość! Żyćcie światłem. Żyćcie prawdziwym pięknem. Żyćcie wspólnym powietrzem.*

Nagła modulacja – i nieoczekiwanie zza kulis pojawiają się czterej jeźdźcy. Przewodzi im czeladnik krawca, Jan z Lejdy, charyzmatyczny mężczyzna o powiewającej brodzie. Do wtóru fanfar instrumentów dętych blaszanych, heroicznym tenorem, prowadzi swych podwładnych przez motet. Przybywają z Niderlandów na wezwanie Jana Matthijisa, piekarza przedzierzgniętego w proroka, który uznał, że to w Münsterze rozpocznie się planowany przez Boga koniec świata. Śpiewają, że Rothmann toruje drogę wyczekiwanemu Królestwu Bożemu.

Rothmann wita ich z szeroko rozpostartymi ramionami, po czym razem, długimi, zamaszystymi liniami melodii modalnej, śpiewają w ekstatycznym kontrapunkcie:

*Moje i Twoje, Twoje i Moje?*

*Żyćcie światłem! Żyćcie pięknem!*

*Nie ma życia bez śmierci w Bogu!*

*Gdzież indziej złożyć swoje nadzieje, swoją radość, swoją miłość?*

*Zbliża się koniec świata uludy,*

*Początek prawdziwego tuż-tuż,*

*Nie ma zaspokojenia bez głodu,*

*Bezpieczeństwa bez zagrożenia.*

*Gotujcie się: ten dzień jest bliski.*

W narastającej *passacaglii* Rothmann schodzi ku Janowi z Lejdy. Prosi proroka, aby ten ponownie go ochrzcił, ściągając nań niebezpieczeństwo odrodzenia. Rozbrzmiewa ich radosny duet, oparty na różnych tetrachordach. Jan prowadzi Rothmanna na środek sceny, do fontanny. Śpiew milknie i orkiestra cichnie.

Wiolonczela solo rozpoczyna chorał Lutra o chrzcie Pańskim: *Christ unser Herr zum Jordan kam*. Obydwaj mężczyźni wchodzi po pas do wody. Druga wiolonczela rozbrzmiewa harmonijnie z pierwszą czystymi kwintami i kwartami. Holender zanurza Rothmanna pod powierzchnię. Teraz chorał rozbrzmiewa dźwiękami smyczków, których harmoniczna alteracja zamienia je w szalony eksperyment. Rothmann tkwi pod wodą o wiele za długo. Wynurza się gwałtownie, chwytając powietrze i ociekając kroplami. Orkiestra kontynuuje chorał na triumfalną nutę, posiłkując się harmoniami z początku lat dziewięćdziesiątych, odgłosami upadającego muru.

Przedstawienie wprawia ludzi w zachwyty. Jakaś kobieta także prosi o chrzest przez pełne zanurzenie. Śpiewa przy tym najbardziej przejmującą arię pierwszego aktu:

*Ponowne narodziny blisko grobu...*

Jan z Lejdy i Rothmann wspólnie udzielają jej chrztu. Dwie rozszlochane nastolatki są następne. Kupcy i rzemieślnicy Münsteru występują w roli świadków.

Ćwierknięcie fletu zmienia atmosferę na scenie. Instrumenty dęte drewniane ruszają nawałą rogów. To początek marsza – tak silnego, że dają mu się ponieść nawet sceptycy. Kolejne osoby zanurzają się w fontannie. Ponownie narodzeni wynurzają się spod powierzchni i poruszając się w stanie łaski, powoli schodzą ze sceny. Znalazszy się za kulisami, zmieniają ubrania na suche, po czym wyłaniają się znów zza kurtyny z boku jako nowi uczestnicy zgromadzenia. Równocześnie chór potężnieje, aż wiara ogarnia wszystkich.

Marsz unosi tłum niczym ludzką powódź. Rozbrzmiewa czysta tonacja E-dur, nabrzmiała mocą dzielonej wiary. Wierni i niewierni, obcokrajowcy i miejscowi, prorocy i kupcy, wyniesieni i ponizeni wirują w żywiołowym *tutti*.

Nawet nieszkolone ucho słyszy teraz, jak cały materiał muzyczny tej sceny – fragment początkowy, aria Rothmanna, motyw Jana z Lejdy i chorał Lutra – znajduje zwieńczenie w tym przybierającym na sile chórze. Podczas

gdy bez końca odnawiający się tłum gapiów wchodzi do fontanny, Rothmann i niderlandzcy wysłannicy, z pomocą zataczających krąg smyczków, śpiewają *unisono* gotycką kołysankę opartą na słowach świętego Pawła:

*Noc przeminęła,*

*Dzień zaś się przybliżył...*

*Oblecmy się w zbroję światłości*[46].

#

Mój utwór może was otaczać zewsząd, a wy nawet o tym nie wiecie. Wszędzie – komórkowe pieśni w setkach milionów.

#

Strach przed pustym audytorium na dwa tygodnie przed premierą. Dwa tysiące pięćset wolnych miejsc. Cztery i pół kręgu balkonów umieszczonych jeden nad drugim niczym w plastrze miodu. Pojedyncze postacie w morzu czerwieni. Els trzyma się przednich rzędów, podczas gdy na scenie technicy dopieszczają obraz Nowego Jeruzalem.

Pisanie stu siedemdziesięciu minut muzyki zajmuje mu czterdzieści miesięcy. W tych latach dobiega końca wojna tocząca się od czasów jego dzieciństwa. Imperium zła rozpada się na parędziesiąt państw. Światowe dane splatają się w sieć. Ojczyzna Elsa – bliska pozycji Boga dzięki technologii – wdaje się w wojnę na odległej pustyni po drugiej stronie planety. Apokalipsa sprowadzona przez inteligentne bomby i ekrany komputerowe nadawałaby się na olśniewającą operę, gdyby Elsa nie pochłaniała ta obecna, równie obca teraźniejszości, jak teraźniejszość stała się obca jemu.

Ukończył swoje dzieło. Burze mózgów, ciągłe telekonferencje oraz kłótnie o skróty i uproszczenia należą do przeszłości. Partytura jest gotowa od tygodni, jej forma zastygła, nie pozwalając na żadne zmiany. Mimo to Peter siedzi w przestronnej sali dwadzieścia rzędów od fosy orkiestrowej, dopilnowując ostatnich etapów przygotowań samą siłą bruksizmowej woli.

Za plecami śpiewaków, na tyłach ogromnej sceny, stolarze kończą wznoszenie zachodnich wrót katedry. Machiny obłącznicze przesuwają się na ruchomych platformach. Technicy w kombinezonach umieszczają na swoim miejscu ślimacznice wieńczące zawieszzone w powietrzu kolumny. Els nieodmiennie czuje panikę na myśl o tym, ilu trzeba ludzi, aby ziścić

koncepcję, która zrodziła się przy jego stole kreślarskim w chacie w głuszy. Z największym trudem powstrzymuje się, aby nie zerwać się na nogi i nie wykrzyknąć:

– Ależ dziękuję! Proszę się tak nie kłopotać!

Jego cel był stosunkowo prosty: wskrzesić umarłych i sprawić, by zaśpiewali. Dokonał tego w minionych trzech latach. Zapisał setki stron tym, co dyktowano mu zza grobu. Przez czterdzieści miesięcy zgromadził tony rękopisów, pokazując je swoim współpracownikom wyłącznie na wyraźne żądanie, pod groźbą użycia przemocy. Co parę miesięcy dostrzegał pośród namnażających się nut prawdziwą perełkę. Raz, pod sam koniec, aż zabrakło mu tchu, gdy usłyszał brzmienia świadczące o prawdziwej inspiracji.

Bonner musiał mu odbierać partyturę siłą. Potem ekipa fachowców jakimś cudem przemieniła jego niejasne tajemne wzory w teatr. Siedząc w pogrążonej w półmroku sali koncertowej, nie potrafi wyjść z podziwu, jak wspaniale prezentuje się pierwszy akt, jak udatnie oddaje jasny, trujący, rozległy świat, w którym on sam żył w tysiącdniowym transie.

Zespół instrumentalistów to muzyczne siły specjalne. Jeszcze czterdzieści lat temu Elsowa podchwytliwa polirytmia wraz z kalejdoskopem tonacji byłyby nie do zagrania. Jednakże tych siedemdziesięciu pierwszorzędnych muzyków, wychowanych od niemowlęctwa na idealnych nagraniach, przedziera się przez jego partyturę, jakby to była popularna składanka. Główni wykonawcy także są fantastyczni. Samozwańczy prorok i jego seksowna małżonka, wygnany biskup powracający na czele potężnej armii, obłąkany krawiec-król – we wszystkich tych rolach występują błyszczące gwiazdy młodego pokolenia śpiewaków.

Bonnera jest pełno wszędzie naraz: w głębi sceny, z przodu sceny, pod sceną, za kulisami. Richard czaruje, strofuje, perswaduje i pochlebia. Uwodzi śpiewaków obu płci, co rusz zmienia ich kroki przy wchodzeniu i schodzeniu ze sceny. Pogrąża się w ponurych myślach bądź ryczy ich arie tak, jak słyszy je uchem wyobraźni. Paraduje po ogromnej sali niczym wystrojony prorok po zbuntowanym Münsterze, a będąca pod wrażeniem obsada darzy go takim samym niepewnym szacunkiem, jaki Münster miał dla swoich niepokornych anabaptystów.

Z dała od czyichkolwiek uszu zwierza się Elsowi:

– Każdy mój spektakl z ostatniego dwudziestolecia był tylko rozgrzewką do tego... Poddajesz mi rewelacyjną nutę i zamierzam ją zagrać bez pudła.

Na jego skinienie rośnie miasto: mury i wieże, komnata rady, nawa olbrzymiej katedry. Scenografii nie brak ulubionych trików technicznych choreografa: jej elementy obracają się i zmieniają samoistnie. Oczywiście są też projekcje tysięcy – obecnie cyfrowo wygenerowanych – obrazów. Koszt kostiumów znacznie przekracza budżet. Cały projekt dopisuje kilkaset tysięcy dolarów długu do i tak niebilansowanych ksiąg producenta. Biznesmeni starają się zapanować nad rodzącym się powstaniem, jednak Bonner mówi im to, co wie każdy prorok: darczyńcy nie wycofają się nawet w ostatniej chwili, jeśli tylko będą myśleć, że obdarowany ma bezpośredni kontakt z Bogiem.

W trzecim miesiącu pracy nad kompozycją Els odkrył, że jego operę napisał wcześniej już ktoś inny: Giacomo Meyerbeer. Każdy prawdziwy kompozytor wiedziałby o dziewiętnastowiecznym *Le Prophète* ze szkoły, jednakże Peter miał braki w edukacji spowodowane ucieczką w awangardę. Spanikowany zatelefonował natychmiast do Bonnera.

– Załatwiłem cię. Jesteśmy skończeni.

Gdy uspokoił się na tyle, by przedstawić szczegóły, Bonner tylko się roześmiał.

– W kulki sobie lecisz? Meyerbeer? To wielkie nic? Do cholery, ta jego opera to przecież historia miłosna!

– Ale są tam Jan z Lejdy, Jan Matthijs, oblężenie. Wszyscy pomyślą, że zrzynaliśmy.

– No i co z tego? – zapytał Bonner. – To jasne, że zrzynaliśmy! Zrzynali nawet autorzy rysunków naskalnych z Lascaux. Każdy twórca w historii zrzyna od kogoś, czy to jeszcze żywego, czy to już martwego.

Nastąpiły kolejne pożogi, które Bonner rzucał się radośnie gasić. Paskudny bunt obsady stał się dzięki niemu katartycznym przełomem. W trzy dni dyplomacji wahadłowej zażegnał wojnę między dwoma egotykami: dyrygentem i kierownikiem chóru. Niekończąca się litania obelg i krzywd zanoszona przez ekipę trafiała do münsterskiego kotła i dusiła się, nadając całości nowego smaku.

W tej chwili Els przymierza się do obejrzenia efektów jego pracy nad drugim aktem. Bonner ustawia scenę tak, jakby był świadkiem oryginalnych wydarzeń sprzed czterech i pół wieku. Prorok Matthijs i jego kruczowłosa małżonka Dieuwertje stoją na rynku niebieskim od nocy. W tle rozbrzmiewają nieziemskie dzwony wzywające na nieszpory. Oboje wraz ze

swym uczniem, Janem z Lejdy, zawierają pakt z Knipperdollingiem, przewodniczącym cechów. Biegając po ulicach miasta, nakłaniają ludność do żałowania za grzechy. W ciągu krótkiej fantazji anabaptyści zajmują ratusz.

Rajcy nie odpowiadają zbrojnie na zamieszki. Chcą wykorzysta powstały chaos do swoich celów. Przegłosowują prawo gwarantujące wolność sumienia. Buntownicy znajdują się w ascendencji, koniec z rozsądkiem.

Dźwięczna fanfara zaprasza mieszkańców do śródnocnych saturnaliów. Motłoch łupi katedrę, niszcząc obrazy i rzeźby. Podpala bibliotekę do wtóru przybierających na sile głębokich, cielesnych odgłosów smyczków. Matthijs śpiewa swą oczyszczającą arię:

*Idźcie precz, bezbożni, i tu nie wracajcie!*

W ciemnej sali koncertowej melodia ponownie rozbrzmiewa w uszach Elsa niczym podarunek znikąd, coś, co tylko spisał podyktowane.

Przerwaną arię podejmuje chór. Pod koniec sceny w mieście są już wyłącznie Dzieci Boga. Krążą, ci pielgrzymi z przyszłości, nazywając się wzajemnie braćmi i siostrami. Znowu rozlega się śpiew – społeczność wybaczają sobie na mocy czystej miłości. Els zrywa się z fotela i zataczając lekko, rusza wzdłuż przejścia, aby usłyszeć, jak to szaleństwo brzmi z tyłu sali. Okazuje się, że dobrze. Przerazająco dobrze. Nawet wzniośle.

Knipperdolling, Matthijs i Jan z Lejdy świętują we wnętrzach zdobytego pałacu. W szlachetnym triu wychwalają boski plan, który pozwolił im przejąć kontrolę nad całym miastem. Z balkonu nad zatłoczonym placem Knipperdolling ogłasza, że wszystka własność odtąd będzie wspólna i z magazynów trafi w ręce ubogich. Cizba podchwytuje ogłoszenie i wychodzi z tego fuga. Protestujący zostają pojmani przez żołnierzy i odprowadzeni.

Tymczasem na scenie posłaniec śpiewa solo o rozszerzaniu się milenijnego snu na północy.

*Trudno o wieś czy miasteczko, gdzie sekretnie nie płonęłaby pochodnia...*

Tylko że tak naprawdę Münster jest otoczony. Koalicja okolicznych państw przysłała wojsko, które zaczyna się okopywać. Wracający przejściem Els patrzy, jak stryczek zadzierzga się wokół powstańczego miasta. Pojmuje przy tym, że melodii przy scenie oblężenia potrzebne byłoby więcej rogów, więcej *glee*, muzyki chóralnej *a capella* na głosy męskie ku czci książęcej armii zabierającej się do stłamszenia wiernych. Jednak i ta muzyka, która

jest, ulatuje akordami.

Stojący na miejskich blankach Matthijs otrzymuje od Boga wielkanocny przekaz. Koniec świata nadchodzi wielkimi krokami. Prorok prowadzi garstkę mężczyzn za mury, przeciwko siedzącym w okopach żołnierzom. Wszyscy zostają rozsieczeni na krwawe ochłapy, rzucone na żer padlinożercom. Poezja, przepowiednia i pogrom splatają się w interludium tak pięknym, że Els nie wierzy, że jest jego autorem.

Miasto oddaje się pod władzę Jana z Lejdy, bękarta, niespełnionego krawca. Gdy człowiek ów zaczyna śpiewać, słowa praktycznie nie mają znaczenia. Od dziecka kochał wyłącznie teatr. Całymi latami pisał i wystawiał sztuki, odgrywając główne role we własnych intymnych fantazjach. Teraz zaś los uczynił z tego miasta scenę dla niego, na której może urzeczywistnić swe najskrytsze marzenia.

Trzymający się wciąż z tyłu audytorium Els wzdryga się na nadchodzący atak. Jeden takt uwalnia perkusyjną burzę, która posyła operowego proroka nagiego na ulice miasta. Niesamowite światło, projekcje Richarda i maniacka muzyka Petera pozostawiają go leżącego na wznak i gapiącego się w niebo w niemym zachwycie. Zanim dojdzie do siebie, zdąży się rozpocząć akt trzeci, a wraz z nim – koniec.

Niespełniony krawiec ogłasza się królem. Śpiewa:

*Wszelkie człowiecze dzieło musi teraz ustąpić dziełu Bożemu.*

Wprowadza poligamię i bierze za żonę – pierwszą z ogółem piętnastu – Dieuwertje, oszalamiającą wdowę po Matthijsie. Nagła zmiana tempa – i Królestwo Boże na ziemi hołduje zasadom wolnej miłości.

Dzięki swemu doświadczeniu reżysera amatorskich teatrzyków Jan z Lejdy obejmuje dowództwo wojskowe. Odpiera atak biskupa podczas sceny, która zapiera dech w piersi nawet inspicjentom. Jego zwolennicy wylewają się na plac przed ratuszem, aby potężnym chórem raz jeszcze zaświadczyć o swej wierze:

*A Słowo ciałem się stało<sup>[47]</sup>, i mieszka w nas.*

*Jeden Król nad Wszystkimi.*

W zakamarkach umysłu Petera formułuje się myśl. Już raz to przeżył. Osobiście brał udział w tej ekstatycznej rebelii zakończonej fiaskiem.

Łamiąca się fala jego muzyki ciągnie go z powrotem ku scenie. Opada na pierwsze z brzegu krzesło pośrodku widowni, aby sprawdzić efekt z jeszcze innego miejsca. Nadal okazuje się dobry. O zawrót głowy przyprawia go

myśl: tym razem rewolucja może się udać. Dwieście osób wspólnymi siłami przywróciło do życia historię sprzed pół tysiąclecia. Tego wieczoru, podczas próby kostiumowej, opowieść nareszcie wydaje się gotowa do pokazania.

Nagle na miejsce obok niego wślizguje się Bonner. Trzy takty wcześniej był za kulisami, sprawdzając dekoracje i zamęczając obsadę wskazówkami z listy dłuższej niż lista skarg Pana Boga na temat ludzkości. Teraz jest tuż-tuż i zwiniętą w rulon gazetą uderza miarowo w wolną dłoń. Z jego oczu wyziera zadowolenie. Usprawiedliwienie. Może nieco strachu. I odrobina prawdziwego szaleństwa.

– Maestro. Nie uwierzysz. Jesteś, cholera, prorokiem. Dwa tygodnie do premiery, a tu sztuka tworzy życie!

#

Będziecie się zachowywali, jakby niczego tam nie było: w fugach między łazienkowymi kaflami, w powietrzu, którym oddychacie.

#

Na początek: *Moderato*. Pierwsze takty zeznań skazańca rozbrzmiewają na tle czarnej ziemi i brązowego rżyska. Nieustępliwy rolniczy krajobraz Środkowego Zachodu i *V Symfonia* Szostakowicza.

Z głośników fiata dobywały się poszarpany główny motyw i echo kanonów. Peter Els słyszał ten utwór więcej razy w życiu, niż zdołałby zliczyć. Wiedział, jaką budowę ma kompozycja: już dawno temu przeanalizował każdą frazę na nice. Zapamiętał więc dobrze oszczędne kontrapunkty, kanoniczne echa, chromatyczną wieloznaczność, zwięzłość i nieubłagane przetwarzanie tego pierwszego ostrego motywu. Jednak utwór, który mu towarzyszył w drodze przez trzy hrabstwa stanu Illinois, porażał go świeżością.

Swego czasu, w latach młodości, Els wierzył, że muzyka może ocalić człowiekowi życie. Obecnie był w stanie myśleć wyłącznie o tym, na ile sposobów może ona pozbawić go życia.

Od pierwszego odezwania się skrzypiec zrozumiał, skąd tyle problemów z muzyką. Nawet najdrobniejszy dźwięk był niczym opowieść. Melodia wpływała na umysł tak jak prognoza pogody – prowokując wyznanie wiary, wątpliwości i decyzje. Przemawiała silniej niż słowa. Lecz nie niosła słów ani żadnej opowieści.

Wbrew sobie usłyszał w tym pierwszym temacie smyczków – który



następnie zostanie powtórzony nieskończone razy, zanim utwór dobiegnie końca – całe nieszczęsne życie kompozytora, zawleczonego na publiczną arenę, zmuszonego wybierać między skruchą a buntem, herezją a wiarą, podczas gdy jego życie przez cały czas wisiało na włosku tej akurat historii, którą rząd w swoim mniemaniu słyszał.

Els prowadził samochód w stronę zachodzącego słońca, z powrotem ku południu 1936 roku. Żądny przygód kompozytor, u szczytu swej orficznej rozgrywki, genialny, nieprzewidywalny, podziwiany przez wszystkich. *Lady Makbet mceńskiego powiatu* była grana do wtóru niemal absolutnego poklasku. Potem w „Prawdzie” ukazał się artykuł *Łoskot zamiast muzyki*<sup>[48]</sup> – wściekły frontalny atak przypuszczony na Szostakowicza i wszystko, co uosabiała jego muzyka. Problem polegał na tym, że anonimowy autor okazał się tejże kultury fanem oraz krytykiem amatorem. Był nim ni mniej, ni więcej, tylko Stalin.

*Słuchacz z miejsca zostaje oszołomiony łoskotem celowo dysharmonijnych dźwięków. Strzępy melodii, zaczątki muzycznej frazy giną, wyrrywają się i znowu znikają w łoskocie, zgrzycie, skowycie. [...] Muzyka chrząka, stęka, sapie, dyszy. [...] To lewacki tumult zamiast naturalnej ludzkiej muzyki*<sup>[49]</sup>.

Jednym zamaszystym gestem morderca milionów nazywa dwudziestodzieciolatek kompozytora wrogiem ludu:

*Ludzie radzieccy oczekują przyzwoitych pieśni. [...] To muzyka celowo zrobiona na odwyrtkę, tak by nic w niej nie przypominało muzyki klasycznej, by nie miała ona nic wspólnego z symfonicznym brzmieniem, ze zwykłą, zrozumiałą dla wszystkich muzyczną mową*<sup>[50]</sup>.

W finale Stalin stawia ostatni flores:

*Ta zabawa w przemądrzałość może się skończyć źle*<sup>[51]</sup>.

Z dnia na dzień oficjalna prasa zaczyna grzmieć potępiająco. Wzywa do wyrugowania eksperymentów z formą. Nawołuje Szostakowicza do poprawy i powrotu na łono zwykłego, poruszającego realizmu. Opera – ów *groch z kapustą chaotycznych, pozbawionych sensu dźwięków* – spada z afisza, co jest gorsze nawet od śmierci.

Kompozytorowi pozostaje tylko się spakować i czekać, aż o drugiej nad ranem rozlegnie się pukanie do drzwi.

Zniknięcia to istna plaga tamtego roku. Masowe aresztowania i wygnania – fala czystek po zabójstwie Kirowa. Dziesiątki tysięcy znikają ze swych

mieszkań każdego miesiąca. Artyści, pisarze, reżyserzy: Erbsztein i Gierszow, Tierentjew, Wwiedenski i Charms. Poeta Osip Madelsztam trafia do więzienia za dopuszczanie się przemocy. Teściowa i szwagier Szostakowicza – za podburzanie. „NKWD się nie myli”<sup>[52]</sup>. Cała reszta społeczeństwa milczy przyzwalająco, choć w poczuciu winy.

Wreszcie cień pada na Szostakowicza. Kompozytor prosi o pomoc swego potężnego wielbiciela, marszałka Tuchaczewskiego. Tuchaczewski wstawia się za nim u Stalina. Niebawem sam zostaje aresztowany i stracony.

Spięty, zjeżony i bliski samobójstwa Szostakowicz nie zarzuca pracy. Jednak jego następna kompozycja jest jeszcze gorsza od poprzedniej. *IV Symfonia* to słyszalna zdrada. Na parę dni przed premierą kompozytor wycofuje utwór, wybrawszy własne życie.

Twierdzenie, że muzyka może być wywrotowa, że szereg dźwięków i rytmów może stanowić zagrożenie dla faktycznej władzy, wydaje się niedorzecznością. A jednak od Platona do Phenianu podejmuje się ciągle próby legalizowania melodii. Kontrolowania możliwych harmonii, jakby zagrożenia płynące z muzyki były nieograniczone.

Wzrok Elsa błędzący za szybą z widokiem na zachód pada na majaczący niewyraźnie gułag, tylko czekający na niego: najnowszego wroga publicznego.

Szostakowicz powiedział:

– Jeśli utną mi obie ręce, będę pisał muzykę, trzymając pióro zębami<sup>[53]</sup>.

Gdy go jednak zabić, pozostanie tylko ta muzyka, którą władze dobiorą na jego pogrzeb. Tak został zmuszony do wyboru między kapitulacją a śmiercią. Stąd *V Symfonia*: „twórcza odpowiedź na niesprawiedliwą krytykę”<sup>[54]</sup>.

Przez kilkadziesiąt kilometrów Els śledził tę odpowiedź aż do finałowej, zdumiewającej wolności. Jechał z dozwoloną prędkością; pozostali użytkownicy autostrady mijali go pędem i z pogardą. Panował umiarkowany ruch, więcej aut zmierzało w kierunku wschodnim, czyli tam, skąd on nadjeżdżał. Elsa naszała myśl o daremności podróżowania: czemu nie dać sobie z tym spokoju – wy zostaniecie tam, my tu, i z głowy.

Złowieszcza melodia i pustka na drodze pomagały mu się skupić. W głębi straumatyzowanego kraju nadal śniącego o bezpieczeństwie Peter Els słuchał. Dźwiękom groziła erozja na podobieństwo tej niszczącej glyfy wyryte w kamieniu. Lecz Els – ponad nowym niepokojącym stukotem silnika –

jeszcze jeden raz był świadkiem tego, jak w *V Symfonii* dochodzi do wyboru między prawdą a przetrwaniem.

Melodia krążyła jakby w szoku: wojownicze seksty małe, tercje małe, a po nich mrużące kwarty. Frazy rozjarzały się, przechodząc od walki do kapitulacji. W końcu rozbrzmiało coś jak puls, nieśmiały mechaniczny rytm zmierzający ku celowi tak amorficznemu jak ten, do którego podążał właśnie Els. Potem przyszło zniechęcenie, poddanie się losowi. Muzyka parła ku jakiemuś wątpliwemu *cri du coeur*. Sunęła naprzód, na nic nie zważając – marsz, a może tylko jego parodia – i nie śpiesząc się, niczym zwalista, ślepa bestia.

Ta część utworu oferowała wszystko to, co Els mógł pragnąć usłyszeć. Były tam nadzieja, rozpacz, stoicka rezygnacja. Zatwardziały grzesznik powracający na łono swego Kościoła. Dotkliwy cios dla sumienia. Za szybko umykały amerykańskie miasteczka: Stubblefield, Pocahontas. Ale muzyka była leningradzka, jak w wieczór premiery. Cały naród przysłuchiwał się symfonii uszami Stalina, oczekując na werdykt. Spodziewając się usłyszeć odpowiedź na pytanie, czy kompozytor szelma pozostanie wierny swej sztuce, czy zacznie błagać o litość. Czy zostanie ocalony, czy zniknie.

Gdy słońce opadło ponad górną krawędź szyby, Els opuścił osłonę. Po jego prawej monstrualny zielony pojazd większy od domku letniskowego włókł się czarnymi koleinami za lekkie wzniesienie, aż po horyzont. Rozpoczęło się obłąkańcze *Allegretto*. Porzucony motyw z pierwszej części przeszedł w energicznego walca, rosyjską melodię ludową prosto z dzikich lasów, rozległy się triumfalne rogi, niezdecydowana orkiestra wojskowa. Szostakowicz w najczystszej postaci: kawalkada zadziornych, nieubłaganych, prześmiewczych, sardonicznych urywków zmierzających ku jedynej wolności, której nigdy nie zabraknie, jakkolwiek absolutna byłaby katastrofa – tańcowi wisielca.

Następnie *Largo*. Smyczki, instrumenty dęte drewniane, harfa i czelesta snuły długą przedziwną elegię, przenosząc motyw przewodni z pierwszej części w bezpieczne miejsce. *Tremolando* na tle zdecydowanych sygnałów alarmu. Els słyszał tę część utworu nazbyt wiele razy, aby dopatrzeć się w niej czegoś nowego. Jednak przez kwadrans widział rozciągający się przed nim krajobraz czystego bólu i czuł się pionierem. Miał przed oczyma to, co pozostało po najgorszych krzywdach uczynionych sobie wzajemnie przez ludzi.

Na premierze otwarcie płakali, nie przejmując się swymi łzami. Cała publiczność – ofiara współczesnej katastrofy – wiedziała, o czym opowiada *Largo*. O milionach zabitych, dziesiątkach milionów skazanych na gułag. O tym, o czym nikt nie śmiał się choćby zająknąć na głos aż do teraz.

Ci wszyscy, którzy pojawili się na koncercie, aby usłyszeć, jak oskarżony płaszczy się i błaga o łaskę, zamiast tego usłyszeli – to. Muzyka była prosta i populistyczna, czyli taka, jakiej życzył sobie Stalin, a zarazem napisana językiem, z którego przebijało zrozumiałe dla każdego cierpienie. Oskarżenie o zbrodnię powinno właściwie okazać się samobójstwem. Z drugiej strony, skazanie Szostakowicza za to, że odważył się nazwać rzeczy po imieniu, równałoby się przyznaniu do winy przez władze państwowe.

Wraz z upływem godzin ostre światło zaczęło łagodnieć. Ścierniska ustąpiły przedmieściom. Ruch na autostradzie się wzmógł. Els minął zaparkowany na poboczu wóz z naczepą. Równocześnie fiatem zatrzęsła fala uderzeniowa. Peter roześmiał się do wtóru pierwszych taktów *Allegro non troppo*. Kątem oka uchwycił własne odbicie w lusterku wstecznym, a za nim, w punkcie zbiegu, migające czerwone światła.

Po raz ostatni ten warkot kotłów przeniósł Elsa prosto w demonicznego marsza: motyw przewodni grany przez blachy kontrapunktują rozedrgane instrumenty dęte. *Crescendo, accelerando*, a za nimi powódź smyczków ustawiających się w szyku. Fiat pokonał barierę stu dziesięciu kilometrów, gotów lada chwila popędzić pełnym gazem. Peter obrzucił wzrokiem gęstniejący ruch na autostradzie. O co chodziło z tym prędkościowym szaleństwem? Z tą dziką radością, znikowaną jak nigdy i jak nigdy nieuniknioną...

Ten marsz: rosyjski do szpiku. Łatwo w nim było usłyszeć triumf: oddziały kozaków w butach z wysokimi cholewami, o głowach zwróconych w bok, maszerujące krokiem defiladowym przed Mauzoleum Lenina. Tak przedstawiali to zawsze nauczyciele Elsa. Kopacz, Mattison... Tak odbierali ten marsz zachodni słuchacze jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Jedni i drudzy uważali, że Szostakowicz, porywając się na huczny patos radzieckiego realizmu, sprokurował zdradziecki finał celem ocalenia własnej głowy.

Światła w lusterku wstecznym fiata rosły i zbliżały się, podczas gdy z głośników ulatywały piszczące nietoperze smyczków. Po chwili stało się jasne: to wóz patrolowy w pościgu za swoją ofiarą. Els wcisnął gaz do dechy.

Nietoperze ustąpiły pola obłąkańczej radości, a starożytne auto się zatrzęsło. Peter jechał co najmniej sto trzydzieści kilometrów na godzinę, kiedy w szczelnej kabinie wozu militarna pretensjonalność eksplodowała wymuszoną wesołością.

Zwolnił. Błyskające światła pokonały dzielący ich dystans w ciągu paru taktów. Els wiedział, że zostanie schwytany, od chwili gdy zbiegł spod otoczonego kordonem domu. Ani przez moment jednak nie przypuszczał, że do zatrzymania dojdzie na autostradzie na obrzeżach Marine w stanie Illinois. Odczytanie numerów rejestracyjnych przez satelity zawieszane na orbicie geostacjonarnej było teraz fraszką. Każdy pojazd korzystający z dróg publicznych trafiał na nagrania z kamer szpiegowskich parę razy na godzinę. A smartfon Klaudii był nie mniej skutecznym narzędziem do tropienia niż obrączka na nóżkę w wypadku ptaków. Jednym słowem jakiś zamknięty w bezokiennym boksie pracownik Langley poinformował w czasie rzeczywistym miejscową policję.

Światła wypełniły całe lusterko wsteczne. Els włączył kierunkowskaz i zwolnił. Gdy zjeżdżał na pobocze, wóz policyjny śmignął obok niego na lewym pasie. Kogut mrugnął uroczo kilometr dalej i zdążył całkiem zniknąć z oczu, zanim Elsowi przeszedł atak nerwowych chichotów.

Peter zatrzymał się roztrzęsiony. Melodia przeszła w rozproszone nocne szepty, szmery w ciemnej tafli lustra. Spoza zwałów wątpliwości – smętny werbel. Wtem coś wydarło się z miazmatów i pogalopowało ku niespodziewanej mecie. Triumf, a może jego gorzka parodia. Być może Lud, z jego ukierunkowaną kolektywną wolą. A może artysta wyrzutek, uchodzący ze śmiechem.

Els wrócił na pas ruchu. W kabinie wozu wciąż unosiły się reperkusje, zupełnie jak w Leningradzie w dzień sądu. Publiczność urządzająca owację na stojąco przez pół godziny, dyrygent unoszący partyturę wysoko nad głowę... I na długo przed tym, zanim car Józef i Komitet Centralny dostaną szansę wydać wyrok, zostaje ogłoszone ułaskawienie: uwolnić, aby mógł dalej tworzyć. Niech sobie będzie mętny, formalistyczny, ezoteryczny, niejasny. Niech sobie kpi, zniesmacza, obraża. Byle komponował, podążając za nutami – jakiegokolwiek kształty przybiorą.

Jednakże tajna policja nigdy się nie myli. Wysiłkom na rzecz bezpieczeństwa nigdy nie ma końca. Dojdzie do powtórki: kolejna zasadzka ustawiona na górze, kolejny publiczny atak przypuszczony przez inżyniera

ludzkich gustów. Szostakowicz zostanie skazany na dożywotnią zabawę w kotka i myszkę, będzie wiecznym celem na tej wojnie z dysonansem, dysydentami i dysforią. Jego muzykę już zawsze będą stanowić wariacje na temat wisielczego tańca. Dziesiątki lat później, długo po śmierci Stalina, kompozytor wciąż będzie nosił zawieszoną na szyi paczuszkę z pełnym tekstem artykułu *Łoskot zamiast muzyki*. Jego słowa dadzą mu wolność, jakiej może doświadczać tylko wróg ludu.

Els zmienił pas, włączając się w kolumnę aut zmierzającą w stronę Missisipi. Drzenie osłabło i rozwiało się, zastąpione przez uczucie wielkiej lekkości. Syrena wozu policyjnego – zarodek nowej idei muzycznej. Ostatnie echa *Allegra* przebrzmiały, pogrążając Elsa w szumie silnika i kół. Niegdyś nazwałby to ciszą, dziś słyszał w ruchu drogowym symfonię.

Ze smartfona dobiegła melodyjka i na wyświetlaczu pojawiło się okienko. Peter zjechał aż na linie wibracyjne, starając się odczytać wiadomość. Odtwarzacz zachęcał go do głosowania. Na ekranie widniały dwie wyraźne ikonki: kciuk w górę, kciuk w dół. Wystarczyło, by którąś wybrał – wydając wyrok z wyżyn swej łoży – a los kompozycji raz jeszcze zostanie przesądzony.

Dobrnął do przedmieść St. Louis. Minął ciąg sklepów, osiedle domków. Wkrótce z horyzontu wyrósł Łuk Wjazdowy Saarineny – brama na Zachód.

#

Wyćwiczone ucho potrafi wskazać macierzysty ocean,  
z którego pochodzi muszla, na podstawie samego jej szumu.

#

Przelatuje wzrokiem artykuł prasowy, który mu rzuca Bonner. Sekta hołdująca wspólnej własności i poligamii ogłosiła autonomiczne Miasto Boga gdzieś w środkowym Teksasie. Najpierw sądzi, że to stuknięta kampania reklamowa opracowana przez Bonnera specjalnie na potrzeby premiery *Sidel*: koczujący na pustyni, pogrążeni w ekstazie wyznawcy śpiewają, modlą się i czekają końca świata. Spartaczona akcja Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych. FBI oblegające ośrodek sekciarzy kordonem równie ciasnym jak okopy biskupa pod Münsterem.

Brzmi to zbyt znajomo, aby mogło się dzieć naprawdę.

– O co w tym wszystkim chodzi?

Bonner robi coś dziwnego ze swoimi wargami – powiedzmy, że się

uśmiecha. Zerka na scenę, gdzie Jan z Lejdy – z mieczem w ręku – rozpoczyna przykuwającą ostatnią arię drugiego aktu:

*Aby uczynili nad nimi sąd napisany. Taka jest chwała dla wszystkich świętych...*[55]

– Ha, aż trudno uwierzyć, no nie? Ale to już trwa od wielu tygodni. Skąd można było wiedzieć? Cuda się zdarzają, kiedy człowiek jest zajęty...

Els gramoli się ze swego miejsca i skręca w przejście. Bonner łapie go za nadgarstek.

– Dokąd to?

Els nie ma pojęcia, dokąd zmierza. Do najbliższego telewizora. Do biblioteki. Do biura dyrektora artystycznego opery miejskiej celem zapewnienia o swej niewinności.

W końcu jednak siada z powrotem.

– Ile ci o tym wiadomo? – Przybiera absurdalny, oskarżający ton.

– Tylko tyle, ile wyczytałem w gazetach.

Els ponownie wpatruje się w ziszczoną przepowiednię.

– To niemożliwe.

Oblicze Bonnera się rozświecila.

– Prawda? Istna kopalnia złota. Ktoś nad nami czuwa.

Els ma ochotę dać mu w nos. Nie robi tego jednak, tylko znowu wstaje. Tym razem Richard nawet nie stara się go zatrzymać. Els truchtem wybiega z sali, w chwili gdy rozpoczyna się próba trzeciego aktu.

Parę godzin później Peter wie na temat Waco tyle co inni. Okopuje się w swoim pokoju u Richarda przed telewizorem, otoczony gazetami. Obserwuje impas eskalujący wedle logiki koszmaru. Machina wojenna imperium działa w najlepsze. Oblężenie odnosi zamierzony skutek: rebelianci zostają odcięci od świata. Garstka wyznawców skupia się wokół swego mesjasza, żywiąc się zachomikowanymi racjami i wodą deszczową. Els właściwie nie musi na to patrzeć – ostatnie trzy lata spędził na komponowaniu tego, co się tam dzieje.

Wieczorem Richard zastaje go przy oglądaniu nagrania wideo nakręconego z helikoptera wojskowego. Kilkudziesięciu fanatyków religijnych zabunkrowało się w obronie przed najpotężniejszą armią na ziemi. Głos zza kadru informuje, że oblężenie kosztuje podatników milion dolarów tygodniowo. Szersze ujęcie kamery pokazuje pobliskie prowizoryczne pole kempingowe – ludzie zjechali się kamperami, aby na własne oczy śledzić

wydarzenia. Siedzą wzdłuż szosy na krzeselkach turystycznych, grają w karty i grillują, oczekując na finał tego spektaklu na żywo.

Els, nie odwracając się od ekranu, odzywa się widmowym dyszkantem:

– To nie jest zbieg okoliczności.

Bonner trzyma naręczce tajszczyzny i notatek z ostatniej próby.

– Peter... Wyłącz to. Zjemy coś.

– Ale co to oznacza? Bo musi coś znaczyć...

– Znaczy, że razem jesteśmy genialni. Ty i ja, każdy z nas. Medium jak się patrzy.

– Ludzie pomyślą, że my...

Lista tego, co pomyślą ludzie, nie ma końca. Mogą zostać oskarżeni o nieprzyzwoite szczęście, wyjątkowo zły gust, oportunizm, swego rodzaju faustowski pakt.

– Richard... – odzywa się Els. – Musimy to przerwać.

– Jasne. Zaraz przekręcę do Janet Reno.

Els go nie słyszy. Gapi się w zaciśnięte kłykcie. Spiker gładko przechodzi do newsa o Światowej Organizacji Zdrowia, która ogłosiła, że gruźlica jest znów palącym globalnym problemem. Bonner je; Els mu się przygląda. Nie obłąkanie Waco chce przerwać, tylko obłąkanie Münsteru.

Dwa dni później agenci Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych wdzierają się na teren sekty. Wyposażeni w transportery opancerzone, wozy bojowe, gaz łzawiący, wyrzutnie granatów. Potem wybuchają płomienie. Els, zapytany, uprzedziłby, że wszystko szejnie w ogniu. Ginie prawie setka dorosłych, w tym ponad dwadzieścioro dzieci – od strażów, wybuchów i płomieni – a wszystko to jest pokazywane w światowej telewizji na żywo.

Els nie ma potrzeby oglądać tego do końca. Wie, jaki będzie finał, gdyż sam go napisał. Stoi w mieszkaniu Bonnera w przepoconym ubraniu, z palcami przyciśniętymi do czoła, i czeka, aż ktoś mu powie, co ma zrobić. Nie otrzymawszy żadnych rozkazów, wychodzi na upalne popołudnie i wskakuje do taksówki, która go zawiezie do Centrum Lincolna.

Richard siedzi w trzecim rzędzie, naskakując na głodujące tłumy Münsteru.

– Więcej nadziei, proszę! – krzyczy. – Wy wciąż wierzycie, że Bóg zstąpi z wysokości i elegancko załatwi biskupa i całą hołotę na jego usługach, rżnąc wszystkich prosto w dupę!



Els opada na fotel po drugiej stronie przejścia. Kiedy Richard pozostawia znów sceniczną planetę samą sobie, Els dzieli się z nim najnowszymi wieściami. Reżyser patrzy na kompozytora, jakby ten był stażystą z college'u odbywającym praktykę w ekipie technicznej i właśnie zaczął udzielać mu rad w sprawie didaskaliów.

– Peter, jestem trochę zajęty. Za parę dni prapremiera. Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić?

– Musimy to przerwać – oświadcza Els.

Bonner prycha i unosi ręce do nieba. Pohukuje. Uśmiecha się szerzej niż kiedykolwiek od czasu, gdy dubler Knipperdollinga wleciał do fosy orkiestrowej i stłukł sobie kość ogonową.

– Chyba ci, cholera, odbiło.

– No dobrze – paktuje z nim Els. – Musimy chociaż przełożyć...

Bonner sarka. Nie ma na to innego *dictum*.

– Moglibyśmy wystartować w następnym sezonie – upiera się Els. – Albo przynajmniej później jeszcze tego...

– Peter – wpada mu w słowo Bonner. – Ogarnij się. Zadłużyliśmy tych ludzi na siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wystarczy dwudniowe opóźnienie, żeby ich dobić.

Gwoli prawdy – odkąd sprawa w Teksasie trafiła na pierwsze strony gazet – sprzedaż biletów ruszyła z kopyta, tak że koncert premierowy ma szansę odbyć się przy pełnej sali. Dział marketingu opery ożywił się: stare plakaty zaklejane są nowymi, z napisem „NIE PRZEGAPCIE NEWSA ZNANEGO PRZESZŁOŚCI”.

– Niewinne dzieci... – kontynuuje niezrażony Els – ...spalone na popiół przez agentów federalnych...

Na scenie wszczyna się zamieszanie. Ponieważ sprzeczka dotyczy didaskaliów, Bonner biegnie zażegnać kryzys. Els nie odpuszcza.

– Nic z tego nie jest naszą winą – mówi mu Richard bez odwracania.

Els chwyta go za łokieć.

– Posłuchaj... Jak tylko ludzie zobaczą... Nie możemy tego wykorzystywać. To byłoby nieprzyzwoite.

Na twarzy reżysera pojawia się szczere zdumienie. Ostatni zarzut jest tak dziwaczny, że wzbudza jego zainteresowanie.

– Przecież to twoja historia, maestro. Chcesz zrezygnować teraz, gdy stała się częścią rzeczywistości?



O krótkim trzecim akcie da się powiedzieć tyle dobrego: galopująca akcja budująca napięcie i wyścig do mety. W ciągu zaledwie jednego recytatywu i dwu arii biskup gromadzi poparcie na Północy i zaciska sidła wokół szalonego królestwa. Miasto Boga nie ma innego wyjścia, jak tylko poddać się losowi w szeregu nieziemskich refrenów. Obleżenie się domyka; zaczyna brakować żywności. Łagodna *siciliana* dźwiękami harf i fletów zapowiada pomór. Wyznawcy utrzymują się przy życiu, zjadając wszystkie psy, koty i szczury w obrębie murów. Gdy kończą im się zwierzęta, przerzucają się na trawę, ziemię i porosty, następnie na skórzane buty i stare ubrania, a wreszcie zaczynają konsumować zwłoki swoich zmarłych – wszystko to do wtóru żwawego tańca utrzymanego w metrum 12/8.

Jan z Lejdy, mesjasz i król, odwołuje się do swych ukochanych teatrzyków. Ostatnie dni przemienia we wspaniałą maskaradę. Na miejskim rynku odbywają się krotochwile, a w murach katedry odprawiona zostaje obsceniczna msza. Sprośne postacie kłębią się i macają wzajemnie. Poszatkiwane urywki świętej pieśni zataczają wznoszące się koła, aż cała orkiestra uderza w bachiczne tony.

W zamęcie wznieconym przez instrumenty dęte blaszane grupa zrozpaczonych poddanych krawca-króla ucieka z miasta. Jednakże żołnierze książęcej armii przyszpilają uciekinierów na wąskim pasie łąk między miejskimi murami a okopami. Niedobitki czołgają się po ziemi, pożerając trawę niczym wygłodzone zwierzęta, dopóki zieleni nie przesłaniają ciała. Melodia staje się obłąkańcza; smyczki ślizgają się po strunach *sul ponticello*, dobywając całkiem innych harmonii.

Wszyscy co do jednego członkowie orkiestry rzucają się w wir *tutti*. Oblegający wdzierają się do miasta, po którym chodzą żywe trupy. Obiecuja mieszkańcom swobodę w zamian za złożenie broni, po czym wyrzynają ich do szczytu, gdy tylko obrońcy się poddadzą.

Knipperdolling i Jan z Lejdy, aktor amator, trafiają w ręce kata uzbrojonego w rozżarzone szczypce, a następnie zostają wywieszani w klatce z wieży kościoła Świętego Lamberta, ale upadły zbawiciel nie wydaje podczas katuszy ani jednego dźwięku. Jego końcowa aria – ostatnie publiczne wystąpienie – równa się kompletnej ciszy podkreślanej przez aurę smyczków.

Melodia opada do prawie niesłyszalnego *pianissimo*. Później, jakby znikąd, powraca znów w pełnej chwale. Motyw przewodni pochodzący z pierwszych taktów opery pojawia się wzmocniony przez wiolonczelę i puzon. Znacznie teraz silniejszy, rozwija się w wielkim zdziwieniu. Na scenę wylegają dusze martwych śpiewające *De Profundis*. Melodia czyni z tysiącletniej idiomatyki muzycznej istny cud. Tylko nieliczni z premierowej publiczności są w stanie śledzić bogate harmonie. Mimo to zrywa się aplauz, gdy tylko dyrygent opuści ramiona.

Współpracownicy pomagają Elsowi wspiąć się na scenę. Potyka się w swoim fraku, oślepiony przez porażającą czerń. Zewsząd otaczają go dźwięki, coś jak syk obracającej się płyty z czasów, gdy zasypiał, słuchając ojcowskich winylów. Peter nie potrafi stwierdzić, co mówi ten biały szum ani też co właściwie przeżyła publiczność. Sam słyszy wyłącznie krzyki płonących dzieci, szyderstwo losu, brzydkie odgłosy własnej nieskończonej próżności.

Spogląda na audytorium z uczuciem mdłości. Przez całe życie pragnął tego: sali pełnej wiernych słuchaczy. Ale teraz ci słuchacze chcą czegoś od niego. Wyjaśnienia. Przeprasin. Bisu.

Ktoś po jego prawej – szaleniec, stary przyjaciel – ujmuje pięść Elsa i unosi ją w powietrze. Po lewej szczyrzy się zmartwychwstały Jan z Lejdy. Petera ze wszystkich stron otaczają współpracownicy: dyrygent, kierownik chóru, choreograf, odtwórcy głównych ról i członkowie chóru. Zmasakrowani wyznawcy i oblegający najemnicy trzymają się za ręce i kłaniają, uśmiechając się do siebie nawzajem i do Elsa, twórcy – nareszcie uznanego, nareszcie zrehabilitowanego po długich latach poza nawiasem. Peter odwraca się i zaczyna ciężko się przedzierać przez uszczęśliwioną obsadę, usiłując dotrzeć do szczeliny w aksamitnej kurtynie, zanim zawartość żołądka podejdzie mu do ust. Tu także ponosi klęskę.

#

Taka mała myśl, a przecież potrafi wypełnić całe życie!

#

Usypany ludzkimi rękoma Kopiec Mnicha był widoczny jeszcze z autostrady. Niegdyś stanowił on centrum miasta większego od Londynu czy Paryża, ośrodek sztuki wspólnotowej i niebezpiecznej. W dzisiejszych czasach leżał na terenie muzeum odwiedzanego wyłącznie przez ściąganych siłą uczniów. Na widok imponującego stożka Els zapragnął zjechać

z autostrady, wysiąść z auta i podjąć wspinaczkę. Skoro i tak miał zostać złapany, Cahokia była miejscem równie dobrym jak każde inne. Jednakże znalazł się za blisko celu, aby pozwolić sobie się zatrzymać.

Droga skręciła ostro w prawo i nagle przed jego oczyma – bez ostrzeżenia i bez porównania – rozpostarła się Missisipi. Wydawało się, że woda pokrywa cały krajobraz. Els patrzył na to płynące jezioro takim samym wzrokiem jak pierwszy zbieg, który się natknął na tę przeszkodę.

Głos prowadził go genialnymi zawijasami w głąb południowo-zachodnich przedmieść St. Louis. Elsowi pozostawało tylko trzymać się drogi i wypełniać polecenia. Kiedy już dotarł na miejsce, okolica go zdziwiła – różniła się znacznie od tego, co wyobrażał sobie przez minione trzydzieści lat. Okazałe domy stały w pewnym oddaleniu od ulicy, za fosami trawników. Cegła, kamień ciosany i mur pruski. Przełom wieku XVIII i XIX, dziewiętnaste stulecie, późniejszy styl klasycystyczny i modernizm początków XX wieku. Budynki naśladowały style architektoniczne równie udatnie jak Strawiński muzykę dawną.

Choć był środek tygodnia, ulice straszyły pustkami. Nawet w narożnym parku Els nie uświadczył żywego ducha. Wszyscy ludzie poukrywali się za drzwiami swoich domów. Równie dobrze władcami Ziemi mogły być rozdokazywane wiewiórki.

Peter zjechał ku krawężnikowi. Przez lata naoglądał się fotografii córki i kalejdoskopu jej przyjaciół na tle budynku w różnych porach roku. Teraz pastelowa fasada emanowała delikatnym żółtym światłem. Siedząc wciąż w wozie, Els zaczął się obawiać, że ta nieoczekiwana zasadzka to pomysł jeszcze gorszy niż założenie domowego laboratorium mikrobiologicznego. Wybrał jednak dawno zakodowany w pamięci numer telefonu.

W słuchawce rozbrzmiewał sygnał, ale światłocien za przesłoniętymi oknami nie zmienił się ani na jotę. W końcu rozległ się niski, oschły i nieco podejrzliwy głos:

– Słucham.

Niegdyśiejszy sopran przedzierzgnął się w kontralt.

– Kto tam?

Dwie akcentowane ósemki i jedna ćwierćnuta; opadająca kwinta, a po niej seksta w górę. Kojący trzydziżwiękowy motyw okazał się tak wyjątkowy, że Els potrzebował aż dwóch wydłużonych taktów, aby powiedzieć:

– Maddy.

Rytm jej oddechu odbijał się echem w przestronnym wnętrzu domu. W tle było słycać taśmę audio do ćwiczeń: żwawe rozkazy zdrowotnego faszyzmu.

– Przepraszam – odparła wcale nieskruszona – ale kto mówi?

– Peter – rzucił głosem nie do poznania.

Odpowiedziała mu cisza w tonach niedających się przełożyć na notację muzyczną. Tak to już było z dźwiękami. Nawet ich brak niósł więcej odcieni, niż wychwytywało ludzkie ucho.

– Peter – powtórzyła.

Chciał jej powiedzieć: nie przejmuj się, życie to suka.

– Wyświetlacz pokazuje nazwisko Kohlmann.

– Tak – odparł głosem sugerującym mnogość podsłuchujących. Maddy zawsze miała dobre ucho.

– Gdzie jesteś? – zapytała ciężkim głosem.

Elsowi wyrwało się coś jakby śmiech.

– Ciekawe, że o to pytasz...

Milczała przez parę sekund. W końcu morskie zasłony drgnęły i w wykuszowym oknie pokazała się towarzyszka jego młodości, osoba wierząca w zdolność ludzkiego umysłu do uniesienia w powietrze Pentagonu. Przyłożyła dłoń do szyby. Els powtórzył jej gest, dotykając okna od strony kierowcy. Maddy przerwała połączenie.

Będąc kompozytorem, przez całe życie umiał stwierdzić dokładny czas trwania minuty. Tym razem odczekał cztery z nich. Potem także się rozłączył i uruchomił ponownie silnik. Jego plan nie przewidywał niczego więcej. Będzie jechał przed siebie, aż zostanie złapany – najprawdopodobniej w motelu w którejś z Dakot.

Fiat odbił od krawężnika. W tej samej chwili otworzyły się drzwi frontowe. Miała na sobie długą oliwkową szmizjerkę i szarą prostą kamizelę. Była tęższa i niższa, niż ją zapamiętał. Jej stopy szukały oparcia na ścieżce z kamiennych płyt niczym stuknięcia laski niewidomego.

Otworzyła drzwi od strony pasażera, wślizgnęła się do środka i obróciła twarzą do niego. Obrzuciła spojrzeniem jego wymizerowaną twarz i potrząsnęła głową.

– Zasada pierwsza – odezwał się. – Myk w lewo, kiedy oczekują po tobie myku w prawo.

Uśmiechnęła się kącikiem warg. Żadne z nich nawet odrobinę nie

nachyliło się ku drugiemu.

– Co ty tutaj robisz?

Patrzył na nią, zalewany falami przeszłości. Maddy uczyniła gest w stronę przedniej szyby.

– Ruszaj.

Ruszył, kierując się jej wskazówkami. Wyjechali z liczącej kilka przecznic spokojnej dzielnicy mieszkalnej i wydostali się na szerszą ulicę. Nie odzywali się do siebie, jakby byli starszym małżeństwem odbywającym tysięczną wspólną przejażdżkę w swoim życiu. Zapragnął przekazać jej kierownicę, żeby sprawdzić, czy wciąż prowadzi samochód jak bojer po wietrznym północnym jeziorze.

– Tęskniłem za tobą, Maddy.

Pociągnęła nosem i podrapała się po skrzydełku.

– Błagam, daruj sobie. Nostalgia nie przystoi bioterrorystyce.

Zawiodła go na parking centrum handlowego wielkości średniego bałkańskiego państewka po rozpadzie Jugosławii. Els spanikował.

– Nie dam rady.

– Nie bój się – odparła. – Nikt nie szuka pary.

Wpasował fiata w lukę i wyłączył silnik. Potem odwrócił się do niej.

– Pięknie wyglądasz – powiedział. – Praktycznie nic się nie zmieniłaś.

– Chryste! Nigdy nie umiałeś używać zmysłu wzroku, co? – Uniosła ręce, pokazując obwisłe ramiona, i odchyliła głowę, odsłaniając odrosty we włosach. Zmarszczki w kącikach jej oczu i ust przypominały znaki pisma klinowego odcisnięte w zapieczonej glinie.

Els wzruszył ramionami.

– Zmysł wzroku jest przeceniany.

Siedzieli na parkingu, trzymając dłonie złożone na kolanach. W alejce na wprost nich jakaś kobieta pchała wózek wyładowany kartonem, w którym dałoby się mieszkać. Maddy gapiała się przed siebie, nie spuszczać spojrzeń z czegoś, czego nie widział Els.

– Hm – odezwała się w końcu. – Nie wierzę, że zrobiłeś to, o co cię oskarżają.

– Chyba jednak zrobiłem – wyznał Els cicho.

– Po prostu zachowując się jak kryminalista, wyolbrzymiłeś głupie nieporozumienie, aż nabrało rozmiarów przestępstwa federalnego.

Peter poczuł, jak wzbiera w nim naiwna nadzieja. Maddy zawsze była

mądrzejsza od niego. Okna zaparowały od wewnątrz. Pasażerka zabrała się do malowania petroglifów na szybie po swojej stronie.

– Bakterie modyfikowane genetycznie? Akurat! Nie potrafisz nawet zagrzać w mikrofalówce zwykłej zupy pomidorowej.

– Dokonałem tego – zapewnił ją Els.

Pokręciła głową przecząco.

– Niemożliwe.

– Pierwszy lepszy student z odrobiną oleju w głowie...

– Nie, nie wierzę... – Jej dłonie zatrzepotały, odpychając fakty.

Mieli po siedemdziesiąt lat. Przez trzecią część stulecia byli rozwiedzeni. A kłócili się już na pierwszej randce.

– Padły jakieś konkretne zarzuty pod moim adresem?

Dłoń uniosła się do oczu i pomasowała czoło.

– Dobry Boże. A ja uważałam cię za naiwniaka, kiedy miałeś dwadzieścia pięć lat.

– Uważałaś mnie za...? Zawsze była z ciebie szalona idealistka.

Wyjrzała przez okno na inną przeszłość. Na chodniku przed mosiężno-granitowym głównym wejściem trzy kobiety na segwayach rozdawały czerwono-biało-niebieskie torby z uszami. Kilkuosobowa grupka dzieciaków – wyglądających na czarodziejów ze szkoły z internatem – wbiegała do środka, spóźniona na ćwiczenia z arkanów magii. Maddy potrząsnęła głową.

– Tymczasem stanowisz największe zagrożenie dla bezpieczeństwa tego kraju od tamtego pełnego propanu pathfindera na Times Square.

Zaczął się śmiać. Kiedy Maddy zwróciła znów na niego spojrzenie, strach w jej oczach tylko podsycił jego śmiech. Popłakał się z poczucia własnej absurdalności i nie był w stanie zapanować nad łzami. Położyła mu dłoń na kolanie. Wstrząs spowodowany jej dotykiem otrzeźwił go w jednej chwili. Uniósł rękę, walcząc o oddech.

– Wybacz. To przez to ciągłe napięcie. Zaczynam wariować.

Pociągnęła go za kant spodni.

– Chodź, wrzucimy ci coś na ruszt.

Pośrodku *food court* stała kręcąca się karuzela: wir kolorowych światełek i luster, z pozytywem. Na jednym krańcu eliptycznej hali ze stanowiskami restauracyjnymi czterej krępi mężczyźni ubrani w spodnie drelichowe i bluzy grali na gitarach i śpiewali do mikrofonów piosenki do słuchania w zawieszonych wysoko nad wyschniętą ziemią kabinach ciężarówek. Na

drugim krańcu chórek utworzony z dziecięcych czarodziejów był miarowo przetrzebiany przez bezlitosny tłum gapiów.

Maddy bez trudu wystarała się o dwa kawałki pizzy i gazowane napoje. Usiedli naprzeciwko siebie przy czerwonym plastikowym stoliku, który przetrwa nawet zagładę rodzaju ludzkiego wskutek śmiertelnego ocieplenia. Wokół posilało się jakieś pięćdziesiąt osób. Kilka razy tyle kręciło się przy franczyzowych stoiskach. Większość od tygodnia miała przed oczyma jego fotografię. Mimo to nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Spoglądał ponad blatem na kobietę, która nosząc w brzuchu jego dziecko, pojechała z nim do Bostonu wozem z pięciometrową przyczepą przewodzkową. Wystarczyła minuta, aby przestały go dziwić jej kurze łapki, pergaminowa skóra i plamy wątrobowe – miał wrażenie, że Maddy była taka od zawsze.

– Na ile poważne mam twoim zdaniem kłopoty?

Maddy rozważała odpowiedź z bezpiecznej odległości.

– Och, chcę cię wsadzić do więzienia, i to na bardzo długo. Wydajesz się straszakiem doskonałym.

Jej łagodne rysy dodawały: „Groby, jak widać, zostały stworzone do tego, aby na nich tańczyć”.

– Ludzie rzucili się kupować maski przeciwgazowe. Tabletki do uzdatniania wody. Jesteś gwiazdą internetu.

– Tak – zgodził się. – Sława nareszcie mnie dopadła.

Maddy zarzuciła nitkę roztopionego sera z powrotem na spód pizzy i mrużąc oczy, wpatrzyła się w trzymany w ręku kawałek, jakby to był horoskop.

– Zatem naprawdę to zrobiłeś.

– Co?

– Genetyczne czary-mary.

– Owszem.

– Zmodyfikowałeś DNA żywej istoty?

Wzruszył ramionami.

– Setki firm zajmują się tym na co dzień.

– Ale dlaczego? Co cię opętało?

Od strony sceny muzycznej z brzdąkającymi na gitarach starszankami w drelichach doleciała melodia, której nie potrafił zaklasyfikować.

– Zdumiewające – powiedział.



- Co takiego?
- Wszystko.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Jak miałyby jej to wyjaśnić? Życie. Czteromiliardowy ciąg przypadków, dzięki któremu powstała partytura niesłychanej misterności wbudowana w każdą żywą komórkę. Przy czym każda komórka była jedynie wariacją pierwotnego motywu, dzielącego się i namnażającego bez końca. Wszystkie te sekwencje, długie na wiele gigabitów, tylko czekały na to, by je odsłuchał, spisał, zaaranżował, porządkował i dodał ten sam umysł, który powstał wcześniej za ich sprawą. W takim medium warto było rzeźbić – wystarczyło pomyśleć o nieokiełznanych formach i świeżych dźwiękach. Wieczna, niczyja muzyka...

Przekonywał ją z obnażonymi dłońmi.

- Manipulujesz przy toksycznych organizmach?

Z głośników centrum handlowego popłynął dudniący kontrapunkt dla mocnego rocka dolatującego ze sceny, melodii pozytywu oraz chóru piknięć i piosenek setki smartfonów i telefonów komórkowych. Els słyszał swe myśli równie wyraźnie, jak widział gwiazdy w samo południe.

Tuż przy sąsiednim stoliku siedziała para w średnim wieku, zjadająca wspólnie loda włoskiego i trzymająca się za ręce niczym nastolatki. Mimo to Maddy nie zniżyła głosu.

– To część jakiegoś projektu? Swego rodzaju awangardowy numer? Zemsta na niewdzięcznej publiczności, której zapragnąłeś napędzić stracha?

Zaśmiał się krótko, jednosylabowo, warcząco.

- Niezły pomysł!
- Złamałeś jakieś przepisy?
- Żadnego. Zresztą nie ma ich tak wiele.

Przez oblicze Maddy przemknęła nadzieja.

- W takim razie zgłoś się na policję.

Jej rada – taka prosta, taka oczywista. Przez moment Peter był gotów jej posłuchać. Jednak zaraz sobie przypomniał.

- Obawiam się, że ten most już spaliłem.
- Jak to? Nie rozumiem...

Podniosła wzrok i pobiegłszy spojrzeniem ponad elipsą jedzących, pokazała palcem. Na drugim końcu elipsoidalnego *food court*, za głowami jedzących, dwaj mundurowi – asonans dla „policjanci” – przeciskali się przez

niebaczny na nich tłum. Ochrona centrum handlowego. Elsa ogarnęła panika. Ale potrzebował zaledwie piętnastu sekund, aby zrobić to, po co tutaj przyjechał. Nachylił się ku Maddy, nie dotykając jej jednak.

– Mad? Zanim cię poznałem, chciałem zostać chemikiem. Nawet studiowałem chemię w college’u.

– Wiem. Byliśmy małżeństwem, nie zapominaj.

– Wybacz. Mówię bez ładu i składu.

– Co próbujesz powiedzieć? Że to tylko jakaś zastępcza fantazja? Droga nieprzewędrowana?

– W pewnym sensie tak. Ja... Ja tylko próbowałem...

– O, cholera! – Maddy uniosła dłoń do ust, otworzyła szeroko oczy. – Ty w tym DNA komponowałeś!

Brzmiało to rzeczywiście śmiesznie. Z drugiej strony czym była muzyka, jeśli nie czystą zabawą?

Wpatrywała się w niego tak jak tylko raz przedtem, w wieczór ich zerwania. Wtedy, gdy powiedziała: „Przecież to muzyka eksperymentalna. Nikt jej nie słucha. Ani nie zamierza słuchać. To koniec, Peterze”.

– Czego ty właściwie chcesz? – syknęła teraz.

Jej gniew go zaskoczył. Przez wszystkie te lata pragnął tylko odwdzińczyć się czymś równie doskonałym jak to, czym sam został obdarowany. Chciał skomponować coś, czego warto by było słuchać, i posłać to w szeroki świat.

– Maddy... – odezwał się znowu. – Popełniłem błąd.

Wygładziła rzadkie włosy.

– Najwyraźniej.

– Nie – zaprzeczył. – Nie mówię o genetyce. To zrobiłbym jeszcze raz, gdyby było trzeba.

Ochroniarze byli już blisko. Przystanęli, żeby poflirtować z Latynoską obsługującą jedno ze stoisk. Po chwili wtargnęli między stoliki, przeczesując wzrokiem ciżbę. Els zebrał się w sobie i ukrył twarz. Maddy uśmiechnęła się do przysadzistego funkcjonariusza, gdy mijał ich stolik. Mężczyzna w odpowiedzi uniósł jeden palec do brwi w salucie. Obydwaj zaczęli się oddalać ku czarodziejskiemu *talent show*. Maddy nadeła policzki i wypuściła głośno powietrze. Była wymarzoną współpracowniczką każdego muzycznego bioterrorysty.

Gdy Els odzyskał już zdolność mowy, powiedział:

– Chyba byłem psychicznie chory.

Maddy zwróciła się w jego stronę, przekrzywiła głowę.

– Tak też sobie pomyślałam.

– Nie. Nie teraz. Wtedy. Nie powinienem był opuszczać ciebie i Sary dla muzyki. Nawet jeśli chciałem zmieniać świat.

Wypowiedział ostatnie słowa, którymi chciał się z kimś podzielić w tym życiu. Ogarnął go spokój – uczucie, jakiego nie zaznał od śmierci Fidelio. Maddy uciekła spojrzeniem; jej oczy były teraz równie puste jak przeszłość. Kochankowie w średnim wieku – po ślubie, aczkolwiek wyraźnie nie ze sobą – wstali i zaczęli się oddalać, chichocząc i zlizując sobie nawzajem lody z palców.

– Przecież mieliśmy już muzykę – dodał Els. – Całą muzykę, jakiej ktokolwiek może chcieć.

Osamotniona na podwyższeniu drelichowa grupa przeszła do swego finału. Konkurs czarodziejów wyłonił finałową czwórkę. Maddy zlustrowała badawczo *food court* – dźwięki, które serwował – po czym skierowała znów uwagę na dźwięki, na których zależało jemu.

– Ta sprawa z komórkami. Próbowales osiągnąć nieśmiertelność?

– Być może – przyznał Els.

Pierś Maddy unosiła się i opadała.

– Na tym zawsze polegał twój problem. – Poszukała czegoś na dnie kubka. – W przeciwieństwie do ciebie dla mnie ważniejsza była i jest terażniejszość.

Siedzieli w kotle głosów i świateł jak przed laty na przedstawieniu *Muzycyrku*. Els uniósł resztę kawałka pizzy pepperoni.

– To samo jedliśmy na pierwszej randce.

– Naprawdę? – zapytała.

– Dopiero co zaśpiewałaś moje Borgesowe utwory. Dałem ogłoszenie na wydziale, obiecując pizzę za godzinę piłowania. Zgłosiłaś się.

– Naprawdę? W tamtych czasach byłam wiecznie głodna.

– Gniewałem się na ciebie o to, że nie pokochałaś ich od pierwszego przesłuchania.

– Och! – Poderwała wzrok zdziwiona. – Ależ pokochałam!

Ustąpił nie mniej zaskoczony. Przejechał taki kawał, ażeby przyznać się przed tą kobietą do głównego życiowego błędu. Lecz powietrze wokół nich zaroilo się od błędów, których nawet nie pamiętał. Coś się w nim osunęło,

lawina strachu.

– Twój patchwork... – podjął. – Zakopałem go razem z psem.

Pokręciła głową, wciąż go nie rozumiejąc.

– Byłem w kiepskiej formie. Nie wiedziałem, co robię.

– Na litość boską. – Zamachała ręką. – Zrobię ci drugi, jak będziesz w więzieniu.

– Serio? Wróciłaś do zszywania patchworków?

– Jestem na emeryturze. Muszę mieć jakieś zajęcie.

– Lepiej uważaj – przestrzegł ją. – Tak to się zaczyna.

Sięgnęła nad czerwonym plastikowym blatem i nakryła dłonią jego pięść. Skórę miała zimną. Starcza tkanka nie utrzymywała ciepła.

– Peter... oni cię wykorzystają. Użyją jako przykładu.

Rozwarł pięść i ujął jej palec. Jego życie pełne było nieustraszonej muzyki. Cała sztuka polega na przypomnieniu sobie jej dźwięków teraz, gdy przestała już rozbrzmiewać.

Uścisnęła go mocno, po czym szybko cofnęła rękę.

– Skoro już o tym mowa... Twoja córka wychodzi z siebie. Przez ostatnie trzy dni nieustannie próbowała się z tobą skontaktować. Zeszłego wieczoru wyznała mi, że jej zdaniem możesz chcieć odebrać sobie życie.

– Zapewnij ją, że nic mi nie jest. Zapewnij, że nic mi nie będzie.

– Nakłaniasz mnie do kłamstwa?

Jego wzrok padł na kiosk ustawiony pośrodku *food court*. Reklama na nim głosiła: „NIE ISTNIEJE COŚ TAKIEGO JAK NATURALNE PIĘKNO”.

– W takim razie powiedz jej to, co usłyszałaś ode mnie.

– Dobrze – przystała na jego propozycję. – To mogę zrobić. Chociaż mógłbyś powiedzieć jej osobiście.

Maddy wstała, żeby wyrzucić resztki: papierowe talerze i jednorazowe sztucce.

– Wszystko przez strach – dodała. – Strach pokrzyżował nam życie. A tak przy okazji: kto to taki, ten Kohlmann?

Nazwisko zabrzmiało jak z innej planety. Tak samo nuta zazdrości. Els zerknął na Maddy, jednak była żona właśnie pochłaniała ostatni, zbyt duży kawałek pizzy z wystygłym już serem, usiłując ukryć zadowolenie.

– Ktoś znajomy. Ktoś, kto ma telefon.

Poprowadziła go do kubła na odpadki, gdzie pozbyli się pozostałości

ostatniego posiłku. Następnie przebiegli szpalerem sklepów w stronę wyjścia – Maddy na czele, Els parę kroków za nią, na niepewnych nogach – atakowani z obu stron przez nieskończoną obfitość tego świata.

Na zewnątrz zaczęło mżyć. Przy samochodzie Maddy rzuciła:

– Zwalmy winę na Richarda.

Els strzelił palcami.

– Genialne! Czemu o tym wcześniej nie pomyślałem?

Wsiedli do fiata, jakby zatrzymali się tylko na krótki postój w drodze na doroczną wycieczkę do Parku Narodowego Yosemite, a teraz czekał ich rychły powrót na autostradę i do zabawy w odczytywanie co ciekawszych tablic rejestracyjnych. Maddy z nieobecną miną skubała mu ramię, gdy uruchamiał silnik.

– Jaki ci się wydaje obecnie?

Wcisnął lekko pedał gazu.

– Utrzymujesz z nim kontakt?

– Chwila. A ty nie?

Wycofał się z miejsca parkingowego prosto pod koła SUV-a, którego kierowca wdusił klakson i trzymał go przez dobre dziesięć sekund. Fiat wyrwał do przodu. System pasów stanowił perwersyjny i bezsensowny labirynt wiodący do kolejnych obiektów handlowych.

Els odparł:

– Nie rozmawiałem z nim od siedemnastu lat.

Cofnęła dłoń na kolana.

– Zadzwoił do mnie parę miesięcy temu. Bierze udział w badaniach klinicznych w Phoenix. Testują tam nowy lek na alzheimera.

– W Phoenix? – powtórzył. Czuł się ogłupiały. Skręcał na chybił trafił. – Dlaczego właśnie tam?

– Dlatego, że nie brakuje tam staruszków.

Odwrócił się do niej, lecz uciekła wzrokiem. Przeniósł spojrzenie z powrotem na parking, usiany zasiekami.

Dodała:

– Od czasu do czasu telefonuje.

– Do ciebie?!

– Wyłącznie nocami. Kiedy dopada go strach. Najczęściej koło drugiej nad ranem, Charlie ma ochotę go zatłuc.

– Czy on... Czy...?

– Bez większych zmian – odparła Maddy. – Na razie. Troszkę jednak zdziwaczał. To dopiero początkowe stadium. Dzięki temu załapał się do badań. Bardzo liczy na ten lek. Odzywa się do mnie, aby udowodnić, że działa. Mówi o was tak, jakbyście wciąż byli blisko.

Els zauważył znak stopu dopiero w połowie skrzyżowania. Docisnął gaz do dechy, poruszając się niczym w brunatnym tunelu ograniczonego pola widzenia.

– Jesteście w kontakcie. Sądziłem, że go nienawidzisz.

– Richarda? Kochałam go. I kochałam ciebie. Nienawidziłam wyłącznie waszej dwójki razem.

Po jeszcze dwóch przypadkowych zakrętach zapytał:

– Dokąd właściwie jedziemy?

– Miałam zapytać o to samo... – Poruszyła brodą w górę i w dół. Oczy wbiła w jezdnię za przednią szybą. – Co zamierzasz? Chyba nie oczekujesz, że cię przechowam, co?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział.

– Mogę pomóc – rzuciła w stronę schowka na rękawiczki. – Podsunąć prawnika. Narobić zamieszania, aby odwrócić uwagę. Zaświadczyć o niewinności czy cokolwiek innego. Prawo jest prawem, prawda? A ty nie zrobiłaś nic złego. Bo nie zrobiłaś?

Przechwycił jej spojrzenie. Za późno na radosny optymizm. Przymknęła oczy i uniosła jedną rękę.

– Nie zagłębiajmy się w to.

Wjechali na spokojną uliczkę ze skromnymi bungalowami. Els zatrzymał się przy krawężniku wysadzanego klonami podjazdu. Rozpadało się na dobre, niebo przybrało barwę indygo.

– Ja... – zaczął. – Niczego mi nie trzeba. Niczego oprócz twego przebaczenia.

Maddy uśmiechnęła się smutnym uśmiechem dziewczyny z Minnesoty.

– Jest z ciebie niezły idiota. Jak mogłabym wybaczyć coś takiego?

Nie potrafił wytrzymać jej spojrzenia.

– Mad... To nasze spotkanie...? Jeszcze niedawno byłem gotów się poddać.

– No tak. – Położyła mu dłoń na ramieniu i odwróciła się do drzwi. – Ale teraz śpieszno ci do Arizony.



Skierowała go do kolejnego sieciowego motelu, stojącego przy biegnącej na zachód nitce autostrady międzystanowej numer 44. Przybytek wyglądał zupełnie jak szwajcarski szalet. Gdyby Els ruszył w dalszą drogę wczesnym rankiem, dotarłby do Amarillo przed zachodem słońca. Formalności załatwiła za niego. On w tym czasie siedział na parkingu pod latarnią, która buczała jak coś, czego komiksowy Ming Bezlitosny mógłby używać do torturowania bojowników o wolność z planety Mongo.

Maddy wróciła w dobrym humorze, niosąc klucz.

– Ciekawe, czemu mam wrażenie, że zdradzam mego drugiego męża z pierwszym...

Podala mu adres Richarda. Następnie kazała podjechać pod jej bank. Znowu zostawiła go w samochodzie i sama podeszła do bankomatu, z którego pobrała dość gotówki, aby bez przeszkód dotarł do celu.

– Dziękuję – powiedział. – Oddam, jak tylko będę mógł.

– Jeśli tego nie zrobisz, naślę na ciebie stróżów porządku.

– Wiesz... Sami mogą ci złożyć wizytę.

– Tak sądzisz?

Nieustraszona, taka znowu była. Albo zwyczajnie zmęczona ciągłym strachem. Zmęczona oddawaniem strachowi wszystkiego, co – jak się obawiała – mógł jej chcieć odebrać.

Els również był wykończony.

– Powinnaś wracać do domu. Charlie na pewno zaczął się niepokoić.

– Cóż to, starasz się ratować moje małżeństwo?

Drobna fluktuacja jej tembru i metrum powiedziała Peterowi, że Maddy cieszy się niezależnością. I to od dłuższego czasu. Melodyka mówiła wyraźnie, że prędzej czy później każdy zdobywa niezależność. Gdyby wiedzieli to za młodu, może oddaliliby się od siebie u swego boku.

Odwożąc Maddy pod dom, przypomniał sobie, że miał ją zapytać o coś ważnego, jednak nie potrafił sobie przypomnieć o co.

– Kiedy ostatnio śpiewałaś? – rzucił zastępczo.

– Trzy godziny temu. Pod prysznicem. A ty?

Zaparkował przy krawężniku, obok którego zatelefonował do niej w innym życiu. Wokół zdążyła zapaść noc. Przeszłość, za którą chciał odpokutować, zniknęła. Wyłączył silnik i przez chwilę siedzieli w ciemnościach. Maddy poklepała deskę rozdzielczą fiata.

– Zabierzesz mnie jutro ze sobą?

Wyszczrzyła się, widząc jego zmieszanie, i uśmiechała, dopóki jej na tym nie przyłapał.

– Zawsze cię zabieram.

Odpięła pas i pokręciła głową.

– To był udany utwór. Tylko nas dwoje. Chętnie zaśpiewałabym go jeszcze raz.

Pochyliła się, by go pocałować.

– Udało nam się – dodała. – Naprawdę.

Potem otworzyła drzwi i zalała lekko zmienioną przeszłość blaskiem.

#

Odchodzę jak powietrze.

#

Pragnął zniszczyć operę i rozpocząć od nowa, skoro już wiedział, jak to jest spłonąć żywcem. Nie był w stanie odwołać ani jednego spektaklu. Trzygodzinna wprawka w transcendencji została wciągnięta w ludzkie szambo. Zaszył się z powrotem w New Hampshire, lecz szum wokół *Sidel* sięgnął go nawet tam. Wywiadów w jego imieniu udzielał Bonner. Głosił, że sztuka nie wypowiada się w sprawie moralności. A opera to czysty śpiew.

Przedstawienie trafiło na okładkę miesięcznika „Opera News”. „The Times” obwołał *Sidla* „wizjonerskim dziełem”, a Elsowi przyczepił łatkę „proroka Szalonego Proroka”. W swojej recenzji niejaki Matthew Mattison stwierdził: „Zwykłe szczęście sprawiło, że nostalgiczna wprawka przedzierzgnęła się w coś elektryzującego”.

Dziennikarze zachłystywali się niesamowitym zbiegiem okoliczności. Wychwalali Elsa za artystyczną odwagę, której nie posiadał. Obwiniali za niedostateczne wykorzystanie politycznego potencjału zdarzenia, którego przecież nie przewidział.

Dyrekcja opery w Nowym Jorku postanowiła wydłużyć sezon. San Francisco i Dallas były gotowe rozpocząć produkcję własnych spektakli, póki



historia nie zeszła z pierwszych stron gazet. Els odmawiał wszystkim prośbom i przez kilka tygodni sam w sobie stanowił gorącego branżowego newsa.

Bonner odwiedził go w połowie czerwca z zamiarem przymuszenia do współpracy. Już nazajutrz Els nie pamiętał, co się właściwie wydarzyło. Richard nie opuścił nawet podjazdu. Do sprzeczki doszło wprost na usługowym żwirze. Rozmowa zaczęła się w miarę przyjaźnie. Richard powołał się na obowiązek spoczywający na twórcy, wytknął Elsowi dług zaciągnięty u wielu osób, a wyparcie się własnego dzieła nazwał tchórzostwem.

Obrzucali się nawzajem słowami: jędrnymi, pomysłowymi i utrzymanymi w wysokiej tonacji. Któryś pchnął tego drugiego, po czym szturchanie przeszło w razy. Jedyne, co utkwilo Elsowi w pamięci, to postać Bonnera otrzepującego się z kurzu i wsiadającego z powrotem do samochodu. Richard obiecał, że puści go w skarpetkach. Els, który nie miał żadnego majątku, roześmiał mu się w nos.

Ich dalsze kontakty odbywały się za pośrednictwem prawnika. Els nie oddał pola. Postarał się, aby *Sidła* nigdy więcej nie były wystawione na żadnej scenie. Ich wojna wywołała w środowisku muzycznym falę plotek. Bardzo szybko jednak plotkarze przerzucili się na chore, kiczowate spektakle Mozarta z golasami pod wodą oraz na ekscytujące nowe hybrydy – rave z rockiem, Bayreuth z Broadwayem.

Els nic z tego nie śledził. Przestał się interesować rozwojem muzyki. Przestał się interesować Richardem Bonnerem. Tym razem zerwanie było permanentne. Tyle przynajmniej stało się jasne z chwilą, gdy zakrwawiony tancerz podnosił się ze żwiru na podjeździe.

Dwa lata po tym, jak *Sidła* zniknęły na zawsze ze sceny, w Oklahoma City doszło do zamachu terrorystycznego, w którym wysadzono budynek federalny imienia Alfreda P. Murraha. Els usłyszał o tym z państwowego radia, szykując sobie obiad. Mówiło się o Arabach i ukrytych komórkach terrorystycznych. Jednak fakt, że tragedia wydarzyła się w rocznicę, miał dla Elsa decydujące znaczenie: to nie był zbieg okoliczności. Peter lepiej od wszystkich wiedział, jakiego rodzaju ukrytej wojny jest przejawem ten atak. I po raz pierwszy od dwóch lat w jego umyśle wylęgły się urywki dobitnej muzyki. Bujne pasaż instrumentalne, pędzące do przodu w dzikim pośpiechu: czwarty, jak zgadywał, bądź pierwszy akt niemile widzianego sequela. Historia była mroczna i rezonująca, warta wspaniałej melodii. Lecz

wtedy już Els wierzył w to, że zadaniem muzyki jest wyleczyć słuchaczy ze wszelkiego dramatu.

Pewnego dnia otrzymał list, przekierowany z biura opery miejskiej w Nowym Jorku. Nadawcą był pianista, który grał podczas prawykonania *Pieśni Borgesa* jeszcze na studiach. Niedysiejszy miłośnik marihuany o skrywanych jazzowych ciągotkach okazał się obecnym dziekanem Wydziału Sztuk Pięknych Verrata College, niewielkiej liberalnej uczelni artystycznej ze wschodniej Pensylwanii. *Sidła* go powaliły. „Gdybyś kiedykolwiek miał kłopoty, by związać koniec z końcem – pisał dziekan – zawsze możesz dołączyć do naszego grona wykładowców”.

Els potrzebował nie tyle pieniędzy, ile ochrony przed domem wariatów. Usystematyzowana działalność miała szansę utrzymać na wodzy wszystkie te myśli wywoływane przez przeciągającą się ciszę.

Zapomnienie istotnie go ocaliło. Przeprowadziwszy się, natychmiast wpadł w kierat pracy na stanowisku adiunkta. W trakcie jednego semestru prowadził zajęcia z kształcenia słuchu, grania *a vista* oraz podstaw teorii muzyki i harmonii. Całymi dniami uczył mozolnie solfeżu niczym jakiś sierżant w armii tonalności. Jak każdy adiunkt, w rzeczywistości był marnym sługą wlokącym bloki kamienia, stanowiące podstawę niezwykle okazałej piramidy. Jednak to, że był wykorzystywany, odpowiadało jego potrzebie zadośćuczynienia.

Rzucił się w tryby miażdżącej rutyny. Po paru semestrach uczenia elementarnych pojęć z teorii muzyki uświadomił sobie, w jak nieznacznym stopniu pojmował dotąd tajemnicę zorganizowanych wibracji. Enigma odsłaniała się przed nim z wolna, a on mógł tylko patrzeć na to z podziwem jak każdy początkujący. Usiłował wyjaśnić studentom pierwszego roku to, co najprostsze: dlaczego kadencja zwodnicza wywołuje u słuchacza tęsknotę albo jak triola powoduje suspens bądź w jaki sposób modulacja do tonacji paralelnej molowej poszerza świat – i każdorazowo przekonywał się, że sam tego nie wie.

Niewiedza była dobra. Dobra dla jego ucha.

Nadal czasem komponował – przy swym biurku pomiędzy seminariami albo w samym środku głównego budynku wydziału – nigdy jednak nie przelewał nut na papier. Ulewały się z niego całe mikrokosmosy haiku, palcówki spokoju rozpadającego się na piękne, przeciągane fermatami pauzy.

Studenci pojawiali się, uczyli i odchodzili. Niektórzy cierpieli podczas

lekcji solfeżu, doskonaląc technikę milczącego przewracania oczyma. Innych jednak odmienił na zawsze. Swym najlepszym studentom mówił:

– Niczego nie wymyślajcie; odkrywajcie.

Paru rozumiało, o co mu chodzi.

Mijały lata, a on pracował tak ciężko i z takim oddaniem, na jakie go było stać. Uprawiał ogród. Nauczył się gotować. Chodził na długie poranne spacerki. Pewnego dnia ni stąd, ni zowąd zatelefonowała do niego córka. Znalazła się przejazdem w Filadelfii, w drodze na konferencję, której uczestnikiem była jej świeżo otwarta firma. Spotkali się w gwarnej restauracji rybnej. Z nieśmiałej nastolatki, która godzinami wisiała na wymagających cyklicznego kontaktowania się BBS-ach i grała w MUD-y, wyrosła osoba znów czerpiąca radość z obracania się w wymyślonych światach. Tylko że teraz nazywało się to przedsiębiorczością.

Po pięciu minutach z tą krótkowłosą, elegancko odzianą nieznajomą w aksamitnej bluzce był od nowa zakochany. A przy tym czuł się zadziwiająco swobodnie, jakby przegadali wszystkie te stracone lata w swoim własnym języku.

– No to czym konkretnie jest wydobywanie danych? – zapytał.

– No dobra – odparła, ocierając białą lnianą serwetką wykrzywione wargi. – Powiedzmy, że chcesz się dowiedzieć, ile godzin tygodniowo spędzają na słuchaniu crunka pracujący zawodowo mieszkańcy miast na Środkowym Zachodzie, w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat.

– Moment – przerwał jej ojciec. – Może zaczniemy od początku.

– Miejsce dobre jak każde inne, żeby zacząć.

Była taka jak jej matka: solidna, kwitnąca i zakochana w swojej pracy. Cztery miesiące później wróciła na Wschodnie Wybrzeże i pojechali razem do Nowego Jorku obejrzeć wystawę obrazów. Potem zaczęły się telefony. Najpierw w każdy niedzielny wieczór, następnie aż dwa lub trzy razy w tygodniu. Lubiła go. Ale tak naprawdę był jednym z jej projektów. Najwyraźniej czuła potrzebę opieki nad nim, jakby to miało zadośćuczynić za lata, w które on nie opiekował się nią. Na któreś urodziny kupiła mu psa. Posyłała mu książki, płyty i bilety na koncerty. Doradzała mu, co ma oglądać w telewizji, a raz zabrała go ze sobą do Hamburga. Robiła wszystko z wyjątkiem jednego. Nie powiedziała nigdy:

– Zróbmy coś, tato. Coś dobrego.

Przez cały ten czas nieprzerwanie pracował. Cieszył się szacunkiem

kolegów, miał poważanie wśród sąsiadów i od czasu do czasu był darzony szczerym uczuciem przez co lepszych studentów. Po iluś latach Peter Els, sam w to nie wierząc, stwierdził, że po raz pierwszy w życiu jest nieomal szczęśliwy.

#

Zapisuję się w spadku ziemi.

#

Niedaleko Amarillo słońce – wielkie i mosiężne – opadło nisko nad horyzont. Els dalej słuchał radia. Setka ognisk epidemii ptasiej grypy w Bangladeszu i Azji Południowo-Wschodniej. Przypadki śmiertelne w Egipcie, Indonezji, Kambodży, Bangladeszu. Na opuszczonych radioaktywnych terenach wokół Fukushimy pojedyncze zarazone dzikie ptaki. Spiker nie krył podniecenia w głosie. Nareszcie coś się działo. Jeśli nawet nie w ten sezon grypowy, to w następny...

Els minął miasto bez zatrzymywania. Jego plan zakładał dotarcie do Phoenix w ciągu następnego dnia. Niepokój zbrukał mu ubranie, a w najbliższym czasie raczej nie było szans na świeżą odzież. Dom i wygoda jawiły mu się niczym więcej jak nostalgicznymi piosenkami folkowymi. Żle ocenił rozległą bezduszną pustkę Zachodu. *Da capo ad nauseam* rozciągał się przed nim pozbawiony jakichkolwiek znaków szczególnych korytarz.

Nieopodal granicy z Nowym Meksykiem zamajaczyło zapraszająco miasteczko nie większe od plamki zrobionej na mapie przez muchę. Els skręcił w jego stronę. Po przejechaniu dwu i pół mili ciemną drogą natknął się na rodzinny motelik z na wpół zgasłym neonem układającym się w jakiś marsjański napis. Z naprzeciwka przyzywał hotel sieci Holiday Inn, jednakże Peter bez wahania zdecydował się na obskurny przybytek. Po piętnastu godzinach samotnej jazdy samochodem czuł się prawie tak samo jak po obejrzeniu pięć razy z rzędu liczącego pół wieku eksperymentalnego artystowskiego filmu. Miał zawroty głowy i wrażenie, że asfalt parkingu, na który wysiadł na miękkich nogach, faluje niczym powierzchnia oceanu. Szedł pchany myślą o wyciągnięciu się w pozycji horyzontalnej na zawsze.

Jednopiętrowy ciąg pokojów biegł wokół dwóch boków zarośniętego chwastami parkingu. Zabudowania widziały lepsze czasy, aczkolwiek nic nie wskazywało na to, aby były to czasy naprawdę dobre. Rząd okien ukrywał się za ciężkimi kotarami, a naprawiane bez końca agregaty klimatyzacyjne szumiały głośno i jednostajnie. Owady w powietrzu, samolot nad głową

i krew huczająca mu w uszach dopełniały tej widmowej kompozycji.

W ciasnym hallu powitał go bukiet żrących środków czyszczących obramowany ścianami z gipsu i sękatej sosny. Za przypominającą deskę do prasowania ladą recepcji siedział ogorzały od słońca staruszek w materiałowych spodniach i w koszulce z napisem „ODWALCIE SIĘ WSZYSCY ODE MNIE”. Na wejściu uprzedził gościa:

– Płatność tylko gotówką.

Głos męczyzny brzmiał jak dźwięki wydawane przez jakiś cudowny skomplikowany mechanizm.

Els odpowiedział:

– Nie ma sprawy.

Właściciel nawet nie udawał, że załatwia formalności. Najbardziej znienawidzone słowa w każdym języku: kontrola podatkowa. Ale polityka i sztuka wchodziły w dziwne alianse, a Els cieszył się z takich sojuszników, jakich podsunęło mu życie.

W pokoju śmierdziało tytoniem i popcornem z mikrofalówki, jednakże łóżko było miękkie, co wystarczyło do tego, by uszczęśliwić Elsa. Otworzył drzwi szafy z płyty paździerzowej i stał na wprost pustego wnętrza, czując nieprzepartą ochotę, by się rozpakować. Brak bagażu trochę mu to utrudniał. Peterowi szumiało w głowie, a w jego uszach nadal rozlegało się miarowe *andante* opon sunących po nawierzchni autostrady.

Telewizor wychylał się ze ściany niczym nastawa ołtarzowa. Els włączył odbiornik w celach uspokajających. Na kanale informacyjnym leciał akurat program o hoteliku dla domowych ulubieńców. Peter sięgnął po smartfon. Federalni mogli sobie namierzyć urządzenie i wpaść do tego pokoju, by go aresztować, pod warunkiem że wcześniej zdąży wziąć gorący prysznic. Po wpisaniu w wyszukiwarce własnego nazwiska otrzymał zbyt dużo trafień, aby przejrzeć je wszystkie. Wprawilo go to w lekki niepokój, także zdziwienie oraz dodatkowo rozbawienie. Cisnął aparat na łóżko, rozebrał się i przeszedł do zagrzybionej, wyłożonej sosnową boazerią łazienki, gdzie natychmiast stanął pod prysznicem.

Bicze ukropu skwierczały o jego skórę niczym dźwięki cymbałów. Kiedy zacisnął szczęki, dzwonięcie w uszach zmieniło nieco ton. Wycierając się do sucha, słyszał wspaniałą muzykę nokturnowej *Elegii z Koncertu na orkiestrę* Bartóka tak wyraźnie, jakby docierała doń przez ściany motelu. Zamarł i zamienił się w słuch. Utwór ten, z ciężkim brokatem instrumentów dętych

blaszanych, wydawał mu się wyjątkowo godzin ocalenia z ubiegłowiecznej nieposkromionej pożogi. Skomponowanie czegoś podobnego było dostatecznym usprawiedliwieniem ludzkiego życia. Jednakże kompozycja została zamówiona z litości, a jej twórca zmarł w nędzy półtora roku później. Opłakiwało go na pogrzebie osiem osób, w tym żona i syn.

Zmęczenie przykuło Elsa do łóżka. Resztkami sił nastawił budzik na piątą rano. Ledwie się wślizgnął pod szorstkie, zmierzwiłe prześcieradła, a już usłyszał *Preludium e-moll* Chopina. Klepiąc stolik nocny celem uciszenia muzyki, dojrzał na rozświetlonym ekraniku własne nazwisko: Els, S.

– Tato. Boże, co ty wyprawiasz?

Z głową wciąż na poduszce pomyślał, że chyba śni. Ale to Maddy musiała przekazać jej numer dzięki usłudze identyfikacji rozmówcy. Technologia, rodzina, miłość – a on był więźniem ich wszystkich.

Odpark:

– Witaj, misiu. U ciebie wszystko dobrze?

– Tato, co jest z tobą nie tak? – Głos miała obcy i zachrypnięty.

– O mnie się nie martw. Nic mi nie jest.

– Gdzie ty w ogóle jesteś? Nie, chwila. Nie odpowiadaj.

– Mama powiedziała ci, że ja...

– Przymknij się – rzuciła. – Ani słowa więcej.

Przez moment tylko trzymał telefon przy uchu, zdumiony. Dane osaczały go zewsząd.

– Co ty sobie, u diabła, wyobrażałeś?

I po chwili:

– Na to też nie odpowiadaj.

Potem przez dłuższy czas sama milczała. W końcu zabeczała:

– Nic złego nie zrobiłeś. Jesteś niewinny.

Usiadł prosto i zapalił światło, jakby był po temu powód.

– Nie uważam tak – powiedział. – Już nie.

– Nic na ciebie nie mają. Nic, co by mogli wykorzystać.

– Sprawdź w internecie.

– Chryste! Robię to dziesięć razy na godzinę!

*O, moja córka! O, moje dukaty!*<sup>[56]</sup>

– To wszystko bzdury – dodała w desperacji. – Głupoty wypisywane przez ludzi robiących ze strachu.

– Właśnie w tym rzecz. Wywołałem ogólnokrajową panikę. Przymierzam

się do wypuszczenia w świat nowego śmiercionośnego szczepu.

– Tato. Przymknij się i posłuchaj. Przedstaw im fakty.

Jeśli nawet był kiedykolwiek w posiadaniu czegoś równie osobliwego, zapodziało mu się do tej chwili.

– Nie jesteś sam. Wspierają cię dobrze umocowane osoby. Twierdzą, że padłeś ofiarą kultury paranoi.

– Naprawdę?

– Udawaj głupiego. Wciągnęło cię niemądre hobby. Byłeś naiwny i nierozważny. Przecież to oczywiste. Całe twoje...

Nie musiała kończyć myśli. Całe jego życie było naznaczone naiwnością i nierozważnością. Dlatego tak doskonale go przygotowało do tego ostatniego aktu braku zdrowego rozsądku.

– Znalazłam ci prawnika – kontynuowała Sara. – Najlepszego. Z kancelarii, która broniła tamtego artystę bioartu w Buffalo. Poprowadzi tę sprawę *pro bono*, tylko za ułamek odszkodowania, jeśli jakieś dostaniesz. Zaczekaj, sięgnę po notatki...

Coś w nim przebiło zmęczenie: zataczający kręgi nieustanny ruch z finału koncertu Bartóka. Poczł dumę z tej wyjątkowej kobiety, jedynej swego prawdziwego dzieła, nawet jeśli nie mógł sobie przypisywać wielkiej roli przy jego powstaniu.

Jej telefon brzęknął, gdy go znów podnosiła.

– Im szybciej się zdecydujesz, tym łatwiej będzie ci uporządkować sprawy. Przestraszyłeś się i uciekłeś. Zrozumieją to.

Tak, pomyślał. Strach jest tym, co ci ludzie na pewno rozumieją. Ogarnęła go lekkość, na której fali powiedział:

– Kiedyś komponowałaś, pamiętasz? Wymyśliłaś cały system notacji muzycznej z wykorzystaniem kolorowych klocków. Byłaś niesamowita.

– Proszę cię – szepnęła.

– Dopiero co widziałem się z twoją matką.

– Wspomniała mi o tym.

– Powiedziałem jej, że popełniłem błąd.

– Bo popełniłeś – rzuciła wyższym tonem. – Nie powtórz tego błędu, a ci przebaczymy.

– Dobrze. Tyle mogę zrobić. Mogę się poddać.

– Nie nazywaj tego tak.

– A jak?

– Uznaj, że coś w ten sposób naprawisz...

Musiał przysnąć, zanim się pożegnali, gdyż następne, co pamiętał, to o piątej rano dźwięk budzika grającego największy przebój Nirvany – *Smells Like Teen Spirit* – tak miękki i smutny, i wolny, i molowy, i daleki, że natarczywa melodia równie dobrze mogła być *Elegią* Gabriela Fauré.

#

Jeśli zatęsknicie za mną, szukajcie mnie pod podeszwą buta.

#

Jej twarz – renesansowy profil na tle październikowego nieba płonącego za oknem jego gabinetu. Macha dwoma palcami ku partyturze widniejącej na ekranie przed nią, a z głośników ulatują głosy meandrującego duetu stworzonego przez system MIDI ze zsampłowanych ludzkich głosów, zastępujących nieistniejących jeszcze prawdziwych wirtuozów śpiewu.

Nazywa się Jen; nie pierwsza Jen, z którą ćwiczy w tym słonecznym pokoju, ani nie ostatnia. Jednak podług każdej użytecznej miary z całą pewnością najwspanialsza. Wysoka, niezgrabna, chwiejna, na wpół gapa, na wpół gazela, z zafarbowanymi na fuksjowy kolor lokami powiewającymi we wszystkich kierunkach bez względu na to, jak często by je przeczesywała palcami. Śmiech ma uderzający, pytania przyjemne dla ucha. Wdycha polecenia i wydycha zmyślną swobodę. A on – przez godzinę tygodniowo – ma okazję obserwować ją przy oddychaniu.

Od czasu *Sideł* przez osiem lat nie skomponował niczego poważnego. Mimo to Jen jest z nim tutaj, ucząc się od niego sztuki komponowania. Els ma sześćdziesiąt lat. Jen jest dwudziestoczwolatką, osiem lat młodszą od jego córki, i chłonie wszystko, co ma jej do powiedzenia na temat dźwięków. Jakby chciała z niego wycisnąć wszystkie harmoniczne odkrycia z ostatniego tysiąca lat. Mało ma jej do zaoferowania wiedzy, która nie znajdowałaby się już w zasięgu jej zachłannego umysłu.

Duet wznosi się ku sekwencji szokujących akordów, po czym opada, przechodząc w *cantabile*. Następnie *cantabile* nabiera mocy. Raz zamieścił coś podobnego w swoim oktecie – młodzieńczym utworze, dzięki któremu został uczniem Matthew Mattisona. W tamtych czasach nadal hołdował temu, co pozostało z neoromantyzmu. Obecnie neoromantyzm – ów niedający się zabić wampir – powraca z jeszcze większym rozmachem. Jego studencka kompozycja była zachowawcza, anachroniczna. Dzieło Jen jest współczesne,



modne. Poza tym jednak niewiele się różnią.

Przysłuchuje się niepohamowanemu walcowi, znajomemu równie dobrze jak tęsknota. Ale nagle, właśnie wtedy, gdy Elsowi udało się wreszcie to nazwać, melodia eksploduje w szaleńczym *fugato*, miażdżąc jego młodzieńczą brzdąkaninę w pył. Zdumiony odwraca się do dziewczyny. Ona zaś zerka na niego ukradkiem, nieco teatralnie, figlarnie, posyłając mu uśmiech spiskowca. Jest dumna nie z siebie, lecz z tego wspaniałego mechanicznego ptaka, na którego się natknęła w swej wędrówce.

Siedzą ramię przy ramieniu, zwróceniem twarzami w stronę muzyki, kiwając głowami do taktu. Els od czasu do czasu zapisuje coś w notesie. Gdy przeleje się w nim zachwyty nad jej sztuczkami, pstryka paznokciem jej łokieć albo kolano.

Cztery tygodnie wcześniej kwartet samolotów pasażerskich przemienił sen o teraźniejszości w oblepiający wszystko dym. Cały świat spoglądał na zapętlone obrazy w narkotycznym przerażeniu, nie mogąc oderwać wzroku. Mijały dni, kiedy nawet kupno jajek zdawało się przejawem nadmiernego optymizmu. Mówiło się, że świat już nigdy nie będzie taki sam. Els nie rozumiał dlaczego. Żył wystarczająco długo, aby postrzegać upadek wież jako kolejną odsłonę koszmarnej historii. Nie mniejsze tragedie zdarzały się każdej dekady za jego życia. Z tym że dochodziło do nich gdzie indziej.

Piątego dnia Stockhausen ochrzcił atak „największym dziełem sztuki wszech czasów”, do którego nie umywają się dzieła wszystkich innych twórców.

Szóstego dnia na jego zajęciach pojawiła się Jen. Usiadła na swoim zwykłym miejscu, z napuchniętą i zaczerwienioną twarzą.

– Ojej! – przemówiła. – Po czymś takim każda nakreślona nuta wydaje mi się groteskowa. Jakbym sobie folgowała.

Sześćdziesięcioletni swami musiał użyć całej swojej siły woli, aby nie ująć dziewczyny za drżącą rękę. Czekaj jedynie, chciał jej powiedzieć. Pozostań w samotności i bezruchu. Muzyka ci się sama ofiaruje, gdyż pragnie zostać odkryta. Inaczej nie może.

Teraz, po zaledwie miesiącu, znów złapała wiatr w żagle, a świat leży w ekstazie u jej stóp. Niczego nie zapomniała. Przypomniała sobie. Kto, jeśli nie ona, przesądzi o wyniku tego wyścigu od Śmierci do Miłości? Te kolorowe kalejdoskopowe kaskady z zazębiającymi się synkopami są jej bronią masowego czarowania. Duet Jen śmiga niczym jaskółki, wkrótce

głosy połączą maniakalnym mechanicznym rytmem fale Martenota, kontrafagot i klarnet basowy. Następnie zaś – batalion wiolonczel i kontrabasów *spiccato*. Dzwony rurowe, rzecz jasna. Jakżeby nie? I fanfary podane przez podwójną obsadę puzonów.

Muzyka nabiera cech wirującej trąby wodnej, po czym wybucha pulsującą dysharmonią. Jen napiera na grzywacze własnego oceanu, szczerząc się demonicznie. Raz jeszcze zdołała zachwycić siebie samą za pomocą danego jej przez Boga prawa do przyjęcia pozy i zagrania na fantazjach chętnego słuchacza.

Utwór rzuca się ze wzniesienia prosto w objęcia kojącej ciszy. Po wszystkim kompozytorka nie potrafi zapanować nad pełnym zadowolenia chichotem.

– No i? – droczy się z nim. Skąd bierze się taka pewność siebie? – Co pan uważa?

– Zawrę to w dwóch słowach – odpowiada i intonuje: – Święty...

Pochwała unosi ją w powietrze. Els wstaje i podchodzi do pianina, aby pokazać jej, jak sobie lepiej poradzić z niezręcznym momentem tuż przed punktem kulminacyjnym. Jen odkryła na nowo swego rodzaju *quasi-fauxbourdon*, bogaty i archaiczny, coś, czego mógłby użyć Brahms. Jednak prowadzenie głosów jej nie wyszło. Nie zna modeli, które stanowią rozwiązanie wszystkich jej problemów. A słuchać powinno się nie tylko przeszłości. Jen nie rozstaje się z muzyką całymi dniami; gusty ma katolickie, niewymagające. Pokazała mu melodie ze swego odtwarzacza, przewinęła listę tytułów tej rozbuchanej skrzyni ze skarbami. Od czasu do czasu podrzuca mu jakiś prezent na skrzynkę mailową, muzykę na koniec czasu. Radiohead, Björk, The Dillinger Escape Plan. Piosenki zdumiewają Elsa. To prawdziwe perełki, bogate w dysonanse i niepewne rytmy. Przypominają mu eksperymenty sprzed półwiecza – Messiaena czy Beria – odrodzone przed szerszą publicznością. Może tyle czasu trzeba, aby zarodek zdobył powszechne uznanie. Może kluczem do sukcesu jest wystarczająco długie życie.

Z drugiej strony – może sukces jest przedsionkiem śmierci.

Na jedno poczynione samodzielnie odkrycie przypada tuzin tych, na które Els musi dopiero nakierować Jen. Obfitość tego świata przekroczyła wszelkie granice, porywając ze sobą młode pokolenie. Ludzka pomysłowość od zarania była na z góry straconej pozycji, skazana sama przez siebie na

zatrącenie się w wielości. Tworzeniu wielu melodii nie ma końca.

Jego palce spacerują po klawiszach, przedstawiając alternatywną propozycję. Grając, podnosi wzrok. Krzyżuje spojrzenie z jej kasztanowymi oczyma, wyjaśniając podsuwane rozwiązanie. Dziewczyna potrząsa głową.

– Boże, też bym tak chciała.

– Co takiego? – Zaledwie nakreślił dobrze znaną od wieków progresję.

– Stać przy pianinie i brzdąkać. Do tego mówiąc!

– Och, daj spokój. Właśnie zagrałaś mi piętnastominutowy utwór składający się z miliarda nut.

– To nie ja – odpowiada – tylko Sibelius!

Nieporozumienie trwa tylko mgnienie oka. Nie chodzi o tego Fina, lecz o program do komponowania muzyki. Software zdolny przemienić zwykłego grajka w Orfeusza. Gdyby studentka zapytała Elsa, czym powinna się raczej zająć: opanowaniem przeszłości czy interfejsu...

Peter wraca i siada znowu obok niej. Macha w stronę ekranu.

– Czas na małą operację plastyczną.

Jego zdaniem Jen pozostaje w wiecznej gotowości do nanoszenia poprawek. I rzeczywiście – dziewczyna rzuca się do własnej klawiatury niczym dzieciak mający do wywołania prywatną wojnę atomową. Peter nie przestaje się dziwić potędze jej narzędzi: wytnij i wklej, najedź i kliknij, naciśnij enter. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powstają harmonie, zmienia się tonacja, dochodzi do transpozycji. Dzięki paru sprawnym ruchom dłoni garść zwykłych klocków przemienia się w zadziwiające dwuminutowe *tutti*. Els kręci głową ze smutkiem: za jego czasów zajęłoby mu to pięć tygodni.

– Ech, dzieci, jesteście jak bogowie.

– Dzieci? – Brwi Jen wykonują aerobikową figurę. – Tak mnie pan postrzega?

Jest to najbardziej kokieteryjne pytanie, jakie mu zadała. Wciąż czuje się odurzona mocą swojej kompozycji, podekscytowana prezentacją przed mentorem. „Tak – odpowiada jej w myślach. – Dla mnie jesteś dzieckiem”. Z biustem. I z mózgiem. A także z najcudowniejszą beztróską, jakiej doświadczył od dziesięcioleci.

– Kiedy byłem w twoim wieku – opowiada jej – trzeba było znaleźć sobie ładny płaski kamień, wypolerować go, potem wziąć do ręki dłuto...

Słucha go ze zmarszczonym czołem. W końcu cmoka i uderza go lekko

w ramię.

– Taaa, jasne, dziadziu.

– Jeszcze raz – poleca, kiwając na jej urządzenie. Czuje, że cieszy go jej obecność, cieszy go ta lekcja, nawet cieszy go znów muzyka. – Od początku. Tylko z uczuciem.

Jen postępuje zgodnie z jego wskazówką – i wkrótce żadne z nich nie zwraca najmniejszej uwagi na tę minutową przerwę, choć nieprzewidziana reprzyza wydłuża znacznie ich lekcję. W uszach rozbrzmiewają im dźwięki, a nuty przesuwają się na ekranie. Muzyka jest ponownie wszechobecna, przebogata i naiwna do bólu, poszukująca tego, co najlepsze zarówno w Apollinie, jak i w Dionizosie.

Na kilka krótkich taktów utwór staje się dziwny i zimny jak światło księżycy.

– Tak! – woła Els, klaszcząc. – To mi się podoba.

– I dobrze – odpowiada Jen. – Bo ściągnęłam to od pana!

W pierwszej chwili myśli, że dziewczyna żartuje. Myli się jednak. Melodia gna przed siebie, ale teraz Els słucha jej już z większą nieufnością. Pozwala kompozycji przebrzmieć, zanim zwraca się do studentki:

– Co zrobiłaś?

Rysy Jen są gotowe rozciągnąć się w uśmiechu w każdej chwili.

– Odkryłam to w jednym z pańskich utworów. *Pieśni Borgesa*, mówi to panu coś...?

*Jesteśmy stworzeni dla sztuki, jesteśmy stworzeni dla pamięci, jesteśmy stworzeni dla poezji lub być może jesteśmy stworzeni dla zapomnienia.* Nie pamiętał, że ten utwór doczekał się publikacji. Skoro Jen kupiła sobie egzemplarz partytury, właśnie zarobił jednego dolara tantiem, których od dawna nie widział.

– Chyba kupię ci loda.

– A co to ma znaczyć?

Znaczy tyle, że udało jej się uczynić coś dobrego z jego starym, niejasnym wzorem. Trochę lutu, polerki i farby – i rzecz znów błyszczący, nawet bardziej niż nowa.

– Dlaczego grzebiesz w moich starociach?

To pytanie ją przeraża – tego jeszcze u niej nie widział.

– Panie profesorze? – odzywa się niepewnie i rzuca okiem na inkryminowany fragment. – Przecież to akurat jest piękne.

– Tak? Czyli piękno wróciło do łask?

Ależ musiały zajść zmiany w gustach muzycznych, odkąd ostatnio je sprawdzał, skoro te dawne prowokacje oskarża się teraz o podobną zbrodnię! Uśmiecha się do dźwięków hen, z oddali – premierowej błazenady z Maddy i instrumentalistami tańczącymi wokół niewielkiego audytorium do wtóru władczych gestów Richarda.

– Co? – pyta Jen, gotowa wybuchnąć śmiechem, jeśli trzeba. – Co takiego powiedziałam?

Els kręci głową.

– Nie, nic – mówi. – Przypomnieli mi się starzy znajomi, wariaci.

Jen marszczy brwi jeszcze bardziej, zastanawiając się, czy powinna zrozumieć aluzję. Jednak zdziwienie spływa po niej równie gładko jak najnowsza historia. Należy do pierwszego pokolenia osób używających słowa „nieważne” bez żalu. Dla niej nie ma znaczenia, o czym Els gada. Jego mantra się nie liczy, liczy się tylko jego muzyka.

Jest poniedziałek, dwadzieścia po szóstej wieczorem. Jen jest wyraźnie na coś spóźniona: obiad w akademiku, randkę albo wędrowkę po barach z przyjaciółmi na dobry początek tygodnia. Mimo to zadziera głowę w zamyśleniu, jakby nuty jego starych utworów wisiały wydrukowane w powietrzu.

– Tyle się uczę z tego, co pan komponuje...

Skomponował – chce ją poprawić. Ale jej entuzjazm wydaje się szczery. Z drugiej strony, Jen potrafi czerpać inspirację i radość z dziesięciosekundowego dżingla reklamowego.

Pragnie jej poradzić, aby skupiła się na sobie. Nie daj się nikomu przekabacić. Badaj swój głód i ucz się go zaspokajać. Ufaj tylko tym dźwiękom, które wywołują u ciebie ucisk żołądka. Pisz kadencjami pierwszej miłości, drugiej szansy, ataków bombowych, gniewu, okropieństw i zabawy, absolutnej akceptacji bądź chłodnego odrzucenia. Komponuj gorzkie melodie włóczęgostwa, smutne szanty bezziemia, zimne na równiku, płynne na biegunie. Twórz dźwięki, jakie wydają anioły po całonocnej orgii. Cokolwiek umili ci dzień, cokolwiek pomoże ci przetrwać noc. Komponuj muzykę, której potrzebujesz, bo zanim się spostrzeżesz, ta potrzeba zniknie. Niech twoje sekwencje wieszczą koniec czasu i przywołują zmarłych, jakby nadal żyli. Bo tak jest.

Zakłada ręce za głowę.

– W tamtych czasach miewaliśmy dziwaczne pomysły.  
– Wiem. Lata sześćdziesiąte! – Samo to wyrażenie wprawia ją w ekscytację. Oto córa rewolucji, która nie przebiegła po jej myśli.  
– Wyczynialiśmy głupstwa. Uważaliśmy, że da się ludzi nakłonić do miłości do całego świata.

Jen spina się w sobie.

– A nie da się?

– Nie – odpowiada Els. – Boże jedyny... Rozpierała nas energia. Tryskaliśmy pomysłami. Nie brakowało nam odwagi. Potrafiliśmy zaspokoić każdą potrzebę. Marzycieli było więcej niż szarlatanów. A potem się obudziliśmy.

Jego słowa są jak policzek. Jen wydłuża się mina. On nie pojmuje, czemu jego apostazja tak ją dotyka. Muzyka dziewczyny jest tak bogata i satysfakcjonująca, że bliżej jej do lat sześćdziesiątych XIX wieku aniżeli XX, o którym mowa. Mimo to Jen zwiesza głowę, żałując za jego obrazoburstwo. Nigdy nie zazna przyjemności twórczego niszczenia. Nie ma już nic, co by można zniszczyć. Wszystko zostało potłuczone i sklezione z powrotem w mozaikę ładnych fragmentów nazbyt wiele razy, aby dało się je zliczyć.

– Nikt nie chciał słuchać tamtych rzeczy. Wątpliwe, by ktokolwiek chciał to zagrać w przyszłości.

Za oknem przeciąga się październik, bezchmurny i amnestyczny. Wedle tego błękitu nie zdarzyło się nic ważnego w minionym miesiącu ani nie wydarzy się nic miłszego w najbliższej ani dalszej przyszłości. Els napina mięśnie. W uszach rozbrzmiewa mu melodia, coś jakby rock and roll, do którego słuchania zmuszał go brat, przywiązawszy wcześniej do krzesła w domowej piwnicy.

– Okazuje się, że ludziom trzeba bardzo niewiele.

Znowu jest małym chłopcem słuchającym sprzętu grającego swego ojca. *Wariacje i fuga na temat Purcella. Przewodnik po orkiestrze dla młodzieży* Brittena. Dwudźwięk kotłów zawsze brzmi tak samo: do-sol, sol-do; do-sol-sol-sol-do. Po czym czeka go długa i dziwna podróż przez jego sześćdziesiąt lat: wędrówka po różnych tonacjach i powrót do harmonii, która nagle stała się przeraźliwie jasna.

Els nie ma pojęcia, jak mu się to udało, wie jednak, że wyprowadził Jen z równowagi.

– Panie profesorze? – Głos jej drży. – To jest takie sute. Świeże. – Wydyma usta z tą samą siłą, z jaką sprawia, że jej muzyka popada w genialne rejony. – Jakby pan się wcale nie przejmował, kto tego wysłucha. I to mi się w panu podoba!

Nie może jej nawet poklepać po głowie. Zabrania mu tego prawo, za którym stoi jeszcze inne prawo. Zbyt długo się nie odzywa i jego milczenie ją upokarza.

– Tylu rzeczy pan spróbował – wyrzuca z siebie Jen. – Dlaczego pan przestał?

Odpowiada jej:

– Nie twoja sprawa.

Natychmiast żałuje swoich słów nie mniej niż wszystkiej muzyki, którą napisał.

Jen mruga i odrzuca głowę do tyłu. Zamyka muszlę swego laptopa i wciska go do torby.

– Jen... – zaczyna, niezdolny powiedzieć tego, co w tej sytuacji powinien. Dziewczyna zatrzymuje się, czeka obojętnie, podejmując od nowa walkę z bujnymi jak lasy Amazonii włosami. – Podejdź do pianina – poleca. Dziewczyna prycha, ale wypełnia polecenie. – Uderz w klawisz. – Wzrusza obojętnie ramionami, ale przynajmniej nie pyta w który. Wybiera gis. Uroczo, intensywnie – i perwersyjnie. Jest przed nią przyszłość. – Powiedz, co słyszysz.

Ponownie wzrusza ramionami, tym razem z kamienną twarzą.

– Gis poniżej cis.

– Uderz znowu. Co jeszcze słyszysz?

Z początku nic. Ale potem ogarnia ją zrozumienie, i to dziesięć razy szybciej niż kiedyś jego. Uderza klawisz, prycha, po czym uderza go znów, trzy razy z rzędu. W końcu zaczyna długie *arpeggio*, wystukując szereg harmoniczny.

– I co z tego? – pyta, usiłując zrobić marsową minę i ponieść klęskę na całej linii.

Ale już wie. Widać to po jej twarzy. Ta wiedza już teraz zmienia przyszłość Jen. Gdyż każdy dźwięk, który dociera do ludzkiego ucha, zawiera swoje niezliczone echa. To, czego nigdy jej nie powie, muzyka, której nie napisał – wszystko tkwi zwinięte ciasno w sobie hen, wysoko, na niesłyszalnych częstotliwościach.

#

Ledwie będziecie wiedzieć, kim jestem i co oznaczam[57].

#

W całej Azji dochodzi do rzezi zarażonego drobiu. Ptasi holokaust. Ptaki giną milionami, zarażone czy nie. Bezpieczeństwo to dzieło sztuki konceptualnej, w najlepszym razie.

Dochodzi do setek przypadków infekcji wśród ludzi: w Egipcie, Indonezji, Chinach. Na razie liczba jest niewielka i stała, ale prawdziwa epidemia też tak się zaczyna.

Tymczasem w Rotterdamie naukowcy namnażają nowe szczepy wirusa H5N1 w organizmach kolejnych pokoleń fretek. Trzy miesiące i pięć drobnych mutacji później udaje im się wyhodować wirusa grypy przenoszącego się drogą kropelkową. To proste doświadczenie biologiczne, które dziesiątki tysięcy domorosłych genetyków są w stanie powtórzyć w swoich domach. Choroba zabijająca połowę zarażonych staje się równie zakaźna jak zwykle przeziębienie. Rządy i agencje starają się utajnić dane. Jednak niebawem przepis obiegne internet z prędkością myśli.

Dzieje się to w Erze Bakterii, której początek sięga około trzech i pół miliarda lat wstecz.

Na Wschodnim Wybrzeżu, w Massachusetts, genetyk molekularny tworzy od zera nowy organizm wyposażony we własne DNA. Grupa naukowców orzeka, że organizm ten jest niegroźny, dopóki nie opuści ścian laboratorium. Świat wariuje, orzeka grupa historyków. Artyści stwierdzają, że życie to eksperyment, który wymknął się spod kontroli, i że prawdziwego bezpieczeństwa można zaznać wyłącznie w grobie.

Skrzydłaci strażnicy nadal dokonują nocnych wypadów. Drony zbierają informacje we wszystkich zapalnych miejscach świata. Oddziały specjalne przeczesują ostatnie kwadraty niezbadanych współrzędnych. Tłumacze wirtuozi nasłuchują paplaniny na każdej częstotliwości. Gdziekolwiek spojrzeć, agenci rozbierają zagrożenie, zanim ono w ogóle wystąpi.

Po paru tygodniach jednostka lotnicza opanuje kompleks wirtuoza paniki – ukrywającego się przez minioną dekadę – i brutalnie pozbawi go życia. Jego śmierć niczego nie zmieni. Raz stworzonej paniki, będącej rodzajem sztuki, nie da się cofnąć.

#

Ale i tak będę wam niósł zdrowie[58].



#

Przyszły jego sześćdziesiąte pierwsze urodziny i sześćdziesiąte drugie, *attacca subito*, zda się dzień po dniu. Przez dwa lata Peter Els wykładał teorię muzyki w Verrata College, słuchając wyłącznie Bacha. Prowadził zajęcia z kształcenia słuchu i grania *a vista*, po czym wracał do domu, gdzie co noc słuchał kolejno wszystkiego, co kiedykolwiek skomponował XVIII-wieczny mistrz kontrapunktu, i niczego innego. Wymagało to dyscypliny, podobnie jak jogging czy rozwiązywanie krzyżówek. Stanowiło ucieczkę przed nocnymi potami bieżącego stulecia. *Das Wohltemperierte Klavier* stało się jego chlebem powszednim. Przerabiał suity, koncerty i sonaty triowe. Męczył się z ponad dwustoma kantatami po trzy razy z rzędu. Nauka pomagała mu się skupić. Czuł się znów jak student, stojący u progu życia.

Po dwóch latach słuchania Els obudził się któregoś ranka ze świadomością tego, że właśnie skończył nawet z bezdennym bufetem Bacha. Nie mógł już liczyć na niespodzianki. Genialność mu spowszedniała. Był w stanie przewidzieć każdy wymyślny dysonans, który się krył w tych pełnych swobody liniach. Czym można się zająć, kiedy już się opanowało to, co najbardziej wysublimowane?

Przerzucił się na Mozarta. Męczył się z *Symfonią Jowiszową* z zacięciem godnym uczonego. Jednak nawet kosmiczny finał trącił znajomością, a nawet czymś gorszym. Och, nuty wciąż były na swoich miejscach, i to nieźle słyszalne. Ale jakby się spłaszczyły, straciły wigor. A frazy, które tworzyły, pobrzmiwały metalicznie i buro. Dopiero po kilku tygodniach zrozumiał: pogorszył mu się słuch. Choć miał zaledwie sześćdziesiąt pięć lat, coś się popsuło w sposobie, w który odbierał dźwięki.

Umówił się na wizytę u otolaryngologa. Jego symptomy wprawiły doktora L'Heureux w konsternację. Lekarz zapytał Elsa, czy doświadcza zaburzeń koordynacji. Uczucia dezorientacji bądź konfuzji.

– Tak, zapewne – odparł Els. Aczkolwiek martwiła go tylko konfuzja dotycząca muzyki.

– Miewa pan problemy ze znalezieniem właściwego słowa?

Elsowi przez całe życie brakowało odpowiednich słów.

Lekarz poprosił go, aby chodził po narysowanej na podłodze prostej linii, odliczał wstecz co siedem, siłował się na rękę i stał nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Nie żądał od pacjenta, by śpiewał czy rozpoznawał melodie.

Doktor L'Heureux zalecił tomografię. Tomograf okazał się sporej wielkości tubą, podobną do pokoiów hotelowych dla tokijskich biznesmenów. Przeprowadzając badanie, urządzenie mrucało do siebie na mikrotonową monotonną nutę brzmiącą jak prace La Montego Younga albo zawodzenie tybetańskich mnichów.

Później lekarz wraz z pacjentem zasiedli w gabinecie, oglądając przekroje kory mózgowej. Krzywizny i zawijasy przypominały bardzo kalafiora. Lekarz wskazywał na rejony zawierające ducha, serce i duszę Petera Elsa, wymieniając nazwy, które można usłyszeć w biurze turystycznym zachwalającym wycieczki nad Morze Śródziemne. Els śledził uważnie ten pokaz przeźroczy z latarni czarnoksiężskiej. Potakiwał słowom lekarza, słysząc zupełnie inne libretto. O co chodziło z tą obsesją muzyków na punkcie Fausta? Spohr, Berlioz, Schumann, Gounod, Boito, Liszt, Busoni i Mahler aż po Prokofiewa, Schnittkego, Adamsa i Radiohead. Wieki wyrzutów sumienia, na długo przed tym, zanim naziści spalili do gołej ziemi świątynię Muzyki Wysokiej.

Gdy ekran wypełnił kolejny przekrój jego mózgu, Els pomyślał, że prawdziwą zbrodnią muzyki był nie flirt z faszyzmem, lecz zadawnione marzenie o kontroli nad ludzką duszą. Wyobraził sobie Fausta patrzącego razem z nim na obnażone na ekranie neurony – jego przemożne pragnienie mistrzostwa, krążące po zakamarkach mózgu niczym dym papierosowy unoszący się w powietrzu. Kiedy na poszukiwacza spłynęła ostateczna wiedza, stojący obok Mefistofeles zaśpiewał:

– Obaj wywiązaliśmy się z warunków naszej umowy.

Niegdyś taka aria zalałaby zwoje mózgowie Elsa kolcami kolorów. Obecnie spoglądał na morze płaskie jak stół.

Pokazał na plamkę sinawego Morza Sargassowego.

– A to co?

Doktor L'Heureux pokiwał głową, potwierdzając diagnozę, z której postawienia Els nawet nie zdawał sobie sprawy.

– Drobną zmianą ogniskową. Taki martwy punkt.

– Martwy?

– Na skutek przemijającego ataku niedokrwienego.

I lekarz pokazał drugie takie miejsce.

– Badania wielu pańskich rówieśników wykazują podobne zmiany.

– Aha – stwierdził Els – czyli nie ma się czym martwić.

Doktor L'Heureux skinął głową.

– Tak, to zupełnie normalne.

Najwyraźniej jakaś zmiana ogniskowa uśmierciła jego wyczucie sarkazmu.

Els zapytał, ile mózgu musi zmartwieć, żeby nie było mowy o normalności. Pytanie okazało się za trudne dla lekarza, który nie widział większej różnicy między tym, co normalne, a tym, co nieżywe. Odkrycia medyczne tylko potwierdzały jego opinię.

O dziwo, wysepki siności w poza tym srebrzystym mózgu pocieszyły Petera. Utrata muzycznych umiejętności nie była jego winą. Nie spotkała go kara. Rozproszone martwe punkty na ekranie układały się we wzór. Wysepki ciszy nadawały kształt wzburzonemu morzu dźwięków. Zawsze powtarzał swoim studentom, że najbardziej dobitnym narzędziem z kompozytorskiego zestawu jest pauza. To dzięki pauzom nuty nabierały znaczenia.

Doktor L'Heureux zaczął się rozwodzić nad zaletami ćwiczeń. Wspomniał o lekach i zmianach w diecie. Jednak Els go nie słuchał.

– Co z moimi zdolnościami muzycznymi? – chciał wiedzieć.

Lekarz wyraził bezradny żal wzruszeniem ramion. Rzucił termin: amuzja nabyta. Wyjaśnił, że jest nieuleczalna.

Coś w jego słowach sprawiło, że Peterowi otworzyły się oczy. Pewnie przez ton, który wciąż jeszcze słyszał.

– Pogorszy mi się?

Milczenie lekarza sugerowało, że na pewno się nie polepszy.

Els wrócił do domu, do świata odmienionych dźwięków. Słuchanie muzyki zaczęło przypominać oglądanie wystawy kwiatów przez okulary przeciwsłoneczne. Nadal wiedział, w którym momencie interwały szokują lub zaskakują, koją lub rozkwitają. Jednak przestał je czuć.

Deszcz i grzmot, zbocza gór skąpane w płynnej ognistej żółci, szaleńcza radość, syk miasta nocą, uczyty nieskończonej czułości, raj zwierząt: najbardziej zachwycające harmonie stały się suchym reportażem z drugiej ręki. Muzyka – ten pierwotny język, bezpośrednia transkrypcja stanów duchowych, wcześniejsza postać słów, zanim te zostały obciążone znaczeniem – obecnie brzmiała niczym rzeczowy telegram.

Jeszcze przez parę dni wychwytywał różnice. Z czasem utracił i tę umiejętność. Mózg swoim zwyczajem przywykł i wkrótce Els był przekonany, że zawsze słyszał w ten sposób. Przestał nasłuchiwać subtelnych

rytmów i prozodii, a zaczął się koncentrować na melodii i tembrze. Czegokolwiek słuchał, wydawało mu się nowe i dziwne. Ska, grime, neo soul, grunge, Texas country, wiejski rap, wiejski punk, cybergrind, rock neoprogresywny, swingbeat... W życiu mu nie przyszło do głowy, że ludziom trzeba aż tylu gatunków muzyki popularnej.

Rok słuchania tego nowego świata utwierdził go w przekonaniu: przez cały ten czas wyczekiwał rewolucji, która wydarzyła się za jego życia i którą przegapił. Na falach radiowych roilo się od zdumiewających dźwięków o spektrum obejmującym żalobę, szaleństwo i radość – tak rozległe, że nie sposób było cofnąć się dostatecznie daleko, aby je ogarnąć. Coraz więcej ludzi tworzyło coraz więcej piosenek, z których większości nikt nie miał nawet usłyszeć. Ale nawet to było piękne. Ponieważ dzięki temu praktycznie każdy utwór mógł być czymś zakopanym skarbem.

Jego studenci byli coraz młodszy, a muzyka coraz dziksza, lecz on dalej uczył tych samych rudymentów. Podczas gdy uczuła swoich podopiecznych na to, jak wychwycić raka inwersji w tercji wielkiej, świat stanął na krawędzi finansowego krachu. Ujawnieniu uległa misterna sieć przekrętów. Rozpłynęły się biliony dolarów. Verrata College utraciło połowę darowizn. Petera Elsa poproszono o to, aby przeszedł na emeryturę. Zgłosił chęć dalszej pracy za darmo, jednakże nie zezwalało na to prawo.

Wrócił więc do życia jako osoba fizyczna, teraz jednak bez sposobu na zabijanie czasu. Mimo to większość dni mijała mu w tonacji durowej. Odbywał rozmowy telefoniczne z córką, której każde słowo go cieszyło. Wyprowadzał na długie spacery donikąd prezent od niej, Fidelio, swą radosną towarzyszkę. Dzień po dniu, całymi dniami, nie miał do roboty nic ważniejszego od próby odpowiedzi na dręczące go od dawna pytanie: jakim cudem muzyka wmawia ciału, że ma ono duszę?

Sześćdziesięcioośmioletni Els mógł oddawać się rozmyśleniom na ten temat w ściśle określonych dawkach. Przeczytał wszystko, co było do przeczytania – destylat wiedzy setek specjalistów. W fizjologii człowieka trochę się pogubił. Okazywało się, że w wyniku ewolucji ciało wykształciło zdolność do odczuwania strachu, nadziei, ekscytacji i spokoju w obecności pewnych na wpół uporządkowanych wibracji, jednak nikt nie wiedział, dlaczego tak się stało. Nie trzymało się kupy to, że za sprawą paru współbrzmiących akordów mózg zalewała miłość do nieznanego albo żaloba po przyjaciółach, którzy nie odeszli. Nikt nie umiał powiedzieć,

czemu Samuel Barber porusza słuchaczy, Milton Babbitt zaś nie, ani też czy dałoby się tak wychować dziecko, by roniło rzewne łzy, słuchając Elliotta Cartera. A jednak wszyscy specjaliści zgadzali się co do tego, że fale sprężonego powietrza padające na błonę bębenkową wyzwały reakcję łańcuchową zalewającą ciało sygnałami, a nawet powodującą zmiany w ekspresji genów.

Zatopiony w wyściełanym fotelu Els czytał o biochemicznych kaskadach prowokowanych w ciele słuchacza przez muzykę. Czasami wydawało mu się, że tamta noc z Clarą nad strumieniem kampusu jeszcze w Bloomington nigdy się nie zdarzyła i że został chemikiem, zamiast na rozdrożu wybrać bliźniacze odgałęzienie muzyki.

W dzisiejszych czasach ludzie tworzyli muzykę ze wszystkiego. Fugi z fraktali. Preludia z  $\pi$ . Sonaty ze słonecznego wiatru, z wyników wyborów, narodzin i śmierci lodowców szelfowych obserwowanych z przestrzeni kosmicznej. Nie mogło zatem dziwić, że powstała odrębna szkoła – z własnym stowarzyszeniem, czasopiśmie i dorocznymi konferencjami – skupiona wokół biomuzyki. Fale mózgowo, przewodność skórna, rytm serca – wszystko mogło sprokurować zdumiewające melodie. Kwartety smyczkowe odtwarzały sekwencję aminokwasów w końskiej hemoglobinie. Żaden człowiek nie potrzebował ani ułamka muzyki więcej niż to, co już istniało, a jednak coś w głębi komórek domagało się zaistnienia miliona razy więcej melodii.

Jesienią 2009 roku, robiąc Fidelio przebieżkę po alejkach wokół dendrarium, Els zaobserwował lecący wprost na niego wilgotny dębowy liść. Po chwili zdjął z kurtki przyklejony listek, przyjrzał się jego powierzchni i dopatrywał w siatkowatym użyłkowaniu rytmu. Lekko oszołomiony aż przysiadł na głazie nieopodal ścieżki. Jego dłoń gładziła kamień, a nierówności wygrywały na jego skórze dźwięki niczym rolka papieru w pianoli. Kiedy zadarł głowę, zobaczył, że muzyka unosi się na niebie kłębamii chmur, a piosenki rozpierzchają się wśród gałązek krzywej strzechy pobliskiego budynku. Wszędzie wokół niego rozbrzmiewał sekretny skumulowany chór zapisany za pomocą nieznannej notacji, tylko czekającej na to, aby ją przetranskrybować. Zrozumiał, że jego muzyka nie ma wyłączności na pozostanie w ukryciu. Niemalże każdy dźwięk, jaki świat miał do zaoferowania, pozostawał nieusłyszany. Fakt ten sprawił mu więcej radości niż cokolwiek, co w swoim życiu skomponował.

Fidelio szarpnęła się na smyczy. Els, pociągnięty, podniósł się na nogi i powlókł do stawu z kaczkami. Pies wlaźł do wody, wzburzając łapami wzór składający się z synkopowych rytmów i akcentów dynamicznych. Duety, tria – trafił się nawet zuchwały sekstet – rozchodziły się kręgami ku środkowi stawu. Ten mały malstrom zachodzących na siebie zmarszczek na wodzie zawierał liczbę danych wystarczającą do zakodowania całej opery. Trzeba było tylko znaleźć klucz do konwersji, a partytura opowiedziałaby każdą muzyczną historię. Człowiek używa muzyki do paktowania z diabłem. Człowiek sprzedaje się za szansę przypomnienia sobie utraconego akordu<sup>[59]</sup>. Człowiek słyszy swoje przeznaczenie w muzyce przypadku.

Całe dzieje zapisane w paru chaotycznych pluśnięciach – sam pomysł wydawał się szalony. Ale muzyka – z jej daremną władzą – także była szalona. Następstwo sześciu akordów mogło zmrozić duszę lub otworzyć jej oczy na Boga. Parę taktów zagranych na shakuhachi otwierało drzwi do lepszego świata. Zwykła karczemna przyśpiewka wywoływała u milionów nostalgię za nieistniejącymi domami na prerii. Sto tysięcy lat motywów i wariacji, rzesze kompozytorów podkradających sobie nawzajem pomysły, a wszystko to bez żadnej ewolucyjnej wartości.

Zewsząd z ukrytych dźwięków płynęła do kory słuchowej Elsa łaska. I cała ta tajemnica, zakrojona na cały świat kompozycja, mówiła jedno: słuchaj uważniej, słuchaj drobniej, słuchaj lżej – słuchaj wszystkiego, co wydaje dźwięki, a usłyszysz, jak będzie brzmiał świat po tym, gdy twój koncert dobiegnie już końca.

Fidelio znów szarpnęła się na smyczy, przypominając o doraźniejszych potrzebach. Brzeg stawu był grząski i buty Petera utonęły w błocie. Schylił się po patyk, żeby zeszkrobać glinę z podeszew. Każdy jego ruch posyłał w powietrze miliony gatunków bakterii, grzybów, pierwotniaków, mikrofitów, nicieni i mikroskopijnych stawonogów; miliardy jednokomórkowych organizmów, z których każdy pulsował dziesiątkami tysięcy przeróżnych białek. Ów festiwal chemicznych sygnałów, oszałamiających klasterów, ogłuszającej wynalazczości również trwał w najlepsze dla każdego, kto chciał brać w nim udział.

Gdzieś pośród par zasad tych milionów gatunków musiały być zakodowane pieśni, sekwencje odwołujące się do wszystkiego, co mu się przytrafiło. Melodia opuszczenia żony i dziecka. Rondo obróconej wniwecz przyjaźni. Pieśni miłości, ambicji, zdrady, porażki i skruchy. Nawet

nieszpory emerytowanego chemika przemysłowego, który żałował jedynie tego, że mieszka z dala od wnuków.

Els odwrócił się plecami do stawu i pociągnął psa z powrotem na ścieżkę. Pobliską ulicą śmigały w obie strony samochody; mustang z niskim zawieszeniem przepęłzył, siejąc puszczone na cały regulator hymnem łomoczącej miłości. Fidelio szalała zachwycona, kłapiąc na motyle i obszczekując zjawy egzystujące na częstotliwościach niesłyszalnych dla Petera. Zdyszany od ciągłego dotrzymywania jej tempa Els – z tylko połową psich nóg – zdjął jej obrozę z szyi (drobne pogwałcenie przepisów, nieczyniące nikomu krzywdy i grożące co najwyżej symboliczną grzywną). Retriever pognał do klonu rosnącego sto metrów dalej i zatrzymawszy się pod samym pniem, jął ujadać radośnie, jakby w przeświadczeniu, że modulowane dźwięki nakłonią ofiarę do skoku z gałęzi i poświęcenia w imię kręgu życia.

I wtedy wpadł mu do głowy pomysł. Zmaterializował się, kiedy Els stał, przyglądając się wyjącemu psu, przysłuchując się jesiennowieczornej muzyce, dziękczynnemu zawodzeniu niemającemu początku ani końca. Pisał się na coś całym sercem od zawsze, pozostało mu więc tylko być wiernym swym młodzieńczym marzeniom i doprowadzić je do logicznego ekstremum. Nareszcie mógł skomponować swą *Pieśń o ziemi* – muzykę dla nieskończoności, muzykę dla nikogo...

Kilka dni wcześniej, leżąc w łóżku przed zaśnięciem, usłyszał w radiu ścieżkę dźwiękową wyekstrahowaną z DNA: obce szmery transponowane ze słynnego czteroliterowego alfabetu nukleotydów na dwunastodźwiękową skalę chromatyczną. Jednak prawdziwą sztuką byłoby ten proces odwrócić – dla bezpieczeństwa wdrukować utwór w genom bakterii. Konkretnie dźwięki zapisane w żywej komórce były bez większego znaczenia: śpiew ptaków, tren, zwykły hałas panujący w tym dendrarium, melodia wysnuta z mózgu będącego wynikiem czteromiliardowej ewolucji samoreplikującego się materiału. Oto miał na wyciągnięcie ręki jedyne prawdziwie trwałe medium; takie, które dawało kompozycji szansę na przetrwanie do czasu pojawienia się archeologów obcej cywilizacji pragnącej dociec, co przytrafiło się spustoszonej Ziemi.

Zdigitalizować utwór w postaci czteronukleotydowej nici, a potem umieścić taśmę w odtwarzaczu. Trzeba by jeszcze dać czas mutacjom pracującym każdy genom. Z tym że tutaj niekończąca się zmiana

muzycznej wiadomości stanowiła nie błąd programu, ale jego funkcję. Z tego, co wiedział Els, nowe medium było wciąż dziewicze. Wkrótce jednak i ono zostanie zaśmiecone graffiti. Ale mógł na nie wkroczyć jako jeden z pierwszych i ten jeden, ostatni raz zagrać na swej *terra nova*. Nie było na świecie medium bardziej nośnego i trwałego od życia.

Swe ostatnie dni spędzi, przekonując się, co jeszcze można dokonać w kwestii formy, i po drodze nasłuchując *basso ostinato* życia. Przy odpowiedniej ilości czasu, cierpliwości, megabajtów przesyłu, zdolności kierowania się instrukcjami i środków na karcie kredytowej być może uda mu się wysłać melodię w nieznaną, w bardzo odległą przyszłość, niesłyszana, nieznaną, nieuchwytną: prawdziwą muzykę na koniec czasu.

Els padł na kolana, poklepał ziemię i gwizdnął. Fidelio ciężko przykłusowała z powrotem, oszalała z gorączkowej i bezwarunkowej miłości. Włożył jej obrożę, zaciągnął do samochodu i ruszył do domu z taką chęcią do pracy, jakiej nie czuł, odkąd jego opera zaplątała się w ziemską politykę przed iluż to już laty. Teraz jego uszom objawił się sposób na odkupienie – jeśli nie przeszłości, to przynajmniej młodzieńczej wizji przyszłości. Perspektywa zrobienia czegoś znów napawała go zdumieniem i poczuciem zagrożenia. A jednak odkryty wzór był w stanie go ocalić.

Tamtego wieczoru zabrał się do rzeczy, zamawiając sprzęt do domowego laboratorium.

#

Będę filtrem i fibrem waszej krwi[60].

#

Nabiera pewności tego, że to koniec, z chwilą wejścia do kliniki. Nocny dozorca podrywa głowę znad stanowiska recepcji z wyrazem czujności na twarzy. Els odpowiada spokojnym spojrzeniem, z odwagą, którą dawno stracił.

– Przeszedłem w odwiedziny do Richarda Bonnera.

Dozorca nie spuszcza z niego wzroku.

– Przykro mi. O tej porze nie ma odwiedzin.

– Jestem jego bratem. Chodzi o ważną sprawę rodzinną. Przyjechałem tu aż z Teksasu.

Dozorca sięga po słuchawkę. Po chwili mówi:

– Pan Bonner? Tutaj Chuck. Przepraszam, że tak późno pana niepokoję. Przyjechał pański brat. W odwiedziny. Aż z Teksasu.



Podczas przeciągającej się w nieskończoność ciszy Els zaczyna się wycofywać z hallu rakiem. Dozorca przykłada mikrofon do policzka i obrzuca Elsa bacznym spojrzeniem.

– Który brat?

Els przewraca oczyma. Czysty Verdi.

– Peter – odpowiada. – A ilu braci ma, w swoim mniemaniu?

Dozorca przekazuje imię do słuchawki. Rozmawiając, macha ręką – na nikogo, kto mógłby to zobaczyć. Niewidzialne gesty, zupełnie jak muzyka dla głuchych. Pauza znów się przeciąga. Dozorca kręci głową i słucha. Els odcenia odległość dzielącą go od wyjścia.

W końcu dozorca rozłącza się z uśmiechem.

– Wygląda na to, że mam wpuścić skurczybyka.

Klinika jest luksusowa. Hall ze skórzanymi kanapami i z panelowym sufitem zawieszonym na takiej wysokości jak sklepienie katedry otwiera się na ogród z kaktusami. W jednym kącie stoi biblioteczka z czasopismami i paperbackami. Do skrzydła dla kobiet prowadzi bladomalinowy korytarz; do męskiego – zgniłozielony. Wszędzie na ścianach wiszą szkice i akwarele przedstawiające zwierzęta w spokojnej krainie. Za dyżurką pielęgniarek widać przez na wpół otwarte drzwi niewielkie laboratorium z półkami zastawionymi szkłem i buteleczkami lekarstw.

Els mija pomieszczenie z ekranem, następnie niewielką siłownię, gdzie garstka wiekowych dam zasuwa na bieżniach, podczas gdy młody personel sprawdza ich oznaki życiowe. W słonecznym atrium czterej siwowłosi mężczyźni w koszulkach polo i spodniach khaki pochylają się nad stołem ze skomplikowaną planszą do gry zastawioną mnóstwem kolorowych płytek. Dwaj młodsi, ze stoperami i z podkładkami do pisania, obserwują rozgrywkę.

Richard stoi w drzwiach na końcu długiego korytarza. Wygląda, jakby na twarzy miał makijaż sceniczny, w wersji tłustej dla starszków. Chwyta Elsa za ramiona, szukając efektów minionych siedemnastu lat. Kręci głową, zaprzeczając temu, co widzi.

– Powinieneś się ukrywać. Chyba że ja czegoś nie zrozumiałem?

To Richard Bonner, a zarazem nie on. Jest paręnaście centymetrów niższy. Wokół jego oczu dokonały się jakieś spustoszenia. Els spuszcza wzrok i widzi znów umykającą pod nim nawierzchnię autostrady międzystanowej. Jest zbyt wyczerpany, aby cokolwiek powiedzieć. Bonner przyciąga go do swojej piersi w niezręcznym uścisku. Wypuszczenie z objęć

jest raptowne i trochę zażenowane.

Richard otwiera usta, śmieje się bezgłośnie. Przygląda się Peterowi w zdumieniu.

– Spójrz no tylko na siebie. W ładny pasztet się wpakowałeś, maestro. Chodź, mam parę rzeczy, które chcę ci pokazać.

Wciąga Elsa za sobą do pokoju. Numer 18 nie poraża przestrzenią. Stoją tam pojedyncze łóżko, biurko z krzesłem i mała toaletka, jest przymocowany do ściany telewizor, jest też łazienka dostępna dla osób na wózku inwalidzkim. Richard przecina ten komfortowy studencki pokój, podchodząc do sterty papierów. Przetrząsa chwiejącą się wieżę, nie znajduje jednak tego, czego szuka. Els siada nieproszony. Dłonie Richarda obejmują drżenie zamiarowe – *vibrato* tak gwałtowne, że musi być skutkiem ubocznym zażywanego eksperymentalnego leku. Bonner jest więcej niż kruchy, jest skonany jak pies, walczy o jedyne, co ma jeszcze znaczenie: o koncentrację.

Wydaje okrzyk triumfu – „Ha!” – po czym macha łupem w powietrzu.

– Proszę bardzo.

Podchodzi do siedzącego Elsa i wręcza mu artykuł. Traktuje on o komórce analityków Centralnego Biura Śledczego, którzy sami siebie okrzyknęli „mściwymi bibliotekarzami”, a w rzeczywistości spędzają życie na przeglądaniu wielu milionów internetowych wpisów każdego dnia.

– I co myślisz? – pyta. – To nasz... nasz następny numer. Spektakl.

Zanim Els zdąży choćby się zająknąć, Richard wpycha mu w ręce nowsze wycinki. Jest tam tekst o Ai Weiwei, artyście wystawiającym instalacje, który obecnie gnije w chińskim więzieniu za tweeta z grą słów o jaśminie. Jest zapowiedź kinowego hitu o szalejącej epidemii, którego premiera przypada na jedenastego września. Jest informacja o mężczyźnie aresztowanym za skonstruowanie reaktora atomowego w kuchni. Oraz oczywiście kilka artykułów o Bachu bioterroryzmu.

– Wszystko się ze sobą łączy – oznajmia Richard. – Musimy tylko stwierdzić jak.

Wyrzuca z siebie słowa pośpiesznie, jakby ustnie stenografował. Czas nagli, a im dłużej będą zwlekać, tym zadanie będzie trudniejsze. Zaklina Elsa, gotów, chętny zabierać się do dzieła i koncentrować, póki koncentracja jest jeszcze możliwa.

Elsowi narasta dzwonięcie w uszach. Żółte linie autostrady zaczynają pulsować przed oczyma. Słyszy, że Bonner mówi, Peter nie rozumie jednak

ani słowa. Przenosi spojrzenie na trzymane w ręku wycinki prasowe: ktoś stara mu się przekazać wiadomość, ale czyni to językiem składającym się z samych piknięć i piśnieć. Jakaś nieczytelna awangarda.

– Zaraz – odzywa się – to ty wiedziałeś, że przyjadę?

Richard mruga oczyma.

– Nie. Ktoś twierdzi inaczej?

Patrzą na siebie w milczącym wyścigu zdziwienia.

Richard pierwszy się łamie.

– Och. Tobie chodzi... że przyjedziesz, kiedyś? A, tak, kiedyś, jasne. Wiedziałem.

Poklepuje odległe rejony swego ciała w poszukiwaniu łakocia, który mógłby wrzucić do ust. To ten sam dzieciak, który w mroźną noc 1967 roku stał na platformie pawilonu inwentarskiego Uniwersytetu Illinois, wykrzykując wariackie manifesty prosto w wir głosów. Pod płytami chodnika kryje się plaża.

Wyszczera się, ten ostatni raz czytając w myślach swego współnika.

– Wybaczysz mi? Znowu?

– Nie ma nic do wybaczenia.

– Ależ jest – zaprzecza Richard. – Tylko nie potrafię sobie...

– Nie. Ty po prostu...

Els nie wie, jak wyrazić, kim był jego przyjaciel. Co ten nieznośny, przekraczający wszelkie granice męczyzna zdołał wnieść do jego życia.

– Byłeś draniem, to wszystko. Wiecznie.

Richard wzrusza ramionami.

– A ja i muzyka?

– Chyba ją naprawdę kochałeś – odpowiada Els.

Bonner podchodzi do okna i wygląda przez żaluzje.

– Jaki tytuł miał ten duży numer? Opera?

Początkowe stadium alzheimera bardzo przypomina Elsowi dawnego Richarda.

– *Z sideł myśliwego* – odpowiada.

– O, to, to – potakuje Richard. – To z Biblii czy skądś? Przedstawienie było jedno, w Nowym Jorku, trwało godzinami? Coś o przywracaniu zmarłych do życia?

Els sam potrzebuje dobre pół minuty, żeby sobie przypomnieć. Bonner odwraca się od okna, znowu zaczyna czegoś szukać.

– Czemu to wszystko rzuciłeś?

Zamiera, żeby spojrzeć na swoje dłonie, i poszukiwania dobiegają końca.

– Wiesz, na czym polegał nasz problem? Gdy człowiek szuka Ideału, nawet Wspaniałość wydaje mu się byle jaka.

– Tak, to nasz przypadek – zgadza się z przyjacielem Els.

Stary tancerz odgania powietrze.

– Nieważne. Przed nami nowy projekt. Dzięki tobie mamy fantastyczny start. Mordercza Sztuka. Od dawna marzyłem, aby ktoś wziął to na tapetę.

Els ukrywa zdziwienie, udając atak kaszlu. Cała ta gadanina to musi być nieprzewidziany skutek uboczny, typowy dla pierwszej fazy badań klinicznych nowego leku. Albo może ostatnie podrygi umysłu, który nigdy nie poddał się czemuś tak trywialnemu jak rozsądek. Els odkłada wycinki na biurko i wpatruje się w tego obcego mężczyznę, swego jedyne przyjaciela.

– Richard, nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

– Daj spokój! – krzyczy Bonner. – Kto może się poszczycić tak liczną publicznością? Twoje dzieło śledzą miliony ludzi. Nie dasz rady zwrócić za wszystkie bilety.

Obejmuje Petera ramieniem i wyprowadza na korytarz. We dwóch wędrują korytarzem w stronę cywilizacji, zostawiając za sobą uchylone drzwi do numeru 18. W pokoju nie ma nic, co można by ukraść, nie licząc stosu potencjalnych projektów, a w całej klinice – nikogo, kto mógłby je ukraść, nie licząc niecałych czterdziestu ludzkich królików doświadczalnych.

– Powinieneś to... powinieneś to zobaczyć, Peter – zwraca się do niego Bonner. – Na lek mówią „consolidol”. Ja na chorobę mówię „gówniana”. Bóg raczy wiedzieć, jak nazywają się wszyscy inni. Skurczybyki noszą wymienne imiona. Jest sporo kobiet, które mają na imię Leslie.

Z przeciwka nadchodzi mężczyzna potężny jak ich dwóch, ostrzyżony na jeża po wojskowemu i z wolem jak grejpfrut. Macha im z daleka. Zbliżając się, krzyczy:

– Przecież ściany do pokoju nie wniesiemy! Podszewko, masz jakiś pomysł<sup>[61]</sup>?

Els czuje się zagubiony. Richard odpowiada:

– Któryś z nas musi osobiście zagrać rolę Ściany; i żeby oznaczał...<sup>[62]</sup>

Wielkolud podchodzi na tyle blisko, że może zmierzić Richardowi włosy. Richard, o dziwo, znosi ten atak. Wielkolud macha do Elsa i samym ruchem ust mówi: „Cześć, cześć”.

Richard podejmuje:

– ...i żeby oznaczał Ścianę, trzeba go trochę opaćkać gliną czy...[63]  
czy...

– Czy wapnem – podpowiada wielkolud, podrygując wolem z zadowolenia.

– ...czy wapnem albo otrzeć o tynk[64].

– Bruno – mówi wielkolud, wyciągając rękę.

Els ujmuje dłoń i doświadcza uczucia przeraźliwego miażdżenia.

– Paul – odpowiada.

– Jesteś w odwiedzinach?

– ...i żeby oznaczał Ścianę, trzeba go trochę opaćkać gliną czy wapnem albo otrzeć o tynk...

– Tak – mówi Peter. – Ale właśnie wychodzę.

– A poza tym niech trzyma palce, o, tak[65]. – I wielkolud układa palce w ukośną szczelinę litery V przed swymi błyszczącymi oczyma.

– Zamknij się, kurwa – warczy Richard. – No dobra. A poza tym niech trzyma palce, o, tak: to będzie szczelina, i przez tę szczelinę mogą sobie szeptać Piram i Tyzbe[66].

Wielkolud odpowiada:

– Jeśli tak, to wszystko w porządku. Dalej, niech każdy siada; przećwiczymy sobie nasze role[67].

Znowu macha i statecznie ich wymija, ruszając dalej korytarzem.

– Na jakiej jest dawce twoim zdaniem? Dwadzieścia miligramów? Pięć? Czy dostaje osoloną wodę? Takie są trzy możliwości.

Els wzrusza ramionami.

– Jeśli to zakład, powiedziałbym, że dwadzieścia miligramów.

– O tak, to zakład jak się patrzy. O setki milionów dolarów. Jakby co, obstawiam to samo co ty. Ale powiedz... Twoim zdaniem na jakiej ja jestem dawce?

– Nie wiem – odpowiada Els.

– Akurat, kurwa. Przez czterdzieści lat czytałem tę cholerną sztukę. A w samym ostatnim miesiącu czytam ją cztery godziny dziennie. To więcej niż w przypadku całej reszty tej bandy. Opowiada o elfach, wiesz.

Przystaje, żeby wywrócić kieszenie na lewą stronę. Wydłubuje garść jasnozielonych żelków i ogląda je, jakby to były księżycowe skały. Wrzuca parę do ust i zatoczywszy się lekko, idzie dalej.

– Wiesz, co jest w tym najgorsze? To ja zaproponowałem, żebyśmy uczyli się na pamięć *Snu nocy letniej*.

– Przecież... – Els urywa, poszedłszy po rozum do głowy. W końcu jednak postanawia rzucić się na główkę. – Wyreżyserowałeś ją na studiach. Akcję osadziłeś w domu starców.

– Nie! – wykrzykuje Richard. – Serio?

Idzie jakoś dziwnie, przechylając się na burtę. Gdy mijają małą siłownię, woła do niego trio rozłożystych staruszek. Po chwili wszystkie są już na korytarzu, kapie im z opasek na głowie i bluz, ale one jakby nigdy nic wsiąkają swój pot w ciało Bonnera. Najniższa z nich mruczy i odzywa się:

– Cóż to za anioł budzi mnie wśród kwiatów?[68]

– Co to ma, kurwa, znaczyć? – ryczy Bonner. – To jakieś Lato Miłości czy co? Kto wy w ogóle jesteście, trzy jak-im-tam?

– Czyż on nie jest uroczy?! – pyta Elsa niska kobieta.

Najstarsza z Gracji marszczy czoło i stuka się w skroń.

– Ja ciebie skądś znam.

Ta w środku łapie ją za rękę.

– Nie, nie znasz go, Jean.

– Wychowywałeś się w Glencoe? Chodziłeś do ogólniaka New Trier?

Kogoś mi bardzo przypominasz...

Els pokazuje zęby w uśmiechu i potrząsa głową.

– Chodź, Jean – komenderuje ta w środku. – Chodź, skarbie.

– A może byłeś przypadkiem w Korpusie Pokoju?

Richard oddala się, podśpiewując:

– Dobranoc paniom!

Els rusza jego śladem.

– Kocham cię, świata za tobą nie widzę![69]

Richard macha przez ramię, nie odwracając się nawet.

Jean drze się do Petera z drugiego końca korytarza:

– Jesteś muzykiem czy kimś takim?!

W hallu natykają się na większą liczbę uczestników badania klinicznego. Ich rozmowa to wszystkie możliwe wariacje jednego tematu: czy lek działa? Połączyło ich zaciekle farmaceutyczne koleżeństwo. Klinika sprawia wrażenie statku kosmicznego z filmu science fiction, gdzie całe pokolenia ludzi rodzą się, żyją i umierają w drodze przez kosmiczną pustkę, zmierzając w żółwym tempie do innego systemu gwiazdowego. Richarda witają jak dawno

utraconego przyjaciela, a on odwzajemnia się takim powitaniem, jakby właśnie odkrył, zdecydowanie za późno, że przyjaźń jednak niesie pociechę. Przez alzheimera stał się łagodniejszym człowiekiem.

We dwóch wymykają się na tylny taras. Richard zaczyna przechadzać się nerwowo.

– Sam widzisz, jak to tutaj jest. Ćwiczymy. Robią nam testy. Gramy. Monitują każdy nasz tik. Uczymy się na pamięć jak-mu-tam... Szekspira. W przyszłym tygodniu urządzamy małą próbę.

Potrząsa głową, bagatelizuje własną bezdenną rozpacz pstryknięciem palców.

– I szwendamy się, usiłując zgadnąć, kto dostaje jaką dawkę. Wypatrując oznak, że nie jesteśmy załatwieni na amen. Zbawieni i potępieni. Z każdym dniem sprawa staje się klarowniejsza. W każdym razie ja wiem, co dostaję. I to na pewno żaden tam efekt placido.

– Placebo – poprawia go Els.

– Placebo – powtarza Richard, przeciągając głoski. Teksaski akcent, który przez całe życie tłumił. – Mój ojciec chciał, żebym miał normalne życie. Tylko że nie potrafił sprecyzować normalności. – Wciska dłonie do kieszeni zjeżdżających mu dzinsów i dwukrotnie kiwa głową: – Placebo, placebo. – Zatacza ciasne koła na deskach sekwoi: nareszcie filozof, perypatetyk, znikający w mroku.

– Daj sobie trochę czasu – mówi Els.

– Nie mam czasu.

– Ale jeśli ten lek pomaga innym... jeśli nikt się nie pochorował...

– Kiedy mam gorszy dzień, wiesz, trzymam kciuki, żeby ktoś odwalił kite. Skoro ja nie mogę tego mieć, niech nikt nie ma.

– Mimo wszystko, gdy badanie dobiegnie końca...

– Zacznie się druga faza – wpada mu w słowo Richard. – A potem trzecia i czwarta. Później dopuszczenie do obrotu przez FBI czy jak-tam-się-to-nazywa...

Els również nie pamięta nazwy właściwej agencji.

– Następnie będą musieli otworzyć fabryki, w których ruszy produkcja pełną parą. Będę śliniącym się warzywem, zanim lek trafi na rynek.

Chwyta Petera za nadgarstek, ciągnie pod halogenową lampę tarasu.

– Też mi finał, co? Twój jest znacznie lepszy. Musimy nad nim popracować.

Puszcza rękę Elsa i gestem każe mu zaczekać. Daje nura do środka i znika na dłuższy czas. Peter nie umie powiedzieć, na jak długo. Wewnętrzny metronom rozstroił mu się od stresu i trzydniowej jazdy. W końcu Richard wraca, dzierżąc teleskop, jakby to była duża Tora. Poklepuje przyrząd.

– Moje alibi – wyjaśnia.

Spod ramienia sterczy mu statyw. Els łapie trójnog, zanim ten upadnie na ziemię.

– Nie lubią, gdy wychodzimy bez słowa – tłumaczy Bonner. – Boją się, że się oddalimy i zapomnimy adresu. Wyobrażasz to sobie?

Niezdarnie schodzi po stopniach tarasu, z naręczem instrumentów optycznych, znowu radosny, jakby udało mu się coś podprowadzić. Sztukę, powiedzmy.

– No chodź. Urządzimy sobie gwiazdne przyjęcie. Kiedy usłyszysz muzykę sfer, stwierdzisz, że kompozycje istot ludzkich to nudziarstwo.

Bonner prowadzi ekspedycję przez tylny parking, aż za najbliższy róg, do zaułka odrobinę ciemniejszego od otoczenia. Tego wieczoru wokół księżycyca jest pierścień – zimny, wielki i niebieski; halo na tle zasnutej lekko czerni. Takie monstrualne i piękne, że Els nie potrafi oderwać od niego wzroku. Richard mocuje się z teleskopem i statywem, nieprzerwanie nadając.

– Posuwam się szybko. Jak kostka cukru w wodzie. Robię notatki w małym kajecie. Żeby mi przypominały o różnych rzeczach. A potem nie potrafię ich rozszyfrować.

Els stoi obok bezradnie, wreszcie zaczynając pojmować.

– Dobrze, że przyjechałeś właśnie teraz – dorzuca Bonner. – Póki wciąż jest czas.

– Czas na co? – pyta Els.

Richard umieszcza teleskop na trójnogu i zaciska obejmę. Ustawia obiektyw, sprawdza soczewkę i zagląda w okular. Recytuje śpiewnie:

– Gaśnie dzień długi. Księżyc pnie się wolno<sup>[70]</sup>.

Garbi się przy tubie, z okiem przyłożonym do kosmicznej dziurki od klucza, i zagląda we Wszechświat. Być może wypatruje autobusu, który zajeżdża do tej części Galaktyki raz na epokę.

– Hej, przyjaciele, nie jest za późno na poszukiwanie nowego świata!<sup>[71]</sup>

Od czasu do czasu trąca lekko pokrętko regulacji azymutu. Wygląda niemalże tak, jakby wiedział, co robi. Wrywa mu się ciężkie westchnienie,



równie przytłaczające i niejasne jak nocne niebo. Wreszcie prostuje się i cofa.

– Popatrz.

Els patrzy. W polu widzenia ma samą ciemność.

– Kiedy usłyszysz muzykę sfer – odzywa się Richard takim tonem, jakby odkrywał eurekę – stwierdzisz, że kompozycje istot ludzkich to nudziarstwo.

– Na co patrzymy? Nic nie widzę.

– Przypatrz się lepiej.

Els wyęta wzrok. Z takim samym skutkiem. Przez dłuższy czas. Aż w końcu – jest!

Zza jego pleców, z mroku zaułka, Richard pyta:

– No to mów, co tam masz.

Els odrywa twarz od okularu. Sekundy upływają.

– O co ci chodzi?

– Co to za dzieło?

– Jakie znowu dzieło?

Richard kwituje ten wykręt uśmiechem, nie zamierzając dać się nabrać.

– Chcesz powiedzieć, że uprawiałeś czystą inżynierię genetyczną? Próbowałeś stworzyć nową formę życia?

– Nie – odpowiada Els.

– No to gadaj. Co dla mnie masz?

Za dużo kilometrów dzieli Elsa od domu, aby mógł mieć co do tego pewność.

– Nie poczyniłem znacznych postępów.

– Od czego są wspólnicy?

– Usiłowałem umieścić pliki dźwiękowe w żywych komórkach.

Pauza, ostatni rozbłysk telepatii i – Richard śmieje się jak hiena.

– A co jest nie tak z ośmiościeżkową taśmą audio? No i jaki to daje efekt?

– Richard... nie ma żadnej kompozycji. To była tylko próba pomysłu. Naszli mnie, zanim zdążyłem się przekonać jaki.

Bonner marszczy brwi, zdumiony tym, że ktoś tak bystry pozostaje ślepy na prawdę.

– Ależ jest. Oczywiście, że jest kompozycja.

– Nie ma.

– Ty chyba nie słuchasz.

I znowu zagląda w okular. Els stoi nieopodal. Dostraja się do nocy, aut i klimatyzatorów. Nasłuchuje – ciszej, mocniej. Otaczają go dźwięki,

jednakże nadal nie ma żadnej kompozycji. I nigdy nie będzie...

Wtem jest!

– Och – bąka. – Och. Chcesz powiedzieć... Chcesz opisać...

Tylko że Bonner, tak jak muzyka, nie opisuje rzeczywistości. On sam jest rzeczywistością. Której nie da się cofnąć.

Zabierają się do dzieła, jakby tylko na chwilę zarzucili wspólny projekt, który dzięki temu zdążył dojrzeć. Bonner rozmyślał o nim, odkąd usłyszał o ucieczce Elsa. Els nad nim pracował od dziecka, od przypadkowego spotkania z *Symfonią Jowiszową*. Rozmawiają: Els z Bonnerem, Bonner z gwiazdami przez soczewkową tubę. Nuca do siebie i kompozycja nabiera kształtu. Richard misternie ustawia kąty RPY teleskopu, zaglądając w okular po każdej minimalnej zmianie.

– To twoje dziecko – mówi do przyjaciela. – Ożyw je.

Kompozycja staje się śmiertelna. Melodia jest zdolna wprawić w panikę cały kraj. Harmonia ciszy i nicości. Niezbędnik słuchacza. Muzyka... Els czuje jej szaleństwo, a rześka noc w Phoenix, światła kliniki, ruch uliczny z pobliskiej alei wspólnie mówią mu: słysząc, bój się.

– Niech pomoże ci to usprawnienie sieci: kanarek Tweety. Podziel się z całym światem krótkimi miniseriami.

Pokazuje za siebie, na rozświetloną klinikę.

– Moglibyśmy skorzystać ze sprzętu w hallu. Napisz, że już ogarnia świat, rozprzestrzenia się... Dosłownie wszędzie. Wypuszczona z klatki. Epidemia niewidzialnej muzyki.

Els wybucha śmiechem, lecz tak naprawdę to nie śmiech.

– Zabijają mnie, wiesz. Jak tylko... – Obraz umyka przed nim, zupełnie jak pięć replikujących się nici *Symfonii Jowiszowej*.

– Przeszkadza ci to? I tak nie masz nic do zrobienia, prawda?

Els przyciska obie ręce do czaszki. Dopadają go pospółu zmęczenie i życie w biegu, gdyż to wszystko zniemacka zakrawa na pomysł iście samobójczy i wykonalny.

– Powiedz – odzywa się znów Bonner – co takiego chciałeś od... od... – Wykonuje gest, jakby kręcił korbką, przewijając całą muzykę, jaką Els pragnął kiedykolwiek napisać.

Jest miejsce, które Els odwiedził kilka razy w życiu. Miejsce wolne od marzeń o bezpieczeństwie, gdzie dusza tętni do rytmu wszystkiego. I każda jego wizyta była dlań przypomnieniem tego, że człowiekowi nic się nie

należy, za to śpieszno mu do dziedzictwa. Człowiek ma prawo się pogubić, ma prawo błyszczeć, ma prawo wyrażać siebie swobodnie, a wreszcie – ma prawo utonąć. Ale jest częścią harmonii niesłyszalnej dla ucha i zdolnej – przez moment – poruszyć do głębi.

– Pragnąłem zachwytu.

Richard klaszcze w dłonie.

– Załatwione. Żywa muzyka, pływająca w rezerwuarach wody pitnej.

– Zdumienia – dopowiada Els. – Suspensu.

– O, będą spijali każdy takt...

– Świeżości. Poczucia nieskończoności.

– Zagrożenia, chciałeś rzec.

I zmiany, dodaje Els w myślach. Wiecznej mutacji. Na jedno uderzenie serca zapomina, że nie ma żadnej kompozycji.

Czyni wyznanie:

– Piękna.

Richard mruży oczy na ten wstydlivy sekret. Wargi mu się wykrzywiają.

– Dobra. Co może być piękniejszego od muzyki, której nie słyszać?

Els zadziera głowę ku czystemu pustynnemu niebu, usianemu blaskiem nawet pomimo podmiejskiej łuny.

– Zgniotą mnie jak robaka.

Richard podchodzi do przyjaciela i kładzie mu dłoń na ramieniu. Wzrok mu mięknie niemal współczująco. Znów brakuje mu potrzebnych słów. Ale jego spojrzenie mówi: zgniotą cię i tak, nawet jeśli nie piśniesz.

Macha ręką w stronę teleskopu.

– Popatrz.

Els przykłada oko do burzy gwiazdowej. Ciała niebieskie zbijają się w gromady – to kosmiczna szkółka pielęgnująca nowe światy. Peter czuje się tak jak przed dwoma laty, kiedy po raz pierwszy obejrzał pod tysiącrotnym powiększeniem plamę świetlistych komórek i zdał sobie sprawę z tego, że życie jest wszędzie, również na poziomach rzeczywistości niemających z nim nic wspólnego.

Wydaje okrzyk. Stojący za nim Richard śmieje się cicho.

– Kiedy usłyszysz muzykę sfer, stwierdzisz, że kompozycje istot ludzkich to nudziarstwo.

Gwiazdy mkną ku niemu w tepowanym pośpiechu. Odsuwa głowę. Richard spogląda w kierunku stojącej za rogiem kliniki – na eksperyment,

który dał mu nadzieję i napoił go roztworem soli fizjologicznej.

– Zresztą na ile mogą cię skrzywdzić? – pyta.

Els nic nie mówi. Słowa są dla tych, którzy znają odpowiedzi.

Richard wpatruje się w odległy punkt przestrzeni.

– Musisz to zrobić. Czeka największa publiczność w historii muzyki eksperymentalnej.

– Zawsze życzyłeś mi śmierci – stwierdza Els. – Prawda?

Jednakże Bonner przebywa gdzie indziej.

– Ludzkie oko nie widziało – deklamuje. I urywa, skonfundowany. – Ludzkie oko nie słyszało, ludzkie ucho nie widziało<sup>[72]</sup>...

Słowa cichną. Następuje bolesna przerwa, której Els nie daje rady wypełnić. Uderza go to, że jest jedna, drobna dobra strona miejsca, do którego zmierza Bonner. Każdy obraz, każdy dźwięk będzie dla niego jak nowy.

– Coś tam, coś tam, serce nie wykrztusi takiego snu jak mój!<sup>[73]</sup>

Richard pokazuje migające światła. Furgonetka i trzy wozy, jeden z nich nieoznakowany, wślizgują się na kolisty podjazd przed kliniką. Mężczyźni w pełnym rynsztunku bojowym wysiadają z samochodów i zajmują pozycje. Dziesięciu rusza ku drzwiom wejściowym. Porozumiewają się między sobą po angielsku i hiszpańsku. Nocny dozorca w końcu przypomniał sobie twarz pokazywaną w wieczornych wiadomościach.

Bonner obserwuje tę scenę, jakby ją kiedyś wyreżyserował. Jego mina wskazuje na to, że nie podobają mu się didaskalia.

Zwraca się do Elsa:

– Jesteś na to gotowy?

Cokolwiek rozumie przez „to”, odpowiedź brzmi „nie”. Ale Richard już na niego kiwa. Idą gęsiego do przeciwnego krańca budynku kliniki, na parking długoterminowy, porzuciwszy teleskop na statywie pośrodku zaułka.

Mur osłania ich przed wzrokiem funkcjonariuszy stojących w szyku kilkadziesiąt metrów dalej. Cienie członków oddziału szturmowego przemykają za oknami męskiego skrzydła, podczas gdy dwaj starszacy brną w stronę hondy accord. Bonner kuca przy tylnym prawym kole, jakby schował się za autem albo modlił. Wsuwa dłoń do felgi i wyciąga klucz.

– Tym sposobem zawsze wiem, gdzie go szukać. Pod warunkiem że wpierw znajdę właściwy samochód.

Podaje klucz Elsovi. Peter nie jest w stanie go przyjąć. Ma zdrętwiałe

ramiona. Wolność przyszła po niego, niemożliwa, ogromna, zimna i niebieska, a on w niej utonie, hen, pośrodku, z dala od brzegu.

– Bierżże. To z wypożyczalni. Jakie znaczenie ma jakieś tam GTA w obliczu aresztowania za terroryzm? Zresztą wyświadczasz światu przysługę. Powinni byli odebrać mi prawo jazdy już cztery miesiące temu.

Richard zamyka palce Elsa wokół klucza. Jeszcze ten jeden, ostatni recital, mówią jego oczy. Dasz radę. Niech to będzie coś, co usłyszy nawet ten rozkojarzony świat. Będzie bolało tylko przez moment.

Els naciska breloczek i siada za kierownicą. Panika uderza w niego falami, lecz on na niej surfuje. Poklepuje kieszeń: smartfon nadal tam jest. Oszołomiony strachem zaczyna chichotać. Opuszcza szybę. Bonner majaczy za otwartym oknem.

– Gdyby jeden z nas miał pochwę – mówi Els – zniknęłaby połowa problemów.

Richard aż się cofa.

– Cóż za kuriozalne spostrzeżenie...

Els opuszcza miejsce parkingowe i kieruje hondę ku zakrętowi drogi, o rzut kamieniem od stojących wozów policyjnych. Odwraca się, żeby pomachać Richardowi. Jednakże Bonner już idzie w przeciwną stronę spacerkiem, zgarbiony, z rękoma w kieszeniach, prosto ku scenie, gotów zapanować nad choreografią, jeśli mu tylko pozwolą. Pierwsza zasada kreatywności: myk w lewo, kiedy oczekują po tobie myku w prawo.

#

Nie uda się mnie chwycić za pierwszym razem – nie traćcie otuchy[74].

#

Peter Els, terrorysta, zatrzymuje się na poboczu starej stanowej autostrady w Barstow w Kalifornii, aby przyjrzeć się barierce. Patrzenie nic nie daje. Bazgroły, których szuka, dawno zniknęły. Sama barierka też musiała być wymieniana, i to nie raz. Zresztą Bóg jeden wie, ile kilometrów barier zabezpieczających oplata okolice Barstow. Bazgroły istnieją teraz wyłącznie w muzyce, która je upamiętniła. Mimo to Peter stoi tam i błądzi wzrokiem. Nigdy wcześniej nie zatrzymał się, aby odczytać napis z barierki.

Niebo nad pustynią Mojave lśni jak namalowane. Skwar bije od suchorośli porastających teren wokół krateru miasta. Kilka godzin wcześniej, w porze lunchu – na który w barze dla zmotoryzowanych przy autostradzie

międzystanowej kupił sobie torebkę pełną parującego mielonego mięsa – zaczął tweetować. Rozgryzanie systemu sprawiło mu dziecięcą frajdę. Utworzył konto i wybrał nazwę użytkownika: @Terrorakord. Kilka tweetów stracił na udowodnienie, że faktycznie jest t y m uciekającym. Następnie przeszedł od ekspozycji do przetworzenia.

Dokonałem tego, co ich zdaniem tylko próbowałem zrobić. Jestem winny zarzucanych mi czynów.

Byłem pewien, że nikt nie usłyszy ani nuty. Tworzyłem z myślą o pustym audytorium.

Co ja sobie myślałem? Chyba nie myślałem. Zawsze zarzucano mi, że chodzę z głową w chmurach...

Tego roku nie ma prawdziwej wiosny. Większość kraju przeskakuje z grudnia prosto w czerwiec. A w Barstow to nawet w sierpień. Stuknięta pogoda być może nie jest powodem do zmartwienia. Przynajmniej nie dla ekstremofili. Bakterie nie muszą się właściwie niczym martwić.

Po krótkim przestanku w barze z burgerami Els zatrzymał się na stacji benzynowej należącej do firmy, która niedawno wylała pięć milionów baryłek ropy do Zatoki Meksykańskiej. Honda przejechała ostatnie parę kilometrów na oparach. Els musiał włożyć kartę kredytową w szczelinę dystrybutora i zdradzić swoją lokalizację. Nie rozległ się żaden alarm. Paliwo lało się do baku, a Els wyobrażał sobie, że chroni go jakieś zaklęcie i że dostanie następne cztery godziny, dzięki którym zdoła odkupić całe swoje życie.

Przestawiwszy auto kawałek dalej, siedział w fotelu kierowcy i tweetował. Kolejne frazy przychodziły mu z łatwością, całymi tuzinami, każda nie dłuższa niż sto czterdzieści znaków.

Pragnąłem tworzyć muzykę, która przypomina ludzkiemu umysłowi, jak żyło się w czasach, gdy byliśmy nieśmiertelni.

Pragnąłem skomponować utwór, który by pokazał, jak będzie brzmiał świat po tym, gdy nasz koncert dobiegnie już końca.

Tweetował niczym pasówka białogardła w dendrarium przed zaledwie paroma dniami, odkrywająca od nowa tonalność pojedynczymi trójdźwiękami. Do wczesnego popołudnia, gdy wjechawszy do Barstow, znów zrobił sobie przerwę na tweetowanie, miał już prawie osiemdziesięciu zwolenników. Wiadomości rozprzestrzeniały się samoistnie.

Przyjazd do tego miejsca wydałby mu się planem, gdyby był lepszym

planistą. Doprowadził go tutaj Głos. Nazwa wyskoczyła na mapie smartfona: Barstow. Od dawna chciał odbyć tę pielgrzymkę. Napatoczenie się tego miasta przypominało kilka wcześniejszych przypadków – żywiołowy taniec w środku *Pieśni Borgesa*, okropny upadek w środku *Bezpieczeństwa*, narastające wolno napięcie pod koniec *Sideł* – gdy muzyka tworzyła się sama, a Elsowi pozostawało co najwyżej spisywać to, co mu dyktowano.

Droga jest wąska, przez co podmuchy przejeżdżających aut kołyszają jego hondą. Els wlecze się poboczem, badając kolejny odcinek barierki. W takim miejscu ośmiu zapomnianych autostopowiczów z czasów Wielkiego Kryzysu zostawiło listy w butelce adresowane do nikogo w szczególności. Osiem anonimowych odez w przemienionych w banalny, nieziemski, wywrotowy, zachowawczy zestaw mikrotonowych minifolkowych piosenek – znak rozpoznawczy Harry’ego Partcha, *Barstow*. Miejsce łatwe do osiągnięcia, lecz trudne do wydostania się.

*26 stycznia. Zimno mi. Ed Fitzgerald, lat 19. Wzrost 177 cm, włosy czarne, oczy piwne. Wracam do domu, Boston (Massachusetts). Jest 17.00, a ja jestem głodny i splukany. Nie chce mi się żyć. Ale dzisiaj jestem mężczyzną.*

Przegląd stumetrowego odcinka wykazuje: gniazdo os, naklejkę reklamującą firmę holowniczą, obsceniczny kuplet, kilka par inicjałów, wyrzeźbiony gruzłowaty fallus i złamane serce. Oraz mnóstwo tajemniczych znaków, równie dobrze zostawionych przez przedstawicieli obcej cywilizacji. Els wsiada z powrotem do hondy. Zanim przekręci w stacyjce kluczyk Richarda, wysyła kolejnego tweeta, tym razem autorstwa łązugi Partcha, obecnie współnika w zbrodni.

Jednym z ostatnich bastionów amerykańskiej muzyki są włóczędzy.

Przeczytał te słowa na studiach, pół wieku temu, w innym prowincjonalnym mieście, tym samym, w którym Partch mieszkał tuż przed jego pojawieniem się na scenie. I zachował je w pamięci przez wszystkie te lata mimo wszystkiego, co się wydarzyło. Być może nieco je wypaczył. Mutacja to suka.

Jeśli ktokolwiek to rozumiał, to właśnie Partch. W Nowym Orleanie wrzucił do piecyka pierwsze czternaście lat swojej muzyki i zaczął od nowa jako dwudziestodzieciolatek, na zawsze odcinając się od głównego łądu. Za stypendium Fundacji Carnegiego wylądował w Dublinie u Yeatsa, którego namówił pod koniec życia do rewolucyjnej przeróbki *Króla Edypa*.

Parę miesięcy później bezdomny i splukany łapał okazje i żebrał o posiłki w Kalifornii lat trzydziestych XX wieku – „Kalifornia! Stan przyszłych Los i Las, San i Santa, miast dziewic, koncepcji i aniołów!”. Przez osiem lat sypiał, gdzie popadnie, gnieździł się w szałasach kloszardów, podróżował na gapę pociągami towarowymi, łapał choroby, przymierał głodem i odkrywał na nowo muzykę.

*Panowie, na East Lemon Drive 53 w Monrovi (Kalifornia) dają każdemu jałmużnę.*

Donkiszot menelstwa, tramp wizjoner, biedak w upadającym kraju. Prorok na puszczy, przekonany o tym, że wyłącznie ktoś z zewnątrz jest w stanie znaleźć drogę. Człowiek bezkompromisowy. Podły pijak. Homoseksualista, jeśli kogoś to interesuje; tak samo jak wielu najlepszych kompozytorów XX wieku. W każdym razie: typ raczej aspołeczny. Pewien, że los muzyki zależy od tego, czy uda się podzielić oktawę na czterdzieści trzy tony.

*Marie Blackwell. Lat 19. Oczy piwne, włosy brązowe, niebrzydka. Miejsce przeznaczenia: East Ventura Street 118, Las Vegas (Nevada). Cel podróży: ślub.*

Aby usłyszeć swą widmową muzykę, Partch musiał wynaleźć pełną orkiestrę niecodziennych instrumentów. Przekutych z wizji w stolarkę. Stąd zymo-xyl, zbudowany z kołpaków i butelek po wódce. Marimba diamentowa, basowa, bambusowa, mazda i *quadrangularis reversum*. Zaadaptowane na jego potrzeby altówki i gitary. Harmoniczne kanony przypominające cymbały z ruchomymi mostkami, strojone od nowa dla każdego nowego utworu. Kitarą, drzewo tykwowe, stożkowe gongi, łupy wojenne. Cała gama organów stroikowych, których klawisze rozbijały półtony na drzazgi. Oraz oczywiście puchary z komorą chmurową, których kopia znalazła się w salonie Elsa i pomogła mu przekonać agentów federalnych do zasadności rewizji w jego domu.

*Droga Marie, miałaś świetny pomysł!*

W polu widzenia pojawia się następny odcinek barierek, na co Els gwałtownie hamuje. Jadący za nim ford expedition trąbi przeraźliwie i skręca, żeby uniknąć zderzenia. Wielki SUV wymija hondę z piskiem opon. Els zjeżdża na pobocze i gapi się na kawałek nawierzchni, gdzie – w innym świecie – leży rozsmarowany na płask.

W końcu powstaje z martwych, wyciąga smartfon i znowu tweetuje.



Wklepuje przepis na domową nalewkę. Wpisuje uwagi na temat tego, jak powstała kompozycja. Jedno pstryknięcie palca i nowa fala wiadomości mknie w świat, ku największej możliwej publiczności.

*Rozkład jazdy. Najbliższe kursy: 16 stycznia 1958. 17 stycznia 1976. 18 stycznia 1990. 19 stycznia 2006. 20 stycznia 2011. Do diabła z tym – wolę się przejść!*

Els wysiada z samochodu i bada uważnie każdy centymetr kwadratowy barierek, jakby to była partytura *Symfonii Jowiszowej*. Właściwie różnica jest niewielka: tyle na niej skrobnięć, zarówno przypadkowych, jak i zamierzonych. Peter nie umie oderwać spojrzenia. Natura, los i ludzie odcisnęli na metalu swoje piętno. Wszędzie tylko uśpione komórki i tajne wiadomości. Kto mógł wiedzieć, ile rzeczy spisano na tych niewidzialnych powierzchniach?

Ołówek na farbie, sprzed lat czterdziestych: to zrozumiałe, że jego autostopowicze dawno przepadli. Każda barierka w Barstow jest z późniejszych czasów. Jednakże każda też roi się od ich potomstwa, milionów wpisów kolejnych pokoleń. Gdy słońce zaczyna zachodzić, a ruch przybiera na sile, dalsze poszukiwania stają się tyleż bezsensowne, co jeszcze pilniejsze – wszystkie odkrycia zaś kipią życiem.

*Jezus był Bogiem wcielonym.*

Partch miał rację co do tylu spraw. Dwanaście dźwięków chromatycznych to zdecydowanie za mało. Skazują one kompozytora na szereg już znanych fraz, progresji i kadencji. Zakładają kaftan bezpieczeństwa bogactwu mowy. „Kompozytor marzy o smużących odcieniach zachodu słońca. Dostaje czerwień. Pragnie geranium – dostaje czerwień. Wyobraża sobie pomidora, ale dostaje czerwień. W ogóle nie chce czerwieni, ale ją dostaje i jeszcze każe mu się ją polubić”.

Mimo to się mylił, uznaje Els, sądząc, że czterdzieści trzy mikrotony choć trochę zbliżają twórcę do nieskończoności.

Opiera się o zakurzoną maskę hondy Richarda i ponownie sięga po smartfon Klaudii Kohlmann. Tweetuje:

#

Partch o fortepianie: „Dwanaście czarnych i białych klawiszy na straży muzycznej wolności”. Ja znalazłem instrument bez wszelakich klawiszy.

#

#

Partch raz jeszcze: „Muzykę słyszałem we wszystkim, co mnie otaczało, i starałem się ją zapisać...”. Ja sam nie próbowałem niczego innego.

#

#

Przez całe życie sądziłem, że wiem, co to muzyka. Zachowywałem się jak dziecko, które myli swojego dziadka z Panem Bogiem.

#

Kiedy on pisze, gdzieś pod wiaduktem, w siekącym deszczu pamięci, czekają na okazję inni autostopowicze.

*Szukam milionerki na żonę. Przystojny (bardzo!), inteligentny, wygadany et cetera. Szczęściary! Musicie mnie tylko znaleźć, szczęściary. Mam na imię George.*

Els tweetuje:

#

Kluczem była daremność. Muzyki, bezcelowej muzyki jedna chwila sprawia, że wszelki zamęt przemija.

#

Trwa tak, opierając się o maskę, tweetując, niemalże zadowolony, niemalże spokojny. Każda chwila tutaj spędzona zwiększa ryzyko tego, że zostanie zatrzymany za włóczęgostwo przez przejeżdżający patrol policyjny. Jednak teraz chroni go jakieś zaklęcie, otacza opieką bóg nedorzecznych pomysłów.

Przychodzi SMS i zajmuje cały ekran: *Uczniowie pytają, czy to będzie na końcowym egzaminie. KK.*

Uśmiecha się i odpowiada: *Lepiej w to uwierzcie.* Później wysyła jeszcze chmurę tweetów i dopiero wsiada z powrotem do auta.

Za Barstow skręca w biegnącą w górę stanu Dolinę Kalifornijską, którą nigdy nie zjeździł autostopem Partch, transkrybując rozmowy obcych ludzi na notatniki zapisane skreślonymi odręcznie pięcioliniami. Kieruje się na północ, do miejsca, które kiedyś Partch tak opisał w ekstazie: „Pośród porośniętych wierzbami łach American River, w środku miasta, zapatrzyłem się na entylion gwiazd i dziękowałem istocie, która je tam umieściła. Podziękowania ulegną zwielokrotnieniu, gdy w każdy następny zmierzch

będę grać na nosie jutru...”.

O zmroku zamawia *huevos rancheros*, jajka po farmersku, w barze na parkingu dla ciężarówek nieopodal Buttonwillow przy autostradzie stanowej numer 5. Do tego czasu zdążył przekroczyć pułap tysiąca zwolenników. Ci, którzy czytają jego wiadomości, przekazują je dalej. Szersza publiczność dowiaduje się o tym za sprawą komentarza zamieszczonego na jednym z ważniejszych serwisów informacyjnych pod artykułem o bioterroryzmie. „Bach bioterroryzmu improwizuje przed audytorium. Przyznaje się do swoich zbrodni”.

Noc jest naznaczona serią odkryć w rozsianych po internecie węzłach. Jakiś inżynier dźwięku oblicza, ile par nukleotydów wymagałoby zakodowanie pięciu minut muzyki symfonicznej. Ktoś inny wrzuca do sieci pięciominutowy filmik będący fragmentem starego nagrania VHS z jedyne przedstawienia *Z sideł myśliwego*. Sąsiedzi Petera Elsa, mieszkający półtora kilometra z hakiem od jego domu w Naxkohoman, zapadają poważnie na zdrowiu, po czym relacjonują przebieg choroby na swoim blogu. Pojawiają się masowo rozsyłane maile zawierające linki do informacji, jak się zachować w razie podejrzenia kontaktu z *Serratia marcescens*. „Proszę przekazać tę wiadomość dalej każdemu, kto może jej potrzebować”.

Dziennikarz mający profil na Facebooku zastanawia się, czy @Terrorakord rzeczywiście jest Peterem Elsem, czy raczej tylko jakimś innym, anonimowym artystą szukającym swoich paru minut sławy. Mało znany funkcjonariusz policji moralnej zawiesza swą elokwentną tyradę na temat tego, jak to muzyka została zawłaszczona przez oszustów: „Nie da się jej odczytać z nut, zagrać ani wysłuchać – coś takiego nie mieści się w głowie”. W ciągu dziesięciu minut ten jeden wpis generuje dziesiątki przeciwnych opinii. Dwaj matematycy debatują nad tym, jak trudno byłoby odkodować partyturę zapisaną w kodzie genetycznym i odtworzyć muzykę. Ktoś donosi, że pracujący dla rządu naukowcy już wyizolowali i zsekwencjonowali inkryminowany szczep, który okazuje się odporny na wszelkie antybiotyki. Młoda kompozytorka przyznaje się, że słyszała kompozycję, którą Peter Els wbudował w genom – ma to być utwór na małą orkiestrę, karkołomny i nieskrępowany.

Zanim skończy się noc, w internecie aż buzuje. Aktywista z Maine postuluje, aby nałożyć karę śmierci na każdego, kto wykazując się brakiem odpowiedzialności, zmienia genom żywych bakterii. Student prawa dowodzi,

że tweety same w sobie są formą terroryzmu i że zgodnie z obowiązującymi przepisami nadawcę można aresztować i przetrzymywać w nieskończoność bez procesu sądowego. Osoby piszące na łamach cichociemnego zinu muzycznego stwierdzają, że po raz pierwszy od lat słyhać w muzyce naprawdę nowy głos.

*Wszystkim tym, którym się uda złapać okazję, krzyżyk na drogę. Po coście tu w ogóle, cholera, przyjeżdżali?*

Els śpi w hondzie zaparkowanej za budynkami miejsca obsługi podróżnych, kawałek na północ za Lost Hills. Śnią mu się włóczędzy, ostatni bastion amerykańskiej sztuki. W jego śnie zwykli ludzie porozumiewają się ze sobą dźwiękami i rytmami tak bogatymi, że żadna skala ani notacja nie jest w stanie uchwycić tej masowej, wielomilionowej solówki. Przez całą noc akompaniuje jej orkiestra ciężarowych samochodów wielonaczepowych przejeżdżających pobliską autostradą.

Obudziwszy się, Els jedzie dalej na północ. Do wieczora powinien być u córki. Nie ma żadnego planu. Jest tylko stara śpiewka kloszardów, ubrana w słowa i melodię przez zespół The Weavers:

*Make me down a pallet on your floor.*

*When I'm broken and I got nowhere to go.*

#

Nie znajdziecie mnie w jednym miejscu – szukajcie w innym[75].

#

Siedzący w samochodzie na przydrożnym parkingu mężczyzna pisze coś na telefonie komórkowym. Oto, co pisze: *Zaczęłam od rytmu mówiącego: działaj teraz, później przez bardzo długi czas będziesz pozbawiony możliwości działania.* Następnie wysłała wiadomość.

Opowiada o skomponowanym przez siebie utworze, o melodii z czasów, których mowa nie jest w stanie osiągnąć. Opowiada o harmoniach rozprzestrzeniających się w kompozycji długimi, samoreplikującymi się łańcuchami. Jego słowa mkną w górę do satelitów, po czym w dół do serwerów, skąd trafiają w każdy zakątek planety.

Mężczyzna opowiada, jak brzmi jego dzieło.

Jak porowata granica między nadzieją a strachem.

*Chciałem, żeby moja bakteria rozbrzmiewała jak ta muzyka, którą uwielbiałem jako szesnastolatek, kiedy co kilka godzin odkrywałem nowe*

*arcydzieło. Chciałem, by przypominała melodię, którą moja pięcioletnia córka pewnego razu skomponowała za pomocą kolorowych klocków na podłodze salonu.*

Każda wiadomość niesie melodię. Mężczyzna opowiada o tym, jak zatrudniał muzyków, odbywał próby i nagrywał pieśń dla nikogo. Obok hondy zatrzymują się inne auta. Niczego niepodważający ludzie mijają jego samochód. Korzystają z parkingowych udogodnień. Kupują posiłki z automatów. Wracają do swoich wozów i odjeżdżają.

Mężczyzna pisze dalej: o muzyce przekonwertowanej na ciąg zer i jedynek, a następnie jeszcze raz, na system czwórkowy. Pisze o pierścieniu chromosomowym *S. marcescens*, liczącym pięć milionów par nukleotydów. Tweetuje o tym, jak podzielił te dwie liczby, żeby otrzymać krótki klucz. O tym, jak sprawił, aby ten klucz był dopasowany do jego potrzeb. W dzisiejszych czasach zasoby internetu są nieograniczone.

Opowieść staje się radosna, niemalże potoczna. W kolejnych krótkich, wesołych wrzutek pojawiają się informacje o tym, jak przemienił żywą istotę w szafę grającą; jak dodał sekwencję niosącego znaczenie wzoru do tego skomponowanego przez miliardy lat czystego przypadku. Dotyka przycisku i uwalnia wiadomość do biosfery, gdzie ta przez jakiś czas będzie żyć i się replikować. Tweetuje o tym, jak uwolnił swoją muzykę. Jak jego muzyka rozprzestrzenia się teraz w powietrzu, w szczelinach między kafelkami w łazience. Jak być może właśnie w tej chwili wdychacie stworzoną przez niego melodię, której nigdy nie zdołacie usłyszeć.

Jego tweety go obciążają.

#

Skazałem swój utwór na śmierć, która czeka nas wszystkich. Bądź na odnalezienie przez Obcych miliard lat po tym, gdy wyginie.

#

#

Nie mam bladego pojęcia, jaki będzie efekt. Pewnie żaden. Może nawet o wszystkim zapomnie. W końcu to tylko pieśń.

#

#

Gdzieś się w końcu zatrzymam, czekając na was[76].

#

Czerwień – i słuchacz czuje prażące słońce. Błękit – i widzi niebo. Turkus – i wyprawia się w morze.

Do przenośnej sali koncertowej wlewają się kolory. Najpierw z radia: smyczki z chybotliwym westchnieniem. Długa otucha, odgłosy kończącego się dnia. Już nie ma się czego bać; nie ma czego odkrywać. Ale po siedmiu akordach pojawia się migotanie waltorni, aż wreszcie przy kolejnym zwrocie odzywa się sopran:

*Amor mío, si muero y tú no mueres,  
Amor mío, si mueres y no muero,  
no demos al dolor más territorio...  
Kochajmy się, jeśli umrę, a ty nie,  
Kochajmy się, jeśli umrzesz, a ja nie,  
nie oddawajmy więcej pola smutkowi...*

Słowa meandrują niczym leniwa rzeka. Wkrótce jednak wir niestabilnych harmonii wypycha melodię wyżej. Ta muzyka, zaledwie kilkuletnia, mogłaby liczyć sobie stulecie. Jest przeniknięta Mahlerem, i to u szczytu spokoju. Nieliczne dysonanse, które dopuszcza, są rozproszone i przemijające, jakby udoskonalony terror XX wieku niczego nie zmienił i jakby nawet teraz, nawet tego roku, nic nie zagrażało domowi – bliższemu, niż mogłoby się zdawać.

Znów ta chybotliwa nuta, obecnie wzmocniona przez waltornię. Wśród tego rytmu sopranistka powraca do szerokiego pierwszego tematu: *no hay extensión como la que vivimos*. Nie ma lepszego miejsca niż to, w którym żyjemy... I to przez parę taktów, tutaj, na podobnej do dziesiątek innych autostradzie, wydaje się prawdą.

Słyszałeś tę kompozycję już wcześniej, trzy lata temu, i za pierwszym razem odniosłeś wrażenie, że to zwykły sentymentalizm. Muzyka filmowa. Posypka z południowoamerykańskich odcieni i tonów, czarujący Villa-Lobos łamany przez Ravela. Miejsce, do którego nie ma powrotu, nawet gdyby wciąż istniało. Tymczasem radio funduje ci tę reprzykę, by przy pomocy prowadzącego audycję udowodnić, że pierwsze wrażenie nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Winowajcy są ci znani: Peter Lieberon i Pablo Neruda. Nazwiska w najlepszym razie zakrawające na pseudonimy artystyczne. Frazy akumulowały się przez wieki i są dziełem większej liczby anonimowych

wyrobników, niż historia będzie skłonna to przyznać. Nie wyłączając ciebie, przyczajonego na którejś z gałęzi samorozprzestrzeniającego się internetu, ojczyzna ulotnych nastrojów i modulacji, wektora nowych infekcji.

Czego słuchacz może się nigdy nie dowiedzieć o tej pieśni? Że powstała dla wykonującej ją kobiety. I że właśnie ta kobieta przywiodła kompozytora do tej miłości, do tego wiersza. *Kochajmy się, jeśli umrzesz...* Wreszcie że śpiewaczka zmarła zaledwie parę miesięcy po premierze.

A czy w odbiorze tychże fraz, bezwstydných i bogatých, może coś zmienić świadomość tego, że kompozytor będzie następny? Śmierć czeka go w ciągu paru dni. Właśnie dlatego w radiu puszcza ją te pieśni, urządzając mu laudację za życia. Gdy się jednak wsłuchać, staje się jasne, że muzyka zapowiada inną śmierć, starszą nawet od wykorzystanej melodii.

Kilkadziesiąt lat wcześniej ten sam człowiek komponował, tak jak ty pokładając wiarę w nieskończoną przyszłość. Pobierał nauki u stóp przerażająco postępowych mentorów. Ulewała się z niego muzyka nabrzmiała matematyką i dyscypliną, muzyka niczym dowód formalny, robiąca wrażenie na dziesiątkach, a może nawet na setkach wymagających koneserów. On zaś pławił się we wszystkich swego czasu podchwyconych szyboletach, obecnie zarzuconych tak samo jak mocno dyskredytowana gorliwość. Niemniej ta pieśń – och, ta pieśń pokona znaczny dystans, dotrze wszędzie, zwiedzi świat, tak że nawet cierpiący na dysmuzję usłyszą w niej coś dawno zapomnianego.

Co zatem począć z tą nieudaną rewolucją, z tym trwającym stulecie bezkompromisowym eksperymentem? Z potrzebą czegoś, co umyka zwykłemu słuchowi? Wydźiedziczyć? Przywołać do porządku i ukarać? Pokręcić głową i uśmiechnąć się wyrozumiale na fanaberie młodości? Nie. Osobliwość była przecież twoją dobrowolną i żarliwą sztuką. Wraz z outsiderami walczyłeś o coś wielkiego, zdając sobie sprawę z mikrych szans powodzenia. Teraz nie ma już odwrotu. Nie ma co liczyć na wybiórczą pamięć ani na wymówki. Pod koniec tego bardzo długiego dnia trzeba się uczciwie przyznać do wszystkich swoich prób.

Co jednak uczynić z tą pieśnią miłosną, z jesienną harmonią przyprawiającą o ból piersi? Jak ją określić? Czy jest to wyparcie się samego siebie? Powrót syna marnotrawnego? Asekuranctwo? Sprzedanie się? Nawrócenie na łożu śmierci? A może augmentacja lub przeciwnie – dyminucja? Bądź po prostu melodia pomagająca zabić czas na ostatnich stu

kilometrach tego rajdu przez Amerykę? No więc, co to takiego?

Możesz powiedzieć, że nic albo że muzyka, gdyż tam, dokąd się wybierasz, nie czekają na ciebie żadne nazwy ani style. Po prostu słuchaj, gdyż już wkrótce słuchanie skończy się na zawsze.

Melodia staje się napięta. Szybkie podwyższenie stawki, nerwowe dobieranie: motyw skądś ukradziony, prawda, ale skąd? Od nikogo takiego, kto by mógł złożyć pozew. Ten konwencjonalny suspens przełamuje czar: ty byś zbudował kontrast inaczej. Na tym polega przekleństwo życia spędzonego na poszukiwaniu transcendencji – zwyczajne nie wystarcza, wszystko prosi się o poprawkę. A jednak – mimo wszystko – zmienia się wolumen, pojawia rytmiczna linia, instrumentalna barwa staje się inna, na co sobie myślisz: czemu nie? I wtedy aprobatą ustępuje słuchaniu.

*El tiempo, el agua errante, el viento vago...*

Czas, płynąca woda, zmieniające się wiatry... Umierający kompozytor staje na forum: pragnie przeprosić kolejne roczniki studentów za to, że wskazywał im niewłaściwą drogę. Swą muzyką mówi: wtedy się myliłem, ale teraz, tuż przed linią mety, wszystko naprawię. Zakończenie zdaje się dość szczęśliwe, a przy tym powinno się utrzymać w mocy do momentu, aż stado znowu skręci i zmienny wiatr mód zadecyduje, kto jest na topie, a kto *passé*, kto przegrał, a kto pozostanie górą. Albowiem w dalszym ciągu czekają nas zwroty – taka jest natura muzyki. Słuchać, wystarczy słuchać, nie przejmując się zbyt notowaniem wyników. Następuje pojednanie, zaledwie chwilowe, lecz chwila to wszystko, czym dysponujesz. Jednak ten czar trwa tylko mgnienie oka. *Pudimos no encontrarnos en el tiempo...* Kochajmy się, mogliśmy bowiem nigdy nawet się nie spotkać...

Te promienie późnego słońca roztopiają cię. Niebawem jednak i one okrzepną i ochłodną. Albowiem nawet piękno się przejada i pozostawia ucho głodne innych dźwięków. Potrzeba przeistoczyć się w coś cięższego, w swego rodzaju poligon ćwiczebny przed mającymi nadejść trudnościami. Ale na tę chwilę – ta pieśń, właśnie ona.

Pierwszy, narastający motyw pojawia się raz jeszcze. Nuty ustawiają się w rzędku, przez co masz wrażenie, że sam je napisałeś. Nie tutaj, nie w tym życiu, nie w świecie, w którym żyłeś i pracowałeś. Raczej tam, dokąd z czasem miałaś szansę dotrzeć. *Esta pradera en que nos encontramos...* Na tej łące, na której się poznaliśmy... Długie, zbyt długie linie melodyczne przewidują twoją przeszłość i wspominają ze szczegółami przyszłość. Nie



masz pojęcia, jak coś podobnego mogło ci umykać przez te wszystkie lata. Byłoby niezłe, całkiem dobrze nawet, napisać coś równie prostego i pokojowego. Sprawić, aby słuchaczka zapragnęła być kimś więcej, niż była.

Ty jednak zrobiłeś to, co zrobiłeś. Jesteś w tym miejscu, w którym jesteś. I gwoli prawdy, twoja łąka też miała dobre strony. *Oh, pequeño infinito!* O, mała nieskończoności! Zwracamy ci ją. Oddajemy.



Stoisz w wieczornym deszczu na stopniach jej zgrabnego wiktoriańskiego domku. Doprowadził cię tutaj Głos w ostatnim, niemającym sobie równych akcie nawigacji. Otwiera ci – kobieta w przedśionku wieku średniego. Rysy jej twarzy tężeją w masce dobrotliwej irytacji, którą szykowała dla kogoś innego. Jedyną spadkobierczynią twych komórek i zarazem wyłączną egzekutorkę biologicznego spadku po tobie absorbują radości i smutki, o które nie masz nawet prawa pytać. Ale teraz jej uwaga skupia się całkowicie na tobie. Tłamsi rodzący się w jej gardle okrzyk i wciąga cię za próg.

Są gniew i ekscytacja. Spadają na ciebie pośpieszne pytania, niepokój i troska, a także porcja nudli pozostałych z obiadu dla jednej osoby. Wyciera ci włosy do sucha. Słowa wylewają się z niej, trudne do zniesienia. Lecz nie będziesz musiał ich znosić długo.

– Masz gorączkę? Co ci stało w wargę? Co ci się w ogóle stało? Jezu, tato, weźże coś zjedz...

Mieszka na rozkładówce z katalogu meblarskiego. Jej dom jest równie czysty jak gama C-dur. Zasłony były dopiero co prasowane. Ozdobne poduszki piętczą się symetrycznie na sterylnym poza tym narożniku. Na ścianach wiszą zdjęcia ukazujące ją na mecie w nowoczesnych sportowych strojach i różnych fazach zmęczenia. Stół okrążają cztery krzesła korekcyjne ze szczebelkowymi oparciami, ustawione karnie jak od linijki. Drzwi wejściowe są oflankowane przez stojak na parasole oraz – tuż obok – stojak z kilkoma parami identycznych koralowych butów do biegania. Całe to szaleństwo z racjonalnym gospodarowaniem ma w prezencie od ciebie. Taki jest efekt wpajania ośmiolatce, że nic, ale to nic nie jest w życiu bezpieczne.

W mieszkaniu znajduje się również fortepian, z tych mniejszych, niespełna dwumetrowy. Pokrywa na klawiaturę jest otwarta, kłapa uniesiona na podpórce, a o stojak są oparte nuty *Scen dziecięcych* Schumanna. To

wydaje się niemożliwe.

– Zaczęłaś znowu grać? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Nie odpowiada. Podchodzi do okna, obrzuca wzrokiem ulicę, a potem zaciąga szczelnie zasłony.

Na brzegu pulpitu stoi fotografia: para młodych ludzi spędzająca miło wspólny czas. Mężczyzna garbi się nad pianinem zabawką, z rękoma nad głową i palcami gotowymi trącić maleńkie klawisze. Kobieta unosi jedną, teatralnie wykrzywioną dłoń, ma zamknięte oczy i usta ułożone w kształt litery O. Znałeś te dzieciaki, znałeś tego, kto zrobił zdjęcie. Ileż potrwał ten amatorski duet? Nawet nie dziesięć lat, licząc od początków do samego końca. *Pero este amor, amor, no ha terminado*. Lecz ta miłość, miłości moja, nie ma mety.

Na drugim planie fotografii szczerzy zęby nieustraszona dziewczynka. Teraz jest w kuchni, parząc herbatę. Gotuje wodę w czajniku elektrycznym, zalewa torebki ekspresowe wyjęte z eleganckiej okrągłej puszkii i przygotowuje dwa waniliowe wafle, po jednym dla każdego z was. Potem wraca do jadalni, w której siedzisz, z pojedynczym wzmórkiem zmartwienia na czole.

Myślisz sobie: moja jedyna udana kompozycja.

Reszta zdjęć, na kredensie, opowiada prawdziwszą historię: dziesięciolatka i jej nieopierzona przyrodnia siostra u stóp uginającej się pod ozdobami choinki świątecznej. Matka, ojczym i szczęśliwa absolwentka, z czapką uniwersytecką uchwyconą w powietrzu. Młoda kobieta i jej nieodpowiedzialny mężczyzna na tle granitowej formacji Half Dome, z kijkami uniesionymi w parodii pojedynku. Wszystkie te gęste, długie lata codziennego życia, ich prawdziwy ciężar, a nie tylko sama ścieżka dźwiękowa, którą sobie zawsze wyobrażałeś. Nie wiesz, co nią powoduje, co wychyla igłę jej kompasu, nie wiesz, co robi całym dniami, aby spłacić kredyt hipoteczny zaciągnięty na ten ładniutki dom. Byłeś w jej życiu głównie wędrownym siewcą smutku. A mimo to odnalazła cię w stworzonej samemu sobie głuszy, dotrzymywała ci telefonicznie towarzystwa co tydzień, gdy nie miałeś nikogo, kupiła ci psa.

Siada i nalewa. Do jej ust trafia najpierw herbata, potem ciastko, jakby grała na kamertonie ustnym.

– Proszę, powiedz mi, że to nie ty wypisywałaś tamte rzeczy.

Te, które namnażają się niczym żywe istoty w całym internecie. Bardzo

byś chciał jej to powiedzieć. Właściwie niemal możesz to zrobić. Bo to prawie prawda.

Wzruszasz ramionami i to wzruszenie ramion powoduje, że zaczyna cię przeklinać. Daje o sobie znać stres tłumiony przez czterdzieści lat. Jeszcze trochę inwektyw i wybucha płaczem. Ujmujesz ją za ręce, ale ona się wyrывa i przykłada obie dłonie do szyi. Zamyka oczy, zwiesza głowę, marszczy nos. Teraz dostrzegasz nitki siwizny w jej włosach. Mimo że nigdy nie byłś spostrzegawczy.

Głos jej drży zupełnie jak skrzypce w rękach ucznia.

– Nic nie rozumiem. Co ty właściwie próbujesz przekazać?

Ale muzyka niczego nie przekazuje. Ona po prostu jest. Kłos pośród zbóż, ziarnko wśród piasków.

Tyle dziś wieczór głosów na zewnątrz, że trudno byłoby cokolwiek dodać. W powietrzu wibrują trywialne ekstazy. I oto teraz, tutaj, wystarczy być, pozostać w bezruchu i nie próbować niczego dodawać do mieszanki. Wiosenny wiatr porusza aluminiowymi żaluzjami i drapie nimi o futrynę okna. Kilometry dalej rozbrzmiewają syreny. Pożar albo przemoc, czyjeś kończące się życie. Strużka audycji radiowej z przejeżdżającego samochodu. Popiskiwanie gadżetów. Melodyjka nadawana przez furgonetkę lodziarza, stojącą trzy przecznice dalej i sześćdziesiąt sześć lat wstecz. Telewizor sąsiadów przebijający się przez mury domu, nastawiony na wieczne narodowe talent show. Szmer klimatyzatorów niczym chór rzekotek. Wznoszący okrzyki tłum, pogłos z megafonu. Chmara bzyczących owadów i nieme sygnały nietoperzy, które na nie polują, zataczając na niebie szalone kręgi. Szum krwi w uszach. Nie ma lepszego miejsca niż to, w którym się żyło.

– Chciałem, żebyś była dumna.

Z niedowierzaniem potrząsa głową. Dumna?

– Miałam cię za Boga.

– Dopóki nie odszedłem.

Kręci głową, wypierając się wyparcia.

Rozlega się dzwonek telefonu. Odnajduje urządzenie, które dopuściło się wykroczenia, i unieszkodliwia je. Nie dość szybko jednak, abyś nie zdążył usłyszeć pierwszych trzech taktów. Choć wydają ci się znajome jak powietrze, nie kojarzysz ich od razu, tylko dopiero po chwili.

– Co to...? Skąd ty...?

Nie odpowiada, mimo że jesteś jedyną osobą na ziemi zdolną bez trudu zidentyfikować melodię dzwonka. Wstaje i zabiera serwis do herbaty, zanim dopijesz do końca. Ociąganie nie jest w jej stylu. Ma przed sobą problem do rozwiązania, system do rozpracowania i stare koszmary do ujarznienia.

– Możesz tu zostać. Dam ci schronienie. Jutro zadzwonimy do prawnika, tego, o którym ci opowiadałam. On coś wymyśli.

Słyszysz, jak podjeżdża pierwsza furgonetka i rozsuwają się drzwi. Ona patrzy na ciebie wzrokiem ciężkim od nadziei, gotowa nawet w tej chwili wierzyć, że wciąż da się odwołać publiczną spowiedź. Ostatecznie jednak na jej twarzy wypływa zraniony wyraz.

– Naprawdę to zrobiłeś?

Mrużysz oczy: czy naprawdę c o zrobiłem? Masz sporo na sumieniu. Ale wolisz się upewnić.

Nie odrywa od ciebie spojrzenia, bacznie doszukując się dowodów. Jej oczy pytają: przemieniłeś żywą komórkę w pozytywkę, w płytę kompaktową? Wzrok ma do pewnego stopnia podekscytowany.

– Niektórzy twierdzą, że doszło już do wyizolowania. Ktoś ponoć zawiesił...

– Nie – przerywasz jej. – To niemożliwe.

Brzęk i grzmot następnej furgonetki, po drugiej stronie budynku. Buty stukające o chodnik. Nie jesteś w stanie zliczyć, ile par. Wtem twoja córka zadaje pytanie, którego nie słyszałeś z jej ust od czasów dzieciństwa.

– Jak to leci?

I mknie spojrzeniem do fortepianu. Nieśmiała prośba: zagraj mi to, czego reszta świata może się tylko domyślać. Kiedyś, na innym wybrzeżu, powiedziałaś przestraszonej ośmiolatce: „Nic się nie zmieni. Wszystko zostanie po staremu”. Teraz twoja przerażona czterdziestodwuletnia triatlonistka i pozyskiwaczka danych potrzebuje kolejnego kłamstwa.

Wokół domu ustawia się kordon. Głuchy łoskot butów, przenikliwe zawrozczenie czegoś elektronicznego.

Fortepian jest porządny, lepszy od wszystkich, które kiedykolwiek miałeś. Dobywasz paru dźwięków. Brzmią niczym świetlana przyszłość. Twoje palce mówią: nie oddawajmy więcej pola smutkowi. Zapamiętały coś, te twoje paliczki; pieśń, którą napisałeś dla jej matki lata temu, pod wpływem wyzwania. Kilka potknięć i muzyka wraca. Wskrzyszona.

Wybucha śmiechem, zaskoczona.

– No nie! Chyba nie użyłeś tego?!

Nie; uśmiewasz się nieco psotnie. Nie, masz rację. To ważne, kiedy cię dosięgną, być tak daleko od tego domu, jak to tylko możliwe, być tak wolnym i czystym, jak tylko się da. Odpowiadasz:

– Nie mogę uwierzyć, że to pamiętasz.

Na drugim brzegu pulpitu stoi wazonik ze świeżymi konwaliami. Bukieciak jest z tych gotowych, odrobinę sztucznych. Dobrze będzie mieć coś w rękę, a taki wazonik po ciemku może się wydać menzurką. Podnosisz go więc i przytulasz do siebie.

– Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, co jeszcze pamiętam.

Spoglądasz w dół, na tuzin na przemian białych i czarnych klawiszy. Pilnują czegoś, co nadal pragniesz im wyrwać na wolność, nawet teraz, nawet tym późnym wieczorem. Nie znajdziesz za życia drogi ucieczki, ale te wciąż rozwijające się melodie, tę muzykę, którą czułeś i straciłeś, kombinacje dźwięków, jakie przeoczyłeś, niebezpieczne pieśni czekające wciąż na napisanie: *y así como no tuvo nacimiento no tiene muerte...* Bez narodzin nie ma śmierci... Strumień zapamiętanych przyszłości będzie rwał naprzód bez ciebie, nie zmieniając niczego z wyjątkiem biegu, z wyjątkiem brzegów. Lecz miłość ta, miłości moja, miłość ta nie ma końca.

– Posłuchaj – mówisz. – Słyszysz?

Podchodzi do okna i odsuwa zasłonę. Wyrywa się jej krzyk.

– O, cholera...

Jej ciało cofa się od szyby, dłonie próbują odeprzeć fakty.

– Cholera!

Źrenice jej się rozszerzają, wzrok mętnieje. Twarz robi się popielata.

– Tatusiu – błaga. – Nie. Och, proszę, nie...

– Sara – odzywasz się. Bezpieczny w czas największej rzezi. I dorzucasz:  
– Sar? Zróbmy coś.

Potrząsa głową, chora ze strachu. Jej oczy jednak pytają cię: ale co?

Coś dobrego. Dobrego jak? Głośnego. Żywego. To znaczy? Zróbmy różę, jakiej nikt nie zna.

Gdy kiwnie ci głową, choćby nieznacznie, ruszysz do drzwi i na zewnątrz. Wybiegniesz na świat świeży, zielony i znowu czujny na całą gamę nowych zagrożeń. Będziesz się poruszał *vivace*, starając się dotrzeć jak najdalej, ze szklanym wazonikiem uniesionym wysoko niczym batuta dyrygenta, który przymierza się do zasygnalizowania czegoś lepszego, niż

ktokolwiek mógłby sądzić. Rozlegnie się pierwszy takt małej nieskończoności. A ty nareszcie przekonasz się, jak to leci.

## Nota od tłumaczki

Pragnę podziękować osobom, które posłużyły mi pomocą przy ustalaniu niektórych źródeł – wybitnym specjalistom w swoich dziedzinach i wspomniałym ludziom.

Są to:

prof. zw. dr hab. Wojciech Sady, wieloletni badacz filozofii Wittgensteina;

dr hab. Jerzy Kutnik, prof. nadzw. UMCS, w swych badaniach koncentrujący się na pisarstwie amerykańskich artystów, w tym Johna Cage'a;

dr Agnieszka Fulińska, która zajmując się między innymi recepcją antyku w kulturach późniejszych, dokonała przekładów poetyckich, w tym utworów Johna Keatsa.

Jestem pod wielkim wrażeniem ich wiedzy oraz życzliwości i w tym miejscu serdecznie im dziękuję za okazaną bezinteresownie pomoc i udzielone rady.

*Niniejszy przekład dedykuję swemu śp. Bratu,  
Grzegorzowi Gardnerowi (1965–2013).  
Oby muzyka sfer, której teraz słuchasz,  
nigdy Ci się nie znudziła, Grzesiu.*

# Przypisy

[1] Marta Szoka, *George Crumb. Muzyka onirycznych wizji i magicznych formuł*, Akademia Muzyczna im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów, Łódź 2011 [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] Andrzej Osiński, *Śmierć i dziecko*, Polskie Radio.pl, 09.05.2007, dostęp z dnia 11.08.2014 (<http://www.polskieradio.pl/24/289/Artykul/169795,Smierc-i-dziecko>).

[3] Ibid.

[4] Ibid.

[5] Ibid.

[6] Ibid.

[7] Ibid.

[8] Ibid.

[9] Ibid.

[10] Ibid.

[11] Ekklesiastes 9:7, *Pismo święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie polskim W. O. Jakuba Wujka S. J.*, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1962.

[12] Franz Kafka, *Aforyzmy z Zürau*, oprac. Roberto Calasso, przekład aforyzmów Artur Szlosarek, Wydawnictwo EMG, Kraków 2007.

[13] Joseph von Eichendorff, *O zmięczeniu*, przeł. Johannes Krosny, „Zeszyty Eichendorffa” 2009, nr 27.

[14] Walt Whitman, *Pieśń o mnie* (cz. VI), w: 256: *wiersze i poematy*, przeł. Andrzej Szuba, Miniatura, Kraków 2002.

[15] Pierwszy List Pawła do Koryntian 15:51, *Pismo święte...*, op. cit.

[16] Johann Wolfgang Goethe, *Faust*, przeł. Feliks Konopka, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977.

[17] Tomasz Mann, *Śmierć w Wenecji*, przeł. Leopold Staff, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1988.

[18] Krzysztof Kwiatkowski, *Maksymalista*, „Ruch Muzyczny” 2011, nr 8, dostęp z dnia 16.08.2014 (<http://www.ruchmuzyczny.pl/PelnyArtykul.php?Id=1697>).

[19] Zob. Andrzej Rusław Nowicki, *Filozofia muzycznego przypadku Johna Cage’a*, na podstawie książki tego samego autora, *Spotkania w rzeczach*, PWN, Warszawa 1991, dostęp z dnia 16.08.2014 (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6062>).

[20] Jerzy Kutnik, *Gra słów, muzyka poezji Johna Cage’a*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1997.

[21] Objawienie Jana Apostoła 10:1 i 10:5-6, *Pismo święte...*, op. cit.

[22] Olivier Messiaen, *...że to już długo nie potrwa*, przedmowa kompozytora w programie do *Das Chung-Messiaen-Projekt* (z okazji 100. rocznicy urodzin Oliviera Messiaena), przeł. Aleksandra Gierzban, Sächsische Staatsoper, Dresden 2008, dostęp z dnia 16.08.2014 ([http://www.staatskapelle-dresden.de/fileadmin/home/pdf/staatskapelle/KA\\_Chung\\_small.pdf](http://www.staatskapelle-dresden.de/fileadmin/home/pdf/staatskapelle/KA_Chung_small.pdf)).

[23] Ibid.

[24] Ibid.



- [25] Ibid.
- [26] Jorge Luis Borges, *Tajemny cud*, przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski, w: *Fikcje*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972.
- [27] Jerzy Luty, *Puste słowa Johna Cage'a*, Studio Muzyki Elektroakustycznej Akademii Muzycznej w Krakowie, dostęp z dnia 17.08.2014 ([http://www.asp.wroc.pl/dyskurs/Dyskurs9/Jerzy\\_Luty.pdf](http://www.asp.wroc.pl/dyskurs/Dyskurs9/Jerzy_Luty.pdf)).
- [28] John Cage, *Nieoznaczoność*, przeł. Agnieszka Taborska, „Literatura na Świecie” 1996, nr 1–2.
- [29] Jorge Luis Borges, *Pamiętliwy Funes*, przeł. Stanisław Zembrzuski, w: *Fikcje*, op. cit.
- [30] Ibid.
- [31] Ibid.
- [32] Jorge Luis Borges, *Nowa refutacja czasu*, przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski, w: *Dalsze dociekania*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.
- [33] Ibid.
- [34] Ibid.
- [35] Ibid.
- [36] Ibid.
- [37] Jorge Luis Borges, *Siedem wieczorów, Pamięć Szekspira, Atlas*, przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski, Lobos 1999.
- [38] Rabindranath Tagore, *Gitanjali*, Pieśń ofiarna XCIX, przeł. Jan Kasproicz, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 1996.
- [39] John Keats, *Oda do urny greckiej*, przeł. Agnieszka Fulińska, „Literatura na Świecie” 2012, nr 9–10 (zamieszczono za wiedzą i zgodą autorki).
- [40] Jerzy Kutnik, op. cit.
- [41] Przeł. Jerzy Kutnik (zamieszczono za wiedzą i zgodą autora).
- [42] Przeł. Robert J. Szmidt (zamieszczono za wiedzą i zgodą autora).
- [43] Walt Whitman, *Pieśń o mnie* (cz. LII), w: 256: *wiersze...*, op. cit.
- [44] Ludwig Wittgenstein, *Uwagi o religii i etyce*, przeł. Małgorzata Kawecka i Wojciech Sady, SIW ZNAK, Kraków 1995 (zamieszczono za wiedzą i zgodą autorów).
- [45] John Adams & Alice Goodman, *Nixon in China*, akt I, Boosey and Hawkes 1987.
- [46] List Pawła do Rzymian 13:12, *Pismo święte...*, op. cit.
- [47] Ewangelia wg świętego Jana 1:14, *Pismo święte...*, op. cit.
- [48] Sołomon Wołkow, *Szostakowicz i Stalin*, przeł. Maria Putrament, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2006.
- [49] Ibid.
- [50] Ibid.
- [51] Ibid.
- [52] Ibid.
- [53] Ibid.
- [54] Ibid.
- [55] Księga Psalmów 149:9, *Pismo święte...*, op. cit.
- [56] William Shakespeare, *Kupiec wenecki* (akt II, scena 8), w: *Komedie*, przeł. Stanisław Barańczak, SIW ZNAK, Kraków 2012.
- [57] Walt Whitman, *Pieśń o mnie* (cz. LII), w: 256: *wiersze...*, op. cit.
- [58] Ibid.
- [59] Aluzja do tytułu wiersza Adelaide Anne Procter *The Lost Chord*, który wykorzystał angielski kompozytor Arthur Sullivan, komponując pieśń pod tym samym tytułem dedykowaną umierającemu bratu.
- [60] Walt Whitman, *Pieśń o mnie* (cz. LII), w: 256: *wiersze...*, op. cit.

[61] William Shakespeare, *Sen nocy letniej* (akt III, scena 1), w: *Komedie*, op. cit.

[62] Ibid.

[63] Ibid.

[64] Ibid.

[65] Ibid.

[66] Ibid.

[67] Ibid.

[68] Ibid.

[69] William Shakespeare, *Sen nocy letniej* (akt IV, scena 1), w: *Komedie*, op. cit.

[70] Alfred Tennyson, *Ulisses*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz, w: *Poeci języka angielskiego*, tom 2, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971.

[71] Ibid.

[72] William Shakespeare, *Sen nocy letniej* (akt IV, scena 1), w: *Komedie*, op. cit.

[73] Ibid.

[74] Walt Whitman, *Pieśń o mnie* (cz. LII), w: 256: *wiersze...*, op. cit.

[75] Ibid.

[76] Ibid.